

UMBERTO ECO

TAJEMNICZY PŁOMIEŃ KRÓLOWEJ LOANY

POWIEŚĆ ILUSTROWANA

Przełożył Krzysztof Żaboklicki

Część pierwsza WYPADEK

1. NAJOKRUTNIEJSZY MIESIĄC

- Jak pan się nazywa?

- Chwileczkę, mam to na końcu języka.

Wszystko tak się zaczęło.

Obudziłem się nagle jakby z długiego snu, ale byłem jeszcze zawieszony w mlecznej szarzyźnie. Albo nie obudziłem się i śniłem. To był dziwny sen, pozbawiony obrazów i pełen dźwięków. Jakbym nie widział, tylko słyszał głosy, które mi opowiadały, co powinienem widzieć. Opowiadały mi, że nie widzę jeszcze właściwie nic oprócz dymienia wzdłuż kanałów w rozplywającym się krajobrazie. Bruges, powiedziałem sobie, czy byłem kiedyś w martwym mieście Bruges? Tarn, gdzie mgła chybotze pomiędzy wieżami jak śniące kadzidło? Miasto szare, smutne jak grób ozdobiony chryzantemami, gdzie postrzępiona mgła, niczym stare arras, zwisa z fasad domów.

Moja dusza czyściła tramwajowe szyby, aby utonąć w ruchomej mgłę reflektorów. Mgła, moja nieskażona siostra... Mgła gęsta, ciemna, wyciszająca hałasy, rodząca bezkształtne zjawy... W końcu dotarłem nad ogromną otchłań i ujrzałem postać olbrzymiego wzrostu, osłoniętą całunem, z twarzą, która lśniła oślepiającą białością śniegu. Nazywam się Artur Gordon Pym.

Brniemy w mgle. Widma mijają, muskają nas, rozplywają się. Lampki świecą jak błędne ogniki cmentarza.

Spostrzegam kogoś, co chodzi u mego boku bez szelestu, jakby bosymi nogami. Idzie bez obcasów, bez trzewików, bez sandałów. Pasma

mgły przesuwają się po mojej twarzy. Tłum pijanych ludzi hałasuje tam w dok przy przeprawie łodzi. Przeprawie łodzi? Ja tego nie mówię, mówią głosy.

Mgła przychodzi na małych kocich łapkach... Mgła była taka, że wyglądało, jakby wymazano świat.

A jednak chwilami wydaje mi się, że otwieram oczy i widzę błyskawice.

- To nie jest prawdziwa śpiączka, proszę pani... Nie, proszę tylko nie myśleć o płaskim encefalogramie, na miłość boską... Jest zdolność reagowania...

Ktoś świecił mi w oczy, ale po świetle zapadała znowu ciemność. Czułem, że kłują mnie gdzieś szpilką.

- Widzi pani, jest czynność ruchowa...

Maigret pogrąża się we mgłę tak gęstej, że nie widzi, gdzie stawia stopy... Mgła pełna jest ludzkich postaci } tętni intensywnym, tajemniczym życiem. Maigret? To proste, drogi Watsonie, jest dziesięciu małych Indian, we mgle znika pies Baskerville'ów.

Szare opary... z wolna traciły swój szary kolor. Woda bardzo ciepła, niemal gorąca, a jej mleczne zabarwienie stało się jeszcze wyraźniejsze... W tej chwili pędziliśmy z niesamowitą szybkością do krawędzi kaskady, a bezdenna czeluść otwarła się, aby nas wciągnąć.

Słyszałem ludzi rozmawiających wokół mnie, chciałem krzyknąć i dać im znać, że tu jestem. Rozlegał się nieustanny warkot, jakbym był rozdierany przez maszyny do tortur o wyostrzonych zębach. Znajdowałem się w kolonii karnej. Czułem ciężar na głowie, jakby włożono na nią żelazną maskę. Wydało mi się, że widzę niebieskie światła.

- Występuje asymetria średnicy źrenic. Postrzegałem fragmenty myśli, z pewnością budziłem się, ale nie mogłem się poruszyć. Gdybym tylko mógł nie spać. Zasnąłem znowu? Spałem godziny, dni, wieki?

Wróciła mgła, głosy we mgle, głosy mówiące o mgle. Seltsam, im Nebel zu wandern! Co to za język? Wydawało mi się, że pływam w morzu, czułem, że brzeg jest w pobliżu, ale nie udawało mi się do niego dotrzeć. Nikt mnie nie widział, a odpływ pchał moje ciało do tyłu.

Powiedzcie mi coś, proszę, dotknijcie mnie, proszę. Poczułem na czole czyjąś dłoń. Co za ulga! Inny głos:

- Proszę pani, wiadomo nam o pacjentach, którzy budzą się nagJe i odchodzą na własnych nogach.

Ktoś mi przeszkadzał przerywanym światłem, dźwiękiem kamertonu; miałem wrażenie, że podsuwają mi pod nos słoiczek musztardy, potem ząbek czosnku. Ziemia pachnie grzybami.

Inne głosy, tym razem z wewnątrz: Długie zawodzenia parowozu, bezkształtni księża we mgle idący szeregiem do San Michèle in Bosco.

Niebo jest szare jak popiół. Mgła w górze i w dole rzeki, mgła kłajająca dłonie dziewczynki z zapalkami. Z mostów Psiej Wyspy przechodnie patrzą w niziutkie, mgliste niebo, sami owinięci mgłą jak w zawieszonym pod ciemną mgłą balonie; nie myślałem, że śmierć zniszczyła tak wielu. Zapach dworca kolejowego i sadzy.

Inne, słabsze światło. Zdało mi się, że słyszę wśród mgły dźwięk szkockiej kobzy na wrzosowiskach.

Znowu długi sen - może. Potem przejaśnienie; wydaje mi się, że jestem w szklance wody z anyżkiem.

Stał przede mną, chociaż widziałem go jeszcze jako cień. Czułem

zamęt w głowie, przypominało to budzenie się po pijaństwie. Chyba wyszeptałem coś z trudem, jakbym zaczynał w tej chwili uczyć się mówić:

- Posco reposco flagi to, domagam się, domagam się na powrót, domagam się usilnie... łączą się z bezokolicznikiem czasu przyszłego? Cuius regio eius religio, czyje panowanie, tego religia... chodzi o pokój w Augsburgu czy o defenestrację praską? - A potem: - Mgła także na odcinku apenińskim Autostrady Słońca, między Roncobilaccio a Barberino del Mugello...

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Teraz proszę szeroko otworzyć oczy i rozejrzeć się wokół. Czy wie pan, gdzie jesteśmy?

Widziałem go już lepiej, miał na sobie biały... jak to się mówi?... fartuch. Powiodłem oczyma dookoła, udało mi się odwrócić głowę. Pokój był czysty, umeblowany skromnie: kilka metalowych mebelków w jasnych kolorach. Ja w łóżku, z cewką wbitą w ramię. Z okna, przez opuszczone żaluzje, przenikała smuga słonecznego światła, wiosna błyszcząca w roztoczy i pola przez nią tryskają weselem.

Wyszeptałem:

- Jesteśmy... w szpitalu, a pan... pan jest lekarzem. Byłem chory?

- Tak, był pan chory, potem panu wytłumaczę. Ale teraz odzyskał pan przytomność. Odwagi. Jestem doktor Gratarolo. Proszę wybaczyć, że zadam panu kilka pytań. Ile palców panu pokazuję?

- To jest ręka, a to palce. Cztery. Są cztery?

- Z pewnością. A ile jest sześć razy sześć?

- Oczywiście trzydzieści sześć. - Myśli huczały mi w głowie, lecz wyrażałem je bez trudu. - Pole kwadratu zbudowanego na

przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego jest równe sumie pól kwadratów zbudowanych na przyprostokątnych.

- Gratuluję. Sądzę, że to twierdzenie Pitagorasa, ale w liceum miałem trójkę z matematyki...

- Pitagoras z Samos. Elementy Euklidesa. Rozpacзлиwa samotność prostych równoległych, które nigdy się nie spotkają.

- Wygląda na to, że pańska pamięć funkcjonuje doskonale. No właśnie, a jak pan się nazywa?

Otóż w tej chwili zawahałem się. A przecież miałem to na końcu języka. Po chwili odpowiedziałem w sposób najbardziej oczywisty:

- Nazywam się Artur Gordon Pym.

- Nie, tak się pan nie nazywa.

Artur Gordon Pym był z pewnością kimś innym. Usiłowałem dojść do ugody z lekarzem:

- Imię moje... Izmael?

- Nie, nie nazywa się pan Izmael. Proszę sobie przypomnieć.

Łatwo się mówi. Głową w mur. Euklidesa i Izmaela wymienilem bez trudu, nie miałem problemów z aa, kotki dwa, szare bure obydwu. Ale próbując powiedzieć, kim jestem, odnosiłem wrażenie, że odwracam się do tyłu, a tam mur. Nie, nie mur, usiłowałem to wyjaśnić:

- Nie czuję niczego twardego, to jakbym wchodził w mgłę.

- Jaka jest ta mgła? - zapytał.

- Mgła na strome wzgórze kroplami się wspina, pod naporem wichru huczy i pieni się morze... To chyba Carducci. Jaka jest mgła?

- Proszę nie wprawiać mnie w zakłopotanie, jestem tylko lekarzem. Poza tym jest kwiecień i nie mogę jej panu pokazać. Mamy dziś

dwudziesty piąty kwietnia.

- Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień.

- Nie jestem zbyt wykształcony, ale sądzę, że to cytat z Eliota. Mógł pan raczej powiedzieć, że obchodzimy dzisiaj nasz Dzień Wyzwolenia. Wie pan, który mamy rok?

- Z pewnością odkryto już Amerykę.

- Nie przypomina pan sobie jakiejś daty, jakiegokolwiek, poprzedzającej pańskie... przebudzenie?

- Jakiegokolwiek? Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, koniec drugiej wojny światowej.

- Za mało. Nie, dziś jest dwudziesty piąty kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Pan się urodził, jeśli się nie mylę, pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku; ma pan więc teraz prawie sześćdziesiąt lat.

- Pięćdziesiąt dziewięć i pół, i to niezupełnie.

- Rachować umie pan doskonale. A więc miał pan... jak by to powiedzieć... wypadek. Wszedł pan z niego żywy, gratuluje. Ale najwyraźniej coś jeszcze nie gra. Rodzaj drobnej amnezji wstecznej. Niech się pan nie martwi, czasami są one krótkotrwałe. Uprzejmie proszę odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań. Jest pan żonaty?

- Pan mi to powie.

- Tak, jest pan żonaty z nadzwyczaj miłą panią imieniem Paola, która czuwała przy panu dniem i nocą; dopiero wczoraj wieczorem zmusiłem ją, żeby poszła do domu, bo inaczej padłaby ze zmęczenia. Teraz, kiedy pan się przebudził, sprowadzę ją znowu, ale najpierw muszę ją przygotować, no i trzeba jeszcze wykonać kilka badań kontrolnych.

- A jeśli pomyli mi się ona z kapeluszem?

- Co, proszę?

- Pewien człowiek pomylił żonę z kapeluszem.

- Ach, książka Olivera Sacksa, *The Man Who Mistook His Wife for a Hat*. Słynny przypadek. Widzę, że jest pan czytany. Ale pana to nie dotyczy, inaczej już by pan pomylił mnie z piecem. Proszę się nie martwić: może pan jej nie rozpoznać, ale nie pomyli jej pan z kapeluszem. Wróćmy do pana. Nazywa się pan Giambattista Bodoni. Czy mówi to coś panu?

Moja pamięć pędziła teraz jak szybowiec między górami i dolinami w stronę nieskończonego widnokręgu.

- Giambattista Bodoni był sławnym drukarzem, ale z pewnością nie jestem nim ja. Z równym powodzeniem mógłbym być Napoleonem.

- Dlaczego Napoleonem?

- Ponieważ Bodoni żył mniej więcej w jego czasach. Napoleon Bonaparte, urodzony na Korsyce, pierwszy konsul, poślubia Józefinę, zostaje cesarzem, podbija połowę Europy, przegrywa pod Waterloo, umiera na Wyspie Świętej Heleny piątego maja tysiąc osiemset dwudziestego pierwszego roku. On zmarł, i tak dalej, napisał wtedy Manzoni.

- Będę musiał wrócić do pana z encyklopedią, ale - o ile sobie przypominam - wszystko dobrze pan zapamiętał. Nie pamięta pan jednak, kim pan jest.

- Czy to coś poważnego?

- Szczerze mówiąc, nie wygląda to ładnie. Nie jest pan jednak pierwszym, któremu coś takiego się przydarza. Poradzimy sobie.

Powiedział mi, żebym podniósł prawą rękę i dotknął nią nosa.

Rozumiałem doskonale, co to prawa ręka i co nos. Trafiłem. Ale uczucie było całkiem nowe. Dotykać własnego nosa to jakby mieć oko na czubku palca wskazującego i patrzeć sobie w twarz. Ja mam nos. Gratarolo stuknął mnie w kolano, potem tu i tam po nodze i stopach takim swoim młoteczkim. Lekarze badają odruchy. Moje odruchy były chyba właściwe. Na koniec ogarnęło mnie okropne zmęczenie i zdaje się, że zasnąłem znowu.

Obudziłem się w innym miejscu i wyszeptalem, że wygląda ono jak kabina statku kosmicznego w filmach (w jakim filmie? - spytał Gratarolo; we wszystkich filmach w ogóle, odpowiedziałem, potem wymienilem Star Trek). Robiono mi rzeczy dla mnie niezrozumiałe za pomocą nigdy przedtem niewidzianej aparatury. Chyba zagłędano mi do wnętrza głowy. Znosiłem to, nie myśląc, kołysany cichym brzęczeniem. Od czasu do czasu zapadałem w lekki sen.

Później (czy też nazajutrz?), kiedy wrócił Gratarolo, badałem łóżko. Macałem prześcieradła lekkie i gładkie, przyjemne w dotyku. Mniej przyjemna była kołdra, kłująca trochę opuszki palców. Odwracałem się i uderzałem w poduszkę, zadowolony, że dłoń się w nią wgłębia. Robiłem klap-klap i dobrze się bawiłem. Gratarolo spytał, czy uda mi się wstać z łóżka. Udało się przy pomocy pielęgniarki - stanąłem na nogach, choć kręciło mi się jeszcze w głowie. Czułem, że stopy cisną podłogę, a głowę mam w górze. Tak stoi się na nogach. Jak na napiętej linie. Jak syrenka z baśni Andersena.

- Odwagi, niech pan spróbuje pójść do łazienki i wyczyścić sobie zęby. Powinna tam być szczoteczka pańskiej żony.

Odpowiedziałem, że nie wolno czyścić zębów cudzą szczoteczką, na

co on zauważył, że szczoteczka żony nie jest cudza. W łazience przejrzałem się w lustrze. Byłem przynajmniej dość pewny, że to właśnie ja, ponieważ lustra - rzecz wiadoma - odbijają to, co się przed nimi znajduje. Twarz blada, policzki zapadłe, broda długa, oczy podkrążone okropnie. Ładne rzeczy - nie wiem, kim jestem, lecz stwierdzam, że jestem potworem. Nie chciałbym spotkać siebie samego wieczorem w pustym zaułku. Mister Hyde. Zidentyfikowałem dwa przedmioty: jeden to na pewno tubka pasty do zębów, a drugi - szczoteczka. Trzeba zacząć od pasty, wycisnąć ją z tubki. Bardzo przyjemne uczucie, powinienem robić to często, jednak w pewnej chwili trzeba się zatrzymać, bo ta biała pasta na początku tworzy pękający bąbel, a następnie wychodzi z tubki wszystko jak le serpent qui danse, tańcząca żmija. Nie wyciskaj więcej, bo zrobisz jak Broglio z twarożkami stracchino. Kim jest Broglio?

Pasta do zębów ma wyśmienity smak. Wyśmienicie, powiedział książę. To wellerism, jak u Dickensa. Takie są więc smaki: coś, co pieści ci język, a także podniebienie; wydaje się jednak, że smaki wyczuwa język. Smak mięty - y la hierbabuena, a las cinco de la tarde... i mięta, o piątej po południu, napisał Gar-cia Lorca. Zdecydowałem się i zrobiłem to, co w tym wypadku robią wszyscy, szybko i bez zastanowienia: wyczyściłem sobie zęby u góry i u dołu, potem z lewa w prawo, wreszcie wzdłuż. Odnosi się interesujące wrażenie, kiedy włosie szczoteczki przenika między zęby. Myślę, że odtąd będę mył zęby codziennie, co za przyjemność. Przejechałem szczoteczką także po języku. Czuje się jakby dreszcz, ale koniec końców - jeśli zbytnio nie przyciskać - nie jest źle. Tego właśnie było mi trzeba, bo miałem niesmak w ustach. A teraz, powiedziałem sobie, należy wypłukać. Nalałem z kranu wody do szklanki

i przytknąłem ją do ust, miłe zdziwiony dźwiękiem wydawanym przez wodę - zwłaszcza gdy odchylił się głowę do tyłu i zacznie... bulgotać? Bulgotanie jest przyjemne. Wydałem policzki, Woda wypłynęła. Wypłułem wszystko. Chlust... wodospad. Wargami można zrobić wszystko, są nadzwyczaj ruchome. Odwróciłem się. Gratarolo patrzył na mnie uważnie, jakbym był rzadkim okazem w zoo. Spytałem go, czy aprobeuje.

Doskonale, odpowiedział. Moje automatyzmy, wytłumaczył, są w porządku.

- Zdaje się, że jest tu osoba prawie normalna - zaznaczyłem - ale może nie jestem nią ja.

- Nie brak panu dowcipu, co też jest dobrym znakiem. Proszę znowu się położyć, pomogę. Niech mi pan powie, co pan przed chwilą zrobił.

- Wyczyściłem sobie zęby zgodnie z pańskim życzeniem.

- Oczywiście. A przed myciem zębów?

- Leżałem w tym łóżku, a pan do mnie mówił. Powiedział mi pan, że jest teraz kwiecień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

- Słusznie. Pamięć krótkoterminowa funkcjonuje. Proszę mi powiedzieć, czy przypomina pan sobie może markę pasty do zębów?

- Nie. A powinienem?

- Bynajmniej. Markę zauważył pan z pewnością, biorąc tubkę do ręki; ale gdybyśmy mieli rejestrować i zachowywać wszystkie otrzymywane bodźce, nasza pamięć stałaby się

prawdziwym piekłem. Dlatego wybieramy, filtrujemy. Pan zrobił to, co robią wszyscy. Proszę jednak postarać się sobie przypomnieć rzecz

najbardziej znaczącą, która się panu przytrafiła podczas mycia zębów.

- Przejechałem sobie szczoteczką po języku.

- Dlaczego?

- Bo miałem niesmak w ustach. Potem lepiej się poczułem.

- No widzi pan? Wyselekcjonował pan czynnik bezpośrednio związany z pańskimi wrażeniami, z pańskimi pragnieniami, z pańskimi celami. Ma pan znowu emocje.

- Piękna mi emocja, szczotkowanie języka! Ale nie przypominam sobie, żebym to robił wcześniej.

- Dojdziemy do tego. Proszę mnie posłuchać, panie Bodoni, postaram się to wytłumaczyć, unikając trudnych słów. Wypadek wywarł bez wątpienia wpływ na niektóre obszary pańskiego mózgu. Choć codziennie pojawiają się nowe publikacje, wiedza lekarska na temat lokalizacji mózgowych wciąż jest niedostateczna. Dotyczy to szczególnie różnych form pamięci. Ośmielę się powiedzieć, że gdyby to, co pana spotkało, zdarzyło się za dziesięć lat, wiedzielibyśmy lepiej, co z panem robić. Proszę mi nie przerywać, już zrozumiałem: gdyby przytrafiło się to panu sto lat temu, byłby pan już w domu wariatów i koniec pieśni. Dziś wiemy więcej, ale nie dosyć. Gdyby na przykład nie mógł pan mówić, wiedziałbym od razu, którego obszaru to dotyczy...

- Ośrodka mowy Broki.

- Doskonale. Ale ośrodek mowy Broki jest znany już od stu lat, a o miejscu, gdzie mózg gromadzi wspomnienia, wciąż trwa dyskusja; z pewnością wchodzi w rachubę więcej niż jeden obszar. Nie chcę pana zanudzać terminami naukowymi, które zwiększyłyby tylko zamęt w pańskiej głowie. Wie pan, kiedy dentysta panu coś zrobi w zębie, przez

kilka dni dotyka pan tego zęba językiem; gdybym ja panu powiedział na przykład, że martwi mnie nie tyle pański hipokamp, ile pańskie płaty czołowe w ogóle, a zwłaszcza prawa strona płata czołowego pańskiej kory mózgowej, pan usiłowałby tam się dotknąć, a to trudniejsze niż badanie jamy ustnej językiem. Frustracja byłaby okropna. Proszę więc zapomnieć, co panu przed chwilą powiedziałem. Poza tym każdy mózg różni się od innych, a mózg w ogóle obdarzony jest niezwykłą plastycznością i może się zdarzyć, że po pewnym czasie potrafi powierzyć innemu obszarowi to, z czym obszar uszkodzony sobie nie radził. Rozumie pan, mówię wystarczająco jasno?

- Jaśniej nie można, proszę mówić dalej. Ale czy nie lepiej od razu powiedzieć, że jestem „pozbawionym pamięci z Collegno”?

- No proszę, przypomina pan sobie „pozbawionego pamięci z Collegno”, przypadek klasyczny, o którym głośno było kiedyś w całych Włoszech. Nie przypomina pan sobie tylko siebie, przypadku nieklasycznego.

- Wolałbym zapomnieć o Collegno i przypomnieć sobie, gdzie się urodziłem.

- To byłby casus rzadszy. Rozpoznał pan od razu tubkę pasty do zębów, ale nie pamięta pan, że jest żonaty; w istocie pamięć o dniu własnego ślubu i rozpoznanie pasty do zębów należą do dwóch różnych pól mózgowych. Mamy różne rodzaje pamięci. Jedną z nich to pamięć nieopisowa, która pozwala nam wykonywać bez wysiłku szereg wyuczonych czynności, jak mycie zębów, włączanie radia czy zawiązywanie krawata. Po doświadczeniu z zębami mógłbym się założyć, że umie pan pisać, a może nawet prowadzić samochód. Z tego, jak bardzo

nam pomaga pamięć nieopisowa, nie zdajemy sobie nawet sprawy, działamy automatycznie. Istnieje też pamięć opisowa, dzięki której pamiętamy i wiemy, że pamiętamy. Ta pamięć opisowa jest dwojaka. Jedna - nazywa się ją teraz chętnie semantyczną - to pamięć publiczna, za sprawą której wiemy, że jaskółka jest ptakiem, że ptaki latają i mają pióra, a ponadto że Napoleon umarł w roku... pan wie w którym. Sądzę, że tę pamięć ma pan w porządku... mój Boże, chyba nawet za bardzo, bo widzę, że wystarczy poddać panu słowo, a zaczyna pan łączyć ze sobą wspomnienia, które nazwałbym szkolnymi, lub recytować gotowe zdania. Ale ta pamięć jest pamięcią pierwszą, właściwą także dzieciom: dziecko uczy się szybko rozpoznawać samochód lub psa, budować schematy ogólne, dzięki czemu wystarczy, że raz zobaczy wilczura i że mu powiedzą, że to pies, aby widząc buldoga, także nazwało go psem. Dziecku potrzeba jednak więcej czasu na przyswojenie sobie pamięci opisowej drugiego rodzaju, którą nazwiemy epizodyczną lub autobiograficzną. Widząc na przykład psa, nie potrafi sobie ono od razu przypomnieć, że miesiąc wcześniej było w ogrodzie u babci i że widziało tam tego samego psa, a teraz widzi go po raz wtóry. To dzięki pamięci epizodycznej powstaje związek między tym, czym jesteśmy dzisiaj, a tym, czym byliśmy, bez którego, mówiąc jfcz, odnosimy się jedynie do tego, co czujemy teraz, a nie do tego, co czuliśmy wcześniej i co właśnie gubi się we mgle. Pan nie stracił pamięci semantycznej; stracił pan pamięć epizodyczną, dotyczącą epizodów z pańskiego życia. Reasumując, powiedziałbym, że wie pan wszystko to, co wiedzą także inni; myślę, że gdybym pana zapytał, jak się nazywa stolica Japonii...

- Tokio. Bomba atomowa na Hiroszimę. Generał Mac-Arthur...

- Starczy, starczy. To jakby pan pamiętał wszystko, czego się uczymy, bo przeczytał pan gdzieś o tym albo usłyszał, a nie pamiętał tego, co dotyczy pańskich osobistych doświadczeń. Wie pan, że Napoleon przegrał pod Waterloo, ale proszę mi powiedzieć, czy pamięta pan własną matkę.

- Matkę ma się tylko jedną. Matka to zawsze matka. Mojej mamy nie pamiętam. Myślę, że miałem matkę, bo wiem, że takie jest prawo natury, ale... no właśnie... nadeszła mgła. Źle się czuję, panie doktorze. To straszne. Proszę mi dać coś na sen.

- Zaraz panu coś dam, już dosyć pana wymęczyłem. Proszę wygodnie się położyć, o tak... Powtarzam: zdarza się, ale wyzdrowieć można. Potrzeba wiele cierpliwości. Zaraz przyniosą panu coś do picia, na przykład herbatę. Lubi pan herbatę?

- Może tak, może nie - odpowiedziałem tytułem powieści D'Annunzia.

Przyniesiono mi herbatę. Przy pomocy pielęgniarki usiadłem oparty o poduszki, przede mną ustawiono stolik. Pielęgniarka nalała mi dymiącej wody do filiżanki z torebką w środku. Proszę powoli, powiedziała, bo parzy. Powoli, ale jak? Powąchałem filiżankę i poczułem zapach dymu - tak mi się przynajmniej wydało. Chciałem spróbować smaku herbaty: chwyciłem filiżankę i łyknąłem. Coś straszego! Ogień, płomień, cios pięścią w usta. A więc taka jest wrząca herbata! Tak samo musi być z kawą i z rumiankiem, o których wszyscy mówią. Teraz wiem, co znaczy się sparzyć. Wszyscy wiedzą, że nie wolno dotykać ognia, ale ja nie wiedziałem, w jakiej chwili można dotknąć gorącej wody. Muszę nauczyć się rozpoznawać granicę, chwilę dzielącą to, czego wcześniej nie można,

od tego, co później można. Machinalnie podmuchałem na plyn, zamieszałem go łyżeczką; wreszcie zdecydowałem, że mogę spróbować znowu. Herbata była teraz letnia i nadawała się do picia. Nie potrafiłem rozróżnić, co jest smakiem herbaty, a co cukru. Jeden z nich powinien być cierpki, a drugi słodki. Ale który jest słodki, a który cierpki? W każdym razie w połączeniu mi odpowiadały. Będę zawsze pijał herbatę z cukrem. Ale nie wrzącą.

Po wypiciu herbaty poczułem się uspokojony i zrelaksowany. Zasnąłem.

Obudziłem się znowu. Może dlatego, że we śnie drapałem sobie pachwiny i mosznę. Spociłem się pod kołdrą. Pachwiny są wilgotne; jeśli przesuwac po nich dłońmi zbyt energicznie, po pierwszym, bardzo przyjemnym uczuciu następuje inne - nieprzyjemnego tarcia. O wiele lepiej jest z moszną. Dotyka się jej palcami, powiedziałbym, delikatnie, nie uciskając jąder. Czuć wtedy coś ziarnistego, lekko włochatego. Miło jest drapać się w mosznę: swędzenie nie przechodzi od razu, staje się nawet silniejsze i z tym większą przyjemnością człowiek drapie się dalej. Przyjemność to ustanie bólu, ale swędzenie nie jest bólem, jest zachętą do sprawiania sobie przyjemności. Łaskotanie zmysłów. Oddając się mu, popełniasz grzech. Młodzieniec roztropny zasypia na wznak, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, aby nie popełniać czynów nieczystych we śnie. Dziwna sprawa z tym swędzeniem. A moje jaja... Ale jaja! Chłop z jajami.

Otworzyłem oczy. Przede mną stała pani niezbyt młoda, chyba ponadpięćdziesięcioletnia, z drobnymi zmarszczkami wokół oczu, ale o jasnej, świeżej jeszcze twarzy. We włosach kilka białych pasemek prawie niedostrzegalnych, jakby rozjaśnionych umyślnie, przez kokieterię; można

by sądzić, że chciała przez to powiedzieć: nie zamierzam udawać panienki, ale na starą nie wyglądam. Była ładna, a w młodości musiała być bardzo ładna. Gładziła mnie po głowie.

- Jambo - powiedziała.

- Kto to taki, proszę pani?

- Ty jesteś Jambo, wszyscy tak ciebie nazywają. A ja jestem Paola, twoja żona. Nie poznajesz mnie?

- Nie, proszę pani. O, przepraszam, nie, Paolo; bardzo mi przykro, lekarz ci chyba wytłumaczył.

- Wytłumaczył. Nie wiesz, co zdarzyło się tobie, ale wiesz doskonale, co zdarzyło się innym. Ponieważ ja należę do twojej historii osobistej, nie pamiętasz, że jesteśmy małżeństwem od ponad trzydziestu lat. Mój Jambo! Mamy dwie córki, Carlę i Nicolettę, oraz trzech wspaniałych wnuczków. Carla wyszła wcześniej za mąż i ma dwoje dzieci, pięcioletniego Sandra i trzyletniego Lukę. Giangio - Giangiacomo - syn Nicoletty, ma też trzy latka. Mówiłeś o nich: kuzynkowie bliźniaczy. A ty byłeś... jesteś... będziesz jeszcze cudownym dziadkiem. Byłeś też dobrym ojcem.

- No a... byłem też dobrym mężem? Paola podniosła oczy ku niebu.

- Przecież tu jeszcze razem jesteśmy, prawda? Powiedzmy, że w ciągu trzydziestu lat trafiały się lepsze i gorsze chwile. Wszyscy uważali cię zawsze za bardzo przystojnego mężczyznę...

- Dziś rano, a może wczoraj albo dziesięć lat temu, zobaczyłem w lustrze twarz potwora.

- Po tym, co ci się zdarzyło, to jeszcze niewiele. Ale byłeś i jesteś nadal przystojny, masz nieodparty uśmiech i niejedna ci się nie oparła. Z tobą było podobnie: zawsze mówiłeś, że można oprzeć się wszystkiemu z

wyjątkiem pokus.

- Proszę o wybaczenie.

- No tak, zupełnie jak ci, co wystrzelili na Bagdad „inteligentne” rakiety, a potem przepraszaali, że zginęło trochę cywilów.

- Rakiety na Bagdad? Nie ma o tym mowy w Tysiącu i jednej nocy.

- Była wojna, wojna w Zatoce, teraz się skończyła, a może i nie. Irak napadł na Kuwejt, interweniowały państwa zachodnie. Niczego nie pamiętasz?

- Lekarz powiedział, że pamięć epizodyczna - ta, która u mnie chyba się zacięła - jest związana z emocjami. Może rakiety na Bagdad były dla mnie przyczyną wzruszeń.

- Jeszcze jak! Byłeś zawsze zdecydowanym pacyfistą, ta wojna wywołała u ciebie silny kryzys. Prawie dwieście lat temu Maine de Biran rozróżniał trzy typy pamięci, dotyczące myśli, uczuć i przyzwyczajień. Ty pamiętasz myśli i przyzwyczajenia, ale nie uczucia, które są przecież najbardziej osobiste.

- Skąd ty wiesz o takich pięknych rzeczach?

- Jestem z zawodu psychologiem. Ale poczekaj: powiedziałaś przed chwilą, że twoja pamięć epizodyczna się zacięła. Dlaczego użyłaś tego wyrażenia?

- Tak się mówi.

- Zgoda, ale zacinają się automatyczne bilardy, a ty uwielbiasz... uwielbiałaś się nimi bawić, całkiem jak dziecko.

- Wiem, co to automatyczny bilard. Ale nie wiem, kim ja jestem, rozumiesz? W dolinie Padu jest mgła, powtarzają meteorolodzy. A propos, gdzie my jesteśmy?

- W dolinie Padu. Mieszkamy w Mediolanie. W miesiącach zimowych z naszych okien widać mgłę w parku. Mieszkasz w Mediolanie i jesteś antykwariuszem, masz gabinet starodruków.

- Klątwa faraona. Jeśli nazywam się Bodoni, a na chrzcie dano mi imię Giambattista, musiało tak się skończyć.

- Dobrze się skończyło. W zawodzie sobie radzisz. Nie jesteśmy milionerami, ale żyjemy wygodnie. Pomogę ci, powoli wrócisz do siebie. Mój Boże, kiedy o tym pomyślę! Przecież mogłeś się już nie obudzić. Ci lekarze okazali się bardzo sprawni, złapali cię w samą porę. Kochany mój, trzeba ci pogratulować! Patrzysz na mnie, jakbyś mnie widział po raz pierwszy. No dobrze, gdybym ja cię teraz pierwszy raz spotkała, wyszłabym za ciebie ponownie. Zadowolony?

- Jesteś przemiła. Potrzebuję cię. Jesteś jedyną osobą, która może mi opowiedzieć ostatnie trzydzieści lat mojego życia.

- Trzydzieści pięć. Spotkaliśmy się na uniwersytecie w Turynie. Ty byłeś już prawie magistrem, a ja, tuż po przyjęciu na studia, błąkałam się po korytarzach pałacu Campana. Spytałam cię o pewną salę wykładową, a ty natychmiast mnie poderwałeś, uwiodłeś bezbronną licealistkę. Różnie się później układało. Ja byłam za młoda, ty wyjechałeś na trzy lata za granicę. Potem zamieszkaliśmy razem, mówiąc, że to na próbę. Wreszcie zaszłam w ciążę i pobraliśmy się, ponieważ byłeś dżentelmenem. Nie, przepraszam, także dlatego, że kochaliśmy się naprawdę, a ty chciałeś zostać ojcem. Odwagi, tatusiu, wszystko ci przypomnę. Zobaczysz.

- Chyba że chodzi tu o spisek, a ja w rzeczywistości nazywam się Felek Wytrych i jestem włamywaczem, któremu ty i Gratarolo opowiadacie bujdy. Może należycie do służb specjalnych i chcecie

stworzyć mi legendę, żeby wysłać mnie jako szpiega za mur berliński, The Spy Who Came in from the Cold...

- Nie ma już muru berlińskiego, zburzono go, a imperium sowieckie się rozsypuje...

- Jezu mój, popatrz z góry przez chwilę i zobacz, co ci ludzie wyprawiają. Dobrze, żartowałem, ufam wam. Co to są twarożki Broglia?

- Co takiego? Twarożek to miękki ser, w Piemencie nazywają go stracchino, a tu, w Mediolanie, crescenza. Dlaczego mówisz o twarożku?

- Bo wyciskałem z tubki pastę do zębów. Poczekaj. Był raz malarz nazwiskiem Broglio. Nie mógł się utrzymać z malowania obrazów, ale podjąć innej pracy nie chciał, ponieważ, jak mówił, cierpiał na neurastenię. Zdaje się, że był to pretekst, by utrzymywała go siostra. W końcu znajomi znaleźli mu posadę w firmie wyrabiającej i sprzedającej sery. Kiedy przechodził obok wielkiego stosu twarożków stracchino, poowijanych w półprzezroczysty nieprzemakalny papier, nie mógł oprzeć się pokusie z powodu, jak mówił, neurastenii. Brał twarożki po kolei i - chlup! - wyciskał je z opakowania. Po zniszczeniu setki twarożków został zwolniony z pracy. Wszystko przez tę neurastenię, mówił, bo dla niego wyciskanie twarożków było prawdziwą rozkoszą. Mój Boże, Paolo, przecież to wspomnienie z dzieciństwa! Czyż nie straciłem pamięci o moich doświadczeniach z przeszłości? Paola wybuchnęła śmiechem.

- Teraz sobie przypominam, wybacz. Tak, tę historyjkę musiałeś usłyszeć jako dziecko. Ale często ją opowiadałeś, należała, że tak powiem, do twojego repertuaru. Zawsze rozweselałeś nią przy stole naszych gości, a oni puszczali w obieg to opowiadanie o twarożkach malarza. Nie przypominasz więc sobie, niestety, swojego własnego doświadczenia,

tylko historyjkę, którą wiele razy powtarzałeś i która stała się dla ciebie... jak by to powiedzieć... dobrem ogólnym, jak bajka o Czerwonym Kapturku.

- Już stajesz mi się niezbędna. Cieszę się, że jesteś moją żoną. Dziękuję, że istniejesz, Paolo.

- Mój Boże, jeszcze miesiąc temu powiedziałabyś, że to wyrażenie kiczowate, z telenoweli...

- Wybacz mi. Nie umiem powiedzieć niczego, co płynie z serca. Nie mam uczuć, znam tylko pamiętne zdania.

- Biedny mój skarbie.

- To też wygląda mi na gotowe zdanie.

- Gówniarzu!

Ta Paola naprawdę mnie kocha.

Noc przebiegła spokojnie; kto wie, co Gratarolo mi wstrzyknął. Budziłem się stopniowo. Musiałem mieć jeszcze zamknięte oczy, bo usłyszałem Paolę mówiącą szeptem w obawie, że mnie zbudzi.

- A nie mogłaby to być amnezja psychogenna?

- Nie da się tego wykluczyć - odpowiedział Gratarolo. - Przyczyną w takich przypadkach zawsze mogą być nieuchwytnie napięcia. Ale widziała pani historię choroby. Obrażenia istnieją.

Otworzyłem oczy i powiedziałem „dzień dobry”. Były z nimi też dwie kobiety i troje dzieci; nigdy ich przedtem nie widziałem, ale domyśliłem się, kim są. To było straszne. Ujdzie w ostateczności nie rozpoznać żony, ale córek! Boże, przecież to krew z mojej krwi, a wnuczeta jeszcze bardziej! Obu dziewczynom oczy błyszczały z radości, dzieci chciały wejść na łóżko, brały mnie za rękę i mówiły „cześć,

dziadku”, a ja nic. Nie była to nawet mgła, tylko... jak by to powiedzieć... apatia. A może się mówi: ataraksja? Patrzyłem na nich jak na zwierzęta w ogrodzie zoologicznym; mogły to równie dobrze być małpki albo żyrafy. Uśmiechałem się oczywiście i mówiłem miłe słowa, ale wewnątrz byłem pusty. Przychodził mi na myśl przymiotnik sgurato, ale nie wiedziałem, co oznacza. Zapytałem Paoli. To termin piemoncki, odnosi się do dokładnie wymytego rondla, który szoruje się potem wewnątrz rodzajem metalowej gąbki, dopóki nie wygląda jak nowy, lśni jak lustro, jest najczystszy w świecie. No właśnie, czułem się całkowicie sgurato. Gratarolo, Paola i dziewczyny wciskali mi do głowy tysiące szczegółów z mojego życia, ale były one dla mnie jak sucha fasola, która wpada do garnka i pozostaje surowa, nie rozpuszcza się w żadnym rosale ani w żadnym sosie, nie wzbudza apetytu, nie zachęca do skosztowania. Dowiadywałem się o tym, co mnie spotkało, tak, jakby zdarzyło się to komuś innemu.

Głaskałem dzieci i czułem ich zapach, nie mogłem go jednak określić; zauważyłem tylko, że jest bardzo delikatny. Pomyślałem, że według Baudelaire’a są aromaty świeże jak ciała dziecinne. Moja głowa nie była pusta, kłębiły się w niej cudze wspomnienia, urywki zdań i formułki: markiza wyszła z domu o piątej w życia wędrownice, na połowie czasu, Ernesto Sâbato i dziewczę nadchodzą ze wsi, Abraham spłodził Izaaka, Izaak spłodził Jakuba, Jakub spłodził Judasza oraz Rocca i jego braci, zegar na dzwonnicy wybił północ i wtedy zobaczyłem Wahadło, na odgałęzieniu jeziora Como śpią ptaki o długich skrzydłach, Messieurs les Anglais, je me suis couché de bonne heure, panowie Anglicy, kładłem się spać wcześniej, tu tworzy się Italię albo zabija się człowieka martwego, tu quoque alea, ty także, kości, uciekający żołnierzu, ciesz się, jeśli

popadniesz w niewolę, bracia Włosi, jeszcze jeden wysiłek, pług żłobiący
bruzdę przyda się następnym razem, Italia powstała, ale się nie poddaje,
będziemy walczyli w cieniu i szybko zapada wieczór, trzy kobiety wokół
mojego serca bez wiatru, nieświadomy oszczep barbarzyńcy, do którego
wyciągałeś dziecięcą rękę, nie prosz o głos oszalały od światła, od Alp po
piramidy poszedł na

wojnę i włożył hełm, świeże moje słowa wieczorem przez tych kilka
pospolitych żarcików, zawsze wolna na złocistych skrzydłach, żegnajcie,
góry wyłaniające się z wód, ale nazywam się Łucja, o Walentynie,
Walentynie szpakowaty, Gwidonie, chciałbym, żeby niebo straciło barwę,
poznałem drzenie, oręż i miłość, gdzie gołębie w ciszy spacerują, świeża i
jasna jest noc i kapitan, rozświeceni, o dobrej woli, choć słowa są
próżne, widziałem ich w Pontydzie, jest wrzesień, jedźmy tam, gdzie
cytryna dojrzewa, tu rozpoczyna się przygoda Achillesa, syna Peleusa,
opalenizno księżycowa, powiedz mi, co robisz, na początku Ziemia była
jakby nieruchoma, Licht mehr, Licht über allés, światła, więcej światła
ponad wszystko, hrabino, czymże jest życie, aa, kotki dwa. I nazwiska,
nazwiska, nazwy. Angelo Dall'Oca Bianca, lord Brummell, Pindar,
Flaubert, Disraeli, Remigio Zena, Jura, Fattori, Straparolai noce rozkoszy,
pani Pompadour, Smith and Wesson, Róża Luksemburg, Zeno Cosini,
Palma Starszy, Archeopteryks, Ciceruacchio trybun ludowy, Mateusz
Marek Łukasz Jan, Pinokio, Justyna, Maria Goretti, kurwa Taida o
gównianych palcach, Osteopo-roza, Saint Honoré, Bakta Ekbatana
Persepolis Suza Arbela, Aleksander i węzeł gordyjski.

Encyklopedia waliła się na mnie rozsypanymi kartkami, miałem
ochotę machać rękoma, jakbym znalazł się wśród roju pszczół.

Tymczasem dzieciaki mówiły do mnie „dziadku”, wiedziałem, że powinienem kochać je bardziej niż siebie samego, ale nie wiedziałem, którego nazwać Giangiem, którego Sandrem, a którego Luką. Wiedziałem wszystko o Aleksandrze Wielkim, a nic o moim małym Sandrze.

Powiedziałem, że czuję się słaby i chcę spać. Wyszli, a ja zapłakałem. Łzy są słone. A więc miałem jeszcze uczucia. Tak, ale bardzo świeże. Te sprzed lat nie były już moje. Kto wie, pomyślałem, czy byłem kiedykolwiek religijny? Jakkolwiek by było, z pewnością straciłem duszę.

Następnego ranka, w obecności Paoli, Gratarolo posadził mnie przy stoliku i pokazał szereg kolorowych kwadracików; było ich bardzo dużo. Podawał mi je po kolei, pytając, jakiego są koloru. Dzyń-dzyń-dzyń, czerwony buciku, dzyń-dzyń-dzyń, dzwonniku, co to za kolor? Groszkowy, cyklamenowy, wychodź, garybaldczyku! - śpiewają dzieci. Rozpoznałem bez wahania pierwsze pięć czy sześć barw, czerwoną, żółtą, zieloną i tak dalej. Oczywiście powiedziałem za Rimbau-dem: A noir, E blanc, I rouge, U vert, O bleu, voyelles, I je dirais quelque jour vos naissances latentes, A czerń, E biel, I czerwień, U zieleń, O błękity, / Tajony wasz rodowód któregoś dnia ustalę... lecz zauważyłem, że poeta - lub ten, kto go natchnął - nie mówi prawdy. Co to ma znaczyć, że A jest czernią? Wydawało mi się, że po raz pierwszy odkrywam kolory: czerwony jest bardzo wesoły, czerwony jak ogień, nawet zbyt mocny, no, może mocniejszy jest żółty, jak światło nagle zapalone przed oczyma. Zielony dawał mi uczucie spokoju. Kolejne kwadraciki stanowiły już problem. Co to jest? Zieleń, powiedziałem, ale Gratarolo nalegał: jaki rodzaj zieleni, czym różni się od tego poprzedniego? Bądź tu mądry. Paola tłumaczyła mi, że ten pierwszy to zieleń malwowa, a ten drugi - zieleń

groszkowa. Malwa to ziele, powiedziałem, a groszek to warzywo jadalne, okrągłe ziarna w długim, guzowatym strąku; nigdy jednak nie widziałem ani malwy, ani groszku. Proszę się nie przejmować, powiedział Gratarolo, w angielskim istnieje ponad trzy tysiące słów określających barwy, ale zazwyczaj ludzie potrafią wymieni ć najwyżej osiem. Na ogół rozpoznajemy kolory tęczy: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, indygo i fioletowy, choć nie rozróżniamy już dobrze indygo i fioletowego. Trzeba wiele doświadczenia, aby umieć rozróżniać i nazywać barwy; malarz potrafi to lepiej od, na przykład, taksówkarza, któremu wystarczy umiejętność rozpoznawania kolorów świateł ulicznych. Gratarolo dał mi papier i ołówek.

- Proszę pisać - powiedział.

Co mam pisać, u diabła? - napisałem. Wydawało mi się, że nigdy nie robiłem nic innego. Miękkie pióro biegło łatwo po papierze.

- Niech pan pisze, co panu przyjdzie na myśl - powiedział Gratarolo.

Na myśl? Napisałem: miłość wśród myśli moich rozgwarzona, miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy, gwiazdy, skryjcie światło, światło mojego życia, często ból życia spotykałem, ach, życie, ach, życie moje, ach, serce, ach, to serce, serce nie sługa, De Amicis, dagli amici mi guardi lddio, przed przyjaciółmi niech Bóg mnie strzeże, o Boże na niebie, gdybym był jaskółką, gdybym był ogniem, spaliłbym świat, żyć, spalając się, i nie czuć zła, kto nie czyni zła, nie zna strachu, strach to w senniku dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt, siedemdziesiąt, tysiąc osiemset sześćdziesiąt - data wyprawy tysiąca Garibaldiiego, tysiąc i nie tysiąc, dziwy roku dwutysięcznego, celem poety jest zadziwianie.

- Napisz coś o swoim życiu - powiedziała Paola. - Co robiłeś, jak

miałeś dwadzieścia lat?

Napisałem:

Miałem dwadzieścia lat. Nie pozwoliłbym nikomu powiedzieć, że to najpiękniejszy wiek w życiu.

Lekarz spytał mnie, jaka była moja pierwsza myśl po przebudzeniu.

Napisałem z Kafki:

Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka.

- Może wystarczy, panie doktorze - powiedziała Paola. - Proszę ograniczyć jego zamięłowanie do tych łańcuchów skojarzeń, bo mi zwariuje.

- A teraz wydaję się wam normalny? Prawie natychmiast Gratarolo zlecił:

- Proszę złożyć podpis, bez zastanowienia, jakby podpisywał pan czek.

Nie zastanawiając się, nakreśliłem „GBBodoni” z zakrętasem na końcu i okrągłą kropką nad literą „i”.

- Widzi pan? Pańska głowa nie wie, kim pan jest, a pańska ręka wie. Można to było przewidzieć. Zróbmy inną próbę. Mówił mi pan o Napoleonie. Jak on wyglądał?

- Nie udaje mi się wywołać jego obrazu. Wystarczy słowo.

Gratarolo spytał Paolę, czy umiałem rysować. Nie jestem, zdaje się, artystą, ale potrafię coś nabazgrać. Zlecił mi narysować Napoleona. Narysowałem coś takiego:

- Nieźle - skomentował Gratarolo. - Odtworzył pan swój schemat mentalny Napoleona: dwurożny kapelusz, ręka za pazuchą. Teraz pokażę panu serię obrazków. Seria pierwsza, dzieła sztuki.

Zareagowałem właściwie: Gioconda, Olimpia Maneta, a to Picasso albo ktoś, kto dobrze go naśladowuje.

- Wszystko pan rozpoznał. Przechodzimy do postaci współczesnych.

Druga seria fotografii. Także i teraz odpowiedziałem zadowolająco, tylko kilka twarzy nic mi nie mówiło. Greta Garbo, Einstein, Totô, Kennedy, Moravia. Wiedziałem też, czym się zajmowali. Gratarolo zapytał, co mają ze sobą wspólnego. Są sławni? Nie, to nie wystarcza, chodzi o coś innego. Wahałem się.

- Wszyscy już nie żyją - powiedział Gratarolo.

- Jak to, także Kennedy i Moravia?

- Moravia zmarł w końcu zeszłego roku. Kennedy został zamordowany w Dallas w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim.

- Biedacy, przykro mi.

- To, że nie pamięta pan o śmierci Moravii, jest właściwie normalne; zmarł niedawno, widać nie zdążył pan jeszcze utrwalić tego faktu w swojej pamięci semantycznej. Nie rozumiem za to przypadku Kennedy'ego: to stare dzieje, wszystko jest w encyklopediach.

- Sprawa Kennedy'ego bardzo go poruszyła - powiedziała Paola. - Może Kennedy wtopił się w jego wspomnienia osobiste.

Gratarolo wyciągnął więcej fotografii. Na jednej z nich widać było dwie osoby. Z pewnością mnie, porządnie ubranego i uczesanego, z nieodpartym uśmiechem, o którym mówiła Paola; druga postać miała

sympatyczną twarz, ale nie wiedziałem, kim jest.

- To Gianni Laivelli, twój najlepszy przyjaciel - powiedziała Paola. - Siedzieliście w jednej ławce od szkoły podstawowej do liceum.

- A ci państwo kim są? - spytał Gratarolo, pokazując mi inne zdjęcie.

Była to stara fotografia. Pani miała uczesanie w stylu lat trzydziestych, białą suknię ze wstydlwym dekoltem, nos kartofelek, bardzo malutki; on z nienagannym przedziałkiem, we włosach chyba trochę brylantyny, nos wydatny, otwarty uśmiech. Nie rozpoznałem ich (artyści? nie, za mało glamour i zbyt skromne pozy; raczej nowożeńcy), ale poczułem coś w rodzaju lekkiego ucisku w dołku oraz... jak by to powiedzieć... łagodne omdlenie.

Paola to zauważyła:

- Jambo, to twój tatuś i twoja mama w dniu ślubu.

- Żyją jeszcze? - spytałem.

- Nie, zginęli już dawno temu w wypadku samochodowym.

- Wzruszył się pan, oglądając tę fotografię - powiedział Gratarolo. - Pewne obrazy coś w panu budzą. Tą drogą trzeba iść.

- Co to za droga! Nie jestem nawet zdolny wyłowić tatusia i mamusi z tej przeklętej czarnej dziury! - zawołałem. - Mówicie mi, że ta para to moja matka i mój ojciec, teraz to wiem, ale dzięki wam. Będę pamiętał to zdjęcie, nie ich.

- Kto wie, ile razy przez te ostatnie trzydzieści lat wspominał pan ich właśnie dlatego, że spoglądał pan na to zdjęcie. Proszę nie myśleć o pamięci jako o magazynie, w którym składowe pan wspomnienia, aby potem je wyławiać takie same, jak utrwalił je pan po raz pierwszy - powiedział Gratarolo. - Nie chciałbym zabrznieć zbyt uczenie, ale

wspomnienia to

konstrukcja nowego profilu podniety neuronowej. Załóżmy, że w pewnym miejscu miał pan przykre przeżycie. Kiedy później przypomina pan sobie to miejsce, uruchamia pan ten pierwszy model podniety neuronowej, z profilem podniety podobnym do tego, który wystąpił na początku, ale z nim nie tożsamym. Wspominając, dozna pan zatem uczucia zakłopotania. Wspominać znaczy więc rekonstruować, także na podstawie tego, czego dowiedzieliśmy się lub co powiedzieliśmy znacznie później. To normalne, tak właśnie sobie przypominamy. Mówię panu o tym, żeby pana zachęcić do reaktywowania określonych profili podniety, a zniechęcić do dokopywania się za każdym razem od nowa, z uporem maniaka, do czegoś, co już jest, świeże, takie samo jak to, co rzekomo odłożył pan sobie na bok za pierwszym razem. Obraz pańskich rodziców na tym zdjęciu jest taki, jakim pokazaliśmy go panu i jakim widzimy go my. Pan powinien wziąć ten obraz za punkt wyjściowy do zbudowania czegoś innego i dopiero to coś będzie wspomnieniem pańskim. Wspominanie to praca, nie zabawa.

- Ponure i trwałe wspomnienia - wyrecytowałem z Carda-rellego - ów tren śmierci, który ciągniemy za sobą za życia...

- Wspominanie jest też przyjemne - rzekł Gratarolo. - Ktoś powiedział, że wspomnienie działa jak soczewka skupiająca w ciemni. Koncentruje ona wszystko, a otrzymany w ten sposób obraz jest o wiele piękniejszy od oryginału.

- Chciałbym zapalić - powiedziałem.

- To znak, że pański organizm wraca do normy. Lepiej jednak, żeby pan nie palił. A po powrocie do domu ograniczamy spożycie alkoholu: nie

więcej niż kieliszek wina do posiłku. Inaczej jutro pana nie wypuszczę, ma pan kłopoty z ciśnieniem.

- Pan go wypuści? - spytała Paola, z lekka przestraszona.

- Nadeszła chwila podsumowania. Pani mąż, proszę pani, pod względem fizycznym wydaje się wystarczająco samodzielny. Po wyjściu ze szpitala nie spadnie ze schodów. Trzymając męża tutaj, dręczymy go łańcuchem testów, sztucznych doświadczeń, których wynik jest nam teraz z góry wiadomy. Myślę, że dobrze mu zrobi powrót do własnego środowiska. Niekiedy bardziej pomocne okazuje się skosztowanie dobrze

znanej potrawy, znajomy zapach czy coś w tym rodzaju. O tych sprawach literatura nauczyła nas więcej niż neurologia. Nie chciałem się mądrzyć, ale skoro pozostawała mi tylko ta przekłeta pamięć semantyczna, mógłbym jej przynajmniej używać.

- Magdalenka Prousta - powiedziałem więc. - Smak naparu lipowego i ciastka wprawia pisarza w drzenie, budzi w nim gwałtowną radość. Pojawia się obraz niedziel spędzonych w Combray z ciotką Leonią... Wydaje się jednak, że istnieje również jakaś mimowolna pamięć ciała... Nogi, ręce są pełne odretwiąłych wspomnień. A kim był ten drugi? Ach, Céline: Nic tak nie każe objawiać się wspomnieniom jak zapachy i płomień.

- Więc wie pan, o czym mówię. Nawet naukowcy wierzą czasem bardziej pisarzom niż swoim maszynom. A pani, proszę pani, jako psycholog jest właściwie moją koleżanką po fachu. Dam pani do przeczytania parę książek, kilka opisów słynnych przypadków klinicznych; zrozumie pani od razu problemy męża. Myślę, że przebywanie obok pani i córek, powrót do pracy przydadzą się mu bardziej

niż pobyt tutaj. Wystarczy, że wpadnie do mnie raz w tygodniu, będziemy śledzić postępy. Niech pan wraca do domu, panie Bodoni. Proszę rozglądać się wokoło, dotykać, wąchać, czytać gazety, oglądać telewizję, polować na obrazy.

- Spróbuję, ale nie pamiętam obrazów, zapachów i smaków. Pamiętam tylko słowa.

- Nie byłbym tego taki pewny. Proszę prowadzić dziennik swoich reakcji. Posłuży nam do pracy.

Zacząłem pisać dziennik.

Następnego dnia spakowałem się i wyszedłem z Paolą. W szpitalu musiała być klimatyzacja, bo pojąłem od razu - dopiero wtedy - czym jest ciepło słoneczne. Wiosenne słońce przygrzewało jeszcze niezbyt mocno. I światło - musiałem zmrużyć oczy. Nie można patrzeć w słońce. Valéry: soleil, soleil, faute éclatante, o słońce! wino jawna!...

Kiedy doszliśmy do samochodu (nigdy go jeszcze nie widziałem), Paola zaproponowała, żebym spróbował poprowadzić.

- Wsiadaj, wrzuc bieg na luz, zapal silnik. Naciśnij gaz, nadal z biegiem na luzie.

Wiedziałem od razu, co robić z rękami i nogami, jakbym nigdy niczym innym się nie zajmował. Paola usiadła obok mnie i poleciła mi włączyć pierwszy bieg, zdjąć nogę ze sprzęgła, leciutko nacisnąć pedał gazu - tak żeby przejechać tylko metr lub dwa - potem zahamować i zgasić silnik. Gdybym się pomylił, wjechałbym najwyżej w ogrodowe krzaki. Poszło dobrze. Byłem bardzo dumny. Z własnej inicjatywy przejechałem jeszcze metr na tylnym biegu. Potem wysiadłem, oddając kierownicę Paoli. Ruszyliśmy.

- Jak ci się podoba świat? - zapytała Paola.

- Nie wiem. Mówią, że koty, jeśli spadną z okna na nos, nie czują zapachów, a ponieważ kierują się węchem, tracą zdolność rozpoznawania rzeczy. Jestem kotem, który spadł na nos. Widzę rzeczy, rozumiem, o co chodzi - o, proszę, tam są sklepy, tędy jedzie ktoś na rowerze, widać drzewa, ale nie... nie czuję tego wszystkiego, nie odbieram tego jako mojego otoczenia. To tak, jakbym usiłował włożyć cudzą marynarkę.

- Kot usiłujący nosem włożyć marynarkę. Z przerośniami jeszcze u ciebie nietęgo. Trzeba będzie porozmawiać z Gra-tarolem. Ale to minie, zobaczysz.

Samochód jechał dalej. Rozglądałem się wokoło, odkrywając barwy i kształty nieznanego mi miasta.

2. SZELEST LIŚCI

- Dokąd teraz jedziemy, Paolo?

- Do domu, do naszego domu.

- A potem?

- Potem wejdziemy do środka, a ty się rozgościsz.

- A potem?

- Weźmiesz prysznic, ogolisz się, ubierzesz przyzwoicie. Potem coś zjemy, a potem... co chciałbyś robić?

- Tego właśnie nie wiem. Pamiętam wszystko, co się stało po moim przebudzeniu, wiem wszystko o Juliuszu Cezarze, ale nie udaje mi się myśleć o tym, co będzie później. Do dziś rana troszczyłem się nie o to, co później, tylko raczej o to, co wcześniej, czego nie mogłem sobie przypomnieć. Teraz, kiedy zmierzamy do... w stronę czegoś, widzę mgłę także przed sobą, nie tylko za sobą. Nie, to nie mgła przede mną, to tak, jakbym miał nogi z waty i nie mógł iść. Jakbym skakał.

- Skakał?

- Tak. Żeby skoczyć, musisz rzucić się do przodu, ale żeby to zrobić, musisz wziąć rozbieg, a więc cofnąć się. Jeśli się nie cofniesz, nie pójdziesz do przodu. No właśnie, mam wrażenie, że aby powiedzieć, co zrobię później, powinienem wiedzieć dużo o tym, co robiłem dawniej. Przygotowujemy się do robienia czegoś, żeby zmienić to, co było przedtem. Jeśli ty mi mówisz, że mam się ogolić, to ja wiem dlaczego: przejeżdżam ręką po podbródku, czuję, że jest szorstki, muszę pozbyć się tej szczeciny. Tak samo, kiedy mi mówisz, że mam jeść: pamiętam, że ostatni raz jadłem wczoraj wieczorem - bulion, szynkę i gotowaną gruszkę.

Ale co innego powiedzieć, że się ogolę i coś zjem, a co innego, że zrobię coś później, to jest na dłuższą metę. Nie pojmuję, co znaczy na dłuższą metę, bo brakuje mi czegoś na dłuższą metę z lat ubiegłych. Czy to jasne?

- Chcesz mi powiedzieć, że nie żyjesz już w czasie. Jesteśmy czasem, w którym żyjemy. Podobały ci się bardzo stronicie świętego Augustyna o czasie. Zawsze mówiłeś, że to człowiek najinteligentniejszy ze wszystkich, jacy kiedykolwiek żyli. I rzeczywiście my, dzisiejsi psychologowie, wiele się jeszcze od niego uczymy. Ludzie żyją w trzech chwilach: oczekiwania, uwagi i pamięci. Żadna z nich nie może się obyć bez pozostałych. Nie udaje ci się dążyć do przyszłości, ponieważ straciłeś swoją przeszłość. Wiedza o tym, co zrobił Juliusz Cezar, nie jest pomocna, aby wiedzieć, co masz zrobić ty.

Paola zauważyła, że zaciskam szczęki. Zmieniła temat.

- Czy rozpoznajesz Mediolan?

- Nigdy go przedtem nie widziałem. - Ale kiedy dojechaliśmy do jakiegoś placu, powiedziałem: - Zamek Sforzów. No i katedra. I Ostatnia Wieczerza, no i jeszcze pinakoteka Brera.

- A Wenecja?

- W Wenecji jest Wielki Kanał, most Rialto, Bazylika Świętego Marka i gondole. Wiem wszystko, o czym piszą w przewodnikach. Może nigdy nie byłem w Wenecji, w Mediolanie mieszkam od trzydziestu lat, a mimo to Mediolan jest dla mnie jak Wenecja. Albo jak Wiedeń: Kunsthistorisches Musäum, film Trzeci człowiek, Harry Lime na Wielkim Kole w Praterze mówi, że Szwajcarzy wynaleźli zegar z kukułką. Ale kłamie, bo zrobili to Bawarczycy.

Weszliśmy do domu. Piękne mieszkanie, balkony od strony parku.

Zobaczyłem naprawdę morze drzew. Przyroda jest piękna, tak jak się mówi. Antyczne meble - widocznie jestem zamożny. Nie wiem, jak się poruszać, gdzie salon, gdzie kuchnia. Paola przedstawia mi Anitę, naszą peruwiańską pomoc domową. Ta biedaczka nie wie, czy radośnie mnie witać, czy też traktować jak gościa. Biega tam i z powrotem, pokazuje mi drzwi do łazienki, powtarza:

- Pobrecito el señor Yambo, ay Jesusmaria, biedny pan Jambo, Jezus Maria. Tu są czyste ręczniki, panie Jambo.

Po emocjach wywołanych opuszczeniem szpitala, pierwszym zetknięciem ze słońcem i przejazdem przez miasto czułem się spocony. Palcami dotknąłem się pod pachami. Zapach mojego potu mi nie przeszkadzał; nie był chyba zbyt silny, lecz sprawiał, że czułem się żywym stworzeniem. Na trzy dni przed powrotem do Paryża Napoleon zawiadamiał Józefinę, że ma się nie myć. A ja myłem się przed stosunkiem? Nie ośmielę się spytać o to Paoli, a poza tym - kto wie - może z nią tak, a z innymi nie, albo i na odwrót. Wziąłem długi prysznic, namydliłem sobie twarz i dokładnie się ogoliłem - w łazience był płyn po goleniu o lekkim, świeżym zapachu - wreszcie uczesałem się. Wyglądam już bardziej po ludzku. Paola zaprowadziła mnie do szaf na ubrania: lubię najwidoczniej sztruksowe spodnie, marynarki nieco szorstkie, wełniane krawaty w bladych kolorach (malwa, groszek, szmaragd? - znam nazwy, ale nie wiem jeszcze, jak je stosować), koszule w kratkę. Zdaje się, że mam także ciemny garnitur na śluby i pogrzeby.

- Jesteś piękny jak dawniej - powiedziała Paola, kiedy zobaczyła mnie ubranego z niedbałą elegancją.

Poprowadziła mnie długim korytarzem o ścianach zabudowanych

półkami pełnymi książek. Patrzyłem na grzbiety i większość rozpoznawałem. To znaczy rozpoznawałem tytuły. Narzeczem, Orland szalony, Buszujący w zbożu... Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że znajduję się w miejscu, gdzie jest mi dobrze. Wyciągnąłem jeden tom i - nie patrząc jeszcze na okładkę - wziąłem go w prawą rękę za grzbiet, a kciukiem lewej przebiegłem po kartkach, z lekka je odchylając. Podobał mi się dźwięk, jaki wydawały. Powtórzyłem czynność wielokrotnie i spytałem Paolę, czy nie powinienem zobaczyć piłkarza strzelającego do bramki. Paola roześmiała się. Były, zdaje się, takie książeczki w czasach naszego dzieciństwa, rodzaj kina dla ubogich: piłkarz zmieniał pozycję na każdej stronie; przeglądając strony szybko, widziało się go w ruchu, Upewniłem się, że wszyscy o tym wiedzieli; nie było to więc wspomnienie, tylko wiedza. Książką, którą trzymałem w ręce, był Ojciec Goriot Balzaka. Nie otwierając tomu, powiedziałem:

- Tatuś Goriot poświęcił się dla córek, jedna z nich nazywała się chyba Delfina, występują też Vautrin, czyli Collin, i ambitny Rastignac rzucający Paryżowi wyzwanie: Teraz się spróbujemy! Dużo czytałem?

- Jesteś niestrudzonym czytelnikiem o wybornej pamięci. Umiesz na pamięć masę wierszy.

- Pisałem?

- Nic własnego. Jestem jałowym geniuszem, mawiałeś, na tym świecie albo się czyta, albo się pisze, pisarze piszą z pogardy dla kolegów, żeby od czasu do czasu mieć coś dobrego do przeczytania.

- Mam tyle książek. Wybacz, mamy.

- Tutaj jest ich chyba pięć tysięcy. Zawsze trafia się jakiś dureń, co wchodząc, mówi: „Ile ma pan książek! Wszystkie je pan przeczytał?”

- A co ja na to?

- Zwykle odpowiadasz: „Nie przeczytałem żadnej, inaczej po co bym je tu trzymał, pan przechowuje może opróżnione puszkę po konserwach? A te pięćdziesiąt tysięcy, które już przeczytałem, ofiarowałem bibliotekom więziennym i szpitalnym”. Wtedy dureń chwieje się na nogach.

- Widzę wiele książek obcojęzycznych. Zdaje mi się, że znam kilka języków.

Wiersze same cisnęły mi się na usta: Le brouillard indolent de l'automne est épars... Gnuśna mgła jesienna się rozpościera... Unreal City I Under the brownfog of a winter dawn / A crowd flowed over London Bridge, so many, I had not thought death had undone so many... Nierzeczywiste Miasto / Pod mgłą brunatną zimowego świtu / Tłum płynął po Moście Londyńskim, tak wielu / Nie myślałem, że śmierć zniszczyła tak wielu... Spätherbstnebel, kalte Traume, / überflogen Berg und Tal, I Sturm entblühtert schon die Baume, / und sie schau'n gespenstlich kahl... Dni ostatnich mgły jesienne / Pozrywały róż bukiety. / Drzew gałęzie sterczą nagie / Jak odarte z ciał szkielety... Pero el doctor no sabía, terminé, que hoy siempre todavía... Aie doktor nie wiedział, / że dziś jest zawsze, mimo wszystko...

- Ciekawe, na cztery wiersze trzy mówią o mgle.

- Wiesz, że czuję się jak we mgle. Nie mogę jednak jej dojrzeć. Wiem, jak widzieli ją inni. Na przykład Sereni: Jaśnieje na zakręcie przemijające słońce, krzak mimozy w mlecznobiałej mgle.

- Byłeś zauroczony mgłą. Mówiłeś, że urodziłeś się w niej. Kiedy napotykałeś w czytanej książce opis mgły, zaznaczałeś to na marginesie. Potem robiłeś kserokopie w biurze. Myślę, że znajdziesz tam swoją

„teczkę mgły”. No i wystarczy poczekać, mgła powróci, choć już nie ta sprzed lat. W Mediolanie jest zbyt wiele światła, zbyt wiele okien wystawowych oświetlonych wieczorem; mgła ślizga się po murach.

- Żółta mgła, co pociera grzbiet o szyby okien, / Żółty dym, co pociera swój pysk o szyby okien, / Wpełza językiem w zaułki wieczoru, I Liczy kałuże, co w rynsztokach stoją, I Zbiera na grzbiet sadzę proszącą z kominów, I... I Zwija się wokół domów i zasypia.

- Ten cytat ja też znam, to z Prufrocka Eliota. Uskarżałeś się, że nie ma już mgieł takich jak w twoim dzieciństwie.

- W moim dzieciństwie. Czy trzymam gdzieś książki z czasów, kiedy byłem dzieckiem?

- Nie tu. Chyba w Solarze, w naszym domu na wsi.

Poznałem więc historię domu w Solarze i dzieje mojej rodziny. Urodziłem się właśnie tam, przez pomyłkę, podczas ferii bożonarodzeniowych 1931 roku. Jak Dzieciątko Jezus. Dziadkowie ze strony matki zmarli przed moimi narodzinami, babka ze strony ojca zmarła, kiedy miałem pięć lat. Pozostawał ojciec mojego ojca, a my byliśmy wszystkim, co pozostawało jemu. Dziadek był osobliwą postacią. W swoim rodzinnym mieście miał sklep, rodzaj składnicy starych książek. Nie były to książki cenne, o wartości antykwarycznej, jak te, którymi ja obracam, lecz po prostu książki używane oraz wiele publikacji dziewiętnastowiecznych. Lubił podróżować i często wyjeżdżał za granicę. W tamtych czasach zagranica to było Lugano, a w najlepszym wypadku Paryż lub Monachium. Tam skupował rzeczy od bukinistów - nie tylko książki, lecz także plakaty filmowe, kolorowe obrazki, pocztówki, stare czasopisma. Nie było wtedy jeszcze tych wszystkich kolekcjonerów

tęsknot, mówiła Paola, co dzisiaj. Dziadek miał jednak trochę wiernych klientów, a może zbierał dla własnej przyjemności. Nie zarabiał dużo, ale dostarczało mu to rozrywki. Na początku lat dwudziestych odziedziczył po swoim stryju dom w Solarze. Dom olbrzymi, żebyś ty wiedział, Jambo - same strychy wyglądają jak groty w Postojnie. Wokół było wiele gruntu oddanego w dzierżawę, dziadek miał z tego dosyć, aby żyć, nie troszcząc się zanadto o sprzedaż książek.

Tam właśnie spędzałem, jak się wydaje, wszystkie letnie miesiące mojego dzieciństwa, a także ferie bożonarodzeniowe i wielkanocne oraz inne święta nakazane, a ponadto dwa kolejne lata, rok czterdziesty trzeci i czterdziesty czwarty, kiedy zaczęto bombardować miasto. Tam też powinny być wszystkie rzeczy dziadka, jak również moje podręczniki szkolne i zabawki.

- Nie wiem dokładnie gdzie, bo ty jakby nie chciałeś ich już więcej widzieć. Twój stosunek do tego domu zawsze był dziwny. Dziadek zmarł ze zgrzyoty po śmierci twoich rodziców w tym wypadku samochodowym, mniej więcej wtedy, kiedy ty kończyłeś liceum...

- Czym zajmowali się tatuś i mama?

- Twój ojciec pracował w firmie importowej, został w końcu jej dyrektorem. Matka nie pracowała, jak inne panie z jej sfery. Ojciec kupił sobie wreszcie samochód - lancię! - no i stało się to, co się stało. Nigdy nie opowiadałeś mi dokładnie o tej sprawie. Miałeś właśnie wstąpić na uniwersytet. Ty i twoja siostra Ada straciliście za jednym zamachem całą rodzinę.

- Mam siostrę?

- Młodsza. Wzięli ją do siebie brat i bratowa twojej matki, bo ci

wujostwo zostali waszymi prawnymi opiekunami. Ale Ada wyszła wcześniej za mąż - miała osiemnaście lat - i mąż od razu zabrał ją ze sobą do Australii. Widujecie się mało, ona przyjeżdża do Włoch bardzo rzadko. Wujostwo sprzedali wasze mieszkanie w mieście i prawie wszystkie grunty w Solarze. Pieniądze poszły na twoje utrzymanie w czasie studiów. Zresztą uniezależniłeś się szybko, uzyskując stypendium na bursę akademicką i przenosząc się do Turynu. Od tej chwili jakbyś zapomniał o Solarze. Po urodzinach Carli i Nicoletty ja cię zmuszałam do wyjazdów tam w lecie, by dzieci mogły pooddychać świeżym powietrzem. Napracowałam się strasznie, żeby doprowadzić do stanu używalności skrzydło, które zajmujemy. A ty jeździłeś niechętnie. Córki przepadają za tym miejscem - to ich dzieciństwo. Także i teraz jeżdżą tam, kiedy tylko mogą, razem z własnymi dziećmi. Ty wpadałeś do Solary dla nich na dwa, trzy dni. Nigdy nie wchodziłeś do pomieszczeń, które nazywałeś sanktuariami - do swojego dawnego pokoju, do pokoi dziadków i rodziców, na strychny... Zresztą w tych wszystkich pokojach, które tam są, mogłyby mieszkać trzy rodziny, nigdy się ze sobą nie spotykając. Spacerowałeś trochę po wzgórzach i znajdowałeś zawsze jakiś pilny powód, żeby wrócić do Mediolanu. To zrozumiałe: śmierć rodziców i dziadka podzieliła jakby twoje życie na dwie części, przedtem i potem. Dom w Solarze przypominał ci może świat, który zniknął na zawsze, dlatego chciałeś od niego się odciąć. Zawsze starałam się uszanować tę twoją niechęć, choć czasami zazdrość mi podszeptowała, że może to wymówka, że wracasz sam do Mediolanu w całkiem innych sprawach. Ale nie mówmy o tym.

- Nieodparty uśmiech. Ale dlaczego wyszłaś za mąż za Człowieka

Śmiechu?

- Bo śmiałeś się wspaniale i rozśmieszałeś mnie. Jako małej dziewczynce nie schodziło mi z ust imię jednego ze szkolnych kolegów. Luigino to, Luigino tamto, codziennie wracałam do domu, opowiadając o wyczynach Luigina. Mama podejrzewała, że się w nim podkochuję. Pewnego dnia zapytała, dlaczego ten Luigino tak bardzo mi się podoba. Odpowiedziałam: bo mnie rozśmiesza.

Doznania odzyskuje się szybko. Doświadczylem smaku niektórych potraw - w szpitalu wszystkie smakowały tak samo. Musztarda na gotowanym mięsie jest przyjemnie ostra, lecz samo mięso jest włókniste i włazi w zęby. Poznać (poznać ponownie?) działanie wykałaczkii. Grzebać nią sobie w płatach czołowych mózgu, pozbywać się zgorzelin... Paola dała mi skosztować dwóch różnych win. Powiedziałem, że to drugie jest bez porównania lepsze. Wyobrażam sobie, powiedziała, pierwsze to wino kuchenne, nadaje się najwyżej do podlania duszonego mięsa, a drugie to brunello, toskański rarytas. Dobrze, powiedziałem, moja głowa jest jaka jest, ale podniebienie mam w porządku.

Popołudnie zeszło mi na dotykaniu przedmiotów, na ostrożnym naciskaniu dłonią kieliszka do koniaku, na patrzeniu, jak wypełnia się kawą stojąca na ogniu maszynka, na rozróżnianiu językiem dwóch rodzajów miodu i trzech rodzajów marmolady (najbardziej lubię brzoskwiniową), na wyciskaniu cytryny, na zagłębianiu dłoni w woreczku z grysikiem. Potem poszedłem z Paolą na krótki spacer po parku. Głaskałem korę drzew, słyszałem, jak D'Annunzio, szelest liści (drzewa morwowego?) w rękach osoby, która je zrywa. Przechodząc koło kwiaciarni na placu Cairoli, Paola kazała sobie ułożyć bukiet

przypominający strój arlekina, zdaniem sprzedawcy całkiem niestosowny; ale dzięki temu mogłem w domu starać się ustalić zapach rozmaitych kwiatów i traw. A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, powiedziałem z ulgą, odwołując się do Genesis. Paola spytała, czy czuję się Panem Bogiem. Odparłem, że cytuję dla samego cytowania, ale że z pewnością jestem Adamem odkrywającym swój rajski ogród. Zdaje się zresztą, że jestem Adamem szybko się uczącym: kiedy zobaczyłem na stoliku buteleczki i pudełka ze środkami czyszczącymi, pojąłem od razu, że nie powinienem dotykać drzewa wiadomości złego i dobrego.

Po kolacji poszedłem do salonu. Stał tam fotel na biegunach, instynktownie w nim usiadłem.

- Zawsze tak robiłeś - powiedziała Paola - i piłeś tu swoją wieczorną whisky. Sądzę, że Gratarolo by ci pozwolił.

Przyniosła butelkę laphroaigu i nalała mi obficie, bez lodu. Zanim przełknąłem, potrzymałem płyn w ustach.

- Doskonała, tylko czuć ją trochę naftą. Paola była zachwycona.

- Wiesz, że po wojnie dopiero na początku lat pięćdziesiątych zaczęło się pić whisky. Przedtem popijali ją może faszystowscy dostojnicy na lotnisku w Riccione, ale nie zwykli ludzie. My zaczęliśmy pić whisky w wieku około dwudziestu lat - rzadko, bo była droga; ale był to dla nas rodzaj rytuału związanego z dojrzewaniem. A nasi rodzice przyglądali się nam, mówiąc: jak można pić coś takiego, co czuć naftą?

- Wiesz, smaki nie przypominają mi żadnego proustowskiego Combray.

- Zależy od smaków. Poczekaj, odkryjesz ten właściwy.

Na stoliku leżała paczka gitanów, papier maïs, żółtawa bibułka.

Zapaliłem, zaciągnąłem się chciwie, zakaszlałem. Zaciągnąłem się jeszcze kilka razy, po czym zgasilem papierosa.

Bujałem się powoli, aż zapadłem w sen. Zbudziło mnie bicie wahadłowego zegara, o mało nie wywróciłem szklanki z whisky. Zegar stał za mną, ale zanim się zorientowałem gdzie, bicie ustało. Powiedziałem:

- Jest dziewiąta. - A potem do Paoli: - Wiesz, co mi się zdarzyło? Zasnąłem; obudził mnie zegar. Nie usłyszałem wyraźnie pierwszych uderzeń; chcę powiedzieć, że ich nie liczyłem. Ale zaledwie postanowiłem je liczyć, zdałem sobie sprawę, że było ich już trzy, i zacząłem liczyć: cztery, pięć i tak dalej. Zrozumiałem, że mogę powiedzieć cztery i czekać na piątę, bo przedtem zegar wybił raz, dwa, trzy, o czym w jakiś sposób się dowiedziałem. Gdyby uderzenie czwarte było pierwszym, które dotarło do mojej świadomości, sądziłbym, że to dopiero szósta. Myślę, że tak biegnie nasze życie: można patrzeć w przyszłość tylko pod warunkiem, że pamięta się przeszłość. Nie jestem w stanie liczyć uderzeń mojego życia, bo nie wiem, ile było ich wcześniej. Z drugiej strony zasnąłem, ponieważ fotel bujał się już długo. Zdrzemnąłem się w pewnej chwili, bo przedtem były inne chwile, a także dlatego, że się rozluźniłem, czekając na chwilę następną. Gdyby jednak te pierwsze chwile nie wprowadziły mnie w odpowiedni nastrój, gdybym zaczął się bujać w jakimkolwiek innym momencie, nie czekałbym na to, co miało nadejść. Nie zasnąłbym. A więc trzeba pamiętać nawet po to, żeby zasnąć. Czyż się mylę?

- To efekt śnieżnej kuli. Lawina toczy się w dolinę, spadając coraz szybciej, bo stopniowo rośnie i niesie ze sobą ciężar, jakiego nabrała. Inaczej nie byłoby lawiny, tylko niewielka kula śniegu, która nigdy nie

spadnie.

- Wczoraj wieczorem... w szpitalu... zacząłem sobie z nudów podśpiewywać. Piosenka cisnęła mi się sama na usta, automatycznie, jak automatycznie myjemy zęby... Usiłowałem zrozumieć, skąd ją znam. Zaśpiewałem znowu, ale po tym na-myśle piosenka nie cisnęła mi się już na usta. Zatrzymałem się na pewnej nucie. Przeciągnąłem ją długo, przynajmniej przez pięć sekund, niczym dźwięk syreny albo zawodzenie płaczki. Otóż potem nie potrafiłem już śpiewać dalej - a nie potrafiłem, bo zagubiłem to, co było przedtem. Taki jestem ja. Zatrzymałem się na długiej nucie jak pęknięta płyta, a ponieważ nie pamiętałem nut początkowych, nie mogłem dokończyć piosenki. Stawiam sobie pytanie: co powinienem dokończyć i dlaczego? Kiedy śpiewałem bez zastanowienia, byłem sobą właśnie w trwaniu mojej pamięci, która w tym wypadku była pamięcią... jak by to powiedzieć... pamięcią mojego gardła, z tym, co przed, i z tym, co po, złączonymi ze sobą, a ja byłem całą piosenką i za każdym razem, kiedy zaczynałem śpiewać, moje struny głosowe przygotowywały się już do wydania dźwięków, które miały nastąpić. Myślę, że tak robią też pianiści: grają pewną nutę i przygotowują już palce do uderzenia w kolejny klawisz. Bez pierwszych nut nie dochodzi się do ostatnich, fałszuje się; od pierwszych do ostatnich dochodzimy tylko pod warunkiem, że mamy już w nas w jakiś sposób całą piosenkę. Ja całej piosenki już nie znam. Jestem... jak płonące drewno. Drewno się pali, nieświadome tego, że było kiedyś całym pniem. Nie może o tym wiedzieć i nie może wiedzieć, kiedy zaczęło płonąć. Spala się więc i już. Ja spisuję życie na straty.

- Nie przesadzajmy z tą filozofią - wyszeptała Paola.

- A właśnie przesadzajmy. Gdzie trzymam Wyznania świętego Augustyna?

- Na tej półce, na której stoją encyklopedie, Biblia, Koran, Laozi i książki filozoficzne.

Odnalazłem Wyznania i poszukałem w skorowidzu stron o pamięci. Musiałem je już czytać, bo były wszystkie popodkreślane. Wchodzę więc na pola i do rozległych dzielnic pamięci. Kiedy jestem już w środku, wywołuję wszystkie obrazy, jakich tylko zapragnę. Jedne pojawiają się od razu, inne każą na siebie czekać, jakby wyciągane z bardziej sekretnych kryjówek. Wszystkie te rzeczy pamięć zbiera w swojej obszernej jaskini, w tajemniczych i nieznanach zakamarkach. W olbrzymim pałacu pamięci rozporządzam niebem, ziemią i morzem wziętymi razem, spotykam tam także siebie samego. Zdolność pamiętania jest czymś wspaniałym, Boże mój, jej nieskończoność i głęboka złożoność napawają prawie przerażeniem. Tym jest moja dusza, tym jestem ja sam... Pola i pieczary, nieprzeliczone jaskinie pamięci wypełnione nieprzeliczoną masą nieprzeliczonych rodzajów rzeczy, wszystkie te miejsca przebiegam, przenoszę się tu i tam, nigdzie nie napotykając przeszkód...

- Widzisz, Paolo - odezwałem się - ty opowiedziałaś mi o dziadku, o domu na wsi, wszyscy staracie się przywrócić mi wiadomości, ale gdybyśmy zbierali je w ten sposób, zupełne zaludnienie tych jaskiń zabrałoby nam sześćdziesiąt lat, które dotychczas przeżyłem. Nie, tak nie można. Muszę sam wejść do jaskini, jak Tomek Sawyer.

Nie wiem, co odpowiedziała mi Paola, ponieważ - bujając się dalej w fotelu - ponownie się zdrzemnąłem.

Chyba na krótko, bo usłyszałem dzwonek - przyszedł Gianni

Laivelli. Mój szkolny kolega, byliśmy nierozłączni. Uściskał mnie jak brata, był wzruszony; wiedział już, jak ze mną rozmawiać. Nie przejmuj się, powiedział, ja o twoim życiu wiem więcej niż ty sam. Opowiem ci je bardzo dokładnie. Odparłem: nie, dziękuję, a tymczasem Paola przedstawiła historię nas obu. Byliśmy zawsze razem od szkoły podstawowej do liceum. Potem ja pojechałem na studia do Turynu, a on studiował ekonomię i handel w Mediolanie. Ale, jak się wydaje, zawsze pozostaliśmy sobie bliscy. Ja sprzedaję starodruki, on pomaga ludziom płacić podatki, albo i nie płacić. Powinniśmy byli właściwie pójść każdy własną drogą, a jesteśmy jak jedna rodzina. Jego wnuki bawią się z moimi, Boże Narodzenie i Nowy Rok spędzamy zawsze razem.

Nie, dziękuję, powiedziałem mu, ale Gianni nie mógł usiedzieć cicho. A ponieważ on sobie przypominał, było tak, jakby nie mógł zrozumieć, że ja sobie nie przypominam.

- Pamiętasz - mówił - jak przynieśliśmy do klasy zdechłego szczura, żeby przestraszyć nauczycielkę matematyki, jak pojechaliśmy na wycieczkę do Asti, żeby zobaczyć dom Alfieriego, a w drodze powrotnej dowiedzieliśmy się, że spadł samolot z drużyną piłkarską Turynu, jak...

- Nie, nie pamiętam, Gianni, ale ty opowiadasz tak dobrze, że jest, jakbym sobie przypominał. Który z nas był lepszym uczniem?

- Oczywiście ty we włoskim i filozofii, a ja w matematyce. Widzisz przecież, na co wyrosliśmy.

- No tak. Paolo, jakie ja skończyłem studia?

- Humanistyczne. Twoja praca magisterska dotyczyła Snu Polifila z końca piętnastego wieku. Była nieczytelna, w każdym razie dla mnie. Potem pojechałeś do Niemiec, by specjalizować się w historii

starodruków. Mówiłeś, że z imieniem, które ci dano, nie możesz postąpić inaczej; poza tym był przykład dziadka, całe życie wśród starych papierów. Po powrocie otworzyłeś antykwariat - najpierw w jednym pokoiku - za ten kapitałik, którym jeszcze dysponowałeś. No i dobrze ci później poszło.

- Czy wiesz, że sprzedajesz książki, które kosztują więcej niż porsche? - mówił Gianni. - Są przepiękne, mają po pięćset lat, jest prawdziwym przeżyciem wziąć je do ręki i słyszeć, że pod palcami papier jeszcze z lekka trzeszczy, jakby dopiero co wyszły spod prasy drukarskiej...

- Spokojnie, spokojnie - powiedziała Paola - o pracy zaczniemy mówić za kilka dni. Teraz daj mu oswoić się z mieszkaniem. Chcesz whisky, którą czuć naftą?

- Naftą?

- To sprawa między mną a Jambo, Gianni. Znowu zaczynamy mieć tajemnice.

Kiedy odprowadzałem Gianniego do drzwi, wziął mnie za ramię i wyszeptał tonem spiskowca:

- A więc nie widziałeś się jeszcze z piękną Sybillą? Co to za Sybilla?

Wczoraj przyszły Carla i Nicoletta z całymi rodzinami, byli też mężowie. Sympatyczni. Spędziłem popołudnie z dziećmi. Są czułe, zaczynam je lubić. Ale to kłopotliwe. W pewnej chwili zauważyłem, że daję im całuski, przyciskam je do siebie, czuję bijący od nich zapach czystości, mleka i talku. Zacząłem się wtedy zastanawiać, co ja właściwie robię z tymi obcymi dziećmi. Może jestem pedofilem? Odsunąłem je od siebie. Bawiliśmy się; chciały, żebym był niedźwiedziem. Co ma, u diabła,

robić dziadek niedźwiedź? Stanałem na czworakach i zawarczałem: wrrrr... Wskakiwały mi na plecy. Spokojnie, mam swoje lata, krzyż mnie boli. Luca strzelił do mnie, paf-paf-paf, z wodnego pistoletu; pomyślałem, że lepiej zdechnąć, i przewróciłem się brzuchem do góry. O mało nie skręciłem sobie karku, ale dzieciom bardzo się to podobało. Jestem jeszcze słaby; gdy wstawałem z podłogi, mąciło mi się w głowie. Nie rób tego, powiedziała Nicoletta, wiesz, że masz kłopoty z ciśnieniem. Poprawiła się zaraz:

- Przepraszam, nie pamiętałeś o tym. Teraz już wiesz. Nowy rozdział do dziejów mojego życia spisanych przeze mnie samego. Nie - przez nich samych.

Żyję nadal stronami encyklopedii. Mówię, jakbym stał oparty o ścianę i nie mógł się odwrócić. Moje wspomnienia sięgają kilku tygodni, wspomnienia innych ciągną się przez stulecia. Kilka dni temu spróbowałem nalewki na orzechach. Powiedziałem jak detektyw z powieści kryminalnej: Charakterystyczny zapach gorzkich migdałów. W parku zobaczyłem dwóch policjantów na koniach: Klaczko, klaczko szpakowata, zacytowałem Pascolego. Uderzyłem ręką o kant mebla. Ssąc drobne zadrapanie i starając się posmakować własną krew, powiedziałem za Montalem: Często ból życia spotykałem. Spadł ulewny deszcz; kiedy przestał padać, wykrzyknąłem radośnie za Leopardim: y i burza dogorywa! Zwykle kładę się wcześniej z komentarzem z Prousta: Longtemps je me suis couché de bonne heure, przez długi czas kładłem się spać wcześniej.

Radzę sobie ze światłami na skrzyżowaniach, ale kilka dni temu, gdy przechodziłem przez ulicę w miejscu wyglądającym na bezpieczne, Paola ledwie zdążyła złapać mnie za ramię, bo nadjeżdżał samochód.

- Przecież obliczyłem odległość - powiedziałem. - Zdążyłbym przejść.

- Nie, nie zdążyłbyś, ten samochód jechał szybko.

- Też coś, nie jestem kurczakiem! - zareagowałem. - Wiem doskonale, że samochody wpadają na pieszych. Także na kury; żeby tego uniknąć, trzeba zahamować, powstaje czarny dym, potem należy wysiąść i znowu wprawić silnik w ruch za pomocą korby. Dwóch mężczyzn w prochowcach, w wielkich ciemnych okularach, a ja z uszami sięgającymi nieba. - Skąd wziąłem cen obraz?

Paola popatrzyła na mnie.

- Czy wiesz, z jaką maksymalną prędkością może jechać samochód?

- No - powiedziałem - nawet osiemdziesiąt na godzinę...

Wygląda na to, że teraz jeżdżą znacznie szybciej. Widać zachowują tylko te wiadomości, które przyswoiłem sobie, robiąc prawo jazdy.

Jestem zdziwiony, bo przechodząc przez plac Cairoli, co dwa kroki spotykam Murzyna, usiłującego sprzedać mi zapalniczkę. Pojechaliśmy z Paolą do parku na rowerach (jeżdżę na rowerze bez żadnego trudu) i zdziwiłem się znowu, widząc wokół jeziora wielu Murzynów, grających na bębnach.

- Gdzie my jesteśmy? - spytałem. - W Nowym Jorku? Skąd tylu Murzynów w Mediolanie?

- Są już od dawna - odpowiedziała Paola. - Ale nie mówi się „Murzyni”, tylko „czarni”.

- Jaka to różnica? Sprzedają zapalniczki, przyjeżdżają tutaj, żeby grać na bębnach, bo nie mają najwidoczniej złamanego grosza przy duszy i nie mogą pójść do baru albo ich tam nie wpuszczają. Wydaje mi się, że ci

czarni są tak samo zdesperowani jak Murzyni.

- W każdym razie tak się ich nazywa. Ty też tak mówiłeś. Paola zauważyła, że kiedy próbuję mówić po angielsku, robię błędy, a nie robię ich, mówiąc po niemiecku lub po francusku.

- Moim zdaniem to oczywiste - powiedziała. - Francuski musiałeś sobie przyswoić w dzieciństwie, pozostał ci na języku jak rower pomiędzy nogami. Niemieckiego nauczyłeś się z podręczników na uniwersytecie, a ty wiedzę podręcznikową masz w małym palcu. Natomiast angielskiego uczyłeś się w podróżach, należy do twoich doświadczeń osobistych z ostatnich trzydziestu lat i uczeplił się twojego języka tylko częściowo.

Czuję się jeszcze słaby; udaje mi się zająć czymś przez pół godziny, najwyżej przez godzinę, potem muszę trochę poleżeć. Paola chodzi ze mną codziennie do apteki mierzyć ciśnienie. Muszę też uważać na to, co jem; ostrożnie z solą.

Zacząłem oglądać telewizję, to męczy mnie najmniej. Widzę nieznanych panów, premiera, ministra spraw zagranicznych, króla Hiszpanii (ale był przecież Franco?), byłych terrorystów (terrorystów?) skruszonych. Niezupełnie rozumiem, o czym mówią, ale dowiaduję się całej masy rzeczy. Aida Moro pamiętam, mówił o zbieżności równoległych, ale kto go zamordował? A może to jego samolot spadł na wyspę Ustikę, na siedzibę Banku Rolnego? Niektórzy piosenkarze noszą w uchu kolczyk, chociaż są płci męskiej. Lubię seriale o tragediach rodzinnych w Teksasie, stare westerny z Johnem Wayne'em. Filmy akcji mnie męczą, bo są w nich pistolety maszynowe, które jedną serią niszczą całe pokoje i wywracają samochody, doprowadzając do wybuchu; mężczyźni w podkoszulkach walczą na pięści, potem któryś wybija szybę i

skacze prosto do morza. Wszystko razem - pokoje, samochody, szyby - w ciągu kilku sekund. Zbyt szybko, obrazy tańczą mi przed oczyma. I po co te okropne hałasy?

Wczoraj wieczorem Paola zaprowadziła mnie do restauracji.

- Nie martw się, znają cię, zamów to co zwykle. Radosne powitanie: co u pana, panie Bodoni, od dawna się nie widzieliśmy, co zechce pan dzisiaj zamówić? To co zwykle. Pan jest prawdziwym smakoszem, wyrecytował właściciel. Makaron z małżami, ryba z rusztu, białe wino Sauvignon, potem tort jabłkowy.

Potrzebna była interwencja Paoli, żeby mnie powstrzymać od zażądania drugiej porcji ryby.

- Dlaczego nie, jeśli mi smakuje? Chyba możemy sobie na to pozwolić, nie kosztuje majątku.

Paola popatrzyła na mnie w zamyśleniu, wzięła mnie za rękę i powiedziała:

- Widzisz, Jambo, ty zachowałeś wszystkie swoje automatyzmy. Wiesz doskonale, jak trzymać nóż i widelec, jak napełniać sobie kieliszek. Ale jest coś, czego uczymy się dzięki własnemu doświadczeniu, w miarę jak dorostujemy. Dziecko chce jeść wszystko, co mu smakuje, ryzykując ból brzucha. Matka wyjaśnia mu stopniowo, że powinno panować nad swoimi zachciankami tak samo jak nad chęcią zrobienia siusiu. I tak dziecko, które - jeśliby to zależało tylko od niego - robiłoby dalej kupkę w pieluszki i jadło tyle czekolady, że musiano by je zabrać do szpitala, uczy się rozpoznać chwilę, w której ma przestać jeść, nawet jeśli nie czuje się jeszcze syte. Już jako dorośli uczymy się, że trzeba poprzestawać na dwóch lub trzech kieliszkach wina, bo wiemy, że po wypiciu całej butelki

źle by nam się spało. Musisz więc nauczyć się znowu właściwego stosunku do pokarmów. Pomyśl, a nauczysz się w kilka dni. W każdym razie dzisiaj nie będzie już repety.

- Teraz oczywiście kieliszeczek calvadosu - zakończył właściciel restauracji, przynosząc tort.

Poczekalem, aż Paola skinie twierdząco głową, i powiedziałem:

- Calva sans dire, calva bez mówienia.

Restaurator znał widać tę moją fonetyczną grę słów - calva d'eau, rozwodniony, sans dire, czysty - bo powtórzył:

- Calva sans dire.

Paola spytała, co przypomina mi calvados. Odpowiedziałem, że jest dobry i nic ponadto.

- A przecież zatrueś się nim podczas tej swojej podróży do Normandii... No dobrze, nie myśl o tym. W każdym razie formułka „to co zwykle” jest wygodna; do bardzo wielu miejsc w okolicy możesz wejść i poprosić o „to co zwykle”, zaraz poczujesz się swobodniej.

- Teraz jest już jasne, że ze światłami na skrzyżowaniach sobie radzisz - powiedziała Paola - i że nauczyłeś się, jak szybko jeżdżą samochody. Musisz spróbować pospacerować sam naokoło zamku. Na rogu jest lodziarnia, ty uwielbiasz lody, a ten lokal jest właściwie tuż-tuż. Powiedz: to co zwykle.

Nie musiałem. Sprzedawca od razu nappełnił rozek lodami śmietankowo-czekoladowymi. Proszę bardzo, to co zwykle.

Miałem rację, że lubiłem te lody. Są wyśmienite. Co za przyjemność odkryć lody śmietankowo-czekoladowe w wieku sześćdziesięciu lat! Jaki to był ten dowcip Gianniego o chorobie Alzheimera? Jej dobrą stroną jest

to, że codziennie widzi się tyle nowych twarzy...

Nowe twarze. Skończyłem właśnie lody, zostawiając dolną część rożka, którą wyrzuciłem - a dlaczego? Paola wytłumaczyła mi potem, że było to moje stare przyzwyczajenie, odkąd matka nauczyła mnie, że nie należy zjadać koniuszka, bo sprzedawca trzymał go w niezbyt czystych rękach (działo się to w czasach, gdy lody sprzedawano z wózków). Zobaczyłem nadchodzącą kobietę. Elegancka, chyba około czterdziestki, twarz nieco wyzywająca - przyszła mi na myśl Dama z Gronostajem. Uśmiechała się do mnie już z daleka: ja też ładnie się uśmiechnąłem, bo zdaniem Paoli mojemu uśmiechowi nie sposób się oprzeć.

Podeszła do mnie i chwyciła mnie za ramiona.

- Jambo, co za niespodzianka! - Musiała jednak dostrzec coś niewyraźnego w moim spojrzeniu, uśmiech nie wystarczał. - Jambo, nie poznajesz mnie, tak bardzo się zestarzałam? Jestem Vanna, Vanna...

- Vanna! Jesteś coraz piękniejsza! Wychodzę właśnie od okulisty, wpuścił mi do oczu coś na rozszerzenie źrenic, przez kilka godzin będę widział nieostro. Co u ciebie, Damo z Gronostajem? - Musiałem jej już to mówić, bo odniosłem wrażenie, że zwilgotniały jej oczy.

- Jambo, Jambo - szeptała, głaszcząc mnie po twarzy. Czuję jej perfumy. - Jambo, zgubiliśmy się. Zawsze chciałam znowu cię zobaczyć, by ci powiedzieć, że z nami trwało to wprawdzie krótko, chyba z mojej winy, ale zawsze będę cię bardzo czule wspominać. To było... piękne.

- Bardzo piękne - powiedziałem z uczuciem i z miną kogoś, kto wspomina ogród rozkoszy. Wspaniałe aktorstwo.

Pocałowała mnie w policzek, wyszeptała, że jej numer telefonu się nie zmienił, i poszła. Vanna. Najwidoczniej pokusa, której nie umiałem się

oprzeć. Mężczyźni to dranie, film z De Sika. Tam, do licha, co to za przyjemność? Miałeś romans, a nie tylko nie możesz opowiadać o nim przyjaciółom, ale nawet przeżywać go sobie od czasu do czasu, grzejąc się pod kołdrą w burzliwą noc.

Już od pierwszego wieczoru, kiedy leżałem pod kołdrą, Paola usypiała mnie, głaszcząc po głowie. Lubiłem czuć ją blisko. Czy jej pragnąłem? Przewyciężyłem wreszcie wstyd i spytałem, czy uprawialiśmy jeszcze miłość.

- Z umiarem, głównie z przyzwyczajenia - odpowiedziała. - Czy masz teraz ochotę?

- Nie wiem. Wiesz, że na mało co mam jeszcze ochotę. Zastanawiam się tylko...

- Nie zastanawiaj się, staraj się zasnąć. Jesteś jeszcze słaby. A poza tym w żadnym wypadku nie chciałabym, żebyś kochał się z kobietą, którą dopiero co poznałeś.

- Romans w Orient Expressie.

- Straszne. Nie jesteśmy postaciami z powieści Dekobry.

3. MOŻE KTOŚ ZERWIE TWÓJ KWIAT

Umiem poruszać się poza domem, nauczyłem się postępować z osobami, które się ze mną witają. Dozuję uśmiech, gesty wyrażające zaskoczenie, radość lub kurtuazję, obserwując uśmiechy, gesty i uprzejmości innych. Wypróbowałem ze współlokatorami w windzie. Dowodzi to, że życie towarzyskie polega na udawaniu, powiedziałem gratulującej mi Carli. Ona mówi, że robię się cyniczny. Pewno. Jeśli nie zaczniesz myśleć, że to wszystko jest komedią, możesz się tylko powiesić.

- A więc - oznajmiła Paola - czas, żebyś wrócił do sklepu. Idź sam. Spotkasz się z Sybillą i zobaczysz, czym może cię natchnąć twoje miejsce pracy.

Przypomniałem sobie zaraz ten szept Gianniego o pięknej Sybilli.

- Kim jest Sybilla? - zapytałem.

- Twoją asystentką, twoim faktotum. Jest bardzo dzielna, prowadziła twoje interesy w ostatnich tygodniach. Dziś do niej zadzwoniłam, była bardzo dumna z jakiejś doskonałej transakcji, której właśnie dokonała. Sybilla... nie pytaj mnie o nazwisko, nikt nie potrafi go wymówić. Dziewczyna z Polski, specjalizowała się w Warszawie w bibliotekoznawstwie, a kiedy reżim zaczął tam trzeszczeć, jeszcze przed zburzeniem muru berlińskiego udało się jej uzyskać pozwolenie na podróż naukową do Rzymu. Jest ładna, może nawet za bardzo; zapewne potrafiła wzruszyć jakąś grubą rybę. W każdym razie po przyjeździe do Włoch nie chciała już wracać i poszukała sobie pracy. Znalazła ciebie, albo ty znalazłeś ją, i pomaga ci już od czterech lat. Dziś na ciebie czeka, wie, co ci się stało i jak ma się zachować.

Podawała mi adres i numer telefonu mojego antykwariatu. Po przejściu przez plac Cairoli wchodzi się w ulicę Dantego, przed Loggią Kupców - widać ją doskonale - skręca w lewo i już się jest.

- Jeśli miałbyś trudności, wejdź do baru i do niej zadzwoń, albo zadzwoń do mnie, wyślemy oddział strażaków; ale myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Aha, pamiętaj, że z Sybillą zaczęliście mówić po francusku, kiedy ona nie znała jeszcze włoskiego, i robiliście to także później. Taka sobie wasza zabawa.

Na ulicy Dantego tłum ludzi. Miło jest mijać nieznanym i nie musieć ich rozpoznawać. Pewnie się człowiek czuje i wie, że także inni, w siedemdziesięciu procentach, są w tej samej sytuacji. Mógłbym przecież być kimś, kto dopiero co przyjechał do tego miasta, jest trochę samotny, ale już zaczyna się z nim oswajać. Tyle że ja przyleciałem dopiero co na naszą planetę. Pozdrowił mnie ktoś stojący w drzwiach baru, obyło się jednak bez dramatycznej sceny rozpoznania. Pomachałem ręką na powitanie i na tym koniec.

Ulicę i antykwariat odnalazłem jak harcerz zdobywający sprawność tropiciela śladów. Tabliczka skromna, nisko umieszczona: „Gabinet Biblio”. Najwidoczniej nie miałem zbyt wiele wyobraźni, lecz w gruncie rzeczy brzmi to poważnie, a zresztą jaką miałem wymyślić nazwę? Piękny Neapol? Zadzwoń, wszedłem na pierwsze piętro. Drzwi były już otwarte, na progu stała Sybilla.

- Bonjour, monsieur Yambo... pardon, monsieur Bodoni... - Jakby to ona straciła pamięć.

Była naprawdę bardzo piękna. Blond włosy gładkie i długie otaczały, jak piszą w powieściach, przezysty owal jej twarzy. Żadnego makijażu,

może tylko odrobinę na powiekach. Jedyne określenie, jakie przyszło mi do głowy, to „nadzwyczaj słodka” (wiem, że używam stereotypów, ale właśnie dzięki nim mogę obcować z innymi). Miała na sobie dzinsy i bluzeczkę z jakimś napisem, Smile czy coś takiego; bluzka uwypuklała wstydliwie jej młode piersi.

Oboje byliśmy zakłopotani.

- Mademoiselle Sibilla? - zapytałem.

- Oui - odpowiedziała, dodając szybko: - Ohui, houi. Entrez.

Coś jakby delikatna czkawka. Pierwsze oui wymówiła prawie normalnie, potem szybko drugie z wdechem, wreszcie trzecie z wydechem, z trudno wyczuwalną nutą pytania w głosie. Wszystko razem sprawiało wrażenie dzieciennego zakłopotania, a jednocześnie zmysłowej nieśmiałości. Odsunęła się, żeby mnie wpuścić. Nie uszedł mojej uwagi jej przyjemny zapach.

Gdybym miał powiedzieć, jak wygląda księgarnia antykwaryczna, opisałbym coś bardzo podobnego do tego, co teraz zobaczyłem. Półki z ciemnego drewna, wypełnione starodrukami, starodruki także na kwadratowym ciężkim stole. W kącie stolik z komputerem. Dwie kolorowe mapy po obu stronach okna o matowych szybach. Oświetlenie łagodne, lampy duże, zielone. Drzwi prowadzące do długiego, wąskiego pokoiku, który był chyba pomieszczeniem do pakowania wysyłanych książek.

- Więc pani jest Sybillą? A może powinienem powiedzieć panną jakąś tam; słyszałem, że ma pani niemożliwe do wymówienia nazwisko.

- Sybilla Jasnorzewska. Tak, tu, we Włoszech, mam z tym problemy, ale pan zawsze nazywał mnie tylko Sybillą. - Pierwszy raz zobaczyłem,

jak się uśmiecha. Powiedziałem, że chcę się trochę rozejrzeć, zobaczyć najcenniejsze książki. - To ta ściana w głębi - wyjaśniła i poszła w tamtym kierunku, żeby mi pokazać właściwą półkę.

Szła cicho, ledwie dotykając podłogi tenisówkami; a może to dywan wyciszał jej kroki. Nad tobą, dorastająca dziewico, rozpościera się jakby święty cień, chciałem prawie powiedzieć głośno. Zamiast tego zapytałem jednak:

- Czy to napisał Cardarelli?

- Co takiego? - Odwróciła głowę, przy czym zafalowały jej włosy.

- Nic, nic - odpowiedziałem - proszę mi pokazać. Piękne tomy o posmaku wieków. Nie wszystkie miały na grzbiecie nalepkę z tytułem. Wyciągnąłem jeden z nich. Otworzyłem go instynktownie, szukając strony tytułowej. Nie było jej.

- A więc inkunabuł. Szesnastowieczna oprawa ze świńskiej skóry, tłoczona na zimno. - Przesunąłem dłońmi po skórze, co za przyjemny dotyk. - Brzegi nieco wytarte. - Przekartkowałem tom, dotykając stron palcami, aby się przekonać, czy cichutko trzeszcza, jak mówił mi Gianni. Tak, rzeczywiście. - Świeży, z szerokimi marginesami. Ach, lekkie plamy wilgoci na brzegach ostatnich stron, czerw zrobił dziurkę na końcowej sygnaturze, ale tekstu nie uszkodził. Piękny egzemplarz. - Znalazłem kolofon (wiedziałem, że tak się nazywa) i przesylabizowałem: - Venetiis mense Septembri, Wenecja w miesiącu wrześniu... tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt siedem. Mógłby to być... - Wróciłem na pierwszą stronę: lamblichm de mysteriis Aegyptiorum... To pierwsze wydanie Jamblicha w przekładzie Ficina, prawda?

- Tak, pierwsze... monsieur Bodoni. Rozpoznał je pan?

- Nie, ja nie rozpoznaję, proszę się tego nauczyć, Sybillo. Po prostu wiem, że pierwsze wydanie Jamblicha w tłumaczeniu Ficina jest z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku.

- Przepraszam, muszę się przyzwycząić. Powiedziałam tak, bo był pan bardzo dumny z tego egzemplarza, naprawdę wspaniałego. I mówił pan, że na razie go nie sprzedajemy, że jest ich w obiegu bardzo mało, że poczekamy, aż tytuł się pojawi na jakiejś licytacji albo w którymś amerykańskim katalogu... ci to potrafią windować ceny!... i dopiero wtedy zgłosimy nasz egzemplarz.

- Jestem zatem rozważnym marszandem.

- Ja mówiłam, że to pretekst, że chce pan potrzymać go trochę dla siebie, żeby od czasu do czasu go pooglądać. Ale ponieważ był pan zdecydowany poświęcić Orteliusza, mam dla pana dobrą wiadomość.

- Orteliusza... Którego?

- Wydanie Plantin z tysiąc sześćset szóstego roku, sto sześćdziesiąt sześć kolorowych tablic i Parergon, oprawa z tamtych czasów. Był pan taki zadowolony, kiedy go pan znalazł w księgozbiórce prezesa Gambiego, kupionym w całości za niewielkie pieniądze. Po namyśle postanowił pan umieścić go w katalogu. No i kiedy pan... był chory, udało mi się go sprzedać pewnemu klientowi, komuś całkiem nowemu. Nie wyglądał na prawdziwego bibliofila, raczej na takiego, co kupuje, aby zainwestować pieniądze, bo ktoś mu powiedział, że ceny starodruków szybko rosną.

- Szkoda, zmarnowany egzemplarz. Ale... za ile? Chyba bała się wymienić sumę, bo wyciągnęła i podała mi fiszkę z kartoteki.

- W katalogu napisaliśmy „cena do ustalenia”, był pan przygotowany na pertraktacje. Ja powiedziałam od razu najwyższą cenę, a on nie poprosił

nawet o rabat; podpisał czek i sobie poszedł. Zapłacił bez zmrużenia oka, jak to się mówi.

- Więc tyle już sobie liczymy... - Zupełnie nie orientowałem się w bieżących cenach. - Gratuluję, Sybillo. A my ile za ten tom zapłaciliśmy?

- Właściwie nic. To znaczy za resztę książek z biblioteki Gambiego dostaniemy z czasem na pewno tyle, ile zapłaciliśmy za wszystko en bloc. Czek przekazałam do banku. Ponieważ w katalogu nie było ceny, sądzę, że przy pomocy pana Laivelle-go wyjdziemy na tym bardzo dobrze także pod względem podatkowym.

- Należę więc do tych, którzy oszukują fiskusa.

- Nie, monsieur Bodoni. Robi pan to samo, co pańscy koledzy po fachu. W zasadzie płaci pan, ile trzeba, ale czasami, po szczególnie udanej transakcji, robi pan unik, jak to się mówi. Jest pan podatnikiem uczciwym w dziewięćdziesięciu pięciu procentach.

- Po tej transakcji tylko w pięćdziesięciu. Przeczytałem gdzieś, że obywatel powinien płacić podatki co do grosza. - Wydawała się upokorzona. - W każdym razie proszę się nie martwić, porozmawiam o tym z Laivellim - powiedziałem po ojcowsku. Po ojcowsku? Dodałem prawie szorstko: - Teraz chcę sam pooglądać inne książki.

Wycofała się i usiadła cicho przy komputerze.

Oglądałem książki, kartkowałem je. Boska Komedia w wydaniu Bernardina Benalego z 1491 roku, Liber Phisionomiae Duns Scotusa z 1477, Quadripartites Ptolemeusza z 1484, Calendarium Regiomontanus z 1482. Byłem też niezłe zaopatrzony w publikacje z wieków następnych: piękne pierwsze wydanie Nuovo teatro Żonki, wspaniały egzemplarz Ramellego... Wiedziałem o wszystkich tych dziełach jak każdy

antykwarium znający na pamięć wielkie katalogi, ale nie przypuszczałem, że posiadam ich egzemplarze.

Po ojcowsku? Brałem książki z półek i odstawiałem je na miejsce, lecz w rzeczywistości myślałem o Sybilli. Gianni wspomniał ją na pewno nie bez powodu, Paola zwlekała z informacją o niej do ostatniej chwili i użyła kilku wyrażen niemal sarkastycznych, choć w neutralnym tonie: ładna, może nawet za bardzo, taka sobie wasza zabawa. Nie było w tym szczególnej niechęci, wydało mi się jednak, że zaraz powie: „Cicha woda brzegi rwie”.

Czy mogłem mieć z Sybillą romans? Zagubione dziewczę ze Wschodu, ciekawe wszystkiego, spotyka dojrzałego pana - ale kiedy przyjechała, miałem o cztery lata mniej - czuje przed nim respekt, to jej szef, o książkach wie więcej od niej, ona się uczy, słucha go z największą uwagą, podziwia. On napotkał idealną uczennicę, piękną, inteligentną, z tym oui oui oui w rytmie bojaźliwej czkawki. Zaczynają pracować razem, codziennie, od rana do wieczora, sami w tym antykwariacie, wspólnie dokonują małych i wielkich odkryć. Pewnego dnia ocierają się o siebie w drzwiach, wystarcza jedna chwila i rodzi się romans. Ależ skąd, w moim wieku?, jesteś jeszcze bardzo młoda, znajdź sobie rówieśnika, nie bierz mnie na serio. A ona: nie, po raz pierwszy czuję coś takiego, Jambo. Czy streszczam znany wszystkim film? No to mów dalej jak w filmie albo w powieści. Kocham cię, Jambo, ale nie mogłabym spojrzeć w twarz twojej żonie, tak miłej i uprzejmej. Masz dwie córki i jesteś dziadkiem - dziękuję, przypominasz mi, że już śmierdę trupem - nie, nie mów tak, jesteś mężczyzną najbardziej... najbardziej... najbardziej ze wszystkich, jakich dotąd poznałam. Kpię sobie z chłopców w moim wieku, ale może

powinnam odejść. Nie, poczekaj, możemy dalej pracować razem jako para dobrych przyjaciół, wystarczy, że będziemy widywać się codziennie - ale czy nie rozumiesz, że właśnie widując się codziennie, nie będziemy mogli pozostać tylko parą przyjaciół - Sybillo, nie mów tak, zastanówmy się. Ona pewnego dnia przestaje przychodzić do pracy, ja do niej dzwonię i mówię, że się zabiję, ona mi mówi, nie bądź dziecinny, tout passe, wszystko przemija, ale potem wraca, nie mogła się oprzeć. I sprawa się ciągnie od czterech lat. Albo już się nie ciągnie?

Wydaje się, że znam wszystkie powtarzające się schematy, lecz nie umiem ich ze sobą połączyć w wiarygodny sposób. A może te historie są straszne i wspaniałe właśnie dlatego, że wszystkie schematy nieprawdopodobnie się plączą i nie dają się już rozplatać. Ale kiedy taki schemat się przeżywa, jest tak, jakby to był pierwszy raz, i człowiek wcale się nie wstydzi.

Czy taka historia jest prawdopodobna? Ostatnio wydawało mi się, że nie mam już pragnień, ale ledwie zobaczyłem Sybillę, zrozumiałem, czym jest pragnienie. Przy pierwszym spotkaniu. Co dopiero, gdybym spotykał ją często, chodził za nią, patrzył, jak ślizga się wokół, jakby stapała po wodzie. Oczywiście tak tylko sobie mówię, sam nigdy bym nie zaczął podobnej historii w stanie, w którym obecnie się znajduję; poza tym byłoby to prawdziwe świństwo wobec Paoli. Sybilla jest dla mnie jak Niepokalana Panienka, nawet w myślach nie wolno mi jej pożądać. Doskonale. Ale co ona?

Ona mogłaby jeszcze być w samym środku tej historii. Może chciała przy powitaniu zwrócić się do mnie po imieniu, na szczęście po francusku mówi się do siebie per vous nawet w łóżku. Może chciała rzucić mi się na

szyję. Kto wie, ile wycierpiała także i ona w ostatnim okresie, no a teraz zobaczyła mnie pięknym jak słońce... co słysząc, mademoiselle Sibilla, proszę mnie zostawić samego, chcę przejrzeć książki, dziękuję pani bardzo. A ona rozumie, że nie będzie mogła nigdy powiedzieć mi prawdy. Może tak i lepiej, bo już pora, żeby sobie znalazła chłopaka. Ale ja?

Fakt, że nie jest ze mną całkiem w porządku, zapisano w szpitalnych papierach. O czym tak rozmyślam? Skoro pracuję z ładną dziewczyną, jest oczywiste, że Paola odgrywa rolę zazdrosnej żony, to tylko taka gra między starymi małżonkami. A Gianni? Gianni mówił o pięknej Sybilli, może to on stracił dla niej głowę, przychodzi do sklepu pod pretekstem rozliczeń podatkowych i zostaje, udając, że go fascynują te z lekka skrzypiące stronice. To on się zadurzył, ja nie mam z tym nic wspólnego. To Gianni - on też w wieku, w którym śmierdzi się już trupem - usiłuje mi wykraść, wykradł mi kobietę mojego życia. No i znowu: kobieta mojego życia?

Myślałem, że uda mi się współżyć z tyloma ludźmi, których nie rozpoznaję, ale ta przeszkoda jest najgorsza - przynajmniej odkąd wbiłem sobie do głowy te starcze mrzonki. Boli mnie, że mógłbym sprawić jej ból. A więc... Nie, jest całkiem naturalne, że nie chce się sprawiać bólu własnej przybranej córce. Córce? Kilka dni temu czułem się pedofilem, teraz odkrywam w sobie kazirodcę?

No i w końcu, dobry Boże, kto powiedział, że poszliśmy ze sobą do łóżka? Może był to tylko pocałunek, jeden jedyny raz, może uczucie platoniczne - ja rozumiałem to, co ona czuła, i na odwrót, ale żadne z nas dwojga nigdy tego nie wyznało. Kochankowie spod znaku Okrągłego Stołu, sypiali przez cztery lata przedzieleni mieczem.

Och, posiadam także *Stultifera navis*, aie nie sędę, że pierwsze wydanie, a poza tym nie jest to szczególnie piękny egzemplarz. A ten *De proprietatibus rerum* Bartłomieja Anglika? Cały porubrykowany od początku do końca; szkoda, że oprawa nowoczesna, w stylu z epoki. Mówmy o interesach.

- Sybillo, nasz *Stultifera navis* to nie pierwsze wydanie, prawda?

- Niestety, nie, monsieur Bodoni, nasze wydanie to Olpe z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku. Pierwsza edycja to także Olpe w Bazylei, ale z roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego czwartego i po niemiecku, *Das Narren Shyff*. Pierwsze wydanie łacińskie, takie jak nasze, ukazało się w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym roku, ale w marcu, a nasze... proszę spojrzeć na kolofon... w sierpniu. Przed nim są jeszcze edycje kwietniowa i czerwcową. Chodzi jednak nie tyle o datę, ile o jakość egzemplarza. Sam pan widzi, że nie jest doskonały. Nie powiem, że to egzemplarz o wyłącznie naukowej wartości, ale nie ma się czym zachwycać.

- Ileż pani wie, Sybillo! Co bym bez pani zrobił?

- Wszystkiego pan mnie nauczył. Udawałam *grande savante*, żeby wyjechać z Warszawy, ale gdybym nie spotkała pana, byłabym nadal tak samo głupia jak po przyjeździe.

Podziw, oddanie. Chce mi dać coś do zrozumienia? Szepczę:

Les amoureux fervents et les savants austères, kochankowie namiętni i sawanci chłodni... Uprzedzam ją:

- Sybillo, wyjaśnijmy sobie jedno. Jeśli będziemy pracować dalej, może wydam się pani normalny, ale taki nie jestem. Wszystko, co wydarzyło się przedtem, proszę mnie zrozumieć... wszystko, dosłownie

wszystko... to jakby tablica, którą wytarto gąbką. Jestem niepokalaną czernią - przepraszam za tę sprzeczność. Pani powinna to zrozumieć, nie rozpaczać i... być blisko mnie. - Dobrze to ująłem? Chyba doskonale, można było mnie zrozumieć w podwójnym sensie.

- Proszę się nie martwić, monsieur Bodoni, wszystko rozumiałam. Jestem tutaj i nie odchodzę. Czekam...

Czy ty naprawdę jesteś cichą wodą? Mówisz, że poczekaś, aż znowu stanę się sobą, na co czekają oczywiście wszyscy, czy że poczekaś, aż sobie przypomnę, co między nami było? A jeśli tak, to co zrobisz w nadchodzących dniach, żeby mi to przypomnieć? Może pragnęłabyś całą duszą, żebym sobie przypomniiał, ale nie zrobisz nic, bo nie jesteś cichą wodą - jesteś kobietą, która kocha i milczy, żeby mnie nie niepokoić? Cierpisz, lecz nie dajesz tego po sobie poznać, bo jesteś prawdziwie cudowną istotą. Mówisz sobie jednak, że to nareszcie wspaniała okazja, żebyśmy oboje przywołali się do porządku. Poświęcisz się, nigdy nie zrobisz nic, żebym sobie przypomniiał, nie będziesz się starała pewnego wieczoru dotknąć, niby przypadkiem, mojej ręki, żebym popróbował proustowskiej magdalenki - ty, która z dumą wszystkich kochanek wiesz, że inni nie sprawią, bym poczuł zapachy à la „Sezamie, otwórz się!”, ty zaś, gdybyś chciała, mogłabyś tego dokonać. Wystarczyłoby ci musnąć włosami mój policzek, kiedy się pochylasz, żeby wręczyć mi fiszkę; albo wypowiedzieć znowu, jakby mimochodem, to banalne zdanie, które powiedziałaś mi za pierwszym razem i które powtarzaliśmy sobie przez całe cztery lata, cytując je jak magiczną formułę o znaczeniu i mocy znanych tylko nam dwojgu, odosobnionym w kręgu naszej tajemnicy. Zdanie w rodzaju: Et mon bureau? A moje biurko?

Ale to słowa Rimbauda.

Postarajmy się przynajmniej wyjaśnić jedną rzecz.

- Sybillo, pani zwraca się do mnie per monsieur Bodoni, jakbyśmy dzisiaj po raz pierwszy się widzieli. A przecież, pracując razem, musieliśmy przejść na ty, jak zwykle w takich przypadkach. Jak mnie pani nazywała?

Zarumieniła się, wydała z siebie znowu tę modulowaną, rozczulającą czkawkę:

- Oui oui oui, rzeczywiście nazywałam cię Jambo. Chciałeś od razu, żebym swobodnie się czuła.

W jej oczach zajaśniało szczęście, jakby zrzuciła ciężar z serca. Jednak mówienie do siebie per ty nic jeszcze nie znaczy. Także Gianni - zaszedłem kilka dni temu z Paolą do jego biura - jest na ty ze swoją sekretarką.

- No proszę - powiedziałem wesoło - zaczynamy wszystko od początku, dokładnie tak jak dawniej. Wiesz, że rozpoczęcie wszystkiego od nowa może mi pomóc.

Co ona zrozumiała? Co dla niej znaczy „zaczynać od początku”?

W domu spędziłem bezsenną noc, Paola głaskała mnie po głowie. Czułem się cudzołożcą, a przecież niczego nie zrobiłem. Kiedy się kochało, mówiłem sobie, najmilej jest o tym wspominać. Są ludzie, którzy żyją jednym wspomnieniem - na przykład u Balzaka Eugenia Grandet. Ale myśleć, że się kochało, i nie móc sobie tej miłości przypomnieć? Albo jeszcze gorzej: może było się zakochanym, lecz nie pamięta się tego i podejrzewa, że zakochanym się nie było. Będąc próżny, nie wziąłem też pod uwagę innej możliwości: ja, szaleńczo zakochany, zaczynam się

zalecać, a ona przywołuje mnie do porządku uprzejmie, łagodnie i stanowczo. Nie odchodzi, bo ja jestem dżentelmenem i od tego dnia postępuję, jakby nic się nie stało; Sybilli w gruncie rzeczy dobrze się u mnie pracuje, może nie chce utracić posady, może pochlebiają jej moje zaloty, nie zdaje sobie sprawy, że jej kobieca próżność została mile połączona, lub nie wyznaje tego nawet sobie samej. Spozstrzega przy tym, że ma nade mną pewną władzę. Allumeuse, kokietka. I coś jeszcze gorszego. Ta cicha woda wydoiła ze mnie masę forsy, robiłem, co chciała, oczywiście zostawiłem wszystko w jej rękach, z przyjmowaniem należności, wpłatami do banku, może także podejmowaniem pieniędzy z konta włącznie. Ja piałem kukuryku jak profesor Rath w filmie Błękitny Anioł, byłem człowiekiem skończonym, nie miałem już wyjścia - znajdę je może dzięki tej opatrnościowej dolegliwości, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ależ jestem podły, jak mogę tak brukać wszystko, czego dotykam, może jest wciąż dziewicą, a ja robię z niej kurwę. W każdym razie nawet samo podejrzenie, podejrzenie zanegowane, pogarsza sprawę: jeśli nie pamiętasz, czy kochałeś, nie wiesz także, czy osoba, którą może kochałeś, była godna twojej miłości. Ta Vanna, którą spotkałem niedawno na ulicy, to był przypadek jasny - flirt, jedna lub dwie spędzone razem noce, potem może kilka dni rozczarowania. Tu jednak wchodzi w grę cztery lata mojego życia. Jambo, może zakochujesz się w niej teraz, może przedtem do niczego nie doszło, a ty teraz biegiesz ku przepaści? Tylko dlatego, że uważałeś się przedtem za potępieńca, teraz zaś chcesz trafić do swojego raju? No i proszę sobie wyobrazić, że są wariaci, którzy piją, żeby zapomnieć, albo się narkotyzują; ach, gdybym tylko mógł, mówią, chciałbym wszystko zapomnieć. Tylko ja znam prawdę - zapomnieć to

męczarnia. Czy istnieją narkotyki przywracające pamięć?

Może Sybilla...

No i zaczynam znowu. Kiedy widzę, jak idziesz w oddali niczym królowa, z rozpuszczonymi włosami, wyprostowana dumnie, zawrót głowy ze sobą mnie porywa.

Następnego dnia rano wsiadłem do taksówki i pojechałem do biura Gianniego. Zapytałem go wprost, co wie o mnie i o Sybilli. Wydawał się zupełnie zaskoczony.

- Ależ, Jambo, wszyscy podkochujemy się trochę w Sybilli. Ja, twoi koledzy po fachu, wielu klientów. Są tacy, co przychodzą do ciebie tylko po to, żeby ją zobaczyć. Ale to dla żartu, tak po studencku. Podkpiwaliśmy z siebie nawzajem i często żartowaliśmy. Musi być coś między tobą a Sybillą, mówiliśmy. Ty śmiałeś się, czasem udawałeś tajemniczość, jakbyś chciał dać nam do zrozumienia Bóg wie co, czasem mówiłeś: przestańcie, mogłaby być moją córką. Taka sobie zabawa. Dlatego tamtego wieczoru spytałem cię o Sybillę. Myślałem, że już ją widziałeś, chciałem się dowiedzieć, jakie zrobiła na tobie wrażenie.

- Nigdy nie opowiadałem ci niczego o mnie i o Sybilli?

- Bo było coś między wami?

- Nie udawaj głupka, wiesz, że nic nie pamiętam. Jestem tu, żeby się dowiedzieć, czy czegoś ci na ten temat nie opowiadałem.

- Nie. A przecież o swoich przygodach miłosnych opowiadałeś mi zawsze, może żeby wzbudzić we mnie zazdrość. O pani Cavassi, o Vannie, o Amerykance z Salonu Książki w Londynie, o tej pięknej małej Holenderce, dla której trzy razy jeździłeś umyślnie do Amsterdamu, o Silvanie...

- No proszę, ile to ja miałem romansów...

- Dużo. Za dużo dla mnie, który zawsze uprawiałem monogamie. Ale o Sybilli, przysięgam, nigdy mi nic nie mówiłeś. Co ci też przyszło do głowy? Wczoraj ją zobaczyłeś, uśmiechnęła się do ciebie i zaraz pomyślałeś, że nie można było mieć jej blisko siebie i nie spróbować szczęścia. To ludzkie, już cię widzę, jak mówisz: kim jest ten niedołęga?... No i jeszcze nikomu z nas nie udało się dowiedzieć, czy Sybilla ma swoje własne życie. Zawsze pogodna, gotowa pomóc każdemu, jakby robiła przyjemność tylko jemu osobiście. Można być kokietką właśnie dlatego, że nie stroi się minek. Lodowy sfinks.

Gianni był prawdopodobnie szczery, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Jeżeli wobec Sybilli narodziło się we mnie uczucie ważniejsze od wszystkich innych, uczucie przez duże „U”, to, rzecz jasna, nie opowiedziałem o nim nawet Gianniemu. Miał to być rozkoszny spisek między mną a Sybillą.

Albo i nie. Poza godzinami pracy lodowy sfinks ma jakieś osobiste życie. Może już teraz jest w czyimś towarzystwie, to jej sprawy. Jest doskonała, nie miesza pracy z życiem prywatnym. Kąsa mnie zazdrość z powodu nieznanego rywala. A jednak ktoś zerwie twój kwiat, usta źródlane, ktoś, kto się tego nie dowie, poławiacz gąbek posiedzie tę rzadką perłę.

- Jambo, mam dla ciebie wdowę - powiedziała Sybilla, puszczając do mnie oko. Doskonale, robi się poufała.

- Co to za wdowa? - spytałem.

Wy tłumaczyła mi, że antykwariusze mojej klasy zaopatrują się w książki na kilka sposobów. Przychodzi ci do sklepu człowiek i pyta, czy

książka, którą przyniósł, jest coś warta. Jeśli jest coś warta, cena będzie zależała od twojej uczciwości, ale na pewno będziesz chciał trochę zarobić. Klient może też być kolekcjonerem mającym trudności finansowe; wtedy wie, ile oferowana książka jest warta, a ty co najwyżej nalegasz na obniżenie ceny. Innym sposobem są zakupy na międzynarodowych licytacjach. Wtedy zrobisz dobry interes tylko pod warunkiem, że będziesz jedynym, który zdaje sobie sprawę, ile dana książka jest warta - ale twoi konkurenci nie są przecież głupcami. Margines zysku jest więc minimalny i rośnie tylko wtedy, kiedy książka warta jest naprawdę bardzo dużo. Kupujesz książki także od kolegów po fachu, bo któryś z nich może mieć tom mało interesujący dla jego kręgu klientów i wyznaczy niską cenę, a ty znasz właśnie amatora gotowego na wszystko. Jest wreszcie sposób sępa. Wyszukujesz dostojną, ale podupadłą rodzinę ze starym pałacem i wiekową biblioteką i czekasz, aż po śmierci ojca, męża czy wuja spadkobiercy będą mieli tyle kłopotu ze sprzedażą mebli i biżuterii, że nie poradzą sobie z wyceną tego stosu książek, których nigdy nie otwierali. Mówi się „wdowa”, ale może to być siostrzeniec, któremu te przeklęte pieniądze - choćby niewielkie - potrzebne są zaraz, najlepiej jeżeli na kobiety lub narkotyki. Idziesz wtedy obejrzyć książki, spędzasz w cienistych salach dwa lub trzy dni i decydujesz, jaką obrać strategię.

Tym razem była to rzeczywiście wdowa. Sybilli ktoś nadał wiadomość (to moja mała tajemnica, mówiła zadowolona z siebie, z szelmowskim uśmiechem), a wygląda na to, że ja dobrze sobie radzę z wdowami. Sybilla miała mi towarzyszyć, bo sam mógłbym nie rozpoznać tej najważniejszej książki. Jakież piękny apartament, proszę pani. Dziękuję,

może kieliszek koniaku? Potem zaczynamy przeglądać, szperać, bouquiner, browsing... Sybilla szeptała mi do ucha zasady gry. Z reguły znajdujesz dwieście-trzysta tomów bez żadnej wartości. Wyłuskujesz natychmiast rozmaite zbiory praw i dysertacje teologiczne, które trafią na stoiska mediolańskiego Jarmarku Świętego Ambrożego, oraz osiemnastowieczne tomiki małego formatu z Przygodami Telemacha i podróżami do krainy Utopii, wszystkie w takich samych oprawach, nadające się dla dekoratorów wnętrz, którzy kupują je na metry. Następnie dużo równie małych tomików szesnastowiecznych, pisma Cyncerona i różne Retoryki do Hereniusza; niewiele warte, trafią do bukini-stów na placu Fontanella Borghese w Rzymie, kupią je za podwójną cenę ci, którzy chcą opowiadać, że mają w domu książki z szesnastego wieku. Szukasz i szukasz, wreszcie znajdujesz - ja też je zauważyłem - wydanie dzieł Cyncerona, ale kursywą Aldiego, potem Kronikę norymberską w doskonałym stanie, egzemplarz Rolewincka, Ars magna lucis et umbrae Kirchera z przepięknymi rycinami i kilkoma tylko zbrązowiałymi stronami (książki z tamtych lat mają ich zazwyczaj o wiele więcej), a nawet rozkosznego Rabelais'go, wydanie Jean Frédéric Bernard 1741, trzy tomy in quarto z winietami Picarta, wspaniale oprawione w czerwony marokiny, okładki ryte złotem, pozłacane ozdoby na grzbiecie, wkładki wewnętrzne z zielonego jedwabiu w złote ząbki, które zmarły pokrył starannie niebieskim papierem, żeby ich nie uszkodzić - tak, że na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniały. Oczywiście to nie to samo co Kronika norymberska, szeptała mi dalej Sybilla, oprawa jest z czasów nowszych, ale dla amatora, sygnowana Rivière & Son. Fossati kupiłby od razu - powiem ci później, kto to jest - bo kolekcjonuje oprawy.

Wybraliśmy w końcu dziesięć tomów, których korzystna sprzedaż przyniosłaby nam co najmniej sto milionów lirów - za samą Kronikę można by dostać minimum pięćdziesiąt. Kto wie, dlaczego te książki tam się znajdowały. Zmarły był notariuszem, dla którego domowa biblioteka stanowiła status symbol, ale musiał też być dość oszczędny i kupował tylko to, co niezbyt drogo kosztowało. Książki naprawdę wartościowe nabył zapewne ze czterdzieści lat temu, tuż po wojnie, kiedy kosztowały tyle co nic. Sybilla powiedziała mi, jak trzeba teraz postąpić. Poprosiłem do nas właścicielkę, zachowując się tak, jakbym nigdy nie przestał wykonywać zawodu. Powiedziałem jej, że ksiązek jest dużo, ale całkiem bezwartościowych. Rzuciłem na stół tomy w najgorszym stanie, z pobrudzonymi stronami, plamami wilgoci, źle pozszywane, z marokinową oprawą jakby pociągniętą papierem ściernym, stoczone przez czerwie jak koronka. Proszę popatrzeć, mówiła Sybilla, tej książce nie da się przywrócić pierwotnego wyglądu nawet pod prasą; ja wspomniałem coś o Jarmarku Świętego Ambrożego.

- Nie wiem nawet, proszę pani, czy uda mi się je wszystkie odsprzedać, a pani rozumie, że koszty magazynowania byłyby znaczne. Oferuję pani pięćdziesiąt milionów za całą działkę.

- Działkę, mówi pan?

Ach, nie, pięćdziesiąt milionów za tę wspaniałą bibliotekę, którą mąż zbierał przez całe życie, byłoby obrazą jego pamięci. Przechodzimy do następnej fazy rokowań.

- No, proszę pani, nas interesowałoby najwyżej tych dziesięć pozycji. Chcę panią usatysfakcjonować i proponuję trzydzieści milionów tylko za nie.

Właścicielka kalkuluje: pięćdziesiąt milionów za ogromną bibliotekę to obraza świętej pamięci zmarłego, trzydzieści milionów za dziesięć książek to dobry interes, resztę kupi inny księgarz, mniej wybredny i bardziej hojny. Sprawa załatwiona.

Wróciliśmy do antykwariatu rozweseleni jak dzieci, którym udało się splatać figla.

- Czy to nieuczciwe? - zapytałem.

- Ależ nie, Jambo, cosi fan tutti, tak robią wszyscy. - Ona też cytuje jak ja. - Gdyby trafiła na jednego z twoich kolegów, dostałaby jeszcze mniej. Zresztą widziałeś meble, obrazy i srebra. To ludzie z masą pieniędzy, na książkach im wcale nie zależy. My pracujemy dla tych, którzy książki naprawdę kochają.

Co bym zrobił bez Sybilli! Twarda i łagodna, przebiegła jak gołąbka. Znowu zacząłem fantazjować, wpadając w przeklęty wir dni poprzednich.

Na szczęście odwiedziny u wdowy zupełnie mnie wyczerpały. Poszedłem od razu do domu. Paola zauważyła, że od kilku dni wydaję się bardziej zgaszony niż zwykle, że za bardzo się męczę. Lepiej, że bym chodził do pracy co drugi dzień.

Usiłowałem myśleć o czym innym.

- Sybillo, żona mówi, że zbierałem teksty o mgle. Gdzie one są?

- To były okropne kserokopie, powoli przeniosłam wszystko do komputera. Nie dziękuj mi, dobrze się ubawiłam. Zaraz ci ich poszukam.

Wiedziałem, że istnieją komputery (tak jak wiedziałem, że istnieją samoloty), lecz oczywiście po raz pierwszy dotykałem jednego z nich. Podobnie jak to było z rowerem, zaledwie go dotknąłem, wszystko sobie przypomniałem, moje palce same zaczęły się poruszać.

O mgle zebrałem co najmniej sto pięćdziesiąt stron cytatów. Musiałem rzeczywiście ją lubić. Oto Flatlandia Edwina Abbotta, kraina o dwóch tylko wymiarach, zamieszкана przez figury płaskie - trójkąty, kwadraty i wieloboki. Jak rozpoznają się wzajemnie, skoro nie mogą patrzeć z góry i postrzegają wyłącznie linie? Dzięki mgle. Tam, gdzie mgły jest pod dostatkiem, obiekty widziane z odległości, powiedzmy, metra rysują się mniej wyraźnie niż te, które znajdują się w odległości dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów, i różnicę tę stosunkowo łatwo uchwycić. Dzięki temu, w wyniku uważnej i ciągłej obserwacji oraz porównywania zmieniającej się wyrazistości obrazu, możemy z dużą dokładnością określić kształty widzianych obiektów. Szczęściarze z tych trójkątów, które krążą we mgle i coś widzą - tu sześciokąt, tam równoległobok. Dwuwymiarowe, ale w lepszej sytuacji ode mnie.

Potrafiłem wyrecytować z pamięci większość cytatów.

- Jak to możliwe - spytałem potem Paolę - jeżeli zapomniałem wszystko, co mnie dotyczy. Ten zbiór sporządziłem ja sam, dzięki osobistemu zaangażowaniu.

- Pamiętasz je nie dlatego - odpowiedziała - że je zebrałeś, ale zebrałeś je dlatego, że je pamiętałeś. Stanowią część twojej encyklopedii, tak samo jak inne wiersze, które deklamowałeś mi pierwszego dnia po powrocie do domu.

W każdym razie przypomniałem je sobie od razu. Zaczynając od Dantego:

Jak iv chwili gdy są mgły z powietrza strzęśły, Wzrok wyłuskiwać zacznie kształtów ziarno, Które wprzód przed nim taił obłok zgęśły, Tak gdy spojrzeniem wiercę gęstwą czarną...

D'Annunzio napisał piękne strony o mgle w Notturmo: Spostrzegam kogoś, co chodzi u mego boku bez szelestu, jakby bosymi nogami... Mgła wciska się w usta, zachodzi w płuca. Kłębi się ona w stronę ku kanałowi i gęstnieje. Nieznajomy szarzeje, odcieleśnia się jeszcze więcej, staje się cieniem... Przed domem antykwariusza znika nagle. Otóż to, antykwariusz jest jak czarna dziura - co wpadnie do środka, ginie na zawsze.

Z Dickensa klasyczny początek Samotni: Wszędzie mgła. Mgła w górze rzeki toczącej tam wody pośród zielonych łąk i wysepek. Mgła w dole rzeki, która omywa tam nabrzeża portowe i przycumowane okręty, i wszelkiego rodzaju śmiecie wyrzucane przez wielkie i brudne miasto. Znajduję też ostatnie słowa Emi-ly Dickinson: Let us go in; the fog is rising, wejdźmy, podnosi się mgła.

- Nie znałam Pascolego - powiedziała Sybilla. - Posłuchaj, jakie to piękne.

Była teraz bardzo blisko mnie, naprawdę mogłaby musnąć włosami mój policzek. Nie zrobiła tego jednak. Odstępując od francuskiego, wymawiała włoski miękko, na sposób Słowian.

W mglisty spowite zamęt nieruchome drzewa - parowozu przeciągły lament.

Mgło, skrywasz rzeczy odległe w bladości swoich firanek, dymie, który wypełniasz poranek.

Zatrzymała się na trzecim cytacie:

- Mgła... wybiera?

- Wzbiera, to znaczy „wzrasta”, „potężnieje”.

- Ach! - Wydawała się podekscytowana opanowaniem nowego słowa.

Mgła wzbiera, mocniej paruje i liście krzykliwe budzi, w martwy żywopłot nurkuje lekki rudzik.

We mgle jak w gorączce trzcina śpiewnie drzy u nabrzeży, nad mgłą w oddali się wspina profil wieży.

Dobry opis mgły u Pirandella, chociaż to Sycylińczyk: Mgła opadała... wokoło każdej latarni widniała mglista obwódka. Lepszy jednak Mediolan u Savinia: Mgła jest wygodna. Zamienia miasto w olbrzymią bombonierę, a jego mieszkańców w kandyzowane owoce... Przechodzą we mgle zakapturzone kobiety i dziewczęta. Lekki dymek unosi się wokół nozdrzy i wpółotwartych ust... Zęby tak znaleźć się w salonie powiększonym lustrami... obejmować się, pachnąc jeszcze mgłą, kiedy mgła z zewnątrz napiera na okna i zaciemnia je dyskretnie, milcząco, opiekuńczo...

A mediolańskie mgły Vittoria Sereniego:

Drzwi daremnie otwarte na mglisty wieczór niczego nikogo tu nie ma jest tylko podmuch smogu głos gazeciarza - paradoksalny - „Tempo di Mi lano” alibi i dobrodziejstwo mgły rzeczy tajemne wędrują w ukryciu idą ku mnie odstepuje mnie przeszłość historii przeszłość pamięci: dwudziesty trzynasty trzydziesty trzeci lata jak tramwajowe numery...

Zbierałem wszystko. Oto Król Lear {Piękność zakażcie jej, wy, mgły, opite bagnem, wysane słońcem...} i Dino Campana: Od wyłomu w czerwonych, zwietrzałych bastionach, milcząc, rozchodzą się we mgle długie ulice. Niedobry opar mgły kołysze się smutno między budynkami, zasnuwając wierzchołki wież. Długie, milczące ulice, opustoszałe jak po splądrowaniu przez wroga.

Sybilla zachwycała się Flaubertem:...un jour blanchâtre passait par

les fenêtres sans rideaux. On entrevoyait les cimes d'arbres, et plus loin la prairie, à demi noyée dans le brouillard, qui fumait au clair de la lune... białawe światło sączyło się przez okna bez firanek. Dostrzec było można wierzchołki drzew, a dalej łąkę na wpół pogrążoną we mgle, która dymiała w blasku księżyca... A także Baudelaire'em: Une mer des brouillards baignait les édifices I Et les agonisants au fond des hospices... Gmachy grażyły się w mglistej toni, / W szpitalach chorzy leżeli w agonii...

Wymawiała słowa innych, lecz dla mnie jakby tryskały one ze źródła. Forse qualcuno ti disfiorerà, bocca di sorgiva... Może ktoś zerwie twój kwiat, usta źródlane...

Sybilla była tutaj, mgła - nie. Inni widzieli ją i wyrazili w dźwiękach. Może pewnego dnia mógłbym naprawdę zagłębić się w mgłę, gdyby Sybilla poprowadziła mnie za rękę.

Gratarolo wykonał mi już kilka badań kontrolnych, ale - ogólnie biorąc - aprobuje sposób, w jaki postępowała ze mną Paola. Jest zadowolony, że stałem się prawie samodzielny i wyeliminowałem przynajmniej początkowe frustracje. Tak się mu wydaje.

Spędziłem szereg wieczorów z Giannim, Paolą i córkami na grze w skarabeusza; twierdzą, że to moja ulubiona gra. Znajduję z łatwością słowa, zwłaszcza te najmniej zrozumiałe, jak „akrostych” lub „zeugma”. Wpisując „A” i „U” jako początkowe litery dwóch słów pionowych, wyszedłem z pierwszego czerwonego kwadratu pierwszej linii poziomej i dotarłem do drugiej, uzyskując „emfiteuza”. Dwadzieścia jeden punktów pomnożone przez dziewięć plus pięćdziesiąt nagrody za zużytkowanie wszystkich siedmiu moich liter, dwieście trzydzieści dziewięć punktów za jednym zamachem.

Gianni się rozzłościł.

- I to się nazywa, że straciłeś pamięć! - krzyczał.

Robi tak, żebyś nabrał wiary w siebie.

Nie tylko straciłem pamięć, ale chyba miewam fikcyjne wspomnienia. Gratarolo powiedział kiedyś, że w przypadkach takich jak mój niektórzy wymyślają strzępy przeszłości nigdy nieprzeżytej, aby tylko mieć wrażenie, że coś pamiętają. Może wziąłem Sybillę za pretekst?

Musiałem jakoś z tym skończyć. Przebywanie w antykwariacie stawało się udręką. Powiedziałem Paoli, cytując Pavese'go: - Praca męczy. Widzę tylko i zawsze ten sam kawałek Mediolanu. Może jakaś podróż dobrze by mi zrobiła. W sklepie nie będzie problemów, Sybilla przygotowuje już nowy katalog. Moglibyśmy pojechać na przykład do Paryża.

- Paryż byłby dla ciebie jeszcze zbyt męczący, z podróżą i całą resztą. Daj mi się zastanowić.

- Słusznie. Paryż nie. Do Moskwy! Do Moskwy!

- Do Moskwy?

- To Czechów. Wiesz, że cytaty są dla mnie jedynymi latarniami we mgle.

4. SAM CHODZĘ PO ULICY

Obejrzałem dużo zdjęć rodzinnych, które oczywiście nic mi nie mówiły. Zresztą dotyczyły tylko okresu od chwili poznania Paoli. Fotografie z mojego dzieciństwa - jeśli w ogóle istnieją - muszą znajdować się gdzieś w domu w Solarze.

Rozmawiałem przez telefon z moją siostrą w Sydney. Kiedy dowiedziała się o mojej chorobie, chciała od razu przyjechać, ale była właśnie po dość delikatnej operacji i lekarze zabronili jej tak uciążliwej podróży.

Ada usiłowała wywołać coś z mojej pamięci, potem zrezygnowała i wybuchnęła płaczem. Powiedziałem jej, że kiedy przyjedzie, ma mi przywieźć w prezencie dziobaka - kto wie dlaczego. Biorąc pod uwagę stan moich wiadomości, mogłem z równym powodzeniem zażądać kangura, ale widocznie wiem, że zanieczyszcza on mieszkanie.

Chodziłem do antykwariatu tylko na kilka godzin dziennie. Sybilla przygotowuje nowy katalog i oczywiście radzi sobie dobrze z bibliografią. Rzucam okiem na to, co pisze, mówię, że jest wspaniałe, i dodaję, że idę do lekarza. Patrzy z lękiem, jak wychodzę. Wie, że jestem chory; czy w wizycie u lekarza jest coś niezwykłego? A może myśli, że od niej uciekam? Nie mogę przecież jej powiedzieć: „Nie chcę cię wykorzystywać jako pretekst do wyrobienia sobie fikcyjnej pamięci, moja biedna, ukochana mała”.

Spytałem Paolę, jakie były moje przekonania polityczne.

- Nie chciałbym odkryć w sobie Bóg wie kogo, na przykład jakiegoś nazisty.

- Jesteś tym, o którym się mówi: prawdziwy demokrat - powiedziała

Paola - ale jesteś nim raczej instynktownie niż ze względów ideologicznych. Mówiłam zawsze, że polityka cię nudzi, a ty nazywałeś mnie polemicznie La Pasionaria. Jakbyś schronił się wśród starych książek ze strachu albo z pogardy dla świata. Nie, jestem niesprawiedliwa, nie z pogardy, bo pasjonowały cię wielkie problemy moralne. Podpisywałeś apele pacyfistów i zwalczających przemoc, oburzałeś się na rasizm. Zapisaleś się nawet do ligi przeciwników wiwisekcji.

- Zwierząt, wyobrażam sobie.

- Oczywiście. Wiwisekcja ludzi nazywa się wojną.

- No i byłem taki... zawsze, także zanim cię poznałem?

- Nie wypowiadałeś się na temat swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Zresztą nigdy mi się nie udało dokładnie cię zrozumieć w tych sprawach. Zawsze mieszałeś litość z cynizmem. Kiedy skazano gdzieś kogoś na śmierć, podpisywałeś apel w jego obronie, wysyłałeś pieniądze organizacjom do walki z narkomanią. Ale kiedy ci powiedziano, że zginęło dziesięć tysięcy dzieci w wojnie plemiennej w Afryce Środkowej, wzruszałeś ramionami, jakbyś chciał dać do zrozumienia, że świat jest źle urządzony i że nie ma na to rady. Byłeś zawsze jowialny, lubiłeś piękne kobiety, dobre wino, dobrą muzykę, ale ja odnosiłam wrażenie, że jest to jakaś zewnętrzna skorupa, rodzaj kamuflażu. W chwilach szczerości mówiłeś, że historia jest krwawą zagadką, a świat - wielką pomyłką.

- Nic nie odwiedzie mnie od myśli, że ten świat jest tworem boga ciemności, którego cień ja wydłużam.

- Kto to powiedział?

- Już nie pamiętam. Chyba Cioran.

- W każdym razie to zdanie musiało wyrzeć na tobie duże

wrażenie. Mówmy dalej: zawsze robiłeś wszystko, aby pomóc potrzebującym. Po powodzi we Florencji zgłosiłeś się na ochotnika, żeby wydobywać z błota książki. Powiem tak: okazywałeś współczucie w sprawach drobnych, a cynizm - w wielkich.

- I chyba słusznie. Robi się tylko to, co można. Reszta to wina Pana Boga, jak mawiał Gragnola.

- A kto to taki?

- Tego jeszcze nie wiem, ale widocznie kiedyś wiedziałem.

Co kiedyś wiedziałem?

Pewnego ranka obudziłem się, poszedłem zrobić sobie kawę (bezkofeinową) i zacząłem nucić: Rzymie, dziś wieczorem się nie wygłupiaj. Dlaczego przypomniałem sobie tę piosenkę? To dobry znak, powiedziała Paola, wracasz do dawnych obyczajów. Wygląda więc na to, że codziennie rano, robiąc sobie kawę, śpiewałem jakąś piosenkę. Ta właśnie, a nie inna, przyszła mi do głowy bez żadnej konkretnej przyczyny. Wszelkie dociekania (co mi się dziś w nocy śniło, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, co czytałem przed zaśnięciem?) nie dały żadnych zadowalających wyników. Być może - przypuśćmy - sposób, w jaki wciągam skarpetki, kolor włożonej koszuli, dostrzeżony kątem oka słoik budzą we mnie pamięć dźwiękową.

- Z tym - dodała Paola - że zawsze śpiewałeś tylko piosenki powstałe nie wcześniej niż w latach pięćdziesiątych, cofając się co najwyżej do przebojów z pierwszych festiwali w San Remo, jak Leć, biała gołąbko, leć albo Kaczuszka i mak. Nie zapuszczałeś się nigdy dalej, żadnej piosenki z lat czterdziestych, trzydziestych czy dwudziestych.

Paola wspomniała mi też o Sama chodzę po ulicy, słynnej piosence z

lat powojennych; ona była wtedy małą dziewczynką, ale tę piosenkę miała jeszcze w uszach, ponieważ ciągle nadawano ją przez radio. Tak, zdawało mi się, że ją znam, ale nie przejawiałem żadnego szczególnego zainteresowania, zupełnie jakby mi zaśpiewano *Casta diva*, a wydaje się, że nigdy nie byłem entuzjastą opery lirycznej. Bardzo tej piosence daleko do *Eleanor Rigby* albo *Que sera, sera* czy wreszcie do *Jestem kobietą, nie jestem świętą*. Mój brak zainteresowania piosenkami dawnymi Paola przypisywała temu, co określała mianem „usunięcie dzieciństwa”.

Zauważyła także z biegiem lat, że jestem znawcą muzyki klasycznej i jazzowej. Chodziłem chętnie na koncerty, słuchałem płyt, ale nigdy nie miałem ochoty nastawić radia; mogłem co najwyżej słuchać go z pewnej odległości, jeśli włączył je ktoś inny. Najwidoczniej radio było dla mnie - podobnie jak dom na wsi - przeżytkiem z innych czasów.

Następnego dnia rano, po przebudzeniu, robiąc sobie kawę, zaśpiewałem jednak:

Sama chodzę po ulicy, mijam ludzi, kamienice, chcę cię znaleźć, lecz nie umiem, próżno szukam ciebie w tłumie.

Nie ma ciebie już koło mnie, lecz nie mogę cię zapomnieć. Nic dziwnego - ty miłością pierwszą jesteś, namiętnością, i radością, wielką miłością.

Melodia sama cisnęła mi się na usta. Zwilgotniały mi oczy.

- Dlaczego właśnie ta? - zapytała Paola.

- Tak sobie. Może dlatego, że jej właściwy tytuł brzmi: Szukam ciebie. Kogo - nie wiem.

- Przekroczyłeś barierę lat czterdziestych - stwierdziła Paola, wyraźnie zaciekawiona.

- Nie o to chodzi - odpowiedziałem. - Poczułem coś wewnątrz. Coś jakby dreszcz. Nie, nie jakby dreszcz. Jakby... Znasz Flatlandię, ty też czytałaś tę powieść fantastycznonaukową. A więc te trójkąty i kwadraty żyją w dwóch wymiarach, nie wiedzą, czym jest wysokość. Wyobraź sobie teraz, że ktoś z nas, żyjących w trzech wymiarach, dotknie ich z góry. Wywołałby u nich wrażenie, którego nigdy nie doświadczyły, nie umiałyby powiedzieć, co to za uczucie. Jakby do nas przyszedł ktoś z czwartego wymiaru i dotknął nas delikatnie od wewnątrz, powiedzmy, w odzwierniak. Co czujesz, kiedy ktoś łaskocze ci odzwierniak? Ja powiedziałbym: tajemniczy płomień.

- Co rozumiesz przez „tajemniczy płomień”?

- Nie wiem, tak sobie powiedziałem.

- Poczuleś to samo co wtedy, kiedy zobaczyłeś zdjęcie swoich rodziców?

- Prawie. To jest nie. Ale właściwie dlaczego nie? Prawie to samo.

- Bardzo interesujący sygnał, Jambo. Trzeba to odnotować.

Nie traci nadziei, że mnie uzdrowi. A ja może czułem ten tajemniczy płomień, myśląc o Sybilli.

Jest niedziela.

- Idź się przejść - powiedziała Paola - dobrze ci to zrobi. Nie opuszczaj ulic, które znasz. Na placu Cairola znajdziesz kwaciarnię, czynną zwykle także w dni świąteczne. Kup ładny bukiet wiosennych kwiatów albo samych róż, nasze mieszkanie wygląda okropnie ponuro.

Kwaciarnia na placu Cairola była zamknięta. Pospacerowałem ulicą Dantego aż do Cordusio, skręciłem na prawo w stronę Giełdy i spostrzegłem, że w niedzielę spotykają się tam kolekcjonerzy z całego

Mediolanu. Na placu Cordusio stoiska ze znaczkami pocztowymi, wzdłuż całej ulicy Armorari stare pocztówki, potem skrzyżowanie Pasażu Centralnego zajęte przez sprzedawców monet, ołowianych żołnierzyków, świętych obrazków, zegarków, nawet kart telefonicznych. Kolekcjonerstwo jest odbytowe, powinienem był to wiedzieć. Ludzie gotowi są zbierać wszystko, nawet kapsle od butelek Coca-Coli; w końcu zużyte karty telefoniczne kosztują mniej od moich inkunabułów. Na placu Edisona po lewej stoiska z książkami, czasopismami, afiszami reklamowymi, naprzeciwko sprzedają różne śmieci - lampy Liberty z pewnością podrabiane, tace z kwiatami na czarnym tle, figurki tancerek z biskwitowej porcelany.

Na jednym ze stoisk zobaczyłem cztery walcowate szklane pojemniki, szczelnie zamknięte i wypełnione wodnistym roztworem (formaliną?), w którym pływały przedmioty koloru kości słoniowej, okrągłe lub w kształcie fasoli, powiązane śnieżnobiałymi włóknami. Wyglądały na morskie stwory - strzykwy, części polipów, wyblakłe korale; ale mogły też być owocem chorej, rodzącej monstra wyobraźni jakiegoś artysty, może Yves'a Tanguy?

Właściciel pojemników wyjaśnił mi, że zawierają one jądra: psa, kota, koguta i jeszcze jakiegoś zwierzaka, wraz z nerkami i innymi przyległościami.

- Wszystko pochodzi z laboratorium doświadczalnego z dziewiętnastego wieku, czterdzieści tysięcy lirów za sztukę. Same pojemniki są warte dwa razy tyle, mają przynajmniej sto pięćdziesiąt lat. Cztery razy cztery szesnaście, odstąpię je panu wszystkie cztery za sto dwadzieścia tysięcy. Zrobi pan interes.

Te jądra mnie fascynowały. Wreszcie coś, czego nie mogłem rozpoznać dzięki pamięci semantycznej - według określenia Gratarola - i co nie należało do moich wcześniejszych doświadczeń. Komu zdarzyło się widzieć psie jądra w stanie czystym, bez samego psa? Pogrzebałem po kieszeniach. Miałem wszystkiego czterdzieści tysięcy, a na stoiskach nie przyjmują czeków.

- Biorę te psie.

- Źle pan robi, że nie bierze pan pozostałych. To prawdziwa okazja.

Nie można mieć wszystkiego. Wróciłem do domu z moimi psimi jajami. Paola zbladła.

- Są osobliwe, wydają się naprawdę dziełem sztuki, ale gdzie je postawimy? W salonie? Za każdym razem, kiedy zaproponujesz gościowi orzeszki albo nadziewane oliwki, on zwymiotuje ci na dywan. W sypialni? Wybacz, nie. Postawisz je w antykwariacie, najlepiej obok jakiejś pięknej książki przyrodniczej z okresu baroku.

- Myślałem, że to doskonały zakup.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś jedynym mężczyzną na świecie, jedynym na powierzchni Ziemi od Adama po nasze czasy, którego żona wysłała, żeby kupił bukiet róż, a on wraca do domu z parą psich jaj?

- W każdym razie nadaje się to do Księgi rekordów Guinnessa. Ale wiesz, że jestem chory.

- Piękna mi wymówka. Byłeś zwariowany także przedtem. Nie przypadkiem zażądałeś od siostry dziobaka w prezencie. Kiedyś chciałeś postawić w mieszkaniu bilard automatyczny z lat sześćdziesiątych, który kosztował tyle co obraz Matisse'a i robił piekielny hałas.

Wracając do targu staroci: Paola już go znała, powiedziała nawet, że

ja także musiałem go znać, bo kupiłem tam za dziesięć tysięcy lirów pierwsze wydanie Goga Papiniego, z oryginalną okładką i nierozciętymi stronami. W następną niedzielę pójdziemy tam razem, powiedziała Paola, tak będzie lepiej, bo mogliś wrócić do domu z jądrami dinozaura i trzeba by sprowadzać murarza, żeby poszerzył drzwi wejściowe.

Nie przejawiałem zainteresowania znaczkami pocztowymi i kartami telefonicznymi, ale ciekawiły mnie stare czasopisma. To rzeczy z naszego dzieciństwa, powiedziała Paola. A ja:

- To nie zwracajmy sobie tym głowy.

Jednak w pewnej chwili zobaczyłem na stoisku album Myszki Miki i odruchowo wziąłem go do ręki. Nie mógł być stary, zapewne przedruk z lat siedemdziesiątych, świadczyły o tym tylna strona okładki oraz cena sprzedaży. Otworzyłem go pośrodku.

- To nie oryginał, bo one były dwubarwne, ceglaste i brązowawe, a ten wydrukowano w kolorach białym i niebieskim.

- Skąd ty to wiesz?

- Nie mam pojęcia. Po prostu wiem.

- Ale okładka odtwarza oryginał. Popatrz na datę i cenę: tysiąc dziewięćset trzydzieści siedem, jeden lir pięćdziesiąt.

Skarb Klarabelli, wypisano wielkimi literami na wielobarwnej okładce.

- Pomylili drzewo - powiedziałem.

- Co masz na myśli?

Przekartkowałem pospiesznie album i trafiłem od razu na właściwe

strony. Było jednak tak, jakbym nie chciał czytać zdań zawartych w obłoczkach, jakby zredagowano je w obcym dla mnie języku albo jakby litery pozlepiały się razem. Recytowałem właściwie z pamięci:

- A więc Miki i Horacy Chomąto wzięli starą mapę i poszli szukać skarbu zakopanego przez dziadka czy innego przodka Klarabelli, współzawodnicząc ze wstrętnym panem Skwikiem i perfidnym Pete'em Kuternogą. Przybyli na właściwe miejsce i przyjrzeni się mapie. Należało wyruszyć spod wielkiego drzewa, poprowadzić linię prostą do drzewa mniejszego i dokonać triangulacji. Kopia i kopia, ciągle bez skutku. Wreszcie Miki ma objawienie: mapa pochodzi z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku, upłynęło ponad siedemdziesiąt lat, drzewo nie mogło pozostać małe. Zatem drzewo, które teraz jest duże, wtedy było małe, a drzewo wielkie się przewróciło, ale może są jeszcze jakieś jego szczątki. I rzeczywiście, po dalszych poszukiwaniach znajdują część pnia, dokonują nowych triangulacji, kopia znowu i znajdują skarb tam, gdzie miał być.

- A ty skąd to wszystko wiesz?

- Przecież wszyscy wiedzą, nie?

- Nie, wcale nie wszyscy - powiedziała Paola, wyraźnie podekscytowana. - To nie jest pamięć semantyczna, to pamięć autobiograficzna. Przypominasz sobie coś, co wywarło na tobie wrażenie w dzieciństwie! Wywołał to widok tej okładki.

- Nie, okładka nie. Raczej imię, Klarabella.

- Rosebud. Jak w Obywatelu Kanie.

Oczywiście kupiliśmy album. Cały wieczór zastanawiałem się nad tą sprawą, ale niczego nie udawało mi się wymyślić. Po prostu wiedziałem, bez żadnego tajemniczego płomienia.

- Nie poradzę sobie z tym nigdy, Paolo. Nigdy nie wejść do jaskini pamięci.

- Przypomniałeś sobie przecież od razu historię z dwoma drzewami.

- Proust pamiętał o trzech. Papier, papier, jak wszystkie książki w tym mieszkaniu, jak książki w moim sklepie. Mam papierową pamięć.

- Wykorzystuj więc papier, skoro magdalenki nic dla ciebie nie znaczą. Nie jesteś Proustem, to prawda. Ale nie był nim także Zasięcki.

- Któż to znowu taki?

- Prawie wyleciał mi z pamięci, przypominałam sobie o nim dzięki doktorowi Gratarolo. Jako psycholog nie mogłam nie czytać Świata utraconego i odzyskanego, opisu klasycznego przypadku. Było to jednak dawno temu i w ramach lektur poniekąd obowiązkowych. Dziś przeczytałam go znowu, z osobistym zaangażowaniem. To bardzo przyjemna książeczka, kończy się ją w dwie godziny. A zatem Aleksander Łuria, znakomity rosyjski neuropsycholog, zajął się przypadkiem porucznika Zasięckiego, któremu podczas ostatniej wojny światowej odłamek pocisku uszkodził lewą okolicę ciemieniowo-potyliczną mózgu. On też odzyskał przytomność, ale w stanie zupełnie konfuzjonalnym, nie umiając nawet umiejscowić swojego ciała w przestrzeni. Chwilami myślał, że niektóre części jego ciała uległy zmianie, że głowa stała się olbrzymia, a tułów malutki, że nogi wyrastają mu z głowy.

- To chyba nie mój przypadek. Nogi na głowie? Penis zamiast nosa?

- Poczekaj. Nogi na głowie to jeszcze nic, odnosił takie wrażenie

tylko od czasu do czasu. Najgorzej było z pamięcią. Pamięć miał w strzępach, jakby sproszkowaną, zupełnie nie tak jak ty. Wprawdzie też nie przypominał sobie miejsca urodzenia ani imienia matki, ale ponadto nie umiał czytać ani pisać. Łuria zaczyna go leczyć, Zasiiecki ma żelazną wolę, uczy się na nowo czytać i pisać - i pisze, pisze, pisze. Przez dwadzieścia pięć lat rejestruje nie tylko to wszystko, co odkopał w zdewastowanej jaskini swojej pamięci, ale i to, co się z nim dzieje dzień po dniu. Tak jakby ręka, dzięki swoim automatyzmom, miała uporządkować to, z czym nie radziła sobie głowa. Można powiedzieć, że to, co pisał, było bardziej inteligentne od niego samego. W ten sposób stopniowo odnalazł się na papierze. Ty nie jesteś nim, ale zafrapowało mnie, że on odtworzył sobie pamięć z papieru. Zabrało mu to dwadzieścia pięć lat. Ty masz już papier, ale najwyraźniej nie ten, który jest tutaj. Twoją jaskinią jest nasz dom na wsi. W ostatnich dniach dużo o tym myślałam. Zbyt zdecydowanie zamknąłeś na klucz papiery swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Może jest w nich coś bardzo osobistego. Teraz zrobisz jedną rzecz dla mnie. Pojedziesz do Solary. Sam, bo, po pierwsze, ja nie mogę przerwać pracy, a po drugie, bo moim zdaniem musisz wszystkiego dokonać sam. Zostaniesz tam, jak długo będzie trzeba, i zobaczysz, co się z tobą stanie. Najwyżej stracisz tydzień lub dwa, w każdym razie zaczerpniesz trochę zdrowego powietrza, nie zaszkodzi ci to na pewno. Zadzwońłam już do Amalii.

- Kim jest Amalia? Żoną Zasiieckiego?

- Właśnie, jego babką. Nie opowiedziałam ci jeszcze wszystkiego o Solarze. Od czasów twojego dziadka siedzieli tam dzierżawcy - Maria i Tommaso, zwany Masulu. Wokół domu było dużo gruntu, przeważnie pod

winnice, i sporo trzody. Przy Marii dorastałeś, bardzo cię kochała. Podobnie jej córka Amalia, starsza od ciebie o jakieś dziesięć lat; była dla ciebie starszą siostrą, niańką, wszystkim. Byłeś jej bożyszczem. Kiedy twoi wujostwo sprzedali ziemię i chatę na zboczu, pozostały jeszcze mała winnica, sad, warzywnik, chlew, królikarnia i kurnik. Nie warto było mówić o dzierżawie, powierzyłeś wszystko Masulu, jakby to była jego własność, pod warunkiem że zajmie się domem. Potem zmarli także Masulu i Maria. Amalia nie wyszła za mąż... nigdy nie była zbyt urodziwa... i mieszka tam nadal. Sprzedaje jajka i kurczaki we wsi,

w odpowiedniej chwili przychodzi rzeźnik, żeby zaszlachtować wieprza, kuzyni pomagają jej spryskiwać winorośl i robić małe winobranie. Jest zadowolona, czuje się tylko trochę samotna i bardzo się cieszy, kiedy przyjeżdżają nasze córki z dziećmi. Płacimy jej za to, co zjemy - jajka, kurczaki, salami; ale za owoce i warzywa nie chce nic przyjąć, to jest wasze, mówi. Złota kobieta; a jak gotuje, sam się przekonasz. Była zachwycona, że masz przyjechać. Panicz Jambo to, panicz Jambo tamto, taka jestem szczęśliwa, zobaczy pani, wyleczę go z tej choroby jego ulubioną sałatką...

- Panicz Jambo. Brzmi wspaniale, ale właściwie dlaczego nazywacie mnie Jambo?

- Dla Amalii będziesz paniczem nawet w wieku osiemdziesięciu lat. Co się tyczy Jamba, wytłumaczyła mi to kiedyś właśnie Maria. Ty tak postanowiłeś jako dziecko. Mówiłeś: nazywam się Jambo, ten z kędziorkiem. I zostałeś Jambem dla wszystkich.

- Z kędziorkiem?

- Widocznie miałeś wtedy ładny lok. Zresztą mogę łatwo zrozumieć,

że nie podobało ci się imię Giambattista - Jan Chrzciciel. Ale nie mówmy już o danych osobowych. Jedziesz. Nie pociągiem, bo musiałbyś cztery razy się przesiadać. Zawiezie cię samochodem Nicoletta, musi zresztą zabrać stamtąd rzeczy, których zapomniała w Boże Narodzenie. Potem ona zaraz wróci, a ty zostaniesz w rękach Amalii, która będzie cię niańczyć, zjawiać się, kiedy potrzeba, i znikać, gdy zapragniesz samotności. W domu od pięciu lat jest już telefon, będziemy mogli zdzwonić się w każdej chwili. Spróbuj, bardzo cię proszę.

Powiedziałem, że potrzebuję kilku dni do namysłu. To ja pierwszy wspomniałem o podróży, aby uniknąć popołudni w pracy. Czy jednak naprawdę chciałem ich uniknąć?

Poruszałem się w labiryncie. W jakimkolwiek pójde kierunku, nie znajdę właściwej drogi. Ale skąd chciałem wyjść? Kto powiedział: Sezamie, otwórz się - ja chcę wyjść! Ja chciałem wejść jak Ali Baba. Wejść do jaskiń pamięci.

O rozwiązanie mojego problemu zadbała Sybilla. Pewnego popołudnia westchnęła wzruszająco, lekko się rumieniąc (jak u Cardarellego: we krwi, która rozlewa się płomieniem po twojej twarzy, śmieje się wszechświat), pomięła przez chwilę wiązkę fiszek, którą trzymała właśnie w rękach, i wreszcie powiedziała:

- Jambo, ty musisz pierwszy się o tym dowiedzieć... Wychodzę za mąż.

- Jak to, wychodzisz za mąż? - zareagowałem, jakbym chciał powiedzieć: „Na co ty sobie pozwalasz?”

- Wychodzę za mąż. Wiesz, co to znaczy, kiedy mężczyzna i kobieta wymieniają obrączki, a inni obrzucają ich ziarnkami ryżu?

- No tak, chciałem powiedzieć... Opuuszczasz mnie?

- Dlaczego miałabym to zrobić? On ma posadę w biurze projektowym, ale dużo jeszcze nie zarabia. Będziemy musieli pracować oboje. Poza tym czy ja mogłabym w ogóle cię opuścić?

Wepchnął mu nóż w serce i dwa razy w nim obrócił. Koniec Procesu Kafki, a dokładniej - koniec procesu w ogóle.

- Czy ten wasz romans... trwa już od dawna?

- Nie. Poznaliśmy się kilka tygodni temu, wiesz, jak to bywa. Fajny chłopak, poznasz go.

Jak to bywa. Może przedtem byli inni fajni chłopcy, a może skorzystała z mojego wypadku, aby przerwać sytuację nie do zniesienia. Może rzuciła się na pierwszego lepszego, skok w ciemność. W takim razie wyrządziłem jej podwójną krzywdę. Kto jej wyrządził krzywdę, głupcze? Idzie wszystko tak, jak powinno. Jest młoda, spotkała rówieśnika, zakochuje się pierwszy raz w życiu... Pierwszy raz, prawda? A jednak ktoś zerwie twój kwiat, usta źródlane, a jego łaską i szczęściem będzie, że cię nie szukał...

- Będę musiał ci dać ładny prezent ślubny.

- Masz jeszcze czas. Postanowiliśmy to wczoraj wieczorem, ale chciałabym poczekać, aż wyzdrowiejesz. Mogłabym wtedy wziąć tydzień urlopu bez wyrzutów sumienia.

Bez wyrzutów sumienia. Co za delikatność. Co jest napisane na ostatniej stronie, którą przeczytałem, zapoznając się z moim zbiorem cytatów o mgłę? A, D'Annunzio w *Triumfie śmierci*: Kiedy przyjechaliśmy na dworzec w Rzymie, tamtego wieczoru w Wielki Piątek, i kiedy już rozstaliśmy się, a ona odjeżdżała dorożką znikającą we mgłę,

czyż nie wydawało mi się, że tracę ją na zawsze, bezpowrotnie?

Historia skończyła się sama. Wszystko, co mogło zdarzyć się przedtem, zostało wymazane. Całkiem czysta, czarna tablica. Odtąd nic, tylko jakby była moją córką.

Mogłem teraz spokojnie wyjechać. Nawet musiałem wyjechać. Powiedziałem Paoli, że pojedę do Solary. Była uszczęśliwiona.

- Zobaczysz, że ci się tam spodoba.

- Złota rybko, I złota rybko, I Usłysz, usłysz me wołanie, / Zona moja mnie przysłała, I Byś spełniła jej żądanie - zacytowałem rybaka z baśni braci Grimm.

- Jesteś naprawdę paskudny. Na wieś, na wieś.

Tego wieczoru, leżąc w łóżku z Paolą, która dawała mi ostatnie zalecenia przed wyjazdem, pogłaskałem jej piersi. Zamruczała delikatnie, a ja odczułem coś podobnego do pożądania, lecz w połączeniu ze słodyczą, a może i z wdzięcznością. Potem mieliśmy stosunek.

Podobnie jak w przypadku szczoteczki do zębów moje ciało przypomniało sobie, jak to się robi. Rzecz odbyła się spokojnie, powolnym rytmem. Ona osiągnęła orgazm najpierw (zawsze tak było, powiedziała mi potem), ja nieco później. Dla mnie był to właściwie pierwszy raz. To rzeczywiście piękne - zgodnie z tym, co mówią. Nie zdziwiłem się; było tak, jakbym głową już wiedział, a ciałem dopiero teraz odkrył, że to prawda.

- Całkiem nieźle - podsumowałem, wyciągając się na wznak. - Teraz rozumiem, dlaczego ludziom tak bardzo na tym zależy.

- Chryste! - skomentowała Paola. - Przyszło mi rozprawiczyć mojego sześćdziesięcioletniego męża!

- Lepiej późno niż wcale.

Zasypiając z ręką Paoli w mojej, nie mogłem jednak powstrzymać się od postawienia sobie pytania, czy z Sybillą byłoby tak samo. Głupcze, szeptałem, zapadając powoli w sen, nigdy się tego nie dowiesz.

Pojechałem. Nicoletta prowadziła, ja patrzyłem na jej profil. Sądząc po moich zdjęciach z czasu ślubu, nos miała mój, podobnie jak wykrój ust. Była rzeczywiście moją córką, nie wciśnięto mi jakiegoś owocu grzechu.

(Bluzka rozchyliła się lekko. Dostrzegł wtedy na jej piersi złoty medalion z misternie wycyzelowaną literą „Y”. Wielki Boże, powiedział, kto go pani podarował? Miałam go zawsze, panie, wisiał już na mojej szyi, kiedy podrzucono mnie dzieckiem na schody klasztoru klarysek w Saint-Aubain, odrzekła. To medalion księżnej, twojej matki! - zawołał. Czy masz może cztery małe znamiona w kształcie krzyża na lewym ramieniu? Tak, panie, ale skąd pan może to wiedzieć? A zatem, a zatem ty jesteś moją córką, a ja twoim ojcem! Ojczy, mój ojczy! Nie, żebyś tylko ty, czysta niewinności, teraz mi nie zemdląła, bo wpadniemy jeszcze do rowu!).

Nie rozmawialiśmy. Pojąłem, że Nicoletta jest z natury małomówna, a w tej chwili czuła się z pewnością zakłopotana, bała się wspomnieć o czymś, czego ja nie pamiętam, i nie chciała mnie niepokoić. Spytałem tylko, w jakim kierunku jedziemy.

- Solara leży na granicy między regionami Langhe i Monferrato, to przepiękne miejsce. Sam zobaczysz, tatusiu.

Podobało mi się, że mnie nazywa tatusiem.

Kiedy opuściliśmy autostradę, początkowo widziałem oznakowania z nazwami znanych mi miast, jak Turyn, Ales-sandria, Asti, Casale. Potem wjechaliśmy w boczne drogi; na drogowskazach widniały nazwy

miejsowości, o których nigdy nie słyszałem. Po kilku kilometrach na równinie i pokonaniu niewielkiego zagłębienia dostrzegłem w oddali niebieskawy zarys kilku wzgórz. Jednak zarys ten nagle zniknął, bo przed nami wyrosła ściana drzew. Samochód wjechał w liściasty korytarz, który przywodził mi na myśl tropikalny las. *Que me font maintenant tes ombrages et tes lacs*, cóż mi teraz konary twoje cieniste i twoje jeziora, zacytowałem Sylwię Gerarda de Nerval.

Wyjechaliśmy z korytarza i wydawało się, że podążamy dalej po równym terenie, ale byliśmy już w kotlinie - po bokach i z tyłu wznosiły się wzgórza. Najwidoczniej dotarliśmy do Monferrato drogą, która pięła się niepostrzeżenie. Wzgórza otoczyły nas, zanim zdążyłem je zauważyć. Wchodziłem już w inny świat, gdzie królowały młode jeszcze winnice. W oddali rysowały się różnej wysokości szczyty, niektóre ledwo widoczne między niskimi grzbietami wzgórz, inne znaczniejsze. Na wielu stały budowle - kościoły lub duże zagrody albo jakieś zamki, wczepione w nie przemocą tak, że zamiast uzupełniać łagodnie ich kształty, wydawały się wypychać je ku niebu.

Około godziny jechaliśmy między tymi wzgórzami. Za każdym zakrętem otwierał się inny krajobraz, jakbyśmy nagle z jednej okolicy wjeżdżali w drugą. W pewnej chwili zobaczyłem drogowskaz z napisem „Mongardello”. Powiedziałem:

- Mongardello. Potem Corseglio, Montevasco, Castelletto Vecchio, Lovezzolo i już jesteśmy, prawda?

- Skąd ty to wiesz?

- Wszyscy to wiedzą - powiedziałem.

Najwyraźniej nie mówiłem jednak prawdy, bo w której encyklopedii

piszą o Lovezzolo? Czyżbym zaczynał wchodzić do jaskini?

Część druga

Pamięć z papieru

5. SKARB KLARABELLI

Zbliżając się do miejsc mojego dzieciństwa, nie mogłem zrozumieć, dlaczego jako dorosły nie odwiedzałem chętnie Solary. Chodziło zresztą nie o samą Solareę, rodzaj dużej wsi, którą się mijało, zostawiając ją w kotlinie otoczonej winnicami na niskich wzgórzach. Jadąc potem pod górę, Nicoletta po wielu zakrętach zagłębiła się w polną dróżkę. Przynajmniej przez dwa kilometry jechaliśmy wzdłuż krawędzi tak wąskiej, że z trudem wyminęłyby się tam dwa samochody. Po obu jej stronach zbrocza i dwa różne krajobrazy. Na prawo region Monferrato, pokryty łagodnymi wzgórzami, porośniętymi rzędami winorośli, które miękko ciągnęły się w dal, barwiąc zielenią pogodne niebo wczesnego lata w porze, kiedy szaleje (wiedziałem to) demon południa. Na lewo widać było pierwsze wzniesienia pagórkowatego obszaru Langhe, o surowszych i mniej pofałdowanych kształtach, jak poustawiane w szereg łańcuchy, każdy w perspektywie znaczony innym kolorem, aż po te najodleglejsze, ginące w niebieskawej poświacie.

Odkrywałem ten krajobraz po raz pierwszy, a jednak czułem, że jest mój, i odnosiłem wrażenie, że gdybym rzucił się szalonym biegiem w dół, ku dolinom, wiedziałbym dobrze, gdzie stawiać stopy i dokąd zmierzać. W pewnym sensie było to tak jak po wyjściu ze szpitala, kiedy udało mi się poprowadzić zupełnie mi nieznany samochód. Czułem, że jestem w domu. Zawładnęła mną nieokreślona wesołość, wrażenie roztrzepanego szczęścia.

Krawędź wznosiła się dalej, aż sięgnęła wzgórze, które nagle przed nią wyrosło. I oto w głębi wysadzonej kasztanowcami alei ukazał się dom.

Zatrzymaliśmy się na czymś w rodzaju podwórza, ozdobionego kwietnymi klombami. Za budynkiem dostrzegłem wyższy od niego pagórek, pokryty tym, co musiało być małą winnicą Amalii. Bezpośrednio po przyjeździe trudno było określić kształt budowli z wielkimi oknami na pierwszym piętrze. Od frontu miała piękne dębowe drzwi wejściowe, zwieńczone półkolistym lukiem, nad którym znajdował się balkon, wychodzący prosto na aleję dojazdową. Dwa skrzydła boczne były krótsze, a wejścia do nich skromniejsze. Nie sposób jednak było się zorientować, jak głęboko sięga budynek od strony pagórka. Za moimi plecami podwórze otwierało się na oba krajobrazy, które kilka chwil wcześniej podziwiałem - i to w pełnej krasie, bo aleja dojazdowa stopniowo się podnosiła, a droga, którą przyjechaliśmy, zniknęła w dole, nie zasłaniając widoku.

Krótko przyglądałem się domowi, bo wyskoczyła z niego od razu, wznosząc radosne okrzyki, jakaś kobieta, która - sądząc z zapamiętanego przeze mnie opisu - musiała być Amalią. Krótkonoga, tęgawa, w wieku nieokreślonym (według zapowiedzi Nicoletty, między dwudziestym a dziewięćdziesiątym rokiem życia), z twarzą jak wysuszony kasztan, którą rozjaśniała niepohamowana radość. A więc obrządek powitania: pocałunki i uściski, wstydlive gafy, po których zachłystywała się natychmiast, zasłaniając ręką usta (pamięta panicz, paniczu Jambo, to i tamto, poznaje panicz, prawda, i tak dalej, z Nicolettą za moimi plecami, która zapewne karciała ją wzrokiem).

W tym zamęcie brakło czasu na namysł i na stawianie pytań. W pośpiechu wyładowaliśmy bagaże i przenieśliśmy je do lewego skrzydła, w którym mieszkała zwykle Paola z dziewczętami i gdzie ja też mogłem spać - chyba że wolałbym zamieszkać w głównej części domu, w której

mieszkali kiedyś dziadkowie i ja, gdy byłem dzieckiem. Ta część pozostawała zawsze zamknięta jako swego rodzaju sanktuarium („wie panicz, ja nieraz tam zaglądam, żeby pościerać kurze i od czasu do czasu przewietrzyć, by nie było stęchlizny, ale nie za często, bo nie chcę przeszkadzać w tych pokojach, czuję się tam jak w kościele”). Jednak na parterze wielkie pomieszczenia były otwarte, ponieważ rozkładano tam jabłka, pomidory i wiele innych dobrych rzeczy, żeby dojrzewały i przechowywały się w chłodzie. Już po kilku krokach w tych izbach uderzał w nozdrza zapach korzeni, owoców i warzyw, na ogromnym stole leżały pierwsze tegoroczne figi, te naprawdę pierwsze. Nie mogłem sobie odmówić przyjemności skosztowania jednej i zaryzykowałem twierdzenie, że to drzewo jest nadal fenomenalne. „Jak to «to drzewo»? Te drzewa, jest ich pięć, panicz dobrze wie, jedno piękniejsze od drugiego!” Przepraszam, Amalio, byłem roztargniony. Ależ, paniczu Jambo, ma panicz na głowie tyle ważnych spraw. Dziękuję, Amalio, żebym tak naprawdę miał na głowie tyle spraw! Niestety, wszystkie uleciały sobie - fiuuu! - pewnego ranka w końcu kwietnia i teraz jedno drzewo figowe czy pięć to dla mnie bez różnicy.

- Czy w winnicy są już winogrona? - spytałem, chcąc się wykazać aktywnością umysłu i uczuć.

- Przecież teraz winogrona to malutkie gronka, jakby stworzonko w brzuchu matki, choć w tym roku, przy upałach, wszystko prędzej dojrzewa. Żeby tak jeszcze spadł deszcz! Zdaży panicz zobaczyć winogrona, bo zechce zostać tutaj do września. Więc był panicz trochę chory, pani Paola powiedziała mi, że mam o niego dbać, karmić zdrowo i pożywnie. Na kolację przygotuję to, co lubił panicz jako chłopiec, sałatę z

sosikiem pomidorowym na oliwie, seler i cebulkę drobno pokrojone z różnymi ziołami, jak Pan Bóg przykazał, mam też chleb, który paniczowi smakował, w kawałeczkach do maczania w sosiku. No i kurczaka mojego chowu, nie takiego ze sklepu, tuczonego rozmaitymi świństwami - albo, jeśli panicz woli, królika przyprawionego rozmarynem. Królika? Dobrze, królika, pójdę zaraz dać w łepkę temu najładniejszemu. Biedne bydlatko, ale takie jest życie. O Boże, Nicoletta naprawdę zaraz odjeżdża? Jaka szkoda! No trudno, ale zostajemy my oboje, panicz będzie robił, co zechce, ja nie będę się wtrącać. Zobaczy mnie panicz tylko rano, kiedy przyniosę kawę z mlekiem, i w godzinach posiłków; poza tym proszę chodzić sobie tutaj i robić, na co przyjdzie ochota.

- Posłuchaj, tatusiu - powiedziała Nicoletta, ładując do samochodu rzeczy, po które przyjechała. - Wydaje się, że Solara daleko, ale za domem jest ścieżka, która prowadzi bezpośrednio do wsi, przecinając wszystkie zakręty drogi. Jest miejscami dość spadzista, ale ze stopniami; potem schodzi się na równinę. Kwadrans na zejście, dwadzieścia minut na powrót pod górę, ale zawsze mówiłeś, że to dobrze robi na cholesterol. We wsi kupisz gazety i papierosy. Może ci je też przynieść Amalia, pójdzie tam o ósmej rano; do wsi chodzi w każdym razie załatwiać swoje sprawy i na mszę. Musiałbyś jednak napisać jej na kartce, jakie dzienniki czy czasopisma chcesz dostać, i to codziennie, bo inaczej zapomni i będzie ci przynosić ten sam numer „Mody” przez cały tydzień. Naprawdę masz wszystko, czego potrzeba? Chciałabym zostać z tobą, ale mama mówi, że dobrze ci zrobi pobyć samemu wśród własnych staroci.

Nicoletta odjechała. Amalia pokazała mi pokój mój i Paoli (zapach lawendy). Poukładałem swoje rzeczy, przebrałem się w wygodne łachy,

które tam znalazłem, z zdeptanymi buciskami włącznie - musiały mieć co najmniej dwadzieścia lat, prawdziwe chłopskie buty. Potem przez pół godziny stałem przy oknie, wpatrzony we wzgórze po stronie Langhe.

Na stole w kuchni leżała gazeta z okresu Bożego Narodzenia (byliśmy tu wtedy ostatni raz). Zacząłem ją czytać, napełniając sobie szklanę muszkatelem, który stał w wiaderku z lodowatą wodą ze studni. W końcu listopada Organizacja Narodów Zjednoczonych zaaprobowала użycie siły w celu zmuszenia Irakijczyków do wycofania się z Kuwejtu; do Arabii Saudyjskiej wysłano właśnie pierwsze transporty amerykańskiego sprzętu wojskowego; mówiło się o ostatniej próbie nawiązania w Genewie rokowań z ministrami Saddama. Ta gazeta pomagała mi odtworzyć pewne wydarzenia; czytałem ją, jakby zawierała najświeższe wiadomości.

W pewnej chwili uprzytomniłem sobie, że rano, w pośpiechu przygotowań do wyjazdu, nie zdążyłem się wypróżnić. Poszedłem do łazienki - doskonała sposobność, aby dokończyć lekturę gazety - i z okna zobaczyłem winnicę. Wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl lub raczej odczułem pragnienie, które od dawien dawna widocznie we mnie drzemało: załatwić się wśród winorośli. Wsadziłem gazetę do kieszeni i otworzyłem - nie wiem, czy przypadkiem, czy też za sprawą mojego wewnętrznego radaru - drzwiczki w tylnej ścianie łazienki. Przeciąłem doskonale utrzymany warzywnik. Wzdłuż skrzydła, zamieszkanego kiedyś przez dzierzawców, stały drewniane ogrodzenia, z których dochodziło gdakanie i chrząkanie; musiały to być kurnik, królikarnia i chlewy. W głębi warzywnika zaczynała się ścieżka prowadząca do winnicy.

Amalia miała rację. Liście winorośli były jeszcze małe, a ich owoce -

wielkości jagódek. Czułem jednak, że jestem w winnicy, z grudkami ziemi pod wytartą podeszwą i kępami zielska między rzędami krzewów. Instynktownie poszukałem wzrokiem drzew brzoskwiniowych, ale ich nie zobaczyłem. Dziwne. Przeczytałem w jakiejś powieści, że wśród winorośli - ale musisz chodzić między nimi bosy, od małego, i mieć nieco zrogowaciałe pięty - rosną drzewa dające żółte brzoskwinie, które nie występują poza winnicami. Pękają one pod naciskiem kciuka, pestka wyłuskuje się właściwie sama, czysta jak po wymyciu chemikaliami, tylko ze spadającym z niej po ułamku sekundy tłustym robaczkiem białym od miąższu. Możesz jeść te owoce, nie czując prawie ich aksamitnej skórki, a dreszcz rozkoszy przenika cię od podniebienia aż po pachwiny. Poczulem przez chwilę dreszcz w pachwinach.

Przykucnąłem w głębokiej popołudniowej ciszy, przerywanej tylko głosami ptaków, i wypróżniłem się.

S My season. He read on, seated calm above his own rising smell. Głupi sezon. Czytał dalej, siedząc spokojnie nad swym własnym wznoszącym się smrodem; to Bloom w Ulissiesie Joyce'a. Ludzie lubią smród własnych odchodów, ale nie kału innych. Odchody są przecież częścią naszego ciała.

Odczuwałem zadowolenie płynące z odległej przeszłości. Spokojny ruch zwieracza wśród tej zieleni przypominał mi niejasno doznania dawno minione. A może to instynkt ogólnoludzki? Mam w sobie tak mało tego, co indywidualne, a tak wiele tego, co właściwe całemu rodzajowi ludzkiemu (moja pamięć jest pamięcią ludzkości, nie osoby), że po prostu odczuwałem może tę samą przyjemność, co niegdyś neandertalczyk. On pamiętał z pewnością mniej ode mnie, nie wiedział nawet, kim jest

Napoleon.

Kiedy skończyłem, przyszło mi na myśl, że powinienem podetrzeć się liśćmi, to miał być automatyzm. Miałem jednak ze sobą gazetę, więc wydarłem stronę z programem telewizyjnym (sprzed pół roku, zresztą w domu nie ma telewizora).

Podniosłem się i spojrzałem na mój stolec. Piękna konstrukcja ślimakowata, dymiąca jeszcze. Borromini. Najwyraźniej nie miałem kłopotów z trawieniem, bo, jak wiadomo, powodem do niepokoju jest jedynie kał zbyt miękki lub wręcz zbliżony do cieczy.

Po raz pierwszy widziałem własną kupę (w mieście siedzisz na sedesie, a potem od razu spuszczasz wodę, bez patrzenia). Nazwałem ją teraz kupą, bo tak chyba ludzie zwykle mówią. Kupa to rzecz najbardziej osobista i poufna, jaką mamy. Cała reszta jest dostępna dla wszystkich: wyraz twarzy, spojrzenia, gesty. Także nasze nagie ciało: na plaży, u lekarza, podczas miłosnych igraszek. Nawet myśli, bo zazwyczaj je wyrażamy albo inni odgadują je z naszych wspomnień lub naszego zakłopotania. Oczywiście są również myśli tajemne (na przykład Sybilla; ale przecież zdradziłem się po części wobec Gianniego, a może i ona sama coś przeczuła, może właśnie dlatego wychodzi za mąż), lecz na ogół także i myśli się ujawniają.

A kupa nie. Z wyjątkiem bardzo krótkiego okresu naszego życia, kiedy mamusia zmienia nam pieluszki, kupa jest wyłącznie nasza. Ponieważ zaś ta, którą właśnie zrobiłem, nie mogła wiele się różnić od kup wyprodukowanych przeze mnie w latach ubiegłych, łączyłem się w tej chwili z sobą samym z czasów zapomnianych i przeżywałem po raz pierwszy doświadczenie dające się powiązać z niezliczonymi innymi z

przeszłości - także i tymi z okresu, kiedy jako dziecko załatwiałem się w winnicach.

Być może, gdybym dobrze rozejrzał się wokoło, mógłbym jeszcze znaleźć resztki kupy z tamtych lat, a następnie, dokonując właściwych triangulacji - skarb Klarabelli.

Nie posunąłem się dalej. Kupa nie była dla mnie jeszcze proustowskim naparem z kwiatu lipowego, no i chciałbym bardzo usłyszeć, jak mógłbym prowadzić moje recherche z pomocą zwieracza. Do odnalezienia utraconego czasu nie jest potrzebna biegunka, lecz astma. Astma jest pneumatyczna, jest tchnieniem ducha (co prawda mozolnym). Jest dla bogatych, którzy mogą sobie pozwolić na pokoje wykładane korkiem. Biedacy w polu nie troszczą się o ducha, robią kupy.

Nie czułem się jednak biedakiem. Byłem zadowolony, prawdziwie zadowolony, jak nigdy jeszcze po przebudzeniu ze śpiączki. Nieskończone są drogi Opatrzności - powiedziałem sobie - przechodzą także przez dziurę w tyłku.

Reszta dnia upłynęła następująco. Połaziłem trochę po pokojach w lewym skrzydle, obejrzałem to, co musiało być pokojem wnuczków (wielka izba z trzema łózkami, pajacykami i trójkołowymi rowerkami, porozrzucanymi po kątach), w sypialni znalazłem książki, które zostawiłem na stoliku nocnym ostatnim razem - nic szczególnie ważnego. Nie odważyłem się wejść do części głównej domu. Powoli, muszę się z tym miejscem oswoić.

Kolację zjadłem w kuchni Amalii, wśród starych skrzyń, stołów i krzeseł, które należały jeszcze do jej rodziców, w zapachu główek czosnku wiszących u sufitu. Królik smakował wyśmienicie, ale sama sałata warta

była naprawdę całej podróży. Z przyjemnością maczałem chleb w różowym sosiku, pokrytym żółtobrazowymi plamami oliwy; było to jednak odkrywanie czegoś, nie przypominanie sobie. Od moich brodawek językowych nie mogłem oczekiwać żadnej pomocy - wiedziałem to już. Wypiłem dużo miejscowego wina, nie ustępuje wszystkim winom francuskim razem wziętym.

Poznałem domowe zwierzęta: starego, wyleniałego psa Pippa, zdaniem Amalii wspaniałego stróża, chociaż - stary, ślepy na jedno oko i zramolały - nie budził większego zaufania, oraz trzy koty. Dwa złośliwe i parchate, trzeci czarny angorski, z sierścią gęstą i miękką, umiał prosić o jedzenie z wdziękiem, ocierając się o moją nogę i uwodzicielsko mruczając. Lubię wszystkie zwierzęta, jak mi się wydaje (czyż nie zapisałem się do ligi przeciwników wiwisekcji?), lecz instynktownej sympatii nie można narzucić. Trzeci kot został moim ulubieńcem, dawałem mu najlepsze kąski. Spytałem Amalię, jak nazywają się koty. Odpowiedziała, że w ogóle się nie nazywają, bo nie są ludzkimi stworzeniami jak psy. Spytałem, czy mogę nazwać czarnego kota Matù.

Odparła, że mogę, jeśli mi nie wystarczy mówić: kici-kici-kici; z jej miny wynikało jednak, że ludzie z miasta, nawet panicz Jambo, mają pstro w głowie.

Na dworze hałasowały świerszcze. Wyszedłem na podwórze, żeby ich posłuchać. Popatrzyłem na niebo w nadziei, że ujrzę znane mi figury. A tu konstelacje, tylko konstelacje z atlasu astronomicznego. Rozpoznałem Wielką Niedźwiedzicę, ale jako jedną z tych rzeczy, o których tyle słyszałem. Przyjechałem aż tutaj, aby się dowiedzieć, że encyklopedie się nie mylą. Redit in interiore kominem, wróć do wnętrza

człowieka za świętym Augustynem, a znajdziesz słownik Larousse'a.

Powiedziałem sobie: Jambo, masz pamięć z papieru. Nie z neutronów, ale ze stronic. Może pewnego dnia wymyślą elektroniczną sztuczkę, która pozwoli komputerowi podróżować po wszystkich stronach napisanych od początku świata i przeskakiwać z jednej na drugą za naciśnięciem palca. Wtedy wszyscy będą tacy jak ja, nie rozumiejąc już, gdzie i kim są.

W oczekiwaniu na tyłu towarzyszy niedoli poszedłem spać.

Ledwie zdążyłem się zdrzemnąć, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Przyzywa do okna, sycząc psst, psst, uporczywie i mamrocząco. Kto mógł wołać mnie z zewnątrz, poprzez nieszczelne żaluzje? Wstałem nagle i zobaczyłem uciekający w mrok nocy białawy cień. Amalia wytłumaczyła mi następnego dnia rano, że była to sowa. Te ptaki lubią się gnieździć w pustych domach, mówiła, nie wiem, czy pod dachem, czy w rynnach; ale gdy tylko zauważą, że pojawili się ludzie, odlatują gdzie indziej. Szkoda. Ta uciekająca w nocy sowa sprawiła, że znowu poczułem to, co w rozmowie z Paolą nazwałem tajemniczym płomieniem. Ta sowa, albo inna sowa, jej towarzyszka, najwidoczniej należała do mnie, budziła mnie w inne noce, w inne noce uciekała w ciemność, widmo niezdarne i wsiok. Wsiok? Tego słowa nie mogłem przeczytać w encyklopedii; wypłynęło mi zatem z wewnątrz albo z przeszłości.

Spałem niespokojnie, w pewnej chwili obudziłem się z silnym bólem w piersi. Najpierw przyszedł mi na myśl zawał - wiadomo, że tak się zaczyna - ale potem wstałem i bez wa-

hania poszedłem poszukać torby z lekarstwami, którą dała mi Paola. Połknąłem tabletkę maaloxu. Maalox, a więc lekarstwo na skurcze

żołądka. Skurcze występują po zjedzeniu czegoś, czego nie powinno się było jeść. W rzeczywistości po prostu za dużo zjadłem. Paola powiedziała mi, że mam uważać. Póki byliśmy razem, pilnowała mnie jak pies łańcuchowy; teraz muszę nauczyć się myśleć o tym sam. Amalia nie będzie mi pomocna. Według chłopskiej logiki dużo jeść zawsze dobrze robi, źle jest człowiekowi tylko wtedy, gdy jedzenia brak. Ilu to rzeczy muszę się jeszcze nauczyć!

6. NAJNOWSZY MELZI

Zszedłem do wsi. Wrócić pod górę było dość trudno, ale spacer okazał się przyjemny i krzepiący. Na szczęście zabrałem ze sobą z Mediolanu kilka kartonów gitanów, bo we wsi mają tylko marlboro light. Wsiowi ludzie.

Zrelacjonowałem Amalii przygodę z sową. Nie śmiała się, kiedy powiedziałem, że wydała mi się duchem. Zrobiła się poważna.

- Sowy nie, to dobre stworzenia, ale tam - wskazała w stronę Langhe - tam są jeszcze strzygi. Co to takiego? Boję się prawie o tym mówić, ale powinien panicz wiedzieć, bo mój świętej pamięci ojciec ciągle opowiadał paniczowi te historie. Proszę się nie niepokoić, tu nie przyjdą, one chodzą straszyć ciemnych chłopów, a nie państwa, co mogą znać odpowiednie słowo, które sprawi, że uciekną, z włosami stojącymi dęba. Strzygi to złe kobiety, chodzące po nocy. Szczególnie w czasie mgły i burzy, wtedy czują się w swoim sosie.

Nie chciała powiedzieć więcej, ale wspomniała o mgle. Spytałem, czy często się tu zdarza.

- Często? Chryste Panie, aż za często! Nieraz, stojąc w drzwiach, nie widzę, gdzie zaczyna się alejka, gorzej jeszcze, stąd nie widzę frontowej ściany domu, a kiedy był ktoś wewnątrz, to wieczorem prawie nie widziało się światła w oknach, świeciło tak słabo jak świeca. Nawet kiedy mgła tu nie sięga, jaki widok od strony wzgórz! Czasem nie widać nic aż do pewnego miejsca, dalej coś wystaje, czubek pagórka, kościółek, a potem znowu biało i biało. Jakby rozlali tam wiadro mleka. Jeśli będzie tu panicz jeszcze we wrześniu, to pewno mgłę zobaczy, bo w tych stronach

mgła jest zawsze, z wyjątkiem czerwca, lipca i sierpnia. We wsi mieszka Salvatore, przyjechał tu spod Neapolu dwadzieścia lat temu do pracy, bo wie panicz, że tam u nich wielka bieda, no i jeszcze się do mgły nie przyzwyczał, mówi, że u nich jest pogoda nawet na Trzech Króli. Nieraz gubił się w polu, o mało co nie wpadł do strumienia, chodzili w nocy go szukać z latarkami. I na Południu są dobrzy ludzie, ja tam nic nie mówię, ale do nas niepodobni. Deklamowałem w myślach Pascolego:

I spojrzałem na dolinę, i nie zobaczyłem niczego! Wszystko przepadło! Nawet ciche i szare morze, bez fal, niezawile.

I jeszcze wczoraj było tam słycać hałas cichy, niesforny: zgiełk, co się w wielkiej przestrzeni rozpychał.

I wysoko, na niebie, cień buków upiorny, jak wisielca, i sny ruin, i erem pokorny.

Na razie jednak ruiny i eremy, których szukałem, jeżeli w ogóle istniały, były tu, w pełnym słońcu, mimo to równie niewidoczne, ponieważ ja miałem mgłę wewnątrz. A może powinienem szukać ich w cieniu? Nadeszła oczekiwana chwila. Musiałem wejść do środkowej części domu.

Powiedziałem Amalii, że chcę iść sam. Potrząsnęła głową i wręczyła mi klucze. Jak słyszę, pokoi jest wiele, Amalia zamyka je wszystkie, bo nigdy nie wiadomo, mógłby się tam ktoś dostać w złych zamiarach. Dała mi więc pęk kluczy dużych i małych, w części pokrytych rdzą, mówiąc, że ona zna je na pamięć i że jeśli naprawdę wolę iść tam sam, będę musiał próbować ich wszystkich za każdym razem. Jakby chciała powiedzieć: „Dobrze ci tak, bo jeszcze kaprysisz jak wtedy, kiedy byłeś mały”.

Amalia zajrzała tam najwidoczniej wcześniej rano. Poprzedniego dnia żaluzje były opuszczone, a teraz - na wpół otwarte, tyle ile trzeba, by

wpuścić trochę światła do korytarzy i do pokoi, żeby człowiek wiedział, gdzie stawia nogi. Chociaż Amalia przychodziła tu od czasu do czasu przewietrzyć, czuć było zapach zamkniętych pomieszczeń. Nie był to jednak zapach nieprzyjemny, wydawał się emanować ze starych mebli, z belkowania sufitów, z płóciennych białych płacht pokrywających fotele (czy nie siadał w nich Lenin?).

Pomińmy przygodę z kluczami, ich wielokrotne wypróbowywanie, jakbym był naczelnikiem straży w więzieniu Alcatraz. Schody wejściowe prowadziły do obszernego pomieszczenia, rodzaju ładnie umeblowanego przedpokoju, gdzie stały właśnie te godne Lenina fotele, a na ścianach wisiało w solidnych ramach kilka olejnych płócien - koszmarnych krajobrazów w późnoromantycznym stylu. Nie znałem jeszcze gustu dziadka, ale Paola opisała mi go jako kolekcjonera dociekliwego; nie mogły mu się podobać te bohomyzy. Należały więc niewątpliwie do zbiorów rodzinnych, były może owocem malarskich eksperymentów któregoś pradziadka albo prababki. Zresztą w płóciennym tego pomieszczenia ledwie je było widać - ot, takie plamy na ścianach, chyba mogły tam sobie rzeczywiście wisieć.

Przedpokój wychodził z jednej strony na jedyny balkon fasady, a z drugiej - na dwa korytarze, biegnące w prawo i w lewo wzdłuż tylnej ściany domu, szerokie i cieniste, o ścianach prawie w całości pokrytych starymi kolorowymi reprodukcjami. W korytarzu po prawej wisiały obrazki z serii Imagerie d'Epinal, przedstawiające wydarzenia historyczne: Bombardowanie Aleksandrii, Oblężenie i bombardowanie Paryża przez Prusaków, Wielkie dni Rewolucji Francuskiej, Zdobycie Pekinu przez Sojuszników. Inne były hiszpańskie - szereg potwornych istotek Los

Orrelis, Kolekcja muzykalnych małych, Świat do góry nogami oraz dwa wyobrażenia alegorycznych schodów z różnymi dekadami ludzkiego życia, jedno dla mężczyzn, drugie dla kobiet. Na pierwszym schodku kołyska z przywiązany niemowlęciem, potem stopniowo w górę, wiek dojrzały na szczycie z postaciami pięknymi i radosnymi jak zwycięzca na olimpijskim podium, potem powolne schodzenie figur coraz starszych, które na ostatnim stopniu stają się - jak chciał Sfinks - istotami na trzech nogach, dwóch drżących patykach i lasce, obok wizerunku oczekującej już śmierci.

Pierwsze drzwi prowadziły do rozległej staroświeckiej kuchni z wielkim paleniskiem i olbrzymim kominem, w którym wisiał jeszcze mosiężny kocioł. Wszystko sprzęty z dawnych czasów, chyba odziedziczone już przez stryja mojego dziadka. Teraz nadawały się do antykwariatu. Przez przezroczyste szyby kredensu widziałem talerze w kwiaty, imbryki, filiżanki do porannej kawy z mlekiem. Instynktownie poszukałem wzrokiem wieszaka na gazety; wiedziałem więc, że musi gdzieś być. I był rzeczywiście, w kącie koło okna: z wypalanego drewna, ozdobiony wielkimi ognistymi makami na żółtym tle. Kiedy w czasie wojny brakowało drwa na opał i węgla, kuchnia stanowiła zapewne jedyne ogrzewane pomieszczenie. Kto wie, ile w niej spędziłem wieczorów...

Dalej była łazienka, także w dawnym stylu - ogromna, metalowa wanna z kranami zakrzywionymi jak kurki ulicznych studzienek. Umywalka wyglądała jak kropielnica. Spróbowałem odkręcić kran. Po długiej czkawce wypłynęła żółta ciecz, która zaczęła się przejaśniać

dopiero po dwóch minutach. Sedes i spluczka przywodziły na myśl pompatyczne łaźnie z końca dziewiętnastego wieku.

Za łazienką ostatnie drzwi prowadziły do pokoju z niewieloma drewnianymi mebelkami, pomalowanymi na zielono i zdobionymi w motylki. Stało w nim wąskie łóżeczko, na którym siedziała, oparta o poduszkę, lalka firmy Lenci, pretensjonalna tak bardzo, jak może być jedynie sukienna lalka w stylu lat trzydziestych. Był to z pewnością pokój mojej siostry, świadczyło o tym także kilka sukieneczek w skrzyni. Wydawało się jednak, że wyniesiono stąd wszystkie inne sprzęty i zamknięto pokój na zawsze. Czuć było tylko wilgoć.

Za pokojem Ady korytarz się kończył, w głębi stała szafa. Otworzyłem ją i poczułem silny zapach kamfory. W środku leżały starannie poukładane haftowane prześcieradła, koce i pikowana kołdra.

Wróciłem tą samą drogą aż do przedpokoju i wszedłem do lewego korytarza. Tutaj wisiały na ścianach reprodukcje niemieckie, bardzo precyzyjnie wykonane: Zur Geschichte der Kostüme - Z dziejów ubioru. Wspaniałe kobiety z Borneo i piękne Jawajki, chińscy mandaryni, Chorwaci z Szybeniku z fajkami równie długimi jak wąsy, neapolitańscy rybacy i rzymscy rozbójnicy z garłaczami, Hiszpanie z Segowii i Alicante. Nie brakowało też strojów historycznych: cesarze bizantyńscy, papieże i rycerze średniowieczni, templariusze, czternastowieczne damy, żydowscy kupcy, królewscy muszkietierowie, ułani, grenadierzy napoleońscy. Niemiecki rytownik przedstawił każdą postać ubraną odświętnie, a więc obok możnowładców obwieszonych klejnotami, uzbrojonych w pistolety ze zdobioną arabeskami kolbą, w paradnych zbrojach i okazałych płaszczach, występowali afrykański biedak i ubogi człowiek z ludu,

opasani wielobarwnymi wstęgami, w różnych okryciach, wielkich kapeluszach z piórami, kolorowych turbanach.

Być może, zanim zacząłem czytać literaturę przygodową, zapoznałem się z różnobarwną wielością ras i ludów naszego globu dzięki tym reprodukcjom, wiszącym prawie jedna obok drugiej. Wiele z nich wyblakło już od słonecznego światła w ciągu długich lat, kiedy były w moich oczach wyobrażeniem egzotyki.

- Rasy i ludy ziemi - powtórzyłem na głos i pomyślałem o włóchatym żeńskim narzędzie płciowym. Dlaczego?

Pierwszymi drzwiami wchodziło się teraz do jadalni, która w głębi łączyła się także z przedpokojem. Dwa kredensy stylizowane na piętnastowieczne - drzwiczki z wielobarwnymi szybkami w kółka i romby - kilka krzeseł bez oparcia na krzyżakach, zupełnie jak w Uczcie szyderców Sema Benellego, żyrandol z kutego żelaza nad wielkim stołem. Powiedziałem sobie, nie wiem czemu: „Kapłon i pasta reale”. Zapytałem później Amalię, dlaczego na stole w jadalni musiały być kapłon i pasta reale oraz co to właściwie jest „ciasto królewskie”. Wyjaśniła mi, że na Boże Narodzenie, każdego roku zesłanego przez Pana Boga na tę ziemię, przewidziany był świąteczny obiad z kapłonem w słodko-pikantnym sosie musztardowym, a przedtem podawano pasta reale, to jest żółte kulki mączne nasiąknięte wywarem z kapłona i rozpluwające się w ustach.

- Ach, jakie smaczne było to ciasto królewskie, to zbrodnia, że już go nie robią! Może dlatego, że wypędzono tego biedaka króla. Chciałabym pójść do Duce i powiedzieć mu, co o tym myślę!

- Ależ, Amalio, Duce już nie ma, wiedzą to nawet ci, co stracili pamięć.

- Ja nie znam się na polityce, ale wiem, że wypędzili go raz, a potem wrócił. Mówię paniczowi, że on tam gdzieś czeka i pewnego dnia... nigdy nie wiadomo. W każdym razie pan dziadek panicza, niech Bóg ma go w swej opiece, musiał mieć kapłona i pasta reale, inaczej nie było dla niego Bożego Narodzenia.

Kapłon i pasta reale. Przywiódł mi je na myśl kształt stołu czy żyrandol, który musiał oświetlać te dania w końcu grudnia? Nie pamiętałem smaku ciasta królewskiego, tylko jego nazwę. Zupełnie jak w zgadywance zwanej celem, ilber-saglio: stół musi się łączyć z krzesłem, stołówką lub zupą. Mnie przywiódł na myśl ciasto królewskie poprzez kojarzenie słów.

Otworzyłem drzwi do innego pomieszczenia. Była to sypialnia małżeńska. Zanim wszedłem, zawahałem się chwilę, jakby chodziło o miejsce zakazane. W półmroku zarysy mebli wydawały mi się ogromne, łóżko z baldachimem przypominało ołtarz. Może była to sypialnia dziadka, do której nie wolno było wchodzić? Tu właśnie umarł, wyniszczony zgryzotą? Byłem przy tym, żeby się z nim na zawsze pożegnać?

Także następny pokój był sypialnią, ale umeblowaną w trudnym do określenia, pseudobarokowym stylu, nie dopuszczającym kantów i pełnym wygięć; wygięte były nawet boczne ścianki wielkiej szafy z lustrem oraz komody. Tam poczułem jakby ukłucie lub drgnięcie w żołądku, jak wtedy w szpitalu, gdy zobaczyłem zdjęcie ślubne rodziców. Tajemniczy płomień. Kiedy próbowałem opisać ten objaw doktorowi Gratarolo, zapytał mnie,

czy przypomina on przedwczesny skurcz serca. Może tak, odparłem, ale towarzyszy mu ciepło podchodzące do gardła. Więc nie, powiedział Gratarolo, skurcze serca to co innego.

Przyczyna: na marmurowym blacie nocnego stolika spostrzegłem oprawioną na brązowo książeczkę i podszedłem, aby ją otworzyć, mówiąc do siebie: nadchodzi filotea. Powiedziałem to w dialekcie piemonckim: riva la filotea, nadchodzi... co takiego? Odnosiłem wrażenie, że ta tajemnica towarzyszy mi od lat, z ciągle tym samym pytaniem w dialekcie (ale czy ja używałem dialektu?). Nadchodzi? Wiadomo, co nadchodzi? Co to może być filotea - trolejbus, nocny tramwaj, tajemnicza kolejka linowa?

Otworzyłem książkę z uczuciem, że popełniam świętokradztwo. Była to La Filotea mediolańskiego księdza Giuseppe Rivy, wydanie 1888, zbiór modłów i pobożnych rozmyślań, ze spisem świąt kościelnych i wykazem świętych, opatrzonym odpowiednimi datami. Tomik prawie się rozpadał, strony kruszyły się ledwo je dotknąć palcami. Złożyłem go troskliwie (troskliwe obchodzenie się ze starymi książkami to przecież mój zawód) i zauważyłem wtedy, że w czerwonym kwadraciku na grzbiecie wydrukowano wyblakłymi już złotymi literami Riva La Filotea. Książka musiała być czyimś modlitewnikiem, którego nigdy nie ośmieliłem się otworzyć. Ten niejasny napis, łączący autora i tytuł, zapowiadał mi nieuchronne nadejście jakiegoś groźnego pojazdu, przymocowanego kabłąkiem do ilo elettrico, naelektryzowanego drutu.

Odwróciłem się i spostrzegłem, że w wygiętych bocznych ściankach komody znajduje się dwoje drzwiczek. Nie bez bicia serca otworzyłem

pospiesznie te z prawej strony, rozglądając się wokół, jakbym się obawiał, że ktoś mnie szpieguje. Wewnątrz były trzy półki, wygięte, puste. Denerwowałem się niczym złodziej. Może przychodziłem kiedyś szperać na tych półkach, może leżało tam coś, czego nie wolno mi było dotykać lub oglądać, więc robiłem to po kryjomu. Teraz, poprzez wnioskowanie w policyjnym prawie stylu, byłem pewien: była to sypialnia moich rodziców. Filotea to modlitewnik mojej matki, w szufladach komody szukałem kiedyś czegoś bardzo osobistego, może starych listów, portmonetki, kopert ze zdjęciami, których nie wypadało umieścić w rodzinnym albumie...

Jeżeli jednak była to sypialnia moich rodziców, to - Paola powiedziała mi przecież, że urodziłem się w tym domu - tutaj właśnie przyszedłem na świat. Jest całkiem naturalne, że ktoś nie pamięta pokoju, w którym się urodził, ale w moich przeklętych płatach mózgowych powinien przynajmniej zostawić jakiś ślad pokój, który pokazywano mi przez całe lata ze słowami: urodziłeś się tutaj, w tym wielkim łóżku, gdzie chciałeś czasem spać między tatusiem a mamusią, gdzie po odstawieniu od piersi chciałeś jeszcze chłonąć woń łona, które cię wykarmiło. Ale nie, także i w tym wypadku moje ciało zachowało jedynie wspomnienie niektórych, wielokrotnie powtarzanych gestów i nic więcej. To znaczy, że gdybym chciał, mógłbym instynktownie powtórzyć czynność ust chwytających sutkę i na tym koniec. Nie wiedziałbym, czyja to pierś ani jak smakuje mleko.

Czy warto było się urodzić, jeśli człowiek sobie tego nie przypomina? Zresztą - w sensie technicznym - czy ja w ogóle się urodziłem? Powiedzieli mi o tym ludzie, podobnie jak o wielu innych sprawach. Ja sam wiedziałem tylko, że urodziłem się w końcu kwietnia w

szpitalnym pokoju, w wieku lat sześćdziesięciu.

Pan Pipino urodził się starcem, a umarł dzieciną. Co to za historia? A więc pana Pipina przynosi bocian jako sześćdziesięciolatka z piękną siwą brodą. Następnie ma on szereg przygód, codziennie trochę młodziejąc, aż staje się chłopcem, potem niemowlęciem i wreszcie gaśnie, wydając swoje pierwsze (i ostatnie) kwilenie. Musiałem przeczytać tę opowiadkę w jakiejś książce mojego dzieciństwa. Nie, to niemożliwe, zapomniałbym ją jak całą resztę; przeczytałem więc ją chyba w wieku czterdziestu lat w jakimś podręczniku literatury dla dzieci i młodzieży. Czyż nie wiedziałem wszystkiego o dzieciństwie Vittoria Alfieriego, a niczego o własnym?

W każdym razie musiałem rozpocząć walkę o odzyskanie mojej biografii tam, w cieniu tych korytarzy, aby przynajmniej umrzeć w powijakach, widząc wreszcie twarz mojej matki. Boże, a gdybym tak umarł, patrząc w twarz tłustej akuszerki, z wąsikami jak u dyrektorki szkoły?!

W końcu tego korytarza, za wielką skrzynią pod ostatnim oknem, znajdowało się dwoje drzwi - jedno w głębi, drugie na lewo. Otworzyłem drzwi po lewej i wszedłem do obszernego gabinetu o surowym wyglądzie. Na mahoniowy stół, na którym królowała zielona lampa podobna do lamp w bibliotece publicznej, rzucały światło dwa okna o kolorowych szybach, wychodzące na tylną ścianę lewego skrzydła, a więc na najcichszą i najbardziej odosobnioną część domu, i pozwalające jednocześnie podziwiać wspaniałe krajobrazy. Między oknami zdjęcie portretowe starszego pana o białych wąsach, wyglądającego, jakby pozował jakiemuś wiejskiemu Nadarowi. Niemożliwe, aby ta fotografia wisiała tam już przed śmiercią dziadka; normalny człowiek nie trzyma w zasięgu wzroku

własnego portretu. Nie mogli jej tam umieścić moi rodzice, ponieważ dziadek zmarł po nich, a zmarł właśnie dlatego, że zbyt bolesny był dla niego ich zgon. Chyba to wujostwo, pozbywając się mieszkania w mieście i tutejszych pól, przekształcili ten pokój w rodzaj symbolicznego grobowca. W istocie nic nie wskazywało, że było to miejsce pracy, pomieszczenie zamieszkanе. Jego surowość wydawała się cmentarna.

Na ścianach znowu serie *Imagerie d'Epinal*, tłum żołnierzyków w niebiesko-czerwonych mundurach: piechota, kirasjerzy, dragoni, żuawi.

Zafrapowała mnie biblioteka, także z mahoniu. Zajmowała trzy ściany, ale była praktycznie pusta. Na każdej półce stały po dwie, trzy książki, dla ozdoby, w stylu kiepskich dekoratorów wnętrz, którzy dostarczając klientowi świadectw nieautentycznej kultury, przewidują miejsce na pseudochińskie wazy, afrykańskie fetysze, srebrne talerze, kryształowe karafki. Tu jednak nie stały nawet te kosztowne przedmioty, tylko stare atlasy, szereg francuskich czasopism na kredowym papierze, leksykon *Nuovissimo Melzi - Najnowszy Melzi - z 1905 roku*, słowniki: włosko-francuski, włosko-angielski, włosko-niemiecki, włosko-hiszpański. Niemożliwe, żeby dziadek, księgarz i kolekcjoner, godził się na pustą bibliotekę. I rzeczywiście, na jednej z półek stała w srebrnych ramach fotografia, zrobiona najwyraźniej z rogu pokoju, kiedy słońce padało przez okno na biurko. Siedział za nim dziadek z lekko zdziwioną miną, bez marynarki (ale w kamizelce), wciśnięty prawie między dwie sterty brulionów i podniszczonych książek, zawałające biurko. Widoczne za nim regały były zapchane książkami, wśród których wznosiły się

nieporządnie poukładane stosy gazet. W kącie, na podłodze, dostrzegano się inne sterty - chyba czasopism - oraz pudła pełne papierów, postawione tam może tylko po to, żeby ich po prostu nie wyrzucić. No właśnie, tak musiał wyglądać pokój dziadka za jego życia: magazyn zbawcy wszelkich druków, które kto inny wyrzuciłby na śmietnik, ładownia statku widma, przewożącego zapomniane dokumenty z jednego morza na drugie, miejsce zatracenia, jeżeli chciałoby się grzebać we wszystkich stosach i stertach. Co się stało z tymi cudownymi rzeczami? Pełni szacunku wandalie zlikwidowali najwidoczniej wszystko, co mogło zakłócić porządek. Wszystko precz, wszystko sprzedane jakiemuś nędznemu handlarzowi starzyzną? Może to po tym wielkim sprzątaniu nie chciałem już oglądać pokoi, starałem się zapomnieć Solarę? A przecież w tym pokoju, rok po roku, spędzałem z pewnością całe godziny z dziadkiem, odkrywając Bóg wie jakie cuda. Pozbawiono mnie więc nawet tego ostatniego punktu zaczepienia, odcięto od przeszłości?

Opuściłem gabinet i wszedłem do pokoju na końcu korytarza, o wiele mniejszego i wyglądającego nie tak surowo. Meble jaśniejsze, proste, może wykonane przez miejscowego stolarza, musiały wystarczyć chłopcu. W kącie wąskie łóżko, dużo półek na książki, prawie pustych, z wyjątkiem szeregu pięknych, oprawionych na czerwono tomów. Na uczniowskim stoliku porządek, pośrodku czarna teczka, obok jeszcze jedna zielona lampa i sfatygowany słownik łaciński Campaniniego Carboni. Na ścianie przybity dwoma gwoździkami stary plakat, który wzniecił we mnie znowu ten nader tajemniczy płomień.

„Chciałbym latać” - wyrwało mi się. Plakat reklamował film. Chciałbym latać, w którym występuje George Formby ze swoim końskim uśmiechem. Wiedziałem, że śpiewał, akompaniując sobie na ukulele, widziałem go ponownie, jak wjeżdża motocyklem, nad którym stracił panowanie, w stertę słomy i wyłania się z drugiej strony wśród gdakania kur, a pułkownikowi w przyczepie wpada do ręki jajko - masz śliczne jajeczko! Widziałem go jeszcze, jak spada spiralą w staroświeckim samolocie, do którego wsiadł przez pomyłkę, potem podrywa maszynę, wzbija się do góry i znowu spada lotem nurkowym. Ile to było śmiechu! „Obejrzałem go trzy razy, trzy razy! - krzychałem prawie. - Najzabawniejszy obraz, jaki widziałem w życiu” - powtarzałem, mówiąc „obraz” zamiast „film”, bo tak widocznie mawiano w tamtych czasach, przynajmniej na wsi.

Był to z pewnością mój pokój - sypialnia i gabinecik. Pomijając jednak tych kilka wymienionych wcześniej rzeczy, był on właściwie pusty, jak pokój wielkiego poety w jego rodzinnym domu. U wejścia datek, wewnątrz staranna reżyseria, aby zwiedzający czuli woń nieuchronnej wieczności. Tu powstały Śpiew sierpniowy, Oda do Termopil, Elegia konającego gondoliera... A on, ten wielki człowiek? Zmarł, w wieku dwudziestu trzech lat strawiły go suchoty tu właśnie, w tym łóżku. Proszę popatrzeć na fortepian - jest jeszcze otwarty, tak jak on go zostawił. Jego ostatni dzień na tej ziemi! Widzi pan, na nutach jest jeszcze ślad po kropli krwi, która spłynęła mu z wybladłych ust, kiedy grał Preludium kropli. Tylko ten pokój przypomina o jego krótkim pobycie wśród ludzi, kiedy ślęczał w pocie czoła nad swoimi papierami. A te papiery? Są zamknięte w bibliotece Kolegium Rzymskiego, można je przeglądać jedynie za zgodą

dziadka. A dziadek? Dziadek zmarł.

Byłem wściekły. Wróciłem na korytarz, stanąłem w oknie wychodzącym na podwórze i zawołałem Amalię. Czy to możliwe, spytałem, żeby w tych pokojach nie było książek ani niczego innego, żeby w moim pokoju nie było moich zabawek?

- Ależ, paniczu Jambo, panicz mieszkał w tym pokoju jeszcze jako szesnasto-, siedemnastoletni uczeń. To miał tam panicz jeszcze trzymać swoje zabawki? Właściwie dlaczego pyta panicz o nie teraz, po pięćdziesięciu latach?

- No dobrze, zostawmy to. Ale gabinet dziadka? Musiał być pełen rzeczy. Co się z nimi stało?

- Na strychu, wszystko na strychu. Pamięta panicz strych? Wygląda jak cmentarz, przykro mi tam chodzić, zaglądam na górę tylko po to, żeby porozstawiać talerzyki z mlekiem. Dlaczego? Bo w ten sposób zwabiam tam trzy domowe koty, a kiedy już raz wejdą, to się zabawiają, polując na myszy. Był to pomysł pana dziadka panicza, na strychu jest dużo papierów i trzeba odstraszać stamtąd myszy, bo na wsi, choćby nie wiem jak się starać, zawsze się znajdują... W miarę jak panicz dorastał, starsze rzeczy trafiały na strych tak samo jak lalki panicza siostry. Potem, kiedy wzięli się tu do roboty panicza wujostwo... no, nie chcę nikogo krytykować, ale mogli przynajmniej zostawić na miejscu to, co jeszcze tam było. A oni nie, zupełnie jak sprzątanie przed świętami, wszystko na strych. No i piętro, na którym panicz teraz stoi, zaczęło naturalnie wyglądać jak pustynia. Kiedy panicz wrócił z panią Paolą, nie chcieliście się już nim zajmować i przenieśliście się do tamtego skrzydła - jest skromniejsze, ale łatwiej tam utrzymać porządek. Pani Paola po ludzku je urządziła...

Jeżeli oczekiwałem, że w głównej części domu znajdę jaskinię Ali Baby z dzbanami pełnymi złotych monet, diamentami wielkości orzecha laskowego i latającymi dywanami gotowymi do startu, to razem z Paolą grubo się pomyliliśmy. Skarbiec był pusty. Może trzeba wejść na strych i wszystko, co tam odkryję, znieść na dół, aby nadać tym pokojom ich pierwotny wygląd? No tak, ale musiałbym go pamiętać - a przecież cały ten kram właśnie po to, żeby sobie przypomnieć.

Wróciłem do gabinetu dziadka i spostrzegłem, że na stoliku w rogu stoi gramofon. Nie staroświecki, ale adapter z wbudowanym głośnikiem i pokrywą. Sądząc po kształcie, musiał pochodzić z lat pięćdziesiątych, napęd tylko na siedemdziesiąt osiem obrotów. A zatem dziadek słuchał płyt? Gdzie one były? Czy też na strychu?

Zacząłem przeglądać francuskie czasopisma. Luksusowo wydane, modernistyczne, ze stronami przypominającymi średniowieczne miniatury, zdobionymi brzegami i kolorowymi ilustracjami w stylu prerafaelickim - blade damy w rozmowie z rycerzami Okrągłego Stołu. Zawierały opowiadania i artykuły obramowane delikatnymi wolutami, strony poświęcone modzie już w duchu art déco: panie wiotkie, ostrzyżone na garsonkę, w sukniach o obniżonej talii, szyfonowych lub z haftowanego jedwabiu, szyje odsłonięte i głębokie wycięcia na plecach, usta krwawoczerwone jak rany, długie cygarniczki, z których wypływają zwoje niebieskawego dymu, kapelusiki z woalką. Ci drugorzędni artyści umieli wyrysować zapach pudru.

W tych czasopismach tęsknota za ledwie przebrzmiałym stylem liberty przeplatała się z rozpoznawaniem nowych tendencji mody. Może właśnie wspomnienie piękna, które dopiero co przestało się liczyć,

uszlachetniało propozycje przedstawiane Ewie przyszłości. Ja jednak pochyliłem się z biciem serca nad Ewą wyszła z mody najwidoczniej całkiem niedawno. Nie był to tajemniczy płomień, lecz prawdziwy częstoskurcz, wstrząs wywołany tęsknotą za terażniejszością.

Profil kobiety z długimi złotymi włosami, przytłumiona woń upadłego anioła. Zadeklamowałem w myśli Renée Vivien:

/ długie lilie o sakralnej bieli jak zgasłe gromnice zamierały w twej dłoni. Fatami szukałaś w dławiącej ich woni pokarmu dla bólu, który duszę ścielił. Szat twoich jasnych opuszczały mieszkanie miłość i umieranie.

Na Boga, ten profil musiałem widzieć jako dziecko, jako chłopiec, jako bardzo młody człowiek, może jeszcze na progu dorosłości; wyrzył się w moim sercu. To profil Sybilli. Znałem więc Sybillę od niepamiętnych czasów, miesiąc temu w antykwariacie po prostu ją rozpoznałem. Jednak to rozpoznanie, zamiast mnie teraz na nowo cieszyć i rozczulać, ścisnęło mi serce. Uświadomiłem sobie bowiem, że widząc wtedy Sybillę, wskrzesiłem po prostu obraz ukochany w dzieciństwie. Może zrobiłem to już wcześniej, przy naszym pierwszym spotkaniu - pomyślałem o niej od razu jako o obiekcie uczuć, ponieważ obiektem uczuć była ta podobizna. Kiedy ujrzałem Sybillę znowu po przebudzeniu ze śpiączki, przypisałem nam obojgu historię będącą niczym innym, jak tylko odbiciem moich marzeń z lat, w których nosiłem krótkie spodnie. Między mną a Sybillą nie było więc nic poza tym profilem?

A jeśli nic innego poza tą twarzą nie było między mną a wszystkimi kobietami, które kiedykolwiek poznałem? Jeśli bezustannie goniłem za twarzą, którą zobaczyłem niegdyś w gabinecie dziadka? Poszukiwania,

jakie miałem przeprowadzić w tych pokojach, nabrały niespodziewanie odmiennego charakteru. Nie będą już tylko próbą przypomnienia sobie, kim byłem przed opuszczeniem Solary, lecz także próbą zrozumienia tego, co zrobiłem po opuszczeniu Solary. Czy moje przypuszczenia są jednak słuszne? Nie przesadzajmy, mówiłem sobie, w gruncie rzeczy zobaczyłeś tylko obraz, który przypomniiał ci kobietę, spotkaną zaledwie wczoraj. Może ta postać przywodzi ci na myśl Sybillę tylko dlatego, że jest smukła i jasnowłosa, a komuś innemu przypomniałaby na przykład Gretę Garbo albo dziewczynę z sąsiedztwa. To ty jesteś podniecony erotycznie i jak ten facet z kawału (opowiedział mi go Gianni, usłyszawszy ode mnie o przeprowadzanych w szpitalu testach) widzisz ciągle to samo we wszystkich kleksach, które pokazuje ci lekarz.

Ale co to ma znaczyć? Jesteś tu, żeby odnaleźć dziadka, a myślisz o Sybilli?

Dosyć przeglądania czasopism, odkładam to na później. Zainteresował mnie od razu leksykon Najnowszy Melzi z 1905 roku, 4260 rycin, 78 ilustrowanych tablic nomenklaturowych, 1050 portretów, 12 chromolitografii, wydawnictwo Antonio Vallardi w Mediolanie. Zaledwie go otworzyłem i zobaczyłem te pożółkłe strony pokryte drobnym drukiem, z małymi figurkami na początku ważniejszych haseł, zacząłem szybko szukać tego, co z pewnością powinienem znaleźć. Tortury, tortury. I rzeczywiście, jest strona z różnymi rodzajami męczarni. Gotowanie we

wrzątku, ukrzyżowanie, żądło - ofiarę podciąga się do góry, a potem opuszcza tak, że jej pośladki nadziewają się na ostre żelazne kolce, ogień - czyli przypiekanie podeszew, ruszt, zakopanie żywcem, palenie na stosie, łamanie kołem, obdzieranie ze skóry, rożen, piła - okrutna parodia cyrkowej sztuczki: skazaniec w skrzyni i dwaj kaci z wielką piłą zębata, którą naprawdę rozpiłowują go na dwie części, ćwiartowanie - tortura podobna do poprzedniej, z tym że poruszane dźwignią ostrze musi najpierw przeciąć nieszczęśnika wzdłuż, włóczenie za koniem - ze skazańcem przywiązany do ogona, miażdżenie stóp śrubą, wreszcie najbardziej odrażające wbijanie na pal (nie mogłem jeszcze wtedy wiedzieć o lasach płonących na palach ludzi, w których świetle spożywał wieczerze wojewoda Drakula), i tak dalej, trzydzieści rodzajów tortur, jedna bardziej bestialska od drugiej.

Tortury... Zamykając oczy zaraz po otwarciu książki na tej stronie, mógłbym je wymienić po kolei, lecz odczuwane przeze mnie łagodny lęk i ciche podniecenie należały do mojego obecnego „ja”, nie do tego sprzed lat, którego już nie znałem.

Ileż czasu musiałem spędzić nad tą stroną! Lecz także nad innymi, niektóre były barwne; znajdowałem je, pomijając porządek alfabetyczny, jakby kierowała mną pamięć moich palców. A więc grzyby, mięsiste, najpiękniejsze ze wszystkich te trujące: muchomor z czerwonym, biało nakrapianym kapeluszem, gąska siarkowa rażąco żółtego koloru, biała kania, borowik szatański, serowiatka podobna do grubej, wykrzywionej w grymasie wargi. Dalej skamieliny, jak mamut, mastodont, moa. Dawne

instrumenty muzyczne: olifant, bucina, lutnia, gęśle, harfa eolska, harfa dawidowa i flet ramsinga. Flagi z całego świata, w tym z krajów takich jak Chiny, Kochinchina, Malabar, Kongo, Tabor, Nowa Granada, Sahara, Samoa, Sandwich, Wołoszczyzna, Mołdawia. Pojazdy, jak omnibus, faeton, dorożka, lando, cab, sulky, dyliżans, wóz etruski, rzymska biga, lektyka na słońca, średniowieczny włoski catroccio, berlinka, palankin, lektyka, sanie, wóz ciężarowy. Żaglowce; a ja byłem przekonany, że nauczyłem się z Bóg wie jakich opowieści o morskich przygodach terminów takich, jak bezan, marsel i stermarsel, sterbramsel, grotmaszt i fokmaszt, żagiel łaciński, kliwer i bomkliwer, bom, gafel, bukszpryt, bocianie gniazdo, nadburcie, steruj pod wiatr, przeklęty bosmanie, do stu tysięcy diabłów, uważaj na bom, wszyscy naprawą burzę, korsarskie Bractwo Brzegowe. Dawna broń: maczuga, bicz flagellum, miecz katowski, bułat, puginał z trzema ostrzami, daga, halabarda, arkebuz z zamkiem kołowym, bombardarda, taran, katapulta... No i nomenklatura heraldyki: pole herbowe, pas, skos, pał, krokiew, rosocha, klin, otok, promień, krzyż skośny... To była pierwsza encyklopedia mojego życia, musiałem długo ją wertować. Brzegi stron wytarte, wiele haseł podkreślonych, obok niektórych dopiski dziecięcą ręką - przeważnie objaśnienia trudniejszych terminów. Tom był zużyty do ostatka, czytany bez końca, wymięty, wypadały z niego strony.

Tak kształtowała się na początku moja wiedza? Mam nadzieję, że nie, zaśmiałem się złośliwie po przeczytaniu kilku haseł, właśnie tych najbardziej popodkreślanych.

Platon. Znakom, filozof gr., największy z filozofów Starożytności. Uczeń Sokratesa, którego doktrynę wyłożył w Dialogach. Zebrał piękną

kolekcję staroż. sprzętów domowych. 429-347 przed Chr.

Baudelaire. Parys, poeta, ekstrawagancki i sztuczny.

Najwidoczniej można się wyzwolić także od kiepskiej edukacji. Z czasem wydoroślałem i zmądrzałem, na studiach przeczytałem całego Platona. Nikt nigdy mi nie potwierdził, że ten filozof „zebrał piękną kolekcję starożytnych sprzętów domowych”. Gdyby jednak była to prawda? Gdyby dla niego była ona sprawą najważniejszą, a całą resztą zajmował się, aby zarobić na życie i pozwolić sobie na ten luksus? A tortury też były. Nie sędzę, by pisano o nich obecnie w szkolnych podręcznikach historii; to niedobrze, powinniśmy wiedzieć, z czego jesteśmy ulepieni, my - Kainowe plemię. Dorastałem zatem w przekonaniu, że człowiek jest z gruntu zły, a życie - opowieścią po szekspirowsku pełną soundandfury? Dlatego Paola mówiła, że wzruszałem ramionami, kiedy w Afryce umierało milion dzieci? Czy to Najnowszy Melzi nauczył mnie wątpić w ludzką naturę? Kartkowałem go dalej.

Schumann (Rob.). Sł. kompozytor niem. Napisał Raj i Peri, wiele symfonii, kantat itd. 1810-1856. - (Klara). Znakom, pianistka, wdowa po w/w. 1819-1896.

Dlaczego „wdowa”? W 1905 roku oboje nie żyli już od dawna; czy może się mówi, że Kalpurnia była wdową po Juliuszu Cezarze? Nie, była jego żoną, choć żyła dłużej od niego. Dlaczego wdową ma być tylko Klara? Ależ tak, w Najnowszym Melzim nie zapomniano o plotkach. Po śmierci męża, może nawet wcześniej, Klara związała się z Brahmssem. Odczytajmy daty (Melzi, jak wyrocznia delficka, nie mówi i nie przemilcza, lecz napomyka): w chwili śmierci Roberta ona ma zaledwie trzydzieści siedem lat, pozostaje jej jeszcze czterdzieści lat życia. Co

mogła robić w tym wieku piękna i znakomita pianistka? Klara należy do historii jako wdowa i Melzi to odnotowuje. Dlaczego interesowałem się potem dalszymi losami Klary? Może dlatego, że Melzi rozbudził moją ciekawość określeniem „wdowa”. Ile słów znam, bo nauczyłem się ich z tej książki? Dlaczego do dziś wiem z całą pewnością, mimo zamieszania w moim mózgu, że stolicą Madagaskaru jest Tananariwa? U Melziego znalazłem słowa przypominające formuły magiczne; abrakadabra, benzoes, dogmatyka, krab kieszeniec, minoderia, nawałnica, obozowisko, piędź, postrzyżyny, połonina, reinkarnacja, rokosz, szczyr, szyszak, transzeja, zaranie, zgorzel, Allobrogowie, Asurbanipal, Kafirystan, Mauretania, Nabuchodonozor...

Przejrzałem atlasy. Niektóre były bardzo stare, sprzed pierwszej wojny światowej: na mapie Afryki zaznaczono jeszcze szarawoniebieskim kolorem niemieckie kolonie. Musiałem mieć w życiu do czynienia z wieloma atlasami - czyż nie sprzedałem niedawno Orteliusza? - ale różne egzotyczne nazwy nabierały teraz dla mnie swojskiego brzmienia, jakby te mapy stanowiły punkt wyjścia do odzyskania innych map. Co łączyło moje dzieciństwo z Niemiecką Afryką Wschodnią i Indiami Holenderskimi, a zwłaszcza z Zanzibarem? W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że w Solarze jedno słowo wywołuje drugie. Czy dotrę wzdłuż tego łańcucha do słowa ostatniego? Do jakiego? „Ja”?

Wróciłem do mojego pokoju. Jedno chyba wiedziałem z całą pewnością: w słowniku łacińskim Campaniniego Carboni nie ma słowa gównno. Jak to się mówi po łacinie? Co krzyczał Neron, kiedy wbijając w ścianę gwóźdź, żeby powiesić na nim obraz, uderzył się młotkiem w palec? *Qualis artifex pereo*, jak wielki ginie we mnie artysta? Dla małego

chłopca musiał to być poważny problem, którego kultura oficjalna nie wyjaśniała. Sięgało się wtedy do słowników niewłączonych do programu szkolnego. I rzeczywiście, w Melzim występują: gównno, gówniarstwo, gówniarz i gównnik, merdocco - „plaster do usuwania owłosienia, stosowany zwłaszcza przez Żydów”; zastanawiałem się kiedyś zapewne, jak silnie owłosieni są Żydzi. Nagle coś mną wstrząsnęło i usłyszałem głos: „Mamy w domu słownik, w którym piszą, że kurwa to kobieta handlująca sama”. Jakiś mój szkolny kolega odkrył w swoim słowniku to, czego nie odnotował nawet Melzi. Z pewnością długo mnie intrygował zwrot „handlować sama”. Co też mogło być tak surowo zakazane w handlowaniu... jak by tu powiedzieć... bez ekspedienta i księgowego? To jasne. Kurwa z ostrożnego słownika handlowała sama sobą, a mój informator zinterpretował to, jak umiał, w sensie złośliwej aluzji, którą musiał usłyszeć w domu: „Spryciara, sama cały swój interes prowadzi...”

Czy zobaczyłem teraz coś z przeszłości - miejsce, tego chłopca? Nie, było to nadal, jakby wypływały na powierzchnię zdania, szeregi słów z dawno przeczytanego opowiadania. Flatus vocis, gra, powiew dźwięków.

Książki oprawne nie mogły być moje; z pewnością pożyczył mi je dziadek albo wujostwo przenieśli z jego gabinetu, żeby coś tutaj postawić. W większości były to tomy cartonnés kolekcji Hetzla - dzieła zebrane Verne'a w czerwonej oprawie ze złotymi winietami, różnobarwne okładki zdobione złotem... Może z tych książek nauczyłem się francuskiego. W nich także odnajdywałem bez trudu najbardziej znane ilustracje: kapitan Nemo obserwujący olbrzymią ośmiornicę przez wielki iluminator swojego „Nautilusa”, powietrzny statek Robura Zdobywcy najeżony antenami i technologicznymi czułkami, balon spadający na Tajemniczą Wyspę (-

Wznosimy są? - Nie! Przeciwnie! Opuszczamy się! - Gorzej, panie Cyrusie! Spadamy!?), olbrzymi pocisk wycelowany w Księżyc, jaskinie we wnętrzu Ziemi, zawzięty Keraban i Michał Strogow... Bóg tylko wie, jak bardzo niepokoiły mnie te postacie wyłaniające się zawsze z ciemnego tła, nakreślone cienkimi czarnymi kreskami, w które wplatają się białe plamy, wszechświat pozbawiony barwnych stref malowanych jednolicie, wizja złożona z rys, smug i odbić oślepiających swą bielą, świat widziany oczyma zwierzęcia o jemu tylko właściwej siatkówce - może tak widzą woły, psy albo jaszczurki. Świat podpatrywany nocą przez żaluzje z cieniutkich deszczulek. Poprzez te ryciny wkraczałem w światłocienie świata fikcji. Podnosiłem głowę znad książki, wychodziłem z niej, raziło mnie słoneczne światło; potem zagłębiałem się w niej znowu jak pływacz schodzący w głębinę, gdzie nie rozróżnia się barw. Czy na podstawie powieści Verne'a nakręcono kolorowe filmy? Czym staje się Verne bez tego rytownictwa, które dopuszcza światło tylko tam, gdzie nie sięgnęło narzędzie grawera?

Dziadek dał do oprawy inne tomy z tego samego okresu, zostawiając jednak stare, ilustrowane okładki zewnętrzne: Korsarze mórz południowych, Hrabia Monte Christo, Trzej muszkietierowie i inne arcydzieła romantyzmu dla ludu.

Oto w dwóch wydaniach, włoskim Sonzogno i francuskim, Il capitano Satana, czyli Les ravageurs de la mer, autorstwa Jacolliota. Te same ryciny. Kto wie, w jakim języku tę książkę przeczytałem. Wiedziałem, że miały w niej miejsce dwie okropne sceny: najpierw zły

Nadod jednym uderzeniem topora rozłupuje głowę dobrego Haralda i zabija następnie jego syna Olaus, potem - w zakończeniu - mściciel Guttor chwyta Nadoda za głowę i ścisza mu ją wolno swoimi potężnymi rękami, aż mózg nędznika tryska pod sufit. Na tej ostatniej ilustracji oczy ofiary i oprawcy wychodzą prawie z orbit.

Większa część akcji toczy się na skutych lodem morzach, pokrytych polarną mgłą. Niebo jak z masy perłowej na grawiurach wygląda jak przymglone, kontrastując z bielą lodu. Szare opary wzniosły się o parę stopni ponad horyzont i z wolna traciły swój szary koloryt... Subtelny białawy pył podobny do popiołu zaczął padać i zasypywać łódź... Z mlecznych głębi oceanu wynurzyła się poświata... Chwilami zasłona rozdzierała się, ukazując przez szczeliny cały chaos obrazów niewyraźnych i drżących... Lecz oto nagle wynurzyła się przed nami osłonięta całunem ludzka postać, nieskończenie większa i potężniejsza od któregośkolwiek z mieszkańców ziemi. A barwa skóry tej postaci lśniła oślepiającą białością śniegu... Nie, co mówię, to wspomnienia z innych lektur. Gratulacje, Jambo, masz doskonałą pamięć krótkoterminową. Czy nie były to pierwsze obrazy lub pierwsze słowa, które przypomniałeś sobie po przebudzeniu w szpitalu? Niewątpliwie Poe. Czy te zdania z Opowieści Artura Gordona Pyma nie wryły się jednak tak głęboko w twoją pamięć publiczną dlatego, że w dzieciństwie oglądałeś prywatnie blade morza kapitana Szatana?

Czytałem (czytałem ponownie?) tę książkę aż do wieczora. Zdałem sobie sprawę, że rozpocząłem lekturę na stojąco, a kontynuowałem ją w

kucki, oparty plecami o ścianę, z książką na kolanach, zapominając o bożym świecie. Z tego transu obudziła mnie dopiero Amalia, krzycząc:

- Zaskodzi to paniczowi na oczy, świętej pamięci matka panicza zawsze tak mówiła. Chryste, zamiast wyjść na dwór przy tak pięknej pogodzie! I nawet nie przyszedł panicz na obiad! Dalej, idziemy, pora na kolację!

A zatem powtórzyłem dawny rytuał. Byłem wycieńczony. Zjadłem jak chłopiec, który musi nabrać sił i rosnąć, potem ogarnęła mnie wielka senność. Zazwyczaj, tak mówiła Paola, przed zaśnięciem czytałem długo w łóżku, ale dziś wieczór żadnych książek, jak by nakazała mi to mama.

Zasnąłem natychmiast i śniłem o łąkach i morzach Południa, utkanych z pasm śmietany, rozłożonych długimi nitkami na talerzu marmolady z jeżyn.

7. TYDZIEŃ NA STRYCHU

Co robiłem przez ostatni tydzień? Czytałem, przeważnie na strychu, lecz wspomnienie jednego dnia zlewa się z drugim. Wiem tylko, że czytałem w sposób chaotyczny i szalony.

Nie czytałem wszystkiego dokładnie. Niektóre książki, niektóre numery czasopism przeglądałem w pośpiechu, jakbym przelatywał nad pewnym krajobrazem, a przelatując, wiedział już, że wiem, co tam napisano. Jakby jedno słowo wywoływało tysiąc innych lub rozkwitało streszczeniem tak gęstym jak te japońskie kwiaty, które kwitną w wodzie. Jakby coś samo odkładało się w mojej pamięci, aby dotrzymać tam towarzystwa Edypowi lub Hamletowi. Czasem powodował we mnie krótkie spięcie jakiś rysunek, trzy tysiące słów za jeden obraz. Kiedy indziej czytałem powoli, smakując każde zdanie, każdy akapit, każdy rozdział i przeżywając może te same emocje co podczas pierwszej, zapomnianej już lektury.

Zbyteczne wspominać cały zestaw tajemniczych płomieni, lekkich częstoskurczy, nagłych rumieńców, które wiele z tych lektur wywoływało we mnie na krótkie chwile. Potem znikaly tak, jak się pojawiły, ustępując miejsca nowym przyplływom gorąca.

Przez cały tydzień wstawałem wcześnie, żeby wykorzystać światło dzienne; wchodziłem na górę i zostawałem tam aż do zachodu słońca. Amalia, która za pierwszym razem przestraszyła się, kiedy zniknąłem, przynosiła mi na talerzu chleb i salami lub ser, dwa jabłka i butelkę wina („Mój Boże, ten człowiek znowu się rozchoruje i co ja powiem pani Paoli, proszę przestać, proszę to dla mnie zrobić, bo mi panicz oślepie!”).

Odchodziła, płacząc, ja wypijałem prawie całą butelkę wina i kartkowałem dalej w stanie upojenia alkoholowego, więc oczywiście nie udawało mi się należycie kojarzyć. Od czasu do czasu schodziłem na dół z ładunkiem książek i szedłem zaszyć się gdzie indziej, żeby nie być ciągle więźniem poddasza.

Przed wejściem na strych zadzwoniłem do domu, musiałem przecież się odezwać. Paola chciała wiedzieć, jak reaguję. Odpowiedziałem ostrożnie:

- Oswajam się z tym miejscem, pogoda jest wspaniała, spaceruję na świeżym powietrzu, Amalia to prawdziwy skarb.

Zapytała, czy poszedłem do apteki we wsi zmierzyć sobie ciśnienie. Powinienem to robić co dwa, trzy dni. Po tym, co mi się przytrafiło, muszę bardzo uważać, a przede wszystkim pamiętać o tabletkach rano i wieczorem.

Nie bez wyrzutów sumienia, ale pod solidnym pretekstem zawodowym, w chwilę później zatelefonowałem do antykwariatu. Sybilla pracowała jeszcze nad katalogiem, korektę powinienem dostać za dwa lub trzy tygodnie. Po wielu słowach ojcowskiej zachęty odłożyłem słuchawkę.

Postawiłem sobie pytanie, czy czuję jeszcze coś do Sybilli. To dziwne, ale po pierwszych dniach w Solarze widziałem wszystko z innej perspektywy. Sybilla zaczynała się stawać jakby odległym wspomnieniem, a moją teraźniejszością jawiło się to, co wydobywałem stopniowo z mgieł przeszłości.

Amalia wyjaśniła mi, że na strych wchodzi się z lewego skrzydła domu. Wyobraziłem sobie drewniane kręcone schody, a okazało się, że to kamienne, wygodne, łatwe do pokonania schodki. I rzeczywiście, jak

inaczej przeniesiono by na górę te wszystkie rzeczy, które zostały tam złożone?

O ile wiem, nigdy nie widziałem strychu. Ani piwnicy, prawdę mówiąc, ale o piwnicach powszechnie wiadomo, że są pod ziemią, ciemne, wilgotne, w każdym razie chłodne, że chodzi się tam ze świecą albo z pochodnią. Powieści gotyckie obfitują w piwnice, po których krąży ponury mnich Ambrozjo. Są też podziemia naturalne, jak pieczary Tomka Sawyera. Tajemnicza ciemność. Wszystkie domy mają piwnice, a nie wszystkie strychy, zwłaszcza w miastach, gdzie mają za to mansardy. Czy naprawdę nie istnieje literatura o strychach? Czym jest więc tytuł Tydzień na itry chu i Przypomniałem go sobie, ale nic więcej.

Nawet jeśli się ich w całości nie przemierzy, łatwo pojąć, że strychy domu w Solarze biegną nad wszystkimi trzema jego częściami. Wchodzi się do pomieszczenia, sięgającego od fasady do tylnej ściany budynku, potem pojawiają się węższe przejścia, przegrody, przepierzenia dzielące poszczególne sektory, trasy wyznaczone rzędami metalowych półek lub starych skrzyń, zakręty bezkresnego labiryntu. Wyszędłszy na chybił trafił do jednego z korytarzy po lewej stronie, skręciłem jeszcze raz lub dwa razy i nagle znalazłem się znowu przed drzwiami wejściowymi.

Wrażenia bezpośrednie: przede wszystkim ciepło, co zrozumiałe na poddaszu. Potem światło, wpadające przez szereg okienek w dachu, widocznych także z zewnątrz, lecz w dużej części od wewnątrz zatarasowanych nagromadzoną tam starzyzną, toteż słońce przedostaje się przez nie z największym trudem pod postacią złotych kling, w których poruszają się gorączkowo niezliczone cząsteczki kurzu - co dowodzi, że także w sąsiednim półcieniu tańczy mnóstwo monad, ziarenek,

pierwotnych atomów uwikłanych w browniańskie potyczki, kłębią się w próżni prymarne ciała. Kto o tym pisał - Lukrecjusz? Słoneczne klingi odbijają się niekiedy od szyb jakiegoś rozpadającego się kredensu albo od lustra, które - widziane pod innym kątem - wydawało się matową taflą opartą o ścianę. Miejscami widoczne są lukarny przesłonięte deszczowym osadem, który zbierał się na nich od zewnątrz przez dziesiątki lat; mimo to rzucają na podłogę jaśniejsze plamy.

Wreszcie dominująca barwa. Barwa strychu - wytwór nagromadzonych tu i ówdzie belek, skrzyń, tekturowych pudeł, resztek zniszczonych komód. To barwa stolarni, złożona z różnych odcieni brązu, od żółtawego nielakierowanego drewna do czerwonego drewna klonu, do malowanych na ciemno, poobijanych mebli, poprzez biel kości słoniowej wylewających się z pudeł papierów.

Jeśli piwnica zapowiada piekło, to strych obiecuje raj nieco przywiędły, gdzie martwe ciała spoczywają w zakurzonej jasności, roślinne Elizjum, gdzie wobec braku zieleni czujesz się jak w zeschniętym tropikalnym lesie, w sztucznych szuwarach, które cię przyjmują niczym bardzo letnia łaźnia.

Sądziłem, że piwnice symbolizują zstąpienie w wilgotne łono matki; teraz zapoznałem się z łonem powietrznym, które uzupełniało to pierwsze leczniczym prawie ciepłem. W tym wypełnionym półmrokiem labiryncie, gdzie wystarczyło usunąć dwie dachówki, aby znaleźć się pod otwartym niebem, unosił się zapach zamkniętych pomieszczeń, zapach milczenia i spokoju, w którym miałem swojego współnika.

Zresztą już po krótkim czasie nie czułem nawet gorąca, ogarnięty frenetycznym pragnieniem odkrycia wszystkiego. Przecież mój skarb

Klarabelli znajdował się z pewnością tutaj. Trzeba będzie jednak długo kopać, a ja nie wiedziałem, w którym miejscu zacząć.

Musiałem porwać dużo pajęczyn. Koty zajmowały się myszami, powiedziała Amalia, ale Amalia nigdy nie zajęła się pajakami. Nie opanowały całego strychu tylko z powodu selekcji naturalnej. Kolejne pokolenia wymierały, a ich pajęczyny wykruszały się - i tak przez lata.

Zacząłem szperać po pewnych półkach, ryzykując, że zwalę na podłogę nagromadzone tam pudełka i puszki. Dziadek najwidoczniej kolekcjonował także pudełka, zwłaszcza metalowe i wielobarwne. Pudełka z malowanej blachy: po biszkoptach Wamara - z amorkami na huśtawce, po tabletkach Arnaldiego, po brylantynie Coldinavy - ze złotymi brzegami i motywami roślinnymi, po stalówkach Perry'ego. Piękna, połyskująca skrzyneczka ołówków Presbitero, ułożonych jeszcze równo i niezatemperowanych, jak pas z nabojami dla uczonych. Wreszcie pushka po kakao Talmone z „Due Vecchi”, dwójgiem staruszków: ona podaje z czułością łatwo strawny napój uśmiechniętemu seniorowi bardzo w stylu ancien régime, ubranemu w culottes zapinane pod kolanami, noszone do białych pończoch.

Wpadło mi potem w ręce pudełko w stylu schyłku dziewiętnastego wieku po proszku musującym Brioschiego. Dwóch eleganckich panów rozkoszuje się kielichami wody stołowej, podawanymi przez wdzięczną kelnerkę. Najpierw przypomniały sobie to moje ręce. Bierze się pierwszą torebkę z miękkim białym proszkiem i wsypuje powoli jej zawartość do butelki napełnionej wodą z kranu. Potrząsa się trochę butelką, żeby

proszek dokładnie się rozpuścił i nie przylepił do szyjki. Bierze się następnie drugą torebkę, zawierającą proszek ziarnisty w drobniutkich kryształkach, i opróżnia się ją również do butelki, ale szybko, bo woda natychmiast zaczyna się burzyć. Zamyka się więc pospiesznie butelkę sprężynowym korkiem i czeka, aż spełni się chemiczny cud w tym zamknięciu, wśród bulgotania i wysiłków cieczy, próbującej wydostać się pęcherzykami przez szparki w gumowej uszczelce. W końcu burza mija i musująca woda jest gotowa do picia, woda stołowa, wino dla dzieci, woda mineralna domowego wyrobu. Powiedziałem sobie: woda Vichy.

Po rękach uaktywniło się coś innego, prawie jak w dniu, w którym natrafiłem na Skarb Klarabelli. Szukałem innego pudełka, na pewno z późniejszego okresu, które otwierałem tyle-kroć, zanim zasiedliśmy do stołu. Obrazek na nim powinien być nieco inny. Ci sami eleganccy panowie delektujący się cudowną wodą w wysokich kieliszkach do szampana, lecz na ich stole widać wyraźnie pudełko takie samo jak to, które trzyma się w ręce, a na tym pudełku ci sami panowie piją przy stole, na którym stoi znowu to samo pudełko wody stołowej, na którym ci sami panowie... I tak bez końca; wiedziałeś, że wystarczyłoby potężne szkło powiększające lub mikroskop, aby zobaczyć kolejne pudełka wymalowane na pudełkach. Przepaść bez dna, chińskie szkatułki, matrioszki. Nieskończoność widziana oczyma dziecka, nieznanego jeszcze paradoksu Zenona. Bieg do niedającej się osiągnąć mety, ani żółw, ani Achilles nie dotarliby nigdy do ostatniego pudełka, do ostatnich eleganckich panów i do ostatniej kelnerki. Już jako dzieci uczymy się

metafizyki nieskończoności i rachunku infinitezimalnego, lecz nie znamy jeszcze tego, co wyczuwamy intuicyjnie. Mogłoby to być wyobrażenie Cofania się bez Końca albo wręcz przeciwnie, przerażająca obietnica Wiecznego Powrotu, upływu wieków kásających własny ogon, bo po dotarciu do ostatniego pudełka - jeśli ono w ogóle istnieje - odkrylibyśmy może na dnie tego wiru nas samych z pierwszym pudełkiem w ręku. Czy nie po to zostałem antykwariuszem, żeby cofnąć się do stałego punktu odniesienia - dnia, w którym Gutenberg wydrukował w Moguncji swoją pierwszą Biblię? Wiesz przynajmniej, że przedtem nie było niczego lub - dokładniej - coś było, ale ty tam się zatrzymujesz, bo inaczej nie byłbyś już księgarzem, lecz odcyfrowywałbyś rękopisy. Wybiera się sobie zawód dotyczący tylko pięciu i pół stulecia, ponieważ w dzieciństwie fantazjowało się o nieskończoności pudełek wody Vichy.

Wszystkie rzeczy nagromadzone na strychu nie mogły się zmieścić w gabinecie dziadka ani nigdzie indziej w domu, więc już wtedy, gdy gabinet zarzucony był papierami, tu, na górze, musiało być dość pełno. Zatem tu właśnie przeprowadzałem jako dziecko moje poszukiwania, tu były moje Pompeje, gdzie chodziłem odkopywać znaleziska, pochodzące sprzed moich urodzin. Tu wahałem przeszłość, podobnie jak teraz. A więc znowu celebrowałem Powtórzenie.

Obok blaszanych pudełek stały dwie tekturowe skrzynki, wypełnione opakowaniami po papierosach. Te także zbierał dziadek i z pewnością dobrze musiał się napracować, podkradając je podróżnym nie wiadomo gdzie i jakim, bo w jego czasach kolekcjonerstwo bezwartościowych

przedmiotów nie było zorganizowane tak jak dzisiaj. Pudełka marek całkiem nieznanymi: Mjin Cigarettes, Macedonia, Turkish Atika, Tiedemann's Birds Eye, Całypso, Cirene, Kef Orientalske Cigaretter, Aladdin, Armiro Jakobstad, Golden West Virginia, El Kalif Alexandria, Sambuł, Sasja Mild Russian Blend. Pudełka ozdobne, z podobiznami baszów, kedywów i orientalnych odalisek, jak na Cigarillos Excelsior de la Abundancia, albo angielskich marynarzy w nadzwyczaj szykownych niebiesko-białych mundurach, z wypielegnowanymi brodami à la król Jerzy może V. Dalej pudełka, które chyba rozpoznawałem, jakbym je widział w rękach pań, Eva w kolorze kości słoniowej, Serraglio. Wreszcie opakowania z miękkiego papieru, pogniecione i pozwijane, po papierosach dla ludu, jak Africa i Milit, których nikomu nigdy się nie śniło przechowywać - więc wdzięczność należy się temu, co je wyciągnął ze śmietnika, aby pamięć po nich nie zaginęła.

Przyglądałem się przez co najmniej dziesięć minut rozgniecionemu jak ropucha, wystrzępionemu pudełku po papierosach Macedonia, 10 sztuk, 3 liry, szepcząc: „Duilio, od macedonii żółkną ci palce...” O moim ojcu nic jeszcze nie wiedziałem, lecz byłem pewien, że palił te macedonie, może nawet z tego właśnie pudełka, i że moja matka użalała się na jego palce pożółkłe od nikotyny, „żółte jak pastylka chininy”. Odgadnąć obraz ojca poprzez blady odcień taniny to nie było wiele, ale dość dużo, aby usprawiedliwić podróż do Solary.

Rozpoznałem także cuda z pudła stojącego obok, do którego przyciągał mnie mdły zapach najtańszych perfum. Można je jeszcze znaleźć po wysokiej cenie, widziałem je przed kilkoma tygodniami na stoiskach przy placu Cordusio: kalendarzyki fryzjerskie, tak nieznośnie

perfumowane, że zachowały jeszcze nieco zapachu po pięćdziesięciu latach. Rewia kokot, wydekoltowanych dam w krynolinach, piękności na huśtawkach, zagubionych kochanek, egzotycznych tancerek, egipskich królowych... Fryzury kobiece na przestrzeni wieków, kobiety-maskotki, włoski Firmament Gwiazd z Marią Denis i Vittorioem De Sika, Jej Królewska Mość Kobieta, Salomea, Perfumowany Almanach w Stylu Cesarstwa z Madame Sans-Gêne, Tout Paris, Grand Savon Quinquine - uniwersalne mydło toaletowe, antyseptyczne, nadzwyczaj cenne w gorącym klimacie, przeciwdziała skorbutowi, malarii, egzemie suchej - z monogramem Napoleona, Bóg wie dlaczego, ale na rysunku widać cesarza, którego jakiś Turek zawiadamia o tym wielkim wynalazku, a on wyraża swą aprobatę. Nie brak kalendarzyka z Wieszczem D'Annunzio - ci fryzjerzy nie cofali się przed niczym.

Obwąchiwałem ostrożnie jak intruz w zakazanym królestwie. Kalendarzyki fryzjerskie mogły wzbudzać w dziecku niezdrowe zachcianki, może nie wolno mi było ich oglądać. Może na strychu dowiem się czegoś o kształtowaniu się mojej świadomości seksualnej.

Światło słoneczne padało już pionowo przez lukarny, a ja jeszcze nie miałem dosyć. Zobaczyłem wiele rzeczy, ale żadnego przedmiotu, który byłby naprawdę i tylko mój. Kiedy krążyłem bez celu, zaciekawiała mnie zamknięta komoda. Po otwarciu okazała się pełna zabawek.

W poprzednich tygodniach oglądałem nieraz zabawki moich

wnuków, wszystkie z kolorowego plastiku, przeważnie elektryczne. Kiedy podarowałem Sandrowi nową motorówkę, powiedział mi od razu, żebym nie wyrzucał pudełka, bo na dnie powinna być bateria. Moje zabawki sprzed lat były z drewna i blachy. Szable, strzelby strzelające korkiem, mały kask tropikalny z czasów podboju Etiopii, cała armia ołowianych żołnierzyków, inni, więksi żołnierze z kruchego tworzywa, jeden bez głowy, drugi bez ramion lub tylko z wystającymi kawałkami drutu, oblepionymi resztką tej lakierowanej gliny. Żyłem więc z tymi karabinkami i z tymi okaleczonymi bohaterami dzień po dniu, ogarnięty wojowniczym zapalem. To oczywiste - dzieci wychowywano wówczas obowiązkowo w kulcie wojny.

Pod spodem leżały lalki mojej siostry, przedtem będące własnością naszej matki, której przekazała je chyba z kolei nasza babka (musiały to być jeszcze czasy, kiedy zabawki się dziedziczyło). Cera porcelanowa, różane usteczka, policzki w ogniu, sukieneczka z organdy, rozmarzone oczęta otwierają się jeszcze i zamykają. Jedna z nich, potrząśnięta, powiedziała nawet „mama”.

Grzebiąc między strzelbami, znalazłem osobliwych żołnierzyków - płaskich, wyciętych z drewna, czerwone kepi, niebieska kurtka, długie czerwone spodnie z żółtym lampasem - ustawionych na kółkach. Ich wygląd nie był marsowy, lecz groteskowy; mieli nosy jak kartofle. Pomyślałem sobie, że jednym z nich jest kapitan Kartofel z pułku żołnierzyków Krainy Obfitości. Byłem pewien, że tak właśnie się nazywają.

Wyciągnąłem wreszcie blaszaną żabę, która przy naciśnięciu brzucha wydawała jeszcze ledwo dosłyszalne skrzeczenie: rech, rech. Jeśli nie chce

cukierków mlecznych doktora Osimo, pomyślałem, będzie chciała zobaczyć żabę. Co miał wspólnego doktor Osimo z żabą? Komu zamierzałem ją pokazać? Ciemność zupełna. Trzeba się nad tym zastanowić.

Dotykając żaby, powiedziałem mimowolnie, że Angelo Orso musi umrzeć. Kim był Angelo Niedźwiedź? Jaki był jego stosunek do blaszanej żaby? Czułem jakieś wibrowanie, byłem pewien, że zarówno żaba, jak i Angelo Niedźwiedź z kimś mnie łączą, ale moja jałowa pamięć czysto werbalna niczego mi nie podpowiadała. Wyszepiałem tylko dwuwiersz: Kapitan Kartofel uniósł szpadę. Czas rozpocząć defiladę. Potem już nic. Byłem znowu w terażniejszości, w brązowawej ciszy strychu.

Drugiego dnia przyszedł mnie odwiedzić kot Matu. Wskoczył mi na kolana, kiedy jadłem, i zarobił skórki od sera. Po wypiciu butelki wina, co stało się już zwyczajem, wyruszyłem w obchód bez celu. Natrafiłem wreszcie na dwie wielkie, chwiejące się szafy, umocowane naprzeciw okienka za pomocą prymitywnych klinów drewnianych, dzięki którym stały mniej więcej pionowo. Z pewnym trudem otworzyłem pierwszą - w każdej chwili mogła na mnie runąć - i spadł mi pod nogi deszcz książek. Nie zdołałem powstrzymać tej ulewy; wydawało się, że te puchacze, nietoperze i sowy uwiecznione tam od wieków, te duchy zamknięte w butelce czekały tylko na kogoś nieostrożnego, kto zwróci im wolność i umożliwi zemstę.

Tomy leżące już na podłodze w połączeniu z tymi, które usiłowałem wydobyć, zanim spadną, tworzyły pokaźną bibliotekę, którą teraz odkrywałem. Więcej - był to prawdopodobnie cały zapas książek ze starego sklepu dziadka w mieście, zlikwidowanego przez wujostwo.

Nigdy nie przejrzałbym ich wszystkich, ale już teraz rozpoznawałem niektóre, jakby uderzały we mnie pioruny, zapalające się i gasnące w jednej chwili. Były to książki w różnych językach i z różnych okresów. Niektóre tytuły nie wzniecały we mnie żadnego płomienia, ponieważ należały do znanego mi już repertuaru, jak wiele starych wydań powieści rosyjskich. Kiedy je kartkowałem, uderzał mnie tylko ich osobliwy język, owoc wysiłków - jak dowiadywałem się ze stron tytułowych - pań o podwójnych nazwiskach, które najwyraźniej tłumaczyły Rosjan z francuskiego, bo nazwiska bohaterów kończyły się na - ine: Myskine, Rogożynę.

Wiele z tych tomów, zaledwie ich dotknąłem, rozsypywało mi się w rękach, jakby papier, po latach grobowych ciemności, nie mógł znieść słonecznego światła. W rzeczywistości nie znosił on dotyku palców; leżał latami, czekając, aż się rozpadnie na drobniutkie kawałki, połamie na cieniutkie listewki na marginesach i w rogach stron.

Zainteresował mnie Martin Eden Jacka Londona. Zacząłem mechanicznie szukać ostatniego zdania, jakby moje palce wiedziały, że musi tam być. Martin Eden u szczytu sławy popełnia samobójstwo, ześlizgując się w morze przez iluminator parowca. Czuje wodę przenikającą do płuc i w ostatnim przebłysku pojmuje coś - może sens życia - ale w tej samej chwili, gdy to pojął, zgasła w nim świadomość.

Czy naprawdę należy żądać ostatecznego wyjaśnienia, jeśli

uzyskawszy je, zagłębimy się w mrok? Może powinienem się zatrzymać, bo dostałem już od losu dar zapomnienia. Ale ruszyłem w drogę i muszę iść dalej.

Spędziłem dzień na pobieżnym przeglądaniu różnych książek. Niekiedy wyczuwałem, że z wielkimi arcydziełami, co do których byłem pewien, iż przyswoiła je sobie moja pamięć publiczna i dorosła, zapoznałem się po raz pierwszy poprzez skrócone wydania dla młodzieży z serii Scala d'Oro. Swojsko brzmiały mi liryki ze zbioru Koszyczek, wiersze dla dzieci Angiola Silvia Novara: Co mówi marcowy deszczyk, gdy podzwania srebrzyście, padając na dachówki i suche ostrokrzewu liście? Albo: Wiosna nadchodzi roztańczona, staje przed twymi drzwiami. Co przynosi? Wianki z motyli, przybrane powojami. Czy wiedziałem jeszcze, co to ostrokrzew i powój? Zaraz potem wpadły mi w oko okładki serii o Fantomasie z tytułami Londyński wisielec, Czerwona osa, Konopna pętla - zagmatwane opowieści o pościgach w paryskich kanałach, wstających z grobowców pannach, poćwiartowanych ciałach, obciętych głowach, z postacią zamaskowanego księcia zbrodni we fraku, zawsze gotowego zmartwychwstać i ze swoim szyderczym uśmiechem zapanować nad nocnym, podziemnym Paryżem.

Obok Fantomasa - seria Rocambole'a, innego króla występku. Na pierwszej stronie Niedoli Londynu przeczytałem następujący opis:

W południowo-zachodnim rogu placu Wellclose zaczyna się uliczka szerokości około trzech metrów, w połowie której stoi teatr, gdzie najlepsze miejsca kosztują dwanaście soldów, a na parter wchodzi się za jednego penny. Pierwszy aktor jest Murzynem. Pije się tam i je podczas spektaklu. Do łóż chodzą boscie prostytutki, parter zapełniają złodzieje.

Nie oparłem się urokowi zła i resztę dnia poświęciłem Fantomasowi i Rocarnbole'owi. Lektury przypadkowe, ale bardzo ekscytujące, które łączyłem z czytaniem opowieści o innym przestępcy, a zarazem dżentelmenie, Arsenie Lupin, i o jeszcze bardziej dżentelmeńskim i nader eleganckim Baronie, arystokratycznym złodzieju klejnotów, ciągle zmieniającym przebrania, o przesadnie anglosaskim wyglądzie, którego rysować musiał jakiś Włoch anglofil.

Zadrzałem przed pięknym wydaniem Pinokia, ilustrowanym przez Mussina w 1911 roku, ze stronami postrzępionymi i poplamionymi kawą. Wszyscy znają historię Pinokia. Zachowałem w pamięci jego obraz radośnie baśniowy - ileż to razy opowiadałem o nim wnuczkom, żeby ich rozbawić! - a teraz przeszedł mnie dreszcz na widok przerażających ilustracji w dwóch tylko kolorach, żółtym i czarnym lub zielonym i czarnym. W swoich zakrętasach w stylu liberty raziły mnie one olbrzymią brodą Ogniożera, niepokojącymi turkusowymi włosami Wróżki, nocnymi zjawami prześladowców i grymasem zielonego rybaka. Po przeglądaniu tego Pinokia kuliłem się może pod kołdrą w burzliwe noce. Kilka tygodni temu, kiedy spytałem Paolę, czy te wszystkie filmy o przemocy i żywych trupach w telewizji nie szkodzą dzieciom, odpowiedziała mi, że pewien psycholog ją zapewnił, iż w całym przebiegu swojej pracy zawodowej nie przytrafiły mu się nigdy dzieci znerwicowane za sprawą filmów, z jednym jedynym wyjątkiem; chodziło o dziecko wstrząśnięte do głębi, w

nieuleczalny sposób, Kroleivna Śnieżką Walta Disneya.

Z drugiej strony odkryłem, że z obrazów równie przerażających pochodzi moje imię. Oto Przygody Kędziorka niejakiego Jambo, autora także i innych książek przygodowych z rysunkami jeszcze w stylu art nouveau i z mroczną scenerią. Zamki na szczytach gór w ciemną noc, widmowe lasy z wilkami o ognistych ślepiach, wizje podmorskie à la Jules Verne dla ubogich, no i Kędziorek, ładniutki chłopczyk z kędziorem baśniowego rozbójnika: Ogromny kędzior włosów nadawał mu osobliwy wygląd, upodabniając go do miotłki do odkurzania mebli. A on, wiecie, był dumny ze swojego kędziora! Tak narodził się Jambo, którym jestem i którym chciałem zostać. No cóż, w gruncie rzeczy lepsze to niż utożsamianie się z Pinokiem.

Takie było moje dzieciństwo? A może jeszcze gorsze? Bo szperając dalej, wygrzebałem owinięte w niebieski papier, po-spinane gumkami roczniki „Ilustrowanego Dziennika Podróży i Przygód na Ziemi i na Morzu”. Były to zeszyty cotygodniowe. Zbiór dziadka zawierał numery z pierwszych dziesięcioleci dwudziestego wieku oraz kilka egzemplarzy francuskiego „Journal des Voyages”.

Kilka okładek przedstawiało krwiożerczych Prusaków rozstrzeliwujących dzielnych żuawów. Przeważnie dotyczyły one jednak niezwykle okrutnych historii z bardzo odległych krajów: chińscy kulisi wbijani na pal, półnagie dziewice na klęczkach przed ponurą Radą

Dziesięciu, rzędy obciętych głów na zaostzonych kołkach tkwiących w murach jakiegoś meczetu, rzezie dzieci w wykonaniu arabskich rabusiów zbrojnych w zakrzywione miecze, ciała niewolników, rozrywane przez olbrzymie tygrysy. Wyglądało na to, że plansza tortur z leksykonu Najnowszy Melzi natchnęła perwersyjnych rysowników, ogarniętych nienaturalną żądzą współzawodnictwa. Przegląd zła w każdej postaci.

Zdrętwiały od posiedzeń na strychu, zniosłem tę wielką obfitość czasopism na parter, do pomieszczenia z jabłkami, ponieważ w tych dniach upał zrobił się nieznośny. Zdawało mi się, że poukładane na wielkim stole jabłka wszystkie spleśniały. Potem zrozumiałem, że zapach pleśni pochodził właśnie z tych zeszytów. Jak mogły trącić wilgocią po pięćdziesięciu latach w suchym powietrzu na strychu? Może w zimnych i deszczowych miesiącach strych nie był jednak taki suchy, bo nasiąkał wilgocią z dachu, może te zeszyty, zanim tam trafiły, przeleżały dziesięciolecia w jakiejś piwnicy ze ścianami ociekającymi wodą, gdzie dziadek je odnalazł (on także musiał nadskakiwać wdowom), i zbutwiały tak bardzo, że nie straciły zapachu nawet w upale, który je wysuszył. Gdy czytałem jednak o straszliwych wydarzeniach i bezlitosnych zemstach, pleśń nie kojarzyła mi się z okrucieństwem, lecz z Trzema Królami i Dzieciątkiem Jezus. Dlaczego? Kiedy miałem do czynienia z Trzema Królami i co ich łączyło z masakrami na Morzu Sargassowym?

Na razie mój problem był jednak inny. Jeżeli przeczytałem wszystkie te opowieści, jeżeli bez wątpienia widziałem te wszystkie okładki, jak mogłem jednocześnie akceptować wiersz o wiosnie, co nadchodzi

roztąńczona? Byłem może obdarzony instynktowną zdolnością oddzielania świata dobrych uczuć rodzinnych od tych tekstów, pokazujących mi świat okrutny, wzorowany na Grand Guignol, świat męczarni, obdzierania ze skóry, stosów i szubienic?

Pierwsza szafa została opróżniona całkowicie, choć nie mogłem przejrzeć wszystkiego. Trzeciego dnia wziąłem się do drugiej, mniej wypełnionej. Książki były w niej ustawione porządnie, jakby schował je nie wuj, wściekle upychający rzeczy, których chciał się pozbyć, lecz dziadek, dawno temu. A może ja. Znajdowały się tam wyłącznie książki dla dzieci i młodzieży, należące chyba do mojej prywatnej biblioteczki.

Wyciągnąłem całą kolekcję Biblioteki Moich Chłopców wydawcy Salaniego. Okładki były mi znane. Wymieniałem tytuł, jeszcze zanim wyjąłem tom, z tą samą pewnością, z jaką odszukiwałem w katalogach kolegów po fachu lub w bibliotece kolejnej wdowy książki najważniejsze, *Cosmographie* Sebastiana Münstera czy *De sensu rerum et magia* Campanelli. A więc: *Chłopiec z morza*, *Spadek Cygana*, *Przygody Słonecznego Kwiatu*, *Plemię Dzikich Królików*, *Złośliwe widma*, *Więźniarki z Casablanki*, *Malowany wózek*, *Wieża Północna*, *Indyjska bransoleta*, *Tajemnica człowieka z żelaza*, *Cyrk Barletta...*

Zbyt ich dużo. Pozostając na strychu, skurczyłbym się jak dzwonnik z Notre-Dame. Wziąłem naręcze książek i zszedłem na dół. Mogłem pójść do gabinetu lub usiąść w ogrodzie, ale chciałem niejasno czegoś innego.

Skierowałem się na tyły domu, potem na prawo, tam gdzie pierwszego dnia pobytu usłyszałem chrząkanie świń i gdakanie kur. Tam

właśnie, za skrzydłem zamieszkanym przez Amalię, znajdowało się klepisko, takie jakie widywało się kiedyś. Grzebały na nim kurczaki, dalej stały królikarnia i chlewy. Parter mieścił wielkie pomieszczenie pełne narzędzi rolniczych - grabi, wideł, łopat, wiader na wapno, starych kadzi.

Zaczynająca się w głębi klepiska ścieżka prowadziła do sadu, prawdziwie bogatego i cieniściego. Kusiło mnie, żeby wspiać się na gałąź któregoś drzewa, usiąść na niej okrakiem i w takiej pozycji czytać. Może robiłem tak jako chłopiec, lecz w wieku sześćdziesięciu lat ostrożności nigdy nie za wiele, zresztą nogi niosły mnie już gdzie indziej. Dotarłem do kamiennych schodków wśród zieleni i zszedłem na okrągły plac, otoczony pokrytymi bluszczem niskimi murkami. Pod murem naprzeciw wejścia była fontanna, szemrała spływająca woda. Wiał lekki wiatr, cisza panowała zupełna. Przycupnąłem na kamiennym występie między fontanną a murem, szykując się do czytania. Coś mnie tu przyprowadziło, może przychodziłem tu kiedyś z tymi właśnie książkami. Zaakceptowałem więc ten mój instynktowny wybór i pogrążyłem się w lekturze przyniesionych tomików.

Niektóre z nich - wynikało to z ilustracji w stylu lat czterdziestych i z nazwisk autorów - były włoskie, jak Tajemnicza kolejka linowa i Piorunek, czystej krwi mediolańczyk; wiele miało patriotyczny bądź wręcz nacjonalistyczny charakter. W większości były to jednak tłumaczenia z francuskiego; autorzy nazywali się: B. Bernage, M. Goudareau, E. De Cys, J. Rosmer, Valor, P. Besbre, C. Péronnet, A. Bruyère, M. Catalany - znamienity zastęp nieznajomych, których imiona pozostawały tajemnicą nawet dla włoskich wydawców. Dziadek zbierał także oryginały, publikowane w serii Bibliothèque de Suzette. Wydania włoskie ukazywały

się z opóźnieniem co najmniej jednego dziesięciolecia, ilustracje pochodziły najpóźniej z lat dwudziestych. Moje dziecięce lektury musiały być nacechowane miłą staroświeckością, i bardzo dobrze - prowadziły wszystkie w świat dnia poprzedniego, opowiadany baśniowo przez panów całkiem podobnych do pań piszących dla panienek z dobrego domu.

Wydało mi się wreszcie, że wszystkie te książki zawierają tę samą historię. Zazwyczaj trzech lub czterech chłopców szlacheckiego pochodzenia (rodzice, Bóg wie czemu, są zawsze w podróży za granicą) przyjeżdża do stryja mieszkającego w starym zamku albo w jakiejś dziwnej posiadłości ziemskiej. Przeżywają tam pasjonujące, tajemnicze przygody w podziemiach i wieżach. Odkrywają skarby, machinacje wiarołomnych rządców, dokumenty, dzięki którym zubożała rodzina odzyskuje dobra przywłaszczone przez zdradzieckiego krewniaka. Szczęśliwe zakończenie, pochwała odwagi chłopców, dobroduszne przestrogi stryjów lub dziadków przed groźnymi następstwami zbytnej śmiałości, nawet tej zrodzonej ze szlachetnych pobudek.

Akcja toczy się we Francji, widać to po bluzach i drewniakach wieśniaków. Tłumacze dokonywali jednak cudów, aby nadać włoskie brzmienie imionom i wywołać wrażenie, że rzecz dzieje się w którymś z naszych regionów, wbrew krajobrazom i architekturze, raz bretońskiej, raz znowu owernijskiej.

Miałem dwa różne wydania tej samej najwyraźniej książki niejakiego M. Bourceta, ale w wydaniu z 1932 roku zatytułowana ona była Spadkobierca z Ferlac i nazwiska bohaterów były francuskie, a w wydaniu z 1941 roku tytuł zmieniono na Spadkobierca z Ferralby i bohaterowie stali się Włochami. Było oczywiste, że po latach jakaś dyrektywa z góry

lub samorodna cenzura narzuciły zitalianizowanie akcji.

No i nareszcie stały się jasne słowa, które przyszły mi do głowy podczas wchodzenia na strych. Do francuskiej serii należał tom Tydzień na strychu (był też oryginał, *Huit jours dans un grenier*), urocza historia o chłopcach ukrywających przez tydzień na strychu swojej willi Nicolettę - dziewczynkę, która uciekła z domu. Nie wiedziałem, czy miłość do strychu zrodziła się we mnie z lektury tej książki i czy szukałem jej umyślnie, kiedy po strychu krążyłem. A dlaczego nadałem imię Nicoletta mojej córce?

Małej Nicoletcie towarzyszył na strychu angorski kot Matù, czarny jak smoła i majestatyczny, oto jak zrodził się pomysł, żebym i ja miał teraz takiego Matù. Ilustracje przedstawiały dzieci drobne i dobrze ubrane, niekiedy w koronkach, o jasnych włosach i delikatnych rysach. Nie mniej ładnie wyglądały ich matki: włosy starannie uczesane na garsonkę, nisko umieszczona talia, sięgająca kolan spódnica z potrójną falbanką, piersi arystokratyczne, ledwie zarysowane.

W ciągu dwóch dni spędzonych u fontanny, gdy zapadał już zmrok i mogłem rozróżnić tylko obrazki, przychodziło mi na myśl, że na stronach książek z Biblioteki Moich Chłopców uformowało się z pewnością moje zamiłowanie do fantastyki, lecz mieszkałem w kraju, w którym - nawet jeśli nazwisko autora brzmiało Catalany - bohaterowie musieli się nazywać Liliana albo Maurizio, jak prawdziwi Włosi.

Czy było to wychowanie w duchu nacjonalistycznym? Czy rozumiałem, że chłopcy, których przedstawiano mi jako odważnych

małych rodaków z moich czasów, żyli w obcych stronach kilka dziesięcioleci przed moimi narodzinami?

Po tych wakacjach u fontanny wróciłem na strych, gdzie wyłowilem paczkę związaną sznurkiem, zawierającą około trzydziestu zeszytów (po sześćdziesiąt centymów sztuka) przygód Buffalo Billa. Nie były ułożone w porządku chronologicznym. Widok pierwszej okładki spowodował we mnie wyładowanie tajemniczych płomieni. Brylantowy medalion. Buffalo Bili, z odchylonymi do tyłu zaciśniętymi pięściami, z posepnym błyskiem w oczach, rzuci się zaraz na bandytę w czerwonej koszuli, grożącego mu pistoletem.

Patrząc na ten numer 11 serii, potrafiłem już wymienić inne: Mały kurier, Wielkie przygody w puszczy, Dziki Bob, Don Ramiro - handlarz niewolnikami, Przeklęta farma... Uderzyło mnie, że na okładkach napisane jest: „Buffalo Bill, bohater prerii”, a wewnątrz nagłówek zmienia się na „Buffalo Bill, włoski bohater prerii”. Sprawa była jasna, przynajmniej dla księgarza antykwariusza. Wystarczyło spojrzeć na pierwszy numer nowej serii z 1942 roku, gdzie wpadająca od razu w oczy nota głosiła tłustym drukiem, że William Cody nazywał się w rzeczywistości Domenico Tombini i pochodził z Rumunii (jak Duce, chociaż w nocie wstydliwie nie wspomniano o tej cudownej zbieżności). W 1942 roku Włochy były już - jeśli się nie mylę - w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi i to wszystko wyjaśniało. Wydawca (Nerbini z Florencji) wydrukował okładki w czasach, kiedy William Cody mógł jeszcze spokojnie uchodzić za Amerykanina; później zdecydowano, że bohaterowie muszą być zawsze i

tylko Włochami. Nie pozostawało więc nic innego, jak zachować - ze względów oszczędnościowych - starą kolorową okładkę, zmieniając skład pierwszej strony.

Dziwne, powiedziałem sobie, zasypiając nad ostatnią przygodą Buffalo Billa: karmiono mnie opowieściami przygodowymi francuskimi i amerykańskimi, ale po ich naturalizacji. Jeżeli taka była nacjonalistyczna edukacja chłopców w okresie dyktatury, to trzeba ją uznać za dość łagodną.

Nie, nie była ona znowu taka łagodna. Następnego dnia wziąłem do ręki książkę Włoscy chłopcy w świecie Piny Ballario, z nowoczesnymi ilustracjami wykonanymi energiczną kreską przy użyciu barw czarnej i czerwonej.

Kilka dni wcześniej, gdy w moim pokoiku zobaczyłem książki Verne'a i Dumasa, wydało mi się, że je czytywałem skulony na jakimś balkonie. Nie przywiązałem wtedy do tego wagi, był to jedynie błysk, po prostu wrażenie czegoś, co już się widziało. Dzisiaj jednak się zastanowiłem: pośrodku głównej części domu, zamieszkanego niegdyś przez dziadka, naprawdę jest balkon i na nim widocznie zapoznawałem się z tymi przygodami.

Chcąc wypróbować balkon, zdecydowałem czytać tam Włoskich chłopców w świecie, i tak zrobiłem. Usiłowałem nawet usiąść z nogami zwisającymi przez słupki balustrady; moje nogi nie mieściły się już jednak

w tych wąskich odstępach. Pieklęm się w słońcu przez kilka godzin, aż to ciało niebieskie zawędrowało za fasadę domu, sprawiając, że na balkonie stało się mniej upalnie. W ten sposób czułem na sobie prawdziwie andaluzyjskie słońce, chociaż akcja toczyła się w Barcelonie. Grupkę młodych Włochów, którzy wyemigrowali z rodzinami do Hiszpanii, zaskoczyła tam rewolta antyrepublikańska generała Franco, przy czym w czytanej przeze mnie opowieści uzurpatorami wydawali się czerwoni milicjanci, krwiożerczy i wiecznie nietrzeźwi. W młodych Włochach ocknęła się faszystowska godność. W czarnych koszulach nieustraszenie przemierzyli wstrząsaną rozruchami Barcelonę i uratowali proporzec z zamkniętej przez republikanów miejscowej siedziby partii faszystowskiej. Najodważniejszemu z nich, głównemu bohaterowi, udało się nawet nawrócić na wiarę Duce swojego ojca, zapijaczonego socjalistę. Po takiej lekturze powinienem był zapłonąć faszystowską dumą. Utożsamiałem się z tymi włoskimi chłopcami, z małymi paryżanami niejakiego Bernage'a czy z panem, który w końcu nazywał się jeszcze Cody, nie Tombini? Kto zaludniał moje dziecięce sny? Włoscy chłopcy w świecie czy dziewczynka z poddasza?

Powrót na strych przyniósł mi dwa dalsze powody do wzruszeń. Przede wszystkim Wyspę skarbów. Rozpoznawałem oczywiście tytuł - to przecież utwór klasyczny - ale zapomniałem treść, co oznacza, że stała się ona częścią mojego życia. Przeczytanie tej książki jednym tchem zajęło mi dwie godziny, po każdym rozdziale przypominałem sobie następny. Wróciłem do ogrodu owocowego, gdy spostrzegłem w głębi krzaki leszczyny. Usiadłem wśród nich na ziemi i czytając, objadałem się orzechami laskowymi. Kamieniem rozłupywałem je po trzy, cztery naraz,

zdmuchiwałem kawałki łupin i wsadzałem sobie zdobycz do ust. Nie dysponowałem beczką jabłek, w której ukrył się Jim, aby podsłuchiwać tajne rozmowy Długiego Johna Silvera, ale musiałem naprawdę tak kiedyś czytać tę książkę, przeżuwać suchy pokarm, jak to robiono na statkach.

To była moja historia. Za sprawą cienkiego rękopisu dalejże na poszukiwanie skarbu kapitana Flinta. Pod koniec lektury poszedłem po butelkę grappy, którą zauważyłem w kredensie u Amalii; czytając o piratach, pociągałem długie łyki. Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni – Jo–bo–ho! i butelka rumu!

Po Wyspie skarbów natrafiłem na Historię o panu Pipino, co urodził się starcem, a umarł dzieciną Giulia Granellego. Przypomniałem ją sobie kilka dni wcześniej, z tą różnicą, że w książce była mowa o gorącej jeszcze fajce, pozostawionej na stole obok glinianej figurki staruszka. Fajka postanowiła ogrzać ten martwy przedmiot, aby go ożywić - i tak narodził się mały starzec. Puer senex, bardzo stary topos. Pipino umiera w końcu jako niemowlę w kołysce i wstępuje do nieba dzięki dobrym wróżkom. Bardziej podobała mi się wersja, którą sobie przypomniałem: przyniesiony przez bociana starcem Pipino umierał niemowlęciem w kołysce. W każdym razie podróż Pipina do dzieciństwa była moją podróżą. Być może po powrocie do chwili urodzenia rozproszę się w nicości (albo w Całości) jak on.

Wieczorem zadzwoniła Paola, zaniepokojona, że się nie odzywam. Pracuję, pracuję, powiedziałem, nie martw się o moje ciśnienie, wszystko w porządku.

Następnego dnia znowu grzebałem w szafie. Stały tam wszystkie powieści Salgariego - włoskiego Karola Maya - w secesyjnych okładkach,

na których pośród miłych dla oka wolut pojawiali się: ponury, bezlitosny Czarny Korsarz o kruczoczarnej czuprynie i pięknych pąsowych ustach, zarysowanych finezyjnie na melancholijnym obliczu, Sandokan z Dwóch tygrysów, ze swoją srogą głową malajskiego księcia, osadzoną na zwinnym ciele drapieżnika, zmysłowa Surama i zabijacy z Malajskich piratów. Dziadek zebrał także przekłady hiszpańskie, francuskie i niemieckie.

Trudno powiedzieć, czy coś ponownie odkryłem, czy uruchomiłem po prostu moją pamięć papierową, bo o Salgarim mówi się jeszcze dzisiaj, wybredni krytycy poświęcają mu ar-tykulasy ociekające nostalgią. Także moje wnuki w ubiegłych tygodniach podśpiewywały: Sandokan, Sandokan - oglądały go chyba w telewizji. O Salgarim mógłbym napisać hasło do encyklopedii, nawet nie przyjeżdżając do Solary.

Oczywiście musiałem pożerać te książki jako dziecko, ale jeżeli moja pamięć indywidualna została teraz przez nie reaktywowana, to zlewała się bez wątpienia z pamięcią ogólną. Książki, które wywarły może największy wpływ na moje dzieciństwo, odsyłały mnie gładko do mojej wiedzy dorosłej i bezosobowej.

Kierowany nadal instynktem, przeczytałem większość powieści Salgariego w winnicy (ale potem zabrałem część do sypialni i spędziłem nad nimi następne noce). Nawet wśród winorośli było bardzo gorąco, lecz słoneczny żar godził mnie z pustyniami, preriami i dżunglami w płomieniach, z tropikalnymi morzami, u których brzegów żeglowali poławiacze strzykw. Podnosząc od czasu do czasu oczy znad książki i

ocierając pot, między krzewami i drzewami na skraju wzgórza rozpoznawałem baobaby, pombos olbrzymie jak te otaczające chatę Giro-Batola, mangrowce, kapustę palmową z jej mączastym mięszem o smaku migdałów, święte baniany z czarnej dżungli. Słyszałem prawie dźwięki fletu ramsinga i oczekiwałem, że z winorośli wyskoczy piękny okaz babirusy, którą upiekę na zaimprovizowanym rożnie między dwiema wbitymi w ziemię rozwidlonymi gałęziami. Pragnąłem, żeby Amalia przyrządziła mi na kolację blaciang - przysmak malajski, mieszaninę zmielonych krewetek i ryb, którą trzyma się w słońcu, póki nie zgnije, a potem soli; nawet Salgari uważa, że jej zapach jest obrzydliwy.

Co za delicje! Może dlatego lubiłem chińską kuchnię, jak powiedziała mi Paola, a w szczególności płetwy rekina, jaskółcze gniazda (zbierane w guanie) oraz jajka stuletnie, tym smaczniejsze, im bardziej czuć je zgnilizną.

Jednakże - pomijając blaciang - co się działo, kiedy włoski chłopiec w świecie czytał Salgariego, u którego kolorowi są często bohaterzy, a biali - nikczemni? Obrzydliwi są u niego nie tylko Anglicy, ale i Hiszpanie (jak bardzo musiałem nienawidzić markiza Montelimar). O ile zaś trzech korsarzy - Czarny, Czerwony i Zielony - było Włochami i na dodatek hrabiami Ventimiglia, to inne postaci bohaterskie nazywają się Carmaux, van Stiller lub Yañez de Gomera. Portugalczycy musieli wyglądać na dobrych, bo byli po trochu faszystami, ale czy nie byli faszystami także Hiszpanie? Moje serce bilo może dla mężnego Sambiglionga, strzelającego z armaty gwoździami, i nie zastanawiałem się, z której wyspy Sondy pochodził. Kammamuri i Suyodhana mogli być jeden dobry, drugi zły, choć obaj byli Hindusami. Salgari musiał wnieść sporo zamętu

w moje pierwsze próby opanowania antropologii kulturalnej.

Wyciągnąłem następnie z czeluści szafy czasopisma i książki po angielsku. Dużo numerów „Strand Magazine” ze wszystkimi przygodami Sherlocka Holmesa. Nie znałem wtedy na pewno angielskiego (Paola powiedziała mi, że nauczyłem się go jako dorosły), lecz na szczęście było też wiele przekładów. Jednak większość wydań włoskich nie była ilustrowana. Czytałem więc może po włosku, a potem szukałem odpowiednich rysunków w „Strandzie”.

Zataszczyłem całego Holmesa do gabinetu dziadka, miejsca cywilizowanego i lepiej się nadającego do odtworzenia atmosfery Baker Street, gdzie dobrze ułożeni panowie prowadzili przy kominku spokojne rozmowy. Atmosfery jakże różnej od panującej w wilgotnych podziemiach i makabrycznych kloakach, po których poruszali się bohaterowie francuskich powieści w odcinkach. W rzadkich przypadkach, kiedy Sherlock Holmes pojawiał się z pistoletem wycelowanym w złoczyńcę, występował zawsze z wyciągniętymi prawą nogą i ramieniem, w posągowej niemal pozie, nie tracąc pewności siebie, jak przystoi dżentelmenowi.

Uderzyło mnie obsesyjne prawie powtarzanie się obrazu Sherlocka Holmesa siedzącego z Watsonem lub z kimś innym w przedziale pociągu, w powoziku brougham, przed płonącym kominkiem, w pokrytym białą tkaniną fotelu, na bujaku obok stolika, w zielonkawym świetle lampy,

przed dopiero co otwartym kufrem - albo stojącego i czytającego list lub odcyfrowującego zaszyfrowaną wiadomość. Te rysunki mówiły mi: de te fabula narratur. Sherlockiem Holmesem byłem ja w tej chwili, pochłonięty odszukiwaniem i rekonstrukcją odległych wydarzeń, wcześniej zupełnie mi nieznanymi. On również jest w domu, w zamkniętym pomieszczeniu, może nawet (ale trzeba by przeczytać te wszystkie strony) właśnie na strychu. On także, jak ja, nieruchomy i odizolowany od świata, odcyfrowuje czyste znaki. Jemu udawało się dotrzeć do tego, co ukryte. Czy uda się mnie? Miałem teraz przynajmniej wzór do naśladowania.

I tak jak on musiałem walczyć z mgłą i we mgle. Wystarczyło otworzyć gdziekolwiek Studium w szkarłacie albo Znak czterech.

Zapadł wczesny wrześnieowy wieczór, ale dzień był już od rana posepny i nad wielkim miastem wisiała gęsta, wilgotna mgła. Brudnoszare chmury wisiały nad brudnymi ulicami. Na Strandzie latarnie, słabo rozświetlające śliskie chodniki, wyglądały jak okrągłe plamy rozproszonego światła. Żółty blask z okien sklepów wlewał się smugami w wilgotne powietrze, ukazując w nikłym, migotliwym świetle tłum uliczny. Było, moim zdaniem, coś niesamowitego i zjawiskowego w tej niekończącej się procesji twarzy, co sunęły w wąskich słupach światła - smutne i wesołe, wynędzniałe i pogodne.

Ranek był mglisty i pochmurny. Nad dachami domów zawisła szarobura zasłona - jakby odbicie brudnych ulic w dole. Mój towarzysz był w wyśmienitym humorze i w najlepsze rozgadał się o skrzypcach z Cremony i o różnicy między Stradivariusem a Amatim. Ja zaś siedziałem w milczeniu pod przykrym wrażeniem pogody i ponurej zagadki, która nas czekała.

Dla kontrastu otworzyłem wieczorem w łóżku Tygrysy z Mompracem Salgariego.

W nocy 20 grudnia roku 1849 gwałtowny huragan szalał nad Mompracem, dziką wyspą o ponurej sławie, kryjówką groźnych piratów, położoną na Morzu Południowochińskim w odległości paru set mil od zachodnich wybrzeży Borneo.

Po niebie, niczym rozkiełzane konie, gnane silnym wiatrem pędziły, mieszając się bezładnie, czarne masy oparów, z których na mroczne lasy tej wyspy coraz to spadały z furją potoki wody...

Któż to czuwał o tej porze i w czas takiej burzy na wyspie krwawych piratów?...

Jedna z izb w tym domu jest oświetlona. Ciężkie czerwone tkaniny, aksamity i brokaty wielkiej wartości, lecz tu i ówdzie zmięte, postrzępione i splamione, pokrywają ściany; podłoga niknie pod grubą warstwą perskich dywanów błyszczących złotem...

Pośrodku hebanowy stół, intarsjowany masą perłową i ozdobiony srebrnymi listwami, ugina się pod ciężarem butelek i kieliszków z najczystszej krysztalu; w rogach stoją podniszczone etażerki zastawione naczyniami pełnymi po brzegi złotych bransoletek, kolczyków, pierścionków, naszyjników, cennych ozdób kościelnych, pogiętych lub zgniecionych, pereł pochodzących bez wątpienia ze sławnych cejlońskich łowisk, szmaragdów, rubinów i diamentów, które błyszczą niczym niezliczone słońca w świetle złocistej lampy zawieszanej u sufitu...

W tym tak dziwnie urządzonej pokoju na kulawym fotelu siedzi mężczyzna: jest wysoki, smukły, muskularny, o energicznych rysach twarzy, męskich, dumnych, dziwnej urody.

Kto był moim bohaterem? Czytający list przed kominkiem Holmes, z lekka tylko zdziwiony, bo i tak rozwiąże zagadkę jedynie w siedmiu procentach, czy też Sandokan, który kaleczy sobie w szale pierś, wymawiając imię ukochanej Marianny?

Zebrałem potem dalsze drukowane na marnym papierze wydania broszurowe, które sam prawdopodobnie doprowadziłem do opłakanego stanu, miętosząc je podczas licznych lektur, pisząc swoje imię na marginesach wielu stron. Były wśród nich pozbawione opraw tomy, które tylko cudem jeszcze się nie rozleciały; inne zostały poskładane byle jak, chyba przeze mnie, przez przyklepnięcie klejem stolarskim nowych grzbietów z grubego niebieskiego papieru.

Nie mogłem już nawet patrzeć na te tytuły, a na strychu siedziałem przecież od tygodnia. Wiedziałem, że powinienem wszystko dokładnie przeczytać, lecz ile czasu byłoby mi na to potrzeba? Licząc, że nauczyłem się sylabizować pod koniec piątego roku życia i że mieszkałem wśród tych znalezisk, przynajmniej dopóki nie wstąpiłem do liceum, potrzeba byłoby minimum dziesięciu lat, nie jednego tygodnia. Pomijając już to, że treść wielu książek, zwłaszcza ilustrowanych, opowiadali mi rodzice albo dziadek, kiedy byłem jeszcze analfabetą.

Chcąc odtworzyć na podstawie tych papierów całego siebie, musiałbym przeżyć ponownie, chwila po chwili, wszystkie lata mojego dzieciństwa, każdy szum drzew usłyszany nocą, każdy zapach wypijanej rano kawy z mlekiem. To zbyt wiele. A gdyby zostały z tego tylko i zawsze, i znowu słowa, które wywołałyby jeszcze większe zamieszanie wśród moich chorych neuronów, nie uruchamiając nieznannej zwrotnicy, otwierającej drogę moim wspomnieniom najprawdziwszym i ukrytym? Co

robić? - napisał Lenin. Lenin w białym fotelu w przedpokoju. Może zupełnie się pomyliłem i pomyliła się Paola. Nie wracając do Solary, pozostałbym tylko słaby na umyśle; teraz ryzykowałem, że zwariuję.

Wepchnąłem znowu wszystkie książki do obu szaf i postanowiłem opuścić strych. Wychodząc, spostrzegłem jednak szereg pudeł opatrzonych nalepkami z pięknie wykaligrafowanymi, gotyckimi prawie napisami: „Faszyzm”, „Lata 40–ste”, „Wojna”... Były to z pewnością pudła ustawione tam jeszcze przez dziadka. Inne wydawały się późniejsze, wujostwo musieli posłużyć się bez zastanowienia pojemnikami, które znaleźli na miejscu: Wina Braci Bersano, Kapelusze Borsalino, Cam-pari, Telefunken (czy w Solarze było radio?).

Nie miałem już sił ich otworzyć. Musiałem wyjść i pospacerować po wzgórzach, wróciłbym tu później. Byłem wykończony. Może miałem gorączkę.

Zbliżał się zachód słońca. Amalia wołała mnie już wielkim głosem, zapowiadając danie z podrobów, grzybów i truflii, takie, że palce lizać. Pierwsze niewyraźne cienie, widoczne w najodleglejszych zakątkach strychu, zapowiadały mi zasadzkę ze strony jakiegoś Fantomasa, który tylko czekał, aż całkiem osłabnę, żeby się na mnie rzucić, związać konopnym sznurem i powiesić w otchłani bezdennej studni. Chcąc chyba dowieść, że nie jestem już dzieckiem, którym pragnąłbym znowu zostać, zatrzymałem się odważnie, żeby zajrzeć w miejsce najmniej oświetlone. Wtedy uderzyła mnie znowu w nozdrza woń starej pleśni.

Wyciągnąłem stamtąd w stronę okienka, przez które wpadało jeszcze światło późnego popołudnia, wielką skrzynię, starannie przykrytą pakowym papierem. Po zdjęciu tej zakurzonej pokrywy moje palce

natrafiły na dwie warstwy mchu, prawdziwego, choć bardzo zeschniętego - tyle penicyliny, że można by odesłać do domu w ciągu tygodnia wszystkie postacie z Czarodziejskiej góry, i koniec z pięknymi konwersacjami między Naphtą a Settembrinim. Były to jakby trawiaste grudki, zebrane wraz ze zlepiającą je od spodu próchnicą; ustawiając je obok siebie, można było ułożyć trawnik rozmiarów stołu w gabinecie dziadka. Nie wiem, jakim cudem - chyba dzięki obszarowi wilgoci, powstałemu pod osłoną papieru przez tyle zim i dni, kiedy na dach strychu spadały deszcz, śnieg i grad - mech zachował jeszcze coś ze swojego ostrego zapachu.

Spod mchu, owinięte w poskręcane wióry, które trzeba było zdejmować ostrożnie, by nie uszkodzić zawartości skrzyni, wyłaniały się kolejno: chatka z drewna i tektury, tynkowana kolorowym gipsem, z dachem ze sprasowanej słomy, młyn ze słomy i drewna, z kołem, które jeszcze nie bez trudu się obracało, oraz dużo domków i zameczków z malowanej tektury, które - porozstawiane na jakimś wzniesieniu - musiały stanowić perspektywiczne tło dla chaty. No i wreszcie, między wiórami, figurki: pasterze z jagnięciem na ramionach, szlifierz, młynarz z dwoma osiołkami, wieśniaczka z koszykiem owoców na głowie, dwaj kobziarze, Arab z wielbłędami, Trzej Królowie - oto są - oni także tracący bardziej pleśnią niż kadzidłem i mirrą. Na koniec osioł, wół, Józef, Maria, kołyska, Dzieciątko, dwaj aniołowie z rozpostartymi ramionami, ze-sztywnieli w wiekuistym szczęściu od co najmniej stu lat, pozłacana kometa, zwinięte płótno, po wewnętrznej stronie niebieskie i pikowane gwiazdkami, metalowa miednica wypełniona cementem w taki sposób, że powstało w niej łożysko rzeczki z dwoma otworami, przez które wpływała i wypływała woda. Ponadto osobliwa maszyna - zastanawiając się nad nią,

spóźniłem się pół godziny na kolację - złożona ze szklanego cylindra i dwóch długich gumowych węży.

Szopka w komplecie. Nie wiedziałem, czy dziadek i rodzice byli wierzący (matka chyba tak, skoro trzymała modlitewnik na nocnym stoliku), ale z pewnością przed Bożym Narodzeniem ktoś sięgał do tej skrzyni i w którymś z pokoi na dole stawiano szopkę. Szopkowe podniecenie - zdawało mi się, że to właśnie odczuwam, lecz obawiałem się, że jest to znowu reakcja na topos. A jednak te figurki nie przywodziły mi na myśl słów, ale pewien obraz, którego nie widziałem na strychu. Musiał on chyba jednak gdzieś być, bo inaczej nie stanąłby mi nagle tak żywo przed oczyma.

Co oznaczała dla mnie szopka? Zawieszony między Jezusem a Fantomasem, Rocambole'em a wierszami dla dzieci z Koszyczka, pleśnią Trzech Króli a pleśnią wbitych na pal przez wielkiego wezyra - po czyjej byłem stronie?

Zrozumiałem, że dni na strychu nie zostały spędzone właściwie. Przeczytałem znowu strony, z którymi zapoznałem się w wieku sześciu, dwunastu, piętnastu lat, dając się kolejno wzruszyć różnym opowieściom. Nie tak rekonstruuje się pamięć. To prawda, że pamięć łączy, poprawia, przekształca; rzadko jednak zaciera podziały chronologiczne. Zazwyczaj dobrze wiemy, że coś zdarzyło się nam, kiedy mieliśmy siedem albo dziesięć lat. Ja także umiałem odróżnić dzień przebudzenia w szpitalu od dnia wyjazdu do Solary i wiedziałem dokładnie, że między jednym a drugim dojrzywałem, zmieniałem poglądy, porównywałem doświadczenia.

A tutaj w ciągu trzech tygodni pobytu wchłonałem wszystko, jakbym w dzieciństwie połknął to na raz, wypił jednym haustem. Siłą rzeczy odnosiłem teraz wrażenie, że jestem zamroczony jakąś odurzającą mieszanką.

Musiałem więc zrezygnować z tego grande bouffe starych papierów, uporządkować je i sączyć drobnymi łykami, trzymając się biegu lat. Kto jednak potrafi mi powiedzieć, co czytałem i oglądałem w wieku lat ośmiu, a co - trzynastu? Pomyślałem trochę i znalazłem. Niemożliwe, żeby w tych wszystkich skrzyniach i pudłach nie było gdzieś moich szkolnych książek i zeszytów. Te dokumenty trzeba odszukać. Wystarczy z nich się uczyć, dać się prowadzić za rękę.

Przy kolacji wypytywałem Amalię o szopkę. Oczywiście, że dziadkowi na niej zależało. Nie, nie chodził do kościoła, ale szopka była dla niego jak ciasto królewskie, nie było bez niej świąt; nawet gdyby nie miał wnucząt, ustawiałby ją pewnie dla siebie samego. Zaczynał nad nią pracować już na początku grudnia. Gdyby dobrze poszukać, znalazłoby się na strychu całe rusztowanie, na które nakładał płótno z niebem; gwiazdy migotały, bo tkwiły w nich żaróweczki.

- Przepiękna była szopka pana dziadka panicza, co roku chciało mi się płakać, taka była śliczna. W rzeczce woda płynęła naprawdę, jednego razu wystąpiła nawet z brzegów i zalała calutki mech, co go w tamtym właśnie roku przywieźli świeżusieńki. We mchu zakwitła wtedy cała masa niebieskich kwiatków, to był prawdziwy cud Dzieciątka Jezus, przyszedł nawet ksiądz proboszcz, żeby się przypatrzeć, nie wierzył własnym oczom.

- Ale jak dziadek to robił, że woda płynęła?

Amalia zaczerwieniła się i coś zamamrotała, lecz po chwili zdecydowała się.

- W skrzyni z szopką... ja co roku po Trzech Królach pomagałam wszystko posprzątać... powinno być jeszcze takie coś, taka wielka szklana butla bez szyjki. Widział ją panicz? No więc tak... może teraz się już tego nie używa... to był aparat, za przeproszeniem, do robienia lewatywy. Wie panicz, co to lewatywa? Całe szczęście, nie muszę tłumaczyć, bo bym się wstydziła. No więc pan dziadek panicza miał taki pomysł, że kiedy postawi pod szopką ten aparat do lewatywy i powygina jak trzeba te węże, to woda wypłynie do góry, a potem spłynie na dół. To było dopiero widowisko, mówię paniczowi, lepsze niż w kinie.

8. GDY RADIO NADAJE

Po tygodniu na strychu postanowiłem zejść do wsi i zmierzyć sobie w aptece ciśnienie. Zbyt wysokie - sto siedemdziesiąt. Gratarolo wypuścił mnie ze szpitala, zalecając, żeby nie przekraczało stu trzydziestu, i takie było, kiedy wyjeżdżałem do Solary. Aptekarz powiedział, że jeśli je sobie mierzę po zejściu ze wzgórza, to musi być wysokie; gdybym je zmierzył rano, ledwie wstałem, byłoby niższe. Bzdury. Wiedziałem, w czym rzecz: przez wiele dni żyłem w strasznym napięciu.

Zadzwoiłem do Gratarola. Spytał, czy zrobiłem coś, czego nie powinienem był robić. Musiałem wyznać, że nosiłem skrzynie, wypijałem co najmniej butelkę wina do posiłków, paliłem po dwadzieścia mocnych gitanów dziennie i nabawiłem się wielu łagodnych częstoskurczy. Zganił mnie: jestem rekonwalescentem; jeśli ciśnienie bardzo podskoczy, może powtórzyć się wypadek i tym razem nie wyjdę z niego obronną ręką. Obiecałem mu, że będę uważał. Zwiększył mi dawki leków i przepisał inne, na wydalanie soli w moczu.

Poprosiłem Amalię, żeby mniej soliła potrawy. Odpowiedziała, że w czasie wojny, żeby dostać kilo soli, trzeba było wyczyniać cuda, wyrzec się dwóch albo i trzech królików, a zatem sól jest darem bożym i bez niej jedzenie nie ma w ogóle smaku. Powiedziałem, że zabronił mi jej lekarz, a ona na to, że doktorzy dużo się uczą, ale są głupszy od innych i nie trzeba ich słuchać; proszę popatrzeć na nią, w życiu swoim nie była u doktora, ma siedemdziesiąt lat i ciężko pracuje cały boży dzień, nie dokucza jej nawet ischias jak wszystkim innym. No cóż, będę wydalal jej sól w moim moczu.

Trzeba było raczej zaprzestać odwiedzin na strychu, trochę się poruszać, rozerwać. Zatelefonowałem do Gianniego, aby się dowiedzieć, czy wszystko to, co przeczytałem w ostatnich dniach, mówi coś również jemu. Zdaje się, że mieliśmy różne doświadczenia - on nie miał dziadka kolekcjonera publikacji wyszłych z mody - lecz łączyło nas także wiele wspólnych lektur, bo pożyczaliśmy sobie nawzajem książki. Na temat Salgariego współzawodniczyliśmy z sobą przez telefon przez pół godziny jak w telewizyjnej grze. Jak się nazywał Grek, zły duch radży Asamu? Teotokris. Jakie nazwisko nosiła piękna Honorata, której Czarny Korsarz nie mógł kochać, bo była córką jego wroga? Van Guld. Kto poślubił Darinę, córkę Tre-mal-Naika? Sir Moreland, syn Suyodhany.

Spróbowałem też wymienić Kędziorka, ale Gianniemu nic on nie mówił. Gianni czytywał raczej komiksy i odegrał się, zasypując mnie gradem tytułów. Ja też musiałem czytać komiksy - niektóre tytuły wymieniane przez Gianniego miały swojskie brzmienie: Powietrzna banda, Piorun przeciwko Flatta-vionowi, Myszka i Czarna Plama, a zwłaszcza Czino i Franko... Ale na strychu po nich ani śladu. Może lubiący Fantomasa i Rocambole'a dziadek uważał, że komiksy szkodzą dzieciom. A Rocambole to nie?

Dorastałem więc bez komiksów? Nie ma sensu narzucać sobie długich przerw i przymusowego odpoczynku. Ogarniało mnie znowu szaleństwo poszukiwania.

Uratowała mnie Paola. Tego samego dnia koło południa przyjechała niespodziewanie z Carłą, Nicolettą i trojgiem dzieci. Nie przekonały jej moje rzadkie telefony. Taka sobie wycieczka na wieś, żeby cię uściskać, powiedziała, wyjedziemy przed kolacją. Przyglądała mi się jednak

uważnie, szacowała mnie.

- Przytyłeś - orzekła.

Na szczęście, dzięki temu intensywnemu opalaniu się na balkonie i w winnicy, nie byłem blady, lecz musiałem przybrać nieco na wadze. Powiedziałem, że to przez te kolacyjki Amalii; obiecała, że przywoła ją do porządku. Nie mówiłem Paoli, że od wielu dni siedzę skulony w różnych miejscach, wcale się nie ruszając.

Potrzebny ci długi spacer, powiedziała, i w drogę całą rodziną do Klasztoru, który nie był klasztorem, a zaledwie kaplicą, rysującą się na wierzchołku wzgórza w odległości kilku kilometrów. Szliśmy ciągle pod górę, prawie tego nie zauważając; stromo zrobiło się dopiero kilkadziesiąt metrów od celu. Podczas krótkiego odpoczynku namawiałem dzieci, żeby zebrały un mazzolin di rosę e viole, bukiet róż i fiołków. Paola szorstko zleciła mi wciągać zapachy i nie cytować poety, także dlatego, że poeta kłamał, jak wszyscy jemu podobni: pierwsze róże rozkwitają, kiedy fiołki pojechały już na wakacje, a w każdym razie róż i fiołków nie da się związać w jeden bukiet - kto nie wierzy, niech spróbuje.

Pragnąc dowieść, że przypominam sobie nie tylko fragmenty encyklopedii, popisałem się kilkoma opowiadaniem, które przeczytałem w ostatnich dniach. Dzieci podskakiwały wokół mnie z rozdziawionymi ustami, bo te historie były im zupełnie nieznane.

Najstarszemu, Sandrowi, opowiedziałem Wyspę skarbów. Powiedziałem mu, że po wyjściu z gospody „Pod Admiralem Benbow” zaokrętowałem się na „Hispaniole” wraz z lordem Trelawneyem, doktorem Liveseyem i kapitanem Smolletem; wydaje się jednak, że najmilsi byli mu Długi John Silver, ze względu na drewnianą nogę, i ten

nieszczęsny Ben Gunn. W podnieceniu otwierał szeroko oczy, dostrzegał piratów czyhających w krzakach, mówił: jeszcze, jeszcze, a tymczasem było już dosyć, bo po odnalezieniu skarbu kapitana Flinta historia się kończyła. Śpiewaliśmy za to długo: Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni – Jo–ho–ho! i butelka rumu!

Giangiowi i Luce dałem, co miałem najlepszego, opowiadając im o szelmostwach małego Janka Stoppaniego z Dzienniczka Janka Zawieruchy. Kiedy zasadzałem kij w donicy na kwiaty ciotki Bettiny i łowiłem na wędkę ostatni ząb pana Wenancjusza, śmieli się do rozpuku, chociaż w wieku trzech lat nie wszystko mogli zrozumieć. Może moje opowiadania spodobały się najbardziej Carli i Nicoletcie, którym - smutny znak czasów! - o Janku Zawierusze nigdy nikt nie wspominał.

Wydało mi się jednak, że bardziej je zafascynuję, opowiadając, jak pod postacią Rocambole'a rozprawiłem się ze swoim mistrzem w przestępczym zawodzie, sir Williamem, ślepym już, lecz nadal kłopotliwym świadkiem mojej przeszłości. Powaliłem go na ziemię i wbiłem mu w kark długą, ostrą szpilę, ścierając potem starannie kropelkę krwi z jego włosów - tak aby wszyscy pomyśleli o apopleksji.

Paola krzyknęła, że nie wolno mi opowiadać takich rzeczy dzieciom i że na szczęście obecnie nie znajduje się już w domach długich szpil, bo inaczej dzieci mogłyby spróbować zrobić jak ja, tyle że z kotem. Przed wszystkim jednak zaintrygował ją fakt, że opowiadam o tych wszystkich sprawach tak, jakby mnie samemu się zdarzyły.

- Jeśli po to, żeby zabawić dzieci - powiedziała - to dobrze. Jeśli nie,

to utożsamiasz się zbytnio z tym, co czytasz, a zatem pożyczasz sobie pamięć kogoś innego. Czy jesteś świadomy dystansu, jaki cię dzieli od tych historii?

- Dajże spokój - zaprotestowałem. - Pamięci mi brak, ale nie jestem wariatem. Robię to dla dzieci.

- Miejmy nadzieję, że tak jest - rzekła - ale przyjechałeś do Solary, żeby odnaleźć samego siebie, bo czułeś się przy-tłoczony ciężarem encyklopedii złożonej z Homera, Manzoniiego i Flauberta. Tutaj wszedłeś za to do encyklopedii literatury podrzędnej. Nic na tym jeszcze nie zyskałeś.

- Właśnie, że zyskałem - odparłem. - Po pierwsze dlatego, że Stevenson to nie literatura podrzędna, a po drugie, że nie z mojej winy ten, którego chcę odnaleźć, był pożeraczem literatury podrzędnej. Poza tym to ty mnie tutaj wysłałaś przez tę historię ze skarbem Klarabelli.

- Masz rację, przepraszam. Jeśli uważasz, że to pożyteczne, rób tak dalej. Ale ostrożnie, nie daj się zatruwać temu, co czytasz.

Aby zmienić temat, zapytała o ciśnienie. Skłamałem, mówiąc, że dopiero co je zmierzyłem i wynosi sto trzydzieści. Uszczęśliwiłem ją, biedne kochanie.

Gdy wróciliśmy ze spaceru, Amalia przygotowała nam smaczny podwieczorek ze świeżą lemoniadą dla wszystkich. Potem rodzina odjechała.

Tego wieczoru byłem grzeczny i położyłem się spać wcześniej.

Następnego ranka chodziłem znowu po pokojach głównej części domu, które obejrzałem przedtem w dużym pośpiechu. Wróciłem do sypialni dziadka, gdzie byłem poprzednio zaledwie przez chwilę, ogarnięty

pełną uszanowania bojaźnią. Tam także, jak we wszystkich sypialniach minionych czasów, stały komoda i wielka szafa z lustrem.

Otworzyłem szafę i spotkała mnie duża niespodzianka. Głęboko w jej wnętrzu znajdowały się dwa przedmioty, ukryte prawie wśród wiszących ubrań, które czuć było jeszcze dawno zwietrzałą naftaliną. Gramofon z tubą, nakręcany ręcznie, i radio. Oba przykryte stronami czasopisma, które poskładałem. Był to „Radiocorriere”, tygodnik zawierający programy radiowe, numer z lat czterdziestych.

Na gramofonie leżała jeszcze stara płyta siedemdziesięcioośmiobrotowa, pokryta warstwą brudu. Czyszczenie jej, z po-pluwaniem na chusteczkę, zajęło mi pół godziny. Była zatytułowana Amapola. Postawiłem gramofon na komodzie i nakręciłem go; z tuby wydobyły się jakieś skrzekliwe dźwięki, ledwie dawało się rozróżnić melodię. Próżny trud - sędziwy przyrząd osiągnął wiek starczego otepienia. Musiał zresztą być obiektem muzealnym już wtedy, gdy ja byłem chłopcem. Aby posłuchać muzyki z tamtych czasów, powinienem posłużyć się adapterem z gabinetu. Ale gdzie są płyty? Trzeba było zapytać Amalię.

Radio, mimo przykrycia, w ciągu pięćdziesięciu lat porządnie się zakurzyło, można było na nim pisać palcem. Musiałem je dokładnie wyczyścić. Był to piękny aparat Telefunken mahoniowego koloru (to po nim opakowanie widziałem na strychu), z głośnikiem obciążonym tkaniną z grubych włókien (może dlatego, żeby lepiej było słyszeć).

Obok głośnika - skala z nazwami stacji, ciemna i nieczytelna, u dołu - trzy gałki. Radio najwyraźniej lampowe; potrząsając nim, słyszałem, że w środku coś się rusza. Miało też przewód z wtyczką.

Zaniosłem je do gabinetu, postawiłem ostrożnie na stole i włączyłem przewód do gniazdka. Stało się pół cudu - dowód, że w tamtych czasach konstruowano solidnie. Żarówka oświetlająca skalę jeszcze działała, chociaż słabo. Reszta nie, najwidoczniej wysiadły lampy. Pomyślałem, że gdzieś - może w Mediolanie - mógłbym jeszcze znaleźć entuzjastę, który naprawia te odbiorniki, bo ma na składzie stare części wymienne - podobnie jak mechanicy, którzy reperują stare samochody za pomocą nadających się do użytku części wymontowywanych z wozów przeznaczonych na złom. Potem pomyślałem sobie, co mógłby mi powiedzieć stary elektryk, obdarzony zdrowym rozsądkiem. „Nie chcę pana okradać. Jak je naprawię, nie będzie pan słyszał tego, co nadawano wtedy, tylko to, co nadają dzisiaj. Lepiej więc kupić sobie nowe radio, wyda pan mniej niż na reperację tego tutaj”. Mądry człowiek! Grałem partię z góry przegraną. Radio nie jest starodrukiem, który otwierasz i znajdujesz w nim to, co myślano, mówiono i drukowano pięćset lat wcześniej. Z tego aparatu słyszałbym, i to wśród trzasków, tę okropną muzykę rockową, czy jak tam ją dziś nazywają. Zupełnie jakbym chciał czuć znowu na języku miłe szczypanie wody Vichy, pijąc wodę mineralną, kupioną dopiero co w supermarkecie. To popsute pudło obiecywało mi dźwięki utracone na zawsze. Gdyby można je było wskrzesić jak zamrożone słowa Pantagruela... O ile jednak moją pamięć mózgową mógłbym pewnego dnia odzyskać, to pamięci z fal akustycznych odzyskać się już nie da. Solara nie mogła mi pomóc żadnym dźwiękiem, oprócz ogłuszającego hałasu swojej ciszy.

Pozostawała jednak podświetlana skala z nazwami stacji, żółtymi dla fal średnich, czerwonymi dla krótkich i zielonymi dla długich. Na temat

tych nazw musiałem długo fantazjować, przesuając gałką ruchomy wskaźnik i starając się uchwycić niezwykle głosy magicznych miast: Stuttgart, Hilversum, Ryga, Tallin. Nazwy nigdy przedtem niesłyszane, które kojarzyły mi się może z Macedonią, Turkish Atiką, Virginia, El Kalifem, Stambułem. Oddawałem się marzeniom bardziej nad atlasem czy nad tym spisem stacji radiowych i ich szeptami? Były też nazwy swojskie, jak Mediolan i Bolzano. Zacząłem nucić:

Pamiętaj - gdy radio nadaje z Bolonii, to znak, że masz użyć dziś perfum z lewkonii. Lecz jeśli usłyszysz z Florencji dziś' stację, to znaczy: rodzicom masz podać kolację. Radio Mediolan - spódniczka do kolan. Rozgłośnia Salerno - tylko bądź mi wierną. Radio San Marino - szykuj się, dziewczyno...

Nazwy miast były znowu słowami, przywołującymi inne słowa.

Aparat pochodził na oko z lat trzydziestych. Radio musiało wtedy drogo kosztować, w naszej rodzinie kupiono je zapewne po namyśle jako świadectwo osiągnięcia pewnego dobrobytu.

Chciałem wiedzieć, co się robiło z radiem w latach trzydziestych i czterdziestych. Zatelefonowałem znowu do Gianniego.

Powiedział mi na wstępie, że będę musiał płacić mu od sztuki, bo traktuję go jak nurka wyławiającego zatopione amfory. Potem dodał jednak wzruszonym głosem:

- Ech, radio... Do nas dotarło dopiero około tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Kosztowało drogo, mój ojciec był urzędnikiem, ale nie takim jak twój: pracował w małym przedsiębiorstwie i niewiele zarabiał. Wy w lecie jeździliście na wakacje, my zostawaliśmy w mieście, wieczorem chodziło się na spacer do parku, raz w tygodniu na

lody. Mój ojciec był człowiekiem małomównym. Tego dnia wrócił do domu, usiadł przy stole, zjadł w milczeniu, na koniec wyciągnął torebkę ciastek. „Dlaczego? Przecież dziś nie niedziela”, zdziwiła się matka. A on: „Tak sobie, zachciało mi się”. Zjedliśmy ciastka, potem ojciec podrapał się w głowę i powiedział: „Maro, wygląda na to, że w ostatnich miesiącach sprawy w firmie dobrze poszły, szef podarował mi dziś tysiąc lirów”. W matkę jakby piorun strzelił, ręce podniosła do ust i zawołała: „Fran-cesco, no to kupujemy radio!” Właśnie w tych latach przebojem było Ach, gdybym tak tysiąc lirów zarobił, piosenka drobnego urzędnika, marzącego o pensji w wysokości tysiąca lirów, za którą mógłby kupić najrozmaitsze rzeczy dla młodej i ładnej żoneczki. Tysiąc lirów znaczyło więc tyle co dobre pobory, może mój ojciec zarabiał mniej, w każdym razie była to jakby trzynasta pensja, której nikt się nie spodziewał. I tak do naszego domu weszło radio. Niech się zastanowię - to był aparat marki „Phonola”. Raz w tygodniu nadawali koncert operowy Martini i Rossi, innego dnia komedię. Ech, Tallin i Ryga, żeby tak jeszcze były na moim radiu dzisiaj, ale na nim same numery... W czasie wojny jedynym ogrzewanym pokojem była kuchnia, radio stało tam, wieczorami słuchaliśmy Londynu, cichutko, bo to groziło więzieniem. Zamknięci w domu z szybami przesłoniętymi niebieskawym papierem, tym z torebek na cukier, obowiązywało przecież zaciemnienie. No i piosenki - kiedy wrócisz, zaśpiewam ci je wszystkie, z hymnami faszystowskimi włącznie. Wiesz, że za faszyzmem nie tęsknię, ale czasami mam ochotę na hymny faszystowskie, żeby poczuć się znowu tak jak w tamte wieczory przy radiu... Jaka to była reklama? Radio - głos, który nas zachwyca...

Powiedziałem mu, żeby już przestał. Tak, to ja go prosiłem, ale teraz

zanieczyszcza moją tabula rasa swoimi wspomnieniami. Musiałem przeżyć ponownie te wieczory sam. Będą inne: on miał Phonolę, ja - Telefunkena, on może nastawiał Rygę, a ja - Tallin. Ale naprawdę można było złapać Tallin, żeby potem słuchać, jak mówią po estońsku?

Zszedłem na dół jeść. Wypiłem także na przekór Gratarolowi, lecz tylko po to, aby zapomnieć. Aby zapomnieć - właśnie ja. Musiałem jednak zapomnieć o podnieceniu z ostatniego tygodnia i odzyskać chęć na drzemkę w popołudniowym cieniu, wyciągnięty na łóżku z Tygrysami z Mompracem w rękę - książką, która kiedyś nie dawała mi może zasnąć do późna w nocy, ale która przez dwa ostatnie wieczory okazała się dobroczynnie usypiająca.

Przy stole, między dwoma kęsami dla mnie i kęsem dla Matù, przyszła mi do głowy myśl prosta, lecz genialna: w radiu słyszeć to, co nadają dzisiaj, ale gramofon odtwarza to, co jest na płytach z przeszłości. Zamrożone słowa Pantagruela. Aby mieć wrażenie, że słucham radia sprzed pięćdziesięciu lat, potrzebne mi są płyty.

- Płyty? - jęknęła Amalia. - Proszę teraz jeść i nie myśleć o płytach, bo te wszystkie dobre rzeczy staną paniczowi kością w gardle, zatruje mi się panicz i będzie musiał iść do lekarza! Płyty, płyty, płyty... Psiakrew, nie ma ich na strychu! Kiedy wujostwo panicza wszystko wynosili, ja im pomagałam i... chwileczkę, chwileczkę... powiedziałam sobie, że te płyty z gabinetu, gdybym je miała wszystkie wnieść na górę, mogłyby mi wypaść z rąk i potłuc się na schodach. No i wsadziłam je... wsadziłam... przepraszam, pamięć mam jeszcze niezłą, choć w moim wieku mogłabym jej już nie mieć, ale minęło pięćdziesiąt lat z okładem, a ja przecież przez te pięćdziesiąt lat nie tylko o tym myślałam. No proszę, ale gapa!

Musiałam je wsadzić do skrzyni przed drzwiami do gabinetu paniczowego dziadka!

Zrezygnowałem z deseru i poszedłem odszukać skrzynię, na którą podczas mojego pierwszego przeglądu nie zwróciłem większej uwagi. Otworzyłem ją: płyty w swoich okładkach były poukładane jedna na drugiej, stare, dobre płyty siedemdziesięcioobrotowe. Amalia złożyła je w pośpiechu, było tam wszystkiego po trochu. Przeniesienie ich na stół w gabinecie zajęło mi pół godziny, potem zacząłem je porządkować i ustawiać na półkach. Dziadek lubił widać dobrą muzykę. Nie brakowało Mozarta i Beethovena, arii operowych (był nawet Caruso) ani Chopina w dużym wyborze. Były też przeboje z tamtych czasów.

Zerknąłem do starego „Radiocorriere”. Gianni miał rację. Był tam tygodniowy program muzyki operowej, słuchowiska komediowe, z rzadka koncerty symfoniczne, wiadomości; cała reszta to muzyka lekka albo melodyczna - jak wtedy się mawiało.

Powinienem więc słuchać znowu piosenek, które musiały stanowić dźwiękowe tło mojego dzieciństwa. Dziadek w swoim gabinecie słuchał zapewne Wagnera, a reszta rodziny - przebojów z radia.

Odnalazłem od razu Ach, gdybym tak tysiąc Itrów zarobił Innocenziego i Sopraniego. Dziadek na wielu okładkach wypisywał daty - nie wiem, czy ukazania się płyty, czy jej zakupu - na podstawie których mogłem w przybliżeniu ustalić rok nadawania danej piosenki przez radio. W tym wypadku chodziło o rok 1938. Gianni się nie mylił: piosenkę zaczęto prezentować, kiedy u niego w domu pojawił się aparat Phonola.

Spróbowałem uruchomić adapter. Działał jeszcze. Głośnik nie był w doskonałym stanie, ale chyba dobrze, że trochę skrzeczał, zupełnie jak kiedyś. Tak więc z oświetloną skalą radia, jakby aparat jeszcze grał, i z kręcącym się adapterem, słuchałem transmisji z lata 1938 roku:

Ach, gdybym tak tysiąc lirów zarobił, to wiecie, co bym zrobił?

To bym oszalał z radości!

Skromna praca, niewinna pensyjka, dobry obiadek, miła kolacyjka - to wszystko dla mojej miłości!

Domek za miastem, żona, która z ciastem czeka u progu drzwi.

Urobiłbym ręce

Za tysiąc, nie więcej, dla takiej jak Ty!

Zastanawiałem się ostatnio nad podzielonym jestestwem dziecka wystawionego na propagandę narodowej chwały, które jednocześnie fantazjowało o londyńskich mgłach, gdzie Fantomas walczył z Sandokanem wśród gradu gwoździ, dziurawiących piersi i ucinających ramiona oraz nogi dystyngowanie speszonym rodakom Sherlocka Holmesa. Teraz dowiedziałem się, że w tych samych latach radio zachwalało mi jako ideał życiowy księgowego bez wymagań, marzącego tylko o spokojnej egzystencji za miastem. Może był to jednak wyjątek.

Musiałem uporządkować wszystkie płyty według dat, jeśli te istniały. Musiałem odtworzyć rok po roku kształtowanie się mojej świadomości poprzez dźwięki, których kiedyś słuchałem.

Przystąpiłem do porządkowania w dość szalonym tempie. A więc mnóstwo przeróżnych Kochanie, kochanie, przynieś mi bukiet róż, Nie, nie jesteś już moją dziewczynką, dziewczynką zakochaną, Wśród kwiatów, kochanie, jest ukryty kościółek, Wróc, moja malutka, Grajcie

tylko dla mnie, skrzypce cygańskie, Ty boska muzyko, Chciałbym cię choć tylko na jedną godzinę, Kwiatuszki polne i tra la la w nagraniach orkiestr Cinica Angeliniego, Pippa Barzizy, Alberta Sempriniego, Gorniego Kramera na płytach Fornit, Carisch, Głos Jego Pana, z pieskiem o zadartej do góry mordce, wsłuchanym w dźwięki dobywające się z tuby gramofonu. Wreszcie płyty z pieśniami faszystowskimi, które dziadek związał razem sznurkiem, jakby chciał je chronić czy też odizolować. Dziadek był faszystą, antyfaszystą? A może ani jednym, ani drugim?

Do późnej nocy słuchałem muzyki, która nie była mi obca, chociaż z części tych rzeczy pamiętałem tylko słowa, a z części - melodię. Nie mogłem nie znać utworu klasycznego, jakim była Giovinezza {Młodość}, hymn oficjalny, o ile mi wiadomo, śpiewany na każdym wiecu. Nie mogłem też nie wiedzieć, że moje radio nadawało go prawdopodobnie zaraz po Zakochanym pingwinie, zabawnej piosence w wykonaniu - jak głosiła okładka płyty - tria Lescano.

Miałem wrażenie, że od dawna znam te kobiece głosy. Ich właścicielkom udawało się śpiewać we trzy tercjami i sekstami, uzyskując efekt pozornej kakofonii, bardzo miły dla ucha. Od włoskich chłopców w świecie uczyłem się, że największym szczęściem jest być Włochem, a siostry Lescano śpiewały mi o holenderskich tulipanach.

Zdecydowałem, że będę słuchać na przemian pieśni faszystowskich i przebojów (prawdopodobnie tak właśnie odbierałem je przez radio). Od tulipanów przeszedłem do hymnu faszystowskiej organizacji dziecięcej Balilla; już w chwilę po nałożeniu płyty podążałem za śpiewem, jakbym recytował z pamięci. Hymn słał odważnego chłopca (faszystę z wyprzedzeniem, ponieważ - piszą o tym w encyklopediach - Giovan

Battista Perasso żył w osiemnastym wieku), który cisnął kamieniem w Austriaków, wywołując powstanie w Genui.

Faszystom musiały się podobać zamachy terrorystyczne. W odnalezionej wersji Giovinezzy usłyszałem: Orsiniego bombę chwyć i uniosę straszny sztylet. Orsini, jeśli się nie mylę, usiłował zamordować Napoleona III.

Gdy w okopie się odzywa krótki rozkaz - do ataku! - chłopak pierwszy się podrywa, co ma czarny płomień w znaku. Granat w dłoni, w sercu wiara, mina groźna, dziarski krok - on się bije, on się stara, idzie tam, gdzie sięga wzrok.

Jeśli, bracie, jesteś młody, żyjesz wiosną swej urody i nie liczysz na nagrody, twoja pieśń obiega świat.

Orsiniego bombę chwyć i uniosę straszny sztylet, kiedy zagrzmia wnet haubice, nie przestraszę się przez chwilę. Ja sztandaru wspaniałego wstęgę zawsze pragnę nieść i płomienia żar czarnego - to ma duma, to ma cześć.

Jeśli, bracie, jesteś młody, żyjesz wiosną swej urody i nie liczysz na nagrody, twoja pieśń obiega świat.

Wódz Benito Mussolini, eja eja alalàl

Okrągły jak ser holenderski, księżyc po niebie wędruje i puszcza nam oczko perskie - promienie do nas kieruje... Mówią o miłości tuli tuli tuli tulipany, w kwiecistej czułości tuli tuli tuli tulipany... Słyszysz, jak z

rozkoszą swoje śpiewy wznoszą. Mówią o miłości tuli tuli tuli tulipany, o wielkiej radości tuli tuli tuli tulipany, opowiedzą ci o mnie cudne tuli tuli tuli tuli tuli tulipany!

Głowę każdy schyla przed chłopcem z Portorii, odważny balilla to gigant historii.

Moździerz, który wpadł w błoto, był ciężki jak złoto, ale chłopiec był ze stali i swa Macierz ocalił.

Dziarski krok, w oczach gniew, a na ustach szczery śpiew, przyjaciołom serce dasz, wrogom kamień rzucisz w twarz.

Jesteśmy chmurami, odwagi iskrami, dla nas wiatr dziś wieje, do nas maj się śmieje. Ale jeśli przyjdzie być bohaterami, w przyszłości będziemy karabinami Świętej Wolności.

Gdy zapada cisza, a na niebie księżyc się pojawia, po cichutku mówię: miauu, bo wołam cię, Maramau. i moje wołanie sprawia, że koty wychodzą na dach, lecz. ach, są smutne, bo nie ma ciebie.

Dlaczego umarłeś, Maramau? Zawsześ miał, co tylko żeś chciał: sałatę, winko, domek i kosz pełen świeżutkich kromek. Jak dawniej, tak i teraz, kotki przychodzą pod drzwi, lecz ty już drzwi nie otwierasz.

Maramau, Maramau, śpiewa koci chór

Maramau, Maramau, miauu, miauu, miauu, miauu, miauu...

Kiedy tak słuchałem płyt, zapadła noc. Z warzywnika, z sadu lub ze wzgórza płynął zapach lawendy i innych, nieznanym mi ziół (tymianek?

bazylią? nigdy nie byłem chyba mocny w botanice, a ponadto jestem przecież tym, co miał kupić róże, a przyniósł do domu psie jądra - choć może były to holenderskie tulipany?). Pachniały też kwiaty, które rozpoznawać nauczyła mnie Amalia - dalie, cynie?

Pojawił się Matù i mrucząc, zaczął się ocierać o moje spodnie. Spostrzegłem płytę z kotem na okładce i zastąpiłem nią hymn organizacji Balilla, aby wsłuchiwać się w kocie treny: Dlaczego umarłeś, Maramau?

Czy członkowie Balilli śpiewali jednak Maramaua?. Może powinienem wrócić do pieśni faszystowskich. Matù chyba się nie obrazi, jeśli zmienię płytę. Usiadłem wygodnie, kota wziąłem na kolana, drapiąc go w prawe ucho, zapaliłem papierosa i wykonałem immersion, zanurzyłem się bez reszty w świat organizacji Balilla.

Po godzinie słuchania miałem w głowie mieszaninę bohaterских frazesów, wezwań „do ataku!” i „na śmierć!”, zapewnień o posłuszeństwie Duce aż do końca życia. Ogień Westy przekracza granice świątyni i idzie młodzież skrzydlata płomienna walczyć z rzymską zaciętością gwizdaliśmy wtedy na więzienie gwizdaliśmy na smutny los by przygotować tych silnych ludzi co teraz gwizdzą sobie ze śmierci świat wie że w czarnej koszuli walczy się i umiera za Wodza i za Imperium eja eja alalà witaj Królu Imperatorze nowe prawo dał Duce światu a Rzymowi nowe Cesarstwo pozdrawiam cię jadę do Abisynii droga Wirginio ale wrócę przyślę ci z Afryki piękny kwiat spod równikowego nieba Nicea Sabaudia Korsyka naznaczona przez los Malta bastion rzymskości nasza Tunezja nasze brzegi góry morza rozbrzmiewa wolności głos.

Chciałem Nicei dla Włoch czy na miesiąc tysiąc lirów, których wartości nie znam? Bawiący się strzelbami i żołnierzami chłopiec chce

wyzwolić naznaczoną przez los dla Italii Korsykę, a nie gnuśnieć wśród tulipanów i zakochanych pingwinów. A jednak, pomijając organizację Balilla, czy słuchałem Zakochanych pingwinów, czytając Kapitana Szatana i wyobrażając sobie pingwiny na skutych lodem morzach Północy?

Czytając W osiemdziesiąt dni dookoła świata, czy widziałem Fileasa Fogga wędrującego przez pola tulipanów? Jak godziłem Rocambole'a i jego szpilę z kamieniem Giovan Battisty Perassa? Tulipany były z 1940 roku, wojna u nas już się zaczęła. Śpiewałem wtedy z pewnością także Giovinezze, lecz kto mi zaręczy, że kapitana Szatana i Rocambole'a nie poznałem dopiero w 1945 roku, po zakończeniu wojny, kiedy po pieśniach faszystowskich zaginął wszelki ślad?

Należało koniecznie odnaleźć moje szkolne książki. Wtedy wreszcie będę miał przed oczyma pierwsze lektury, a datowane płyty powiedzą mi, jakie towarzyszyły im dźwięki. Może da się wtedy wyjaśnić związek między gwizdaliśmy na smutny los a masakrami, którymi kusił mnie „Ilustrowany Dziennik Podróży i Przygód”.

Nie ma sensu narzucać sobie kilkudniowego wypoczynku. Jutro rano muszę wrócić na strych. Jeżeli dziadek działał metodycznie, podręczniki szkolne nie mogą stać daleko od książek dla dzieci i młodzieży. Oczywiście jeżeli wujostwo wszystkiego nie pomieszali.

Na razie miałem dosyć zachęt do bohaterskich czynów. Stałem w oknie. Zarysy wzgórz odcinały się ciemno na tle nieba, bezksiężycowa noc była usiana gwiazdami. Skąd przyszło mi do głowy to banalne wyrażenie? Zapewne z jakiejś piosenki. Widziałem niebo takie jak to, o którym kiedyś śpiewano.

Poszperałem między płytami i wybrałem wszystkie, których tytuły przywodziły na myśl noc lub jakieś gwiazdne przestrzenie. Dziadkowy adapter był już z tych, na które nakładało się płyty jedna na drugą; kiedy kończyła się jedna, zaczynała się inna. Zupełnie jakby radio grało mi samo, bez potrzeby kręcenia gałkami. Włączyłem adapter. Stojąc przy parapecie, pod gwiazdnym niebem, dałem się kołysać dźwiękom dobrej, choć niedobrej muzyki, które powinny były coś we mnie rozbudzić.

Tej nocy lśnią gwiazd tysiące... Noc z gwiazdami i z tobą... Mów do mnie, mów pod gwiazdami, słowa najpiękniejsze o miłości między nami... Tam pod niebem Antyli, gdzie gwiazdy są jak iskry, spływają z nich tysiączne strumienie miłości... Mailu, pod niebem Singapuru, we śnie ze złotych gwiazd, zrodziła się nasza miłość... Pod niebem z gwiazd, które nas obserwuje, pod niebem z gwiazd pragnę cię i całuję... Do gwiazd, do księżyca pieśń wznosimy, o uśmiech losu pięknie prosimy... Księżyc marynarza, piękna jest miłość prosta... Wenecja, księżyc i ty, z tobą sami w nocy, z tobą nucąc piosenkę... Niebo węgierskie, westchnienie tęskne, z miłością bez granic myślę o0 tobie... Snuję się pod niebem zawsze niebieskim, a wróble w zgodnym chórze ćwierkają o tym, co w górze...

Ostatnią płytę wybrałem chyba przez pomyłkę. Nie miała nic wspólnego z niebem. Śpiewał głos pełen zmysłowości, jak brzmienie podnieconego erotycznie saksofonu:

Tam, w Capocabanie, w Capocabanie, kobieta jest królową, roztacza panowanie...

Zdenerwował mnie hałas odległego silnika, może był to

przejeżdżający doliną samochód. Odczułem lekki częstoskurcz i powiedziałem sobie: „To Pipetto!” Jakby ktoś stawiał się na spotkanie w umówionej chwili, a jednak jego przybycie mnie niepokoiło. Kim był Pipetto? To Pipetto, mówiłem, ale znowu przypominały coś sobie jedynie moje wargi. Tylko flatus vocis, gra, powiew dźwięków. Nie wiem, kto to Pipetto. Dokładniej: coś we mnie wie, ale to coś kryje się milczkiem w zranionym obszarze mojego mózgu.

Doskonały temat dla serii Biblioteka Moich Chłopców - Tajemnica Pipetta. Może byłaby to włoska adaptacja jakiejś francuskiej Tajemnicy Lantenaca!

Dręczyła mnie tajemnica Pipetta, która może nie była żadną tajemnicą - jeśli pominąć tę, którą komukolwiek podszeptuje radio późnym wieczorem.

9. ALE PIPPO NIE WIE

Minęło jeszcze kilka dni (pięć, siedem, dziesięć?), które zlewają się w pamięci. I chyba tak lepiej, ponieważ to, co mi z nich zostało, można by nazwać kwintesencją montażu. Posklejałem różne świadectwa przeszłości, tnąc i łącząc, zarówno zgodnie z naturalną kolejnością myśli i wrażeń, jak też na zasadzie przeciwieństwa. To, co mi pozostało, nie jest już tym, co widziałem i słyszałem przez ostatnie dni, ani tym, co mogłem widzieć lub słyszeć jako dziecko. Jest wyobrażeniem, hipotezą opracowaną w wieku sześćdziesięciu lat w odniesieniu do tego, co mogłem myśleć w wielu lat dziesięciu. Zbyt mało, aby powiedzieć: wiem, że tak właśnie było. Dostatecznie dużo, aby wskrzesić na papierze to, co przypuszczalnie mogłem wtedy odczuwać.

Po powrocie na strych zacząłem już się obawiać, że z moich szkolnych rzeczy nic nie ocalało, kiedy zobaczyłem wielkie pudło zaklejone taśmą samoprzylepną, z napisem: „Jambo, szkoła podstawowa i gimnazjum”. Było też drugie pudło z napisem: „Ada, szkoła podstawowa i gimnazjum”. Nie zależało mi jednak na reaktywowaniu pamięci mojej siostry, miałem dosyć kłopotu z własną.

Chciałem uniknąć kolejnego tygodnia z podwyższonym ciśnieniem. Zawołałem Amalię, żeby mi pomogła przenieść pudło do gabinetu dziadka. Potem pomyślałem, że do szkoły podstawowej i do gimnazjum musiałem uczęszczać w latach 1937-1945. Zniosłem więc na dół także pudła z napisami: „Wojna”, „Lata 40-ste”, „Faszyzm”.

W gabinecie opróżniłem pudła i uporządkowałem ich zawartość na kilku półkach. Książki ze szkoły podstawowej, podręczniki gimnazjalne

do historii i geografii oraz wiele zeszytów z moim nazwiskiem, rokiem i klasą. Było też dużo gazet. Zdaje się, że dziadek zbierał ważniejsze numery, poczynając od wojny z Etiopią: numery z historycznym przemówieniem Duce po proklamowaniu Imperium, z deklaracją wypowiedzenia wojny dziesiątego czerwca 1940 roku, i tak dalej, aż do zrzućenia bomby atomowej na Hiroszimę i zakończenia wojny. Były również pocztówki, afisze, broszury, kilka ilustrowanych czasopism.

Postanowiłem postępować jak historyk sprawdzający dokumenty przez porównanie. To znaczy, czytając książki i zeszyty z czwartej klasy szkoły podstawowej, rok szkolny 1940/1941, przeglądałem też gazety z tych lat oraz - w miarę możliwości - nastawiałem z tych samych lat płyty.

Powiedziałem sobie, że skoro reżimowe były książki, to reżimowe musiały być także gazety. Wiadomo na przykład, że za czasów Stalina „Prawda” nie informowała zacnych ludzi radzieckich we właściwy sposób. Musiałem jednak zmienić zdanie. Dzienniki włoskie, choć napompowane propagandą, nawet w czasie wojny pozwalały czytelnikom zrozumieć, co się dzieje. Po wielu latach dziadek udzielił mi pośmiertnie ważnej lekcji obywatelskiej i historiograficznej zarazem: trzeba umieć czytać między wierszami. On między wierszami czytał, podkreślając nie tyle tytuły drukowane wielkimi literami, ile drugorzędne artykułiki, wzmianki, krótkie doniesienia, które w pierwszej chwili mogły pozostać niezauważone. Wielki tytuł w „Corriere della Sera” z szóstego/siódмого stycznia 1941: „Na froncie w rejonie Bardii toczyły się nadal zaciekle walki”. W połowie kolumny biuletyn wojenny (publikowano je codziennie, rejestrując z biurokratyczną dokładnością nawet liczbę strąconych samolotów nieprzyjacielskich) zawiadamiał chłodno, że „padły

kolejne umocnienia mimo wytrwałego oporu ze strony naszych oddziałów, które zadały wrogowi ciężkie straty”. Kolejne umocnienia? Z kontekstu wynikało, że Bardija w Afryce Północnej została zajęta przez Anglików. W każdym razie dziadek zaznaczył czerwonym atramentem na marginesie (robił tak w wielu innych numerach): „RL, stracona B., 40 000 j.”. RL to najwyraźniej Radio Londyn; dziadek zestawiał wiadomości Radia Londyn z oficjalnymi. Nie tylko straciliśmy Bardiję, ale czterdzieści tysięcy naszych żołnierzy musiało poddać się wrogowi. Jak widać, „Corriere” nie kłamał, zakładając tylko, że wszyscy wiedzą, co przemilczał. Ten sam „Corriere” z szóstego lutego podawał znowu wielkimi literami: „Nasze wojska kontratakują na północnym froncie Afryki Wschodniej”. Co to za front północny Afryki Wschodniej? W szeregu numerów z poprzedniego roku, informując o pierwszych naszych wypadach na terytorium Somalii Brytyjskiej i Kenii, zamieszczano dokładne mapki, aby unaocznić, gdzie przekraczaliśmy zwycięsko granice. Obok wiadomości o północnym froncie nie było teraz żadnej mapki i dopiero po poszukiwaniach w atlasie stawało się jasne, że Anglicy wkroczyli już do włoskiej Erytrei.

Triumfalny tytuł w „Corriere” z siódmego czerwca 1944 roku: „Zmasowany ogień niemieckiej obrony niszczy jednostki sojusznice na wybrzeżu Normandii”. Co robili Niemcy i sojusznicy na wybrzeżu Normandii? Szóstego czerwca był słynny D-Day, początek inwazji. Gazeta, która nie mogła o tym napisać, podawała wiadomość w domyśle, precyzując, że marszałek von Rundstedt nie dał się bynajmniej zaskoczyć i że plaże były zasłane ciałami nieprzyjacielskich żołnierzy. Nie sposób twierdzić, że to nieprawda.

Mogłem metodycznie posuwać się dalej, rozpoznając kolejność

rzeczywistych wydarzeń dzięki faszystowskiej prasie, czytanej jak należy i jak prawdopodobnie wszyscy ją czytali. Włączyłem oświetlenie skali radia, uruchomiłem adapter i zagłębiłem się w przeżywanie na nowo tamtych lat. Oczywiście tak, jakbym przeżywał życie kogoś innego.

Pierwszy szkolny zeszyt. W tamtych czasach na początku uczono stawiać kreski, do liter alfabetu przechodziło się dopiero wtedy, kiedy umiało się już wypełnić stronę równymi szeregami pionowych linijek. Ćwiczenie ręki i przegubu - kaligrafia nie była bez znaczenia w latach, gdy maszyny do pisania posiadały tylko biura. Przeszedłem do Elementarza dla klasy pierwszej autorstwa panny Marii Zanetti, ilustrował Enrico Pi-nochi, Drukarnia Państwowa, rok XVI („ery faszystowskiej”, to jest 1937).

Na stronie pierwszych dyftongów po oi, aia, eia następowały eja! eja! i rysunek różg liktorskich, faszystowskiego symbolu. Uczono alfabetu przy akompaniamencie faszystowskiego okrzyku bojowego: eja, eja, alalà!, wymyślonego, o ile mi wiadomo, przez Gabriele D’Annunzia. Przy literze „B” były słowa jak Benito i cała strona o Balilli. Moje radio nadawało za to właśnie Bu... bu... buzi daj, malutka. Jak udało mi się nauczyć litery „B”? Mój wnuczek Giangio myli ją jeszcze teraz z „W” i mówi waran zamiast baran.

Balilla i Figli della Lupa - Synowie Wilczycy, kandydaci do organizacji Balilla w wieku od sześciu do ośmiu lat. Strona z chłopcem w mundurze: czarna koszula i skrzyżowane na piersi białe pasy z literą „M”

pośrodku. Podpis: „Mario jest mężczyzną”. Potem tekst:

Syn Wilczycy. Jest 24 maja. Wilhelm wkłada piękny, nowy mundur - mundur Synów Wilczycy. „Tatusiu, ja też jestem żołnierzykiem Duce, prawda? Zostanę balillą, będę nosił proporzec, będę miał karabinek, potem wstąpię do Awangardy. Ja też chcę ćwiczyć jak prawdziwi żołnierze, chcę być najdzielniejszy ze wszystkich, chcę zasłużyć na dużo medali...”

Zaraz potem strona przypominająca obrazki z Epinal, z tą różnicą, że przedstawia nie francuskich żuawów lub kirasje-rów, tylko mundury faszystowskich formacji młodzieżowych.

Aby nauczyć dźwięku gl, wymawianego ???, w elementarzu podawano przykłady gagliardetto (proporzec), battaglia (bitwa), mitraglia (karabin maszynowy). Sześcioletnim dzieciom! Tym, do których wiosna nadchodzi roztańczona. Mniej więcej w połowie elementarza dowiadywałem się jednak czegoś o Aniele Stróżu:

Idź, dziecię, dokąd wiedzie droga, Niechaj serduszka nie nęka trwoga, Nie musisz bać się mroków ni burz, Czuwa nad tobą Anioł Stróż.

Dokąd miał Anioł mnie zaprowadzić? Czy tam, gdzie w bitwie śpiewały karabiny maszynowe? O ile mi wiadomo, między Kościołem a Faszyzmem dawno już nastąpiło wielkie Pojednanie - musiano więc wychowywać nas na członków organizacji Balilla, nie zapominając o Aniele Stróżu.

Czy ja też defilowałem w mundurze ulicami miasta? Czy chciałem pojechać do Rzymu i zostać bohaterem? W radiu śpiewano teraz bojową pieśń o defiladzie młodych Czarnych Koszul, lecz w chwilę później

krajobraz się zmienił. Ulicą przechodził obecnie niejaki Pippo, upośledzony przez matkę naturę i przez swojego krawca, bo nosił koszule na kamizelki. Pomyślałem o starym psie Amalii i wyobraziłem sobie tego wędrowca o wymizerowanej twarzy, o powiekach opadających na wodniste oczy, z głupekowatym uśmiechem odsłaniającym braki w uzębieniu, idącego chwiejnym krokiem na płaskich stopach. Jeżeli jednak miał płaskostopie, był chyba jakimś innym Pippem. Wydało mi się, że coś go łączy ze skarbem Klarabelli, ale nie mogłem sobie tego dokładnie uzmysłwić. A jaki był związek między Pippem a Pipetem?

Pippo z piosenki nosił koszule na kamizelki. Radiowe głosy nie wymawiały jednak „kamizelki”, lecz „kamizelkiii” (na płaszcz zakłada szelkiii, koszule na kamizelkiii); chodziło zapewne o dopasowanie słów do muzyki. Zdawało mi się jakby, że ja też coś takiego robiłem, choć w innym kontekście. Zaśpiewałem sobie znowu Giovinezze, której słuchałem poprzedniego wieczoru, wymawiając: Benito i Mussolini, eja, eja, alalà. Nie śpiewaliśmy Wódz Benito Mussolini, lecz Benito i Mussolini. To miało najwyraźniej eufoniczny charakter - wtrącaliśmy je, aby z większą energią wymawiać Mussolini. Benito i Mussolini, koszule na kamizelkiii.

Kto jednak paradował ulicami miasta - mali balilla czy Pippo? A ludzie z kogo się śmiali? Może reżim dostrzegł w piosence wykpiwającej Pippa jakąś delikatną aluzję? Może

Ogniu Westy, co przekraczasz granice świątyni, oto idzie młodość skrzydlata, płomienna.

Lampki rozpalone na ołtarzu i grobie, my jesteśmy nadzieją w tej dobie.

Duce, Wodzu, któż wystraszy się śmierci?

Któż się zaprze przysięgi?

Dobądź miecza!

Kiedy tylko zechcesz, my, proporce na wietrze, wszyscy staniemy przed tobą.

Zbrojom i sztandarom dawnych bohaterów dla Włoch, Wodzu, każ w słońcu rozbłysnąć.

A życie płynie, nas z sobą zabiera i obiecuje nam przyszłość.

Mężna młodzież stanie do walki z rzymską odwagą.

Będzie, co ma być: wielka Macierz bohaterów wezwie dla Wodza, Ojczyzno, dla Króla, dla nas! Przyniesiemy ci chwałę i zamorskie podboje!

Ale Pippo nie wie, że całe miasto śmieje się, że wychodzą krawcowe na wystawy sklepowe, by na jego widok pukać się w głowę.

Lecz on traktuje te powitania poważnie i głęboko się kłania, i idzie z miną Rudolfa Valentino, i podskakuje jak łania! Na płaszczy zakłada szelki, koszule na kamizelki, skarpetki zakłada na buciki, pogubił wszystkie guziki, a podkolanówkę związał na sznurówkę.

Ale Pippo nie wie, że całe miasto śmieje się, czuje się ważny i strasznie poważny, wszystkim się kłania, podskakując jak łania.

to mądrość ludowa pocieszała nas tymi dziecinnymi prawie śpiewkami, kiedy musieliśmy bezustannie znosić brzemień retoryki

bohaterstwa?

Myśląc właściwie o czym innym, doszedłem do strony o mgle.

Obraz: Alberto z tatusiem, dwa cienie odcinające się od innych cieni, czarne na tle szarego nieba, z którego wynurzają się zarysy domów miasta w ciemniejszym nieco odcieniu szarości. Tekst oznajmiał, że we mgle osoby wyglądają jak cienie. Czy taka jest rzeczywiście mgła? Czy ta szarzyzna nieba nie powinna była otulić jak mleko, jak woda z anyżkiem także ludzkich cieni? Z mojego zbioru cytatów wynikało, że cienie nie odcinają się we mgle, lecz powstają z niej i z nią się zlewają - we mgle widać cienie nawet tam, gdzie ich nie ma, a nie sposób odgadnąć ich tam, gdzie zaraz się wyłonią. Elementarz dla klasy pierwszej kłamał mi więc także na temat mgły? Tekst kończył się w istocie wezwaniem do pięknego słońca, by przyszło rozproszyć mgłę. Zapewniał, że mgła jest nieunikniona, lecz niepożądana. Uczono mnie, że mgła jest niedobra, więc dlaczego czułem do niej później mroczną tęsknotę?

Mroczna, ciemna, zaciemnienie. Słowa przywołują słowa. Podczas wojny, powiedział mi Gianni, miasto było pogrążone w mroku, aby nie rozpoznały go nieprzyjacielskie bombowce; z okien domów nie powinna była wydobywać się nawet odrobina światła. Jeżeli to prawda, to musieliśmy wówczas błogosławić mgłę, rozpościerającą nad nami swój ochronny całun. Mgła była dobra.

O zaciemnieniu nie mogłem z pewnością się dowiedzieć z Elementarza dla klasy pierwszej, wydanego w 1937 roku. Mówił mi on tylko o mgle dokuczliwej jak ta, która na strome wzgórza kroplami się wspina. Przekartkowałem podręczniki klas następnych, ale o wojnie nie wspomniano nawet w Wypisach dla klasy piątej z 1941 roku, a zaczęła się

przecież dla nas już w roku poprzednim. Było to jeszcze wznowienie wydań z lat wcześniejszych, mówiono w nim tylko o bohaterach wojny domowej w Hiszpanii i o podboju Etiopii. Nie wypadało pisać w szkolnych podręcznikach o wojennych kłopotach - stąd pomijanie teraźniejszości i sławienie chlubnej przeszłości.

W Wypisach dla klasy czwartej, rok szkolny 1940/1941 - była już jesień pierwszego roku wojny - zamieszczono jedynie opowiadania o bohaterskich czynach z pierwszej wojny światowej, urozmaicane rysunkami naszych piechurów, muskularnych i prawie nagich niczym rzymscy gladiatorzy, na słoweńskich wyżynach Krasu.

Na innych stronach pojawiały się jednak - dla pojednania organizacji Balilla z Aniołem Stróżem - pełne słodyczy i dobroci opowieści o nocy wigilijnej. Jako że całą Włoską Afrykę Wschodnią mieliśmy utracić dopiero w końcu 1941 roku, kiedy ta książka znajdowała się już w szkolnym obiegu, występowały w niej nasze dzielne wojska kolonialne. Oglądałem więc somalijskiego wojaka w pięknym, charakterystycznym mundurze, dostosowanym do obyczajów tubylców, których cywilizowaliśmy: pierś naga, przepasana tylko białą wstęgą, złączoną węzłem z ładownicami. Poetycki komentarz brzmiał: Orzeł legionowy zrywa się do lotu nad światem - jedynie Bóg go powstrzyma. Ale Somalia była w rękach Anglików już od lutego, kiedy ja może po raz pierwszy czytałem tę stronę. Czy wiedziałem o tym, czytając?

W każdym razie w tym samym podręczniku odnajdywałem też Koszyczek ponownie spożytkowany: Zegnaj, wściekła burzo! Zegnaj,

huku gromów! Niebo się przejaśnia nad dachami domów... Pełna radości cisza strapiony świat okrywa, jak dobroczynny balsam pokój na wszystko spływa.

A trwająca wojna? Wypisy dla klasy piątej zawierały raczej rozważania na temat różnic rasowych, z rozdziałem o Żydach, gdzie podkreślano, jak bardzo należy uważać na to zdradliwe plemię, które „wkradłszy się chytrze wśród Aryjczyków... zaszczepiło ludom nordyckim nowego ducha kupiectwa i żądzy zysku”. W pudłach znalazłem także kilka numerów „La Di-fesa delia Razza”, czasopisma powstałego w 1938 roku, którego dziadek być może nie pozwoliłby mi czytać (ale ja oczywiście prędzej czy później docierałem wszędzie). Były w nich zdjęcia aborygenów zestawione ze zdjęciami małp, inne ukazywały znowu monstrualny rezultat skrzyżowania Chinki z Europejczykiem (do takich przejawów zwyrodnienia dochodziło jednak, jak się wydaje, jedynie we Francji). Pisano pochlebnie o rasie japońskiej i ujawniano nierozłączne znamiona rasy angielskiej: niewiasty z podwójnym podbródkiem, czerstwi dżentelmeni z nosami alkoholików. Był też rysunek kobiety w brytyjskim hełmie na głowie, bezwstydnie okrytej tylko kilkoma stronami „Timesa”, udrapowanymi w rodzaj stroju baletnicy; kobieta przeglądała się w lustrze, napis „Times” odbijał się w nim jako „Semit”. Co do Żydów rzeczywistych, było doprawdy w czym wybierać. Szereg bez końca haczykowatych nosów, zmierzwionych bród, zmysłowych świńskich ryjków ze sterczącymi zębami, czaszek krót-kogłowych, wystających kości policzkowych, smętnych judaszowych oczu, ogromnych brzuchów rekinów finansjery we frakach, ze złotym łańcuszkiem od zegarka na kamizelce, z rękami drapieźnie wyciągniętymi po bogactwa narodów

proletariackich.

To chyba dziadek wetknął między te strony propagandową pocztówkę z odrażającym Semitą na tle nowojorskiej Statui Wolności, wyciągającym zakrzywione szpony w kierunku patrzącego. Dostawało się jednak nie tylko Żydom. Na innej pocztówce pijane Murzynisko w kowbojskim kapeluszu obmacywało wstrętnymi łapskami biały pępek Wenus z Milo. Rysownik zapomniał, że wypowiedzieliśmy wojnę także Grecji, cóż więc mogło nas obchodzić, że ten bydlak obłapia kaleką Greczynkę, której mąż żołnierz paraduje w spódniczce i z pomponami na butach?

Na zasadzie kontrastu czasopismo pokazywało czyste i męskie profile rasy włoskiej. W przypadku Dantego i niektórych kondotierów, z nosami niezupełnie małymi i prostymi, pisano o „rasie orlej”. Jeżeli dowody czystości aryjskiej moich rodaków nie przekonywały mnie do końca, w szkolnych wypisach mogłem znaleźć mocny wiersz o Duce (Kwadratowy podbródek nad takąż piersią góruje, dziarski krok, głos jak fontanna powietrze pruje) oraz porównanie męskich rysów Juliusza Cezara i Mussoliniego (dopiero o wiele później dowiedziałbym się z encyklopedii, że Cezar chodził do łóżka ze swoimi legionistami).

Wszyscy Włosi byli piękni. Piękny był Mussolini z okładki ilustrowanego tygodnika „Tempo”: na koniu, z wyciągniętym mieczem (nie było to wyobrażenie alegoryczne, lecz prawdziwe zdjęcie - zatem na przejażdżkę brał ze sobą miecz?), sławiący wypowiedzenie wojny. Piękny był faszysta w czarnej koszuli, wznoszący na przemian okrzyki:

Nienawidźcie wroga! i Zwycięzimy! Piękne były rzymskie miecze, skierowane ku zarysom Wielkiej Brytanii. Piękna była ręka wieśniaka z kciukiem zwróconym do dołu nad Londynem w płomieniach.

Piękny był dumny legionista na tle ruin etiopskiej Amba Alagi, który zapewniał: Wrócimy!

Optymizm. Radio śpiewało mi teraz: Taki był duży, taki był gruby, zwano go Baryłka, tu się potoczył, tam odbił znów jak piłka, tańczyć chciał z dziewczyną, lecz pogubił nogi i kozła wywinął, zrządzeniem losu wpadł do kanału, teraz dryfuje na wodzie pomału.

Piękne były przede wszystkim, w tyłu czasopismach i na tyłu plakatach reklamowych, dziewczęta czystej włoskiej rasy, z obfitym biustem i o zaokrąglonych kształtach, wspaniałe maszyny do rodzenia dzieci, w odróżnieniu od angielskich miss, kościstych i przeraźliwie chudych, oraz wiotkich dam z lat kryzysu i rządów plutokracji. Piękne panienki z konkursu „Pięć tysięcy lirów za jeden uśmiech”, piękne prowokujące panie, z pupą wyraźnie zarysowaną pod obcisłą spódnicą, które przemierzały długim krokiem plakat reklamowy, podczas gdy radio śpiewało: oczka ma zielone, jeśli nawet rozmarzone, to i cóż? Ja jej nóżki bardziej lubię, no i już.

Przepiękne były dziewczyny z piosenek. Zarówno piękności italskie i „wiejskie dziewczyny”, jak i piękności miejskie, mediolańska „śliczna maleńka” z twarzą przypudrowaną, krążąca po najbardziej zatłoczonej ulicy, czy piękność na rowerze, symbol kobiecości śmiałej i rozhukanej, o nogach smukłych, toczonych i zgrabnych.

Twarzyczka przypudrowana, lekko umalowana, w rączkach wypielegnowanych prezent pięknie pakowany.

Ach, śliczna maleńka, która co dzień, samiuteńka, szczebiotliwie pośród ludzi swoim śpiewem serca budzisz.

Ach, śliczna wyśniona, tak bywasz zawstydzona, że oblewasz się rumieńcem, kiedy ktoś cię komplementem obdarzy, i bywa, że się rozmarzysz, a on pójdzie sobie i już.

Kiedy widzimy dziewczynę, która spaceruje z głową w chmurach, co robimy? Ją śledzimy. Podążamy byстрым wzrokiem za jej lekkim, cichym krokiem, by wyłowić, co w niej jest. Pewnie ładne są jej oczy, lecz ich urok nie zaskoczy, bowiem nóżki, bo jej nóżki, nóżki bardziej lubię ja. Jeśli oczka ma zielone, jeśli nawet rozmarzone, to i cóż? Ja jej nóżki bardziej lubię, no i już.

Dokąd jedziesz na rowerze, przecież mnie namiętność bierze, kiedy patrzę, jak nóżkami ty przebierasz pedałami. Nie odjeżdżaj, proszę, stań. Zaraz stracę z oczu włosy, które wietrzyk ci rozwiewa, czerwień ust, którymi śpiewasz. Stój, zaczekaj - jeśli chcesz, to pojedę z tobą też.

Gdy w Abruzzo o świcie po nocy budzi się życie, wiejskie dziewczyny zapuszczają się w doliny. O piękna białogłowa, ty jesteś tu królową, w policzkach masz dołki, a w oczach masz fiołki, kwiat ci się ściele u stóp... Kiedy śpiewasz, w sercu wzbiera rozkosz błoga, rozkosz szczera, szepcząc swoim głosem tkliwym: „Jeśli pragniesz być szczęśliwy, musisz też zamieszkać tu!”

Brzydcecy byli oczywiście nieprzyjaciele. W niektórych numerach „Balilli”, tygodnika dziecięcego organizacji Włoska Młodzież Faszystowska, publikowano serie karykatur De Sety z wierszykami ośmieszającymi wroga, zawsze zwierzęco szpetnego: Ze strachu trzęsie portkami Jerzy k, co władza Anglikami, więc o pomoc błaga, biedaczysko, tłustego ministra Czerczyliśko. Występowali potem dwaj inni dranie - Rusweltcisko i Stalino, czerwony potwór z Kremla.

Anglicy byli niedobrzy także dlatego, że używali rzekomo formy grzecznościowej lei - pan, pani, dzielni Włosi zaś musieli używać zawsze, nawet między znajomymi, wybitnie włoskiej formy voi, wy. Nie trzeba władać doskonale obcymi językami, aby wiedzieć, że per „wy” (you, vous) mówią do siebie Anglicy i Francuzi, a „pan” - lei - jest właśnie formą zdecydowanie włoską, co najwyżej wywodzącą się z hiszpańskiego, ale frankistowscy Hiszpanie byli przecież naszymi dobrymi przyjaciółmi. Z drugiej strony niemieckie Sie odpowiada formom „pan” lub „państwo”, nie formie „wy”. W każdym razie - może z powodu niedostatecznej znajomości zagranicy - najwyższe władze podjęły decyzję o używaniu formy „wy”, a mój dziadek zachował bardzo jednoznaczne i rygorystyczne wycinki prasowe w tej sprawie. Zachował też dla żartu ostatni numer kobiecego czasopisma „Lei”, w którym oznajmiano, że odtąd będzie ono zatytułowane „Annabella”. Było oczywiste, że tytuł „Lei” nie stanowił formy grzecznościowej odnoszącej się do potencjalnej czytelniczki - jak w zwrotach „przepraszam panią” czy „proszę pani” - lecz nawiązywał do ogółu czytelniczek, ponieważ lei znaczy także „ona” (a więc: czasopismo przeznaczone dla niej, dla kobiety). Widać jednak słowo lei, nawet z odmienną funkcją gramatyczną, stało się zakazane. Zastanawiałem się, czy

ten epizod rozbawił także czytelniczki z tamtych czasów. W każdym razie zmiana tytułu nastąpiła i wszyscy z nią się pogodzili.

Wracając do pięknych kobiet: były także piękności kolonialne. Typy negroidalne przypominały małpy, Abisyńczycy cierpieli na różnorodne choroby, ale dla pięknej Abisynki robiło się wyjątek. Radio śpiewało: Czarna twarzyczko, piękna Abisynko, nie trać nadziei, słodka kruszynko. Wkrótce przybędziemy, maszerując ziaawo, damy ci nowego króla i najlepsze prawo.

Postępowania z pięknymi Abisynkami uczyły kolorowe rysunki De Sety, tego od Czerczyliska, na których włoscy żołnierze kupowali półnagie ciemnoskóre dziewczuszki na targu niewolników i wysyłali je pocztą przyjaciołom w ojczyźnie.

O etiopskich pięknościach marzono już od początku inwazji, o czym świadczyła smutna, tęskna i uwzględniająca oczywiście karawany piosenka: Idą karawany z Tigre, kierując się gwiazdami, które błyszczą nad nami, a teraz zajaśnieją miłością.

A ja o czym myślałem w tym wirze optymizmu? Dowiadywałem się tego z moich zeszytów z pierwszych pięciu lat szkoły. Wystarczyło spojrzeć na ich okładki, zachęcające do rozmyślań o odwadze i zwycięstwie. Prawie wszystkie z białego i mocnego papieru (kosztowały zapewne najdrożej), opatrzone niekiedy pośrodku portretem jakiegoś Wielkiego Człowieka (ileż musiałem snuć domysłów na temat tajemniczej, uśmiechniętej twarzy pana o nazwisku Shakespeare, które z pewnością wymawiałem zgodnie z pisownią, ponieważ obrysowałem

piórem poszczególne litery, jakbym je o coś wypytywał i usiłował wbić sobie do głowy). Cała reszta to wyobrażenia Duce na koniu, bohaterskich wojaków odzianych w czarne koszule, ciskających granatami w przeciwnika, wąziutkich łodzi torpedowych, zatapiających olbrzymie nieprzyjacielskie pancerniki, łączników gotowych do największych poświęceń, którzy mając ręce zmiażdżone pociskiem, biegną dalej z kopertą w zębach pod ogniem karabinów maszynowych wroga.

Nauczyciel (dlaczego nauczyciel, nie nauczycielka? nie wiem, powiedziało mi się „pan nauczyciel”) podyktował nam najważniejsze fragmenty historycznej mowy Duce w dniu wypowiedzenia wojny dziesiątego czerwca 1940 roku, opatrując je za przykładem sprawozdań prasowych uwagami o reakcjach nieprzejrzanego tłumu, zebranego na placu Weneckim w Rzymie:

Żołnierze sił lądowych, morskich i powietrznych! Czarne koszule Rewolucji i Legionów! Mężczyźni i kobiety Włoch, Imperium i Królestwa Albanii! Słuchajcie! Godzina przeznaczenia wybiła na niebie naszej Ojczyzny. Godzina nieodwracalnych postanowień. Deklaracja wypowiedzenia wojny została już wręczona (oklaski, gromkie okrzyki: Wojna! Wojna!) ambasadorom Wielkiej Brytanii i Francji. Wyruszamy w pole przeciw plutokratycznym i reakcyjnym demokracjom Zachodu, które zawsze utrudniały marsz naprzód włoskiego narodu, a często zagrażały samemu jego istnieniu...

Według praw moralności faszystowskiej, kiedy ma się przyjaciela, maszeruje się z nim aż do końca (okrzyki: Duce! Duce! Duce!). Tak zrobiliśmy, tak robić będziemy z Niemcami, z ich narodem, z ich wspaniałymi Siłami Zbrojnymi. W przeddzień wydarzeń historycznej wagi

kierujemy nasze myśli ku Majestatowi Króla Imperatora (tłum wiwatuje na cześć domu sabaudzkiego), który, jak zawsze, wyraził duszę Ojczyzny. Pozdrawiamy Fuhrera, wodza wielkich sojusznicznych Niemiec (lud długo oklaskuje Hitlera). Proletariackie i faszystowskie Włochy po raz trzeci powstają, dumne i zwarte jak nigdy (tłum krzyczy jednym głosem: Tak!). Jest jedno hasło, kategoryczne i obowiązujące wszystkich. Rozbrzmiewa już ono i rozpala serca od Alp po Ocean Indyjski: zwyciężyć! I zwyciężymy! (entuzjastyczne okrzyki tłumu).

W tamtych miesiącach radio z pewnością puściło w obieg Vincere {Zwyciężyć}, wtórując słowom Wodza:

Mocniejszy niż trąby i dzwony Italii słyszymy dziś głos: „Centurie, kohorty, legiony, czas rzucić na szançe nasz los!” Naprzód, młodzi rycerze! Strachu nie znamy, marszu nie wstrzymamy! Mamy wielką wolę zrzucie dziś niewolę, przekroczyć granice mórz! Zwyciężyć! Zwyciężyć! Zwyciężyć! Na niebie, na ziemi, na morzu! Tak właśnie brzmi rozkaz najwyższego Wodza. Zwyciężyć! Zwyciężyć! Zwyciężyć! Twardo się bić, za cenę krwi! Serca nam pulsują pragnieniem posłuszeństwa! Nasze wargi walkę ślubują do śmierci lub do zwycięstwa!

Jak mogłem przeżywać wybuch wojny? Jako piękną przygodę, rozpoczętą u boku niemieckiego towarzysza broni. Nazywał się Richard, śpiewało mi o nim w 1941 roku radio: Witaj, kolego Richardzie... Jak wyobrażałem sobie kolegę Richarda (wymogi metryki zmuszały nas do wymowy francuskiej z akcentem nad a, Richard, nie niemieckiej z akcentem nad /, Richard), można było się domyślić z propagandowej pocztówki, na której maszerował on ramię w ramię z żołnierzem włoskim, obaj widziani z profilu, obaj męscy i zdecydowani, ze wzrokiem wbitym w

cel - zwycięstwo.

Ale moje radio po Koledze Richardzie nadawało z kolei (byłem już przekonany, że działa naprawdę) inną piosenkę. Po niemiecku; smutna kantylena, omal marsz żałobny, którego rytm odmierzały - tak mi się zdawało - niezauważalne prawie drgania moich wnętrzności. Śpiewała kobieta głębokim, chrapliwym, zrozpaczonym i grzesznym głosem: Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor stand eine Laterne und steht sie noch davor...

Dziadek miał tę płytę, ale ja nie mogłem wtedy rozumieć niemieckiej piosenki.

W istocie wysłuchałem w chwilę później płyty włoskiej nie tyle z tłumaczeniem, co raczej z parafrazą lub adaptacją niemieckiego oryginału:

Stara latarnia Tuż u koszar bram Widzi co wieczór, Jak tu stoję sam.
Dziś takie będę trzymać straż, Aż ujrzę twą kochaną twarz. To ty, Lili Marleen, To ty, Lili Marleen.

Gdy brnę przez błoto, W marszu tracąc dech, Tornister ciąży,
Prześladuje pech. Wtedy o tobie myślę znów, Uśmiecham się do swoich snów. To ty, Lili Marleen, To ty, Lili Marleen.

Tekst włoski o tym nie wspominał, lecz w niemieckim latarnia stoi we mgle, Wenn sich die spaten Nebel drehn, kiedy się wokół kłębi mgła. W każdym razie nie mogłem wtedy zrozumieć, że pod tą latarnią (prawdopodobnie zastanawiałem się tylko, dlaczego pali się ona podczas zaciemnienia) ów smutny głos we mgle był głosem tajemniczej prostytutki, „kobiety handlującej sama”. Czy z tej przyczyny

wynotowałem po latach z Sergia Corazziniego: Przed drzwiami domu płatnej miłości I mętny i podły na pustej ulicy / rozplywa się dobry dym z kadzielnicy, I a może to mgła przyćmiewa wonnośćP.

Lili Marleen zaczęło śpiewać wkrótce po wzywającym do boju Koledze Richardzie. Albo my byliśmy mniejszymi optymistami od Niemców, albo tymczasem coś się zdarzyło, biedny kolega posmutniał, męczyło go brnięcie przez błoto i marzył jedynie, żeby wrócić pod latarnię. Zdawałem sobie teraz sprawę, że sama kolejność propagandowych pieśni mogła mi pokazać, jak od snu o zwycięstwie przeszło się do snu o kuszącej piersi kurwy, zdesperowanej na równi ze swoimi klientami.

Po pierwszych porywach entuzjazmu przyzwyczajono się nie tylko do zaciemnienia, ale też, jak sądzę, do nalotów bombowych i głodu. W przeciwnym razie dlaczego miano by zalecać w 1941 roku małemu balilli, by uprawiał na balkonie tak zwany wojenny ogródek, uzyskując garść warzyw z mikroskopijnego poletka? I dlaczego tenże balilla nie otrzymuje wiadomości od ojca, który jest na froncie?

Kochany Tatusiu, list do Ciebie piszę, chociaż drży mi ręka, bo mi trudno tak. Nie wiem, gdzie Ty jesteś”, i nie wiem, czy słyszysz, jak bardzo Cię proszę o najmniejszy znak. Jestem z Ciebie dumny i tylko dlatego łzy mi z oczu płyną, czy uwierzysz mi? I widzę, jak syna, balillę swojego, przyciskasz do serca mocną ręką Ty.

Czy wiesz, że ja również swoją wojnę toczę, karnie i z honorem, z wiarą niezachwianą?

Pragnę, by ma ziemia dawała owoce, więc dbam o ogródek, Tatusiu, co rano...

To ogródek ivojny!

Bądź, Tato, spokojny, polecam Cię Bogu, niech Cię chroni od wrogów.

Marchewka dla zwycięstwa. Z drugiej strony przeczytałem w zeszycie, co nauczyciel kazał nam zanotować o naszych angielskich wrogach: są narodem spożywającym pięć posiłków dziennie. Pomyślałem wtedy zapewne, że ja też spożywam ich pięć: rano kawa z mlekiem i chleb z marmoladą, o dziesiątej kanapka w szkole, obiad, podwieczorek i kolacja. Może nie wszystkie dzieci miały jednak tak dobrze jak ja, a naród od pięciu posiłków nie mógł nie budzić niechęci u tych, co musieli uprawiać pomidory na balkonie.

Ale w takim razie dlaczego Anglicy byli tacy chudzi? I dlaczego na pocztówce ze zbiorów dziadka widniała nad napisem Milczcie! głowa podstępного Anglika, usiłującego przechwycić tajemnice wojskowe, o których opowiadał nieostrożny włoski żołnierz - może w jakimś barze? Jak byłoby to jednak możliwe, skoro cały naród jak jeden mąż zaciągnął się do wojska? Czyżby istnieli Włosi oddający się szpiegostwu? Czy wywrotowcy nie zostali rozgromieni, jak czytałem w podręcznikach, za sprawą Duce i jego marszu na Rzym?

Na wielu stronach zeszytów pisałem o bliskim już i pewnym zwycięstwie. Czytając to, słuchałem z adaptera przepięknej piosenki. Dotyczyła obrony do ostatniej kropli krwi naszego umocnienia na libijskiej pustyni - oazy Giarabub. Opowieść o obleżonych, których pokonały wreszcie głód i brak amunicji, nabierała epickich rozmiarów. Kilka tygodni wcześniej w Mediolanie oglądałem w telewizji kolorowy film, w którym Davy Crockett i Jim Bowie bronią fortu Ala-mo. Nie ma

nic bardziej podniosłego niż topos obleżonego fortu. Wyobrażam sobie, że śpiewałem wtedy tę smutną balladę

Wiatr cieplejszy wieje i śnieg już topnieje, a wstrętni Anglicy śpią w swojej piwnicy. Piją wprost z butelki, ssą jakieś cukierki, głośno myślą, czy na dworze znów dżdży. Kwiecień nie nadchodzi razem z gołębiami, grzeje oraz chłodzi strasznymi bombami. Granaty na wioski to nasz kwiecień włoski, zamiast chwały - troski. Nie bądź ty spokojna, Anglio, bo ta wojna przyniesie zwycięstwo nam za nasze męstwo.

Teraz będzie ładnie, zemsta was dopadnie: przez naszych chłopaków będzie z was, wojaków, gromada pętałów i banda rybaków. Oj, Anglio, oj, Anglio, ty przegrałaś już.

Tam wysoko, nad palmami, księżyc swymi promieniami pokazuje minaretu profil ostry jak bagnetu. Zgiełki, auta i sztandary, krew, wybuchy i pożary - co to, wielbłądniku stary? To jest saga Giarabub!

Pułkownik, zamiast chleba chcę pocisków, ile trzeba, worek ziemi na śniadanie musi dziś wystarczyć mi. Pułkownik, schowaj wodę, daj mi ognia dziś w nagrodę, dziś ugaszę me pragnienie jedną kroplą własnej krwi. Pułkownik, nie chcę snu, ja pozostać muszę tu, tutaj nikt nie idzie wstecz, nam nie straszna nawet śmierć.

Nie chcę pochwał - za Italię ja stoczyłem tę batalię. Ginę za to, by kres Anglii miał początek w Giarabub.

ze wzruszeniem, z jakim mały chłopiec ogląda dzisiaj film o Dzikim

Zachodzie.

Śpiewałem więc, że kres Anglii ma początek w Giarabub, lecz ta piosenka powinna była przypominać mi Dlaczego umarłeś, Maramau?, ponieważ opiewała klęskę. Potwierdzały mi to dziadkowe gazety: zacięcie broniona oaza Giarabub w Cyrenajce padła w marcu 1941 roku. Elektryzowanie narodu porażką wydało mi się sposobem, którego można się chwycić tylko w ostateczności.

A inna piosenka z tego samego roku, obiecująca zwycięstwo? Teraz będzie ładnie! Obiecywano nam, że będzie ładnie w kwietniu, kiedy w rzeczywistości mieliśmy utracić Addis Abebę. W każdym razie „teraz będzie ładnie” mówi się zazwyczaj, kiedy jest brzydka pogoda, w nadziei, że się zmieni. Dlaczego w kwietniu miało być ładnie? Znaczyło to, że w zimie, kiedy tę piosenkę zaczęto śpiewać, życzono już sobie gorąco, aby odmienił się los.

Cała bohaterska propaganda, którą nas karmiono, była zabarwiona frustracją. Co miał oznaczać refren „Powrócimy!”, jeśli nie to, że wyraża się życzenie, że ma się nadzieję, że wierzy się w powrót tam, gdzie poniosło się klęskę?

Kiedy zaś powstał hymn Batalionów „M”?

Bataliony Duce, bataliony śmierci, zawalczą o życie wiosną, gdy w rozkwicie płomieni i kwiatów jest świat!

Trzeba do zwycięstwa prawdziwego męstwa lwów Mussoliniego w zbroi jego cnót.

Bataliony śmierci, Bataliony życia, idźmy ku wolności, bez nienawiści nie ma miłości.

Z czerwonym „M” nam do twarzy i z czarną kokardą bojówkarzy.

Śmierć znamy lepiej niż cały świat -
ma granaty w rękach, a w ustach ma kwiat.

Muskają czarne fale w gęstym mroku, ich nie widać wcale, lecz oni
mają wszystko na oku.

Ciche i niewidzialne okręty podwodne!

Serca i maszyny najeźdźców są godne, gotowe są płynąć w dal!

Płynąć po przestworzach ogromnego morza, śmiać się w twarz
losowi, nieprzyjacielowi!

Trafić i zatopić, jeśli na twej drodze pojawi się wróg.

Serca marynarza nic nie zatrważa w głębi mórz.

Gwiżdże sobie ze śmierci i z burz, bo wie, że zwycięży, i już!

To wielki żal, że każda dziewczyna dziś marzy o ramionach
marynarzy.

Gdy marynarz coś powie, to cóż po jego słowie?

Odpłynie z obietnicą w siną dal.

Nie oglądajcie się za marynarzami, dziewczyny, albowiem wiecie, co
powiem? Marynarze to kłopotów przyczyny, albowiem wiecie, co
powiem?

Ulegając ich urodzie, wnet znajdziecie wy się w wodzie, a niebawem
na lodzie.

Nie oglądajcie się za marynarzami, dziewczyny, albowiem wiecie, co
powiem?

Według datowania dziadka powinien być rok 1943, wspominało się więc o wiosnie o dwa lata późniejszej (we wrześniu miał zostać podpisany rozejm). Pomijając wyobrażenie śmierci z granatami w rękach i kwiatem w ustach, które musiało mnie zafascynować - dlaczego wiosną walka miała zacząć się powtórnie, dlaczego miano ją wznowić? Czyżby została przerwana? Przecież kazano nam tę pieśń śpiewać w duchu niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo.

Jedynym optymistycznym hymnem, zaoferowanym mi przez radio, była Pieśń załóg okrętów podwodnych: Płynąco prze-stworzach ogromnego morza, śmiać się w twarz losowi, nieprzyjacielowi! Te słowa przypominały mi jednak inne. Odnalazłem tę piosenkę: Nie oglądajcie się za marynarzami, dziewczyny.

Nie śpiewaliśmy jej z pewnością w szkole; najwyraźniej nadawało ją radio. Radio nadawało zarówno hymn załóg okrętów podwodnych, jak i apel do panienek, choć o różnej porze. Dwa światy.

Także gdy słuchałem innych piosenek, wydawało mi się, że życie biegnie dwoma torami: z jednej strony komunikaty wojenne, z drugiej - nieustanna lekcja optymizmu i wesołości, której nie szczędziły nam orkiestry. Zaczynała się wojna w Hiszpanii, Włosi umierali w obu walczących obozach, Wódz wygłaszał płomienne mowy, aby nas przygotować do starcia jeszcze większego i bardziej krwawego? Luciana Dolli-ver (co za słodki głos!) śpiewała: Ty nie wiesz, maleńka, co to miłość, orkiestra Barzizy grała: Dziewczyno zakochana, ja śniłem dziś do rana, jak spałaś przytulona, wszyscy powtarzali: Cóż ja, kwiatku, zrobię, że mi tak cudnie przy Tobie. Władze sławiły piękno wieśniacze, płodne matki, nakładały podatek na kawalerów? Radio ostrzegało: Zazdrość jest

niemodna, mężczyzny niegodna.

Wybuchła wojna, trzeba było zaciemniać okna i nie odchodzić od radia? Alberto Rabagliati szeptał nam: Ścisz radio, proszę, o świcie, jeśli chcesz słyszeć mego serca bicie. Źle zaczynała się kampania, w której zamierzaliśmy „przetrącić krzyże Grecji”, nasi żołnierze umierali w błocie? Nie ma strachu: Nie kocha się, gdy pada deszcz.

Pippo naprawdę nie wiedział? Ile dusz miał nasz reżim?

Ty nie wiesz, maleńka, co to miłość, bo to coś, co ci się nawet nie śniło - miłość nie ma końca, ogrzewa mocniej od słońca. Dzięki miłości krew w żyłach ożywa i do serca, z miłością, spływa. I tak się rodzą pierwsze cierpienia, i pierwsze złociste marzenia.

Tylko nie to, dobry Boże, moja miłość nie może przeminąć z wiatrem jak róże.

Moja miłość przetrwa burze, bo wielka jest jej moc.

Będę jej bronił, będę ją chronił od wszystkiego złego, co by ją zabiło

-

moją biedną miłość!

Dziewczyno zakochana, ja śniłem dziś do rana, jak spałaś przytulona, rozanielona.

Lecz ja w tym śnie nie spałem, twe usta całowałem, czym ze snu cię wyrwałem. Już nie zapomnisz mnie.

Cóż ja, kwiatku, zrobię, że mi tak cudnie przy Tobie! Wprawiasz

mnie w drzenie i w rozmarzenie, dziękuję Ci! Kwiatku w rozkwicie, czym byłoby życie, gdyby w sercach nam nie biło słodkie słowo - miłość, tak słodkie jak Ty. Kwiatku piękny jak bez, gdy miłość przysporzy Ci łez, niech Ci nastrój osłodzi myśl, że Iza, jak wiatr, przychodzi i zaraz odchodzi! Kiedy jesteś ze mną, czuję moc tajemną. I cóż ja, kwiatku, zrobię, że miłość jest piękna przy Tobie!

Zazdrość jest niemodna, mężczyzny niegodna. Musisz być, człowieku, na miarę dwudziestego wieku, by się młodym czuć. Jeśli jesteś smutny, szkoda, lecz jest przecież whisky-soda, whisky świat rozjaśni wkoło. Jeśli będziesz żył wesoło, będziesz radość miał i będziesz się śmiał.

W afrykańskim słońcu szalała bitwa pod Al-Alamajn, a radio nadawało radośnie: Chcę tak żyć z czołem opromienionym słońcem i śpiewam szczęśliwy. Rozpoczęła się wojna ze Stanami Zjednoczonymi, nasze gazety sławiły japońskie naloty bombowe na Pearl Harbor, a w radiu: Pod niebem hawajskim, gdy znajdziesz się nocą, zaśniesz snem rajskim (ale słuchacze może nie wiedzieli, że Pearl Harbor leży na Hawajach i że Hawaje to terytorium amerykańskie). Generał Paulus poddawał się w Stalingradzie wśród stosów trupów po obu stronach, a my słuchaliśmy: Mam kamyczek w bucie, oj, jakże uwiera.

Alianci lądowali na Sycylii, a radio (głosem Alidy Valli!) przypominało nam, że miłość nie może przeminąć z wiatrem jak róża. Miał miejsce pierwszy nalot na Rzym, a Jone Caciagli szczebiotała: Dzień i noc tylko my dwoje, aż do świtu w twych dłoniach dłonie moje.

Alianci lądowali w Anzio niedaleko stolicy, a w radiu robiła furorę piosenka Bésame, bésame mucho, całuj mnie, całuj mnie mocno. W Fosse Ardeatine pod Rzymem masakra, a radio nas rozwesela Łysą głową i

Gdzie jest Zazà. Mediolan cierpi pod bombami, a mediolańska rozgłośnia nadaje Modnię z lokalu Biffi Scala.

A ja, jak ja odbierałem te schizofreniczne Włochy? Wierzyłem w zwycięstwo, kochałem Duce, chciałem za niego umrzeć? Wierzyłem w historyczne sentencje Wodza, które dyktował nam nauczyciel: „Pług żłobi bruzdę, ale miecz jej broni. Zmierzamy prosto do celu. Jeśli pójde naprzód, idźcie za mną, jeśli się cofnę, zabijcie mnie”?

W zeszycie z piątej klasy szkoły podstawowej, 1942, rok XX ery faszystowskiej, znalazłem tekst klasówki:

TEMAT: „Chłopcy, przez całe życie musicie stać na straży nowej, bohaterkiej cywilizacji, którą tworzy Italia”(Mussolini).

ROZWINIĘCIE TEMATU: Patrzcie, piaszczystą drogą maszeruje oddział dzieci.

To mali balilla, dumni i silni w ciepłym słońcu rodzącej się wiosny; maszerują zdyscyplinowani i posłuszni suchym rozkazom, wydawanym przez oficerów. To chłopcy, którzy w wieku dwudziestu lat odłożą pióro, by chwycić za karabin i bronić Italii przed zakusami wroga. Ci balilla, którzy maszerują ulicami w soboty, a w inne dni tygodnia z pochylonymi głowami uczą się w szkolnych ławkach, we właściwym czasie staną się wiernymi, nieprzekupnymi strażnikami Italii i jej cywilizacji.

Któż mógłby przypuszczać, widząc defilujące legiony Marszu Młodości, że ci gołowąsi, często jeszcze członkowie Awangardy, zroszą swą krwią rozpalone słońcem piaski Libii? Któż sobie wyobraża, widząc teraz tych chłopców wesołych i ciągle skorych do żartów, że za kilka lat i oni mogliby paść na polu bitwy z imieniem Italii na ustach?

Zawsze myślałem uporczywie o jednym: kiedy urosnę, zostanę

żołnierzem. Obecnie, gdy słyszę przez radio o niezliczonych aktach odwagi, bohaterstwa i samozaparcia, dokonywanych przez naszych mężnych żołnierzy, to pragnienie jeszcze silniej utrwala się w moim sercu i żadna ludzka siłą nie mogłaby go stamtąd wyrwać.

Taki Zostanę żołnierzem, będę walczył i umrę, jeśli zechce tego Italia, umrę za jej nową, bohaterską i świętą cywilizację, która przyniesie światu dobrobyt i której urzeczywistnienie Fan Bóg Italii powierzył.

Tak! Weseli, lubiący żartować balilla, kiedy urosną, będą jak lwy, gdyby wróg ośmielił się zbezczcić naszą świętą cywilizację. Walczyliby jak rozszalałe zwierzęta, padaliby i wstawali znowu, aby walczyć dalej, i zwyciężyliby, a wraz z nimi zatriumfowałyby raz jeszcze Italia, nieśmiertelna Italia.

Ożywiona wspomnieniem sławnych czynów przeszłości, silna bohaterskimi czynami chwili obecnej, pełna nadziei, że powtórzą się one w przyszłości dzięki małym balilla - żołnierzom jutra, Italia okryta chwałą kroczy naprzód ku skrzydlatemu zwycięstwu.

Wierzyłem w to czy powtarzałem puste frazesy? Co mówili rodzice, gdy przynosiłem do domu takie teksty, opatrzone doskonałymi stopniami? Może wierzyli w to także, ponieważ wchłonęli podobne frazesy jeszcze przed nadejściem faszyzmu? Z tego, co słyszałem od ludzi, wynikało przecie, że urodzili się i dorosli w atmosferze nacjonalizmu, gdy gloryfikowano pierwszą wojnę światową jako oczyszczającą kąpiel - czyż futuryści nie utrzymywali, że wojna jest jedyną higieną świata? A między książkami na strychu znalazłem stary egzemplarz Serca De Amicisa, w którym - wśród opisów bohaterskich dokonań małego patrioty z Padwy i szlachetnych postępów młodego Garrone - przeczytałem słowa ojca

Henryka, będące pochwałą Królewskich Sił Zbrojnych:

Cała ta młodzież, wszyscy ci ludzie pełni sił i nadziei mogą być z dnia na dzień powołani do obrony kraju i w kilka godzin ponieść śmierć odkuli. Więc kiedy przy podobnej uroczystości usłyszysz okrzyki: „Niech żyją Włochy! Niech żyją żołnierze!” - wyobraź sobie oprócz tych regimentów, defilujących w paradzie, wielkie pobojowisko, pełne trupów i ociekające krwią... A wtedy to „Niech żyje!” wybuchnie goręcej z głębi twego serca. Wtedy obraz Włoch, obraz ojczyzny, za którą tysiące umierają, pokaże ci się większy i surowszy.

Zatem nie tylko mnie, lecz i moich rodziców uczono pojmować miłość własnego kraju jako daninę krwi, nie wzdragać się, lecz entuzjasmować na widok pola zlanego krwią. Zresztą czy już sto lat wcześniej nie napisał jakże skądinąd łagodny Le-opardi: O szczęśliwe, kochane i błogosławione / dawne wieki, gdy na śmierć I za Ojczyznę ludzie biegli tłumem!

Zrozumiałem teraz, że także masakry oglądane w „Ilustrowanym Dzienniku Podróży i Przygód” nie musiały wcale wydawać mi się egzotyczne, ponieważ wychowywano nas wszystkich w kulcie horroru. Nie był to kult wyłącznie włoski, bo w opowiadaniach z tegoż „Ilustrowanego Dziennika” czytałem o wojnie i odkupieniu poprzez krwawą łaźnię, sławionych ustami bohaterskich poilus, francuskich piechurów, dla których hańba klęski pod Sedanem stała się źródłem mitu nasyconego gniewem i żądzą zemsty; u nas miało być podobnie po klęsce pod Giarabub. Nic nie zachęca bardziej do najwyższych poświęceń niż uraza po porażce. Tak uczono nas - rodziców i dzieci - żyć, mówiąc nam, jaka piękna jest śmierć.

W jakiej jednak mierze chciałem naprawdę umrzeć i co o śmierci wiedziałem? Wypisy dla klasy piątej zawierały opowiadanie Lotna Valente. Były to najbardziej wymięte strony w całej książce, tytuł zaznaczony ołówkowym krzyżykiem, wiele ustępów tekstu podkreślonych. Bohaterski epizod z wojny w Hiszpanii. Batalion Czarnych Strzał zaległ naprzeciw wzgórza - loma po hiszpańsku - stromego i kamienistego, które trudno atakować. Jednym z plutonów dowodzi jednak czarnowłosy siłacz - dwudziestoczteroletni Valente; w ojczyźnie studiował literaturę i pisał wiersze, lecz był też mistrzem boksu i zgłosił się na ochotnika do Hiszpanii, gdzie na froncie nie brakowało miejsca ani dla bokserów, ani dla poetów. Valente rusza do ataku świadomy niebezpieczeństwa. W tekście mowa o wszystkich fazach tego bohaterskiego przedsięwzięcia, czerwoni {Gdzie oni są, przekłęci? Dlaczego się nie pokazują?) strzelają gradem kul z czego tylko mogą, jakby leli wodę na pożar, który rozszerza się i zbliża. Valente robi jeszcze kilka kroków, aby stanąć zwycięsko na szczycie, gdy niespodziewane, suche uderzenie w czoło napętnia mu uszy straszliwym hukiem.

Potem mrok. Valente leży twarzą w trawie. Mrok się teraz rozjaśnia, czerwienieje. Oko bohatera, dotykające prawie ziemi, dostrzega dwa lub trzy źdźbła trawy, grube jak słupy.

Zbliża się żołnierz i szepcze konającemu, że wzgórze zdobyte. Za bohatera mówi teraz autor: Co znaczy umrzeć? To słowo zazwyczaj przeraża. A on, który w tej chwili umiera i o tym wie, nie czuje ani gorąca, ani zimna, ani bólu. Wie tylko, że wypełnił swój obowiązek i że loma, którą zdobył, będzie nosiła jego imię.

Z drżenia, które mnie ogarnęło, kiedy czytałem znowu ów tekst

teraz, jako dorosły, zrozumiałem, że te kilka stron opowiedziało mi po raz pierwszy o prawdziwej śmierci. Obraz ździebeł trawy grubych jak słupy musiał zadomowić się w moim umyśle od niepamiętnych czasów, bo czytając, prawie je widziałem. Odnosiłem wręcz wrażenie, że w dzieciństwie powtarzałem szereg razy jak święty obrządek zejście do ogrodu, gdzie kładłem się na brzuchu z twarzą nieomal wciśniętą w pachnącą trawę, aby naprawdę zobaczyć te słupy. Ta lektura równała się upadkowi z konia na drodze do Damaszku, naznaczyła mnie może na zawsze. Doświadczyłem jej w tych samych miesiącach, w których napisałem ową nieszczęsną klasówkę.

Czy mogłem rzeczywiście być aż tak dwulicowy? Może jednak przeczytałem to opowiadanie po napisaniu klasówki i odtąd wszystko się zmieniło?

Dotarłem do końca moich lat w szkole podstawowej, przypieczętowanego śmiercią Valentego. Podręczniki gimnazjalne były mniej interesujące: mówiąc o siedmiu królach Rzymu lub o wielomianach, musisz powiedzieć mniej więcej to samo, czy jesteś faszystą, czy nie. Z gimnazjum zachowały się jednak zeszyty „kronik”. W wyniku jakiejś reformy programowej nie wyznaczano już uczniom określonych tematów, zachęcając ich za to najwyraźniej do relacjonowania epizodów z własnego życia. Mieliśmy też nową nauczycielkę, która czytała każdą „kronikę” i dopisywała czerwonym ołówkiem nie ocenę, lecz krytyczny komentarz o stylu i treści. To, że mieliśmy do czynienia z kobietą, wynikało z pewnych końcówek w tych uwagach („zostałam zafrapowana żywością, z którą...”). Była osobą bez wątpienia inteligentną (może ją ubóstwialiśmy, bo czytając te dopiski na czerwono, czułem, że musiała być młoda i ładna oraz - Bóg

wie dlaczego - że musiała lubić konwalie), która starała się nas nakłonić do szczerości i oryginalności.

Jedna z moich „kronik” najbardziej przez nią chwalonych, z grudnia 1942 roku, była następująca (miałem już wtedy jedenaście lat, ale pisałem ją w zaledwie dziewięć miesięcy po wysmażeniu wiadomej klasówki):

KRONIKA - Nietłukąca szklanka

Mama kupiła nietłukącą szklankę. Z prawdziwego szkła, czemu nie mogłem się nadziwić, ponieważ - kiedy to wszystko się zdarzyło - niżej podpisany miał zaledwie kilka lat i jego umysł nie był jeszcze na tyle rozwinięty, aby sobie wyobrazić, że szklanka całkiem podobna do tych, które upadając się tłuką (co pociąga za sobą sporą porcję klapsów), może być nietłukąca.

Nietłukąca! Słowo wydawało mi się magiczne. Próbuję raz, dwa, trzy razy. Szklanka upada, odbija się z okropnym hałasem i pozostaje nietknięta.

Pewnego wieczoru przychodzą znajomi, podaje się czekoladki (proszę zauważyć, że wtedy istniały jeszcze -; to w obfitości - takie smakołyki). Z pełnymi ustami (nie pamiętam już, czy były to czekoladki Gianduia, Strelia czy Caffarel-Prochet) idę do kuchni i wracam stamtąd ze słynną szklanką w ręku.

„Panowie i panie! - wołam głosem właściciela cyrku, zapraszającego przechodniów na widowisko. - Pokazuję państwu szklankę cudowną, szczególną, nietłukącą. Teraz rzucam ją na ziemię i zobaczycie, że się nie stłucze. - dodaję głosem poważnym i uroczystym: - POZOSTANIE NIETKNIĘTA”.

Rzucam - no i oczywiście szklanka rozpada się na tysiąc

kawałeczków.

Czuje, że czerwienieję, patrzę nieprzytomnie na te resztki, błyszczące jak perły w świetle żyrandola i... wybucham płaczem.

Koniec mojej opowieści. Staralem się teraz ją przeanalizować, jakby chodziło o tekst klasyczny. Opowiadałem o społeczeństwie czasów poprzedzających dobę rozwoju techniki, w których nietłukąca szklanka stanowiła rzadkość kupowaną pojedynczo, na próbę. Zbicie takiej szklanki oznaczało nie tylko upokarzającą porażkę, ale i szkodę finansową dla rodziny. Była to więc opowieść o klęsce na całej linii.

Wspominałem w niej w 1942 roku okres przedwojenny jako lata szczęśliwe, gdy można było jeszcze dostać czekoladki, i to zagraniczne, a gości przyjmowało się w salonie lub w jadalni przy świetle żyrandola. Apel, z którym zwracałem się do zebranych, nie naśladował historycznych apeli Duce z balkonu pałacu Weneckiego, lecz miał groteskowy ton zachwalającego swój towar handlarza, którego usłyszałem może na targu. Był to rodzaj zakładu, próba odniesienia zwycięstwa, dowód całkowitej pewności siebie; następnie zdecydowanym ruchem odwracałem sytuację i przyznawałem się do przegranej.

Jedna z pierwszych historii prawdziwie moich - nie powtarzanie szkolnych schematów czy przypominanie jakiejś interesującej powieści przygodowej. Komedia o niezapłaconym wekslu. Pisząc o resztkach szklanki, błyszczących (fałszywie) jak perły w świetle żyrandola, celebrowałem w wieku jedenastu lat moją vanitas vanitatum i głosiłem kosmiczny pesymizm.

Byłem narratorem klęski, w której sam uczestniczyłem. Stałem się egzystencjalnie, choć nie bez ironii, zgorzkniały, radykalnie sceptyczny,

uodporniony na wszelkie złudzenia.

Jak można było tak bardzo się zmienić przez dziewięć miesięcy? Naturalny proces dojrzewania, rzecz jasna: rosnąc, stajemy się bardziej przebiegli. Było też jednak coś więcej. Rozczarowanie niedotrzymanymi obietnicami wielkich sukcesów (może czytywałem, jeszcze w mieście, gazety popodkreślane przez dziadka), spotkanie ze śmiercią Valentego - bohaterskim czynem, prowadzącym do wizji tych strasznych słupów zgniłozielonego koloru, ostatniego płotu dzielącego mnie od zaświatów i chwili spełnienia naturalnego losu każdego śmiertelnika.

W dziewięć miesięcy nabrałem mądrości - mądrości sarkastycznej i trzeźwej.

A cała reszta, piosenki, mowy Duce, dziewczyny zakochane i śmierć z granatami w rękach i kwiatem w ustach? Sądząc po nagłówkach zeszytów z gimnazjum, do pierwszej klasy, w której napisałem tę „kronikę”, chodziłem jeszcze w mieście, a do dwóch następnych - w Solarze. Znaczy to, że rodzina postanowiła wynieść się na stałe z miasta, które zaczęto już bombardować. Zostałem więc obywatelem Solary, mając w pamięci stłuczoną szklankę. Moje kolejne „kroniki” z klas drugiej i trzeciej były już tylko wspomnieniami pięknych minionych czasów, kiedy słysząc syrenę, wiedziało się, że to fabryczna, i mówiło: „Jest południe, tatuś znów będzie w domu”. Pisałem też o tym, jak miło byłoby wrócić do miasta po wojnie, fantazjowałem na temat niegdysiejszych świąt Bożego Narodzenia. Nie nosiłem munduru balilli i stałem się małym dekadentem, oddającym się już poszukiwaniu straconego czasu.

A jak przeżyłem okres od 1943 roku do końca wojny, lata najbardziej mroczne, okres walk partyzanckich, gdy Niemcy nie byli już

towarzyszami broni? Ani śladu o tym w zeszytach, jakby mówienie o grozie teraźniejszości stało się tabu, a nauczyciele nas zachęcali, by ją przemilczać.

Brakowało mi jeszcze jednego ogniwa łańcucha, a może więcej. W pewnej chwili zmieniłem się i nie wiedziałem dlaczego. . WIEŻA
ALCHEMIKA

W mojej głowie panował zamęt, jeszcze większy niż wtedy, kiedy tu przyjechałem. Wówczas przynajmniej nie pamiętałem niczego, zero zupełnie. Teraz jeszcze nie pamiętałem, ale dowiedziałem się zbyt wiele. Kim byłem? Wszystkim razem? Jam-bem ze szkoły, wychowywanym w duchu oficjalnym za pomocą faszystowskiej architektury, propagandowych pocztówek, plakatów i pieśni; Jambem Salgariego i Verne'a, kapitana Szatana, okrucieństw z „Ilustrowanego Dziennika Podróży i Przygód”, przestępstw Rocambole'a, tajemniczego Paryża Fantoma-sa, mgieł Sherlocka Holmesa; czy wreszcie Jambem Kędziorka i nietłukącej szklanki?

W zakłopotaniu zatelefonowałem do Paoli i opowiedziałem jej o moich niepokojach. Wy buchnęła śmiechem.

- Jambo, w moim przypadku są to tylko niejasne wspomnienia. Pamiętam jakieś noce w schronie przeciwlotniczym, budzono mnie nagle i znoszono na dół, mogłam mieć ze cztery lata. No, ale pozwól, żebym mówiła jak psycholog. Dziecko może żyć w różnych światach, jak nasze maluchy, które umieją włączyć telewizor i oglądają wiadomości, a potem każą sobie czytać bajki i wpatrują się w ilustracje z zielonymi potworami o łagodnym spojrzeniu i z mówiącymi wilkami. Sandro opowiada ciągle o dinozaurach, które widział w jakichś filmach rysunkowych, ale nie

oczekuje, że spotka któregoś z nich na rogu ulicy. Ja opowiadam mu o Kopciuszku, a on potem wstaje z łóżka o dziesiątej wieczorem i po kryjomu, zerkając przez uchylone drzwi, ogląda w telewizji amerykańskich marines, którzy jedną serią z karabinu maszynowego kładą dziesięciu żółtków. Dzieci są o wiele bardziej zrównoważone od nas, odróżniają doskonale bajkę od rzeczywistości, jedną nogą stoją tu, a drugą tam i nic się im nie miesza - z wyjątkiem niektórych dzieci chorych, co widząc latającego Supermana, przywiązują sobie ręcznik do ramion i skaczą z okna. Ale to są przypadki kliniczne, wina leży prawie zawsze po stronie rodziców. Ty nie byłeś przypadkiem klinicznym, radziłeś sobie świetnie między Sandokanem a szkolnymi podręcznikami.

- Tak, ale który świat był dla mnie prawdziwy? Świat Sandokana czy świat Duce głaszczącego po głowie Synów Wilczycy? Przecież mówiłem ci o tej klasówce. W wieku dziesięciu lat naprawdę chciałem walczyć jak rozszalałe zwierzę i zginąć za nieśmiertelną Italię? Jako dziesięciolatek? Była wtedy wprawdzie cenzura, ale zaczynały się już bombardowania, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku nasi żołnierze padali w Rosji jak muchy.

- Ależ, Jambo, kiedy Carla i Nicoletta były małe, sam mówiłeś, że dzieci to spryciarze. Zresztą podobnie mówisz teraz o wnukach. Pamiętasz chyba to, o czym zaraz ci opowiem, bo zdarzyło się zaledwie kilka tygodni temu. Gianni przyszedł do nas, kiedy byli też malcy. Sandro powiedział mu: „Tak się cieszę, kiedy tu przychodzisz, wujku Gianni”. A on: „Widzisz, jak Sandro mnie lubi”. Ty zaś na to: „Gianni, dzieci to spryciarze. On wie, że przynosisz mu zawsze gumę do żucia. Tylko o to chodzi”. Dzieci są sprytne. Ty też byłeś sprytny. Chciałeś zasłużyć na

dobry stopień i pisałeś to, czego oczekiwał od ciebie nauczyciel. Jak Totó, którego zawsze nazywałeś nauczycielem życia: „Spryciarzem trzeba się urodzić i ja, nie chwaląc się, takim się urodziłem”.

- Upraszczasz. Wujek Gianni to nie to samo co nieśmiertelna Italia Mussoliniego. Tamto wymagało innego rodzaju sprytu. A poza tym dlaczego po roku byłem już mistrzem sceptycyzmu i pisząc wypracowanie o nietłukącej szklance, tworzyłem alegorię świata bez celu? Czuję, że to właśnie chciałem wyrazić.

- Po prostu dlatego, że zmienił się nauczyciel. Nowy nauczyciel może wyzwolić ducha krytyki, któremu inny nie pozwalał się rozwinąć. Zresztą w tym wieku dziewięć miesięcy to całe stulecie.

W ciągu tych dziewięciu miesięcy coś musiało się zdarzyć. Zrozumiałem to po powrocie do gabinetu dziadka. Pijąc kawę, przeglądałem na chybił trafił stos czasopism i wpadł mi w ręce „Bertoldo”, tygodnik humorystyczny z lat trzydziestych. Numer z 1937 roku, lecz na pewno przeczytałem go z opóźnieniem, bo wcześniej nie potrafiłbym docenić filigranowych rysunków i absurdałnego humoru. Teraz czytałem dialog (zamieszczano je co tydzień na pierwszej stronie, na lewo od tytułu), który wywarł na mnie chyba wielkie wrażenie właśnie podczas tych dziewięciu miesięcy głębokich wewnętrznych przemian.

Bertoldo wyminął ivszystkich panów ze świty i usiadł od razu u boku Wielkiego Księcia Trombona, który jako dobrotliwy z natury i lubiący facecje zaczął wypytywać go łaskawie.

WIELKI KSIAŻĘ: Witaj, Bertoldo. Jaka była krucjata?

BERTOLDO: Szlachetna.

WIELKI KSIAŻĘ: A dzieło?

BERTOLDO: Wzniosie.

WIELKI KSIAŻĘ: A bodziec?

BERTOLDO: Wielkoduszny.

WIELKI KSIAŻĘ: A odruch ludzkiej solidarności?

BERTOLDO: Wzruszający.

WIELKI KSIAŻĘ: A przykład?

BERTOLDO: Świetlany.

WIELKI KSIAŻĘ: A inicjatywa?

BERTOLDO: Odważna.

WIELKI KSIAŻĘ: A ofiara?

BERTOLDO: Dobrowolna.

WIELKI KSIAŻĘ: A gest?

BERTOLDO: Wielkopański.

Rozes' miał się Wielki Książę, zgromadził wokół siebie dworzan, nakazał bunt florenckich tkaczy (1378), po którym wszyscy dworzanie powrócili na dawne miejsca. Wielki Książę podjął znowu rozmowę z wieśniakiem.

WIELKI KSIAŻĘ: Jaki jest człowiek pracy?

BERTOLDO: Twardy.

WIELKI KSIAŻĘ: A jego jadło?

BERTOLDO: Proste, ale zdrowe.

WIELKI KSIAŻĘ: A kraina?

BERTOLDO: Żyzna i zalana słońcem.

WIELKI KSIAŻĘ: A jej ludność?

BERTOLDO: Nadzwyczaj gościnna.

WIELKI KSIAŻĘ: A panorama?

BERTOLDO: Cudowna.

WIELKI KSIAŻĘ: A okolice?

BERTOLDO: Zachwycające.

WIELKI KSIAŻĘ: A willa?

BERTOLDO: Wytworna.

Roześmiał się Wielki Książę, zgromadził wokół siebie dworzan, i nakazał zdobycie Bastylia (1789) oraz zwycięstwo sienneńskich gi-belinów pod Montaperti (1260), po których dworzanie powrócili na swoje miejsca. Wielki Książę podjął znowu rozmowę z wieśniakiem.

Ten dialog wykpiwał jednocześnie język poetów, gazet i oficjalnej retoryki. Jeżeli byłem chłopcem bystrym, to przeczytawszy go, nie mogłem już pisać wypracowań podobnych do tego z marca 1942 roku. Dojrzałem do nietłukącej szklanki.

Oczywiście były to tylko przypuszczenia. Kto wie, ile innych rzeczy mi się przydarzyło między bohaterką klasówką a pozbawioną złudzeń „kroniką”. Postanowiłem znowu zawiesić swoje poszukiwania i lektury. Zszedłem do wsi. Skończył mi się już zapas gitanów i musiałem się zadowolić marlboro light - to lepiej, będę mniej palił, bo mi nie smakują. Wróciłem do apteki, żeby zmierzyć sobie ciśnienie. Może rozluźniła mnie rozmowa z Paolą, bo nie przekraczałem stu czterdziestu. Mój stan się poprawiał.

Po powrocie zachciało mi się jabłka i wszedłem do pomieszczeń na parterze głównej części domu. Krążąc wśród owoców i warzyw, zauważyłem, że kilka parterowych pokoi zamieniono na magazyny; w jednym z nich, w głębi, piętrzył się stos leżaków. Zaniósłem jeden do ogrodu. Usiadłem w miejscu, z którego mogłem podziwiać krajobraz, i

przejrzałem gazety. Stwierdziłem, że teraźniejszość mało mnie interesuje. Odwróciłem leżak i zacząłem się wpatrywać w fasadę domu, nad którą wznosiło się wzgórze. Powiedziałem sobie: czego szukam, czego chcę, czy nie byłoby lepiej zostać tutaj i patrzeć na to piękne wzgórze, jak napisano w tej powieści - co to za powieść? Rozbić trzy namioty, o Panie, jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza, i żyć biernie, bez przeszłości i bez przyszłości. Może tak wygląda raj.

Ale diabelska moc papieru zatriumfowała znowu. Już po chwili zacząłem fantazjować na temat domu, wyobrażając sobie, że jako bohater Biblioteki Moich Chłopców poszukuję koło zamku Ferlac czy Ferralba krypty lub spichlerza, gdzie leży zapomniany pergamin. Przyciska się w środku różę na kamiennym herbie, ściana się otwiera, ukazując kręte schody...

Widziałem okienka w dachu, pod nimi okna części domu zamieszkaney kiedyś przez dziadka, wszystkie szeroko otwarte, aby oświetlać szlak mojej wędrówki. Liczyłem je bezwiednie. W środku balkon przedpokoju. Po lewej trzy okna: jadalni, sypialni dziadków i sypialni rodziców. Po prawej okna kuchni, łazienki i pokoju Ady. Symetria. Po lewej nie widać okien gabinetu dziadka i mojego pokoiku, bo znajdują się w samym końcu korytarza, gdzie fasada tworzy kąt prosty ze skrzydłem, zagospodarowanym przez Paolę; okna są w ścianie bocznej.

Ogarnęło mnie nagle uczucie zakłopotania, jakby został zakłócony mój zmysł symetrii. Po lewej stronie korytarz kończy się na moim pokoju dzieciennym i na gabinecie dziadka, ale po prawej nie sięga dalej niż pokój Ady. Zatem korytarz prawy jest krótszy od lewego.

Przechodziła właśnie Amalia. Poprosiłem, aby mi opisała okna

swojego skrzydła.

- To proste - powiedziała - na parterze jest okno tam, gdzie jemy, panicz już wie. Tamto okienko jest od łazienki, co to ją pan dziadek panicza kazał zrobić dla naszej rodziny, bo nie chciał, żebyśmy biegali na dwór do wychodka jak inni chłopci, świeć Panie nad jego duszą. Są jeszcze dwa okna, o tam, od składu na narzędzia rolnicze, wchodzi się do niego także od tyłu. Na piętrze jest okno mojego pokoju i dwa okna, sypialni i jadalni, moich świętej pamięci rodziców. Te pokoje zostawiłam tak, jak były, nie otwieram ich nigdy przez szacunek.

- A więc ostatnie okno należy do jadalni, kończącej się w rogu między skrzydłem, które pani zajmuje, a częścią główną, gdzie mieszkał dziadek - podsumowałem.

- Właśnie - potwierdziła Amalia - pozostałe to okna pokoi, w których mieszkali państwo.

Wszystko wydawało się tak oczywiste, że nie stawiałem więcej pytań. Poszedłem jednak zajrzeć na tył prawego skrzydła, gdzie było klepisko i kurniki. Od razu zobaczyłem tylne okno kuchni Amalii, potem rozklekotane drzwi, którymi kilka dni wcześniej wszedłem do składu narzędzi rolniczych. Wszedłem tam znowu i teraz dopiero spostrzegłem, że magazyn jest bardzo długi, a więc sięga daleko poza kąt, który tworzy prawe skrzydło domu z jego częścią główną. Inaczej mówiąc, skład ciągnął się pod końcowym odcinkiem części zajmowanej kiedyś przez dziadka aż do winnicy. I rzeczywiście, z okienka w jego tylnej ścianie widać było zbocze wzgórza.

Nic nadzwyczajnego, powiedziałem sobie, ale co znajduje się na pierwszym piętrze nad tym przedłużeniem składu, skoro pokoje Amalii

kończą się na rogu między jej skrzydłem a głównym korpusem domu? To znaczy: co jest na górze w prawej części korpusu, której po lewej odpowiadają gabinet dziadka i mój pokój?

Wyszedłem na klepisko i spojrzałem w górę. Widać było trzy okna, podobnie jak po przeciwnej stronie (dwa okna gabinetu i jedno mojego pokoju), ale wszystkie z zamkniętymi okiennicami. Ponad nimi - okienka strychu; jak już wiedziałem, biegł on nieprzerwanie wzdłuż całego domu.

Zawołałem krzątającą się w ogrodzie Amalię i zapytałem, co znajduje się za tymi trzema oknami. Nic, powiedziała z najbardziej naturalną w świecie miną. Jak to nic? Jeśli są okna, musi coś za nimi być, a nie jest to pokój Ady, bo jego okno wychodzi na podwórze.

Amalia usiłowała zakończyć rozmowę.

- To były sprawy pana dziadka panicza, ja tam nic nie wiem.

- Amalio, proszę nie robić ze mnie głupiego. Jak się tam wchodzi?

- Nie wchodzi się, tam już nic nie ma. Może wyniosły wszystko strzygi.

- Powiedziałem pani, żeby nie robiła ze mnie głupiego. Wchodzi się z parteru w pani skrzydle czy z jakiegoś innego, przekłętą miejsca?

- Proszę nie bluźnić, przekłety jest tylko diabeł. Co mogę powiedzieć, pan dziadek panicza kazał mi przysiąc, że nie pisnę o tym słowem. Nie złamię przysięgi, bo diabeł naprawdę może mnie porwać.

- A kiedy pani przysięgała i co?

- Przysięgałam tego wieczoru, zanim przyszli ci z Czarnych Brygad. Pan dziadek panicza powiedział mnie i mamie: przysięgnijcie, że nic nie wiecie i że niczego nie widziałyście, ale lepiej nie pokażę wam w ogóle, co robimy z Masulu - moim świętej pamięci ojcem - bo jak przyjdą Czarne

Brygady i przypała wam stopy, to nie wytrzymacie i coś powiecie. Więc lepiej, żebyście nic nie wiedziały, bo to są źli ludzie, potrafią zmusić do mówienia nawet tego, któremu przedtem ucięli język.

- Amalio, skoro było to za czasów Czarnych Brygad, to minęło już prawie czterdzieści lat. Dziadek i Masulu pomarli, powymierali na pewno także ci z Brygad. Ta przysięga już nie obowiązuje!

- Pan dziadek panicza i mój świętej pamięci ojciec umarli z pewnością, bo najlepsi zawsze umierają pierwsi, ale co do tamtych, to nie wiem, wstrętne plemię nigdy nie umiera.

- Amalio, nie ma już Czarnych Brygad, wojna dawno się skończyła, nikt nie będzie pani przypalał stóp.

- Jeśli panicz tak mówi, to dla mnie ewangelia, ale Pau-tasso, który był w Czarnych Brygadach, dobrze pamiętam... wtedy nie miał chyba dwudziestu lat... jeszcze żyje, mieszka w Corseglio i raz w miesiącu przyjeżdża do Solary w interesach, bo wybudował cegielnię i się wzbogacił. We wsi są jeszcze tacy, którzy nie zapomnieli, co on wyrabiał; kiedy go widzą, przechodzą na drugą stronę ulicy. Stóp chyba już nikomu nie przypala, ale przysięga to przysięga i nawet ksiądz proboszcz nie może mnie z niej zwolnić.

- A więc nie powie mi pani, mimo że jestem jeszcze chory i moja żona pani zaufała, przekonana, że przy pani na pewno lepiej się poczuje. Wie pani, że mogę od tego bardziej się rozchorować?

- Niech mnie Pan Bóg skarże, jeśli chcę paniczowi zaszkodzić, paniczu Jambo, ale przysięga jest przysięgą, prawda?

- Amalio, czyim ja jestem wnukiem?

- Pana dziadka panicza, oczywiście.

- I po dziadku wszystko dziedzicę, jestem właścicielem wszystkiego, co tu widzimy. Zgadza się? Jeśli mi pani nie powie, jak się tam wchodzi, to będzie tak, jakby mi pani coś ukradła.

- Niech mnie w tej chwili grom spali, jeśli chcę paniczowi coś ukraść! Słyszane rzeczy, przez całe życie haruję na ten dom, żeby wyglądał jak cacko!

- Poza tym ponieważ jestem spadkobiercą dziadka i wszystko, co mówię, waży tyle co jego własne słowa, uroczyście zwalnię panią z przysięgi. Zgoda?

Przytoczyłem trzy argumenty bardzo przekonujące: stan mojego zdrowia, moje prawo własności i bezpośrednie pokrewieństwo wraz ze wszystkimi przywilejami wynikającymi z pierworództwa. Amalia nie mogła dłużej się opierać i ustąpiła. Panicz Jambo wart jest więcej od proboszcza i od Czarnych Brygad, no nie?

Zaprowadziła mnie na pierwsze piętro części głównej, a tam poszliśmy prawym korytarzem aż do miejsca, gdzie kończy się on szafą z zapachem kamfory. Poprosiła, żebym pomógł jej choć trochę przesunąć ten mebel, i pokazała, że są za nim zamurowane drzwi. Kiedyś wchodziło się tędy do Kaplicy, ponieważ - kiedy w domu mieszkał jeszcze ten stryj dziadka, który wszystko mu zapisał - była tam właśnie kaplica, niewielka, lecz wystarczająco duża, aby w niedzielę wysłuchać w niej z rodziną mszy, celebrowanej przez dochodzącego ze wsi księdza. Po objęciu domu przez dziadka, który - chociaż zależało mu na bożonarodzeniowej szopce - nie był zbyt religijny, Kaplicę opróżniono. Wyniesiono z niej ławki, żeby porozstawiać je po pokojach na dole, a ja, opowiadała Amalia, poprosiłem dziadka, żeby pozwolił mi przenieść do nieużywanego pomieszczenia

kilka półek ze strychu i poukładać na nich różne moje rzeczy; chowałem się tam często i robiłem Bóg wie co. Kiedy dowiedział się o tym ksiądz proboszcz z Solary, poprosił, żeby dziadek pozwolił zabrać przynajmniej poświęcone kamienie ołtarza, bo mogło dojść do świętokradztwa. Dziadek pozwolił mu wtedy wziąć także posąg Matki Boskiej, kielichy, patenę i tabernakulum.

Były to już czasy, mówiła dalej Amalia, kiedy w okolicach Solary działali partyzanci, a samą wieś zajmowali raz oni, raz Czarne Brygady. W tym właśnie zimowym miesiącu we wsi siedzieli ci z Czarnych Brygad, a partyzanci umocnili się na pobliskich wzgórzach. Pewnego dnia pod wieczór przyszedł ktoś do dziadka i powiedział, że trzeba ukryć czterech chłopaków, na których polują faszyci. Nie byli to chyba jeszcze partyzanci, tylko ochotnicy, próbujący przejść tędy, żeby dołączyć do ruchu oporu na wzgórzach.

Nas z rodzicami nie było, pojechaliśmy na dwa dni w odwiedziny do brata mojej matki, ewakuowanego do pobliskiego Montarsolo. Byli więc tylko: dziadek, Masulu, Maria i Amalia. Dziadek polecił obu kobietom przysiąc, że nigdy nie powiedzą o tym, co się stanie. Wysłał je nawet od razu do łóżka, ale Amalia udała tylko, że idzie spać, i zaczęła się w jakimś kącie, żeby podglądać. Koło ósmej przyszli ci chłopcy, dziadek i Masulu wpuścili ich do Kaplicy, dali im jeść, potem poszli po cegły i wiaderka z zaprawą i sami, choć nie murarze, zamurowali drzwi, tarasując je na dodatek tym meblem, który przedtem stał gdzie indziej. Zaledwie skończyli, nadeszli ci z Czarnych Brygad.

- Żeby panicz widział, co za gęby! Na szczęście ich dowódca był osobą dystygowaną, nosił nawet rękawiczki. Wobec dziadka zachowywał

się grzecznie, powiedziano mu z pewnością, że to właściciel ziemski, a kruk krukowi oka nie wykołę. Pokręcili się tu i tam, weszli nawet na strych, ale było widać, że im się spieszy i że robią to tylko dlatego, żeby potem powiedzieć, że tu byli. Musieli jeszcze przeszukać dużo chłopskich zagród, bo myśleli, że to raczej my, chłopci, będziemy ukrywać naszych ludzi. Tutaj niczego nie znaleźli, ten w rękawiczkach przeprosił za kłopot, powiedział: Viva il Duce, na co dziadek panicza i mój tatuś, obaj cwaniacy, powiedzieli też: Viva il Duce, no i amen.

Jak długo ukrywali się na piętze ci czterej młodzi ludzie? Tego Amalia nie wiedziała, była wtedy głucha i niema, wiedziała jedynie, że przez kilka dni musiały z Marią przygotowywać koszyki z chlebem, wędliną i winem. Potem już nic. Kiedy my wróciliśmy, dziadek powiedział po prostu, że ponieważ w Kaplicy zaczęła obsuwać się podłoga, wzmocniono ją prowizorycznie, a robotnicy zamurowali wejście, żebyśmy my, dzieci, nie chodzili tam myszkować, bo moglibyśmy zrobić sobie krzywdę.

- No dobrze - powiedziałem Amalii - wyjaśniliśmy tajemnicę. Ale ci chłopcy, skoro tam weszli, musieli też jakoś wyjść, a Masulu i dziadek przez kilka dni nosili im jedzenie. Po zamurowaniu drzwi musiał więc zostać jakiś dostęp.

- Przysięgam paniczowi, że nigdy się nie zastanawiałam, którą przechodzili i jaką dziurą. W moich oczach to, co robił pan dziadek panicza, zawsze było święte. Zamurował, to zamurował, i dla mnie Kaplica już nie istniała, nie istnieje nawet i dzisiaj. Gdyby panicz nie nakazał mi mówić, to byłoby tak, jakbym o niej zupełnie zapomniała. A dlaczego mówi panicz teraz o ustępie?

- O dostępie, o przejściu, którym wchodzili i wychodzili.

- Może przynosili im jedzenie pod okno, a oni wciągali koszyki na sznurze. Oknem mogli też wyjść któreś nocy, prawda?

- Nie, Amalio, bo jedno okno pozostałoby w takim razie otwarte, a dobrze widać, że wszystkie są zamknięte od wewnątrz.

- Zawsze mówiłam, że jest panicz najmądrzejszy. Ja o tym wcale nie pomyślałam. No to którzy przedostawali się tatuś i pan dziadek panicza?

- No właśnie, that is the question.

- Co proszę?

Amalia, z czterdziestopięcioletnim opóźnieniem, postawiła sobie słuszne pytanie, na które jednak ja sam musiałem odpowiedzieć. Obszedłem cały dom w poszukiwaniu jakichś drzwiczek, jakiejś dziury, jakiejś kraty. Przemierzyłem znowu wzdłuż i wszerz pokoje oraz korytarze części głównej na parterze i na pierwszym piętrze, zrewidowałem niczym zbir z Czarnych Brygad parter i pierwsze piętro skrzydła zajmowanego przez Amalię. Bez rezultatu.

Nie musiałem być Sherlockiem Holmesem, żeby odgadnąć jedyne możliwe rozwiązanie: do Kaplicy wchodziło się ze strychu. Z Kaplicy prowadziły na strych specjalne schodki, ale na strychu wyjście zostało zamaskowane. Zamaskowane tak, że nie odnalazły go Czarne Brygady, ale nie tak, żeby nie odnalazł go Jambo. Czy można sobie wyobrazić, że po naszym powrocie z podróży, kiedy dziadek powiedział, że Kaplica już nie istnieje, ja się z tym pogodziłem? Tym bardziej że - jak się wydaje - trzymałem tam rzeczy, na których mi zależało. Znajac doskonale strych, musiałem znać też to przejście i z pewnością nadal chodziłem do Kaplicy, z tym większą przyjemnością, że stała się odtąd moją kryjówką, że kiedy

tam się dostałem, nikt nie mógł mnie już odnaleźć.

Pozostawało więc tylko wejść na strych i zbadać jego prawe skrzydło. Nadchodziła właśnie burza, nie było zbyt gorąco. Z mniejszym trudem mogłem wykonywać niełatwą pracę: trzeba było poprzesuwać to wszystko, co się tam nagromadziło, a w skrzydle dla służby nie było przedmiotów antykwarycznych, tylko różne rupiecie: stare drzwi, belki pozostałe po jakiejś przebudowie, zwoje drutu kolczastego, popękane lustra, przykryte ceratą i niedbale obwiązane sznurkiem sterty starych kołder, rozmaite skrzynie od wieków toczone przez czerwie, zupełnie już nie do użytku, poustawiane jedne na drugich. Przesuwałem te rzeczy, leciały mi na głowę deski, podrapałem się zardzewiałymi gwoździami, ale żadnego tajemnego przejścia nie odkryłem.

Potem wpadłem na myśl, że nie powinienem szukać drzwi ściennych. Nie mogło ich być, bo wszystkie cztery ściany, te krótsze i te dłuższe, były skierowane na zewnątrz. Jeżeli nie było więc drzwi w ścianie, to musiały być w podłodze. Ze też wcześniej tego nie odgadłem! Przecież pisano o tym w serii Biblioteka Moich Chłopców. Nie ściany mam oglądać, tylko podłogę.

Łatwo powiedzieć. Podłoga była jeszcze gorsza od ścian. Musiałem skakać i deptać po wszystkim po trochu. Mnóstwo porzucanych desek, siatki od jakichś zniszczonych łóżek, pęki żelaznych prętów do betonu, starodawne jarzmo wołu, nawet siodło do jazdy konnej. Wśród tego wszystkiego zlepione martwe muchy sprzed roku - z nadejściem pierwszych chłódów tu się schowały, ale nie udało im się przeżyć. Pomijam już pajęczyny, ciągnące się od jednej ściany do drugiej, niby wspaniałe niegdyś zasłony w zaklętym dworze.

W okienkach dachu jaśniały tuż-tuż błyskawice; zrobiło się ciemno, choć deszcz nie spadł, a burza przechodziła bokiem. Wieża alchemika, sekrety zamku, więźniarki z Casablanki, misterium Morande, wieża Północna, tajemnica Człowieka z Żelaza, stary młyn, zagadka Acquafbrte... Boże, znajdowałem się jednak w środku prawdziwej burzy, jakiś piorun mógł mi zwalić dach na głowę, bo przeżywałem wszystko jako an-tykwariusz. Strych antykwariusza - mógłbym napisać takie opowiadanie, pod nazwiskiem Bernage albo Catalany.

Na szczęście w pewnej chwili się potknąłem. Pod warstwą bezkształtnych rupieci spostrzegłem jakby schodek. Wyczyściłem to miejsce, ścierając sobie skórę na dłoniach. No i proszę: jest nagroda dla odważnego chłopczyka - drzwi w podłodze. Tędy przechodzili dziadek, Masulu i uciekinierzy, tędy, kto wie ile razy, przechodziłem ja, przeżywając ponownie przygody, o których czytałem w książkach. Co za cudowne dzieciństwo!

Drzwi w podłodze nie były duże i otwierały się łatwo. Powstała tylko chmura kurzu, bo gromadził się on w szparach od prawie pięćdziesięciu lat. Co może być pod drzwiami w podłodze? Schodki oczywiście - to elementarne, drogi Watsonie - i niezbyt trudne do pokonania nawet dla moich członków, zdrtwiałych od trwających już dwie godziny przesuwania i skłonów. Kiedyś z pewnością przemierzałem je jednym susem, ale teraz jestem przecież bliski sześćdziesiątki, a chciałbym zachowywać się jak dziecko, które może obgryzać sobie paznokcie u nóg (przysięgam, że nigdy o tym nie myślałem, lecz wydaje mi się normalne, że w łóżku, po ciemku, mogłem próbować obgryźć sobie duży palec u nogi - tak po prostu, żeby pokazać, że potrafię).

Jednym słowem, zszedłem. Ciemno było prawie zupełnie, zaledwie kilka wąskich smug światła przenikało przez nieszczelne okiennice. Od razu otworzyłem okna. Kaplica, jak łatwo się domyślić, miała rozmiary gabinetu dziadka i mojego pokoiku razem wziętych. Była tam resztko ołtarza z poślacanego drewna, o którą stały oparte cztery materace, bez wątpienia legowiska uciekinierów. Po tych ostatnich nie pozostał jednak żaden inny ślad, co oznaczało, że w Kaplicy przebywał ktoś także i później - a więc przynajmniej ja.

Wzdłuż ściany naprzeciw okien zobaczyłem półki z surowego drewna, pełne zadrukowanego papieru, gazet lub czasopism ułożonych w nierównej wysokości stosy, jakby to były różne kolekcje. Pośrodku wielki, długi stół i dwa krzesła. Obok tego, co musiało być drzwiami wejściowymi (wypełniał je prymitywny mur, wzniesiony w ciągu godziny przez dziadka i Masulu, z wystającymi spomiędzy cegieł skrawkami wapna - bo zdążyli wyrównać go kielnią na zewnątrz, od strony korytarza, ale nie wewnątrz), znajdował się kontakt. Przekręciłem go, nie licząc na nic, i w istocie światło się nie zapaliło, choć u sufitu wisiało w równych odstępach kilka żarówek pod płaskimi białymi kloszami. Może przez pięćdziesiąt lat myszy poprzegryza-ły przewody, jeśli udało się im przedostać aż tutaj drzwiami w podłodze - wiadomo, myszy wiele potrafią... A może dziadek i Masulu uszkodzili instalację, zamurując drzwi.

O tej porze wystarczało jeszcze światło dzienne. Czulem się jak lord Carnavon wchodzący po tysiącleciach do grobowca Tutenchamona; jedyną moją troską było nie dać się ukłuć tajemniczemu skarabeuszowi, który czaił się tam od tysięcy lat. W pomieszczeniu wszystko zostało

prawdopodobnie tak jak wtedy, kiedy wyszedłem z niego po raz ostatni. Nie wypadało zbyt szeroko otwierać okien, aby nie zakłócić tej sennej atmosfery. Dość było je uchylić na tyle, by rozróżnić przedmioty.

Nie ośmieliłem się nawet zajrzeć na półki. Cokolwiek by tam było, należało z pewnością do mnie i tylko do mnie, bo inaczej zostałyby w gabinecie dziadka, a wujostwo później przenieśliby to wszystko na strych. Ale po co usiłować sobie przypomnieć? Pamięć to rozwiązanie ostateczne, w miarę niezły sposób dla ludzi, którym czas ucieka, a to, co mija, przeminęło. Ja korzystałem z cudu - mogłem zaczynać ab ovo, od początku. Robiłem powtórnie to, co zrobiłem kiedyś, jak Pipino wychodziłem ze starości, aby dojść do najwcześniejszej młodości. Od tej chwili powinienem zapamiętać to tylko, co teraz mi się zdarzy, a co zresztą i tak będzie tym, co zdarzyło mi się kiedyś.

W Kaplicy czas się zatrzymał lub raczej poszedł wstecz, jak cofa się o całą dobę wskazówki zegara. Nie ma znaczenia, że pokazują one godzinę czwartą tak samo jak dzisiaj; dość wiedzieć (a wiedziałem to tylko ja), że to godzina czwarta z wczoraj albo sprzed stu lat. Tak musiał się czuć lord Carnavon.

Gdyby ludzie z Czarnych Brygad mnie teraz zaskoczyli, pomyślałem, sądziliby, że jestem tu w lecie roku 1991, ale ja (ja tylko) wiedziałbym, że jest lato 1944 roku. Nawet ten oficer w rękawiczkach musiałby zdjąć czapkę, bo wchodziłby do Świątyni Czasu. . TAM, W CAPOCABANIE

W Kaplicy spędziłem wiele dni. Kiedy nastawa! wieczór, brałem naręczę rzeczy i szedłem przeglądać je przez całą noc w gabinecie dziadka, pod lampą z zielonym abażurem, przy włączonym (byłem już o

tym przekonany) radiu, żeby zlewać to, co słyszałem, z tym, co czytałem.

Półki Kaplicy zawierały gazetki i albumy komiksowe z mojego dzieciństwa, nieoprawione, lecz porządnie posegregowane i poukładane. Nie były to zbiory dziadka; jak wskazywały daty, pochodziły z okresu od 1936 do około 1945 roku.

Być może dziadek - wyraziłem już takie przypuszczenie w rozmowie z Giannim - był człowiekiem innych czasów i wolał, żebym czytał Salgariego lub Dumasa. Ja natomiast, broniąc praw mojej wyobraźni, trzymałem te rzeczy poza jego zasięgiem. Jednakże niektóre publikacje pochodziły z 1936 roku, kiedy nie uczęszczałem jeszcze do szkoły; oznaczało to, że jeśli nie dziadek, to ktoś inny mi je kupował. Może powstał konflikt między dziadkiem a moimi rodzicami: „Po co mu kupujecie te śmieci?” A oni dalej po swojemu, bo niektóre z tych rzeczy sami jako dzieci czytali.

Pierwszy z leżących na półkach stosów składał się z kilku roczników „Corriere dei Piccoli”, którego numery z 1936 roku były opatrzone napisem „rok XXVIII” - nie ery faszystowskiej, lecz od założenia pisma. „Corriere dei Piccoli” istniał więc od pierwszych lat dwudziestego wieku i umiłał dzieciństwo mojego ojca i mojej matki. Niewykluczone, że oni bardziej lubili opowiadać mi o nim, niż ja tego słuchać.

W każdym razie przeglądając „Kurierek” - nazwałem go tak spontanicznie - odczuwałem ponownie napięcie, którego doświadczyłem w poprzednich dniach. Z całkowitą bezstronnością pisano w nim zarówno o bohaterskich czynach faszystów, jak o fantastycznych światach, zaludnionych baśniowymi lub groteskowymi postaciami. Obok opowiadań i historii obrazkowych, zgodnych z wszelkimi wymogami faszystowskiej

propagandy, były w „Kurierku” komiksy amerykańskiego najprawdopodobniej pochodzenia. Jedyne ustępstwo na rzecz tradycji stanowiło to, że w historyjkach komiksowych eliminowano obłoczki lub zachowywano je tylko jako dekoracje. Wszędzie występowały wyłącznie długie podpisy, w opowiadaniach poważnych, i wierszyki, w historyjkach rozrywkowych.

Oto Wesołe awantury pana Bonawentury. Z pewnością jakoś do mnie przemawiały przygody tego pana w nieprawdopodobnych białych spodniach w kształcie trapezu, który za każdym razem, w nagrodę za zupełnie przypadkowe dokonania, otrzymywał milion lirów (w czasach tysiąca na miesiąc), a w kolejnych opowiadaniach był znowu bez grosza przy duszy i oczekiwał kolejnego uśmiechu fortuny. Może wszystko przepuszczał, jak pan Pampurio, który w każdym odcinku szczęśliwy niesłychanie pragnie zmienić mieszkanie. Sądząc po stylu i nazwisku rysownika, opowiadania te były chyba pochodzenia włoskiego, podobnie jak historie o Koniku Polnym i Mrówce, o panu Calogero Sorbarze, gotowym na nowe wojaże, o Marcynie Mumurko lżejszym niż piórko, który leciał niesiony wiatrem, o profesorze Lambicchim - wynalazcy cudownej superfar-by ożywiającej obrazy, u którego w domu zawsze było pełno kłopotliwych postaci z przeszłości, jak Orland Szalony czy Król Kier, rozgniewany i spragniony zemsty, bo wywabiono go z Krainy Czarów.

Amerykańskie były bez wątpienia surrealistyczne krajobrazy, w których poruszali się: kot Miau Miau, Bibi i Bibo - łobuzia-ki z kolonii, Fortunatello - szczęśliwy chuligan, oraz Archibald i Petronela (w tym ostatnim opowiadaniu, we wnętrzach w stylu Chrysler Building,

przedstawione na obrazach postaci wychodziły z ram).

Trudno uwierzyć, że „Kurierek” oferował mi również przygody żołnierza Kociołka (ubranego dokładnie tak jak moje żołnierzyki z Krainy Obfitości), który - z powodu wrodzonego pecha lub też głupoty wygalonowanych generałów o dziewiętnastowiecznych wąsach - za każdym razem kończył w areszcie.

Całkiem niemarsowy i niefaszystowski był Kociołek. A jednak wolno mu było występować obok opowiadań, w których pisano stylem bynajmniej nie groteskowym, lecz epickim, o bohaterskich włoskich młodzieńcach walczących o ucywilizowanie Etiopii (w Ostatnim rasie opierających się im Abisyń-czyków nazwano rozbójnikami) albo - jak w Bohaterze z Vil-lahermosy - wspomagających wojska frankistowskie w walce z okrutnymi republikanami, obowiązkowo w czerwonych koszulach. Z tej ostatniej historii nie dowiadywałem się oczywiście, że podczas gdy jedni Włosi walczyli u boku falangistów, inni Włosi uczestniczyli w wojnie po stronie przeciwnej, w szeregach Brygad Międzynarodowych.

Obok kolekcji „Kurierka” leżał tygodnik „Vittorioso”, wydawany w formie wielkich, kolorowych albumów. Pierwsze numery pochodziły z 1940 roku; mając około ośmiu lat, zacząłem się więc domagać literatury „dla dorosłych” w postaci komiksów.

Także i tam panowała totalna schizofrenia. Przechodziło się od

rozkosznych historyjek o Zoolandii, z takimi postaciami jak

Zyrafsko, ryba Kwiecieniek i małpka Jojo, lub od heroiko-micznych przygód Goofy'ego, Tyczki i Kulki czy Alonza Alon-za zwanego Alonzo, aresztowanego za kradzież żyrafy, do gloryfikowania wspaniałej przeszłości naszego kraju i do opowiadań związanych bezpośrednio z toczącą się wojną.

Z tych ostatnich największe wrażenie zrobiła na mnie historia w odcinkach o faszystowskim legioniście Romano - ze względu na niezwykle dokładne opisy wojskowego sprzętu: samolotów, czołgów, torpedowców i okrętów podwodnych.

Wzbogacony doświadczeniem wyniesionym z lektury sprawozdań wojennych w gazetach dziadka, nauczyłem się sprawdzać daty. Akcja opowiadania pod tytułem Kierunek: Włoska Afryka Wschodnia zaczynała się na przykład dwunastego lutego 1941 roku. W styczniu Anglicy zaatakowali nas w Erytrei, czternastego lutego mieli zająć Mogadiszu w Somalii; wyda-wało się jednak, że w Etiopii trzymamy się jeszcze mocno, a zatem słusznie przeniesiono bohatera z frontu libijskiego na wschodnioafrykański. Wyruszył on w poufnej misji do księcia Aosty, głównodowodzącego w Afryce Wschodniej, niosąc tajne pismo. Jego droga z Afryki Północnej wiodła przez egipsko-brytyjski Sudan. Wszystko wyglądało dość dziwnie, skoro istniała już komunikacja radiowa, a na koniec okazywało się, że pismo nie zawiera niczego tajnego, bo jego treścią było: „Stawić opór i zwyciężyć!”, jakby księżę Aosty przebywał tam dla rozrywki. W każdym razie Romano wyruszał ze swoimi

przyjaciółmi i przeżywał różne przygody wśród dzikich plemion, angielskich czołgów, pojedynków powietrznych i tego wszystkiego, co pozwalało rysownikowi podzwaniać polerowaną pancerną blachą.

W numerach marcowych, kiedy Anglicy weszli już głęboko do Etiopii, jedynym, który - jak się wydawało - o tym nie wiedział, był właśnie Romano, zabawiający się po drodze polowaniem na antylopy. Piątego kwietnia ewakuowano Ad-dis Abebę, Włosi umacniali się w rejonach Galia Sidamo i Amary, księżę Aosty był obleżony na wzgórzach Amba Ala-gi. Romano parł do przodu jak po sznurku, znajdując nawet czas na schwytanie słonia. On sam i jego czytelnicy myśleli najwidoczniej, że podąża jeszcze do Addis Abeby, dokąd wrócił już przecież wypędzony dokładnie pięć lat wcześniej nygus. Wprawdzie w numerze z dwudziestego szóstego kwietnia kula karabinowa roztrzaskała radio Romana, oznaczało to jednak tylko, że przedtem je posiadał. Trudno więc było pojąć, dlaczego o wszystkich tych wydarzeniach nie wiedział.

W połowie maja na Amba Alagi poddało się siedem tysięcy włoskich żołnierzy, pozbawionych żywności i amunicji; wraz z nimi poszedł do niewoli księżę Aosty. Czytelnicy „Vittorioso” mogli o tym nie wiedzieć, lecz powinien był to zauważyć przynajmniej sam nieszczęsny księżę. Tymczasem Romano dociera do niego siódmego czerwca, znajdując go w Addis Abebie świeżego jak róża i tryskającego optymizmem. Księżę czyta pismo i oświadcza: „Oczywiście stawimy opór i zwyciężymy!”

Rysunki powstały najwyraźniej kilka miesięcy wcześniej, ale - mimo rozwoju wydarzeń - redakcja „Vittorioso” nie odważyła się przerwać druku kolejnych odcinków. Publikowano je dalej w nadziei, że dzieciom nie są znane te dramatyczne wieści, co zresztą mogło odpowiadać

prawdzie.

Jako trzecią przejrzałem kolekcję „Topolino” (czyli Myszki Miki), tygodnika, w którym obok historyjek Walta Disneya o Myszcze Miki publikowano opowiadania o śmiałych balilla, takich jak bohater Chłopca z okrętu podwodnego. Właśnie na kilku rocznikach „Topolino” mogłem prześledzić manewr przeprowadzony około 1941 roku, kiedy to w grudniu Włochy i Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym - tak było, sprawdziłem umyślnie w gazetach dziadka, bo dotąd sądziłem, że w pewnej chwili Amerykanie znudzili się wybrykami Hitlera i przystąpili do wojny, a tu nie, to Hitler i Mussolini wypowiedzieli im wojnę, może w przekonaniu, że przy pomocy Japończyków rozprawią się z nimi w kilka miesięcy. Ponieważ trudno było wysłać natychmiast oddział esesmanów lub Czarnych Koszul, aby zajął Nowy Jork, rozpoczęto działania od wojny z komiksami, i to już kilka lat wcześniej, gdy zniknęły obłoczki, zastąpione napisami pod rysunkiem. Później, jak stwierdziłem na przykładzie innych pisemek dla dzieci, obracały się w nicosć amerykańskie postaci, zastępowane włoskimi imitacjami. Wreszcie - była to chyba ostatnia i najtrudniejsza do pokonania bariera - zadano śmierć Myszcze Miki. Z tygodnia na tydzień, bez żadnego uprzedzenia, w kolejnym odcinku tej samej historii, toczącej się dalej jakby nigdy nic, Topolina zastąpił niejaki Toffolino, nie zwierzę, lecz istota ludzka, choć nadal z czterema palcami u każdej ręki na wzór człekokształtnych zwierząt Disneya; jego przyjaciele nazywali się już Mimma, zamiast Minnie, oraz - w miejsce Goofy'ego - Pip-po. Jak pogodziłem się wówczas z tym końcem świata? Może w zupełnym spokoju, jako że Amerykanie z dnia na dzień zrobili się niedobrzy. Ale czy wiedziałem wtedy, że Topolino był

amerykański? Musiałem przeżywać wstrząs zalewu niespodziewanych zmian, a kiedy wstrząsały mną zmiany w opowiadaniach, które czytałem, przyjmowałem jako oczywiste zmiany na scenie Historii, których byłem świadkiem.

Za kolekcją „Topolino” leżało kilka roczników „Aventuroso”, gdzie wszystko było inne. Pierwszy numer nosił datę czternasty października 1934 roku.

Sam nie mogłem go kupić, bo miałem wtedy mniej niż trzy lata. Powiedziałbym też, że nie kupili mi go tatuś i mamusia, bo zawierał historie przeznaczone nie dla dzieci: były to komiksy amerykańskie skierowane do odbiorców dorosłych, choć umysłowo niezupełnie dojrzałych. Miałem więc do czynienia z egzemplarzami, w których posiadanie wszedłem później drogą wymiany. Natomiast z pewnością kupiłem starsze o kilka lat albumy dużego formatu w wielobarwnych okładkach, przedstawiających sceny z zawartych wewnątrz opowiadań - na wzór filmowych zwiastunów.

Zarówno sam tygodnik, jak i te albumy musiały otworzyć mi oczy na nieznany świat. Poczynając od pierwszej przygody na pierwszej stronie pierwszego numeru „Aventuroso”, zatytułowanej Zagłada świata.

Bohaterem jej był Flash Gordon, który wskutek machinacji niejakiego doktora Zarkova ląduje na planecie Mongo, rządzonej przez okrutnego i pozbawionego skrupułów dyktatora Minga, nie tylko o imieniu, ale i rysach diabolicznie azjatyckich. Mongo: kryształowe drapacze chmur na platformach zawieszonych w przestworzach,

podmorskie miasta, królestwa rozciągające się wśród drzew olbrzymiej puszczy. Postaci: ludzie-lwy o wielkich grzywach, ludzie-jastrzębie, ludzie-czarno-księżnicy królowej Uraki. Wszyscy poubierani z synkretyczną elegancją w stroje przywodzące na myśl filmowe średniowiecze w stylu Robin Hooda lub w pancerze i hełmy bardziej barbarzyńskie, czasem jednak - w scenach z życia dworskiego - w mundury operetkowych kirasjerów, ułanów albo dragonów z początku dwudziestego wieku. Wszyscy, dobrzy i źli, niekon-sekwentnie wyposażeni zarówno w broń białą i strzały, jak i w cudowne strzelby rażące promieniem; podobnie sprzęt, którym dysponowali, mógł się składać zarówno z wozów z kosami w osiach, jak i z kosmicznych rakiet z głowicami w kształcie igły, pomalowanych jaskrawo na podobieństwo samochodzików z lunaparku.

Gordon był piękny i jasnowłosy jak bohater aryjski, lecz musiał mnie zadziwić charakter jego misji. Jakich znałem dotąd bohaterów? W podręcznikach szkolnych i we włoskich pisemkach dla dzieci byli to śmiałkowie walczący za Duce, gotowi umrzeć na rozkaz. W dziewiętnastowiecznych powieściach dziadka - jeśli już je wtedy czytałem - byli to ludzie wyjęci spod prawa, walczący przeciw społeczeństwu prawie zawsze ze względu na osobisty interes lub skutek zbrodniczego powołania, z wyjątkiem może hrabiego Monte Christo, chociaż i ten chciał zemsty za krzywdy, które poniósł on sam, a nie ludzka wspólnota. W gruncie rzeczy nawet trzej muszkietierowie, stojący po stronie dobra i niepozbawieni pewnego poczucia sprawiedliwości, robili to, co robili, ze

względu na żołnierską solidarność - ludzie króla przeciw ludziom kardynała - lub dla jakiejś korzyści, dla awansu na kapitana.

Gordon nie. On walczył o wolność przeciw despotcie; może wtedy myślałem, że Ming był kimś takim jak straszny Stalin, czerwony potwór z Kremla, ale nie mogłem nie rozpoznać w nim także naszego Dyktatora, bezspornego pana życia i śmierci wiernych mu ludzi. A zatem Flash Gordon był dla mnie pierwszym wyobrażeniem altruistycznego bohatera - mogłem oczywiście powiedzieć to teraz, kiedy czytałem o nim ponownie, a nie wtedy - jakiejś wojny wyzwolenczej, toczącej się w absolutnym Gdzie Indziej wśród eksplozji ufortyfikowanych asteroid w odległych galaktykach.

Przeglądając inne albumy, w rosnącym natężeniu tajemniczych płomieni, każących mi połykać tom za tomem, odkrywałem bohaterów, o których nie było nigdy mowy w moich szkolnych podręcznikach. Czino i Franko, noszący jasnoniebieskie koszule Patrolu Kości Słoniowej, przetrząsali dżunglę w symfonii bladych barw. Ich zadanie polegało także na poskramianiu nieposłusznych plemion, lecz przede wszystkim - na zwalczaniu przemytników kości słoniowej i handlarzy niewolnikami, wykorzystujących ludność kolonii (iluż złych białych przeciw dobrym o czarnej skórze!). Podczas polowań, zarówno na handlarzy, jak i na nosorożce, ich karabiny nie huczały bang-bang lub wręcz bum-bum jak w naszych włoskich komiksach, ale krak-krak; owo krak musiało wcisnąć się jakoś w najtajniejsze zakątki moich płatów mózgowych, do których usiłowałem się włamać, bo słyszałem jeszcze teraz te dźwięki jak egzotyczną obietnicę, wskazującą mi inny świat. I znowu dźwięki, lub raczej ich alfabetyczna transkrypcja, w większym stopniu niż obrazy

uprzytomniały mi istnienie śladu, który wciąż się wymykał.

Arf arf bang krak błam buzz kai spot cziaf cziaf klamp splasz krakl
krakl krancz deleng gosz grant honk honk kai meou mambl pent plop puut
roarr dring rambl blomp sbem buiz skrankete slem puf puf sierp smek sob
galp sprenk blomp skwit slum bam tamp plek kleng tomp smasz trek uaaag
vrum dżidep juk splif oug zing ślep zum zzzz sinf...

Hałasy. Widziałem je wszystkie, przeglądając jedno pisemko za drugim. Od małego przywykłem do flatus vocis - gry, powiewu dźwięków. Z różnych odgłosów przypomniałem sobie „ciach” i pot wystąpił mi na czoło. Spojrzałem na ręce - drżały. Dlaczego? Gdzie przeczytałem ten dźwięk? A może tego jednego nie przeczytałem, lecz usłyszałem go?

Poczułem się potem prawie jak w domu, natrafiwszy na albumy o Phantomie, szlachetnym przestępcy, ściśle opiętym czerwonym trykotem, z twarzą częściowo zasłoniętą czarną maseczką, pod którą dostrzegano się białka zwierzęcych oczu, lecz nie źrenice, co wzmagало jeszcze jego tajemniczość. Nie mogła nie oszaleć z miłości piękna Diana Palmer, której czasem udawało się go pocałować i dotknąć z drzeniem muskułów pod trykotem, z którym bohater nigdy się nie rozstawał (zdarzało się, że zraniony karabinową kulą pozwalał się leczyć swoim dzikim kompanom, którzy zakładali mu elastyczne bandażę na ten kostium, z pewnością wodoodporny, bo przylegający idealnie do ciała nawet po długiej kąpieli w gorących morzach Południa).

Te rzadkie pocałunki trwały jednak tylko przez krótkie, upojne chwile, ponieważ Diana zawsze z jakiegoś powodu musiała Phantoma

zaraz opuścić - przez nieporozumienie, z winy rywala bohatera lub wskutek własnych rozlicznych zobowiązań pięknej, światowej podróżniczki. On zaś nie mógł za nią podążać i uczynić z niej swojej małżonki, bo był spętany łańcuchem złożonej przez przodków przysięgi, skazany na wypełnianie swojej misji: obrony ludów bengalskiej dżungli przed zbrodniczymi przedsięwzięciami indyjskich piratów i białych awanturników.

Tak więc po rysunkach i piosenkach uczących mnie, jak ujarzmić barbarzyńskich, dzikich Abisyńczyków - albo i w tym samym czasie - napotkałem bohatera, który współżył bratersko z pigmejskimi Bandarami i wraz z nimi zwalczał złych kolonialistów, przy czym czarownik plemienny Guran okazał się znacznie lepiej wykształcony i mądrzejszy od podejrzanych typów o białej skórze, których pomagał zwyciężać już nie jako wierny tubylec we włoskiej służbie, lecz pełnoprawny partner i członek wymierzającego sprawiedliwość bractwa.

Inni bohaterowie nie wydawali się szczególnie rewolucyjni (jeśli przy ówczesnym stanie mojej świadomości politycznej mogłem to sobie wyobrazić), na przykład mag Mandrake, który swojego czarnego służącego Lotara, traktowanego skądinąd po przyjacielsku, zatrudniał raczej jako przybocznego strażnika i wiernego niewolnika. Ale Mandrake, zwalczający złych za pomocą magii i jednym gestem potrafiący zamienić pistolet przeciwnika w banan, był bohaterem mieszczańskim, bez czarnego czy czerwonego munduru, wręcz przeciwnie - zawsze nienaganny, we fraku i w cylindrze na głowie. Bohaterem mieszczańskim był również

tajny agent X9, który nie śledził wrogów ustroju, lecz przestępców i złodziejskich baronów, broniąc przed nimi uczciwego podatnika. Nosił trencz, marynarkę i krawat, uzbrojony był w zgrabny kieszonkowy pistolet; takie same pistolety pojawiały się niekiedy z wdziękiem w rękach blondynek o starannym makijażu, w jedwabnych sukniach z kołnierzami ozdobionymi puchem ze strusich piór.

Inny świat, mogący poważnie zaszkodzić poprawności języka, którego uczono mnie w szkole. Tłumaczeniom z angielskiego daleko było bowiem do doskonałości (pewna postać z opowiadań o Mandrake'u mówiła: „Tu jest królestwo Saki... Jeśli się nie mylę, on może być nas szpiegujący”, a na okładce jednego z pierwszych albumów serii widniało imię bohatera tytułowego we włoskiej wersji Mandrache). Jakie to jednak miało znaczenie? Nie ulega wątpliwości, że w owych albumach będących na bakier z gramatyką napotykałem bohaterów różnych od tych, których zalecała mi kultura oficjalna. Może właśnie dzięki tym rysunkom w wulgarnych (lecz jakże przyciągających!) kolorach spojrzałem inaczej na Dobro i Zło.

Na tym nie koniec. Zaraz potem znalazłem całą serię albumów z pierwszymi opowiadaniem o Myszce Miki, z akcją osadzoną w środowisku miejskim, które nie mogło być mi znane (może nie rozumiałem wtedy nawet, czy chodzi o prowincjonalną miasteczko, czy o wielką metropolię amerykańską). Miki i banda blacharzy (och, niewymowny pan Tubi, czyli Joe Piper!), Miki i goryl widmo, Miki w domu duchów, Miki i skarb Klarabelli (oto wreszcie i on, taki sam jak

kupiony w Mediolanie przedruk, ale w kolorach żółtym i brązowym), Miki agentem tajnej policji - nie jako płatny szpicel, lecz powodowany obywatelskim obowiązkiem uczestnik międzynarodowej akcji antyspiegowskiej, który cierpi strasznie w Legii Cudzoziemskiej, prześladowany przez zdradzieckiego Hawkesa Cyngla i perfidnego Pete'a Kuternogę: Hip hip hura, wstrętny Miki zginie w piaskach Afryki...

Sądząc po stanie, do jakiego został doprowadzony mój egzemplarz, najchętniej musiałem czytać Mikiego dziennikarza. Było właściwie nie do pomyślenia, aby w faszystowskim państwie dopuszczono do opublikowania czegoś o wolności prasy, lecz rządowym cenzorom historie o zwierzętach nie wydawały się widać realistyczne i niebezpieczne. Gdzie usłyszałem zdanie: „To prasa, kochasiu, nic im nie możesz zrobić”? Nie, to musiało być później. W każdym razie Miki, dysponując skromnymi środkami, zakłada własną gazetę „Echo Świata” - pierwszy numer obfituje w okropne błędy drukarskie - i publikuje w nim nieustraszenie all the news that's fit to print, wszystkie wiadomości, które nadają się do druku, chociaż pozbawieni skrupułów gangsterzy i przekupni politycy za wszelką cenę starają się go powstrzymać. Czy kiedykolwiek mówił mi ktoś przedtem o wolnej prasie, która potrafi nie podporządkować się żadnej cenzurze?

Niektóre tajemnice mojej dziecięcej schizofrenii zaczynały się wyjaśniać. Obok podręczników szkolnych czytałem komiksy i prawdopodobnie na nich właśnie budowałem z trudem moją obywatelską świadomość. Bez wątplenia dlatego zachowałem te skorupy mojej popękanej historii także po wojnie, kiedy wpadały mi już w ręce (może

dzięki amerykańskim żołnierzom) strony niedzielnych wydań dzienników zza oceanu, z kolorowymi komiksami, dzięki którym poznałem innych bohaterów, jak Li'l Abner czy Dick Tracy. Sądzę, że nasi wydawcy sprzed wojny nie ośmielali się drukować tych historii, bo rysunki miały wyzywająco modernistyczny charakter i przypominały to, co naziści nazywali sztuką zdegenerowaną.

W miarę jak przybywało mi lat i rozumu, zbliżyłem się do Picassa za sprawą Dicka Tracy'ego?

Na pewno nie za sprawą komiksów przedwojennych, z wyjątkiem Flasha Gordona. Reprodukcje, zaczerpnięte chyba bezpośrednio z publikacji amerykańskich, bez płacenia za prawa autorskie, były drukowane niedbale, często niewyraźnie, w wątpliwych kolorach. Pomijając już wydania z czasów po zakazie importu z nieprzyjacielskiego kraju, w których Phan-tom występował w zielonym trykocie, kiepsko imitowany przez tutejszego rysownika, a jego cechy osobowe uległy zasadniczej zmianie. Pomijając także bohaterów domowego chowu, pomyślanych prawdopodobnie jako przeciwieństwo wspaniałego zespołu z „Awenturoso”, rysowanych prymitywnie, lecz w gruncie rzeczy sympatycznych, jak olbrzymi Dick Piorun o wydatnej szczęce Mussoliniego, tłukący pięściami zbójów z pewnością niearyjskiego pochodzenia - Murzyna Zambo, Latynosa Barreirę, później zdemonizowanego Man-drake'a, zamienionego w złośliwego przestępcę o imieniu Flat-tavion, przywodzącym na myśl rasy przeklęte, choć bliżej nieokreślone, który zamiast fraka amerykańskiego maga nosił szkaradny

kapelusz i płaszcz robotnika rolnego. „Dalej, gołą-beczki, chodźcie no tutaj!” - wołał Piorun do swoich wrogów w kapeluszach i wygniecionych marynarkach, po czym następował grad ciosów. „To prawdziwy szatan” - mówili ci łajdacy, aż wyłaniał się z mroku czwarty arcynieprzyjaciół Pioruna, Biała Maska, który uderzał go w kark drewnianym młotem lub woreczkiem z piaskiem. Dick padał, mówiąc „psia...”, ale zawsze na krótko, bo nawet jeśli go skuto i wrzucono do podziemnej celi, wypełniającej się wodą, natężał mięśnie i wydostawał się na wolność, a wkrótce potem łapał i przekazywał komisarzowi policji (człowieczek o okrągłej głowie, z wąsikami bardziej urzędnika bankowego niż Hitlera) całą bandę, należycie skrupowaną.

Podziemna cela wypełniająca się wodą musiała stanowić topos komiksów we wszystkich krajach. Czując jakby żar w piersi, brałem do ręki album Juventus Piątka pik - Ostatni wyczyn Chorążego Śmierci. Mężczyzna w stroju do konnej jazdy, z czerwoną maską w kształcie tuby, która przykrywa mu całą głowę i rozszerza się ku dołowi, tworząc luźny płaszcz szkarłatnego koloru, stoi z rozstawionymi szeroko nogami i ramionami wzniesionymi w górę, przykuty do ściany, a jakiś człowiek oddala się po wpuszczeniu do podziemia wody, mającej powoli zatopić ofiarę.

Dodatkiem do tych albumów były opowiadania odcinkowe, których styl budził większe zainteresowanie. Jedno z nich nosiło tytuł Na chińskich morzach, bohaterowie, bracia, nazywali się Gianni i Mino Martini. Musiało wydać mi się dziwne, że przygody dwóch bohaterskich

młodych Włochów miały miejsce w krainach, gdzie nie posiadaliśmy kolonii - wśród orientalnych piratów, szubrawców o egzotycznych imionach i przepięknych kobiet o imionach jeszcze bardziej egzotycznych, jak Drusilla czy Burma. Zauważyłem bez wątpienia wyższą jakość rysunku. Z kilku komiksów amerykańskich, które otrzymałem od żołnierzy w 1945 roku, dowiedziałem się, że właściwy tytuł brzmiał Terry and the Pirates. Wersja włoska pochodziła z 1939 roku - więc już wtedy narzucono italianizowanie cudzoziemskich opowiadań. Na podstawie niewielkiego zbioru zagranicznych materiałów odnotowałem zresztą, że w tych samych latach Francuzi przekształcili Flasha Gordona w Guy l'Eclair, Guy Błyskawicę.

Nie mogłem się już oderwać od tych okładek i tych rysunków. Jakbym był na przyjęciu i odnosił wrażenie, że wszystkich poznaję - wrażenie déjà vu przy każdej napotkanej postaci - nie umiając jednocześnie powiedzieć, kiedy daną osobę przedtem spotkałem i kim ona jest. Dochodziła do tego pokusa wołania co chwilę: „Jak się masz, stary!”, z ręką wyciąganą i natychmiast cofaną z obawy przed popełnieniem gafy.

Kłopotliwe jest ponowne oglądanie świata, do którego wchodzi się po raz pierwszy. To tak, jakby wracało się z podróży do cudzego, nie do własnego domu.

Nie czytałem po kolei ani według dat, ani według serii i postaci. Skakałem tu i tam, cofałem się, przechodziłem od bohaterów „Kurierka” do bohaterów Walta Disneya, zdarzało mi się zestawiać patriotyczne opowiadanie i Mandrake’a walczącego z Kobrą. I właśnie wracając do

„Kurierka”, do opowiadania o ostatnim etiopskim rasie, z bohaterskim młodym faszystą Mariem występującym przeciw rasowi Aitù, ujrzałem rysunek, który sprawił, że przestało bić mi serce i poczułem coś bardzo podobnego do erekcji lub raczej do czegoś z pogranicza, co mogłoby się przydarzyć komuś dotkniętemu impoten-tia coeundi. Mario wymyka się rasowi Aitù, zabierając ze sobą Gemmy, białą żonę czy też konkubinę rasa, która zrozumiała, że przyszłość Abisynii leży w zbawiennych i cywilizujących rękach Czarnych Koszul. Aitù, rozwścieczony zdradą upadłej kobiety (która stała się przecież wreszcie dobra i cnotliwa), każe podpalić dom, gdzie schronili się oboje uciekinierzy. Udaje im się jednak wdrapać na dach, skąd Mario dostrzega olbrzymią euforbię z sięgającymi daleko gałęziami. „Gemmy - mówi - proszę się mnie chwycić i zamknąć oczy!”

Nie sposób sobie wyobrazić, aby Mario żywił nieprzyzwoite zamiary, zwłaszcza w takiej chwili. Ale Gemmy, jak każda bohaterka komiksu, miała na sobie miękką tunikę, rodzaj pe-plum, pozostawiającą odkryte barki, ramiona i część piersi. Cztery rysunki poświęcone ucieczce i niebezpiecznemu skokowi dowodziły jasno, że tuniki, zwłaszcza jedwabne, podnoszą się, jak wiadomo, odsłaniając najpierw kostkę, potem łydkę, a jeśli kobieta ogarnięta strachem chwytła się szyi młodego faszysty, ten chwyt musi się zamienić w kurczowy uścisk, przy którym jej policzek, z pewnością ślicznie pachnący, dotknie jego spoconego karku. Tak więc na czwartym rysunku Mario dosięgał gałęzi wielkiego drzewa, myśląc wyłącznie o tym, aby nie wpaść w ręce wroga, lecz uspokojona już Gemmy przedstawiona była w pozie niedbalej: spódnicę musiała mieć rozciętą, bo widać było aż po kolano jej wyprostowaną lewą nogę z

toczoną łydką, pięknie zwieńczoną szpilkowym obcasem. Z nogi prawej dostrzegało się tylko odkrytą kostkę, ale ponieważ noga była zgięta kokieteryjnie pod kątem prostym w stosunku do wyzywającego uda, sukienka (może pod wpływem gorącego etiopskiego wiatru) przylegała jakby zmoczona do ciała, uwidaczniając krągłość pośladków i powabny kształt całej kończyny. Nie do pomyślenia, że rysownik nie zdawał sobie sprawy, iż wywołuje efekt erotyczny. Niewątpliwie odwoływał się do wzorów filmowych lub wręcz do kobiet Flasha Gordona, występujących stale w bardzo obcisłych strojach ozdobionych drogimi kamieniami.

Nie mogłem powiedzieć, czy był to najbardziej podniecający obraz, jaki kiedykolwiek widziałem, lecz z całą pewnością (biorąc pod uwagę datę „Kurierka”, dwudziesty grudnia 1936 roku) był on pierwszy w czasie. Nie mogłem też wiedzieć, czy mając cztery lata, zareagowałem w jakiś fizyczny sposób - rumieńcem, okrzykiem zachwytu - lecz bez wątplenia zobaczyłem wtedy po raz pierwszy wieczną kobiecość. Kto wie, czy po obejrzeniu tego rysunku mogłem jeszcze przytulać się do matczynej piersi z tą samą niewinnością co przedtem.

Noga, która wystaje z długiej, miękkiej, prawie przezroczystej sukni i uwidacznia krągłe kształty ciała. Jeśli taki był obraz pierwszy, to czy pozostawił on ślady?

Zacząłem znowu przeglądać strony już widziane, szukając oczyma najdrobniejszych choćby wykruszeń marginesów, nikłych odcisków spoconych palców, zagięć, oślich uszu w górnym rogu kartki, lekkich otarć na powierzchni rysunków, mogących świadczyć o wielokrotnym

wodzeniu po nich palcami.

Znalazłem szereg gołych nóg widocznych w rozcięciach wielu damskich sukien: rozcięcia w szatach kobiet z Mongo, Dale Arden i Aury, córki Minga, w strojach odalisek, umilających cesarskie bankiety; rozcięcia w luksusowych kreacjach dam, które napotkał tajny agent X9; rozcięcia w tunikach podejrzanych panienek z Bandy Powietrznej, którą rozbił na koniec Phantom; rozcięcia można było się domyślić w czarnej sukni balowej Dragon Lady z opowiadania Terry i piraci... Z pewnością marzyłem o tych lubieżnych istotach, bo w czasopiśmie włoskich panie pokazywały tylko nogi pozbawione tajemnic, pod spódnicą do kolan i na ogromnych korkowych obcasach. Bowiem nóżki, bo jej nóżki... Które to nogi po raz pierwszy mnie podnieciły - nogi ślicznych malutkich i swojskich piękności na rowerach, czy nogi kobiet z innych planet i z odległych metropolii? Jest chyba oczywiste, że bardziej uwodzicielskie musiały mi się wydać piękności nieosiągalne niż urodziwe panienki i panie z tej samej klatki schodowej. Kto jednak na pewno to wiedział?

Jeżeli marzyłem o sąsiadce lub o dziewczynkach bawiących się w ogródku przed naszym domem, pozostało to moją tajemnicą, o której ruchowi wydawniczemu nic nie było wiadomo i której nie mógł on nikomu udostępnić.

Ze stosu komiksów wyciągnąłem wreszcie szereg nieuporządkowanych numerów czasopisma kobiecego „Novella”, które czytywała z pewnością moja matka. Długie opowiadania miłosne, niewiele wyrafinowanych ilustracji z wiotkimi damami i dżentelmenami o bardzo brytyjskim wyglądem, zdjęcia aktorek i aktorów. Wszystko w kolorze brązowym o tysiącach odcieni, brązowe były również litery tekstów.

Okładki składały się na galerię piękności z tych czasów, uwiecznionych z bardzo bliska. Na widok jednej z nich ścisnęło mi się nagle serce, jakby objęte płomieniem. Musiałem po prostu pochylić się nad tą twarzą i przycisnąć usta do jej ust. Nie doświadczyłem przy tym żadnej fizycznej podniecy, ale tak właśnie na pewno zrobiłem ukradkiem w wieku siedmiu lat, odczuwając już bez wątpienia pewne niepokoje. Czy ta twarz przypominała mi Sy-billę? A może Paolę? Albo Vanne, Damę z Gronostajem, lub inne, które wymienił mi z uśmieszkiem Gianni: panią Cawas-si, amerykańską właścicielkę księgarni poznaną podczas Salonu Książki w Londynie, Silvanę, śliczną, młodą Holenderkę, dla której trzy razy pojechałem umyślnie do Amsterdamu?

Chyba nie. Musiałem zbudować sobie na podstawie tyłu obrazów, które mnie zachwyciły, moje idealne wyobrażenie. Gdybym zaś mógł mieć przed oczyma twarze wszystkich kobiet, które kochałem, stworzyłbym sobie profil-archetyp, Ideę nigdy nieosiągniętą, lecz przez całe życie szukaną. W czym twarz Vanny przypominała twarz Sybilli? Podobieństwo było chyba większe, niż w pierwszej chwili mogłoby się wydać. Może dzięki sposobowi wyginania ust w szelmowskim uśmieszu, pokazywania w nim zębów, poprawiania sobie włosów. Może wystarczyłby sposób, w jaki poruszały rękami...

Kobieta, którą dopiero co pocałowałem na zdjęciu, była z innej gliny. Gdybym w tej chwili ją spotkał, nawet bym na nią nie spojrział. Chodziło o fotografię, a fotografie zawsze wydają się przestarzałe, brak im platonicznej lekkości rysunku, która pozwala wiele się domyślać. Nie

całowałem na tym zdjęciu wizerunku ukochanej istoty, lecz potęgę seksu, wyrazistość krzycząco uszmkowanych warg. Nie był to pocałunek drżący i bojaźliwy, lecz prymitywny dowód uznania władzy zmysłów. Powinienem był zapomnieć od razu ten epizod jako coś podejrzanego i zakazanego. Abisyńska Gemmy ukazała mi się przecież jako postać ekscytująca wprawdzie, ale miła - powabna księżniczka z dalekiego kraju, na którą patrzysz, nie dotykając.

Dlaczego zachowałem więc czasopisma mojej matki? Wyrastając z wieku chłopięcego, może już jako licealista, podczas kolejnych odwiedzin w Solarze postanowiłem prawdopodobnie zebrać wszystko, co wydawało mi się już wtedy czasem zaprzeszlým, i w zaraniu mojej młodości pójść ponownie śladem zagubionych kroków mojego dzieciństwa. Byłem już wtedy skazany na odzyskiwanie wspomnień. Tyle że to, co wtedy - dzięki wszystkim magdalenkom, jakie miałem do dyspozycji - było zabawą, teraz stało się rozpaczliwym wyzwaniem.

W Kaplicy zrozumiałem w każdym razie coś z mojego odkrycia zarówno wolności zmysłów, jak i ich siły zniewalającej. Tak, był to sposób na złagodzenie pańszczyzny defilad w mundurze i bezpłciowej tyranii Aniołów Stróży.

I to wszystko? Na przykład oprócz szopki na strychu nic mi nie powiedziało jeszcze o moich uczuciach religijnych, a wydawało się niemożliwe, aby było ich całkowicie pozbawione dziecko - nawet wychowane w rodzinie o świeckich tradycjach. Ponadto nie odnalazłem niczego, co dotyczyłoby wydarzeń po 1943 roku. A przecież może właśnie w latach 1943-1945, po zamurowaniu Kaplicy, postanowiłem ukryć w niej najtajniejsze świadectwa mojego dzieciństwa, gubiącego się już w czułych

wspomnieniach. Zakładałem męską togę, a wchodząc w wiek dojrzewania właśnie w zawierusze lat najmroczniejszych, zdecydowałem zachować w grobowcu przeszłość, za którą chciałem tęsknić jako dorosły.

Podczas przeglądania licznych albumów Czina i Franka wpadło mi wreszcie w ręce coś, co sprawiło, że poczułem się, jakbym stanął na progu ostatecznego objawienia. Album w wielobarwnej okładce nosił tytuł Tajemniczy płomień królowej Loany. Zawierał wyjaśnienie tajemniczych płomieni, burzących we mnie krew od czasu przebudzenia ze śpiączki. Podróż do Solary nabierała w końcu sensu.

Otworzyłem album i zapoznałem się z historią najgłupszą, jaką można sobie wyobrazić. Trzeszczała we wszystkich szwach: sytuacje się powtarzały, ludzie zakochiwali się nagle bez żadnego powodu, Czino i Franko byli po trosze zauroczeni królową Loaną, po trosze uważali ją za złowrogą istotę.

Bohaterowie z dwoma przyjaciółmi trafiają w sercu Afryki do tajemniczego królestwa z równie tajemniczą królową, strzegącą nadzwyczaj tajemniczego płomienia, który zapewnia długowieczność lub wręcz nieśmiertelność, skoro Loana - niezmiennie przepiękna - panuje nad swoim dzikim plemieniem od dwóch tysięcy lat.

Loana wkraczała do akcji nie od razu i nie była dla mnie szczególnie pociągająca czy niepokojąca. Przypominała mi raczej parodie widowisk rozrywkowych z przeszłości, widziane ostatnio w telewizji. Przez cały ciąg tej historii królowa - aż do chwili, kiedy wskutek zawodu miłosnego miała skoczyć w bezdenną przepaść - błąka się bez celu po akcji skleconej

w najwyższym stopniu niedbale, pozbawionej wszelkiego czaru i psychologicznego uzasadnienia. Pragnie tylko poślubić jednego z przyjaciół Czina i Franka, podobnego (jak dwie krople wody!) do księcia, którego kochała przed dwoma tysiącami lat i którego kazała uśmiercić, a następnie zamienić w kamień, ponieważ jej nie chciał. Było całkiem niezrozumiałe, dlaczego potrzebuje współczesnego sobowtóra - który zresztą też ją odrzucił, bo zakochał się od pierwszego wejrzenia w jej siostrze - skoro za pomocą swojego tajemniczego płomienia mogła wskrzesić zmumifikowanego kochanka. Warto zauważyć, że - stwierdziłem to już na podstawie innych komiksów - zarówno kobiety fatalne (na przykład Dale Arden), jak i diaboliczni mężczyźni (choćby Ming), występujący regularnie w poszczególnych opowiadaniach, nie chcą nigdy posiąść, zgwałcić, uwięzić w haremie przedmiotu swego dzikiego pożądania, połączyć się z nim cieleśnie. Chcą zawsze go poślubić. Protestancka hipokryzja amerykańskich oryginałów czy przesadna wstydlivość, narzucona włoskim tłumaczom przez katolicki rząd, walczący o przyrost naturalny?

Wracając do Loany: następowały różne końcowe katastrofy, tajemniczy płomień gasł na zawsze, żegnaj, nieśmiertelności dla naszych bohaterów, nie warto było tak daleko się włóczyć także i dlatego, że - jak się wydawało - w gruncie rzeczy mało się oni utratą płomienia przejęli, a przecież rozpętali tę całą burzę po to, żeby go znaleźć. Może wyczerpał się przydział stron, album trzeba było jakoś zakończyć, a autorzy zupełnie już się w tym wszystkim pogubili.

Jednym słowem, idiotyczna historia. Najwyraźniej przydarzyło mi się jednak to, co panu Pipino. Jako dziecko przeczytałeś jakieś

opowiadanie, rośnie ci potem ono w pamięci, przekształcasz je, sublimujesz, stawiasz na piedestał mitu historię pozbawioną wszelkiego sensu. W istocie tym, co zapłodniło najwidoczniej moją uśpioną pamięć, było nie samo opowiadanie, lecz jego tytuł. Wyrażenie „tajemniczy płomień” zafascynowało mnie, pomijając już słodkie imię Loana, chociaż w rzeczywistości chodziło o kapryśną kokietkę przebraną za bajaderę. Przeżyłem wszystkie lata mojego dzieciństwa, a może trwało to dłużej, z myślą nie o obrazie, lecz o dźwięku. Zapomniawszy „historyczną” Loanę, podążałem dalej za ustnym tchnieniem innych tajemniczych płomieni. Całe lata później, mając pamięć w ruinie, powróciłem do nazwy uwielbianego w dzieciństwie płomienia, aby określić odblask zapomnianych rozkoszy.

Mgła była nadal w moim wnętrzu, przebijana chwilami echem tytułu.

Szukając tu i tam, zdjąłem z półki album o podłużnym kształcie, oprawny w płótno. Wystarczyło go otworzyć, aby się przekonać, że zawiera zbiór znaczków pocztowych. Z pewnością mój, bo na pierwszej stronie widniało moje imię i data, odnosząca się chyba do roku, w którym rozpocząłem zbieranie: 1943. Klaser, z ruchomymi kartami, miał prawie profesjonalny charakter, a kolekcja uporządkowana była według krajów uszeregowanych w kolejności alfabetycznej. Niektóre z przytrzymywanych naklejonymi paseczkami znaczków, reprezentujące ówczesne emisje poczty włoskiej, były pogrubiałe, z powierzchnią na odwrocie szorstką, jakby czymś pomazaną. Odgadłem, że to właśnie nimi zainaugurowałem swoją kolekcję, odlepiwszy je z kopert i pocztówek. Początkowo pewnie wklejałem je do byle jakiego zeszytu, używając gumy arabskiej. Najwidoczniej dopiero potem nauczyłem się, co należy robić, i

próbowałem ratować ten załączek kolekcji, zanurzając strony zeszytu w wodzie. Znaczki odkleiły się, zachowując jednak niezatarte ślady mojej ignorancji.

O tym, że nauczyłem się, jak trzeba postępować, świadczył umieszczony pod klaserem tom - egzemplarz katalogu Yver-ta i Telliera z 1935 roku. Należał prawdopodobnie do rzeczy dziadka. Ten katalog był już, rzecz jasna, przestarzały dla poważnego zbieracza z 1943 roku, ale okazał się najwidoczniej użyteczny dla mnie, informując nie o bieżących cenach i o najnowszych emisjach, lecz o metodzie, o sposobie katalogowania.

Skąd brałem w tamtych latach znaczki? Dawał mi je dziadek czy też można je było kupić w sklepie, w umieszczonych w kopertach zestawach, jakie jeszcze dzisiaj bywają na stoiskach między ulicą Armorari a placem Cordusio w Mediolanie? Prawdopodobnie wydawałem wszystkie moje skromne oszczędności w którejś z miejskich papeterii, gdzie zaopatrywali się początkujący kolekcjonerzy - a zatem znaczki, które wydawały mi się bajecznie piękne, były czymś obiegowym. A może w latach wojny, kiedy ustała zupełnie filatelistyczna wymiana międzynarodowa, a od pewnej chwili także wewnętrzna, trafiał na rynek po niskiej cenie materiał dość wartościowy, sprzedawany przez emerytów pragnących kupić masło, kurczaka, parę butów.

Ten klaser musiał być dla mnie nie tyle przedmiotem o wartości handlowej, ile zbiornikiem obrazów ze snu. Każdy znaczek wprawiał mnie w podniecenie. Gdzie tam do nich starym atlasom! Odwracając strony, wyobrażałem sobie niebieskawe, obramowane purpurą morza Niemieckiej Afryki Wschodniej, w labiryncie linii arabskiego dywanu dostrzegałem na

ciemnozielonym tle domy Bagdadu, na błękitnym polu w różowych ramach podziwiałem profil Jerzego V jako władcy Bermudów, fascynowało mnie ceglaste oblicze brodatego paszy, sułtana czy radzy Bidżawaru, może jednego z indyjskich książąt z powieści Salgariego. O Salgarim przypominał mi z pewnością zielonkawy prostokąt Labuanu, czytałem może o rozpętanej z powodu Gdańska wojnie, obracając w palcach znaczek koloru wina z nadrukiem Danzig, odczytywałem five rupies na znaczku z In-dauru, marzyłem o dziwnych pirogach tubylców rysujących się na fioletowym tle znaczka Brytyjskich Wysp Salomona. Baśniowe jawiły mi się krajobrazy Gwatemali, nosorożce Liberii, inna tubylcza łódź na pierwszym planie wielkiego znaczka Pa-pui (im mniejszy kraj, tym większy znaczek, jak mogłem się przekonać) i stawiałem sobie pytanie, gdzie leżą Zagłębie Saary i Suaziland.

Podróżowałem po szerokim świecie za pośrednictwem znaczków w latach, kiedy byliśmy jakby zamknięci za częstokołem, wtłoczeni między dwie walczące ze sobą armie. Nie funkcjonowały nawet koleje, może z Solary trzeba było jeździć do najbliższego miasta na rowerze, a ja szybowałem z Watykanu do Portoryko, z Chin do Andory.

Ostatniego częstoskurczu dostałem na widok dwóch znaczków z wysp Fidzi. Nie były ani ładniejsze, ani brzydsze od innych. Jeden przedstawiał dzikusa, na drugim widniała mapa Fiji Islands (jak ja to wymawiałem?). Może uzyskałem je w drodze kolejnych, długotrwałych i męczących wymian i były mi droższe od innych, może urzekła mnie precyzja mapy, przywodzącej na myśl wyspy poszukiwaczy skarbów,

może dopiero z tych prostokąćków nauczyłem się nigdy przedtem nie-słyszanej nazwy owych obszarów. Wydaje mi się, że Paola wspomniała niedawno o pewnej mojej obsesji. Chciałem koniecznie pojechać kiedyś na wyspy Fidzi, przeglądałem foldery agencji podróży, lecz ciągle zwlekałem, chodziło przecież o podróż na drugą stronę globu, a jechać tam na krócej niż miesiąc nie miało sensu.

Wpatrując się w oba znaczki, zacząłem bezwiednie nucić usłyszaną kilka dni wcześniej piosenkę, Tam, w Capocabanie. Wraz z piosenką przypomniałem sobie imię Pipetto. Co łączyło znaczki z piosenką, a ją z imieniem, tylko z imieniem Pipetto?

Tajemnica Solary polegała na tym, że za każdym krokiem stawałem na skraju objawienia i zatrzymywałem się na brzegu otchłani, rozwierającej pod warstwą mgły niewidzialną paszczę. Jak Wąwóz - powiedziałem sobie. Co za Wąwóz? . TERAZ BĘDZIE ŁADNIE

Spytałem Amalię, czy wie coś o jakimś Wąwozie.

- Pewno, że tak - odrzekła. - Wąwóz... Mam nadzieję, że nie przyszła paniczowi ochota, żeby tam pójść, bo to było niebezpieczne już wtedy, kiedy był panicz mały, a co dopiero teraz, kiedy, za pozwoleniem, nie jest już panicz chłopaczkiem! Mógłby się tam jeszcze zabić! Zobaczy panicz, że zadzwonię do pani Paoli.

Uspokoilem ją. Chciałem tylko wiedzieć, co to takiego.

- Wąwóz? Wystarczy wyjrzeć z okna pokoju panicza, w oddali widać wierzchołek wzgórza, na którym leży San Mar-tino, osada, jaka tam osada... wioska z co najwyżej setką mieszkańców, niedobrzy ludzie, mówię paniczowi, z dzwonnica wyższą niż wioska szeroka, bo się przechwalają, że mają w kościele ciało błogosławionego Antonina, co

wygląda jak straszdyło, z twarzą czarną jak, za przeproszeniem, krowie łajno, spod habitu wystają mu palce jak patyki. Mój świętej pamięci ojciec mawiał, że sto lat temu wykopali z ziemi jednego takiego, co już śmierdział, wysmarowali go jakimś świństwem i położyli pod szkłem, żeby coś wydusić z pielgrzymów, ale i tak nikt tam nie chodzi, na co ludziom taki błogosławiony Antonin, nie jest nawet świętym z tych stron, wynaleźli go sobie w kalendarzu, kładąc palec na chybił trafił.

- No, ale Wąwóz?

- Wąwóz. Do San Martino można się dostać tylko stromą drogą cały czas pod górę, tak że nawet teraz trudno wjechać tam samochodem. Nie taka droga jak u nas, porządnych ludzi, co okrąża wzgórze raz za razem i dosięga szczytu. Żeby tak! Ale gdzie tam, idzie do góry całkiem prosto, albo prawie, i dlatego tak trudno dojechać. A wie panicz dlaczego? Bo po stronie, którą idzie droga, na wzgórzu San Martino rosną drzewa i jest kilka winnic, zasadzonych z wielkim trudem, bo trzeba dobrze uważać, żeby się stamtąd nie ześlizgnąć na dół tyłkiem po ziemi; ale ze wszystkich innych stron wzgórze jest strome jak przepaść, porośnięte jeżyną i innymi krzakami, kamieniste, nie ma gdzie nogi postawić. To jest Wąwóz, kilku już się pozabijało, bo tam wleźli, nie wiedząc, co to za wstrętne miejsce. Pół biedy w lecie, ale przy mgle, zamiast chodzić po Wąwozie, lepiej od razu się powiesić u belki na strychu, bo przynajmniej szybciej się umrze. A nawet gdyby ktoś się odważył, to spotka tam strzygi.

Już po raz trzeci Amalia wspominała mi o strzygach, ale na moje pytania zawsze starała się uniknąć odpowiedzi. Nie mogłem zrozumieć, czy ze strachu, czy dlatego, że w gruncie rzeczy sama nie wie, kim są. Musiały to być czarownice, z pozoru samotne staruchy, które nocami

zbierają się w najbardziej oddalonych winnicach i w miejscach przeklętych, jak ten Wąwóz, aby odprawiać złowrogie obrządki z udziałem czarnych kotów, kóz i żmij. Złe jak trucizna, zabawiają się rzucaniem uroków na ludzi, którzy im się nie spodobali, i sprawiają, że tracą oni zbiory.

- Pewnego razu jedna z nich zamieniła się w kota, weszła do domu we wsi i zabrała stamtąd dziecko. A więc sąsiad, który obawiał się potem o swoje maleństwo, spędzał noce w pobliżu kołyski, z siekierą w ręku. Wszedł kot, a on jednym ciosem uciął mu łapę. No i zaczął coś podejrzewać. Idzie do mieszkającej niedaleko staruchy i widzi, że z rękawa nie wystaje jej dłoń. Pyta o powód, a ta się tłumaczy, mówi, że skaleczyła się sierpem, pieląc chwasty, ale on na to: „Proszę mi lepiej pokazać”, i widzi, że brak jej całej ręki. To ona była tym kotem, no i ludzie ze wsi złapali ją i spalili.

- Czy to prawda?

- Prawda czy nieprawda, tak mi opowiedziała moja babka, choć jednego razu dziadek przyszedł do domu, krzycząc: „Strzygi, strzygi!”, bo wracał z szynku z parasolem na ramieniu i od czasu do czasu ktoś łapał parasol za rączkę, nie dając mu iść dalej, ale babka powiedziała: „Cicho bądź, draniu, jesteś pijany jak bela i zataczałeś się po ścieżce, rączką parasola sam zaczepiałeś o gałęzie drzew, jakie tam strzygi!”, no i sprząła go porządnie. Ja tam nie wiem, czy te wszystkie historie są prawdziwe, ale w San Martino mieszkał kiedyś ksiądz, co robił różne różności, bo był masonem jak wszyscy księża i ze strzygami się przyjaźnił. Jak dałeś jałmużnę na kościół, rzucał na nie zaklęcie i miałeś spokój przez cały rok. Ale tylko przez jeden rok - potem znowu jałmużna.

Z Wąwozem była taka sprawa, wytłumaczyła mi Amalia, że ja, kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat, chodziłem tam z bandą łobuziaków do mnie podobnych, którzy wojowali z chłopakami z San Martino i chcieli ich zaskoczyć, wdrapując się z tamtej strony. Kiedy ona zauważyła, że idę w kierunku Wąwozu, łapała mnie i odnosiła na plecach do domu, ale ja byłem jak wąż, nikt nie wiedział, gdzie mogłem się schować.

To niewątpliwie dlatego, myśląc o krawędzi i o przepaści, przypomniałem sobie Wąwóz. Także i w tym przypadku - jedynie słowo. Nieco później nie myślałem już o Wąwozie. Zadzwonili ze wsi, że nadeszła dla mnie przesyłka polecona. Zszedłem ją zabrać. Paczka pochodziła z mojego antykwariatu i zawierała katalog do korekty. Przy sposobności zajrzałem do apteki: ciśnienie wzrosło znowu do stu siedemdziesięciu. To przez wzruszenia w Kaplicy. Postanowiłem spędzić dzień spokojnie, korekta akurat się przyda. Tymczasem właśnie przez korektę ciśnienie mogło mi wzrosnąć nawet do stu osiemdziesięciu i chyba rzeczywiście tak się stało.

Niebo było pochmurne, w ogrodzie przyjemnie się czułem. Wyciągnąłem się wygodnie i zacząłem sprawdzać. Fiszki nie zostały jeszcze rozmieszczone na stronach, ale tekst był bez zarzutu. Na rozpoczęcie jesiennego sezonu wystąpimy z dobrą ofertą wartościowych książek. Dzielna Sybilla.

Miałem już przejść do porządku nad zwyczajną edycją dzieł Szekspira, gdy zatrzymał mnie nagle tytuł: Mr. William Shakes-peares Comédies, Historiés, & Tragédies. Published according to the True Original Copies. Za chwilę dostanę zawału! Pod portretem wieszczą wydawca i data: London, Printed by Isaac Iaggard and Ed. Blount, 1623-

Sprawdziłem rozmiary: 34,2 na 22,6 centymetra, bardzo szerokie marginesy! Do stu diabłów, do tysiąca piorunów, caramba! To przecież nieuchwytny foliał z 1623 roku!

Każdy antykwariusz, a także, jak sędzę, w ogóle każdy kolekcjoner, marzy o dziewięćdziesięcioletniej staruszce. Jest sobie staruszka na wpół żywa, nie ma złamanego grosza nawet na lekarstwa, przychodzi do ciebie i mówi, że chce sprzedać leżące w piwnicy książki pradziadka. Idziesz tam dla świętego spokoju, widzisz kilkanaście mało wartych tomów, aż nagle spostrzegasz wielki, źle oprawiony foliał, okładki z mocno podniszczonego pergaminu, bez plakiet, rozpadające się wiązania, rogi obgryzione przez myszy, wszędzie plamy wilgoci. Wpadły ci w oko dwie kolumny gotykiem; liczysz linijki, jest ich czterdzieści dwie, patrzysz na kolofon... To Biblia Gutenberga czterdziestodwuwierszowa, pierwsza wydrukowana książka na świecie! Ostatni egzemplarz będący jeszcze na rynku (inne przechowuje się pod strażą w słynnych bibliotekach) sprzedano niedawno na licytacji za Bóg wie ile milionów dolarów, kupili go chyba jacyś japońscy bankierzy i zamknęli natychmiast w kasie pancерnej. Kolejny egzemplarz w wolnym obiegu nie miałby ceny, mógłbyś zażądać wszystkiego, tysiąca milionów dolarów.

Patrzysz na staruszkę, pojmujesz od razu, że uszczęśliwiłbyś ją dziesięcioma milionami lirów, ale masz wyrzuty sumienia, oferujesz jej sto, dwieście milionów lirów, pozwolą jej lepiej przeżyć te ostatnie kilka lat. Potem, już w domu, z trzęsącymi się rękami, nie wiedziałbyś oczywiście, co począć. Aby książkę sprzedać, musiałbyś zmobilizować wielkie domy aukcyjne, które pożarłyby ci kto wie jaką część łupu, a drugą połowę pochłonęłyby podatki. Chciałbyś zatrzymać ją dla siebie, ale

nie mógłbyś jej nikomu pokazać, bo gdyby wieść się rozeszła, miałbyś pod drzwiami złodziei z połowy świata - a co za przyjemność posiadać coś tak cudownego i nie móc wzbudzać zawiści innych kolekcjonerów? Chcąc ją ubezpieczyć, zapłaciłbyś astronomiczną sumę. Więc co robić? Dać znalezisko w depozyt Zarządowi Miasta Mediolan, żeby je wystawił, powiedzmy, w którejś sali zamku Sforzów w opancerzonej gablocie, z czterema uzbrojonymi strażnikami, pilnującymi jej w dzień i w nocy. Mógłbyś wtedy tam chodzić, by oglądać swoją książkę, sam wśród tłumu próżniaków, chcących zobaczyć z bliska najrzadszą rzecz na świecie. No i co byś zrobił, trąciłbyś łokciem sąsiada i powiedział mu, że to twoja książka? Warto by było?

Myślisz już więc nie o Gutenbergu, lecz o foliowym wydaniu Szekspira. Trochę milionów dolarów mniej, ale dzieło znają tylko kolekcjonerzy, łatwiej byłoby je zarówno zachować, jak i sprzedać. Foliał Szekspira: sen numer dwa każdego bibliofila.

Jaką cenę wyznaczyła Sybilla? Nie wierzyłem własnym oczom: milion lirów, jak za jakąkolwiek książczynę. Czy to możliwe, żeby nie uświadomiła sobie, co ma w rękach? Kiedy ten foliał trafił do mojego sklepu i dlaczego nic mi o nim nie powiedziała? Zwolnię ją, zwolnię, syczałem ze złością.

Zatelefonowałem do niej z pytaniem, czy wie, czym jest pozycja numer osiemdziesiąt pięć katalogu. Wydawało się, że nie pojmuje: to coś z siedemnastego wieku, nawet dość brzydkiego, jest zresztą bardzo zadowolona, że udało jej się ten tom sprzedać zaraz po wysłaniu mi korekty, z zaledwie dwudziesto-tysięcznym rabatem, teraz trzeba go wykreślić z katalogu, bo nie był nawet jedną z tych pozycji, które się

zostawia z podpisem „sprzedana”, aby pokazać, że się obraca wartościowymi książkami. Chciałem pożreć ją żywcem, aż zaczęła się śmiać i powiedziała, że nie ma powodu, by rosło mi ciśnienie.

To był żart. Włączyła tę fiszkę, żeby się przekonać, czy uważnie robię korektę i czy moja pamięć erudycyjna jest jeszcze w dobrym stanie. Śmiała się jak urwis, dumna ze swojej psoty, będącej zresztą powtórzeniem kilku podobnych, słynnych w naszym środowisku figli. Są katalogi, które trafiły do antykwariatów jako osobliwości właśnie dlatego, że proponowały książki mało prawdopodobne lub wręcz nieistniejące, z czego nie zdali sobie sprawy nawet specjaliści.

- Studencki kawał - powiedziałem jeszcze, choć zacząłem się już uspokajać. - Zapłacisz mi za to. Ale inne fiszki są doskonałe, nie muszę ci ich odsyłać, nie mam poprawek. Rób teraz, co trzeba. Dziękuję.

Rozluźniłem się. Ludzie nie zdają sobie sprawy, ale u kogoś takiego jak ja i w stanie, w jakim się znajduję, nawet niewinny żart mógłby wywołać nieodwracalny zawał.

Kiedy kończyłem rozmowę telefoniczną z Sybillą, niebo stało się sine. Nadchodziła znowu burza, tym razem na serio. Przy takim świetle czułem się zwolniony z obowiązku - czy też nie ulegałem pokusie - udania się do Kaplicy. Mogłem jednak spędzić co najmniej godzinę na strychu - było tam jeszcze jasno dzięki okienkom w dachu - żeby dalej sobie poszperać.

Otrzymałem w nagrodę inne pudło bez napisów, sklecone przez wujostwo, którzy wypełnili je czasopismami ilustrowanymi. Zniosłem wszystko na dół i zacząłem przeglądać od niechcienia, jak w poczekalni u dentysty.

Przejrzałem kilka czasopism filmowych z licznymi zdjęciami aktorów. Mowa była oczywiście o filmach włoskich, tu także w duchu pełnej i pokojowej schizofrenii. Z jednej strony filmy propagandowe, jak Oblężenie Alkazaru - frankistowskiej fortecy w Toledo, czy Lotnik Luciano Serra, z drugiej - opowieści o dżentelmenach w smokingach i o rozkapryszonych damach w śnieżnobiałym negliżu, wśród luksusowych mebli z białymi telefonami obok tchnących łubieżnością łóżek. I to w czasach, w których - o ile mi wiadomo - telefony były jeszcze tylko czarne i przymocowane do ściany.

Nie brakowało jednak fotosów z filmów zagranicznych. Odczułem - choć bardzo słabo - działanie wewnętrznego płomienia na widok zmysłowej twarzy Zarah Leander czy też Kristiny Söderbaum w Złotym Mieście Veita Harlana.

No i dużo fotosów z filmów amerykańskich, z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers tańczącymi jak ważki oraz z Johnem Wayne'em w Dylizansie. Włączyłem to, co uważałem już za moje radio, nie przyjmując obłudnie do wiadomości, że gra za pośrednictwem gramofonu. Wśród płyt znalazłem takie, które coś mi mówiły. Dobry Boże, Fred Astaire tańczył i całował Ginger Rogers, a w tych samych latach Pippo Barzizza ze swoją orkiestrą grał melodie, które były mi znane, bo należały do muzycznej edukacji ogółu. Był to jazz zitalianizowany; płyta zatytułowana Serenità była adaptacją Mood Indigo, inna, przemycona pod tytułem Con stzle, odtwarzała In the Mood, Tri-stezze di San Luigi to Saint Louis Blues. Nie licząc dość niezręcznego tekstu Smutków świętego Ludwika (którego - - IX czy Gonzagi?), wszystkie melodie bez słów - żeby nie zdradzić pochodzenia tej tak bardzo niearyjskiej muzyki.

W krótkich słowach: moje dzieciństwo, które upłynęło pomiędzy jazzem, Johnem Wayne'em i komiksami z Kaplicy, nauczyło mnie przeklinania Anglików i bronienia się przed szkaradnymi Murzynami chcącymi zbrukać Wenus z Milo, lecz jednocześnie upajałem się przesłaniami pochodzącymi z przeciwnego brzegu oceanu.

Z dna pudła wydobyłem też pakiet listów i kartek, zaadresowanych do dziadka. Zawahałem się chwilę, bo wydało mi się świętokradztwem poznawanie jego osobistych sekretów. Potem powiedziałem sobie, że dziadek był przecież odbiorcą, nie autorem tych listów; autorom zaś nie byłem winien żadnego poszanowania.

Kartkowałem listy bez nadziei na znalezienie w nich czegoś ważnego, a tymczasem korespondenci dziadka - prawdopodobnie zaufani przyjaciele - wspominali w odpowiedziach sprawy, o których on do nich pisał; wyłaniał się stąd dokładniejszy wizerunek dziadka. Zaczynałem rozumieć, co myślał, z jakimi ludźmi obcował, z kim utrzymywał kontakt na odległość.

Jednak dopiero po zobaczeniu buteleczki mogłem zrekonstruować w pełni „polityczną fizjonomię” dziadka. Zabrało mi to trochę czasu, bo do opowiadania Amalii trzeba było podchodzić bardzo ostrożnie, ale z niektórych listów poglądy dziadka wyłaniały się dość jasno, podobnie jak pewne dane o jego przeszłości. Wreszcie jeden z korespondentów, któremu dziadek zrelacjonował w 1943 roku końcowy epizod historii z olejem, składał mu gratulacje po tym wspaniałym sukcesie.

Ale do rzeczy. Oparłem się o parapet okienny, przed sobą miałem biurko, w głębi - regały. Dopiero wtedy spostrzegłem, że na najwyższej

półce regału naprzeciwko stoi buteleczka wysokości około dziesięciu centymetrów, z ciemnego szkła, staroświecki flakon na lekarstwa albo na perfumy.

Zaciekawiony wszedłem na krzesło i zdjąłem ją z półki. Była hermetycznie zamknięta zakrętką, na której pozostały jeszcze ślady opieczutowania czerwonym lakiem. Patrząc pod światło, potrząsnąłem buteleczką; wydała mi się pusta. Otworzyłem ją nie bez trudu i zobaczyłem wewnątrz jakby plamki czegoś ciemnego. Słaby zapach wydobywający się jeszcze stamtąd był zdecydowanie nieprzyjemny - jakby wysuszonej przez dziesięciolecia zgnilizny.

Zawołałem Amalię i spytałem, czy coś o tym wie. Wzniosła oczy i ramiona ku niebu, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Ach, tam był kiedyś olej rycynowy!

- Olej rycynowy? Zdaje się, że to środek na przeczyszczenie...

- Oczywiście, podawano go jeszcze wam, dzieciom, ale po łyżeczce, żebyście zrobiły kupkę, kiedy coś pozostało w brzuszkach. A zaraz potem dwie łyżeczki cukru, żeby nie było czuć smaku. Ale panu dziadkowi panicza podano więcej, nie tylko zawartość tej buteleczki, przynajmniej trzy razy tyle!

Amalia, której tę historię opowiadał Masulu, oznajmiła na wstępie, iż dziadek sprzedawał gazety. Książki, nie gazety, sprostowałem. Ale ona upierała się, że z początku (przynajmniej ja tak to rozumiałem) sprzedawał gazety. Później zdałem sobie sprawę z nieporozumienia. W tych stronach na wsi sprzedawca dzienników jeszcze teraz nazywany jest dziennikarzem. Ona jednak mówiła „dziennikarz”, w dialekcie giur-nalista, mając słusznie na myśli giornalista, czyli piszącego do gazet, ja tłumaczyłem na włoski

giornalaio, sprzedawca gazet. W rzeczywistości Amalia powtarzała to, co jej opowiedziano, a dziadek rzeczywiście był kiedyś dziennikarzem, zatrudnionym w redakcji.

Jak wynikało także z korespondencji, był nim do 1922 roku, pracując w pewnym dzienniku lub czasopiśmie socjalistycznym. W tych czasach, w przeddzień marszu na Rzym, bojówkarze faszystowscy krążyli z pałkami i tłukli wywrotowców. Tym jednak, których naprawdę chcieli ukarać, kazali pić solidną porcję oleju rycynowego, aby z nich wypłukać fałszywe poglądy. Nie łyżeczkę, przynajmniej ćwierć litra. Otóż zdarzyło się, że wpadli do redakcji dziennika, w którym pracował dziadek. Biorąc pod uwagę, że urodził się około 1880 roku, w 1922 miał minimum czterdzieści lat, a napastnicy byli chłopaczyskami o wiele młodszymi. Porozbijali wszystko, z maszynami małej drukarni włącznie, meble wyrzucili przez okno, a zanim opuścili lokal i zabili drzwi dwiema deskami na krzyż, złapali obu dyżurnych redaktorów, wyłoilili ich bez litości i kazali się napić oleju rycynowego.

- Nie wiem, czy panicz to rozumie, paniczu Jambo. Biedak, któremu każą takie świństwo wypić, nawet jeśli dojdzie do domu na własnych nogach, to nie muszę mówić, gdzie przez następne dni siedzi. Gorsze upokorzenie trudno sobie wyobrazić, nie wolno tak ludzi traktować.

Z rad zawartych w listach pewnego mediolańskiego przyjaciela można było wysnuć wniosek, że od tej chwili - faszyci mieli zatriumfować kilka miesięcy później - dziadek postanowił porzucić dziennikarstwo i życie aktywne, założył sklepik ze starymi książkami i przetrwał w milczeniu dwadzieścia lat, dyskutując o polityce, ustnie i na piśmie, wyłącznie z zaufanymi przyjaciółmi.

Nie zapomniał jednak, kto osobiście wlewał mu olej do ust, kiedy inni bojówkarze zatykali mu nos.

- To był niejaki Merlo, pan dziadek panicza nigdy o tym nie zapomniał i przez dwadzieścia lat nie tracił go z oczu.

W istocie, niektórzy korespondenci informowali dziadka o losach Merla. Zrobił dość skromną karierę w faszystowskiej milicji, został setnikiem, zajmował się zaopatrzeniem i coś do rąk musiało mu przyłgnąć, bo kupił sobie dom na wsi.

- Przepraszam, Amalio, zrozumiałem sprawę oleju, ale co naprawdę było w buteleczce?

- Nie ośmielam się powiedzieć, paniczu Jambo, to brzydka rzecz.

- Jeśli mam wszystko zrozumieć, musi mi pani powiedzieć, proszę spróbować.

No więc tylko dlatego, że ją prosiłem, Amalia spróbowała wytłumaczyć. Dziadek wrócił wtedy do domu udęczony fizycznie, ale duchowo niepokonany. Przy dwóch pierwszych wypróżnieniach nie miał czasu się namyślać, wylatywała z niego nawet dusza. Przy trzecim i czwartym wyładowaniu postanowił się załatwić do nocnika. Do tego nocnika wyciekał olej zmieszany z tym, co wypływa po wzięciu na przeczyszczenie, tłumaczyła Amalia. Dziadek opróżnił flakon wody różanej swojej żony, dobrze go wypłukał i przelał tam olej z tą cieczą. Zakręcił flakon, zapieczętował go lakiem, żeby ten likier nie wyparował i nie stracił aromatu, jak zdarza się winom.

Przechowywał buteleczkę w swoim mieszkaniu w mieście, a po przenosinach do Solary postawił ją w gabinecie. Masulu myślał widać tak samo jak on i znał całą historię, bo za każdym razem, gdy wchodził do

gabinetu (Amalia podglądała i podsłuchiwała), spoglądał na buteleczkę, potem na dziadka i robił taki gest: wyciągał do przodu rękę, z dłonią skierowaną w dół, a następnie obracał dłoń do góry. Mówił jednocześnie groźnym głosem: „Jeśli się obróci...”, chcąc przez to powiedzieć, że jeśli pewnego dnia sytuacja się zmieni... Na co dziadek, zwłaszcza w późniejszych czasach, odpowiadał: „Obróci się, obróci, drogi Masulu, wylądowali już na Sycylii...”

Nadszedł wreszcie dwudziesty piąty lipca 1943 roku. Poprzedniego wieczoru Wielka Rada Faszystowska przyparła Mussoliniego do muru, król go zdymisjonował, dwóch kara-binierów wsadziło do karetki pogotowia i zawiozło Bóg wie gdzie. Faszyzm się skończył. Mogłem odtworzyć te wydarzenia na podstawie zebranych gazet. Tytuły wielkimi czcionkami, upadek ustroju.

Jeszcze bardziej zajmujący okazał się przegląd prasy z dni następnych. Pisano w niej z zadowoleniem o tłumach, strącających z cokołów posągi Duce i rozbijających faszystowskie emblematy na gmachach publicznych, o faszystowskich dostojnikach poprzebieranych po cywilnemu i wycofanych z obiegu. Dzienniki, które do dwudziestego czwartego lipca zapewniały czytelników o bohaterskiej postawie narodu włoskiego, skupionego wokół swojego Wodza, trzydziestego lipca radowały się z rozwiązania faszystowskiej izby deputowanych i z wypuszczenia na wolność więźniów politycznych. Z dnia na dzień zmienił się wprawdzie redaktor naczelny, lecz reszta zespołu musiała się składać z tych samych ludzi. Albo się dostosowali, albo po latach przymusowego

gryzienia wędzidła mogli się szczerze cieszyć.

Nadeszła także godzina dziadka. „Obróciło się”, powiedział lakonicznie do Masulu, a ten zrozumiał, że ma wziąć się do roboty. Wezwał dwóch chłopaków, którzy pomagali mu w polu, Stivula i Gigia, obu roślących, z twarzami czerwonymi od słońca i wina, z potężnymi mięśniami - kiedy jakiś wóz wpadł do rowu, wołano zawsze Gigia, żeby go wyciągnął gołymi rękami. Masulu wysłał ich do sąsiednich wsi, żeby się rozpytali, a dziadek tymczasem zszedł do Solary, do telefonu publicznego, żeby zebrać informacje od przyjaciół w mieście.

Trzydziestego lipca ustalono wreszcie miejsce pobytu Mer-la - Jeg^o willa, czy też posiadłość wiejska, znajdowała się w Bassinasco, niedaleko Solary. Tam schronił się po cichu, żeby go nie zauważono. Nie był nigdy grubą rybą i mógł mieć nadzieję, że się o nim zapomni.

„Pojedziemy tam drugiego sierpnia - powiedział dziadek - bo dokładnie drugiego sierpnia dwadzieścia jeden lat temu ten typ wlał we mnie olej. Pojedziemy po kolacji, bo, po pierwsze, jest mniej gorąco, a po drugie, on o tej porze skończy się obżerać i nadejdzie odpowiednia chwila, żeby mu ułatwić trawienie”.

Wsiedli do bryczki po zachodzie słońca i w drogę do Bassi-nasco.

Po przybyciu do domu Merla zapukali do drzwi, on przyszedł otworzyć jeszcze z serwetką w kratkę u szyi, co wy za jedni, twarz dziadka oczywiście nic mu nie mówiła. Wepchnęli faszystę do wnętrza, Stivulu i Gigio posadzili go na krześle i przytrzymali od tyłu mocno za ramiona, Masulu ścisnął mu nos dwoma palcami, którymi mógł wyciągać korki z kilku-litrowych butelek.

Dziadek spokojnie przypomniał sprawę sprzed dwudziestu jeden lat;

Merlo potrząsał przecząco głową, jakby chciał powiedzieć, że to pomyłka, że on nigdy nie zajmował się polityką. Po zakończeniu wyjaśnień dziadek przypomniał jeszcze, że zanim Merlo wlał mu olej do gardła, zachęcił go kilkoma uderzeniami pałki do wzniesienia z zatkany nosiem faszystowskiego okrzyku alalà. Ja, powiedział, jestem nastawiony pokojowo i nie chcę używać kija, więc ty powinieneś uprzejmie wykazać dobrą wolę i zawołać od razu alalà, to unikniemy kłopotliwej sceny. No i Merlo, przez zatkany nos, zawołał emfaticznie alalà, co było zresztą jedną z niewielu rzeczy, które nauczył się robić.

Potem dziadek wepchnął mu flakonik do ust i zmusił do połknięcia całej jego zawartości - oleju z rozpuszczonymi w nim odchodami, zestarzałego się należycie we właściwej temperaturze, rocznik 1922, jakość gwarantowana.

Kiedy wychodzili, Merlo klęczał z twarzą nad cegłami podłogi, usiłując zwymiotować, ale - ponieważ pozostawał przedtem wystarczająco długo z zatkany nosiem - napój spłynął mu głęboko do żołądka.

Amalia nigdy nie widziała dziadka tak rozradowanego jak tego wieczoru po powrocie do domu. Merlo, zdaje się, tak się przestraszył, że nawet po ósmym września - kiedy król ogłosił zawieszenie broni i uciekł z Rzymu do Brindisi, Niemcy uwolnili Duce i faszyci znowu wrócili - nie przystąpił do ich Republiki Socjalnej, woląc pozostać u siebie i uprawiać ogród. Teraz ten wstrętny typ też już chyba nie żyje, mówiła Amalia, według której nawet gdyby chciał się wtedy zemścić i donieść o wszystkim faszystom, był tego wieczoru tak przerażony, że nie pamiętał twarzy ludzi, którzy do niego przybyli, a Bóg wie ilu innych zmusił kiedyś do picia oleju.

- Moim zdaniem ktoś z tych innych też miał go na oku i takich buteleczek wlano w niego kilka, mówię paniczowi, proszę mi wierzyć, przez takie sprawy przechodzi człowiekowi ochota zajmować się polityką.

Taki był więc dziadek i tym tłumaczyły się podkreślenia w gazetach i słuchanie Radia Londyn. Czekał, aż się obróci.

Znalazłem egzemplarz ulotki z datą dwudziesty siódmy lipca, w której radość z upadku faszystowskiego reżimu wyrażały we wspólnej deklaracji: Demokracja Chrześcijańska, Partia Czynu, Partia Komunistyczna, Włoska Partia Socjalistyczna Jedności Proletariackiej i Partia Liberalna. Jeśli tę ulotkę wtedy widziałem - a widziałem z pewnością - musiałem od razu zauważyć, że te partie, natychmiast zabierające głos, istniały już wcześniej gdzieś w podziemiu. Może dzięki temu zacząłem pojmować, czym jest demokracja.

Dziadek zbierał również gazety Republiki Socjalnej. W jednej z nich, „Il Popolo di Alessandria” (co za niespodzianka, pisywał do niej także Ezra Pound!), publikowano bezlitosne karykatury wymierzone w króla, którego faszyści nie cierpieli nie tylko dlatego, że kazał uwięzić Mussoliniego, lecz także dlatego, że ogłosił zawieszenie broni i uciekł na Południe, do nienawistnych wojsk anglo-amerykańskich. Wykpiwano także jego syna Humberta, który mu towarzyszył. Obu przedstawiano niezmiennie w trakcie ucieczki, wznoszących obłoczki kurzu: król mały, prawie karzełek, księżę wysoki jak tyka. Pierwszego nazywano Szybkonóżką, drugiego - Nieszczęsnym Sukcesorem. Paola powiedziała mi, że miałem zawsze republikańskie przekonania. Pierwszą lekcję otrzymałem, jak widać, od tych właśnie, którzy króla uczynili cesarzem Etiopii. Niezbadane są drogi Opatrzności.

Spytałem Amalię, czy dziadek opowiedział mi historię z olejem.

- Jakżeby nie? Zaraz następnego dnia. Był taki zadowolony! Jak tylko panicz się obudził, usiadł na brzegu łóżka i opowiedział o wszystkim, pokazując buteleczkę.

- A ja?

- A pan, paniczu Jambo... widzę panicza, jakby to było dzisiaj... klaskał w ręce i wołał: „Brawo, dziadku, jesteś lepszy od Gudona!”

- Od Gudona? Co to takiego?

- A skąd mam wiedzieć? Ale tak właśnie panicz wołał, przysięgam, jestem pewna, jakbym to słyszała w tej chwili.

Nie Gudona, ale Gordona. W wyczynie dziadka słauiłem bunt Flasha Gordona przeciw Mingowi, tyranowi Mongo. . BLADA PANIENKA

Przygodę dziadka przyjąłem z entuzjazmem czytelnika komiksów. W zbiorach Kaplicy nie było jednak niczego, co dotyczyłoby okresu od połowy 1943 roku do końca wojny. Znalazłem dopiero komiksy z 1945 roku, które otrzymałem od wyzwolicieli. Od połowy 1943 do połowy 1945 roku komiksy we Włoszech albo nie wychodziły, albo nie docierały do Solary. A może po ósmym września 1943 roku byłem świadkiem rzeczywistych wydarzeń, jakby wziętych z powieści - partyzanci, Czarne Brygady pod domem, dostarczane nam po kryjomu tajne ulotki - które przewyższały wszystko, co komiksy mogły mi zaoferować. A może wreszcie czułem się już zbyt dorosły i właśnie w tych latach zacząłem oddawać się lekturom ostrzejszym w smaku, jak Hrabia Monte Christo lub Trzej muszkietierowie.

W każdym razie Solara nie zwróciła mi dotąd niczego, co byłoby

naprawdę i wyłącznie moje. Odkryłem ponownie tylko to, co przeczytałem tak samo jak wielu innych. Do tego sprowadzała się cała moja archeologia. Pomijając opowiadanie o nietłukącej szklance i ładną historię dotyczącą dziadka (ale nie mnie), nie przeżyłem ponownie dzieciństwa własnego, tylko dzieciństwo całego pokolenia.

Najjaśniej przemawiały do mnie dotąd piosenki. Poszedłem do gabinetu dziadka włączyć moje radio; płyty nakładałem na chybił trafił. Pierwsza piosenka, jaką usłyszałem, była znowu z tych szaleńczo wesołych, które towarzyszyły nalotom bombowym.

Wczoraj w miejskim ogrodzie, po którym spacerowałem jak co dzień, podszedł do mnie młody szaleniec, który mówił jak cudzoziemiec, zaprosił mnie do kawiarni na śniadanie i tam zaczął swe wyznanie:

Znam dziewczynkę, co ma włosy jak złoto, miłość do niej jest moją zgryzotą.

Mówiła mi babcia Karolina, że kiedyś, gdy podobała się chłopcu dziewczyna, to mówił do niej tak:

twoje czarne włosy, twoje wargi, twoje oczy całowałbym z ochotą.

Ale ja nie mogę tak powiedzieć, bo jeśli chcesz wiedzieć, mój skarb ma włosy jasne jak złoto!

Druga piosenka była z pewnością starsza i bardziej rozczulająca. Wyciskała prawdopodobnie łzy z oczu mojej matki.

Błada panienko, co na piątym piętrze otwierasz okienko. Co dzień śnię o Neapolu, który jest daleko, od dwudziestu jest lat za górą, za rzeką.

...mój synek, co bez przyczyny kartkował stary podręcznik do łaciny, znalazł w nim zasuszony bratek... Dlaczego łzy ze mnie wycisnął ten kwiatek? Kto wie, kto wie?...

A ja? Komiksy w Kaplicy wskazywały, że objawił mi się seks - ale miłość? Czy Paola była pierwszą kobietą w moim życiu?

Dziwne, że w Kaplicy nie było niczego, co odnosiłoby się do okresu, w którym miałem od trzynastu do osiemnastu lat. Przecież w ciągu tych pięciu lat - przed wypadkiem rodziców - bywałem jeszcze w Solarze.

Przypomniałem sobie, że widziałem trzy pudełka - nie na półkach, lecz oparte o ołtarz. Nie zwracałem na nie dotąd większej uwagi, bo byłem zbyt zauroczony moim wielobarwnym zbiorem. Może zawierały jeszcze coś, w czym warto poszperać.

Pierwsze pudełko było pełne fotografii z czasów mojego dzieciństwa. Oczekiwałem Bóg wie jakich rewelacji, a tu nic. Tylko uczucie pewnego, religijnego jakby wzruszenia. Po obejrzeniu zdjęć rodziców w szpitalu i dziadka w gabinecie zacząłem identyfikować fotografie rodzinne z różnych okresów, orientując się po ubiorach, rozpoznając rodziców w wieku młodszym i starszym według kroju spódnic matki. Ja musiałem być tym chłopaczkiem w płóciennym kapeluszu, który szturchał ślimaka na dużym kamieniu; dziewczynka, trzymająca mnie grzecznie za rękę, to Ada. A tutaj my oboje w białych ubrankach, moje wyglądało prawie jak frak, jej - jak suknia ślubna; zapewne w dniu pierwszej komunii lub bierzmowania. Na innym zdjęciu byłem drugim balillą od prawej, stojącym w szeregu, z karabinkiem przyciśniętym do piersi i wysuniętą do przodu nogą. Już nieco starszy pojawiałem się u boku czarnoskórego amerykańskiego żołnierza, pokazującego w uśmiechu sześćdziesiąt cztery zęby - był to może pierwszy spotkany przeze mnie wyzwoliciel, z którym sfotografowałem się na pamiątkę po dwudziestym piątym kwietniu 1945 roku.

Jedno jedyne zdjęcie wzruszyło mnie do głębi. Mała fotka, powiększona później - wskazywała na to ziarnistość obrazu - przedstawiająca chłopczyka, który pochylał się nieco w zakłopotaniu, podczas gdy mniejsza od niego dziewczynka, wspięta na palcach, zarzucała mu ramiona na szyję i całowała w policzek. Mama i tatuś zaskoczyli nas, kiedy zmęczona pozowaniem Ada dawała mi spontanicznie dowód siostrzanego afektu.

Wiedziałem, że to my dwoje, i nie mogłem się nie rozczulić, ale było to, jakbym widział tę scenę w filmie i rozczulał się jak ktoś urzeczony artystycznym wyobrażeniem miłości siostry do brata. Tak, jakbym się wzruszał, oglądając Angelusa Milleta, Pocałunek Hayeza lub prerafaelicką Ofelię unoszącą się w wodzie na warstwie żonkili, nenufarów i asfodeli.

Czy były to asfodele? Nie wiem, jeszcze raz słowo, nie obraz, objawia swoją potęgę. Mówi się, że w mózgu mamy dwie półkule: lewa zawiaduje stosunkami racjonalnymi i językiem słownym, prawa zajmuje się uczuciami i światem wizualnym. Może uległa paraliżowi moja prawa półkula. A jednak nie, bo spalam się w poszukiwaniu czegoś, a poszukiwanie jest namiętnością, nie potrawą do spożycia na zimno, jak zemsta.

Odłożyłem na bok zdjęcia, budzące we mnie tylko tęsknotę za nieznanym, i przeszedłem do drugiego pudełka.

Zawierało święte obrazki; wiele z nich było wizerunkami ucznia świętego Jana Bosco, Dominika Savio, którego malarze ukazywali ogarniętego żarem pobożności, w spodniach wygniecionych pod kolanami,

jakby całymi dniami klęczał pogrążony w modlitwie. W pudełku był również tomik w czarnej oprawie, z kartkami o czerwonych brzegach na wzór brewiarza, pióra samego świętego, zatytułowany *Il giovane provveduto*, czyli

Młodzieniec zaopatrzony. Wydanie z 1847 roku, dość już zniszczone, kto wie, od kogo je dostałem. Budujące opowiadania, zbiór pieśni kościelnych i modlitw. Wiele zachęt do czystości obyczajów - cnoty podstawowej.

Także inne broszury zachęcały do czystości obyczajów, zalecały unikać nieprzyzwoitych widowisk, dwuznacznych znajomości, niebezpiecznych lektur. Wydawało się, że ze wszystkich przykazań najważniejsze było szóste - nie cudzołóż - w szerokim ujęciu. Różnorakie pouczenia dotyczyły w całkiem oczywisty sposób niedozwolonego dotykania własnego ciała, aż po radę, aby wieczorem kłaść się do łóżka na wznak, z rękami skrzyżowanymi na piersi - tak aby brzuch nie gniótł materaca. Zalecenia dotyczące nieutrzymywania kontaktów z osobami płci odmiennej były rzadkie, jakby ewentualność taka wydawała się odległą, niemożliwa z racji surowych konwencji społecznych. Najważniejszym wrogiem była masturbacja, chociaż tego słowa używano nieczęsto, zastępując je przeważnie ostrożnymi omówieniami. Jedna z książeczek wyjaśniała, że wśród zwierząt uprawiają masturbację wyłącznie ryby. Chodziło prawdopodobnie o inseminację zewnętrzną, czyli o to, że wiele rodzajów ryb rozsiewa plemniki i ikrę w wodzie, która z kolei bierze na siebie zapłodnienie; nie oznacza to jednak, że biedne rybki grzeszą, kopulując w niewłaściwy sposób. Ani słowa o małpisonach, onanistach z powołania. Całkowite milczenie na temat homoseksualizmu, jakby dawać

się obmacywać seminarzyście nie było grzechem.

Wziąłem także do ręki bardzo zużyty egzemplarz Małych męczenników księdza Dominika Pilli. Była to historia dwojga pobożnych młodych ludzi, chłopca i dziewczyny, poddawanych najstraszniejszym torturom przez antyklerykalnych masonów - sługi Szatana, którzy z nienawiści do naszej świętej wiary chcieli zapoznać te niewinne istoty z rozkoszami grzechu. Ale zbrodnia nie popłaca. Artystę Bruna Cherubiniego, który wyrzeźbił dla masonów statwę Świątokradztwa, budzi w nocy zjawą towarzysza hulankę, Volfanga Kaufmana. Po ostatniej orgii Volfango i Bruno zawarli umowę: ten z nich, który umrze pierwszy, ukaże się przyjacielowi i powie mu, co znajduje się w zaświatach. No i Volfango wyłania się post mortem z oparów piekieł, owinięty całunem, z szeroko otwartymi oczyma w twarzy mefistofelicznego dżentelmena, bije od niego złowrogie światło. Duch przedstawia się i oświadcza: „Piekło istnieje, ja w nim przebywam!” Mówi potem, że jeśli Bruno chce namacalnego dowodu, niech wyciągnie prawą rękę. Rzeźbiarz wykonuje polecenie, a wtedy widmo strząsa na jego dłoń kroplę potu, która przenika ją na wylot, jakby pot był stopionym ołowiem.

Daty na książce i na broszurach - jeżeli w ogóle były - nie miały dla mnie znaczenia, ponieważ mogłem czytać te publikacje w każdym wieku. Nie umiem więc powiedzieć, czy oddawałem się pobożnym praktykom w ostatnich latach wojny, czy też dopiero po powrocie do miasta. Reakcja na wydarzenia wojenne, zmagania z burzami okresu dojrzewania, szereg rozczarowań - czy to wszystko popchnęło mnie w szeroko rozwarte

ramiona Kościoła?

Jedyne prawdziwe strzępy mnie samego znajdowały się w trzecim pudełku. Przede wszystkim kilka numerów „Radio-corriere” z lat 1947-1948, gdzie niektóre audycje były zaznaczone i opatrzone notkami. Charakter pisma był z pewnością mój, a więc te strony mówiły mi, czego ja tylko chciałem słuchać. Nie licząc kilku programów nocnych, poświęconych poezji, podkreślenia dotyczyły wyłącznie muzyki kameralnej i koncertów. Były to krótkie przerywniki między poszczególnymi audycjami, wcześnie rano, po południu lub późnym wieczorem: trzy etiudy, jeden nokturn, w najlepszym wypadku cała sonata. Coś dla melomanów, nadawane w godzinach, kiedy radia mało kto słucha. Po zakończeniu wojny i powrocie do miasta czyhałem więc na takie okazje i upajałem się muzyką po trochu, z uchem przy aparacie nastawionym cicho, aby nie przeszkadzać reszcie rodziny. U dziadka były płyty z muzyką klasyczną, lecz kto mi zaręczy, że nie kupił ich później, właśnie po to, aby mnie zachęcić do utrwalania mojej nowej pasji. Przedtem zaznaczałem sobie jak szpieg te rzadkie chwile, w których mogłem posłuchać ulubionej muzyki. Kto wie, jak bardzo się złościłem, kiedy wchodząc do kuchni na wyczekiwane od wielu dni spotkanie, stwierdzałem, że niczego nie usłyszę, bo pełno tam było ludzi - gadatliwych dostawców, kobiet robiących porządki lub wałkujących ciasto.

Kompozytorem, którego utwory podkreślałem najmocniej, był Chopin. Zniosłem pudło do gabinetu dziadka, uruchomiłem podłączony do Telefunkena gramofon i rozpocząłem swoje ostatnie poszukiwania przy dźwiękach Sonaty nr 2 b-moll opus 35.

Pod „Radiocorriere” leżały moje zeszyty z liceum z lat 1947-1950. Zrozumiałem, że miałem doprawdy wspaniałego nauczyciela filozofii, bo zdecydowana większość tego, co dziś z tej dyscypliny wiem, znajdowała się tam właśnie, w moich notatkach. Były też rysunki, karykatury, zapiski o różnych kawałach z udziałem kolegów i fotografie klasy na koniec roku szkolnego, wszyscy w trzech lub czterech rzędach z profesorami pośrodku. Twarze nic mi nie mówiły, z trudem rozpoznawałem nawet siebie samego, przeważnie w drodze kolejnych wykluczeń, no i chwytając się ostatnich pasemek kosmyka Kędziorka.

Wśród zeszytów szkolnych jeden z datą 1948 na pierwszej stronie. Przeglądając go, zauważyłem stopniową zmianę charakteru pisma; mógł więc zawierać także teksty z lat następnych. Były to wiersze.

Wiersze tak niedobre, że musiały być moje. Chłopięcy trądzik. Chyba wszyscy pisali wiersze w wieku szesnastu lat, w fazie przejściowej między chłopięctwem a dojrzewaniem. Nie wiem już, gdzie przeczytałem, że poeci dzielą się na dwie kategorie: dobrych, którzy w pewnej chwili niszczą swoje niedobre poezje i jadą do Afryki sprzedawać karabiny, i złych, którzy publikują i piszą aż do śmierci.

Może nie jest to dokładnie tak, ale moje wiersze były brzydkie. Nie straszne czy budzące wstręt - wtedy można by myśleć o geniuszu prowokującym - lecz patetycznie banalne. Czy warto było wrócić do Solary dla stwierdzenia, że byłem kiepskim wierszokletą? Jeden powód do dumy mogłem jednak mieć: zamknąłem przecież te poronione płody w pudełku, złożyłem w Kaplicy z zamurowanym wejściem i wziąłem się do zbierania starych książek. W wieku około osiemnastu lat musiałem nadzwyczaj trzeźwo patrzeć na świat i być obdarzony nieprzekupnym

zmysłem krytycznym.

Pogrzebałem wprawdzie te wiersze, jednak je zachowałem. Widać więc, że w jakiejś mierze mi na nich zależało, nawet wtedy, kiedy chłopięcy trądzik już mi przeszedł. Zachowałem je na pamiątkę. Wiadomo, że ten, komu udało się pozbyć solitera, zachowuje jego głowę w roztworze alkoholowym; inni robią to samo z kamieniami, które wyjęto im z woreczka żółciowego.

Pierwsze moje utwory były drobnymi szkicami, krótkimi wypowiedziami pełnymi zachwytu nad pięknem przyrody, obowiązkowymi u każdego początkującego poety: zimowe ranki, tchnące wśród szronu tęsknotą za kwietniem, płatanina lirycznych niedomówień o tajemniczej barwie sierpniowego wieczoru, wiele, zbyt wiele księżycy, jeden tylko moment zawstydzenia:

Co robisz, księżycu na niebie, co robisz?

Żyje moim życiem, moim życiem wyblakłym, bo jestem nagromadzeniem ziemi, martwych dolin i nużących, wygasłych wulkanów.

Bogu dzięki, nie byłem zupełnie głupi. A może odkryłem dopiero co futurystów, którzy chcieli zabić światło księżycy. Zaraz potem przeczytałem jednak kilka wierszy o Chopinie, o jego muzyce i smutnym życiu. No pewno, mając szesnaście lat, nie pisze się poezji o Bachu, który pobłądził tylko raz, w dniu śmierci żony: grabarzom, pytającym, jak zorganizować pogrzeb, odpowiedział, żeby zwrócili się do niej. Chopin wydaje się stworzony po to, by wyciskać łzy z oczu szesnastolatka: wyjazd z Warszawy ze wstążką Konstancji na sercu, zbliżająca się śmierć w pustelni Valdemosy. Dopiero z wiekiem pojmujesz, że był wielkim

kompozytorem, przedtem tylko płaczesz.

Kolejne wiersze dotyczyły pamięci. Jeszcze mleko miałem pod nosem, a już usiłowałem zbierać wspomnienia, które nie zdążyły spłowieć z upływem czasu. Oto co napisałem:

Buduję sobie wspomnienia.

Życie kieruję na ten złudny cel.

W każdej przemijającej chwili, w każdym momencie, odwracam lekko stronę drżącą ręką.

Wspomnienie to fala, która marszczy na krótko wodę i znika.

Częstego rozpoczynania od nowego wiersza musiałem się nauczyć od poetów hermetycznych.

Wiele poezji o klepsydrze, która przędzie czas cienko jak piankę i składa go w szczelnych spichlerzach pamięci, hymn do Orfeusza (sic!), w którym przestrzegam go, że nie wraca się powtórnie do królestwa wspomnień, / by odnaleźć przywiędłą, / niespodziewaną świeżość I pienszej kradzieży; zalecenia dla siebie samego: nie wolno mi stracić I ani jednej chwili... Doskonale, wystarczył nadmierny wzrost ciśnienia w moich arteriach, a straciłem wszystko. Do Afryki, do Afryki, sprzedawać karabiny!

Oprócz innych lirycznych wynurzeń pisałem wiersze miłosne. Kochałem więc albo byłem zakochany w miłości, jak się w tym wieku zdarza? Mówiłem jednak o jakiejś niej, choć całkiem nieuchwytniej.

Istoto zamknięta iv nietrwałej tajemnicy, która mnie od ciebie oddala, może urodziłaś się tylko po to, aby żyć w tych wierszach, i o tym nie wiesz.

Utwórz wyraźnie w stylu trubadurów, a także - z obecnego punktu

widzenia - zabarwiony męskim szowinizmem. Dlaczego ta istota miałaby urodzić się tylko po to, aby żyć w moich kiepskich poezjach? Jeżeli nie istniała, ja byłem mo-nogamicznym paszą, który z płci pięknej robił mięso dla swojego wyimaginowanego haremu, co oznacza zwykłą masturbację, choćbym do ejakulacji doprowadzał się gęsim piórem. Jeżeli jednak Istota Zamknięta istniała w rzeczywistości i naprawdę o niczym nie wiedziała? W tym wypadku ja byłem półgłówkiem, ale ona, kim była ona?

Nie miałem przed sobą obrazów, lecz słowa, i nie odczuwałem tajemniczych płomieni tylko dlatego, że królowa Loana mnie rozczarowała. Coś jednak czułem, i to do tego stopnia, że mogłem antycypować niektóre wiersze w miarę czytania: pewnego dnia znikniesz, / może był to sen. Fikcja poetycka nie znika nigdy; pisze się po to, aby ją uwiecznić. Moja obawa, że się rozplynie, tłumaczyła się tym, iż poezja była dla mnie wątłą namiastką czegoś, do czego nie udawało mi się zbliżyć. Nieostrożnie budowałem / na ruchomych piaskach chwil I przed jednym obliczem, jedynym obliczem. / Nie wiem jednak, czy żałować momentu, I w którym postanowiłem budować sobie świat. Budowałem sobie świat, ale po to, aby kogoś w nim ugościć.

I rzeczywiście natrafiłem na opis zbyt szczegółowy, aby mógł się odnosić do istoty fikcyjnej.

Przechodziła opodal nieświadoma w nowym uczesaniu, był maj, a student u jej boku

(stary, wysoki i blondyn)

z plastrem na szyi mówił, śmiejąc się, znajomym, że to wrzód od syfilisu.

Dalej wspominałem o żółtej kurtce, jakby to była wizja Anioła

Szóstej Trąby. Dziewczyna istniała, nie mogłem wydumać sobie drania z syfilitycznym wrzodem. A ten wiersz, jeden z ostatnich w dziale poezji miłosnych?

Pewnego zwyczajnego wieczoru trzy dni przed Bożym Narodzeniem odszyfrowywałem miłość po raz pierwszy.

Pewnego zwyczajnego wieczoru -

rozgnieciony śnieg na ulicach -

hałasowałem pod jednym oknem w nadziei, że ktoś mnie zobaczy, jak rzucam śnieżnymi kulami, i myślałem, że to wystarczy, by zrobić ze mnie znakomitość mojej płci.

Ileż to pór roku zmieniło we mnie komórki i tkanki, nie wiem nawet, czy żyję we wspomnieniach.

Ty tylko, ty tylko na krańcu kto wie czego (gdzie jesteś?),

jak mam cię jeszcze odnaleźć w głębi mięśnia serca z tym samym zdumieniem, co trzy dni przed Bożym Narodzeniem.

Tej Istocie Zamkniętej, bardzo realnej, poświęciłem trzy lata mojego duchowego rozwoju. Później {gdzie jesteś?) straciłem ją. I chyba w czasie, gdy zmarli moi rodzice, a ja przeniosłem się do Turynu, postanowiłem zamknąć ten rozdział. Wynika to z dwóch ostatnich wierszy, wetkniętych w zeszyt na zapisanych nie ręcznie, lecz maszynowo kartkach. Nie sądzę, aby w liceum pisało się wtedy na maszynie, zatem te ostatnie poetyckie próby musiały powstać na początku moich studiów uniwersyteckich. Dziwne, że znalazły się w tym zeszycie, skoro wszyscy zapewniali mnie, że przestałem jeździć do Solary właśnie na progu tych lat. Może jednak po śmierci dziadka, kiedy wujostwo wszystko likwidowali, wróciłem jeszcze do Kaplicy po to właśnie, aby zapieczętować wspomnienia, których

chciałem się wyrzec, i wtedy wsunąłem do zeszytu te dwie kartki jako testament i pożegnanie. Zapisane słowa brzmią bowiem jak pożegnanie, jak ostateczny rozrachunek z poezją i z tym wszystkim, co za sobą pozostawiałem. Oto wiersz pierwszy:

Och, białe damy Renoira, panie z balkonów Maneta, bary z tarasami na bulwarach, biała parasolka w powozie, zwiędnięta z ostatnią orchideą, przy ostatnim tchnieniu Bergotte'a...

Bądźmy szczerzy:

Odęta de Crécy

To wielki kurwizjon.

Drugi nosił tytuł Partyzanci. To było wszystko, co pozostało z moich wspomnień, dotyczących okresu od 1943 roku do końca wojny.

Talino, Gino, Ras, Wilczek, Szabla, schodziliście z gór w wiosenny dzień, śpiewając: „Świszczy wiatr, huczy burza”,

jak bardzo chciałbym jeszcze tych letnich miesięcy z głośnym, niespodziewanym ogniem karabinów w ciszy południowego słońca, z popołudniami spędzonymi w oczekiwaniu, z wiadomościami przekazywanymi półgłosem, faszyści odstępują, jutro nadejdą nasi, zlikwidują blokadę, drogą do Orbegno już nie ma przejścia, dwukólką wiozą rannych, widziałem ich w pobliżu Oratorium, sierżant Garrani zabarykadował się w Urzędzie Gminnym...

Potem nagle śpiewka diabelska, hałas piekielny, stukanie iv ścianę domu, głosy z zaułka...

A w nocy, milczenie i rzadkie wystrzały od San Mart ino, i ostatni zbiedzy... Chciałbym śnić o tych długich letnich miesiącach, żywionych pewnością jak krwią, i o czasach, w których

Talino, Gino i Ras spojrzeli może w oblicze prawdy.

Nie mogę jednak, jest jeszcze mój posterunek na drodze do Wąwozu.

Zamykam więc zeszyt pamięci. Minęły już jasne noce, kiedy partyzant w lesie pilnował ptaszków, żeby nie śpiewały, nie przeszkadzały spać pięknej dziewczynie.

Te wiersze pozostawały dla mnie zagadką. Żyłem więc w czasach, które uważałem za bohaterskie, przynajmniej dopóki widziałem je z innymi w roli bohaterów. Gdy u progu dojrzałości starałem się zakończyć wszelkie dociekania na temat mojego dzieciństwa i wieku chłopięcego, spróbowałem wywołać z przeszłości kilka momentów uniesień i pewności. Zatrzymałem się jednak przed jakimś posterunkiem (ostatnim posterunkiem w tej wojnie, toczącej się tuż obok domu) i poddałem się - czemu? Czemuś, czego nie mogłem lub nie chciałem już sobie przypominać i co miało jakiś związek z Wąwozem. Znowu ten Wąwóz. Może zobaczyłem tam strzygi i po tym spotkaniu musiałem wszystko z pamięci wymazać? Albo, będąc już świadomy utraty Istoty Zamkniętej, uczyniłem z pewnych doświadczeń i z Wąwozu alegorię tej utraty i dlatego złożyłem w nienaruszalnej szkatule Kaplicy to wszystko, czym do tamtej chwili byłem?

Nic innego nie można już było znaleźć, przynajmniej w Solarze. Pozostawał jedynie wniosek, że po tej rezygnacji postanowiłem, już jako student, poświęcić się starym książkom, a więc przeszłości nie mojej, w którą nie mogłem się zaangażować.

Kim była jednak ta Istota, która nakłoniła mnie swoją ucieczką do złożenia w archiwum zarówno lat licealnych, jak i lat spędzonych w Solarze? Czyżbym ja także miał swoją bladą panienkę, co na piątym

piętrze otwiera okienko? W takim przypadku to wszystko byłoby znowu i tylko piosenką, którą każdy prędzej czy później zaśpiewał.

Jedynym, który mógł coś o tym wiedzieć, był Gianni. Jeśli się zakochasz, i to po raz pierwszy, zwierzysz się co najmniej najlepszemu szkolnemu koledze.

Zadzwoiłem do niego wieczorem, rozmawialiśmy przez kilka godzin. Zacząłem okrężnie, mówiąc o Chopinie, i dowiedziałem się, że w tamtych czasach radio było rzeczywiście jedynym źródłem naszej ukochanej wielkiej muzyki. Dopiero kiedy byliśmy w ostatniej klasie liceum, powstało w naszym mieście towarzystwo muzyczne, organizujące od czasu do czasu koncerty fortepianowe lub skrzypcowe, w najlepszym razie występ jakiegoś tria. Z naszej klasy chodziliśmy na nie tylko we czwórkę, prawie po kryjomu, bo pozostałych łobuzów interesowało jedynie to, jak dostać się do burdelu, nie mając jeszcze skończonych osiemnastu lat, a na nas patrzyli jak na pedałów.

Dobrze więc, mieliśmy podobne aspiracje i przeżycia, mogłem teraz zaryzykować:

- Potrafisz mi powiedzieć, czy w pierwszej licealnej zacząłem myśleć o jakiejś dziewczynie?

- No i to też zapomniałeś. Ale nie ma może tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dlaczego pytasz, tyle czasu minęło... Posłuchaj mnie, Jambo, myśl raczej o swoim zdrowiu.

- Nie wygłupiaj się. Odkryłem tu pewne rzeczy, które nie dają mi spokoju. Muszę wiedzieć.

Chyba się zawahał, ale potem się rozgadał, i to z dużym zaangażowaniem, jakby tym zakochanym był właśnie on. I rzeczywiście

prawie tak było, ponieważ, opowiadał, do tamtego czasu nie zaznał miłosnych uniesień, więc upajał się moimi zwierzeniami, jakby cała ta historia dotyczyła jego samego.

- To była naprawdę najładniejsza dziewczyna w swojej klasie. Byłeś wymagający. Zakochałeś się, owszem, ale tylko w najładniejszej.

- Alors moi, j'aime qui?... Mais cela va de soi! J'aime, mais c'est forc , la plus belle qui soit! A przecie ja kocham... i to, mowie -
najpięknieszą w świecie!

- Co to takiego?

- Nie wiem, tak mi się powiedziało. Ale opowiedz mi o niej. Jak się nazywała?

- Lila. Lila Saba.

Piękne imię. Rozpuszczałem je w ustach jak miód.

- Lila. Pięknie. A jak to się stało?

- W pierwszej licealnej byliśmy jeszcze krostowatymi chłopakami w pumpach. One w tym samym wieku były już młodymi kobietami i nie chciały nawet na nas spojrzeć, flirtowały wyłącznie ze studentami, którzy czekali na nie przy wyjściu ze szkoły. Ty, ledwo ją zobaczyłeś, już byłeś gotów. Jak Dante i Beatrycze; nie mówię bez powodu, bo w pierwszej licealnej czytaliśmy Życie nowe Dantego i Czyste, chłodne, wdzięczne zdroje! Petrarki, a ty tylko to na pamięć umiałeś, bo dotyczyło ciebie. Więc miłość od pierwszego wejrzenia. Przez kilka dni omdlewałeś ze ściśniętym gardłem i nic nie jadłeś, twoi rodzice myśleli, że jesteś chory. Potem chciałeś się dowiedzieć, jak ona się nazywa, ale nie ośmielałeś się rozpytywać z obawy, że wszyscy się spostrzegą. Na szczęście do jej klasy chodziła Ni-netta Foppa, sympatyczna mała z buzią wiewiórki, która

mieszkała obok was, bawiłeś się z nią od dzieciństwa. Spotkałeś ją na schodach i rozmawiając o czymś innym, spytałeś mimochodem, jak się nazywa dziewczyna, z którą widziałeś ją poprzedniego dnia. W ten sposób poznałeś przynajmniej jej imię.

- Co potem?

- Mówię ci, zrobił się z ciebie żywy trup. A ponieważ byłeś wtedy bardzo pobożny, poszedłeś do swojego spowiednika, księdza Renato, jednego z tych księży jeżdżących motorowerem, w berecie na głowie. Wszyscy mówili, że ma liberalne poglądy. Pozwalał ci nawet czytać autorów umieszczonych na indeksie, żebyś wyrabiał sobie zmysł krytyczny. Ja nigdy bym się nie odważył opowiedzieć takiej historii księdzu, ale ty musiałeś z kimś pomówić. Wiesz, byłeś jak ten facet z dowcipu, który jako rozbitek trafił na bezludną wyspę w towarzystwie najpiękniejszej i najślawniejszej aktorki świata. Dochodzi do tego, do czego dojść musiało, ale on nie jest jeszcze zadowolony i nalega tak długo, aż ona przebiera się za mężczyznę i przypalonym korkiem domalowuje sobie wąsy. Wtedy on bierze ją pod ramię i mówi: „Gdybyś ty wiedział, Gustawie, kogo zaliczyłem...”

- Nie bądź wulgarny, dla mnie to poważna sprawa. Co mi powiedział ksiądz Renato?

- A co miał ci powiedzieć ksiądz, nawet o bardzo liberalnych poglądach? Ze twoje uczucie jest szlachetne, piękne i zgodne z naturą, ale nie wolno ci go niszczyć, zmieniając je w stosunek fizyczny, bo do małżeństwa należy żyć w czystości, a zatem powinienes strzec go jak tajemnicy w głębi serca.

- A ja?

- A ty jak głupek zachowałeś je w głębi serca. Moim zdaniem także i dlatego, że okropnie się bałeś do niej zbliżyć. Tyle że głębia serca ci nie wystarczała i wszystko opowiedziałeś mnie, a ja musiałem nawet ci pomagać.

- Jak to, przecież się do niej nie zbliżałem?

- Było tak. Ty mieszkałeś tuż za szkołą, wychodziłeś z niej, skręcałeś za róg i już byłeś w domu. Zgodnie z rozporządzeniem dyrektora dziewczęta wychodziły po chłopcach. Mogłeś zatem w ogóle jej nie oglądać - chyba że stanąłbyś jak dureń przed wejściowymi schodami. Na ogół zarówno my, jak i dziewczyny musieliśmy przejść przez park miejski aż do placu Minghettiego, potem każdy szedł w swoim kierunku. Ona mieszkała właśnie przy placu Minghettiego. No więc ty wychodziłeś, udawałeś, że mnie odprowadzasz przez cały park, czekałeś, póki nie wyjdą dziewczyny, wracałeś i mijałeś ją, kiedy szła w przeciwną stronę z koleżankami. Mijałeś ją, patrzyłeś na nią i tyle. Dzień w dzień.

- I byłem zadowolony?

- Wcale nie. Zacząłeś kombinować, ile wlezie. Włączałeś się do akcji dobrotczyńnych, żeby dyrektor pozwolił ci chodzić po klasach i sprzedawać jakieś bilety, a wtedy wymyślałeś coś, żeby zatrzymać się pół minuty dłużej przy jej ławce, na przykład dlatego, że nie mogłeś wydać reszty. Udawałeś, że bołą cię zęby, bo twój dentysta przyjmował właśnie przy placu Minghettiego, a jego okna znajdowały się naprzeciwko balkonu jej mieszkania. Skarzyłeś się na okropne bóle, dentysta nie wiedział, co począć, i borował, żeby nie mieć wyrzutów sumienia. Wielokrotnie dawałeś borować sobie zęby bez potrzeby, ale przychodziłeś tam pół godziny wcześniej, żeby siedzieć w poczekalni i wyglądać przez okno.

Oczywiście ona nigdy nie pokazała się na balkonie. Pewnego wieczoru, kiedy padał śnieg, wyszliśmy grupą z kina właśnie na plac Minghettiego, a ty rozpocząłeś bitwę na śnieżki, wrzeszcząc jak opętaniec; myśleliśmy, że jesteś pijany. Miałeś nadzieję, że ona wyjrzy przez okno, a ty będziesz mógł się popisać. Zamiast niej wychyliła się jakaś rozzłoszczona starucha i zawołała, że sprowadzi policję. Potem przyszedł ci do głowy genialny pomysł. Zorganizowałeś rewie, widowisko, wielki show w liceum. Mało brakowało, a nie przeszedłbyś do następnej klasy, bo myślałeś tylko o rewii, o tekstach, muzyce, scenografii. No i wreszcie sukces, trzy kolejne przedstawienia, żeby cała szkoła, uczniowie z rodzicami mogli obejrzeć w audytorium najwspanialszy spektakl świata. Ona przyszła dwa razy z rzędu; Największą atrakcją był numer z panią Marini. Pani Marini była nauczycielką przyrody, bardzo chudą, z kokiem, płaską jak deska, w okularach w szylkretowej oprawie i zawsze w czarnym fartuchu. Ty także byłeś chudy i bez trudu mogłeś się za nią przebrać. Z profilu wyglądałeś zupełnie jak ona. Zaledwie wszedłeś na scenę, zaczęto cię oklaskiwać, jakbyś był co najmniej Carusem. Ale pani Marini miała też takie przyzwyczajenie, że podczas lekcji wyciągała z torebki pastylkę na gardło i przez pół godziny obracała ją w ustach. Kiedy otworzyłeś torebkę i udałeś, że wkładasz pastylkę do ust, a potem zacząłeś językiem wypychać sobie policzki - no, mówię ci, w sali aż zahuczało. Radosne okrzyki i burza oklasków trwały dobre pięć minut. Jednym poruszeniem języka wywołałeś entuzjazm setek osób. Zostałeś bohaterem. Ale bez wątplenia wzniosłeś się na wyżyny tylko dlatego, że ona była tam i na ciebie patrzyła.

- Czy nie pomyślałem sobie, że w tej sytuacji już mogę się odważyć?

- No tak, ale obietnica złożona księdzu Renato?

- Więc rozmawiałem z nią tylko wtedy, kiedy sprzedawałem bilety?

- Jeszcze kilka razy. Na przykład gdy pojechaliśmy całą szkołą do Asti, żeby obejrzeć tragedie Alfieriego. Po południu cały teatr był tylko dla nas, w czwórkę udało się nam nawet zdo-być łożę. Ty szukałeś dziewczyny wzrokiem po innych łożach i na parterze. Zobaczyłeś, że siedzi na strapontenie w głębi, skąd nic nie widać. No więc w przerwie podszedłeś do niej niby przypadkiem, powiedziałeś cześć, spytałeś, czy jej się podoba; ona się poskarżyła, że mało widzi, a ty na to, że mamy piękną łożę z jednym wolnym miejscem, może zechce skorzystać. Przyszła, obejrzała wszystkie akty wychylona do przodu, ty siedziałeś z tyłu na kanapce. Nie widziałeś sceny, ale przez dwie godziny wlepiłeś oczy w jej kark. Orgazm, można powiedzieć.

- A potem?

- Podziękowała ci i wróciła do koleżanek. Co więcej miałyby zrobić? Mówiłem ci, to były już kobiety, miały nas wszystkich gdzieś.

- Ale w szkole byłem przecież bohaterem przedstawienia?

- I co z tego, myślisz, że kobiety zakochiwały się w Jer-rym Lewisie? Uważały, że jest dobry, i koniec.

No tak, Gianni opowiadał mi banalną historię uczniowskiej miłości. Dalszy ciąg jego opowieści pomógł mi jednak coś zrozumieć. Przeżyłem w obłędzie pierwszy rok liceum. Nadeszły wakacje, cierpiałem jak potępieniec, bo nie wiedziałem, gdzie ona jest. Jesienią, po powrocie do szkoły, adorowałem ją nadal w milczeniu (pisząc dalej wiersze - ale o tym wiedziałem ja, nie Gianni). Jakbym żył u jej boku dzień po dniu, a także w nocy, jak sobie wyobrażam.

Jednak w połowie drugiego roku Lila Saba zniknęła. Od Ni-netty

Foppy dowiedziałem się, że opuściła szkołę i miasto wraz z całą rodziną. Sprawa była niejasna, sama Ninetta mało o niej wiedziała, słyszała tylko plotki. Ojciec Liii popadł w kłopoty, coś w rodzaju sfinansowanego bankructwa. Zostawił wszystko w rękach adwokatów i znalazł sobie posadę za granicą, wyczekując, aż sprawy się ułożą. Widocznie jednak się nie ułożyły, bo nigdy nie wrócili.

Nikt nie wiedział, dokąd pojechali. Jedni mówili, że do Argentyny, drudzy - że do Brazylii. A więc Ameryka Południowa, i to w czasach, gdy szwajcarskie Lugano wydawało się nam końcem świata. Gianni wziął się do roboty. Odkrył, że najlepszą przyjaciółką Liii była niejaka Sandrina, ale ta, powodowana lojalnością, nie chciała niczego powiedzieć. Byliśmy pewni, że do siebie piszą, ale Sandrina milczała jak grób, no i właściwie dlaczego miałyby opowiadać o swojej korespondencji właśnie nam.

Dzielące mnie od matury półtora roku przeżyłem w ustawicznym napięciu i smutku, wychudłem jak szczapa. Myślałem tylko o Liii Sabie i o tym, gdzie ona jest.

Później wydawało się, mówił Gianni, że po wstąpieniu na uniwersytet o wszystkim zapomniałem; w czasie studiów miałem dwie dziewczyny, następnie poznałem Paolę. Lila powinna była zostać pięknym wspomnieniem wieku dojrzewania, jak to każdemu właściwie się zdarza. Ja jednak szukałem jej przez całe życie. Chciałem nawet jechać do Ameryki Południowej, w nadziei, że spotkam ją na ulicy, ot tak sobie, gdzieś między Ziemią Ognistą a Pernambuco. W chwili słabości wyznałem Gianniemu, że w każdym z moich licznych romansów pragnąłem w twarzy kobiety odnaleźć twarz Liii. Chciałem zobaczyć ją raz jeszcze przed śmiercią, bez względu na to, jak by wtedy wyglądała.

Popsułyś sobie wspomnienia, mówił Gianni. Wszystko jedno, nie mogłem nie zamknąć tego rachunku.

- Życie zeszło ci na szukaniu Liii Saby. Ja mówiłem, że to pretekst, żeby spotykać inne. Nie brałem cię zbyt na serio. Dopiero w kwietniu tego roku zrozumiałem, że sprawa jest poważna.

- Co się stało w kwietniu?

- Jambo, nie chciałbym już o tym mówić, bo powiedziałem ci to właśnie na kilka dni przed twoim wypadkiem. Nie sądzę, żeby istniał jakiś bezpośredni związek, ale dajmy temu lepiej pokój, żeby nie zauroczyć. Zresztą uważam, że to właściwie bez znaczenia...

- Nie, teraz musisz wszystko opowiedzieć, inaczej skoczy mi ciśnienie. No dalej, gadaj.

- No więc pojechałem w nasze strony na początku kwietnia, żeby zanieść kwiaty na cmentarz, jak to od czasu do czasu robię, a trochę i z tęsknoty za tym naszym starym miastem. Pozostało takie samo jak wtedy, kiedy je opuszczaliśmy. Wracając tam, czuję się młody. Spotkałem Sandrine, ma koło sześćdziesiątki, jak my, ale nawet wiele się nie zmieniła. Poszliśmy na kawę i powspominaliśmy dawne dzieje. Rozmawiając na różne tematy, spytałem o Lilę Sabę. „To ty nie wiesz - zapytała (a ja, biedak, skąd miałem wiedzieć?) - nie wiesz, że Lila umarła zaraz po tym, jak zdaliśmy maturę? Nie pytaj, jak i dlaczego; pisałam do niej do Brazylii, a jej matka odesłała mi listy z wiadomością, co się stało. Pomyśl tylko, biedna dziewczyna, umierać w wieku osiemnastu lat!” Więcej mi Sandrina nie powiedziała, dla niej też była to stara, dawno zakończona historia.

Przez czterdzieści lat uganiałem się za duchem. Odciałem się od

przeszłości na początku studiów, jedynym wspomnieniem, którego się nie pozbyłem, było właśnie to. Krążyłem bezwiednie i bezsensownie wokół grobu. Bardzo poetyckie. Bardzo bolesne.

- Jak wyglądała Lila Saba? Powiedz mi przynajmniej, jak wyglądała.

- Co mam powiedzieć, była ładna, mnie też się podobała, a kiedy ci o tym wspominałem, puszyłeś się jak ktoś, komu mówią, że ma piękną żonę. Miała jasne włosy prawie do pasa, buzię trochę jak aniołek, trochę jak diabełek, śmiejąc się, pokazywała dwa górne siekacze...

- Zachowały się chyba jakieś jej zdjęcia, grupowe fotografie klasy!

- Jambo, nasze liceum spaliło się w latach sześćdziesiątych, spaliły się mury, ławki, dzienniki klasowe i cała reszta. Teraz stoi tam nowe, okropnie brzydkie.

- Jej koleżanki, Sandrina... mają chyba jakieś zdjęcia...

- Może i tak, jeśli chcesz, to się popytam, choć nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Ale jeśli zdjęć nie ma, co zrobisz? Nawet Sandrina po pięćdziesięciu latach nie potrafi powiedzieć, w jakim mieście Lila mieszkała; miało dziwną nazwę, nie było to miasto znane, jak na przykład Rio de Janeiro. Naplujesz sobie na palec i przejrzysz książki telefoniczne całej Brazylii, żeby zobaczyć, czy nie znajdziesz nazwiska Saba? Mógłbyś znaleźć ich tysiąc; a może ojciec, uciekając, zmienił nazwisko? Pojedziesz tam, i co z tego? Jej rodzice też pewno pomarli albo są zdziecinniali, bo po dziewięćdziesiąt ce. Co im powiesz: „Przepraszam, przejeżdżałem tędy i chciałbym zobaczyć fotografię państwa córki Liii”?

- Dlaczego nie?

- Przestań, skończ wreszcie z tymi mrzonkami. Martwi w ziemi spoczywają, żywi pokój sobie dają. Nie wiesz nawet, na jakim cmentarzu

szukać nagrobka. Zresztą nie nazywała się wcale Lila.

- A jak się nazywała?

- Tam, do licha, powinienem był milczeć. Napomknęła mi o tym Sandrina w kwietniu i zaraz ci powtórzyłem, bo zbieg okoliczności wydał mi się szczególny. Zauważyłem natychmiast, że sprawa zrobiła na tobie wrażenie większe, niż można się było spodziewać. Zbyt duże wrażenie, wybacz, bo chodzi właśnie tylko o przypadek. No dobrze, powiem ci i to. Lila to zdrobnienie od Sybilla.

Profil, który jako dziecko zobaczyłem we francuskim czasopiśmie, twarz ujrzana na schodach liceum w wieku dojrzewania, potem inne twarze, wszystkie mające może coś ze sobą wspólnego: Paola, Vanna, śliczna mała Holenderka i tak dalej, aż po Sybillę, tę żywą, która wkrótce wyjdzie za męża, a więc ją także utracę. Bieg sztafetowy poprzez lata w poszukiwaniu czegoś, co nie istniało już wtedy, gdy pisałem jeszcze wiersze.

Zadeklamowałem w myśli:

Sam we mgle opieram się o pień drzewa w alei...

w moim sercu jest tylko twoje wspomnienie, wyblakłe, ale potężne, zagubione daleko w zimnym świetle po każdej stronie wśród drzew.

Ładny wiersz, bo nie ja go napisałem, lecz Cesare Pavese. Wspomnienie ogromne, lecz blade. Wśród wszystkich skarbów Solary brak fotografii Liii Saby. Gianni pamięta jej twarz, jakby widział ją wczoraj, a ja - jedyny, który miałby do tego prawo - nie pamiętam. .
HOTEL „POD TRZEMA ROZAMI”

Co mam jeszcze robić w Solarze? Najważniejsze wydarzenia mojej wczesnej młodości rozegrały się gdzie indziej - w mieście pod koniec lat

czterdziestych, później w Brazylii. Związane z nimi miejsca (moje ówczesne mieszkanie, liceum) już nie istnieją, być może nie istnieją też owe miejsca odległe, gdzie Lila spędziła ostatnie lata swojego krótkiego życia. Najnowsze dokumenty, jakie mogła mi zaoferować Solara, to moje wiersze, dzięki którym dostrzegłem Lilę, nie widząc jednak jej twarzy. Stoję znowu przed ścianą z mgły.

Tak myślałem dziś rano. Czułem się gotowy do wyjazdu, lecz chciałem jeszcze pożegnać definitywnie strych. Byłem przekonany, że nie mam tam już czego szukać, lecz kierowało mną nedorzeczne pragnienie znalezienia jakiegoś ostatniego śladu.

Przemierzyłem ponownie dobrze mi znane pomieszczenia: tu zabawki, tam szafy z książkami... Spostrzegłem nieotwar-te jeszcze pudło, wepchnięte między dwie szafy. Były w nim znowu powieści, klasycy, jak Conrad i Zola, oraz beletrystyka popularna, jak przygody Szkarłatnego Kwiatu baronowej Orczy...

Była też włoska powieść kryminalna sprzed wojny, Hotel „Pod Trzema Różami” Augusta Marii de Angelis. Wydało mi się raz jeszcze, że jest w niej opowiedziana moja historia.

Deszcz padał długimi strugami, srebrzącymi się w świetle latarni. Mgła rozlana szeroko, dymna, kłuła twarz swoimi szpilkami. Na chodnikach falowała w ruchu niekończąca się procesja parasoli.

Środkiem ulicy - samochody, kilka dorożek, przepełnione tramwaje. W tych pierwszych dniach grudnia w Mediolanie o szóstej po południu było już całkiem ciemno.

Trzy kobiety przeciskały się pospiesznie, skokami, jakby gnane wiatrem, poprzez szeregi przechodniów. Wszystkie trzy ubrane na czarno,

według przedwojennej mody, w kapelusikach z gazy ozdobionych perełkami...

Były tak podobne jedna do drugiej, że gdyby nie wstążki różnych kolorów - Ula, fioletowa i czarna - zawiązane na kokardę pod brodą, każdemu mogłoby się wydać, że ma halucynacje, że widzi kolejno trzy razy tę samą osobę. Szły w górę ulicą Ponte Vetro od strony dell'Orso, a gdy dotarły tam, gdzie kończy się oświetlony chodnik, wszystkie trzy zgodnym susem zagłębiły się w ciemnościach placu del Carminé.

Idący za nimi mężczyzna, który nie zdecydował się ich dogonić, gdy przechodziły przez plac, stanął w strugach deszczu przed fasadą kościoła.

Machnął ze złością ręką, patrząc na czarną furtkę... Czekał, wpatrzony w boczne drzwi kościoła. Co pewien czas czarny cień przecinał plac i znikał za nimi. Mgła gęstniała. Minęło ponad pół godziny. Mężczyzna wydawał się zrezygnowany. Oparł parasol o ścianę, aby spłynęła z niego woda, i pocierał ręce wolnym, rytmicznym ruchem, który towarzyszył wewnętrznemu monologowi.

Czekał, wpatrzony nadal w kościelną furtkę. Co pewien czas czarny cień przecinał plac i znikał za nią. Mgła gęstniała...

Z placu del Carminé skręcił w ulicę Mercato, szedł potem Pontaccio, a gdy znalazł się przed wielkimi oszklonymi drzwiami, prowadzącymi do obszernego, jasno oświetlonego holu, otworzył je i wszedł do środka. Na oszklonych drzwiach widniały wielkie litery napisu: Hotel „Pod Trzema Różami”.

To byłem ja. W szeroko rozlanej mgle dostrzegłem trzy kobiety - Lilę, Paolę i Sybillę - które w tych oparach wydawały się nie do odróżnienia i nagle znikły w cieniu. Dalsze ich szukanie stało się

bezelowe, mgła przecież gęstniała. Lepiej skrócić w ulicę Pontaccio i wejść do oświetlonego holu (lecz czy w tym hotelu nie dojdzie do zbrodni?). Gdzie może się znajdować hotel „Pod Trzema Różami”? Dla mnie - wszędzie. A rosę by any other name... To, co zowiem różą, pod inną nazwą...

Na dnie pudła leżała jeszcze warstwa gazet, a pod nimi dwa stare tomy dużego formatu. Jednym była Biblia z ilustracjami Dorégo, lecz w stanie tak oplakany, że nadawała się tylko na stoiska bukinistów. Drugi miał oprawę sprzed najwyżej stu lat, półskórek, grzbiet bez napisu, zniszczony, okładki z kartonu w wyblakły marmurek. Po otwarciu wyglądał na tom prawdopodobnie siedemnastowieczny.

Zaalarmowany składem typograficznym i dwukolumnowym tekstem, spojrziałem od razu na frontysepis: Mr. William Shakespeares Comédies, Historiés, & Tragédies. Portret Szekspira, printed by haac laggard...

Nawet u człowieka całkiem zdrowego takie znalezisko mogłoby wywołać zawał. Bez żadnej wątpliwości; tym razem nie był to żart Sybilli, lecz foliał z 1623 roku, kompletny, z kilkoma bladymi plamami wilgoci i szerokimi marginesami.

Jak ta książka trafiła w ręce dziadka? Prawdopodobnie zakupił en bloc dziewiętnastowieczne druki od takiej idealnej staruszki, która wcale się nie targowała, przekonana, że sprzedaje niepotrzebne rupiecie handlarzowi starzyzną.

Dziadek nie był ekspertem od starych druków, ale nie był też ignorantem. Zrozumiał na pewno, że chodzi o edycję nie-pozbawioną

wartości, cieszył się chyba, że ma wydanie dzieł wszystkich Szekspira, lecz nie przyszło mu do głowy zajrzeć do katalogów aukcyjnych, których zresztą nie posiadał. Kiedy wujostwo wyrzucali wszystko na strych, trafił tam także ten foliał i przeleżał czterdzieści lat, czekając swojej chwili, podobnie jak przedtem, w jakimś innym miejscu, spędził lat ponad trzysta.

Serce biło mi jak oszalałe, lecz nie zwracałem na to uwagi.

Siedzę teraz tutaj, w gabinecie dziadka, dotykając mojego skarbu drżącymi rękami. Po tyłu podmuchach szarej mgły wszedłem do hotelu „Pod Trzema Różami”. To nie fotografia Liii, lecz zaproszenie do powrotu do Mediolanu, do terażniejszości. Jeśli tu jest portret Szekspira, tam będzie portret Liii. Wieszczyk poprowadzi mnie do mojej Dark Lady.

Dzięki temu foliałowi przeżywam opowieść o wiele bardziej podniecającą niż wszystkie tajemnice samotnego zamku, z którymi zetknąłem się w ścianach Solary podczas prawie trzech miesięcy podwyższonego ciśnienia. Wzruszenie mąci mi myśli, mam wypieki na twarzy.

To z pewnością największy sukces i największy szok w moim życiu.

Część trzecia 01 N0ZT0I - POWROTY

. WRESZCIE POWRÓCIŁAŚ, PRZYJACIÓŁKO MGŁO!

Biegnę tunelem o fosforyzujących ścianach. Pędzę w stronę odległego punktu, który pociąga mnie swoją miłą szarzyzną. Czy to doświadczanie śmierci? O ile mi wiadomo, kto jej popróbował i stamtąd wrócił, opowiada coś wręcz przeciwnego - pokonuje się długie, wąskie, ciemne, przyprawiające o zawrót głowy przejście i wychodzi w snop oślepiającego światła. Hotel „Pod Trzema Różami”. A zatem ja nie umarłem albo tamci kłamali.

Jestem prawie u wylotu tunelu, pojawiają się opary, gęstniejące na zewnątrz. Nurzam się w nich, prawie niepostrzeżenie zagłębiam w kruchą tkaninę falujących dymów. To mgła. Nie ta, o której czytałem, o której mi opowiadano. Mgła prawdziwa, jestem w niej. Wróciłem.

Wokół mnie mgła się podnosi, aby malować świat miękko nieuchwytny. Gdyby wyłoniły się zarysy domów, zobaczyłbym mgłę, jak nadgryza milczkiem dach, zaczynając od rogu. Połknęła już jednak wszystko. A może to mgła na polach i wzgórzach? Nie rozumiem, czy unoszę się w niej, czy też chodzę, ale i na ziemi jest tylko mgła. Wydaje mi się, że depczę śnieg. Pograżam się we mgle, wypełniam nią płuca, wydmuchuję ją, owijam się nią jak delfin - kiedyś marzyłem, aby tak pływać w śmietanie... Mgła przyjaciółka staje przede mną, otacza mnie, przykrywa, owija, oddycha mną, głaszcze mnie po policzkach, potem wciska się między kołnierz i podbródek, kłując mnie w szyję; pachnie ostro, śniegiem, mocnym napojem, tytoniem. Idę tak, jak chodziłem po podcieniach Solary, gdzie nigdy nie było się pod otwartym niebem i gdzie podcienia były niskie jak piwnice. Et, comme un bon nageur qui se pâme dans l'onde, / Tu sillonnes gaiement l'immensité profonde / Avec une indicible et mâle volupté, Jak doświadczony pływak niesiony na falach - / Nurzasz się w bezgranicznych i bezdennych dalach / Z samczą poządliwością nie do wysłowienia. To chyba Baudelaire.

Kilka sylwetek wychodzi mi naprzeciw. Pojawiają się najpierw jako olbrzymy o wielu ramionach. Bije od nich łagodne ciepło, mgła wokół nich się rozprasza, widzę ich jakby oświetlonych słabym światłem ulicznej latarni, odsuwam się w obawie, że się na mnie zwałą, górują nade mną, wgłębiam się w nich jak w widma, rozplývają się. To tak, jakby jadąc

pociągiem, patrzeć na zbliżające się w mroku sygnały świetlne, które za chwilę znikną, znowu pochłonięte przez mrok.

Pojawia się teraz postać drwiąca, szatański pajac w zielono-niebieskawym trykocie, przyciskający do piersi rodzaj poduszki, która kształtem przypomina ludzkie płuca; z jego wykrzywionych szyderczo ust tryskają płomienie. Wpada na mnie, oblizuje jak miotacz ognia, odchodzi, pozostawiając po sobie nikłą smugę ciepła, która na kilka chwil rozjaśnia mglistą sza-rzyznę, fumifugium. Toczy się na mnie kula niosąca olbrzymiego orła, zza drapieżnego ptaka wyłania się głowa o sinym obliczu, najeżona setką ołówków jak stojącymi dęba ze strachu włosami... Znam ich, towarzyszyli mi, gdy leżałem w gorączce, zanurzony w królewskim cieście, pasta reale, pośród ropiejących żółtych bąbelków, które pękały wokół mnie, a ja gotowałem się w tej mazi. Teraz, jak w tamte noce, leżę w mroku mojego pokoju. Nagle otwierają się drzwi starej czarnej szafy i wychodzi z niej wielu stryjów Gaetanów. Mój stryj Gaetano miał trójkątną twarz ze spiczastym podbródkiem, kędzierzawe włosy tworzyły mu na skroniach jakby dwie narośle; twarz suchotnika, wzrok posepny, pośrodku nadpsutych przednich zębów jeden złoty. Zupełnie jak ta postać z ołówkami na głowie. Stryjowie Gaetanowie wychodzili najpierw parami, potem rozmnażali się i tańczyli po moim pokoju, poruszając się jak marionetki, wyginając miarowo ramiona, niekiedy trzymając w ręku niby laskę dwumetrowy drewniany liniał. Wracali przy każdej sezonowej grypie, przy każdej odrze czy szkarlatynie, aby mnie prześladować późnym popołudniem, gdy gorączka rośnie; bałem się ich. Potem odchodzili tak samo, jak przyszli; może znikali znowu w szafie. Podczas rekonwalescencji otwierałem ją ostrożnie i

przeszukiwałem dokładnie wnętrze, nigdy nie znajdując ukrytego przejścia, z którego się wyłonili.

Po wyzdrowieniu spotykałem, choć z rzadka, stryja Gaetana w południe na niedzielnym korso. Uśmiechał się do mnie, pokazując złoty ząb, głaskał po policzku, mówił „dzielny chłopak” i szedł dalej. Wydawał się poczciwym człowiekiem, nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego przychodził mnie dręczyć podczas choroby. Rodziców nie ośmielałem się zapytać, co dwuznacznego, śliskiego, jakby groźnego było w życiu, w samym jestestwie stryja Gaetana.

Co powiedziałem Paoli, gdy uratowała mnie przed nadjeżdżającym samochodem? Powiedziałem, że wiem, iż samochody przejeżdżają kury; aby tego uniknąć, hamuje się, powstaje chmura czarnego dymu, dwóch mężczyzn w prochowcach i wielkich ciemnych okularach musi potem znowu wprowadzić samochód w ruch za pomocą korby. Wtedy nie wiedziałem, lecz teraz wiem, że w oparach delirium pojawiali się oni po stryju Gaetanie.

Są tutaj znowu, spotykam ich niespodzianie we mgle.

Usuwa się w samą porę, samochód wykrzywia się w grymasie jak człowiek, wysiada z niego dwóch mężczyzn, którzy usiłują chwycić mnie za uszy. Moje uszy zrobiły się teraz bardzo długie, astronomicznie ośle, obwisłe i włochate, sięgają księżyca. Uważaj, jeśli będziesz niegrzeczny, spotka cię jeszcze coś gorszego niż Pinokia z jego nosem: urosną ci uszy Mea! Uszy Mea - dlaczego tej książki nie było w Solarze? Ja żyję dziś na stronach Uszów Mea, jestem tym chłopcem z długimi uszami.

Odzyskałem pamięć. Tylko że teraz - zbytek łaski! - wspomnienia kłębią się wokół mnie jak puszczyki.

Gorączka opada po ostatniej tabletki chininy. Ojciec siada przy moim łóżku i czyta mi rozdział z Czterech muszkieterów. Nie trzech, tylko czterech. Radiowa parodia w odcinkach, której słuchały pilnie całe Włochy, bo była połączona z konkursem reklamowym: kupowało się czekoladki Perugina, każde pudełko zawierało kolorowe obrazki z figurkami związanymi z tym słuchowiskiem; zbierało się je do albumu i można było wygrać bardzo dużo nagród.

Tylko ten jednak, któremu trafiła się figurka najrzadsza - Srogi Saladyn - wygrywał samochód Fiat Balilla. No i cały kraj zatruwał się czekoladą (dawano ją w prezencie wszystkim: krewnym, kochankom, sąsiadom, przełożonym), aby zdobyć Srogiego Saladyna.

W historii, którą roztoczemy przed wami, zobaczycie wspaniałe kapelusze z piórami, szpady, rękawice, pojedynki i zasadzki, piękne kobiety i miłosne schadzki... Wyszła również książka oparta na słuchowisku, z wieloma dowcipnymi ilustracjami. Tatuś czytał mi, a ja zasypiałem, mając przed oczyma kardynała Richelieu otoczonego kotami lub piękną Sulamitkę.

Dlaczego w Solarze (kiedy? wczoraj? tysiąc lat temu?) było tyle śladów po dziadku, a żadnego po ojcu? Bo dziadek handlował książkami i czasopismami, a ja książki i czasopisma czytałem - papier, papier, papier - ojciec zaś pracował cały dzień i nie zajmował się polityką, może by nie stracić posady. Kiedy mieszkaliśmy w Solarze, dojeżdżał do nas nie bez

trudu w weekendy, resztę czasu spędzał w mieście, pod bombami; przy mnie czuwał tylko wtedy, gdy byłem chory.

Bang krak blam klamp splasz krakl krancz grant pwutt roor rambl
blomp sbam buizz skrankete slem sprenk blomp slum bam tamp kleng
tomp trak uaag wruum og zum...

Gdy bombardowano miasto, z okien Solary widać było dalekie błyski i dochodziło jakby huczenie grzmotów. Oglądaliśmy to widowisko z myślą, że może w tej chwili walący się dom przygniata tatusia, lecz prawdy mogliśmy się dowiedzieć dopiero w najbliższą sobotę, kiedy znowu się pojawiał. Czasami bombardowano we wtorek - wtedy musieliśmy czekać cztery dni. Wojna uczyniła z nas fatalistów, bombardowanie traktowaliśmy jak burzę. My, dzieci, bawiliśmy się spokojnie we wtorek wieczorem, w środę, czwartek i piątek. Czy byliśmy jednak naprawdę spokojni? Czy nie zaczęliśmy odczuwać udręki, oniemiałego z przerażenia smutku tych, którzy spacerują żywi po polu usianym trupami?

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że kochałem ojca, i widzę jego twarz z piętnem życia pełnego poświęceń. Ciężko pracował, aby zdobyć samochód, który miał się stać przyczyną jego śmierci. Robił tak może, aby czuć się niezależny od dziadka, żyjącego wesoło bez finansowych kłopotów, na dodatek w aureoli bohatera ze względu na swoją polityczną przeszłość i zemstę na Merlu.

Obok mnie siedzi tatuś i czyta mi o uwspółcześnionych przygodach d'Artagnana, noszącego w tej książce pumpy, niczym gracz w golfa. Czuję zapach matczynej piersi jak wtedy, kiedy wyciągałem się na łóżku, a mama - jej pierś dawno już ssać przestałem - odkładała modlitewnik i

śpiewała mi cicho hymn na cześć Dziewicy, który chromatycznie wznosił mnie do preludium Wagnerowskiej opery Tristan i Izolda.

Dlaczego teraz to wszystko sobie przypominam? Gdzie jestem? Od mglistych pejzaży przechodzę do nader żywych obrazów domowych wnętrz i widzę wielką, ogromną ciszę. Wokół niczego nie dostrzegam, wszystko jest wewnątrz mnie. Usiłuję poruszyć palcem, ręką, nogą, ale jest tak, jakbym nie miał ciała. Jakbym unosił się w nicości i szybował nad otchłaniami, otwierającymi się nad innymi otchłaniami.

Podano mi narkotyk? Ale kto? Czy przypominam sobie ostatnie miejsce, w którym przebywałem? Kto się budzi, pamięta zazwyczaj, co robił, zanim poszedł spać; pamięta nawet, że zamknął książkę i położył ją na stoliku nocnym. Zdarza się jednak, że budzimy się w hotelu lub nawet we własnym domu po długiej nieobecności i szukamy po lewej lampy, która stoi po prawej, albo próbujemy zejść z łóżka po niewłaściwej stronie, bo zdaje się nam, że jesteśmy jeszcze gdzie indziej. Pamiętam, jakby to było wczoraj, że ojciec czytał mi przed zaśnięciem Czterech muszkietierów¹, wiem, że działo się to co najmniej pięćdziesiąt lat temu, lecz trudno mi sobie przypomnieć, gdzie pozostawałem, zanim się tutaj przebudziłem.

Czy nie byłem w Solarze z foliałem Szekspira w ręku? A potem? Amalia wsypała mi LSD do zupy i kołyszę się tu teraz we mgle pełnej postaci, wynurzających się z każdego zakątka mojej pamięci.

Głupiec ze mnie, to takie proste... W Solarze miałem powtórnie wypadek, wzięto mnie za zmarłego i pochowano, obudziłem się w grobie. Pogrzebany żywcem - klasyczny przypadek. Ale w takiej sytuacji człowiek się miota, porusza kończynami, stuka w ściany cynkowej

trumny, brak mu powietrza, wpada w panikę. A ja nie, nie czuję się ciałem, jestem zupełnie spokojny. Przeżywam tylko atakujące mnie wspomnienia i sprawia mi to przyjemność. Nie takie jest przebudzenie w grobie.

Zatem umarłem, zaświaty są tą jednostajną i spokojną przestrzenią, gdzie bez końca będę przeżywać moje minione życie; jeśli było ohydne, tym gorzej dla mnie (to piekło), jeśli nie, trafiłem do raju. Co też znowu! Załóżmy, że urodziłeś się garbaty, ślepy i głuchoniemy albo że twoi najbliżsi padali wokół ciebie jak muchy, rodzice, żona, pięcioletni synek - a zaświaty byłyby jedynie niekończącym się powtórzeniem cierpień, jakie przeżyłeś w innych warunkach? Piekło nie jako *les autres*, Inni, według Sartre'a, lecz jako tren śmierci, który ciągnęliśmy za sobą, żyjąc? Nawet najzłośliwszy z bogów nie mógłby wymyślić dla nas takiego losu. Chyba że rację miał Gragnola. Gragnola? Zdaje się, że go znałem, ale wspomnienia rozpychają się łokciami, muszę je uszeregować, bo inaczej zgubię się znowu we mgle i ujrzę ponownie kukłę Thermogène, czyli Ciepłoroda.

Może jednak nie umarłem. Nie odczuwałbym przecież ziemskich namiętności, miłości do rodziców, obawy z powodu nalotów. Umrzeć znaczy odciąć się od cyklu życia i od uderzeń serca. Nawet z najbardziej piekielnego piekła widziałbym z gwiazdnej oddali tego, kim byłem. Piekło to nie męczarnie w gotującej się smole. Oglądasz zło, które wyrządziłeś, i wiesz, że nigdy się od niego nie uwolnisz. Jesteś jednak czystym duchem. Ja natomiast nie tylko pamiętam koszmary, miłości i radości, lecz w nich uczestniczę. Nie czuję swojego ciała, lecz o nim pamiętam i cierpię, jakbym je jeszcze posiadał. Tak jak dzieje się z tymi, którym ucięto nogę,

a oni wciąż czują, że ich ta noga boli.

Zacznijmy od nowa. Miałem powtórnie wypadek, tym razem groźniejszy od pierwszego. Podnieciłem się zbyt, najpierw myśląc o Liii, potem z powodu foliału. Moje ciśnienie musiało obłądnie podskoczyć. Jestem znowu w stanie śpiączki.

Na zewnątrz Paola, moje córki, wszyscy ci, którzy mnie kochają (i Gratarolo, walący się pięściami po głowie, bo pozwolił mi opuścić szpital, a powinien być może mnie pilnować przynajmniej przez pół roku), są przekonani, że śpiączka jest głęboka. Aparatura wykazuje, że mój mózg nie daje znaków życia, zrozpaczeni lekarze zastanawiają się, czy wyłączyć prąd, czy też czekać nie wiadomo dokąd. Paola trzyma mnie za rękę, Carla i Nicoletta zmieniają płyty, bo przeczytały, że dźwięki, głosy, jakikolwiek bodziec mogą nagle obudzić ze śpiączki. Mogłyby robić tak dalej całe lata, a ja leżałbym podłączony do kroplówki. Osoba z odrobiną godności powinna powiedzieć: kończmy od razu. Wtedy te biedaczki poczułyby się zrozpaczone, ale wolne. Ja potrafię myśleć, że trzeba odciąć prąd, ale nie jestem w stanie tego wyrazić.

A jednak w głębokiej śpiączce - wszyscy to wiedzą - mózg nie daje znaków aktywności, ja zaś myślę, czuję, pamiętam. No tak, ale opowiadają to ci z zewnątrz. Encefalogram jest płaski według nauki, lecz co wie nauka o przebiegłości ciała? Mój mózg może wyglądać nieruchomo na jej ekranach, a ja myślę wnętrzościami, czubkami stóp, jądrami. Lekarze sądzą, że mój mózg jest nieczynny - lecz czynne jest jeszcze moje wnętrze.

Nie utrzymuję, że przy nieczynnym mózgu funkcjonuje gdzieś jeszcze dusza. Mówię tylko, że specjalistyczna aparatura rejestruje moje czynności mózgowe jedynie do pewnego stopnia. Pod tym progiem ja

jeszcze myślę, ale lekarze o tym nie wiedzą. Gdybym mógł się obudzić i to opowiedzieć, zasłużyłbym na Nagrodę Nobla w dziedzinie neurologii, a te wszystkie maszyny można by wyrzucić na złom.

Wyłonić się z mgieł przeszłości i pokazać się żywym i w pełni sił tym, którzy mnie kochali, i tym, którzy chcieli mojej śmierci! „Patrzcie, jestem Edmund Dantès!” Ileż to razy hrabia Monte Christo objawia się tym, co uważali go za martwego? Swoim dawnym dobroczyńcom, ukochanej Mercedes, sprawcom jego nieszczęść. „Patrzcie, wróciłem, jestem Edmund Dantès”!

Albo wyjść z tej ciszy, unosić się bezcieleśnie w szpitalnym pokoju i widzieć tych, którzy płaczą nad moimi nieruchomymi zwłokami! Być obecnym na własnym pogrzebie i jednocześnie szybować w powietrzu bez zawadzającego ciała. Dwa pragnienia wszystkich, urzeczywistnione za jednym zamachem. Zamiast tego śnię, uwięziony w moim bezruchu...

Prawdę mówiąc, w odróżnieniu od Dantèsa mścić nie miałbym się na kim. Jedynym powodem mojej udręki jest to, że czuję się dobrze, a nie mogę tego powiedzieć. Gdybym przynajmniej mógł poruszyć palcem lub powieką, wysłać jakiś sygnał choćby alfabetem Morse’a! Jestem jednak tylko myślą, z zupełnym wykluczeniem czynów. Żadnych wrażeń. Mógłbym być tutaj od tygodnia, od miesiąca, od roku. Nie czuję bicia serca, nie doznaję pragnienia ani głodu, nie chce mi się spać (przeraża mnie raczej ta nieustanna bezsenność), nie wiem nawet, czy się wypróżniam (może przez te przewo-dy, które same wszystko robią), czy się pocę, nie wiem nawet, czy oddycham. O ile mi wiadomo, na zewnątrz i

wokół mnie nie ma w ogóle powietrza. Cierpię na myśl o cierpieniach Paoli, Carli i Nicoletty, które sądzą, że jestem już do niczego, lecz nie zamierzam bynajmniej poddawać się temu cierpieniu. Nie mogę brać na siebie bólu całego świata, niech mi będzie przyznany dar okrutnego egoizmu. Żyję z samym sobą i dla siebie samego, wiem dziś wszystko, co zapomniałem po pierwszym wypadku. Takie jest teraz moje życie i takie pozostanie może na zawsze.

Pozostaje mi zatem tylko czekać. Jeśli mnie obudzą, będzie niespodzianka dla wszystkich. Mógłbym jednak nie obudzić się nigdy i muszę się przygotować na to bezustanne grzebanie w pamięci. Albo potrwm jeszcze krótko i zgasnę - trzeba więc korzystać z tych chwil.

Gdybym nagle przestał myśleć, co stałoby się później? Pojawiłaby się jakaś inna forma zaświatów, podobna do tego, dla mnie tylko zastrzeżonego świata, czy też zapadłby mrok i nastąpiła wieczna utrata świadomości?

Byłbym szalony, gdybym marnował czas, który mi pozostaje, na rozmyślanie nad takim pytaniem. Ktoś - może przypadek - pozwala mi przypomnieć sobie, kim byłem. Powinienem z tego skorzystać. Jeśli czegoś trzeba będzie żałować, uczynię akt skruchy. Zęby żałować, muszę jednak najpierw sobie przypomnieć, co zrobiłem. Te kilka łajdactw, o których wiem, Paola i oszukane przeze mnie wdowy już mi chyba wybaczyły. Zresztą, jak wiadomo, piekło - jeżeli w ogóle istnieje - jest puste.

Przed zapadnięciem w ten sen znalazłem na strychu w Solarze blaszaną żabę, z którą skojarzyłem imię Angelo Orso, Angelo Niedźwiedź, i „cukierki doktora Osimo”. To były słowa. Teraz mam wszystko przed

oczyma.

Doktor Osimo jest aptekarzem przy korso Roma, ma łysą głowę i jasnoniebieskie oczy. Za każdym razem, gdy mama zabiera mnie ze sobą po zakupy i wchodzi do apteki, nawet po to tylko, by kupić rolkę gazy opatrunkowej, doktor Osimo otwiera bardzo wysoki pojemnik ze szkła, wypełniony pachnącymi białymi kulkami, i podarowuje mi paczuszkę cukierków mlecznych. Wiem, że nie należy zjadać ich wszystkich od razu, że powinny starczyć przynajmniej na trzy lub cztery dni.

Nie miałem jeszcze skończonych czterech lat i nie zauważyłem, że mama nosi przed sobą niezwykle duży brzuch, lecz pewnego dnia, po ostatnich odwiedzinach u doktora Osimo, zabrano mnie piętro niżej i powierzono opiece pana Piazzzy. Pan Piazza mieszka w ogromnym pokoju, który widzę jako las pełen zwierząt wyglądających jak żywe: papug, lisów, kotów, orłów. Wy tłumaczono mi, że bierze on zwierzęta, kiedy sobie zdechną, i zamiast je grzebać, wypycha słomą. Siedzę teraz u niego, a on mnie zabawia, opowiadając o tych wszystkich zwierzętach. Sam nie wiem, ile czasu spędzam na tym cudownym cmentarzu, na którym śmierć wydaje się miła, staroegipska i pachnie jakimiś woniami, którymi oddychałem tylko tam - wyobrażam sobie, że wydzielają je preparaty chemiczne w połączeniu z zakurzonym upierzeniem i wyprawionymi skórami. Najpiękniejsze popołudnie w moim życiu.

Potem ktoś schodzi, aby mnie zabrać z powrotem na górę, i wtedy widzę, że podczas mojego pobytu w królestwie zmarłych urodziła mi się siostrzyczka. Noworodka przyniosła aku-szerka, której dostarczył go bocian. Dostrzegam tylko wśród bieli koronek coś podobnego do fioletowej, przekrwionej kuli z czarnym otworem, skąd wydobywają się

przeraźliwe krzyki. Nic jej nie jest, mówią mi, kiedy rodzi się siostrzyczka, zawsze tak robi, aby dać na swój sposób wyraz zadowoleniu, że ma teraz mamusię, tatusia i braciszka.

Jestem bardzo wzburzony i proponuję, że dam jej zaraz jeden z cukierków doktora Osimo. Tłumaczą mi jednak, że nowo narodzone dziecko nie ma zębów i może tylko ssać mleko matki. Szkoda, byłoby zabawne rzucać białymi kulkami do czarnego otworu, może wygrałbym czerwoną rybkę.

Biegnę do szafki z zabawkami i biorę blaszaną żabę. Mała dopiero co się urodziła, ale na pewno ją rozbawi zielona żaba, która skrzeczy, kiedy naciśniesz jej brzuch. Nie wolno; odkła-dam żabę na miejsce i odchodzę rozczarowany. No i na co komu potrzebna nowa siostrzyczka? Czy nie lepiej było zostać ze starymi ptaszyskami pana Piazzzy?

Blaszana żaba i Angelo Orso, mój stary miś. Na strychu przyszli mi na myśl razem, ponieważ Angela Niedźwiedzia kojarzę z siostrzyczką, która stała się już towarzyszką moich zabaw, bardzo łąsą na mleczne cukierki.

„Przestań, Nuccio, Angelo Orso więcej nie wytrzyma”. Ileż to razy prosiłem kuzyna, aby przestał go męczyć! Ale Nuccio był starszy ode mnie, uczył się w internacie u księży, cały dzień sztywny w mundurku, więc kiedy wracał do miasta, musiał się wyładować. Na zakończenie długiej bitwy zabawek chwycił Angela Orso, przywiązywał go do oparcia łóżka i bezlitośnie chłostał.

Od jak dawna miałem Angela Orso? Pamięć o jego pochodzeniu ginie w odległym czasie, w którym - jak mówił Gra-tarolo - nie nauczyliśmy się jeszcze koordynować naszych osobistych wspomnień.

Angelo - pluszowy przyjaciel żółtawego koloru, z ruchomymi jak u lalek ramionami i nogami - mógł siedzieć, chodzić, podnosić łapy ku niebu. Był duży, imponujący, oczy miał brązowe, błyszczące i pełne życia. Ja i Ada wybraliśmy go na króla naszych zabawek, zarówno żołnierzyków, jak i lalek.

Stary był i zniszczony, lecz przez to jeszcze bardziej czcigodny. Wyrobił sobie pewien utykający autorytet, który rósł z biegiem czasu, kiedy on - jak bohater wielu bitew - tracił oko lub ramię.

Odwracaliśmy do góry nogami stołek, który stawał się okrętem, korsarskim żaglowcem lub statkiem w stylu Ver-ne'a, z kwadratowymi dziobem i rufą. Angelo Orso siadał za sterem, na pokład przed nim wchodziły - szykując się do przygód w odległych stronach - żołnierzyki z Krainy Obfitości pod dowództwem Kapitana Kartofla. Wyglądały komicznie, lecz ze względu na rozmiary liczyły się bardziej od poważniejszych towarzyszy broni, żołnierzy glinianych. Ci ostatni byli już inwalidami większymi niż Angelo, niektórzy bez głowy i jakiejś kończyny. Z ich ciał ze sprasowanej gliny, kruchych i wyblakłych, wystawały drucziane haczyki, jakby wszyscy byli Długimi Johnami Silverami z Wyspy skarbów. Okryty chwałą statek wypływał z Morza Pokoikowego, przemierzał Ocean Korytarzowy i docierał do Archipelagu Kuchennego. Olbrzymi Angelo królował przez cały czas nad swoimi lilipucimi poddanymi, lecz ta dysproporcja nam nie przeszkadzała, bo uwydatniała jeszcze jego guliweriański majestat.

Służąc wiernie, zawsze gotów do wszelkich akrobacji, wystawiony przy tym na napady wściekłości kuzyna Nuccia, Angelo Orso stracił z czasem drugie oko, drugie ramię, wreszcie obie nogi. Ada i ja rośliśmy, a z

jego okaleczonego torsu zaczynały wystawać kępki słomy. Rodzice nabrali przekonania, że w tym wyleniałym tułowiu zaległy się robaki, może jakieś bakterie. Polecili nam pozbyć się Angela, grożąc bezlitośnie, że go wyrzucą na śmietnik, kiedy będziemy w szkole.

Adzie i mnie przykro było już patrzeć na naszego ukochanego niedźwiedzia - nie mógł stać na własnych nogach, powoli wyciekały z niego w nieprzyzwoity sposób wnętrzości. Pogodziliśmy się z myślą, że musi umrzeć, nawet więcej - że trzeba go już uważać za zmarłego i należy zapewnić mu godny pogrzeb.

Wczesnie rano - tatuś rozpałił właśnie w kotle centralnego ogrzewania, skąd ciepło rozchodzi się do kaloryferów w całym domu - rusza wolno uroczysty pochód. Obok kotła ustawione są wszystkie pozostałe zabawki, dowodzi nimi Kapitan Kartofel. Stoją w wyrównanych szeregach na baczność, oddając wojskowe honory poległemu na polu chwały bohaterowi. Ja kroczę z poduszką, na której spoczywa zmarły, za mną wszyscy członkowie rodziny wraz z dochodzącą gospożą, złączeni bolesnym uwielbieniem.

Wsuwam z rytualnym smutkiem zwłoki Angela Orso w paszczę tego ognistego Baala. Angelo - teraz już tylko wypełniony słomą worek - wybucha płomieniem i gaśnie.

Obrządek proroczy, ponieważ w kilka miesięcy później wygasł także kocioł, karmiony najpierw antracytem, a następnie - gdy antracytu zabrakło - kulistymi brykietami.

Przeciągająca się wojna sprawiła, że te również zaczęto racjonować. Wtedy w kuchni pojawił się znowu stary piec, podobny do tego, którego używaliśmy potem w Solarze. Połykał drewno, papier, tekturę i cegielki ze

sprasowanej substancji ciemnoczerwonego koloru, które paliły się źle, lecz powoli, pozorując płomienie.

Nie boleję nad śmiercią Angela Niedźwiedzia, nie wzbudza on we mnie żadnej tęsknoty. Może bolałem nad nią w następnych latach, może tęskniłem za nim, gdy jako szesnastolatek starałem się odzyskać niedaleką przeszłość - ale teraz nie. Nie żyję obecnie w strumieniu czasu. Żyję szczęśliwie w wiecznej teraźniejszości. Angela mam przed oczyma, widzę zarówno dzień jego pogrzebu, jak i dni jego triumfów, mogę przenosić się od jednego wspomnienia do drugiego i przeżywam każde z nich hic et nunc.

Jeśli taka jest wieczność, to jest ona wspaniała. Dlaczego musiałem czekać sześćdziesiąt lat, aby sobie na nią zasłużyć?

A twarz Liii? Teraz powinienem ją zobaczyć, lecz dzieje się tak, jakby wspomnienia przychodziły do mnie z własnej woli, pojedynczo, w ustalonej przez nie same kolejności. Wystarczy czekać. Nie mam też nic innego do roboty.

Siedzę w korytarzu obok aparatu Telefunkena. Nadają słuchowisko teatralne. Tatuś słucha całego, ja siedzę mu na kolanach, z kciukiem w ustach. Nic nie rozumiem z tej historii o rodzinnych dramatach, cudzołóstwach, pojednaniach, odległe głosy działają na mnie usypiająco. Idę spać, prosząc, aby drzwi mojego pokoju pozostały otwarte; chcę widzieć światło w korytarzu. Już jako małe dziecko byłem bardzo przebiegły i domyślałem się, że to rodzice kupują prezenty, które dostaje się od Trzech Króli w świąteczną noc. Ada jeszcze w to wierzy, nie mogę

małej dziewczynki pozbawiać bezpodstawnie złudzeń i w nocy z piątego na szósty stycznia desperacko usiłuję nie zasnąć, aby usłyszeć, co się tam dzieje. Słyszę, że rozkładają prezenty. Rano udam radość i zachwyty z powodu cudu, bo jestem spryciarzem i chcę, aby ta zabawa trwała nadal.

Wiem dużo rzeczy. Odgadłem, że dzieci rodzą się z brzucha mamy, lecz o tym nie mówię. Mama rozmawia z przyjaciółkami o kobiecych sprawach (taka a taka jest w stanie, no, interesującym, albo ma zrosty, no, na jajowodach), jedna z nich ją ucisza, bo w pobliżu jest dziecko, mama na to, że nic nie szkodzi, bo w tym wieku jesteśmy jeszcze zupełnie zieloni. Podsluchuję pod drzwiami i poznaję tajemnice życia.

Z półokrągłej półki komody mama wyjęła książkę *To nie jest śmierć* Giovanniego Moski, miłą, ironiczną elegię o pięknie życia cmentarnego, o przyjemnościach przebywania pod przytulną warstwą ziemi. Podoba mi się owo zaproszenie do umierania, może to moje pierwsze spotkanie ze śmiercią przed zielonymi słupami trawy bohaterskiego Valentego. Aie pewnego ranka - rozdział piąty - słodka Maria, która na chwilę zasłabła, musiała skorzystać z pomocy grabarza, czuje w brzuchu jakby uderzenie skrzydłem. Do tej pory autor był wstydlivy, wspominał tylko o nieszczęśliwej miłości i o dziecku mającym przyjść na świat. Teraz jednak pozwolił sobie na realistyczny opis, który mnie przerażał: Począwszy od tego ranka, jej brzuch się ożywił, drżał, trzepotało w nim jak w klatce pełnej wróbli... Dziecko wykonywało ruchy.

Po raz pierwszy czytałem o ciąży, przedstawionej w nieznośnie realistyczny sposób. Nie dziwię się temu, o czym czytam, co dowodzi, że już sam wszystko zrozumiałem. Boję się jednak, że ktoś mógłby mnie zaskoczyć podczas lektury tego zakazanego tekstu i zrozumieć, że ja

zrozumiałem. Odkładam książkę na półkę, starając się zatrzeć wszelkie ślady mojego wtargnięcia na ten teren. Znam tajemnicę, lecz wydaje mi się, że popełniłem przewinienie.

Dzieje się to znacznie wcześniej, niż pocałowałem twarz pięknej diwy na okładce czasopisma „Novella”, dotyczy objawienia narodzin, nie seksu. Podobnie jak pewne ludy prymitywne, o których mówią, że nie udaje się im ustalić bezpośredniego związku między aktem płciowym a ciążą (w gruncie rzeczy, wyjaśnia Paola, dziewięć miesięcy to całe wieki), ja także potrzebowałem wiele czasu, by zrozumieć, że istnieje tajemniczy związek między seksem - sprawą ludzi dorosłych - a dziećmi.

Moi rodzice nie martwili się, że mogę doznać wstrząsających uczuć. Ich pokolenie doznawało widać takich uczuć z opóźnieniem lub po prostu zapomniało swoje dzieciństwo. Idziemy z Adą, trzymając za ręce rodziców, a ojciec mówi napotkanemu znajomemu, że wybieramy się obejrzeć Złote Miasto. Znajomy uśmiecha się szelmowsko, patrzy na nas, dzieci, i szepcze, że film „dość daleko się posuwa”. Tatuś odpowiada beztrząsco: „Przytrzymamy go za poję!” Z zamierającym sercem śledzę miłosne igraszki Kristiny Söder-baum.

W korytarzach domu w Solarze w związku z wyrażeniem „rasy i ludy Ziemi” przyszedł mi na myśl owłosiony kobiecy narząd płciowy. Otóż znajduję się teraz razem z kilkoma kolegami, chyba z gimnazjum, w gabinecie ojca jednego z nich; na półce stoją tomy Ras i ludów Ziemi Biasuttiego. Kartkujemy je w pośpiechu, by trafić na stronę, na której są fotografie nagich kobiet kałmuckich z widocznymi narządami płciowymi, to jest owłosieniem. Kobiety kałmuckie, handlujące same.

Jestem znowu we mgle, królującej nad mrokiem zaciemnienia, gdy

miasto usiłuje zniknąć z niebiańskich oczu nieprzyjacielskich samolotów, a w każdym razie znika z oczu moich, patrzących z ziemi. Jak na ilustracji z mojego pierwszego szkolnego podręcznika posuwam się we mgle, trzymając za rękę tatusia w kapeluszu borsalino na głowie, takim samym jak u tego pana z książki. Jednak reglanowy płaszcz ojca jest mniej elegancki, dość znoszony, z opadającymi ramionami, a jeszcze bardziej znoszony jest mój, z dziurkami na guziki po prawej, a więc wykonany z przenicowanego starego płaszcza ojca. W prawej ręce tatuś nie trzyma laski, lecz latarkę elektryczną, ale nie z tych na baterie - ładuje się ją przez pocieranie, jak reflektor roweru, przyciskając czterema palcami rodzaj spustu. Wydaje lekkie brzęczenie i oświetla chodnik na tyle, że widać schodek, róg domu, początek skrzyżowania ulic; potem palce się rozluźniają i światło znika. Idzie się dalej jeszcze z dziesięć kroków, pamiętając, co się zobaczyło - jakby ślepym lotem. Następnie zapala się znowu na chwilę latarkę.

We mgle spotyka się inne cienie, czasem szepcze się pozdrowienie lub słowo „przepraszam”. Wydaje mi się słuszne, że wszyscy właśnie szepczą, chociaż - jeśli dobrze się zastanowić - piloci bombowców mogliby zobaczyć światła, lecz nie mogliby usłyszeć głosów, więc w tej mgle można by chodzić, śpiewając na całe gardło. Nikt jednak tego nie robi, bo nasze milczenie jakby zachęca mgłę do chronienia naszych kroków, do czynienia niewidzialnymi nas i ulic.

Czy takie rygorystyczne zaciemnienie jest rzeczywiście potrzebne? Może dodaje tylko otuchy, bo kiedy chcieli bombardować, nadlatywali też i za dnia. Godzinę temu w środku nocy zawyły syreny. Mama we łzach budzi nas, dzieci - płacze nie ze strachu, lecz dlatego, że zakłóca nam sen -

nakłada płaszczyki na pidżamy i schodzimy do schronu. Nie do tego w naszym domu, który jest po prostu piwnicą, wzmocnioną belkami i workami z piaskiem, lecz do tego w pobliskiej kamienicy, zbudowanej w 1939 roku już w przewidywaniu wojny. Nie idzie się tam przez podzielone murkami podwórza, trzeba obchodzić naokoło, biegiem, w nadziei, że syreny uruchomiono, gdy samoloty były jeszcze dość daleko.

Schron przeciwlotniczy jest piękny, z betonowymi ścianami, po których ścieka kilka strużek wody, słabo, ale przyjemnie oświetlony. Dorośli siedzą na ławkach i rozmawiają szeptem, my, dzieci, hasamy pośrodku. Salwy artylerii przeciwlotniczej docierają do nas wyciszone, wszyscy są przekonani, że schron wytrzyma, nawet gdyby na dom spadła bomba. To nieprawda, ale pomaga. Z przejętą miną krąży wśród nas „starszy schrono-wy” - Monaldi, mój nauczyciel ze szkoły podstawowej, zawstydzony, że nie zdążył włożyć munduru setnika faszystowskiej milicji z odznakami członka bojówek. W tych czasach uczestnik marszu na Rzym uchodził jakby za weterana wojen napoleońskich. Dopiero po ósmym września 1943 roku wytłumaczył mi dziadek, że był to spacer złodziei kur, uzbrojonych w spacerowe laski, i że gdyby król wydał odpowiednie rozkazy, kilka kompanii piechoty rozpędziłoby ich w połowie drogi. Ale król był Szybkonóżką i zdradę miał we krwi.

A zatem nauczyciel Monaldi krąży między lokatorami, uspokaja ich, martwi się o panie w ciąży, tłumaczy, że to drobne wyrzeczenia, które trzeba znosić, zanim nadejdzie chwila ostatecznego zwycięstwa. Pewien pan, którego nikt nie zna i który schronił się u nas zaskoczony alarmem na ulicy, zapala papierosa. Nauczyciel Monaldi łapie go za ramię i pyta sarkastycznie, czy mu wiadomo, że jest wojna i że obowiązuje

zaciemnienie.

- Nawet gdyby tam w górze był jeszcze jakiś bombowiec, nie zauważyłby płomyka zapalki - odpowiada ten obcy i zaczyna palić.

- No proszę, pan to wie.

- Pewno, że wiem. Jestem kapitanem lotnictwa i latam na bombowcach. A pan bombardował kiedyś Malte?

Prawdziwy bohater. Wściekły nauczyciel Monaldi wycofuje się w pośpiechu, rozbawieni lokatorzy komentują: mówiłem, że to nadęta kukła, jak wszyscy inni, co nam rozkazują.

Nauczyciel Monaldi i jego bohaterskie tematy wypracowań. Widzę siebie wieczorem, tatuś i mamusia obok mnie. Nazajutrz będzie klasówka, od której wyniku zależy udział w ogólnokrajowych Igrzyskach Kulturalnych.

- Każdy temat - mówi mama - będzie dotyczył Duce i wojny. Przygotuj sobie piękne zdania, obliczone na efekt. Na przykład „wierni i nieprzekupni strażnicy Italii i jej cywilizacji” brzmi zawsze dobrze, bez względu na temat.

- A jeśli temat będzie dotyczył „bitwy o zboże”?

- Też pasuje, wystarczy trochę wyobraźni.

- Pamiętaj, że „nasi żołnierze zraszają krwią rozżarzone piaski libijskiej pustyni” - podpowiada ojciec. - I nie zapomnij, że „nasza cywilizacja jest nowa, bohaterska i święta”. To zawsze dobrze brzmi, nawet gdy chodzi o „bitwę o zboże”.

Chcą, żeby syn dostał dobry stopień. Mają rację. Aby otrzymać dobry stopień za znajomość Euklidesowego postulatu równoległości, trzeba się przygotować z podręcznika geometrii; aby mówić jak balilla,

trzeba nauczyć się na pamięć tego, co balilla musi myśleć. Bez względu na to, czy słusznie, czy nie. W gruncie rzeczy - ale moi rodzice o tym nie wiedzieli - także i piąty postulat Euklidesa odnosi się tylko do powierzchni płaskich, tak idealnie płaskich, że w rzeczywistości nieistniejących. Ustrój faszystowski był powierzchnią płaską, do której wszyscy zdążyli się już przystosować, nie zwracając uwagi na krzywolinijne zawirowania, w których równoległe się skręcały lub rozbiegały beznadziejnie.

Widzę znowu krótką scenę, która musiała się rozegrać kilka lat wcześniej. Pytam:

- Mamo, co to jest rewolucja?

- To coś takiego, że robotnicy dochodzą do władzy i ucinają głowy wszystkim urzędnikom, takim jak twój ojciec.

Ale właśnie w dwa dni po klasówce miał miejsce epizod z Brunem. Bruno: wąskie, kocie oczy, spiczaste zęby, głowa mysioszara z białymi plamami jakby po wypadających włosach albo od liszajów. Były to blizny po strupach - dzieci biednych ludzi miały zawsze strupy na głowie, bo mieszkwały w niezbyt czystych pomieszczeniach i cierpiały na awitaminozę. W szkole podstawowej ja i De Caroli byliśmy klasowymi bogaczami, tak wtedy myślano. Nasze rodziny należały w istocie do tej samej warstwy społecznej, co nasz nauczyciel. Ja, bo mój ojciec był urzędnikiem i nosił krawat, a moja mama - kapelusik (nie była więc kobietą, lecz panią); De Caroli dlatego, że jego ojciec posiadał sklepik z tekstyliami. Wszyscy inni należeli do warstw niższych, ze swoimi rodzicami rozmawiali jeszcze w dialekcie i robili przez to błędy ortograficzne i gramatyczne. Najbiedniejszym ze wszystkich był Bruno. Nosił wyświechtany czarny fartuszek szkolny bez białego kołnierzyka - a kiedy go miał, to brudny i

wytarty - no i oczywiście bez błękitnej kokardy, właściwej dla dzieci z dobrych domów. Miał strupy, więc strzyżono go na zero - jedyna kuracja znana jego rodzinie, stosowana również przeciwko wszom. Białe plamy po wyleczonych już strupach były zatem dobrze widoczne. Znamiona niskiego pochodzenia. Nauczyciel był w gruncie rzeczy porządnym człowiekiem, ale ze względu na swoją bojówkarską przeszłość czuł się zobowiązany do wychowywania nas po męsku i lubił uczniom tego przyłożyć. Nigdy jednak mnie i De Carolemu, bo wiedział, że poskarżylibyśmy się rodzicom, będącym mu równymi. Ponieważ mieszkał niedaleko, zaoferował się, że będzie codziennie odprowadzał mnie do domu razem z własnym synem, aby ojciec nie musiał po mnie przychodzić. Zrobił to także dlatego, że moja matka była kuzynką dyrektorki szkoły, nigdy nie wiadomo, mogła się przydać.

Bruno natomiast obrywał po buzi dzień w dzień, bo był ruchliwy - a więc źle się sprawował - i przychodził do klasy w poplamionym fartuchu. Musiał często stać za tablicą - to był pręgierz.

Pewnego dnia Bruno przyszedł do szkoły po nieusprawiedliwionej nieobecności. Nauczyciel już zakasywał rękawy, kiedy on wybuchnął płaczem i szlochając, dał do zrozumienia, że umarł mu ojciec. Nauczyciel się wzruszył, bo serce mają także bojówkarze. Sprawiedliwość społeczną pojmował oczywiście jako jałmużnę i zwrócił się do nas wszystkich z apelem, byśmy zrobili zbiórkę. Serca mieli również nasi rodzice, bo następnego dnia każdy z nas przyszedł z garścią monet, jakimś starym ubraniem, słoikiem marmolady, kilogramem chleba. Bruno zaznał naszej solidarności.

Jednak tego samego ranka, podczas obowiązkowego marszu na

szkolnym dziedzińcu, zaczął chodzić na czworakach. Wszyscy pomyśleliśmy, że musi być naprawdę niedobry, aby robić coś takiego zaraz po śmierci ojca. Nauczyciel krzyczał, że brak mu elementarnego poczucia wdzięczności. Sierota od dwóch dni, dopiero co obdarowany przez kolegów, a już popełnia wykroczenie! Przy jego pochodzeniu nic mu nie pomoże.

Jako niepierwszoplanowy uczestnik tego małego dramatu miałem chwilę zwątpienia. Miałem ją już w dzień po klasówce, gdy obudziłem się niespokojny i zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę kocham Duce, czy też jestem małym obłudnikiem, który tylko tak pisze. Widząc Bruna na czworakach, zrozumiałem, że był to z jego strony odruch godności, reakcja na naszą upokorzącą, tanią wspaniałomyślność.

Pojąłem to jeszcze lepiej kilka dni później, podczas wiecu w „faszystowską sobotę”, gdy staliśmy w szyku wszyscy w mundurach - nasze były prosto spod igły, mundur Bruna przypominał jego szkolny fartuch, niebieską chustę miał zawiązaną niedbale - i składaliśmy Przysięgę. Setnik mówił: „W imię Boga i Italii, przysięgam być posłuszny rozkazom Duce i służyć z całych moich sił, w razie potrzeby własną krwią, sprawie Rewolucji Faszystowskiej. Czy przysięgacie?” My musieliśmy odpowiedzieć chórem: „Przysięgam!” Otóż Bruno - stał blisko mnie, słyszałem doskonale - zawołał: „Sięgam!” Buntował się. Po raz pierwszy byłem obecny przy akcie buntu.

Buntował się z własnej woli czy dlatego, że miał ojca pijaka i socjalistę, jak książkowy włoski chłopiec w Barcelonie? Teraz rozumiem, że Bruno nauczył mnie pierwszy reagowania na przytłaczającą nas retorykę.

Między wypracowaniem dziesięciolatka a „kroniką” jedenastolatka pod koniec piątej klasy szkoły podstawowej zmieniła mnie lekcja udzielona przez Bruna. On był rewolucyjnym anarchista, ja - zaledwie sceptykiem. Jego „sięgam” przybrało kształt mojej nietłukącej szklanki.

To jasne, że teraz, w ciszy śpiączki, rozumiem lepiej, co się ze mną działo. Czy jest to objawienie, które mają ludzie u progu śmierci? W chwili gdy pojmują wszystko, jak Martin Eden, lecz właśnie wtedy gaśnie w nich świadomość? Ja nie stoję jeszcze u progu śmierci i mam przewagę nad umierającymi. Rozumiem, wiem, nawet pamiętam (teraz), że wiem. Czyżbym był uprzywilejowany? . ŚWISZCZY WIATR

Chciałbym przypomnieć sobie Lilę... Jak ona wyglądała? Z ciemnych oparów mojego płuca wyłaniają się inne obrazy, lecz nie ona...

A przecież osoba w normalnych warunkach powinna móc powiedzieć: chcę sobie coś przypomnieć, na przykład urlop. Jeśli zachowała cokolwiek w pamięci, zaraz sobie przypomni. Ja nie mogę. Moja pamięć składa się z odosobnionych obrazów, z segmentów, jak soliter, lecz w odróżnieniu od tego robaka nie ma głowy, porusza się w labiryncie, jakikolwiek punkt może być początkiem lub końcem podróży. Muszę czekać, aż wspomnienia nadejdą z własnej woli, kierowane własną logiką. Tak chodzi się we mgle. W słońcu widzisz rzeczy z daleka i możesz zmienić kierunek po to, żeby trafić na coś konkretnego. We mgle coś lub ktoś idzie ci naprzeciw, a ty nie wiesz kto, dopóki nie znajdzie się blisko ciebie.

Może to normalne, nie sposób mieć wszystkiego naraz, wspomnień nadzianych rządkiem na rożen. Co powiedziała Paola o magicznej liczbie „siedem”, o której mówią psychologowie? Z listy przypominasz sobie

łatwo siedem pozycji, więcej już nie. Nawet nie siedem. Jak brzmią imiona siedmiu krasnoludków? Wesolek, Gburek, Śpioszek, Apsik, Nieśmiałek, Mędrek i jeszcze...? Brakuje siódmego krasnoludka. A siedmiu królów Rzymu? Romulus, Numa Pompiliusz, Tulliusz Ostyliusz, Ser-wiusz Tulliusz, Tarkwiniusz Stary, Tarkwiniusz Pyszny... A ten siódmy? No tak - Gapcio.

Moje pierwsze wspomnienie to chyba blaszany dobosz wojskowej orkiestry, w białym mundurze i w kepi; nakręcało się go kluczykiem, a on bębnił bum bum bum. Czy to rzeczywiście on, czy też wbił mi się w pamięć przez lata, bo opowiadali o nim rodzice? A może to scena z figami: ja stoję pod drzewem, a chłop imieniem Quirino wdrapuje się na nie po drabinie, by zerwać dla mnie najlepszą figę - przy czym ja nie umiałem jeszcze wymówić słowa „figa” i mówiłem „piga”.

Ostatnie wspomnienie: Solara i foliał. Czy Paola i inni zdali sobie sprawę z tego, co trzymałem w rękach, gdy zapadłem w sen? Muszą natychmiast dać go Sybilli; jeśli będę trwał w tym stanie latami, zabraknie im pieniędzy na wydatki, będą musiały sprzedać antykwariat, potem dom w Solarze, to też pewno nie wystarczy Dzięki foliałowi mogą mi zapewnić ho-spitalizację w nieskończoność z dziesięcioma pielęgniarkami. Wtedy dość, jak przyjdą mnie odwiedzić raz na miesiąc, będą mogły żyć własnym życiem.

Nadchodzi inna postać, uśmiecha się szyderczo i robi sprośny gest. Zbliży się, owija mnie jakby sobą, potem rozplywa się we mgle.

Teraz przechodzi obok mnie dobosz w kepi. Kryję się w ramionach

dziadka. Przyciskając policzek do jego kamizelki, czuję zapach fajki. Dziadek palił fajkę i pachniał tytoniem. Dlaczego w Solarze nie było jego fajki? Wyrzucili ją pewno na śmietnik ci przekłęci wujostwo. Nie wydała się im ważna, miała główkę nadpaloną płomieniami wielu zapalek, a więc precz z nią, precz z piórami, bibułą i jeszcze Bóg wie z czym - okularami, dziurawą skarpetką, na wpół jeszcze pełnym ostatnim pudełkiem tytoniu.

Mgła stopniowo się rozprasza. Przypominam sobie Bruna na czworakach, lecz nie pamiętam przyjścia na świat Carli, dnia mojego egzaminu magisterskiego, pierwszego spotkania z Pa-olą. Przedtem nie pamiętałem niczego, teraz przypominam sobie wszystko z pierwszych lat życia, lecz nie pamiętam, kiedy Sybilla weszła po raz pierwszy do mojego antykwariatu w poszukiwaniu pracy ani kiedy napisałem mój ostatni wiersz. Nie mogę sobie przypomnieć twarzy Liii Saby. Gdybym ją sobie przypomniał, byłoby to warte całego tego snu. Nie pamiętam twarzy Liii, której szukałem wszędzie w ciągu mojego dorosłego życia, bo nie przypominam sobie jeszcze mojego dorosłego życia ani tego, co chciałem zapomnieć, gdy w nie wchodziłem.

Muszę czekać lub przygotować się na krążenie bez końca po ścieżkach moich pierwszych szesnastu lat. Mogłoby wystarczyć: gdybym przeżywał znowu każdą chwilę, każde wydarzenie, trwałbym w tym stanie przez dalsze szesnaście lat. Dla mnie dosyć, dociągnąłbym do ponad siedemdziesięciu sześciu, życie wystarczająco długie... A Paola zastanawiałaby się przez cały czas, czy ma wyłączyć aparaturę.

Czy nie istnieje jednak telepatia? Mógłbym skoncentrować się na Paoli i myśleć intensywnie, że wysyłam jej wiadomość. Albo popробować ze świeżym jeszcze i pozbawionym obciążeń umysłem dziecka:

„Wiadomość dla Sandra, wiadomość dla Sandra, tu Szary Orzeł z etykiety nalewki Fernet Branca, tu Szary Orzeł, proszę o odpowiedź, koniec...”
Zęby tak mi odpowiedział: „W porządku, Szary Orle, słyszę cię głośno i wyraźnie...”

W mieście się nudzę. Jest nas czterech w krótkich spodenkach, bawimy się przed domem na ulicy, gdzie samochody przejeżdżają raz na godzinę, i to powoli. Dlatego rodzice dają nam się tam bawić. Bawimy się kulkami, tanią zabawką dobrą dla tych, których nie stać na inne. Są z gliny - brązowawe, lub ze szkła - przezroczyste z kolorowymi arabeskami albo młecznożółte, żyłkowane na czerwono. Pierwsza gra nazywa się „dziura”. Ze środka ulicy katapultuje się kulki dokładnym uderzeniem palca wskazującego, przesuwanego po kciuku (ale najlepsi przesuwają kciuk po palcu wskazującym), do wyżłobionej pod brzegiem chodnika dziurki. Jedni trafiają od razu, inni dochodzą do tego stopniowo. Druga gra to spanna cetta, w Solarze zwana cicca spanna. Tak jak w grze w kule, trzeba dorzucić jak najbliżej ciśniętej na samym początku kulki - nie bliżej jednak niż na pięćdziesiąt, spanna, mierzoną czterema przylegającymi do siebie palcami.

Na podziw zasługuje ten, kto potrafi uruchomić bąka. Nie bąka dla dzieci bogatych, z metalu w różnokolorowe pasy, którego nakręca się przez kilkakrotne pociskanie gałki na drążku, potem się go puszcza, a on wiruje w koło, zakreślając wielobarwne kręgi. Chodzi o bąka z drewna, zwanego pirla albo mongia, rodzaj wypukłego stożka, brzuchatej gruszki zakończonej gwoździem, z korpusem naznaczonym szeregiem spiralnych nacięć. Oplata się to sznurkiem wchodzącym w nacięcia, potem szarpie się za jego wolny koniec, wywlekając sznurek gwałtownie z nacięć - no i

mongia się kręci. Nie wszyscy umieją posługiwać się tym przyrządem; ja nie umiem, bo rozpieściły mnie baki droższe i łatwiejsze w obsłudze. Inne dzieci ze mnie się śmieją.

Tego dnia nie możemy się bawić, bo wzdłuż chodnika rozstawieni są panowie w marynarkach i krawatach, pielący motykami chwasty. Pracują bez entuzjazmu, powoli; jeden z nich zaczyna z nami rozmawiać, pytając o różne rodzaje gier w kulki. Mówi, że jako dziecko bawił się w koło. Rysowało się koło kredą na chodniku lub patykiem na ziemi, kładło się kulki do środka, a potem trzeba było za pomocą większej kulki wypychać inne z kola; wygrywał ten, komu najlepiej to się udawało.

- Znam twoich rodziców - powiedział mi. - Pozdrów ich od pana Leviego, tego ze sklepu z kapeluszami.

Powtórzyłem to w domu.

- To Żydzi - wyjaśniła mama. - Zmuszają ich do takiej pracy.

Tatuś podniósł oczy ku niebu i rzekł tylko:

- Hm!

Poszedłem potem do sklepu dziadka i spytałem, czemu Żydzi tak pracują. Przykazał, żebym odnosił się do nich z szacunkiem, jeśli ich spotkam, bo to porządni ludzie, ale że na razie nie wytłumaczy mi, o co chodzi, bo jestem jeszcze za mały.

- Cicho bądź i nie mów o tym nikomu, zwłaszcza nauczycielowi. - Kiedyś wszystko mi opowie. Jeśli się obróci.

Wtedy zastanawiałem się tylko, dlaczego Żydzi sprzedają kapelusze. Kapelusze, które widywałem na plakatach i w reklamowych ogłoszeniach w czasopiśmie, były wytworne i eleganckie.

Nie miałem jeszcze powodów, by martwić się o Żydów. Dopiero

później, w Solarze, dziadek pokazał mi gazetę z 1938 roku z tekstem ustaw rasowych. W 1938 roku miałem jednak sześć lat i nie czytywałem gazet.

Pewnego dnia pan Levi i inni nie przyszli już wycinać chwastów z brukowanej jezdni. Pomyślałem wtedy, że po lekkiej pokucie pozwolono im wrócić do domów. Po wojnie usłyszałem jednak, jak ktoś mówił mamie, że pan Levi zmarł w Niemczech. Wtedy nauczyłem się już wielu rzeczy - nie tylko jak rodzą się dzieci (oraz jakie to czynności przygotowawcze odbywają się dziewięć miesięcy wcześniej), ale też jak umierają Żydzi.

Moje życie uległo zmianie wraz z ewakuacją do Solary. W mieście byłem melancholijnym chłopczykiem, który bawił się ze szkolnymi kolegami kilka godzin dziennie. Przez resztę czasu ślęczałem nad książkami albo jeździłem na rowerze. Jedyne zaczarowane chwile spędzałem w sklepie dziadka: on rozmawiał z jakimś klientem, ja szperałem i szperałem, oślepiany nieustannymi objawieniami. Wzmagala się w ten sposób moja samotność, żyłem sam z moimi marzeniami.

W Solarze, gdzie schodziłem już sam do szkoły we wsi i hasałem po polach i Winnicach, byłem wolny, otwierały się przede mną niezbadane dotąd obszary. Miałem wielu przyjaciół, z którymi chodziło się w różne miejsca. Naszą myślą przewodnią było zbudowanie sobie chatki.

Widzę teraz znowu całe życie w Oratorium, jak w filmie. Już nie podzielonym na segmenty, lecz w projekcji ciągłej...

Chatka nie musiała być czymś w rodzaju domu - z dachem, ścianami

i drzwiami. Była to zwykle dziura w ziemi, wgłębienie, które można było przykryć gałęziami i liśćmi, zostawiając w nich otwór, przez który widziało się z góry dolinę lub przynajmniej jakiś większy równy teren. Celowaliśmy z kijów i strzelali salwami. Jak w oazie Giarabub, nieprzyjaciel mógł nas wziąć tylko głodem.

Zaczęliśmy chodzić do Oratorium, ponieważ w głębi, za boiskiem, na wzniesieniu pod osłoną murowanego ogrodzenia, znajdowało się idealne naszym zdaniem miejsce na chatkę. Można było stamtąd strzelać do wszystkich dwudziestu dwóch uczestników niedzielnego meczu. W Oratorium panowała znaczna swoboda, dopiero koło szóstej zwoływano nas na lekcję katechizmu i na błogosławieństwo, przez resztę dnia robiło się, co kto chciał. Była tam prymitywna karuzela, kilka huśtawek i teatrzyk, w którym po raz pierwszy wystąpiłem na scenie w sztuce Mały paryżanin. Nabrałem wtedy pewnego doświadczenia, które o wiele później pozwoliło mi zaimponować Lili.

Przychodzili też chłopcy starsi, a nawet młodzi ludzie - dla nas prawdziwi starcy - aby grać w ping-ponga lub w karty, ale nie na pieniądze. Zacny ksiądz Cognasso, kierownik Oratorium, nie wymagał od nich wyznania wiary. Wystarczało mu, że przychodzili do Oratorium, zamiast - ryzykując, że trafią pod bomby - pędzić na rowerach do miasta, w nadziei, iż uda im się dostać do Czerwonego Domu, burdelu słynnego w całej prowincji.

Po ósmym września to właśnie w Oratorium usłyszałem po raz pierwszy o partyzantach. Byli to początkowo młodzi ludzie, którzy usiłowali tylko uniknąć ponownej mobilizacji, narzuconej przez władze faszystowskiej Republiki Socjalnej, albo niemieckich łapanek, kończących

się wysyłką na roboty do Rzeszy. Potem zaczęto ich nazywać buntownikami, bo takim mianem byli określani w oficjalnych komunikatach. Dopiero po kilku miesiącach, gdy dowiedzieliśmy się, że dziesięciu rozstrzelano - jeden był z Solary - i gdy usłyszeliśmy w Radiu Londyn, że przekazują im specjalne wiadomości, zaczęliśmy nazywać ich partyzantami lub patriotami, co bardziej im odpowiadało. Wieś stała po stronie partyzantów, bo wszyscy byli chłopcami z tamtych okolic; kiedy się pojawiali, mówiono do nich jak dawniej po imieniu, choć wszyscy mieli już pseudonimy - Jeż, Błyskawica, Sinobrody, Ferruccio. Wielu z nich było młodymi ludźmi, których widywałem w Oratorium, jak grali w karty w przyciasnych i wytartych marynareczkach. Teraz nosili czapki z daszkiem, taśmy z nabojami przez pierś, pistolety maszynowe, pasy z przyczepionymi dwoma granatami, niektórzy nawet rewolwery w kaburze. Mieli czerwone koszule albo angielskie kurtki wojskowe lub jeszcze spodnie i sztyl-py królewskich włoskich oficerów. Wyglądali przepięknie.

Już w 1944 roku pojawiali się na krótko w Solarze, kiedy nie było tam Czarnych Brygad. Czasem przybywali partyzanci Badoglia z niebieskimi chustami; mówiono o nich, że są po stronie króla i że idąc do ataku, wołają jeszcze: „Niech żyje Sabaudia!”, na cześć panującej dynastii. Kiedy indziej znowu przychodzili garybaldczycy z czerwonymi chustami, śpiewający piosenki przeciw królowi i marszałkowi Badoglio oraz: Świszczy wiatr, huczy burza, buty podarte, lecz iść się godzi zdobywać czerwoną wiosnę, gdzie słońce przyszłości wschodzi. Ludzie Badoglia byli lepiej uzbrojeni; mówiono, że Anglicy im pomagają, a tym drugim nie, bo to wszystko komuniści. Garybaldczycy mieli pistolety maszynowe Czarnych Brygad, zdobyte w jakimś starciu lub w napadzie na skład broni;

ludzie Badoglia nosili najnowsze angielskie steny.

Steń był lżejszy od zwykłego pistoletu maszynowego, miał pustą kolbę - rodzaj uchwytu z żelaznego drutu, magazynek nie pod spodem, lecz z boku. Jeden z partyzantów pozwolił mi kiedyś wystrzelić. Strzelali na ogół w celach ćwiczebnych i po to, aby zaimponować dziewczynom.

Raz przyszli faszyci z Brygady San Marco, śpiewali: Święty Marku, święty Marku! Cóż z tego, że umrę.

Mówiono o nich, że to dzielni chłopcy z dobrych rodzin, którzy może dokonali złego wyboru, ale ludność traktują poprawnie, a do dziewcząt zalecają się grzecznie.

Natomiast ci z Czarnych Brygad zostali powypuszczani z więzień i z domów poprawczych (nie brakowało wśród nich szesnastolatków) i chcieli tylko wszystkich straszyć. Ale czasy były ciężkie i nie można było zbyt ufać nawet ludziom z Brygady San Marco.

Idę na mszę do wsi z mamą i z właścicielką willi oddalonej kilka kilometrów od naszej. Pani złości się ciągle na swojego dzierżawcę, który rzekomo oszukuje ją przy rozliczeniach. Ponieważ dzierżawca jest czerwony, ona stała się faszystką przynajmniej w tym sensie, że faszyci są przeciwko czerwonym. Wychodzimy z kościoła. Dwóm oficerom z Brygady San Marco wpadły w oko obie panie, już nie takie młode, lecz wyglądające jeszcze całkiem nieźle - a zresztą wiadomo, że wojskowi łapia, co popadnie. Podchodzą pod pretekstem, że chcieliby o coś spytać, bo nie są z tych stron. Panie zachowują się uprzejmie (to zresztą dwaj przystojni młodzieńcy) i pytają, jak oni się czują daleko od domów.

- Walczymy, żeby ten kraj odzyskał swój honor, drogie panie, honor zbrukany przez garść zdrajców - odpowiada jeden z nich.

Nasza sąsiadka komentuje:

- Słusznie, nie tak jak pewien pan, którego mam na myśli.

Mężczyzna uśmiecha się dziwnie i mówi:

- Chętnie poznałibyśmy nazwisko i adres tego pana. Mama blednie, czerwienieje, lecz dobrze sobie radzi:

- Wie pan, panie poruczniku, moja przyjaciółka pomyślała o takim facecie z Asti, który przyjeżdżał tutaj w ubiegłych latach, teraz Bóg wie gdzie jest, słyszałam, że go wywieźli do Niemiec.

- Dobrze mu tak - uśmiecha się porucznik i nie nalega. Wzajemne ukłony.

W drodze powrotnej mama mówi przez zęby tej nierozważnej damie, że w dzisiejszych czasach trzeba uważać na język, bo za byle głupstwo człowiek może trafić pod ścianę.

Gragnola. Przychodził często do Oratorium. Nalegał, aby wymawiać jego nazwisko z akcentem na pierwsze „a”, ale wszyscy mówili Gragnola z akcentem na „o”, robiąc aluzję do wyrażenia gragnuola di colpi, grad uderzeń. Protestował, zapewniając, że jest człowiekiem pokojowo usposobionym, ale znajomi odpowiadali: „No, już my swoje wiemy...” Szeptano, że ma kontakty z garybaldczykami w górach, a nawet - jak utrzymywali niektórzy - że jest ważnym dowódcą i że ryzykuje bardziej, mieszkając we wsi, niż przebywając z partyzantami, bo gdyby faszyci go odkryli, zostałby rozstrzelany na miejscu.

Gragnola wystąpił ze mną w Małym paryżaninie. Chciał mnie nauczyć grać w karty. Nie czuł się najlepiej w towarzystwie innych

dorosłych i spędzał długie godziny na rozmowach ze mną. Wchodziło tu może w rachubę jego pedagogiczne powołanie, bo przedtem był nauczycielem. A może zdawał sobie sprawę, że mówi rzeczy okropne i że gdyby zaczął wszystkim je opowiadać, wzięto by go za Antychrysta. Dlatego ufał tylko małemu chłopcu.

Pokazywał mi krążące potajemnie antyfaszystowskie gazetki. Nie zostawiał mi ich jednak, ponieważ, jak mówił, jeśli kogoś z czymś takim złapią, to natychmiast rozstrzelają. Dowiedziałem się w ten sposób o masakrze w Fosse Ardeatine pod Rzymem. „Po to, żeby nie zdarzały się już takie rzeczy - mówił - siedzą w górach nasi towarzysze. A Niemcy kaput!”



Opowiadał mi, że tajemnicze partie, dające o sobie znać w tych gazetkach, istniały przed dojściem faszystów do władzy i utrzymywały się w podziemiu za granicą, z wielkimi przywódcami, którzy pracowali jako murarze i niekiedy chwyтали ich siepacze Duce i zabijali pałkami.

Gragnola uczył czegoś w szkołach zawodowych, co rano wyjeżdżał na rowerze, wracał dobrze po południu. Potem musiał z tego zrezygnować; jedni mówili, że oddał się już duszą i ciałem partyzantce, drudzy szeptali, że nie mógł pracować dalej ze względu na suchoty. Na suchotnika

Gragnola wyglądał naprawdę: twarz szara jak popiół, na kościach policzkowych niezdrowe rumieńce, zapadłe policzki, uparty kaszel. Miał popsute zęby, utykał, był lekko garbaty, to znaczy miał zgięte plecy z wystającymi łopatkami, kołnierz marynarki odstawał mu od szyi i wydawało się, że ubranie wisi na nim jak worek. W teatryku Oratorium obsadzano go zawsze w rolach złoczyńcy albo kulawego dozorcę tajemniczej willi.

Jest studnią mądrości, mówili wszyscy, dodając, że wielokrotnie proszono go, aby zaczął nauczać na uniwersytecie, lecz on zawsze odmawiał, bo nie chciał porzucić swoich uczniów.

- Bzdury, Jambo - wyjaśnił mi później. - Ja uczyłem tylko w szkołach dla biedaków jako zastępca nauczyciela, bo przez tę brudną wojnę nie zrobiłem nawet magisterium. Jako dwudziestolatka wysłano mnie „przetrącić krzyże” Grecji, zostałem ranny w kolano. To jeszcze nic takiego, bo prawie nie widać, aie w tym błocie złapałem wstrętne choróbsko i odtąd pluję krwią. Gdyby Łeb - tak nazywał Mussoliniego - wpadł w moje ręce, nie zabiłbym go, bo niestety jestem tchórzem, ale dałbym mu tyle kopniaków w tyłek, że okulałby na tę resztę życia... niedługo, mam nadzieję... jaka mu pozostała, Judaszowi fałszywemu.

Spytałem go, dlaczego uczęszcza do Oratorium, skoro wszyscy wiedzą, że jest ateistą. Odpowiedział, że to jedyne miejsce, gdzie może spotykać ludzi. Poza tym nie jest ateistą, lecz anarchistą. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, kim są anarchiści. Wy tłumaczył mi, że to ludzie chcący wolności bez panów, bez króla, bez państwa i bez księży.

- Przede wszystkim bez państwa, nie tak jak komuniści w Rosji, co mają państwo, gdzie trzeba pozwolenia nawet na pójście do wychodka.

Opowiadał mi o Gaetanie Brescim, który - chcąc ukarać króla Humberta za to, że kazał strzelać do robotników w Mediolanie - kiedy go wylosowano, bez powrotnego biletu opuścił Amerykę, gdzie mógł sobie spokojnie żyć, i przyjechał tu zabić króla. Potem jego zabito w więzieniu i ogłoszono, że się powiesił, dręczony wyrzutami sumienia. Ale anarchista nie odczuwa nigdy wyrzutów sumienia za czyny, które popełnia w imię ludu. Opowiadał mi o anarchistach nadzwyczaj łagodnych, którzy musieli bez końca emigrować z jednego kraju do drugiego, prześladowani przez wszystkie policje, a śpiewali przy tym: Addio, Lugano bella, żegnaj, piękne Lugano, odchodzą anarchiści wygnani bez winy.

Potem opowiadał mi znowu o komunistach, którzy wytepiłi anarchistów w Katalonii podczas hiszpańskiej wojny domowej. Zapytałem go, dlaczego - będąc przeciwnikiem komunistów - zadaje się z garybaldczykami, którzy są przecież komunistami. Odpowiedział mi, że, po pierwsze, nie wszyscy garybaldczycy są komunistami, bo są wśród nich socjaliści i nawet anarchiści, a po drugie, że w obecnej chwili wrogiem są nazizm i faszyzm i że w takich sytuacjach nie wolno być zbyt wymagającym.

- Najpierw razem zwyciężymy, rachunki wyrównamy później.

Dodał wreszcie, że chodzi do Oratorium, bo to dobre miejsce. Księża są wprawdzie podłym plemieniem, ale także wśród nich, jak wśród garybaldczyków, zdarzają się porządni ludzie.

- Zwłaszcza teraz, kiedy kto wie, co się stanie z młodzieżą i jeszcze w zeszłym roku uczono ją według faszystowskiej formuły „książka i karabin”. W Oratorium nic młodym przynajmniej nie grozi, uczą ich uczciwości, choć trochę za dużo mówią o szkodliwości masturbacji, ale to

bez znaczenia, wy i tak ją uprawiacie, potem najwyżej idziecie do spowiedzi. Przychodzę więc do Oratorium i pomagam księdzu Cognasso zajmować się chłopcami. Kiedy jest msza, stoję cicho w głębi kościoła, bo szanuję Jezusa Chrystusa, chociaż Boga nie.

Pewnej niedzieli, kiedy o drugiej po południu byliśmy w Oratorium prawie sami, opowiedziałem mu o moich znaczkach, a on na to, że też kiedyś zbierał, ale po powrocie z wojny stracił ochotę i wszystko wyrzucił. Zostało mu ze dwadzieścia znaczków, chętnie mi je podaruje.

Poszedłem do niego do domu. Łup okazał się wspaniały, dwa znaczki były z wysp Fidzi, znałem je z katalogu Yverta i Telliera i od dawna pragnąłem zdobyć.

- To ty masz nawet katalog Yverta i Telliera? - spytał z podziwem.

- Tak, ale stary...

- Te stare są najlepsze.

Wyspy Fidzi. To dlatego w Solarze tak się zachwyciłem tymi dwoma znaczkami. Kiedy otrzymałem je od Gragnołi, zaniósłem do domu i wkleiłem na nowej stronie mojego albumu. Był zimowy wieczór, tatuś przybył poprzedniego dnia, ale odjechał już tego popołudnia, by wrócić do miasta przed mrokiem.

Siedziałem w kuchni w środkowej części domu, jedynym pomieszczeniu, które ogrzewaliśmy, mając dość drewna do pieca. Światło było słabe nie dlatego, że w Solarze przywiązywaliśmy wagę do zaciemnienia (komu by się chciało nas bombardować?), lecz dlatego, że żarówka lampy była przesłonięta abażurem, z którego zwisały sznury

perełek niczym paciorki, jakie można by podarować dzikim mieszkańcom wysp Fidzi.

Siedząc przy stole, zajmowałem się moją kolekcją. Mama cerowała, siostra bawiła się w kacie. Radio było włączone. Właśnie skończyła się „mediolańska” wersja seryjnej audycji Co słyszeć u Rossich, propagandowego programu Republiki Socjalnej, w którym członkowie jednej rodziny dyskutowali o polityce, dochodząc oczywiście do wniosku, że alianci są naszymi wrogami, partyzanci - bandytami, co z gnuśności nie chcą iść do wojska, a na Północy walczy się o honor Włoch u boku niemieckich towarzyszy broni. Co drugi wieczór nadawano jednak wersję „rzymską”, w której występowała inna rodzina, także o nazwisku Rossi, mieszkająca w Rzymie zajętych już przez aliantów. Ta rodzina uświadomiła sobie, że jest lepiej, kiedy jest gorzej, i zazdrościła rodakom z Północy, którzy pozostawali wolni pod sztandarami państw osi. Moja matka potrząsała głową i widać było, że w to wszystko nie wierzy, ale audycja była dobrze zrobiona. Albo się jej słuchało, albo wyłączało się radio.

Jednakże potem (przychodził też dziadek, który do tej chwili wytrzymywał jakoś w swoim gabinecie z ogrzewaczem przy nogach) można było nastawić Radio Londyn.

Audycja zaczynała się kilkoma cichymi uderzeniami w kocioł, prawie jak V symfonia Beethovena, następnie słyszało się przekonujące buonasera pułkownika Stevensa z typowo anglosaskim akcentem. Głos, do którego przyzwyczało nas radio faszystowskie, należał do reżimowego dziennikarza Maria Appeliusa, kończącego zachęcające do zwycięskiej walki przemowy słowami: „Niech Bóg po stokroć przeklnie Anglików!”

Stevens nie przeklinał po stokroć Włochów, wręcz przeciwnie, namawiał ich, aby razem z nim cieszyli się z klęsk osi, o których opowiadał co wieczór tonem, jakby chciał powiedzieć: „Widzicie, w co ten wasz Duce was wpakował?”

Jego kroniki nie dotyczyły wyłącznie bitew w polu. Opisywał nasze życie, życie przyjaznych ludzi siadających co wieczór przy radiu, aby usłyszeć głos Londynu, przewyciężywszy obawę, że ktoś doniesie i pójdą do więzienia. Opowiadał naszą historię, historię swoich słuchaczy, a my mu ufaliśmy, ponieważ opisywał dokładnie to, co my robiliśmy, aptekarz z rogu, a nawet, mówił, wachmistrz karabinierów, który o wszystkim wie, ale milczy skrycie. Tak mówił Stevens, a jeśli nie kłamał w tym względzie, mogliśmy mu zaufać co do całej reszty. Wiedzieliśmy wszyscy, nawet my, dzieci, że on też uprawia propagandę, lecz pociągała nas ta propaganda cicha, bez heroicznego frazesów i wezwań do umierania. Pułkownik Stevens dowodził przesady słów, którymi codziennie nas karmiono.

Nie wiem dlaczego, ale widziałem tego pana, który był tylko głosem, jako Mandrake'a: w eleganckim fraku, z wypielegnowanym wąsikiem, tylko nieco bardziej szpakowatym niż u komiksowego maga, no i zdolnego do zamienienia każdego pistoletu w banan.

Gdy pułkownik skończył, zaczynały się komunikaty specjalne dla brygad partyzanckich, równie tajemnicze i pobudzające wyobraźnię co znaczek z Montserratu: „Wiadomości dla Brygady Franchi, Feliks nie jest szczęśliwy, Już nie pada, Mam blond brodę, Gruby Jakub całuje Mahometa, Orzeł leci, Słońce znowu wschodzi...”

Widzę siebie przypatrującego się w zachwycie znaczkom z wysp

Fidzi, lecz nagle, między dziesiątą a jedenastą, słychać na niebie brzęczenie, gasimy światło i biegniemy do okna zobaczyć przelatującego Pipetta. Słyszało się go co noc mniej więcej o tej samej porze albo tak chciała legenda. Zdaniem jednych był to angielski zwiadowca, zdaniem innych - samolot amerykański, lecący zrzucić żywność i broń partyzantom, może niedaleko stąd, na wzgórzach Langhe.

Jest noc bezgwiezdna i bezksiężycowa, nie widać światła w dolinie ani zarysów wzgórz, nad nami przelatuje Pipetto. Nikt nigdy go nie widział, to tylko dźwięk w nocy.

Pipetto przeleciał, także ten wieczór upłynął jak zwykle, wracamy do ostatnich piosenek w radiu. Tej nocy jest może bombardowany Mediolan, ludzi, dla których pracuje Pipetto, ścigają po wzgórzach sfory wilczurów, lecz radio, swoim głosem saksofonu w rui, śpiewa: Tam, w Capocabanie, w Capoca-banie, kobieta jest królową, roztacza panowanie, i można sobie wyobrazić uwodzicielską diwę. Zstępuje miękko białymi schodami, stopnie się rozświetlają, gdy stawia na nich nogę, otoczona młodzieńcami w białych frakach, którzy zdejmują cylindry i przyklekają w uwielbieniu, kiedy obok przechodzi. Swoją Capocabaną (nie Copacabaną, tylko właśnie Capocabaną) to uosobienie zmysłowości kieruje do mnie posłanie równie egzotyczne co moje znaczki. Program kończą różne pieśni o sławie i zemście. Nie należy jednak gasić radia od razu, mama o tym wie. Kiedy już się wydaje, że aparat ucichł do następnego dnia, rozlega się smutny głos, który śpiewa:

Powrócisz do mnie i będziesz koło mnie, bo w niebie jest zapisane, że ty wrócisz.

Powrócisz, ty wiesz, że ze wszystkim się zmierzę, bo w ciebie

wierzę.

Słyszałem tę piosenkę na nowo w Solarze, ale była to piosenka miłosna ze słowami: Powrócisz do mnie, I by zasnąć koło mnie, I to serce tak mi powiada, że / ty wrócisz. I Powrócisz, ty wiesz, I że mi z tobą jak w niebie, I bo kocham ciebie. Piosenka, której słuchałem wtedy wieczorami, była więc wersją z czasów wojny. W sercach wielu musiała dźwięczeć jak obietnica lub jak wezwanie do kogoś dalekiego, kto zamarzał może właśnie na rosyjskim stepie albo stawał przed plutonem egzekucyjnym. Kto nadawał tę piosenkę o nocnej porze? Przepęlniony tęsknotą urzędnik, zanim zamknął studio, czy ktoś wykonujący rozkaz z góry? Nie wiedzieliśmy tego, ale ów głos towarzyszył nam u progu snu.

Dochodzi jedenasta, zamykam album ze znaczkami, idziemy spać. Mama przygotowała cegłę, prawdziwą cegłę, trzymaną w piecu, póki nie zacznie parzyć i nie można jej będzie wziąć do ręki. Zawija się ją w wełnianą tkaninę i wsadza pod kołdrę, aby rozgrzać całe łóżko. Przyjemnie jest oprzeć o nią stopy także i po to, by złagodzić swędzenie od odmrożeń, które w tych latach (zimno, brak witamin, zaburzenia hormonalne) wywoływały u nas opuchliznę pałców wszystkich czterech kończyn i niekiedy ropiały, tworząc bardzo bolesne rany.

Jakiś pies skowyczy cicho w jednej z zagród w dolinie.

Z Gragnolą rozmawiałem o wszystkim. Opowiadałem mu o swoich lekturach, a on komentował je namiętnie.

- Verne - mówił - jest lepszy od Salgariego, bo myśli naukowo. Cyrus Smith fabrykujący nitroglicerynę jest prawdziwszy od tego Sandokana, który rozdziera sobie pierś paznokciami tylko dlatego, że się zadurzył w piętnastoletniej gówniarczce.

- Nie podoba ci się Sandokan?

- Według mnie jest trochę faszystą.

Powiedziałem mu, że przeczytałem Serce De Amicisa, a on na to, żebym tę książkę wyrzucił, bo De Amicis był faszystą.

- Pomyśl tylko - mówił - wszyscy są przeciwko biednemu Frantiemu, bo pochodzi z upośledzonej rodziny, i przy-milają się na wyścigi temu faszycie nauczycielowi. O czym się tam opowiada? O dzielnym Garrone lizusie, o małym lom-bardzkim posterunku, który umiera, bo podły oficer królewski posłużył się dzieckiem, żeby wypatrywało nadejścia wroga, o sardyńskim doboszyku, którego wysyłają jako łącznika w sam środek bitwy, a potem, kiedy biedaczek traci nogę, ten obrzydliwy kapitan przykleja się do niego z otwartymi ramionami i całuje trzykrotnie w serce, czego przecież okaleczonemu dopiero co dziecku się nie robi, nawet kapitan królewskiego wojska piemonckiego powinien mieć odrobinę zdrowego rozsądku. Albo ojciec Corettiego, który dotyka syna ręką jeszcze ciepłą od uścisku tego króla rzeźnika. Pod ścianę, pod ścianę! To właśnie tacy jak De Amicis utorowali drogę faszyzmowi.

Tłumaczył mi, kim byli Sokrates i Giordano Bruno. Także Bakunin - ale nie zrozumiałem dobrze, kim był i co powiedział. Opowiadał mi o Campanelli, Sarpim, Galileuszu, wtrąconych do więzienia albo torturowanych przez księży, bo chcieli głosić zasady nauki. Niektórzy musieli poderżnąć sobie gardło jak Ardigó, bo rządzący i Watykan tak im dokuczali.

Ponieważ przeczytałem w Najnowszym Melzim hasło „Hegel” („Wyb. filozof niem. ze szkoły panteistycznej”), spytałem o niego.

- Hegel nie był panteistą, twój Melzi to nieuk. Panteistą mógł być

Giordano Bruno. Panteistą mówi, że Bóg jest wszędzie, nawet w tej muszej kupce, którą tam widzisz. Rozumiesz, co to znaczy: być wszędzie to tak, jakby nie być nigdzie.

A dla Hegla nie Bóg, ale państwo wszędzie musiało być, był więc faszystą.

- Żył przecież ponad sto lat temu.

- I co z tego? Także Joanna d'Arc była faszystką najczystszej wody. Faszyci istnieli zawsze. Od czasów... od czasów Boga. Weź Boga - to faszysta.

- Czy ty nie jesteś ateistą, dla którego Bóg nie istnieje?

- Kto tak powiedział? Może ksiądz Cognasso, co nigdy niczego nie kapuje. Ja wierzę, że Bóg, niestety, istnieje. Tyle że jest faszystą.

- Ale dlaczego?

- Posłuchaj, jesteś jeszcze za mały, żebym mógł ci zrobić wykład z teologii. Wyjdźmy od tego, co znasz. Wylicz mi dziesięć przykazań, w Oratorium uczą ich was na pamięć.

Wyliczyłem.

- Dobrze - powiedział - teraz uważaj. Z tych dziesięciu przykazań cztery... uważaj, nie więcej niż cztery... zalecają coś dobrego, choć i one... no, przyjrzymy się im jeszcze bliżej. Nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, nie pożądaj żony bliźniego twego. To ostatnie zwraca się do mężczyzn, którzy wiedzą, czym jest honor: z jednej strony nie przyprawiaj rogów przyjaciom, z drugiej - staraj się nie rozbijać rodziny. Z tym mogę się zgodzić, wprawdzie anarchiści chcą zlikwidować też i rodzinę, ale nie da się wszystkiego mieć od razu. Do pozostałych trzech przykazań nie mam zastrzeżeń, ale to jest minimum, które doradza

ci także zdrowy rozsądek. Z tym że nie można wszystkiego brać dosłownie, każdy z nas kłamie nieraz w dobrej wierze, ale zabijać nie wolno, nigdy.

- Nawet jeśli król wyśle nas na wojnę?

- No właśnie. Księża mówią, że jeśli na wojnę wysyła król, to możemy, a nawet musimy zabijać. Odpowiedzialność ponosi król. W ten sposób usprawiedliwia się wojnę, ohydną bestię, zwłaszcza jeśli na wojnę wysłał cię Łeb. Zwróć uwagę: przykazania nie mówią, że możesz zabijać na wojnie. Mówią: nie zabijaj. Kropka. Ale potem...

- Potem co?

- Przyjrzyjmy się pozostałym przykazaniom. Jam jest Jahwe, twój Bóg. To nie przykazanie, bo byłoby ich jedenaście.

To wstęp, ale wstęp oszukańczy. Pomyśl tylko. Mojżeszowi pojawia się jakiś facet... zresztą nawet się nie pojawia, słyhać tylko głos nie wiadomo skąd... a on zaraz idzie do swoich ludzi i mówi, że mają być posłuszni przykazaniom, bo pochodzą one od Boga. Kto powiedział, że od Boga? Głos mówi: „Jam jest Jahwe, twój Bóg”. A jeśli nie? Wyobraź sobie, że zatrzymuję cię na ulicy i mówię, że jestem karabinierem po cywilnemu i że musisz zapłacić mandat w wysokości dziesięciu lirów, bo tą ulicą nie wolno chodzić. Jeśli nie jesteś całkiem głupi, odpowiesz: „Skąd mam wiedzieć, że jesteś karabinierem, może jesteś zwykłym oszustem? Pokaż mi legitymację”. Natomiast Bóg dowodzi Mojżeszowi, że jest Bogiem, bo tak mówi i tyle. Wszystko się zaczyna od fałszywego świadectwa.

- Myślisz, że to nie Bóg dał Mojżeszowi dziesięć przykazań?

- Nie, myślę, że to był właśnie Bóg. Chcę tylko powiedzieć, że uciekł

się do triku. Zawsze tak robił. Masz wierzyć w Biblię, bo jest natchniona przez Boga, ale kto powiedział, że Bóg ją natchnął? Sama Biblia. Rozumiesz, jakie to matactwo? Idźmy dalej. Pierwsze przykazanie: nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Więc ten pan zabrania ci myśleć, dajmy na to, o Allahu, Buddzie czy o Wenerze - a, bądźmy szczerzy, mieć za boginię taką ładną babkę wcale nie byłoby źle. Pierwsze przykazanie oznacza jednak również, że nie wolno ci wierzyć, dajmy na to, w filozofię, w naukę, myśleć, że człowiek pochodzi od małpy. Tylko Bóg i tyle. Teraz uważaj: wszystkie inne przykazania są faszystowskie, bo cię zmuszają do zaakceptowania społeczeństwa takim, jakie ono jest. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił... Co ty na to?

- No, chodzić w niedzielę na mszę, co w tym złego?

- Tak ci mówi ksiądz Cognasso, który, jak wszyscy księża, o Biblii nie ma zielonego pojęcia. Zastanów się! Mojżesz wędrował z prymitywnym plemieniem, dla którego to oznaczało, że ma przestrzegać rytuałów, a rytuały - od składania ofiar z ludzi do wieców z Łbem na placu Weneckim w Rzymie - służą temu, żeby lud ogłupić. Dalej: czcuj ojca twego i matkę swoją. Cicho, nie mów mi, że należy słuchać rodziców, to dobre dla dzieci, którymi trzeba kierować. „Czcuj ojca twego i matkę swoją” znaczy: szanuj poglądy starych, nie sprzeciwiaj się tradycji i nie próbuj zmieniać trybu życia plemienia. Rozumiesz? Nie ścinać głowy królowi, jak Bóg przykazał, to jest, przepraszam, jak w gruncie rzeczy trzeba, jeśli sami mamy głowę na karku, zwłaszcza takiemu królowi jak ten karzełek sabaudzki, co zdradził własne wojsko i wysłał na śmierć swoich oficerów. Teraz rozumiesz, że nawet „nie kradnij” nie jest takim niewinnym przykazaniem, jak się wydaje, bo każe ci nie tykać własności

prywatnej, to znaczy własności tego, kto się wzbogacił, okradając ciebie. Żeby to na tym koniec. Brak jeszcze trzech przykazań. Co znaczy „nie cudzołóż”, a więc nie popełniaj czynów nieczystych? Rozmaici księża Cognasso wmawiają ci, że chodzi tylko o to, żebyś nie międził kutaska, co ci zwisa między nogami; ale umieszczanie na tablicy praw takiego, które dotyczy tylko trzepania kapucyna, wydaje mi się prawdziwym marnotrawstwem. Pomijając tę sprawę, co mam zrobić ja, który jestem nieudacznikiem, moja zacna mamusia nie urodziła mnie pięknym, na dodatek jestem kulawy i w życiu nie dotknąłem kobiety. Chcecie mi zabronić, żebym choć tak sobie ulżył?

Wiedziałem już wtedy, jak się rodzą dzieci, ale chyba bardzo niewiele o tym, co się dzieje przedtem. O trzepaniu kapucyna i o innych sposobach słyszałem od szkolnych kolegów, lecz nie ośmielałem się zgłębiać tematu. Nie chciałem jednak źle wypaść w oczach Gragnoli. Potakiwałem w milczeniu, ze zrozumieniem.

- Bóg mógł powiedzieć, dajmy na to: wolno ci poruchać, ale tylko po to, żeby zrobić dzieci, zwłaszcza że na świecie było jeszcze mało ludzi. Ale w dziesięciu przykazaniach nie ma o tym mowy. Dowiadujemy się tylko, że z jednej strony nie wolno ci pożądać żony przyjaciela, a z drugiej - nie wolno ci cudzołóżyć, popełniać czynów nieczystych. No a ruchanie? Jakże to, Bóg dyktuje przecież prawa dla całego świata, Rzymianie Bogiem nie byli, a wymyślili prawa, które dziś jeszcze się stosuje, a Bóg spisuje dekalog, który milczy o sprawach najważniejszych? Powiesz mi: no dobrze, ale zakaz cudzołożenia, zakaz czynów nieczystych dotyczy ruchania pozamałżeń-skiego. Tylko czy na pewno? Czym były czyny nieczyste dla Żydów? Mieli bardzo surowe reguły, na przykład nie wolno

im było jeść wieprzowiny ani wołowiny z wołów zaszlachtowanych w pewien sposób, a nawet, jak mi powiedziano, owoców morza. Zatem czyny nieczyste są tym wszystkim, czego władza zabrania. To znaczy czym? Tym wszystkim, co władza uzna za nieczyste. Wystarczy pokombinować. Łeb uważał, że nieczyste jest krytykowanie faszyzmu i karał je zesłaniem. Za nieczystą uznał bezżenność - ustanowiono podatek kawalerski. Nieczyste było powiewanie czerwoną chorągwią. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Dochodzimy do ostatniego przykazania: nie pożądaj własności bliźniego twego. Czy zastanowiłeś się kiedy nad potrzebą tego przykazania, przecież jest już „nie kradnij”? Jeśli pragniesz roweru takiego, jaki ma twój kolega, czy popełniasz grzech? Nie, jeśli mu go nie ukradniesz. Ksiądz Cognasso ci powie, że to przykazanie zabrania zawiści, która jest z pewnością czymś brzydkim. Istnieje jednak zawiść niedobra, jak wtedy, kiedy twój kolega ma rower, ty nie, no i mu życzysz, żeby sobie na nim skrzył kark, i zawiść dobra, jak wtedy, kiedy ty też chcesz mieć rower i zaczynasz pracować jak szalony, żeby go sobie kupić, nawet używany. Jest wreszcie jeszcze jeden rodzaj zawiści: pragnienie sprawiedliwości, kiedy nie możesz sobie wytłumaczyć, dlaczego niektórzy mają wszystko, a są tacy, co przymierają głodem. Jeśli odczuwasz tę piękną zawiść, która jest zawiścią socjalistyczną, bierzesz się do roboty, żeby zbudować świat, w którym bogactwa będą sprawiedliwiej podzielone. Ale tego właśnie to przykazanie ci zabrania: nie pożądaj więcej, niż masz, szanuj ustalony porządek co do własności. Na tym świecie jeden ma dwa pola tylko dlatego, że je odziedziczył, a drugi je uprawia za kęs chleba, no i temu drugiemu nie wolno pożądać pola jego pracodawcy, bo inaczej rozpadnie się państwo, będzie rewolucja. Dziesiąte

przykazanie zabrania rewolucji. A zatem, drogi mój chłopcze, nie zabijaj i nie okradaj takich biedaków jak ty sam, ale požądaj bez wahania mienia tych, którzy zabrali je tobie. Takie jest słońce przyszłości i dlatego nasi towarzysze siedzą tam, w górach. Chcą rozprawić się z Łbem, co objął władzę opłacony przez wielkich właścicieli ziemskich, i z tymi szwabami Hitlera, co chciał podbić świat, żeby mógł sprzedawać więcej armat ten Krupp, który produkuje „grube Berty”, długie jak dziesięć tyk. Ale co ty z tych rzeczy zrozumiesz? Przecież w szkole uczyli cię tylko na pamięć „przysięgam być posłuszny rozkazom Duce”.

- Nie, rozumiem dużo, choć nie wszystko.

- Mam nadzieję.

Tamtej nocy przyśnił mi się Duce.

Pewnego dnia wybraliśmy się na spacer po wzgórzach. Myślałem, że Gragnola będzie mi mówił o pięknie przyrody, jak raz już zrobił. Tego dnia pokazywał mi jednak tylko rzeczy martwe: wyschnięte krowie łajno, nad którym brzęczały muchy, zniszczoną przez pasożytnicze grzyby winorośl, długi szereg gąsienic gotujących się do uśmiercenia drzewa, wyrzucone na śmietnik kartofle z naroślami większymi od bulwy, pozostawione w rowie zwłoki zwierzęcia już na wpół zgniłe, tak że nie można było rozpoznać, czy to kuna, czy zając. Palił przy tym jednego popularnego za drugim. Doskonale na gruźlicę, zapewniał, dezynfekują płuca.

- Widzisz, chłopcze, świat opanowało zło. Tak, Zło przez duże „Z”.

Nie mam na myśli jedynie zła wyrządzanego przez tych, którzy zabijają

bliźnich, żeby im ukraść kilka lirów, ani zła czynionego przez esesmanów, wieszających naszych towarzyszy. Mówię o Złu samym w sobie, z którego powodu zgniły moje płuca, niszczejają plony, grad może zrujnować właściciela malej winnicy, co nie posiada niczego innego. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego istnieje na świecie zło, przede wszystkim śmierć? Przecież ludzie tak kochają życie, a tu pewnego pięknego dnia śmierć zabiera sobie bogatych i biednych, nieraz w wieku dziecięcym. Czy słyszałeś kiedyś o śmierci wszechświata? Ja czytam, więc wiem. Wszechświat - absolutnie wszystko, gwiazdy, Słońce, Droga Mleczna - jest jak bateria elektryczna, co działa i działa, ale się wyładowuje i kiedyś działać przestaje. Koniec wszechświata. Zło zła polega na tym, że wszechświat jest skazany na śmierć. Można powiedzieć: od samego urodzenia. Wydaje ci się piękny taki świat, w którym istnieje Zło? Czy nie byłby lepszy świat bez Zła?

- No tak - westchnąłem filozoficznie.

- Niektórzy twierdzą, że świat powstał przez pomyłkę, że jest chorobą wszechświata, który nie był w ogóle zbyt zdrowy, aż tu pewnego dnia wyskoczył mu ten guz - Układ Słoneczny, i my z nim. Ale gwiazdy, Droga Mleczna i Słońce nie wiedzą, że muszą umrzeć, i nie martwią się. Za to my, zrodzeni z choroby wszechświata, na nasze nieszczęście jesteśmy spryciarzami i rozumiemy, że trzeba umierać. I tak nie tylko jesteśmy ofiarami Zła, ale też zdajemy sobie z tego sprawę. Wesołe, nie?

- Ale to ateści mówią, że świata nikt nie stworzył, a ty utrzymujesz, że nie jesteś ateistą...

- Nie jestem nim, bo nie mogę uwierzyć, że to wszystko, co widzimy wokół nas - sposób, w jaki rosną drzewa i dojrzewają owoce, Układ

Słoneczny, nasz mózg - powstało przez przypadek. Za dobrze jest zrobione. Musiał stać za tym twórczy umysł - Bóg.

- A więc?

- A więc jak pogodzisz Boga ze Złem?

- Tak od razu nie potrafię, daj mi pomyśleć...

- No tak, daj mi pomyśleć, mówisz, jakby nie myślały już o tym najmądrzejsze głowy przez całe wieki...

- I co wymyśliły?

- Guzik wymyśliły. Zło, powiedziano, pojawiło się na świecie z winy zbuntowanych aniołów. Jakże to? Bóg widzi i przewiduje wszystko, a nie wiedział, że buntowniczy aniołowie się zbuntują? Jeśli wiedział, że się zbuntują, to po co ich stworzył? To tak, jakby ktoś produkował opony samochodowe pękające po dwóch kilometrach. To przecież byłby idiota. A tu nie, On aniołów stworzył, potem był strasznie zadowolony, patrzcie, jaki jestem cwany, potrafię stworzyć nawet aniołów... Potem czekał, aż się zbuntują (kto wie, jak się ślinił z niecierpliwości, żeby ten fałszywy krok zrobili), i strącił ich do piekła. Jest więc prawdziwą hieną! Inni filozofowie wydumali co innego. Zło nie istnieje poza Bogiem, nosi On je w swoim wnętrzu jak chorobę, przez całą wieczność stara się go pozbyć. Biedak, może jest tak naprawdę. Ale ja, gruźlik, nigdy nie będę miał dzieci, żeby nie tworzyć nieszczęśników, bo suchoty przechodzą z ojca na syna. A Bóg, co wie, że ma tę chorobę, tworzy świat, który w najlepszym wypadku będzie opanowany przez Zło? To czysta złośliwość. Człowiek może jeszcze zrobić dziecko mimo woli, bo pewnego wieczoru pofolgował sobie i nie nałożył kondomu, ale Bóg stworzył świat dlatego, że tak chciał...

- A gdyby przytrafiło mu się to niechcący, jak komuś, kto nasiusił w

spodnie?

- Tobie się zdaje, że mówisz coś do śmiechu, ale tak właśnie pomyślały wybitne umysły. Bóg stworzył świat mimo woli, dokładnie tak, jak my mimo woli siusiamy w spodnie. Świat jest wynikiem Jego niemożności utrzymania moczu, zupełnie jakby miał powiększoną prostatę.

- Co to jest prostata?

- To bez znaczenia, wyobraź sobie, że dałem ci inny przykład. Teraz uważaj. Stworzenie świata Bogu się przytrafiło, po prostu nie mógł go dłużej utrzymać, a to wszystko jest skutkiem Zła, które w sobie nosi. Oto jedyne usprawiedliwienie dla Boga. My siedzimy w gównie po szyję, ale i jemu nie jest lepiej. W tym wypadku pękają jednak jak purchawki te wszystkie piękne rzeczy, o których słyszysz w Oratorium: Bóg jest Dobrem, jest istotą w najwyższym stopniu doskonałą, twórcą nieba i ziemi. Bóg stworzył niebo i ziemię dlatego właśnie, że był niedoskonały. I dlatego stworzył gwiazdy jak baterie, których nie można powtórnie naładować.

- Wybacz, Bóg mógł stworzyć świat, w którym musimy umierać, ale zrobił to, żeby wystawić nas na próbę i sprawić, że zasłużymy na raj, a więc na wieczną szczęśliwość.

- Albo będziemy radować się w piekle.

- Tylko ci, którzy ulegną pokusom diabła.

- Mówisz jak teolog, a oni wszyscy przemawiają w złej wierze. Mówią jak ty, że Zło istnieje, ale że Bóg dał nam najpiękniejszy podarunek w świecie - naszą wolną wolę. Możemy swobodnie robić to, co nakazuje nam Bóg, i to, co podpowiada nam diabeł. Jeśli pójdziemy potem

do piekła, to właśnie dlatego, że nie zostaliśmy stworzeni jako niewolnicy, lecz jako ludzie wolni; tyle że źle użyliśmy tej wolności, ale to już nasza sprawa.

- Właśnie.

- Właśnie? A kto ci powiedział, że wolność jest pięknym podarunkiem? To znaczy: uważaj, żebyś wszystkiego nie poplątał. Nasi towarzysze w górach walczą o wolność, ale jest to wolność od innych ludzi, którzy chcieli nas zamienić w maszyny. Wolność to piękna rzecz w stosunkach międzyludzkich: nie masz prawa kazać mi myśleć tak, jak ty chcesz. Nasi towarzysze mieli wolność wyboru: czy pójdą w góry, czy gdzieś się zadekują. Jaką zaś wolnością obdarzył nas Bóg? Wolnością pójścia albo do nieba, albo do piekła, bez drogi pośredniej. Rodzisz się i musisz rozegrać tę partię; jeśli przegrasz, będziesz cierpieć przez całą wieczność. A jeśli ja nie chciałbym jej rozgrywać? Łeb narobił wiele złego, ale zrobił i coś dobrego: zabronił gier hazardowych, bo to pokusa prowadząca do ruiny. I nie ma co mówić, że możesz grać albo nie. Lepiej nie wystawiać ludzi na pokusę. Natomiast Bóg stworzył nas wolnych i bardzo słabych, wystawionych na pokusy. I to ma być piękny podarunek? To tak, jakbym cię zepchnął z tamtego zbocza i powiedział: nie martw się, wolno ci łapać się krzaków i próbować wdrapać się z powrotem albo spadać w dół i zamienić się w siekaninę. Ty mógłbyś mi powiedzieć: dlaczego mnie zepchnąłeś, na górze było mi dobrze. A ja odpowiadam: żeby zobaczyć, czy jesteś dzielny. Ładny żart. Ty nie chciałeś dowodzić, że jesteś dzielny, wolałeś nie spadać.

- Teraz mąci mi się w głowie. Co ty właściwie chcesz powiedzieć?

- To całkiem proste, tyle że nikt o tym jeszcze nie pomyślał.

Dlaczego księża mówią, że Bóg jest dobry? Bo nas stworzył. Ale to właśnie dowodzi, że jest zły. Bóg nie cierpi na Zło, jak my na ból głowy. Bóg jest Złem. Ponieważ jest wieczny, może nie był zły miliardy lat temu. Zrobił się nim tak jak te dzieci, które się nudzą i dla zabicia czasu zaczynają wyrywać muchom skrzydełka. Uważaj: jeśli przyjmiesz, że Bóg jest zły, całe zagadnienie Zła staje się w pełni zrozumiałe.

- A więc źli są wszyscy, z Jezusem włącznie?

- Ależ nie! Jezus jest jedynym dowodem na to, że przynajmniej my, ludzie, potrafimy być dobrzy. Chcąc być szczery, nie jestem pewien, czy Jezus był synem Boga, ponieważ nie umiem sobie wytłumaczyć, jak z takiego niedobrego ojca mógł się urodzić ktoś tak dobry. Nie jestem nawet pewien, czy Jezus naprawdę istniał. Może my, ludzie, go wymyśliliśmy, ale to właśnie byłoby cudem, że przyszedł nam do głowy tak wspaniały pomysł. Albo może istniał, był najlepszym ze wszystkich i z dobroci serca mówił, że jest synem Boga, żeby nas przekonać, że Bóg jest dobry. Jeśli jednak przeczytasz uważnie ewangelię, spostrzeżesz, że on także zdał sobie w końcu sprawę, że Bóg jest zły. Ogarnięty strachem w gaju oliwnym prosi, żeby oddalił od niego ten kielich, no i nic z tego. Bóg go nie wysłuchał. Woła z krzyża: ojcze mój, czemuś mnie opuścił? - znowu nic z tego. Bóg odwrócił się w drugą stronę. Jezus nas nauczył, co może zrobić człowiek, żeby naprawić zło Boga. Jeśli Bóg jest zły, starajmy się być dobrzy przynajmniej my, nie dokuczajmy sobie nawzajem, opiekujmy się chorymi, nie szukajmy zemsty. Pomagajmy sobie sami, skoro on nam nie pomaga. Pojmujesz teraz, jaka piękna była idea Jezusa? Kto wie, jak bardzo rozzłościł nią Boga. Bynajmniej nie diabeł, ale Jezus był jedynym prawdziwym wrogiem Boga. Jezus jest jedynym przyjacielem nas,

biedaków.

- Czy nie jesteś przypadkiem heretykiem jak ci, których palono na stosie?

- Jestem jedynym, który pojął prawdę, ale - żeby mnie nie spalono - nie mogę o niej rozpowiadać i zaufałem tylko tobie. Przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

- Przysięgam. - Skrzyżowałem dwa palce na ustach. - Krzyżyk, krzyżyczek.

Zauważyłem, że Gragnola nosi stale pod koszulą zawieszony na szyi podłużny skórzany woreczek.

- Co to jest, Gragnola?

- Skalpel.

- Studiowałaś medycynę?

- Studiowałem filozofię. Skalpel podarował mi, tuż przed śmiercią, nasz lekarz pułkowy w Grecji. „Mnie już niepotrzebny - powiedział - brzuch mi rozciął ten granat. Przydałby mi się raczej damski futerał z igłami i nićmi. Ale tej dziury już się nie zaszyje. Weź mój skalpel na pamiątkę”. No i noszę go zawsze ze sobą.

- Dlaczego?

- Bo jestem tchórzem. Jeśli esesmani albo Czarne Brygady mnie złapią, to z pewnością nie uniknę tortur. Przecież rozumieją, co robię i co wiem. A poddany torturom zacznę mówić, bo ból mnie przeraża. Dlatego jeśli wpadnę w ich ręce, poderżnę sobie gardło skalpelem. To nie boli, trwa sekundy, ciach! W ten sposób wszystkich zrobię w konia: faszystów, bo niczego się nie dowiedzą; księży, bo popełnię samobójstwo, a to grzech; Boga, bo umrę, kiedy zechcę, a nie kiedy on postanowi.

Wszystkim kopa w tyłek.

Przemówienia Gragnoli smuciły mnie. Nie dlatego, abym był przekonany o ich niesłuszności, lecz dlatego, że obawiałem się, iż mogą zawierać prawdę. Kusiło mnie, by porozmawiać o tym z dziadkiem, ale obawiałem się jego reakcji. Może on i Gragnoła nie doszliby do porozumienia, chociaż obaj byli an-tyfaszystami. Dziadek zakończył poniekąd na wesoło swój konflikt z Merlem i z Duce. Uratował czterech chłopaków w Kaplicy, zakpił z Czarnych Brygad i na tym koniec. Nie chodził do kościoła, lecz to nie znaczy, że był ateistą - nie dbałby przecież o szopkę. Jeśli wierzył w Boga, musiał to być Bóg wesoły, który dobrze się uśmieł na widok Merla, gdy ten o mało duszy z ciała nie wyrzygał; dziadek oszczędził Bogu trudu wysyłania go do piekła, bo po wypiciu tego oleju faszysta miał z pewnością iść tylko do czyścca, żeby się tam spokojnie do końca wypróżnić. Natomiast Gragnoła żył w smutnym świecie niedobrego Boga. Widziałem, jak się uśmiechał z pewną czułością wtedy tylko, kiedy opowiadał mi o Sokratesie i Jezusie. Obaj, mówiłem sobie, zostali w końcu zabici, więc chyba nie było powodu do śmiechu.

A przecież Gragnoła nie był zły i lubił otaczających go ludzi. Pretensję miał tylko do Boga, a musiał to być kłopot nie lada. Jakbyś rzucał kamieniami w nosorożca, który nawet tego nie zauważa i kroczy nadal jak nosorożec, a ty robisz się czerwony ze złości i dostajesz apopleksji.

Kiedy rozpocząłem z kolegami ze wsi Wielką Grę? W świecie, w którym wszyscy do siebie strzelali, potrzebny był nam nieprzyjaciel. Wybraliśmy chłopców z San Martino, wioski na szczycie wzgórza, którego zbocza zagłębiały się w Wąwozie.

Wąwóz wyglądał jeszcze gorzej niż w opisie Amalii. Doprawdy nie dawało się tam wejść - nie mówiąc już o schodzeniu - bo na każdym kroku groziło jakieś niebezpieczeństwo. Gdzie nie było ciernistych zarośli, zapadał się pod tobą grunt, widziałeś gęste krzewy robinii lub jeżyn, a w środku ziała dziura. Zdawało ci się, że znalazłeś ścieżkę, a to tylko bezładnie rozrzucone kamienie, po dziesięciu krokach już się ślizgałeś, spadałeś z krawędzi i leciałeś w dół przynajmniej dwadzieścia metrów. Jeśli zdołałeś wylądować na dnie żywy, bez połamanych kości, to kolce tarniny wykłuwały ci oczy. Na dodatek mówiono, że są tam żmije.

Mieszkańcy San Martino bali się Wąwozu okropnie także z powodu strzyg. Trzymali u siebie świętego Antonina, mumię powstałą chyba z grobu, aby psuć mleko położnicom, i wierzyli w strzygi. Dla nas byli idealnymi przeciwnikami, bo uważaliśmy ich wszystkich za faszystów. W rzeczywistości tak nie było, ale dwóch braci stamtąd poszło do Czarnych Brygad, a na miejscu pozostało ich dwóch młodszych braci, przywódców tamtejszej bandy. W każdym razie wioska była przywiązana do tych swoich synów w wojsku, więc mieszkańcom San Martino, szeptano w Solarze, nie należało ufać.

Faszyści czy nie, naszym zdaniem chłopaki z San Martino były złośliwe jak małpy. A to dlatego, że kiedy mieszkasz w takiej przeklętej dziurze jak San Martino, musisz codziennie coś kombinować, aby czuć, że żyjesz. Do szkoły musieli schodzić do Solary; my, tutejsi, patrzyliśmy na nich jak na Cyganów. Wielu z nas przynosiło do szkoły drugie śniadanie, chleb z marmoladą, a oni mogli być szczęśliwi, jeśli dostali od rodziców robaczywe jabłko. No więc musieli coś robić i nieraz obrzucili nas kamieniami, kiedy staliśmy w bramie Oratorium. Trzeba było im się

odwdzięczyć. Musieliśmy więc dostać się do San Martino i zaatakować ich, kiedy grają w piłkę przed kościołem.

Jednak do San Martino można było się dostać tylko drogą pod górę, całkiem prostą, bez zakrętów, zatem z placu przed kościołem dobrze było widać, że ktoś idzie. W ten sposób nigdy nie udałoby się nam ich zaskoczyć. Ale Durante, chłopski syn z wielką głową, czarny jak Abisyńczyk, powiedział, że można będzie się do nich dostać od strony Wąwozu.

Aby się tamtędy wdrapać, należało dobrze potrenować. Zajęło nam to całe lato. Pierwszego dnia próbowałeś przejść dziesięć metrów, uczyłeś się na pamięć każdego kroku i każdego zagłębienia terenu, starałeś się zejść, stawiając stopy w tych samych miejscach co przy wchodzeniu na górę. Następnego dnia - znowu dziesięć metrów. Z San Martino nic nie było widać, mieliśmy więc wystarczająco dużo czasu. Improwizacja nie wchodziła w grę, musieliśmy stać się jak te zwierzęta, dla których Wąwóz był domem - węże i jaszczurki.

Dwóch z nas skręciło sobie nogę, jeden o mało się nie zabił i zdarł sobie skórę z rąk, usiłując hamować przy ześlizgiwaniu się w dół, ale na koniec zostaliśmy jedynymi w świecie, którzy umieli wdrapywać się po ścianach Wąwozu. Pewnego popołudnia zaryzykowaliśmy i po ponadgodzinnej wspinaczce dotarliśmy, ciężko dysząc, do krzaków tarniny tuż u skraju San Martino, gdzie między domami a urwiskiem biegła ścieżka obudowana murkiem, aby ludzie nie pospadali w dół, przechodząc tamtędy nocą. Wyszliśmy akurat w pobliżu pęknięcia w murku, szerokiej szpary, którą można było się przecisnąć. Naprzeciw tego przejścia zaczynała się uliczka, prowadząca do drzwi plebanii. Wychodziła

wprost na plac przed kościołem.

Wpadliśmy na plac, kiedy oni bawili się właśnie w ciuciubabkę. Piękne trafienie: jeden z nich nic nie widział, inni uciekali przed nim, skacząc tu i tam. Obrzuciliśmy ich naszą amunicją, któryś dostał prosto w czoło, pozostali schronili się do kościoła, prosząc o pomoc proboszcza. Na razie mogło wystarczyć, pobiegliśmy z powrotem uliczką i wskoczyliśmy do Wąwozu. Proboszcz zdążył ledwie zobaczyć nasze znikające w zaroślach głowy i zaczął nam strasznie wygrażać. Durante, uderzając lewą ręką w wyciągnięte prawe ramię, odkrzyknął mu: „O, takiego!”

Później ci z San Martino zrobili się chytry. Kiedy stwierdzili, że wchodzimy od strony Wąwozu, zaczęli stawiać tam czaty. Zanim nas zauważono, mogliśmy wprawdzie dotrzeć prawie pod sam murek, ale tylko prawie. Ostatnie dziesięć metrów trzeba było pokonać na odkrytym terenie, wśród niskich ciemnych krzaków utrudniających wspinaczkę. Wartownik miał czas zaalarmować innych. W głębi uliczki trzymali przygotowane kule z wysuszonego w słońcu błota i obrzucali nas nimi z góry, zanim zdążyliśmy dostać się na ścieżkę.

Szkoda było tak się nameńczyć, ucząc się pokonywania Wąwozu, po to tylko, żeby teraz ze wszystkiego zrezygnować. Ale Durante powiedział znowu: „Nauczymy się wdrapywać we mgłę”.

Zaczynała się właśnie jesień i w tamtych stronach mgły było pod dostatkiem. W dniach gęstej mgły Solara w dole znikła, znikł też dom dziadka; z tego morza szarzyzny wystawała co najwyżej wieża kościoła w San Martino. Stojącemu na niej mogło się wydawać, że jest na sterowcu, który leci nad chmurami.

W takie dni można już było dotrzeć aż do murku, gdzie mgła się

zatrzymywała; nasi przeciwnicy nie staliby tam przecież cały dzień i nie patrzyli w próżnię, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku. Zdarzało się również, że szczególnie uparta mgła sięgała za murek i zalewała plac przed kościołem.

Wspinaczka po ścianie Wąwozu podczas mgły bardzo się różniła od tej w świetle słońca. Trzeba było nauczyć się na pamięć dosłownie wszystkiego, wiedzieć, że tu leży pewien kamień, a tam - uwaga! - wyrasta gęsta kępa ciernistych krzaków, że o pięć kroków dalej (pięć, nie cztery lub sześć) ziemia błyskawicznie się obsuwa, że za wielkim głazem zaczyna się po lewej zdradziecka ścieżka, prowadząca do przepaści.

Chodziliśmy więc najpierw na rozpoznanie w dni jasne, potem przez cały tydzień ćwiczyliśmy właściwe kroki, wbijając je sobie w pamięć. Spróbowałem narysować mapę, taką jakie są w książkach przygodowych, ale połowa moich kolegów nie umiała czytać map. Tym gorzej dla nich, ja tę mapę tak dobrze sobie zapamiętałem, że po Wąwozie mogłem chodzić z zamkniętymi oczyma - a chodzenie tam mglistą nocą oznaczało prawie to samo.

Gdy wszyscy poznali już drogę, ćwiczyliśmy jeszcze przez kilka dni w gęstej mgle po zachodzie słońca, aby się przekonać, czy uda się nam dotrzeć do murku, zanim tamci pójną na kolację.

Po wielu próbach podjęliśmy pierwszą wyprawę. Nie wiem, jak udało nam się wspiąć, ale się udało i wkroczyliśmy na plac przed kościołem jeszcze nieogarnięty mgłą, gdy oni gawędzili sobie w najlepsze - bo w takim miejscu jak San Martino wieczorem albo siedzisz na placu i nic nie robisz, albo kładziesz się do łóżka po zjedzeniu zupy mlecznej z kawałkami czerstwego chleba.

Obrzuciliśmy ich na placu kamieniami jak należy, wyśmialiśmy, kiedy chowali się po domach, i wróciliśmy na dół. Schodzić było trudniej niż wejść, bo jeśli poślizgniesz się wchodząc, możesz jeszcze chwycić się jakiegoś krzaka, ale jeśli poślizgniesz się schodząc, to koniec z tobą, zanim się zatrzymasz, masz zakrwawione nogi i spodnie do wyrzucenia. Zeszliśmy jednak zwycięscy i triumfujący.

Od tej pory dokonywaliśmy innych wypadów, a oni nie mogli wystawiać czat także po zmroku, bo większość ich bała się ciemności z powodu strzyg. My byliśmy z Oratorium i gwizdaliśmy na strzygi, ponieważ wiedzieliśmy, że wystarczy pół zdrowaśki, by je sparaliżować. Nasze wyprawy powtarzały się przez kilka miesięcy. Potem mieliśmy dosyć; wspinaczka nie była już dla nas wyzwaniem, potrafiliśmy ją podjąć przy każdej pogodzie.

U mnie w domu nikt nie wiedział o historii z Wąwozem, bo inaczej dostałbym porządnie w skórę. Kiedy biegaliśmy tam o zmierzchu, mówiłem zawsze, że idę do Oratorium na próbę teatralną. Natomiast w Oratorium wszyscy o naszych wyczynach wiedzieli, a my pękaliśmy z dumy, bo jedyni z całej wsi byliśmy obznajomieni z Wąwozem.

Zdarzyło się to pewnej niedzieli około południa. Coś się działo, wszyscy to spostrzegli. Do Solary przyjechały dwie niemieckie ciężarówki. Żołnierze przeszukali pół wsi, potem odjechali w kierunku San Martine

Od wczesnego ranka zalegała gęsta mgła. Mgła w dzień bywa gorsza od mgły w nocy, bo jest jasno, a musisz się poruszać, jakby było ciemno. Nie słyszało się nawet dźwięku dzwonów, jakby ta szarzyzna je tłumiała. Nawet ćwierkanie wróbli na gałęziach drzew dochodziło do ludzkich uszu

jak przez watę. Miał odbyć się czyjś pogrzeb, ale obsługa karawanu nie chciała wjechać na drogę cmentarną, a grabarz oświadczył, że tego dnia nikogo grzebać nie będzie, bo mógłby się pomylić, spuszczać trumnę do grobu, i sam do niego wpaść.

Dwóch ludzi ze wsi poszło za Niemcami, żeby się zorientować, czego chcą. Obserwowali ciężarówki posuwające się powoli z zapalonymi światłami, przy widzialności mniejszej niż na metr, aż do początku drogi wiodącej w górę do San Martino. Tam Niemcy stanęli, bojąc się jechać dalej. Nie wiedzieli, co jest po obu stronach tej drogi, mogli myśleć, że napotkają niebezpieczne zakręty, obawiali się, że ciężarówki spadną w jakąś przepaść. Na piechotę też nie chcieli iść, nie znali okolicy. Ktoś jednak im wytłumaczył, że do San Martino można się dostać tylko tą drogą i że przy takiej mgle nikomu nie udałoby się zejść stamtąd z innej strony, to znaczy od Wąwozu. Zagrodzili więc drogę kozłami hiszpańskimi i stali tam z zapalonymi światłami i z wymierzoną bronią, żeby nikt nie przeszedł, a jeden z nich wrzeszczał w telefon polowy, może wzywając posiłki. Szpiegujący ich ludzie usłyszeli, że powtarzał wielokrotnie volsunde, volsunde. Gragnola wyjaśnił od razu, że z pewnością domagał się Wolfshunde, to znaczy wilczurów.

Niemcy stali więc tam, aż koło czwartej po południu, gdy wokół było jeszcze całkiem szaro, a jednak odrobinę się przejaśniło, zobaczyli niewyraźnie kogoś zjeżdżającego w dół na rowerze. Był to proboszcz z San Martino, który tą drogą jeździł od Bóg wie ilu lat, umiał nawet, zjeżdżając, hamować nogami. Na widok księdza Niemcy nie strzelali, ponieważ - jak mieliśmy dowiedzieć się później - nie szukali księży, lecz Kozaków. Proboszcz wytłumaczył, głównie na migi, że w gospodarstwie

niedaleko Solary ktoś umiera i prosi o ostatnie namaszczenie (pokazał wszystko, co do tego potrzebne, w zawieszanej u kierownicy torbie). Niemcy mu uwierzyli. Przepuścili go, a on pojechał do Oratorium naradzić się z księdzem Co-gnasso.

Ksiądz Cognasso nie zajmował się polityką, ale swoje wiedział. Właściwie od razu zdecydował, żeby poinformować o wszystkim Gragnolę i jego towarzyszy, bo on sam nie chce i nie może mieszać się do tych spraw.

Wokół stołu do gry w karty zebrała się natychmiast grupa młodych ludzi. Ja stanąłem z tyłu za ostatnimi, kuląc się trochę, żeby nie zwrócono na mnie uwagi. Tak wysłuchałem relacji proboszcza.

Przy wojsku niemieckim służył oddział Kozaków. My o tym nie wiedzieliśmy, ale Gragnola wiedział. Wzięto ich do niewoli na froncie rosyjskim, ale z jakichś swoich powodów Kozacy nie lubili Stalina, więc wielu z nich dało się namówić (dla pieniędzy, z nienawiści do Sowietów, żeby nie gnić w obozie jenieckim albo wręcz żeby opuścić sowiecki raj, z wozami, końmi i rodzinami) i wstąpiło do niemieckich oddziałów pomocniczych. Większość walczyła w północno-wschodnich Włoszech, zwłaszcza w Carnii, gdzie bardzo się ich bano, bo byli twardzi i okrutni. Ale jakaś dywizja turkmeńska operowała również w okolicach Pawii; miejscowi nazywali jej żołnierzy Mongołami. Byli jeńcy rosyjscy - niezupełnie Kozacy - krążyli też po Piemoncie wraz z partyzantami.

Teraz już wszyscy wiedzieli, jak wojna się skończy, a ponadto tych ośmiu Kozaków, o których była mowa, miało swoje zasady religijne. Widzieli, jak spalono dwie lub trzy wsie i powieszono kilka tuzinów biednych ludzi. Potem rozstrzelano dwóch z ich oddziału, bo odmówili

zabijania starców i dzieci. Wtedy tych ośmiu powiedziało sobie, że dłużej z esesmanami nie wytrzymają.

- Nie dość na tym - tłumaczył Gagnola - bo jeśli Niemcy przegrają wojnę, a już ją przegrali, co zrobią Amerykanie i Anglicy? Wyłapią Kozaków i oddadzą ich Rosjanom, swoim sojusznikom. A w Rosji zaraz się z nimi rozprawią, ka-put. Więc Kozacy starają się teraz przejść na stronę aliantów, żeby ci po wojnie jakoś się nimi zaopiekowali i nie dali im wpaść w łapy tego faszysty Stalina.

- Rzeczywiście tych ośmiu słyszało o partyzantach walczących wraz z Anglikami i Amerykanami - mówił proboszcz - i chce do nich dołączyć. Mają swoje racje i są dobrze poinformowani. Nie chcą iść do garybaldczyków, tylko do ludzi Badoglia.

Zdezzerterowali nie wiadomo gdzie i skierowali się w stronę Solary tylko dlatego, że ktoś im powiedział, iż w okolicy znajdą partyzantów Badoglia. Przeszli dziesiątki kilometrów na piechotę, poruszając się wyłącznie nocą, a więc dwa razy wolniej. Pościg esesmański deptał im przez cały czas po piętach i tylko cudem zdołali dotrzeć aż tutaj, zebrząc po zagrodach o kawałek chleba, ciągle w strachu, że ktoś ich wyda, porozumiewając się z wielkim trudem, bo wszyscy znali trochę niemieckiego, ale tylko jeden mówił po włosku.

Gdy spostrzegli, że esesmani ich odkryli i że są tuż-tuż, weszli wczoraj do San Martino, mówiąc sobie, że mogą się tam bronić kilka dni przed całym batalionem, a potem lepiej już umrzeć jak mężczyźni. Schronili się w wiosce także dlatego, że ktoś im powiedział, iż znajdą tam niejakiego Talina, który zna kogoś innego, kto mógłby im pomóc. Byli teraz grupą desperatów. Do San Martino dotarli nocą i poszli od razu do

tego Talina, który powiedział im jednak tylko, że obok mieszka rodzina faszystów i że w wiosce złożonej z kilkunastu domostw zaraz wszyscy o wszystkim wiedzą. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to ukryć Kozaków na plebanii. Proboszcz ich przyjął nie z przyczyn politycznych i nawet nie z dobrego serca, tylko dlatego, że zrozumiał, iż pozwolić im chodzić po wiosce byłoby bardziej niebezpieczne niż ich ukryć. Nie mógł jednak trzymać dezertarów u siebie długo. Nie miał dość jedzenia dla ośmiu osób i trząśł się ze strachu, że przyjdą Niemcy i przeszukają zaraz wszystkie domy, z plebanią włącznie.

- Chłopcy, zrozumcie mnie - mówił proboszcz - wy też czytaliście odezwę Kesselringa, wszędzie ją porozklejali. Jeśli ich u nas znajdą, spalą wioskę, a jeśli ci na nieszczęście zaczną strzelać, zginiemy wszyscy.

Odezwę feldmarszałka Kesselringa widzieliśmy, niestety, wszyscy, a i bez odezwy było wiadomo, że z esesmanami nie ma żartów i że spalili już niejedną wieś.

- A więc? - zapytał Gragnola.

- A więc ponieważ, dzięki Bogu, spadła na nas mgła, a Niemcy nie znają okolicy, ktoś z Solary powinien przyjść po tych nieszczęsnych Kozaków, zejść z nimi na dół i zaprowadzić ich do partyzantów Badoglia.

- A dlaczego właśnie ktoś z Solary?

- Po pierwsze, żeby być z wami szczerzy, dlatego, że jeśli z tą sprawą zwrócę się do kogoś z San Martino, to zaraz zacznie rozpowiadać o niej dookoła, a w tych czasach im mniej się mówi, tym lepiej. Po drugie, ponieważ Niemcy zagrodzili drogę i tamtędy nie ma przejścia. A zatem trzeba schodzić Wąwozem.

Słyszając o Wąwozie, wszyscy powiedzieli zaraz: nie zwariowaliśmy,

przy tej mgle, niech się martwi ów Talino, i tak dalej. Ale ten przeklęty proboszcz, przypomniawszy, że Talino ma osiemdziesiąt lat i z San Martino nie schodzi nawet przy słonecznej pogodzie, dodał - moim zdaniem, żeby zemścić się za palpacje, o które kiedyś przyprawialiśmy go my, chłopcy z Oratorium - co następuje:

- Jedyni, co umieją się poruszać po Wąwozie, nawet we mgle, to wasi chłopcy. Nauczyli się tych diabelskich sztuczek, żeby dokuczać innym, niech teraz wykorzystają swoje umiejętności w zbożnym celu. Sprowadźcie na dół Kozaków przy pomocy jednego z waszych chłopców.

- Jezusie - powiedział Gragnola - przyjmując nawet, że zeszli tu, do Solary, co z nimi zrobimy? Zatrzymamy ich tutaj, a jutro rano Niemcy zamiast u was znajdą ich u nas i nam wieś spalą?

Wśród słuchaczy byli też Stivulu i Gigio - ci dwaj, którzy poszli z dziadkiem i Masulu dać się napić Merlowi oleju rycynowego. Z partyzantami byli najwyraźniej w kontakcie.

- Spokojnie - powiedział Stivulu, który był bardziej rozgarnięty - ludzie Badoglia są teraz w Orbegno, ani SS, ani Czarne Brygady nigdy się do nich nie dobrały, bo tamci siedzą w górze i panują nad całą doliną, mają przecież te doskonale angielskie karabiny maszynowe. Gigio zna drogę. Stąd do Orbegno, furgonetką Bercellego z reflektorami przeciwmgłowymi dojedzie w dwie godziny. Powiedzmy w trzy, bo będzie się już ściemniało. Teraz jest piąta, Gigio będzie tam o ósmej, powie, o co chodzi, oni zejną trochę w dół i będą czekać przy rozwidleniu w kierunku Vignoletty. Potem furgonetka wraca tutaj o dziesiątej, powiedzmy nawet o jedenastej, i

chowa się w lasu przy Wąwozie, gdzie stoi kapliczka Matki Boskiej. Ktoś z nas wspina się Wąwozem, zabiera Kozaków z plebanii, sprowadza ich na dół, ładuje do furgonetki. Zanim nastanie świt, będą już u partyzantów Badoglia.

- Mamy robić ten cały cyrk i nadstawiać karku dla ośmiu mameluków czy Kałmuków, czy innych Mongołów, co do wczoraj służyli esesmanom? - zapytał pewien rudzielec, nazywał się chyba Migliavacca.

- Słuchaj, chłopcze, oni się rozmyślili - powiedział Gra-gnola - i to już jest coś. A przy tym to ośmiu chłopów na schwał, umieją dobrze strzelać i się przydadzą, nie ma co gadać.

- Przydadzą się ludziom Badoglia - nie ustępował Migliavacca.

- Ludzie Badoglia czy garybaldczycy, wszyscy walczymy o wolność."Zawsze mówiliśmy, że będziemy się rozliczać potem, nie przedtem. Musimy uratować Kozaków.

- Masz rację. To przecież obywatele radzieccy, mieszkańcy wielkiej ojczyzny socjalizmu - odezwał się niejaki Marti-nengo, który niedokładnie zrozumiał tę całą historię ze zmianą obozów. W tych miesiącach jednak wszystko mogło się zdarzyć. Na przykład taki Gino: był w Czarnych Brygadach jako jeden z największych fanatyków, potem uciekł do partyzantów i przychodził do Solary z czerwoną chustą na szyi, ale ponieważ mało miał rozumu, zawitał raz do jednej dziewczyny w nieodpowiedniej chwili, ci z Czarnych Brygad go złapali i rozstrzelali w Asti pewnego dnia o świcie.

- No, to do roboty - powiedział Gragnola.

- Ale jest jedna trudność - zaproponował znowu Miglia-vacca. - Wielebny sam powiedział, że po Wąwozie umieją się poruszać tylko mali

chłopcy, a ja nie mieszałbym małych chłopców do takich spraw. Pomijając zdrowy rozsądek, mogliby potem ze wszystkim się wygadać.

- Nieprawda - powiedział Stivulu - jest tu na przykład Jambo, nie zauważyliście go, ale wszystkiego wysłuchał. Jeśli jego dziadek się dowie, co teraz powiem, zabije mnie, ale Jambo chodzi po Wąwozie jak po własnym domu i jest chłopcem nie tylko rozsądnym, ale i z tych, co niczego nie wypapłają, włożyłbym za to rękę w ogień. Zresztą w jego rodzinie myślą tak samo jak my, więc nie ma żadnego ryzyka.

Na mnie wystąpiły zimne poty i zacząłem mówić, że jest późno i że czekają na mnie w domu.

Gagnola wziął mnie na bok i powiedział mi dużo pięknych rzeczy. Ze chodzi o wolność i o uratowanie życia ośmiu nieszczęśnikom, że także w moim wieku można zostać bohaterem, że koniec końcem po Wąwozie chodziłem już wiele razy i że teraz byłoby tak samo, tyle że musiałbym ciągnąć za sobą ośmiu Kozaków i uważać, aby się nie pogubili, że w każdym razie Niemcy czekają w dole na początku drogi jak kupa durniów i nawet nie wiedzą o istnieniu Wąwozu, że ze mną pójdzie on, który, chociaż chory, zawsze wypełnia swoje obowiązki, że nie wyruszymy o jedenastej, ale o północy, kiedy u mnie w domu wszyscy już śpią, a ja mogę wymknąć się niepostrzeżenie, jutro rano zobaczą mnie w łóżku jakby nigdy nic. I tak dalej, całkiem mnie zahipnotyzował.

Zgodziłem się wreszcie. Była to w końcu przygoda, którą mógłbym kiedyś opowiadać, coś godnego partyzanta, przedsięwzięcie takie, że daleko do niego Flashowi Gordonowi na Arborii, daleko Tremal-Naikowi w Czarnej Dżungli, daleko Tomkowi Sawyerowi w tajemniczej jaskini. Nawet Patrol Kości Słoniowej w taką puszcze nigdy się nie zagłębił.

Byłaby to więc moja chwila chwały, zasługa dla Ojczyzny słusznej, nie tej fałszywej. I to bez pysznienia się taśmą z nabojami i stenem, bez broni, z gołymi rękami - jak Dick Piorun. Jednym słowem, wszystkie moje dotychczasowe lektury okazywały się użyteczne. A jeśli miałem umrzeć, zobaczyłbym w końcu źdźbła trawy grube jak słupy.

Ponieważ byłem jednak chłopcem rozsądnym, omówiłem od razu z Gragnolą kilka szczegółów. On powiedział, że ciągnąc za sobą ośmiu Kozaków, można ich pogubić po drodze, potrzebna jest więc bardzo długa lina, żeby się powiązać jak alpińscy - w ten sposób jeden będzie szedł za drugim, nawet nie widząc, dokąd idzie. Ja na to, że nie, bo kiedy wszyscy są powiązani, a ostatni upadnie, pociągnie za sobą wszystkich. Trzeba raczej zaopatrzyć się w dziesięć kawałków liny. Każdy chwyci się mocno końca liny tego, co idzie przed nim, i końca liny idącego za nim. Jeśli któryś upadnie, puszcza się koniec liny z jego strony, bo lepiej, żeby upadł jeden niż wszyscy razem. Bystry z ciebie chłopak, powiedział Gragnolą.

Zapytałem go w podnieceniu, czy przyjdzie uzbrojony. Zaprzeczył: po pierwsze, nie umiałby skrzywdzić muchy, po drugie, uzbrojeni będą Kozacy, i wreszcie, gdyby miał już takiego pecha, że go złapią, to może od razu nie postawią go pod ścianą, jeśli będzie bez broni.

Poszliśmy do proboszcza i powiedzieliśmy, że się zgadzamy i że Kozacy mają być w pogotowiu od pierwszej w nocy.

Około siódmej wróciłem do domu na kolację. Spotkać mieliśmy się o północy przy kapliczce Matki Boskiej, szło się tam szybkim krokiem trzy kwadransy.

- Masz zegarek? - spytał Gragnolą.

- Nie, ale o jedenastej, kiedy wszyscy pójdą spać, wślizgnę się do

jadalni, gdzie jest zegar ścienny.

Przy kolacji siedziałem z rozpaloną głową, potem udawałem, że słucham radia i oglądam znaczki pocztowe. Kłopot w tym, że był jeszcze ojciec, bo z powodu mgły nie odważył się jechać do miasta i miał nadzieję, że będzie mógł wyruszyć rano. Na szczęście poszedł do łóżka bardzo wcześnie, a mama z nim. Czy moi rodzice, oboje po czterdziestce, sypiali jeszcze ze sobą? Zastanawiam się nad tym teraz. Życie seksualne własnych rodziców jest chyba tajemnicą dla wszystkich, a rzekoma scena pierwotna - wymysłem Freuda. Przypominam sobie jednak rozmowę matki z kilkoma przyjaciółkami na samym początku wojny; musiała właśnie całkiem niedawno skończyć czterdzieści lat (słyszałem, jak mówiła z wymuszonym uśmiechem: „W gruncie rzeczy życie zaczyna się po czterdziestce”). Powiedziała wtedy: „Ach, mój Duilio w swoim czasie robił, co trzeba...” Kiedy? Do chwili poczęcia Ady? Potem nasi rodzice już nie spółkowali? „Kto wie, co tam Duilio sam w mieście wyprawia z sekretarką w biurze” - mawiała czasem mama w domu, zwracając się do dziadka; ale to były żarty. Czy mój biedny tatuś ścisnął kiedyś czyjąś rękę, aby dodać sobie otuchy podczas bombardowania?

O jedenastej dom pogrążony był w ciszy, a ja siedziałem po ciemku w jadalni. Co kilka chwil zapalałem zapalkę, aby widzieć zegar. Kwadrans po jedenastej wymknąłem się na zewnątrz i poszedłem we mgle w stronę kapliczki Matki Boskiej.

Ogarnia mnie strach. Teraz czy wtedy? Widzę obrazy, które nie są tu na miejscu. Może te strzygi istniały naprawdę? Czekały na mnie w niskich zaroślach, których we mgle nie mogłem zobaczyć. Były tam, zrazu kuszące (kto powiedział, że mają wygląd bezzębnych staruch? może nosiły

rozcięte spódnice?), ale potem wymierzyłyby swoje pistolety maszynowe, aby zrobić ze mnie sito w harmonijnym zespoleniu czerwonych dziurek. Widzę obrazy, które nie są tu na miejscu...

Gragnoła już tam był i zarzucił mi, że przyszedłem z opóźnieniem. Zauważyłem, że drży. Ja nie. Byłem teraz w swoim żywiole.

Podał mi koniec liny i zaczęliśmy wspinaczkę w Wąwozie.

Ja miałem w głowie mapę, ale Gragnoła za każdym krokiem mówił: „O Boże, zaraz się przewrócę”. Musiałem go pocieszać. Ja dowodziłem. Wiedziałem dobrze, jak się chodzi w dżungli, gdy wokół krążą tughs, zbiry Suyodhany. Stawiałem nogi, jakbym stosował się do partytury - tak chyba robią pianiści, rękami oczywiście, nie nogami - i nie myliłem się nigdy. Ale on, choć szedł za mną, często się potykał. Kaszłał. Musiałem się odwracać i ciągnąć go za rękę. Mgła była gęsta, lecz jeśli odległość między nami nie przekraczała pół metra, mogliśmy się widzieć. Pociągałem za linę i Gragnoła wychylał się z oparów, które z gęstych robiły się nagle rzadsze - tak że pojawiał się przede mną niespodziewanie niczym Łazarz zrzucający całun.

Wspinaczka trwała ponad godzinę, to był przeciętny czas. Musiałem przestrzec Gragnołę, gdy dotarliśmy do wielkiego głazu. Jeśli zamiast obejść go i iść dalej prosto, skręci się przez pomyłkę w lewo, czując pod stopami twardo ubity żwir, spadnie się w przepaść.

Kiedy dostaliśmy się na górę do przejścia w murku, San Martino w ogóle nie było widać. Idziemy prosto, powiedziałem, i wchodzimy w uliczkę. Jeszcze co najmniej dwadzieścia kroków i jesteśmy u drzwi plebanii.

Do drzwi zapukaliśmy, zgodnie z umową, trzy razy, przerwa, znowu

trzy razy. Otworzył nam proboszcz, blady bielą zakurzonego powoju przy polnej drodze w lecie. Ośmiu Kozaków stało w pogotowiu, uzbrojonych jak rozbójnicy i przestraszonych jak dzieci. Gragnola zaczął rozmawiać z tym, który znał włoski. Znał dość dobrze, jeśli pominąć dziwaczny akcent, lecz Gragnola mówił do niego, używając czasowników w bezokoliczniku, jak ludzie zwykle się zwracają do cudzoziemców.

- Ty iść przed innymi za mną i za dzieckiem. Ty mówić innym, co ja mówić, oni robić tylko to, co ja mówić. Rozum?

- Rozumiem, rozumiem. Jesteśmy gotowi. Proboszcz, który mało nie posiusiał się ze strachu, otworzył drzwi i wypuścił nas na uliczkę. Jednak właśnie w tej chwili rozległy się w oddali, od strony drogi, niemieckie głosy i ujadanie psów.

- Do wszystkich diabłów - przeklął Gragnola, a proboszcz udał, że nie słyszy. - Szwaby są tu z psami, a psy mgłę mają gdzieś, bo kierują się węchem. Co, do cholery, mamy teraz robić?

Przywódca Kozaków powiedział:

- Ja wiem, jak oni robią. Jeden wilczur na pięciu. Idziemy, może trafimy na takich bez psa.

- Rien ne va plus - powiedział Gragnola, człowiek wykształcony. - Iść powoli. Wy strzelać tylko, jak ja mówić. Przygotować chustki albo szmaty i więcej sznura. - Potem mi wytłumaczył: - Idziemy uliczką i zatrzymamy się na rogu. Jeśli nie ma nikogo, jednym susem jesteśmy przy murku i dalej w dół. Jeśli są tam z psami, dostajemy w dupę. W najgorszym razie strzelamy do nich i do psów, ale zależy, ilu ich będzie. Jeśli są bez psów, dajemy im przejść, zachodzimy od tyłu, wiążemy ich i wpychamy szmaty do ust, żeby nie krzyczeli.

- I zostawiamy tam?

- Skądże! Zabieramy ich z nami do Wąwozu, nie ma innego wyjścia.

Wyłożył to wszystko w pośpiechu Kozakowi, ten powtórzył swoim ludziom.

Proboszcz dał nam szmaty i sznury od szat liturgicznych.

- Idźcie, idźcie - mówił - niech Bóg ma was w swej opiece.

Zagłębiliśmy się w uliczkę. Od rogu dochodziły głosy Niemców zbliżających się z lewa, lecz nie słyhać było szczekania czy skowytu psów.

Przyłgnęliśmy do muru za rogiem. Słyszeliśmy dwóch ludzi, którzy zbliżali się, rozmawiając ze sobą i prawdopodobnie klnąc, bo nie widzieli, dokąd idą. Są tylko dwaj, tłumaczył Gragnola na migi, przepuszczamy ich i na nich.

Dwaj Niemcy, wysłani na zwiad w tę stronę, podczas gdy inni krążyli z psami po placu, posuwali się prawie po omacku, z wymierzonymi do strzału karabinami. Nie zauważyli nawet rogu uliczki i poszli dalej. Kozacy rzucili się na te dwa cienie i dowiedli, że znają swoją robotę. Po kilku sekundach obaj żołnierze leżeli na ziemi, ze szmatami w ustach, każdego przytrzymało dwóch z tych opętańców, a trzeci krępował mu ręce na plecach.

- Udało się - powiedział Gragnola. - Teraz ty, Jambo, rzuć ich karabiny za murek, a wy popychać Niemców za nami dwoma, tam na dół, dokąd mamy iść.

Byłem przerażony, ale teraz dowodził Gragnola. Przejść przez murek było łatwo, Gragnola rozdał liny. Tyle że wszyscy, z wyjątkiem pierwszego i ostatniego, mieli teraz zajęte obie ręce. Jeżeli jednak masz

pchać przed sobą dwóch związanych Niemców, nie możesz trzymać się liny. Pierwsze dziesięć kroków zrobiliśmy, popychając się wzajemnie, aż zagłębiliśmy się w cierniste zarośla. Wtedy Gragnola spróbował zorganizować szereg: dwaj Kozacy ciągnący za sobą Niemców przywiązali swoje kawałki lin do pasów więźniów, każdy do własnego, ci dwaj zaś, którzy Niemców popychali, złapali ich za kołnierze prawą ręką, a lewą trzymali linę idącego z tyłu kolegi. Jednakże, ledwie ruszyliśmy znowu, jeden z Niemców potknął się i upadł na poprzedzającego go Kozaka, pociągając za sobą tego, który pilnował go od tyłu. Łańcuch się zerwał. Kozacy syczeli przez zęby coś, co w ich języku było zapewne przekleństwami, mieli jednak dość zdrowego rozsądku, aby robić to cicho.

Po pierwszym upadku jeden z Niemców wstał i usiłował oddalić się szybko od grupy. Dwóch Kozaków ruszyło za nim po omacku, już go prawie zgubili, ale on nie wiedział, gdzie stawiać nogi, i upadł znowu na twarz, wtedy Kozacy go schwytali. W szarpaninie spadł mu z głowy hełm. Przywódca Kozaków dał nam do zrozumienia, że nie powinniśmy go tam zostawiać, bo psy mogłyby go wywąchać, a potem dopaść i nas. Dopiero wtedy zauważyliśmy, że drugi Niemiec jest z gołą głową.

- Cholera jasna - mruknął Gragnola - spadł mu hełm, kiedy łapaliśmy ich przy murku. Jeśli pójdą tam z psami, będą mieli ślad.

Nic nie dało się już zrobić. I rzeczywiście, po przejściu kilku dalszych metrów usłyszeliśmy w górze głosy i ujadanie psów.

- Są już w uliczce, zwierzęta wywąchały hełm, teraz oni wiedzą, że tam byliśmy. Ale bez paniki, spokój. Muszą najpierw znaleźć przejście w murze, to nie takie łatwe, kiedy nie wiesz, gdzie szukać. Poza tym muszą zejść po zboczu. Jeśli psy okażą się ostrożne i pójdą powoli, pójdą powoli

i oni. Jeżeli psy pobiegną szybko, żołnierze za nimi nie nadążą i się przewracają. Oni nie mają ciebie, Jambo. Ruszaj do przodu tak prędko, jak tylko możesz.

- Spróbuję, ale się boję.

- Nie boisz się, jesteś tylko zdenerwowany. Odetchnij głęboko i naprzód.

O mało się nie posusiałem, jak przedtem proboszcz. Wiedziałem jednak, że teraz wszystko zależy ode mnie. Zacisnąłem zęby. W tej chwili wolałem być Zyrafskiem albo Jojem bardziej niż legionistą Romanem, raczej Horacym Chomątem lub Klarabellą niż Myszką Miki w domu siedmiu duchów, panem Pampurkiem w jego mieszkaniu niż Flashem Gordonem w błotach Arborii - lecz kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Zacząłem schodzić tak prędko, jak tylko mogłem, przywołując z pamięci wszystkie właściwe kroki.

Obaj jeńcy opóźniali marsz, bo ze szmatami w ustach trudno im było oddychać i co chwila przystawali. Po dobrym kwadransie dotarliśmy do wielkiego głazu; wiedziałem tak dokładnie, że musi tam być, iż dotknąłem go wyciągniętymi rękami, zanim jeszcze go zobaczyłem. Trzeba było obejść go z bardzo bliska, bo skręcając w prawo trafiało się od razu na krawędź przepaści. Głosy z góry dochodziły nadal wyraźnie, lecz nie można było zrozumieć, czy Niemcy krzyczą głośniejsze na ociągające się psy, czy też przeszli przez murek i się do nas zbliżają.

Słyszając głosy swoich kompanów, obaj jeńcy usiłowali się wyszarpnąć. Jeśli nie upadali naprawdę, to udawali, że padają, starając się stoczyć na bok, choćby mieli się potłuc. Pojęli, że nie możemy do nich strzelać, aby nie usłyszano nas na górze, i że gdziekolwiek wylądują, psy

zawsze ich odnajdą. Nie mieli już nic do stracenia i jak wszyscy straceńcy stali się niebezpieczni.

Nagle rozległy się salwy z broni maszynowej. Niemcom nie udawało się zejść i postanowili strzelać. Ale, po pierwsze, Wąwóz rozciągał się przed nimi w obrębie prawie półkola i nie wiedzieli, w którą stronę poszliśmy, strzelali więc w każdym kierunku. Po drugie, nie wiedząc dokładnie, jak strome są zbocza Wąwozu i jak głęboko sięgają, strzelali prawie poziomo. Kiedy celowali w naszą stronę, pociski gwizdały nam wysoko nad głowami.

- Idziemy, idziemy - mówił Gagnola - nie złapią nas.

Pierwsi Niemcy musieli jednak zacząć schodzić, ocenili właściwie spadek terenu, psy zmierzały w określonym kierunku. Strzelali teraz w dół, mniej więcej w naszą stronę. Kule smagały pobliskie zarośla.

- Nie ma strachu - powiedział Kozak - znam Reichwei-te ich Maschinen.

- Zasięg ich pistoletów maszynowych - przetłumaczył Gagnola. - Słusznie, jeśli nie zejdu niżej, a my szybko się oddalimy, ich kule nas nie dosięgną. No to gazu!

- Gagnola - powiedziałem ze łzami w oczach, bo bardzo chciałem już do mamusi - ja mogę iść szybciej, ale wy nie. Nie możecie ciągnąć ze sobą tych dwóch, nie ma sensu, żebym ja biegł naprzód jak koza, jeśli przez nich będziemy tracić czas. Zostawmy ich tutaj. Jeśli nie, przysięgam, że ucieknę sam na złamanie karku.

- Jeśli zostawimy ich tutaj, oswobodzą się w mgnieniu oka i zawołają innych - powiedział Gagnola.

- Ja ich zabiję bez hałasu, kolbą karabinu - zasyczał Kozak.

Pomysł zabicia tych dwóch nieszczęśników zmroził mi krew w żyłach. Z ulgą usłyszałem, jak Gragnola wywarczał:

- Nic nie pomoże, cholera jasna, jeśli tu zostawimy trupy. Psy je wytropią i tamci się dowiedzą, którędy poszliśmy. - W podnieceniu nie używał już bezokoliczników. - Jedną tylko rzecz możemy zrobić: zepchnąć ich nie w tę stronę, w którą my idziemy. Wtedy psy tam pobiegną, a my zyskamy z dziesięć minut albo i więcej. Jambo, tu po prawej stronie jest zdaje się taka niby-ścieżka prowadząca nad przepaść. Więc my ich tam zrzucimy. Powiedziałeś, że kto tamtędy pójdzie, nie zauważy krawędzi i spadnie w dół jak nic. Psy pociągną Niemców na samo dno. Zanim ochłoną po upadku, my wyjdziemy już z Wąwozu. Kto tam spadnie, to trup na miejscu, prawda?

- Nie, nie mówiłem, że umiera się z pewnością. Łamie się sobie kości, jak źle pójdzie, uderza się głową...

- Do stu diabłów, dlaczego najpierw mówisz jedno, a potem drugie?! Tym dwóm podczas spadania mogą rozwiązać się sznury, a kiedy już będą na dole, starczy im tchu, żeby krzyknąć i ostrzec swoich!

- Więc muszą spaść już nieżywi - skomentował Kozak, który wiedział, jak załatwia się sprawy na tym paskudnym świecie.

Stałem tuż obok Gragnoli i widziałem jego twarz. Zawsze był blady, lecz teraz zrobił się bledszy niż kiedykolwiek. Wzrok zwrócił w górę, jakby szukał natchnienia w niebie. W tej chwili usłyszeliśmy świst kul, przelatywały blisko nas na wysokości człowieka. Jeden z Niemców popchnął swojego strażnika, obaj upadli na ziemię, Kozak zaczął się skarżyć, że jeniec wali go głową w zęby, gotów na wszystko, i usiłuje narobić hałasu. No i wtedy Gragnola się zdecydował.

- Oni albo my. Jambo, jeśli skrećę w prawo, ile kroków mam przejść, zanim dojdę do krawędzi?

- Dziesięć kroków, dziesięć moich, to jest około ośmiu twoich. Potem, wysuwając stopę do przodu, poczujesz, że zaczyna się spadek. Stamtąd do krawędzi są cztery kroki. Na wszelki wypadek policz trzy.

- No to tak - powiedział Gagnola, zwracając się do przywódcy Kozaków - ja idę przodem, dwóch waszych popycha za mną obu tych szwabów. Trzymajcie ich mocno za ramiona. Reszta stoi tutaj i czeka.

- Co chcesz zrobić? - spytałem, dzwoniąc zębami.

- Cicho, zamilcz. Jesteśmy na wojnie. Ty też czekaj. To rozkaz.

Zniknęli na prawo od głazu, wchłonięci przez mgłę. Poczekaliśmy kilka minut, potem usłyszeliśmy spadające kamienie i kilka głuchych odgłosów, następnie pojawili się Gagnola i obaj Kozacy, już bez Niemców.

- Chodźmy - powiedział Gagnola - teraz możemy się pospieszyć.

Położył mi rękę na ramieniu; czułem, że drżała. Widziałem go z bardzo bliska. Miał na sobie sweter z wywijanym kołnierzem, teraz zwisał mu z szyi futerałik ze skalpelem, wyjęty widocznie spod swetra.

- Co ty zrobiłeś tym dwóm? - spytałem, płacząc.

- Nie myśl o tym, tak było trzeba. Psy poczują zapach krwi i pociągną za sobą innych. Jesteśmy uratowani, w drogę.

I widząc, że mam oczy w słup, dodał:

- Oni albo my. Dwóch za dziesięciu. To jest wojna. Idziemy.

Po prawie półgodzinie, słysząc ciągle w górze wściekłe wrzaski i skowyty, coraz jednak cichsze i nie od naszej strony, znaleźliśmy się na dnie Wąwozu, w pobliżu drogi. W niedalekim lasku oczekiwała

furgonetka Gigia. Gragnola załadował Kozaków.

- Jadę z nimi, żeby być pewien, że dotrą do ludzi Bado-glia - powiedział. Patrzył gdzieś w bok i spieszno mu było mnie odprawić. - Idź tamtędy i wracaj do domu. Dzielnie się spisales. Zasłużyłeś na medal. Nie myśl o reszcie. Ty wypełniłeś swój obowiązek. Jeśli ktoś ponosi jakąś winę, to tylko ja.

Wróciłem do domu spocony mimo zimna i całkiem wyczerpany. Schowałem się w moim pokoiku, przygotowany na spędzenie bezsennej nocy, ale stało się coś gorszego. Co kilka minut zasypiałem ze zmęczenia i widziałem stryjów Gaetanów, tańczących z poderżniętym gardłem. Miałem chyba gorączkę. Muszę się wyświadczyć, muszę się wyświadczyć, powtarzałem sobie.

Najgorszy był następny ranek. Wstałem mniej więcej razem ze wszystkimi, aby pożegnać się z odjeżdżającym tatu-siem; mama nie mogła zrozumieć, dlaczego jestem taki osowiały. W kilka godzin potem zjawił się Gigio, który poszedł zaraz szeptać z dziadkiem i z Masulu. Kiedy odchodził, dałem mu znak, żeby spotkał się ze mną w winnicy. Nie mógł niczego przede mną ukrywać.

Gragnola odstawił Kozaków do partyzantów Badoglia. Potem wraz z Gigiem wracali furgonetką do Solary. Ci od Badoglia powiedzieli Gragnoli, że do Solary przybył oddział Czarnych Brygad, aby pomóc swoim, i że nie może jeździć po nocy bez broni. Dali mu karabin.

Podróż tam i z powrotem do odgałęzienia w kierunku Vi-gnoletty zabrała im wszystkiego trzy godziny. Odprawdzili furgonetkę do zagrody Bercellego i ruszyli na piechotę drogą do Solary. Myśleli, że wszystko się skończyło, nie słyszeli żadnych hałasów, szli sobie spokojnie. Świtało -

jeśli w tej mgle można było coś zobaczyć. Po tym, co przeżyli, dodawali sobie wzajemnie otuchy, wałąc się po plecach i hałasując. Nie zauważyli więc, że ci z Czarnych Brygad czatują ukryci w przydrożnym rowie, i dali się złapać dwa kilometry od wsi. Schwytano ich z bronią w rękę, nie mogli nawet starać się jakoś wyłgać, i wsadzono do furgonetki. Faszystów było tylko pięciu: dwóch siedziało z przodu, dwóch pilnowało więźniów w środku, jeden stał na stopniu, aby lepiej widzieć we mgle.

Nawet ich nie związali. Dwaj strażnicy siedzieli przecież obok z pistoletami maszynowymi na kolanach, oni leżeli w głębi jak worki.

W pewnej chwili Gigio usłyszał dziwny odgłos jakby rozdieranego sukna i poczuł, że tryska mu na twarz lepka ciecz. Jeden z faszystów usłyszał rżenie i zapalił latarkę: Gragnola miał przecięte gardło, w rękę trzymał skalpel. Obaj faszyci zaczęli kłać, zatrzymali furgonetkę i z pomocą Gigia zaciągnęli Gragnolę na skraj drogi. Był już martwy albo umierał, krwawiąc obficie. Wysiedli także trzej pozostali i zaczęli obwiniać się wzajemnie. Krzyczeli, że nie wolno mu było tak zdychać, bo w dowództwie zmuszono by go do mówienia, i że ich wszystkich wsadzą do aresztu, bo jak durnie nie pomyśleli o związaniu więźniów.

Wrzeszcząc tak nad ciałem Gragnoli, zapomnieli na chwilę o Gigiu, który w tym zamieszaniu powiedział sobie: teraz albo nigdy. Skoczył w bok, za rów, wiedząc, że jest tam rozpadlina. Zaczęli za nim strzelać, ale on już na łeb, na szyję stoczył się w dół, potem zagłębił się w lasku. Przy tej mgle mogli go szukać jak igły w stogu siana. Ponadto faszyci chcieli uniknąć zbytniego hałasu, bo było oczywiste, że muszą teraz ukryć trupa Gragnoli i wrócić do dowództwa, udając, że tej nocy nikogo nie schwytali. Tylko tak mogli sobie oszczędzić awantury z przełożonymi.

Jeszcze tego samego ranka, po odjeździe Czarnych Brygad, które miały połączyć się z Niemcami, Gigio zaprowadził kilku przyjaciół na miejsce tragedii. Po krótkim poszukiwaniu w rowach znaleźli zwłoki Gragnoli. Ksiądz z Solary nie chciał ich przyjąć do kościoła, bo Gragnola był anarchista, a teraz jeszcze i samobójcą; ale ksiądz Cognasso powiedział, żeby złożyć ciało w kościółku Oratorium, bo Pan Bóg zna zasady słusznego postępowania lepiej niż jego kapłani.

Gragnola nie żył. Uratował Kozaków, odprawił mnie w bezpieczne miejsce, potem umarł. Wiedziałem doskonale, jak to się stało, zapowiadał mi to wiele razy. Był tchórzem i obawiał się, że na torturach wszystko wyśpiewa, nie zatai nazwisk i wyda rzeźnikom swoich towarzyszy. O tak, ciach, jak - byłem tego pewien - zrobił z dwoma Niemcami; może chciał też to odpokutować. Odważna śmierć tchórza. Zapłacił za jedyny akt przemocy w swoim życiu i wyzbył się w ten sposób ciężących mu nieznośnie wyrzutów sumienia. Za jednym zamachem okpił wszystkich: faszystów, Niemców i Boga. Ciach.

A ja żyłem. Nie mogłem sobie tego wybaczyć.

Mgła rozprasza się powoli także i w moich wspomnieniach. Widzę teraz partyzantów wkraczających triumfalnie do Solary. Dwudziestego piątego kwietnia 1945 roku dowiadujemy się o wyzwoleniu Mediolanu. Ludzie tłoczą się na ulicach, partyzanci strzelają w powietrze, nadjeżdżają przykucnięci na błotnikach swoich furgonetek. Kilka dni później widzę zbliżającego się na rowerze kasztanową aleją żołnierza w oliwkowo-zielonym mundurze. Daje nam do zrozumienia, że jest Brazylijczykiem, i idzie wesoło oglądać to egzotyczne dla niego miejsce. Z Anglikami i Amerykanami są też Brazylijczycy? Nikt mi tego nie mówił. Drôle de

guerre, dziwna wojna.

Mija tydzień, zjawia się pierwszy oddział amerykański. Sami czarni. Rozbijają namioty na placu przed Oratorium. Zaprzyjaźniam się z katolickim kapralem, pokazuje mi obrazek Serca Jezusowego, który nosi zawsze przy sobie. Dostaję od niego gazety z komiksami o Li'lu Abnerze i Dicku Trącym oraz kilka gum do żucia, z których staram się korzystać jak najdłużej; wieczorem wyjmuję przeżuwaną kulkę z ust i wkładam do szklanki z wodą jak starą sztuczną szczękę. Kapral daje mi do zrozumienia, że w rewanżu chciałby zjeść spaghetti. Zapraszam go do domu, przekonany, że Maria przygotuje dla niego nawet agnolotti, pierożki z mięsem, w sosie zajęczym. Jednakże kiedy przychodzimy, kapral widzi siedzącego już w ogrodzie innego czarnoskórego, w stopniu majora. Przeprasza i odchodzi skonfundowany.

Amerykanie szukali porządných kwater dla swoich oficerów. Zwrócili się także do dziadka i nasza rodzina oddała im do dyspozycji piękny pokój w lewym skrzydle dornu, ten, z którego Paola miała potem zrobić naszą sypialnię.

Major Muddy jest niski, tłuściutki, śmieje się jak Louis Armstrong, udaje mu się porozumiewać z dziadkiem. Umie kilka słów po francusku, w jedynym języku obcym, który znali wówczas u nas ludzie wykształceni. Rozmawia więc po francusku z mamą i innymi paniami z okolicy, które przychodzą na herbatę, aby zobaczyć wyzwoliciela; przychodzi również ta faszystka, nienawidząca swojego dzierżawcy. Siadają wszystkie w ogrodzie przy stoliku zastawionym odświętnym serwisem, w pobliżu kwitnących dali. Major Muddy mówi swoją francuszczyzną: mersi boku i ui, madam, mua ossi zem le szampeń. Zachowuje się z dobrze ułożoną

godnością czarnego, którego przyjmują wreszcie u siebie biali, i to z wyższej sfery. Panie szepczą między sobą: patrz, co za dżentelmen, a nam ich przedstawiano jako pijanych dzikusów.

Dowiadujemy się o kapitulacji Niemiec. Hitler nie żyje. Wojna się skończyła. W Solarze ludzie świętują na ulicach, obejmują się, ktoś tańczy przy dźwiękach harmonii. Dziadek postanowił, że wracamy od razu do miasta, chociaż zaczyna się właśnie lato. Wieś wszystkim już się sprzykrzyła.

Ja rozstaję się z tragedią wśród radosnego tłumu, mając przed oczyma dwóch Niemców spadających w przepaść i Gra-gnołę - prawiczka i męczennika ze strachu, z miłości i z przekory.

Brak mi odwagi, aby pójść do księdza Cognasso i wyspowiadać się... właściwie z czego? Z tego, czego nie zrobiłem, czego nie widziałem, co tylko odgadłem? Ponieważ nie ma nic, co można by mi przebaczyć, nie mogę przebaczenia otrzymać. To dosyć, aby czuć się potępionym na zawsze. . MŁODZIENIEC ZAOPATRZONY

Jakież ból sprawia mi wyznanie, że obraziłem Cię, Panie... Nauczono mnie tego w Oratorium czy też śpiewałem tak dopiero po powrocie do miasta?

W mieście znowu palą się w nocy światła, ludzie wychodzą wieczorem na ulicę, piją piwo i jedzą lody w lokalach nad rzeką, zaczynają działać kina pod gołym niebem. Jestem sam, bez przyjaciół z Solary, nie widziałem się jeszcze z Giannim, którego zobaczę ponownie dopiero w gimnazjum. Wieczorem wychodzę z rodzicami, czując się nieswojo, bo nie trzymam ich już za rękę, ale się od nich nie oddalam. W Solarze byłem swobodniejszy.

Często chodzimy do kina. Odkrywam nowe sposoby prowadzenia wojny dzięki filmom Sierżant York i Yankee Doodle Dandy, w którym za sprawą stepującego Jamesa Cagneya dowiaduję się o istnieniu Broadwayu. Vm Yankee Doodle Dandy...

Stepowanie znałem już ze starych filmów z Fredem Astai-re'em, lecz w wykonaniu Cagneya jest ono gwałtowniejsze, wyzwajające, kategoriyczne. Stepowanie Astairea było czysto rozrywkowe, to wyraża zaangażowanie, jest w nim wręcz coś patriotycznego. Patriotyzm wyrażony za pomocą stepowania jest dla mnie objawieniem - stukanie obcasami zamiast granatów w rękach i kwiatu w ustach. Ponadto urok sceny jako modelu świata i nieugiętości losu, the show must go on. Uczę się tego nowego świata na musicalach oglądanych z opóźnieniem.

Casablanca. Victor Laszlo śpiewa Marsy Hanke... Przeżyłem zatem tragedię po właściwej stronie... Rick Blaine strzelający do majora Strassera... Miał rację Gagnola, wojna to wojna. Dlaczego Rick musiał opuścić Ilse Lund? Więc nie wolno kochać? Sam to z pewnością major Muddy, ale kim jest Ugarte? Czy to Gagnola, zagubiony i pechowy tchórz, którego na koniec schwytają Czarne Brygady? Nie, ze względu na sarkastyczny uśmiezek powinien być kapitanem Renault, ale ten oddał się potem we mgle wraz z Rickiem, żeby wstąpić do Ruchu Oporu w Brazzaville; idzie beztrasko z przyjacielem naprzeciw swojemu przeznaczeniu...

Gagnola jednak nie będzie mógł mi towarzyszyć na pustyni. Przeżyłem z nim nie początek, lecz koniec pięknej przyjaźni. I nie mam wiz tranzytowych, o których mowa w Casablance, aby wydostać się z moich wspomnień.

Kioski są pełne gazet z nowymi tytułami i prowokujących czasopism. Na okładkach kobiety mocno wydekoltowane albo w bluzkach tak opiętych, że przebijają spod nich sutki.

Obfite biusty królują na plakatach filmowych. Świat ponownie rośnie wokół mnie, przybierając kształt kobiecych piersi. A także kształt grzyba. Widzę zdjęcie bomby spadającej na Hiroszimę. Pojawiają się pierwsze obrazy Holokaustu. Jeszcze nie stosy trupów, które mieliśmy zobaczyć później, lecz fotografie oswobodzonych więźniów z zapadniętymi oczyma, piersią szkieletu z widocznymi wszystkimi żebrami, olbrzymim łokciem, łączącym przypominające patyk ramię z równie wychudłym przedramieniem. O wojnie miałem dotychczas wiadomości pośrednie: cyfry, dziesięć strąconych samolotów, tylu zabitych a tylu jeńców, pogłoski o rozstrzelanych w okolicy partyzantach. Nigdy jednak - poza nocą w Wąwozie - nie byłem wystawiony na widok martwych ciał. Zresztą nawet i wtedy nie, po raz ostatni widziałem obu Niemców jeszcze żywych, reszta jawiła mi się w nocnych koszmarach. Szukam na tych fotografiach twarzy pana Leviego, który umiał grać w kulki, lecz nawet gdyby na nich był, już bym go nie rozpoznał. Arbeit macht frei.

W kinach ludzie zaśmiewają się z min Buda Abbotta i Lou Costella. Bing Crosby i Bob Hope przybywają wraz z niepokojącą Dorothy Lamour w przepisowym sarongu, podróżując do Zanzibaru lub do Timbaktu, i wszyscy myślą - jak już w 1944 roku - że życie jest piękne.

Jadę w południe rowerem do czarnorynkowego handlarza, który zapewnił nam, dzieciom, po dwie białe bułeczki dziennie - pierwsze, jakie zaczynamy jeść po tych żółtawych, źle wypieczonych szczapach, które obgryzaliśmy przez kilka lat; zrobione były z włóknistej masy (z otrąb, jak mówiono), czasem znajdowało się w nich kawałki sznurka lub nawet karaluchy. Jadę rowerem po symbol odradzającego się dobrobytu i zatrzymuję się przed kioskami. Mussolini powieszony za nogi na placu Loreto w Mediolanie, obok zwisa głową w dół Claretta Petacci, ze spódnicą spiętą między nogami agrafką, wetkniętą tam przez litościwą rękę, aby oszczędzić kochance Duce ostatecznego wstydu. Obchody ku czci pomordowanych partyzantów; nie wiedziałem, że tylu ich rozstrzelano lub powieszono. Pojawiają się pierwsze statystyki zabitych podczas wojny, która dopiero co się skończyła. Podają, że pięćdziesiąt pięć milionów. Czym jest śmierć Gragnoli wobec tej masakry? Czyżby Bóg był naprawdę zły? Czytam o procesie norymberskim: wszyscy powieszoni z wyjątkiem Göringa, który otruił się cyjankiem, otrzymanym od żony przy pożegnalnym pocałunku. Rzeź w Villarbasse oznacza powrót do gwałtu nie na rozkaz, można teraz znowu zabijać ludzi z czysto osobistych pobudek. Potem łapie się winnych i rozstrzeluje wszystkich wczesnym rankiem. Strzela się nadal w imię pokoju. Skazana Leonarda Cianciulli, która podczas wojny wyrabiała mydło z ciał swoich ofiar. Rina Fort zmasakrowała młotkiem żonę i dzieci kochanka; jedna z gazet opisuje biel jej piersi, której nie mógł się oprzeć kochanek, chudy mężczyzna o zepsutych zębach, jak stryj Gaetano. Pierwsze filmy, na jakie chodzę z rodzicami, pokazują mi powojenne Włochy z niepokojącymi segnorine,

„panienkami” amerykańskich żołnierzy, co wieczór pod tą latarnią, jak w piosence. Sam chodzę po ulicy...

Jest poniedziałek, dzień targowy. Koło południa przychodzi kuzyn Mokę. Jak on naprawdę się nazywał? Mokę wymyśliła Ada, utrzymując, że zamiast „mogę” mówi on „moke”, co wydawało mi się niemożliwe. Kuzyn Mokę jest naszym bardzo dalekim krewnym, lecz poznał nas w Solarze i - jak utrzymywał - będąc w mieście, nie mógł nie wpaść i nas nie pozdrowić. Wiedzieliśmy wszyscy, że liczy na zaproszenie na obiad, bo nie stać go na restaurację. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, czym się zajmuje - przeważnie szukał pracy.

Widzę kuzyna Mokę przy stole, jak siorbie rosół z makaronem, nie roniąc ani kropelki. Policzki ma zapadłe, ogorzałe, rzadkie włosy starannie zaczesane do tyłu, marynarkę wytartą na łokciach.

- Rozumiesz, Duilio - mówił do ojca co poniedziałek - nie chcę jakiejś specjalnej pracy. Zadowolę się jakąkolwiek posadą w publicznym przedsiębiorstwie, z najniższym uposażeniem. Wystarczy mi jedna kropla. Ale jedna kropla codziennie, co miesiąc trzydzieści kropli.

Robił minę, jakby stał na Moście Westchnień w Wenecji, i ręką naśladował krople kapiące mu na łysą prawie głowę, napawając się wyobrażeniem takiej dobroczynnej męczarni. Tylko jedna kropla, powtarzał, ale codziennie.

- Dzisiaj już prawie mi się udało, poszedłem na rozmowę z Carlonim, wiesz, tym z konsorcjum rolnego. Gruba ryba. Miałem list polecający, wiesz, że w naszych czasach bez rekomendacji jest się nikim. Wyjeżdżając rano, kupiłem na dworcu gazetę. Duilio, ja nie zajmuję się polityką, wziąłem pierwszą lepszą gazetę, w pociągu nawet jej nie

przeczytałem, bo było tak pełno, że musiałem stać i trudno było utrzymać równowagę. Złożyłem gazetę i wsadziłem do kieszeni, jak się zwykle robi, bo nawet jeśli gazety nie przeczytasz, to zawsze może następnego dnia się przydać, żeby coś w nią zawinać. Idę do Carloniego, przyjmuje mnie bardzo uprzejmie, otwiera list, czyta, ale widzę, że na mnie znad niego zerka. Potem odprawia mnie krótko: przyjąć do pracy się nie przewiduje. Wychodząc, zauważam, że gazeta w mojej kieszeni to komunistyczna „Unita”. Wiesz przecież, Duilio, że ja zawsze zgadzam się z rządem. Wziąłem jakąkolwiek gazetę, nie zwróciłem nawet uwagi na tytuł. Carloni zobaczył „Unita” w mojej kieszeni i mnie przekreślił. Gdybym złożył gazetę inaczej, to może teraz... No, ale jak ktoś ma pecha od urodzenia... Taki to los.

W mieście otwarto salę taneczną. Jej gwiazdą jest kuzyn Nuccio, który zdążył opuścić internat. To już młody fircyk albo bikiniarz, jak się teraz mówi (wydawał mi się okropnie dorosły już wtedy, gdy chłostał Angela Orso). W miejscowym tygodniku opublikowano nawet - napęliło to dumą krewnych - jego karykaturę, jak się wygina na tysiąc sposobów (na wzór stryja Gaetana, lecz jest od niego bardziej gibki) w najmodniejszym obecnie tańcu boogie-woogie. Jestem jeszcze za mały, nie ośmielam się i nie mogę wejść do tej sali, ale to, co się w niej dzieje, wydaje mi się obrazą przeciętego gardła Gragnoli.

Wróciliśmy do miasta na samym początku lata, nudzę się. O drugiej po południu jadę rowerem przez opustoszałe ulice. Napawam się przestrzenią, aby znieść monotonię tych upalnych dni. Może to nie upał mi dokucza, lecz wielka melancholia, jaką w sobie noszę, jedyna namiętność samotnego i pełnego gorączki wieku dojrzewanego.

Jeżdżę na rowerze bez przerwy między drugą a piątą po południu. W trzy godziny można przejechać przez miasto kilkakrotnie. Wystarczy zmieniać trasę: przez centrum do rzeki, potem w obwodnicę, zawrócić po dotarciu do szosy biegnącej na południe, przejechać kawałek drogą do cmentarza, skręcić w lewo przed dworcem kolejowym, wrócić do śródmieścia, ale bocznymi, prostymi i pustymi ulicami, wjechać na wielki rynek, przesadnie szeroki, otoczony portykami skąpanymi zawsze w słońcu, z którejkolwiek strony by się stało, a o drugiej po południu bezludnymi bardziej od Sahary. Rynek jest pusty, możesz go przejechać na rowerze, będąc pewny, że nikt cię nie obserwuje i nie będzie z daleka pozdrawiał. Także i dlatego, że gdyby ktoś znajomy wyszedł tam w głębi zza rogu, zobaczyłbyś go maleńkiego, tak samo zresztą jak on ciebie, ledwie odległą sylwetkę zalaną słońcem. Zakreślasz na placu wielkie koncentryczne koła, jak sęp niewidzący ścierwa, na które mógłby się rzucić.

Nie jeżdżę bez celu, mam swoją metę, lecz często i umyślnie do niej nie trafiam. W kiosku na dworcu zobaczyłem egzemplarz - wydanie chyba sprzed lat, bo cena wydaje się przedwojenna - powieści Atlantyda Pierre'a Benoit. Kusząca okładka przedstawia ogromną salę z wieloma kamiennymi gośćmi, co zapowiada mi historię nigdy niesłyszaną. Książka mało kosztuje, lecz ja mam w kieszeni równo tyle, ani mniej, ani więcej. Parę razy ryzykuję, dojeżdżam do dworca, opieram rower o chodnik, wchodzę, przyglądam się tomowi przez kwadrans. Jest zamknięty w gablotce, nie mogę go otworzyć, aby zerknąć, co ma mi do zaoferowania. Za czwartym razem kioskarz patrzy podejrzliwie; nie brak mu czasu, aby mnie pilnować, bo w holu stacyjnym nie ma nikogo, nikt nie przybywa,

nikt nie odjeżdża, nikt nie oczekuje.

Miasto jest tylko przestrzenią i słońcem, drogą dla mojego roweru o dziobatych oponach; książka na dworcu to jedyna gwarancja, że - dzięki fikcji - mógłbym się dostać do mniej rozpaczliwej rzeczywistości.

Około piątej to długie uwodzenie - mnie przez książkę, książki przeze mnie, mojego pragnienia przez opór nieskończonej przestrzeni - to miłosne pedałowanie w letniej próżni, ta dręcząca, koncentryczna ucieczka wreszcie się kończą. Zdecydowałem się, wyciągam z kieszeni mój kapitał, kupuję Atlantyde, wracam do domu, siadam w kącie i czytam.

Antinea, przepiękna kobieta fatalna, wkracza na scenę okryta egipskim kłaft (co to jest kłafi? z pewnością coś wspaniałego i kuszącego, co zasłania i odsłania zarazem), opadającym na bujne kędziory, tak czarne, że aż niebieskie; skraje ciężkiej, przetykanej złotem materii sięgają jej wąskich bioder.

Miała na sobie czarną gazową tunikę, przetykaną złotem, bardzo prostą i bardzo przejrzystą, przytrzymaną z lekka na biodrach białą, muślinową szarfą, haftowaną w irysy z czarnych pereł. Tak ubrane pojawia się dziewczę szczupłe, o wielkich ciemnych oczach i uśmiechu, jakiego nie znały kobiety Wschodu. Pod tym świetnym, diabelskim strojem nie dostrzega się ciała, lecz tunika jest zuchwale rozcięta na boku (ach, to rozcięcie!), delikatne piersi są odkryte, ramiona nagie, pod zasłoną odgaduje się tajemnicze cienie. Cierpko dziewczę kusicielka. Warto dla niej umierać.

Zamykam książkę w zakłopotaniu, bo jest siódma i wraca do domu ojciec, lecz on myśli tylko, że chcę ukryć przed nim fakt, iż czytałem. Karci mnie, że czytam zbyt dużo i psuję sobie wzrok. Mówi matce, że

powiniennem więcej wychodzić na dwór, przejechać się na rowerze.

Nie lubię słońca, a przecież w Solarze dobrze je znosiłem. Zwracają mi uwagę, że często mrużę oczy, marszcząc nos. „Wydawałoby się, że źle widzisz, a to nieprawda” - łaja mnie. Czekam na jesienne mgły. Dlaczego miałbym lubić mgłę, skoro właśnie we mgle Wąwozu przeżyłem moją noc grozy? Ponieważ tam mgła także mnie chroniła, zapewniając mi ostateczne alibi. Była mgła, niczego nie widziałem.

Wraz z nadejściem pierwszych mgieł odnajduję moje dawne miasto, w którym nie ma zbyt rozległych, sennych przestrzeni. Próżnia znika w mlecznej szarzyźnie, w świetle latarni kanty, narożniki, fasady wyłaniają się nagle z nicości. Co za pociecha! Tak jak podczas zaciemnienia. Moje miasto zostało zbudowane, pomyślane, zaprojektowane od pokoleń po to, aby patrzeć na nie o zmierzchu, przemykając się wzdłuż murów. Wtedy staje się ono piękne i opiekuńcze.

Czy to w tym roku, czy w następnym ukazał się Grand Hotel, pierwszy komiks dla dorosłych? Pierwszy obraz pierwszego fotoromanzo, powieści fotograficznej, kusi mnie i zarazem zmusza do ucieczki.

A przecież było to nic w porównaniu z tym, co miałem niebawem odkryć w sklepiku dziadka. Francuskie czasopismo, przez które, rzuciwszy okiem na pierwszą stronę, spłonąłem ze wstydu. Złapałem je, schowałem pod koszulę i w nogi.

Jestem w domu, wyciągnięty na łóżku, i przeglądam je, leżąc na płask, z podbrzuszem przyciśniętym do materaca - dokładnie w takiej pozycji, jaką odradzają podręczniki dla katolickiej młodzieży. Na jednej ze stron zdjęcie małe, lecz nader wyraźne: Joséphine Baker z nagimi piersiami.

Wpatruję się w te zakreślone kredką oczy, aby nie widzieć piersi. Potem mój wzrok się przenosi - to pierwsze (jak sądzę) nagie kobiece piersi w moim życiu, bo przecież nie można nazwać piersiami długich, sflaczałych worków rozebranych kobiet kałmuckich.

Fala miodu przepływa przez moje żyły, w głębi gardła czuję cierpki posmak, ucisk na czole, omdlenie w pachwinach. Wstaję przestraszony i zwilgotniały, zastanawiając się, co to za okropna choroba mnie dotknęła. Jednak ten wypływ pierwotnej cieczy napełnia mnie jednocześnie rozkoszą.

Musiała to być moja pierwsza ejakulacja. Wydała mi się czymś zabronionym surowiej jeszcze niż podejrzenie gardła Niemcowi. Zgrzeszyłem znowu. Wtedy w Wąwozie byłem milczącym świadkiem misterium śmierci, teraz jestem intruzem, który zagłębił się w zakazane misteria życia.

Klęczę w konfesjonale. Płomienny kapucyn mówi mi długo o cnocie czystości.

Nie mówi mi nic innego niż to, co przeczytałem w roz-prawkach przechowywanych w Solarze, lecz chyba po jego słowach powróciłem do Młodzieńca zaopatrzonego księdza Bosco.

Także w waszym chłopięcym wieku diabeł zarzuca sieci, chcąc zrabować wasze dusze... Aby ustrzec się pokus, bardzo będzie wam pomocne unikanie okazji, gorszących rozmów, publicznych widowisk, w których nie ma nic dobrego... Starajcie się być zawsze zajęci: gdy nie wiecie, co robić, stróście ołtarzyki, naprawiajcie święte obrazy lub portreciki... Jeśli pokusa nie ustępuje, uczynicie znak krzyża świętego i

ucałujcie coś pobłogosławionego ze słowami: „Święty Ludwiku, spraw, abym nie obraził mojego Boga”. Wymieniam tego świętego, ponieważ Kościół wysunął go na specjalnego opiekuna młodzieży...

Unikajcie przede wszystkim towarzystwa osób płci odmiennej. Zrozumcie mnie dobrze: chcę powiedzieć, że młodzieńcom nie wolno nigdy wchodzić w zażyłość z dziewczętami... Oczy to okna, przez które grzech toruje sobie drogę do waszych serc... więc nie próbujcie nigdy przyglądać się rzeczom, które choćby odrobinę sprzeciwiają się skromności. Święty Ludwik Gonzaga nie chciał nawet widzieć swoich stóp, gdy kładł się do łóżka i z niego wstawał. Nie pozwalał sobie patrzeć w twarz własnej matki... Przez dwa lata służył jako paź królowej Hiszpanii i nigdy nie spojrzał jej w twarz.

Naśladowanie świętego Ludwika nie jest łatwe, lub dokładniej - cena unikania pokus wydaje się bardzo wysoka, ponieważ ten młodzianek, wychłostawszy się do krwi, wtykał sobie pod prześcieradło kawałki drewna, aby cierpieć także i we śnie, pod ubraniem ukrywał, w braku włosiennicy, ostrogi do jazdy konnej, usiłował zawsze doznawać niewygód, stojąc, siedząc i chodząc... Spowiednik proponuje mi jednak jako wzór cnoty Dominika Savio, tego w spodniach wygniecionych od ciągłego klęczenia, ale w czynnościach pokutnych mniej krwawego niż święty Ludwik; zaleca mi też kontemplować, jako wzór piękna świętego, najśłodsze oblicze Marii Panny.

Staram się wzbudzić w sobie entuzjazm do kobiecości wysublimowanej. Śpiewam w chłopięcym chórze w apsydzie kościoła i podczas wycieczek do różnych sanktuariów:

Od jutrzienki piękniejsza świat obdarzasz swoimi promieniami i na

niebie rozpalonym gwiazdami Twoja gwiazda jest najjaśniejsza.

Piękna jak słońce, które mnie zachwyca, bielsza od księżyca, a urodzie gwiazd na niebie daleko do Ciebie.

Twoje oczy są piękniejsze niż morze, Twoje czoło jest w lili kolorze, a policzki, które Syn Twój całował co dzień, są jak róże, co kwitną w ogrodzie.

Może przygotowuję się, jeszcze o tym nie wiedząc, na spotkanie z Lilą, która będzie musiała być tak samo niedostępna, wspaniała w swoim Empireum, piękność gratia sui, wyzwolona z ciała, zdolna opanować umysł bez podniecania lędźwi, z oczyma, które patrzą gdzie indziej, w stronę innego Pana, a nie wpatrują się we mnie drwiąco jak oczy Joséphine Baker.

Mara obowiązek odpokutowania - medytacją, modlitwą i poświęceniem - grzechów własnych i grzechów mojego otoczenia. Oddania się obronie wiary, gdy czasopisma i plakaty zaczynają mi mówić o czerwonym niebezpieczeństwie, o Kozakach zamierzających poić swe konie w kąpielnicach Bazyliki Świętego Piotra. Zastanawiam się zdezorientowany, jak to się dzieje, że Kozacy - wrogowie Stalina, walczyli przecież u boku Niemców - zostali teraz stalinowskimi wysłannikami śmierci, może będą chcieli wymordować także wszystkich anarchistów, takich jak Gagnola. Widzę ich bardzo podobnych do wstrętnego Murzyna obmacującego Wenus z Milo. Może są zresztą dziełem tego samego rysownika, który się przystosował do nowej krucjaty.

Rekolekcje w małym wiejskim klasztorze. Stęchlizna w sali jadalnej, przechadzki w wirydarzu z bibliotekarzem, który mi radzi czytać Papiniego. Po kolacji wchodzimy na chór, gdzie przy świetle jednej

wielkiej gromnicy recytujemy razem

Ćwiczenie dobrej śmierci.

Przewodnik duchowy odczytuje nam z Młodzieńca zaopatrzonego fragmenty dotyczące śmierci. Nie wiemy, gdzie zaskoczy nas śmierć: we własnym łóżku, w miejscu pracy, na ulicy czy gdzie indziej. Pęknięcie żyły, nieżył, uderzenie krwi do mózgu, gorączka, rana, trzęsienie ziemi, piorun - to wszystko wystarczy, by pozbawić cię życia, a zdarzyć się może za rok, za miesiąc, za tydzień, za godzinę, może nawet zaraz po zakończeniu lektury tych rozważań. W takiej chwili będziemy mieć zamęt w głowie, ból pod powiekami, język spieczony, szczęki zaciśnięte, ucisk w piersi, krew zmrożoną, ciało wyniszczone, serce przebite. Gdy wyzionimy ducha, nasze zwłoki odziane w łachmany rzucone będą na zatracenie do dołu, gdzie myszy i robaki obgryzą z nas całe mięso, aż zostanie tylko garść wyschniętych kości i trochę cuchnącego prochu.

Potem modlitwa, długie błaganie, w którym wyliczało się wszystkie ostatnie drgania umierającego, skurcze każdego członka, dreszcze, blednicie, aż po pojawienie się faciès hippo-cratice i końcowe rżenie. Po każdym opisie poszczególnych czternastu faz rozstawania się z życiem (przypominam sobie dokładnie tylko pięć czy sześć), uczuć, pozycji ciała, udręki w określonej chwili, następowały słowa: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną.

Gdy nogi moje zdrętwiały ostrzegają mnie, że droga tego życia już się kończy dla mnie: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!

Gdy ręce moje drżące i skostniałe nie będą już mogły uścisnąć Ciebie ukrzyżowanego i mimowolnie upuszczę Cię na łożo boleści mojej: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!

Gdy już na znak nadchodzącego zniszczenia mego z oczu moich ostatnie łzy spadną, racz je przyjąć na dowód żalu serdecznego, bym skonał jako ofiara pokuty, i w onej straszliwej chwili: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!

Gdy twarz moja błada i zsiniała wzbudzi w otaczających litość i przerażenie, a włosy moje śmiertelnym potem zwilżone, na głowie powstawszy, zapowiadać już będą bliski koniec: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!

Gdy wyobraźnia moja okropnymi widziadłami miotana w smutku śmiertelnym zanurzać się będzie, a wspomnieniem nieprawości moich i bojaźnią sprawiedliwości Twojej zatrwożona z duchem ciemności, usiłującym odwrócić mnie od pocieszającego widoku miłosierdzia Twego i wtrącić mnie w przepaść rozpacz, ostatecznie pasować się będzie: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!

Gdy wszystkie zmysły we mnie już przygasną i cały świat zniknie przede mną, a ja w boleściach śmierci i ostateczności jęczeć będę: Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!

Śpiewać psalmy w mroku, rozmyślając o własnej śmierci. To było mi potrzebne, aby już nie myśleć o śmierci innych. Wywołuję z pamięci to Ćwiczenie nie ze strachem, lecz z pogodną świadomością faktu, że wszyscy ludzie są śmiertelni. To nauczanie Istnienia dla Śmierci przygotowało mnie do mojego losu, który jest zresztą losem wszystkich. Gianni opowiadał mi w maju dowcip o lekarzu, który śmiertelnie choremu zalecał kąpiele piaskowe. „Pomagają, panie doktorze?” „Wiele nie pomogą, ale człowiek się przyzwyczaja do bycia pod ziemią”.

Teraz do tego się przyzwyczajam.

Pewnego wieczoru duchowny prowadzący rekolekcje stanął przed balustradą ołtarza, oświetlony - on, my, cała kaplica - jedną jedyną gromnicą, której blask go otaczał, pozostawiając twarz w mroku. Zanim odesłał nas do domów, opowiedział następującą historię. W klasztorze z internatem dla dziewcząt zmarła w nocy młoda, pobożna i wielkiej urody panienka. Położono ją rankiem na katafalku w nawie kościoła i rozpoczęto modły za zmarłych. Nagle trup wstał; z otwartymi oczyma i z palcem wskazującym wyciągniętym w stronę celebransa przemówił grobowym głosem: „Ojcze, nie módl się za mnie! Tej nocy nasza mnie myśl nieczysta, jedna tylko, i teraz jestem potępiona!”

Po słuchaczach przebiega dreszcz, który rozprzestrzenia się na kościelne ławki i sklepienia, wydaje się prawie, że zadrżał płomień gromnicy. Ksiądz zachęca nas do pójścia do łóżek, lecz nikt się nie rusza. Przed konfesjonałem ustawia się długa kolejka - wszyscy pragną ułożyć się do snu dopiero po wyznaniu najmniejszego choćby cienia grzechu.

W krzepiącym, lecz groźnym mroku kościelnych naw, z dala od zła życia świeckiego, upływają moje dni w lodowatym żarze, w którym nawet kolędy i szopki - a przecież szopka podnosiła mnie na duchu w dzieciństwie - głoszą narodziny Dzieciątka w świecie pełnym okropności.

Spij, już nie płacz, ukochany Jezusie, spij, już nie płacz, wtul się mocno w mamusie...

Oczka zamknij przed nocą, ciemnością, oczka zamknij przed potwornością.

Suche sianko i trawa tak kłują, bo Cię jeszcze, maleńki, pilnują.

Oczka zamknij, bo we śnie ukojenie jeszcze znajdziesz na każde cierpienie.

Spij i nie płacz, Zbawicielu, Jezusie, Spij i nie płacz, mocno wtul się w mamusię.

Pewnej niedzieli tatuś, kibic piłkarski, nieco rozczarowany synem, który dni całe przesiaduje nad książkami, psując sobie wzrok, zabiera mnie na mecz. Spotkanie drugorzędne, trybuny są prawie puste, cętkowane z rzadka kolorowymi ubraniami widzów - plamami na białych, rozpalonych słońcem szeregach miejsc. Grę przerywa gwizdek sędziego, kapitan jednej z drużyn protestuje, pozostali gracze krążą bez celu po boisku. Mieszanina koszulek w dwóch kolorach, nieskładne błąkanie się znudzonych sportowców po zielonej łące. Ogólna stagnacja. Wszystko przebiega odtąd w zwolnionym tempie, jak w parafialnym kinie, gdzie dźwięk kończy się nagle jakimś miauknięciem, obrazy przesuwają się coraz wolniej, potem zamieniają się skokowo w nieruchomy fotogram, który rozplywa się na ekranie jak topniejący воск.

W takiej właśnie chwili mam objawienie.

Teraz dopiero - po zastanowieniu - rozumiem, że było to bolesne odczucie bezcelowości świata, zepsutego owocu nieporozumienia. Wtedy jednak zdołałem wyrazić to, co czułem, jedynie za pomocą słów: „Bóg nie istnieje”.

Wychodzę z meczu ogarnięty rozdzierającymi wyrzutami sumienia i natychmiast biegnę się wyspowiadać. Płomienny spowiednik - ten sam co ostatnio - uśmiecha się pobłaźliwie i dobrotliwie, pyta, skąd we mnie się wzięły takie niedorzeczne myśli, wspomina o pięknie przyrody zakładającym wolę twórczą i porządkującą, rozwodzi się potem nad consensus gentium: „Mój synu, w Boga wierzyli najznakomitsi pisarze jak Dante, Manzoni, Bresciani, wielcy matematycy jak Fantappiè, a ty miałbyś

nie wierzyć?” Zgodność poglądów wielkich ludzi na razie mnie uspokaja. To na pewno wina tego meczu. Paola powiedziała mi, że nigdy nie chodziłem na mecze piłki nożnej, co najwyżej oglądałem w telewizji decydujące spotkania mistrzostw świata. Tamtego dnia musiałem wbić sobie do głowy, że na meczu traci się duszę.

Można ją jednak tracić i na inne sposoby. Koledzy szkolni zaczynają opowiadać sobie jakieś historie szeptem, chichocząc. Robią aluzje, wymieniają czasopisma, wyniesione po kryjomu książki, mówią o tajemniczym Czerwonym Domu, gdzie nam jeszcze nie wolno wchodzić, wydają resztki oszczędności, aby oglądać filmy komediowe, w których pojawiają się kuso ubrane kobietki. Pokazują mi zdjęcie tancerki Izy Barzizy, prawie nagiej, występującej w rewii. Nie mogę na nią nie spojrzeć, nie chcę uchodzić za bigota. Patrę i - jak wiadomo - wszystkiemu można się oprzeć oprócz pokus. Wchodzę ukradkiem do kina wczesnym popołudniem w nadziei, że nie spotkam nikogo znajomego. W Dwóch sierotkach (z Totó i Carlem Campaninim) Iza Barzizza i inne wychowanki szkoły klasztornej, wbrew zaleceniom matki przełożonej, idą pod prysznic nago.

Nie widać ciał uczennic, tylko cienie za zasłonami natrysku. Panienki oddają się ablucjom w tanecznych ruchach. Powiniennem pójść do spowiedzi, lecz te przejrzystości przywodzą mi na myśl książkę, którą w Solarze zaraz odłożyłem na miejsce, bo po rozpoczęciu lektury przeraziłem się. To Człowiek Śmiechu Wiktora Hugo.

W mieście nie mam tej książki, lecz jestem pewien, że znajdę ją w

sklepie dziadka. Dziadek rozmawia z jakimś klientem, a ja, przykucnięty obok półki, gorączkowo szukam zakazanej strony. Gwynplaine, okaleczony straszliwie przez comprachicos, handlarzy dziećmi, którzy zrobili z niego jarmarcznego pajaca, wyrzutka społeczeństwa, zostaje niespodziewanie rozpoznany: jest lordem Clancharlie, dziedzicem ogromnej fortuny i parem Anglii. Zanim jeszcze zrozumiał w pełni, co się stało, wprowadzają go we wspaniałym szlacheckim stroju do zaczarowanego pałacu, w którym odkrywa szereg cudów (sam na tej olśniewającej pustyni), ciąg sal i gabinetów przyprawiający o zawrót głowy nie tylko jego samego, ale i czytelnika. Błądzi po tych pokojach, wreszcie trafia do alkowy, gdzie na łożu, obok przygotowanej do dziewiczej kąpieli wanny, widzi nagą kobietę.

Nie dosłownie naga, ostrzega psotny Hugo. Jest ubrana w koszulę bardzo długą i tak cieniutką, że wydawała się przezroczysta, jakby zlna wodą. W tym miejscu autor na siedmiu stronach opisuje, jak wygląda kobieta naga i jak widzi ją Człowiek Śmiechu, który dotychczas kochał niewinnie tylko pewną ślepą dziewczynę. Kobieta wydaje mu się Wenus, która drzemie w bezmiarze piany, i poruszając się wolno we śnie, zakreśla uwodzicielskie krzywe wdzięcznym falowaniem wodnej pary, tworzącej obłoki na błękitnie nieba. Komentarz Wiktora Hugo: Kobieta naga jest zbrojna.

Nagle kobieta - Jozjana, siostra królowej - budzi się i rozpoznaje Gwynplaine'a. Zaczyna gwałtownie go uwodzić. Nieszczęśnik nie umie jej się oprzeć, kobieta doprowadza go do szczytu pożądania, lecz mu się nie oddaje. Puszczą wodze wyobraźni bardziej jeszcze wstrząsającej od jej nagości, występując jako dziewica i jako dziwka, pragnąca zaznać nie

tylko przyjemności przestawania z zeszpeconym, które obiecuje jej Gwynplaine, ale i dreszczy, których jej dostarczy wyzwanie rzucone światu i dworowi. Marzy o nich z upojeniem - Wenus oczekująca podwójnego orgazmu za sprawą prywatnego posiadania i publicznego zademonstrowania swojego Wulkanu.

Gdy Gwynplaine jest już gotów jej ulec, nadchodzi wiadomość od królowej, która komunikuje siostrze, że Człowiek Śmiechu został uznany za prawowitego lorda Clancharlie i że ma on być jej małżonkiem. Jozjana na to: „A więc dobrze”. Wyciąga rękę i mówi (przechodząc z „ty” na „pan”) do człowieka, z którym miała właśnie połączyć się cieleśnie, pchana dziką żądzą: „Proszę wyjść”. I dodaje: „Skoro jest pan mężem moim, proszę wyjść. Nie ma pan prawa być tutaj. To miejsce mojego kochanka”.

Cudowna deprawacja - nie Gwynplaine'a, lecz Jamba. Jozjana daje mi nie tylko to, co obiecywała Iza Barzizza za zasłoną prysznic, lecz zdobywa mnie swoim bezwstydem: „Jest pan mężem moim, proszę wyjść. To miejsce mojego kochanka”. Czy możliwe, aby grzech był tak bohatersko porywający?

Czy istnieją w rzeczywistym świecie takie kobiety jak lady Jozjana i Iza Barzizza? Czy kiedykolwiek je spotkam? Czy porazi mnie wtedy piorun - trach! - słuszna kara za moje fantazjowanie?

Istnieją przynajmniej na ekranie. Znowu po południu i ukradkiem

poszedłem obejrzeć Krew na piasku. Uwielbienie, z jakim Tyrone Power tuli twarz do łona Rity Hayworth, przekonuje mnie, że są kobiety zbrojne, chociaż nie nagie. Wystarczy, aby były bezczelne.

Zostać intensywnie wychowanym we wstręcie do grzechu, a potem grzechowi się poddać. Mówię sobie, że to z pewnością zakaz rozpala wyobraźnię. Postanawiam więc, że dla uniknięcia pokus nie wolno mi słuchać namów do czystości. Są one dziełem szatana podobnie jak pokusy, podtrzymują się z nimi wzajemnie. Ta myśl - chyba nieprawowierna - jest dla mnie jak uderzenie batem.

Zamykam się w moim własnym świecie. Słucham muzyki, przyklejony do radia w godzinach popołudniowych lub wcześniej rano, lecz czasem zdarza się koncert symfoniczny wieczorem. Rodzina chciałaby słuchać czegoś innego. „Dosyć już tych zawodzeń” - skarży się Ada, zdecydowanie niechętna muzom. W niedzielę rano spotykam na korso stryja Gae-tana. Zestarzał się, stracił swój złoty ząb, może sprzedał go w czasie wojny. Pyta dobrotliwie, jak mi idzie w szkole; tatuś mówi, że jestem teraz opętany muzyką. „Ach, muzyka! - mówi z zachwytem stryj Gaetano. - Rozumiem cię doskonale, Jambo, sam uwielbiam muzykę. Całą muzykę, wiesz? Każdego rodzaju, wystarczy, że to muzyka. - Zastanawia się chwilę i dodaje: - Z wyjątkiem klasycznej. Wtedy oczywiście od razu gaszę radio”.

Jestem istotą wyjątkową na wygnaniu wśród filistrów. Jeszcze dumniejszy zamykam się w mojej samotności.

W antologii dla czwartej gimnazjalnej trafiam przypadkiem na wiersze kilku poetów współczesnych, jak Ungaretti, Montale, Quasimodo. Odkrywam, że można rozświetlać się nieskończonością, spotykać ból

życia, zostać przeszytym promieniem słońca. Nie wszystko rozumiem, lecz podoba mi się myśl Montalego: Tylko to jedno możesz usłyszeć dziś od nas: / czym nie jesteśmy i czego nie chcemy na pewno.

W sklepie dziadka znajduję antologię francuskich symboli-stów. Moja wieża z kości słoniowej. Jak Baudelaire zatapiam się w tajemniczej, głębokiej jedności, jak Verlaine szukam wszędzie de la musique avant toute chose, nade wszystko muzyki, jak Rimbaud spisuję milczenia, notuję niewyraźne, utrwalam zawroty głowy.

Jednakże, aby przystąpić bez zahamowań do lektury tych autorów, trzeba najpierw uwolnić się od wielu zakazów. Wybieram na spowiednika księdza o liberalnych poglądach, o którym mówił mi Gianni. Ksiądz Renato widział film Chodźcie ze mną z Bingiem Crosbym, gdzie amerykańscy duchowni katolicy w czarnych garniturach i białych kołnierzykach śpiewają przy fortepianie tu-ra-lu-ra-lu-ral, tu-ra-lu-ra-li wpatrzonym w nich z uwielbieniem panienkom.

Ksiądz Renato nie może ubierać się po amerykańsku, lecz należy do nowego pokolenia duchownych, którzy w baskijskich beretach jeżdżą na motorowerach. Nie umie grać na fortepianie, ale ma skromną kolekcję płyt jazzowych i lubi dobrą literaturę. Mówię mu, że doradzano mi Papiniego, a on na to, że Papini napisał rzeczy najbardziej interesujące nie po nawróceniu się na wiarę, lecz przed nim. Poglądy prawdziwie liberalne. Wypożycza mi autobiograficzną powieść Papiniego Skończony człowiek, może w nadziei, że pokusy duchowe wybawią mnie od pokus cielesnych.

Ta książka stanowi wyznanie kogoś, kto nigdy nie był dzieckiem, bo

miał nieszczęśliwe dzieciństwo starego, zadumanego i kłótliwego zrzędu. Ja taki nie jestem, moje dzieciństwo było solare, słoneczne {nomen omen - w Solarze), lecz utraciłem je z powodu jednej nocy, godnej sabatu czarownic. Kłótlivy zrzędu, o którym czytam, ratuje się obsesyjnym zdobywaniem wiedzy, ślęcząc nad tomem z zielonym, porwanym grzbietem, o zgniecionych, poczerwieniałych od wilgoci stronach, poplamionych atramentem. To ja, nie tylko na strychu w Solarze, ale i w życiu, jakie sobie wybrałem. Nigdy nie wydostałem się spośród książek. Wiem o tym obecnie w nieustannym czuwaniu mojego snu, lecz zrozumiałem to w chwili, którą teraz dopiero sobie przypominam.

Ten człowiek Papiniego, skończony już od urodzenia, nie tylko czyta, ale i pisze. Mógłbym pisać ja także, dodawać własne straszydła do tych, które stąpają bezszelestnie po dnie morza na swoich miękkich łapach. Ten człowiek psuje sobie oczy nad stronami, na które przelewa swoje obsesje mętnym atramentem z kałamarza o dnie pełnym osadu lepkiego jak parzona po turecku kawa. Zaczął psuć sobie oczy już jako mały chłopiec, czytając przy świecy, w półmroku bibliotek, z zaczerwienionymi powiekami. Pisze, posiłkując się grubymi szklami, w ciągłej obawie, że oślepnie. Jeśli nie oślepnie, grozi mu paraliż, ma rozstrojone nerwy, czuje bóle i odrętwienie w nodze, ostre klucie w głowie, palce poruszają się mu mimowolnie. Gdy pisze, jego grube okulary dotykają prawie kartek.

Ja dobrze widzę, jeżdżę na rowerze, nie jestem zrzędą. Może mam już swój nieodparty uśmiech, ale po co mi on? Nie jest mi przykro, że inni się do mnie nie uśmiechają, więc nie ma powodu, abym ja uśmiechał się do nich...

Nie jestem jak skończony człowiek, lecz chciałbym nim zostać. Zyskać dzięki jego szaleństwu bibliotecznego maniaka możliwość ucieczki od świata bez zamykania się w klasztorze. Zbudować sobie własny świat. Nie zmierzam jednak ku nawróceniu, raczej od niego się oddalam. Szukając wiary zastępczej, zakochuję się w dekadentach. O siostry, smutne lilie, umieram z urody jak Paul Valéry. Jak u Verlaine'a zostaję bizantyńskim eunuchem, który przypatruje się białym barbarzyńcom, układając akrostychy wytworne, niedbałe, rymuję naukowo hymny uduchowionych serc, wertuję cierpliwie atlasy, zielniki i opisy obrządków, jak u Mallarmégo.

Mogę jeszcze myśleć o wiecznej kobiecości, lecz tylko udziwnionej jakimś sztucznym wybiegiem i chorobliwą bladością. Czytam w Lei Barbeya d'Aurevilly, z głową - ale tylko głową - w płomieniach:

...ta umierająca, której szat dotykał, przenikała go płomieniem żądz jak najgorętsza kobieta. Nie było bajaderki nad brzegami Gangesu ani odaliski w basenach Sambułu, nie było nagiej bachant-ki, których uścisk mógłby bardziej przeniknąć ciało aż do szpiku kości niż owo dotknięcie, zwyczajne dotknięcie tej słabej i gorączkującej ręki, której wilgoć przebijała przez okrywającą ją rękawiczkę.

Nie muszę nawet wyznawać tego księdza Renato. To tylko literatura i wolno mi z nią obcować, nawet jeśli mi mówi o perwersyjnych nagościach i podejrzanej androginii. Są one zbyt odległe od moich doświadczeń, abym mógł dać im się uwieść. To słowa, nie ciało.

Pod koniec drugiego roku gimnazjum wpada mi w ręce Na wspak Huysmansa. Bohater tej powieści, des Esseintes, pochodzi ze starej

szlacheckiej rodziny rosłych, jednakowego wyglądu wojowników z długimi, zwisającymi wąsami. Portrety przodków wskazują jednak na stopniową dekadencję fizyczną rodu, wycieńczonego zbyt wieloma małżeństwami wśród krewnych. Po antenatach bliższych bohaterowi w czasie widać już rozwodnioną krew, pewną zniewieściałość, oblicza mają anemiczne, nacechowane neurastenią. Des Esseintes rodzi się naznaczony tymi dziedzicznymi wadami. Dzieciństwo jego jest ponure, trapiące skrofułami i ustawicznym gorączkowaniem. Matka, wysoka, milcząca i blada, ciągle zamknięta w ciemnym pokoju jednego z rodowych zamków, przy słabym świetle lampy pod abażurem, chroniącym przed nadmiarem jasności i hałasu, umiera, gdy on ma siedemnaście lat. Pozostawiony sam sobie chłopiec w dni deszczowe kartkuje książki, a przy pogodzie błądzi po polach. Wielką mu było radością schodzić w dolinę, docierać do Jutigny, wioski u stóp wzgórza. W dolinę, a zatem do Wąwozu. Kładzie się na łące, słucha głuchego szumu wodnych młynów, potem wdrapuje się na zbocze, skąd widzi dolinę Sekwany sięgającą hen, daleko, zlewającą się z lazurem nieba, kościoły i wieżę w Provins, które wydają się drzeć w słońcu, w pozłacanym pyle powietrza.

Czyta i marzy, upaja się samotnością. Jako dorosły, rozczarowany przyjemnościami życia i miernotą literatów, śni o wyrafinowanej samotni, o prywatnej pustyni, o nieruchomej i przytulnej arce. Buduje więc swój erem, gdzie w wodnistym półmroku szklanych ścian, dzielących go od surowego widoku przyrody, zamienia muzykę w zapachy, a zapachy w muzykę, zachwyca się bełkotliwą łaciną z czasów schyłku cesarstwa, dotyka bezkrwistymi palcami dalmatyk i marmurów, w skorupę żywego żółwia każe oprawić szafiry, turkusy, hiacynty z Com-posteli,

akwamaryny i sudermańskie rubiny koloru jasnego łupku.

Z całej książki podoba mi się najbardziej rozdział, w którym des Esseintes postanawia opuścić po raz pierwszy dom i wybrać się w podróż do Anglii. Zachęca go do tego mglista pogoda wokoło, sklepienie niebios rozciągające się jednostajnie przed jego oczyma niczym szarawy pokrowiec. Aby czuć się zestrojony z miejscem, do którego zamierza się udać, wkłada skarpetki koloru zeschniętego liścia, szaromysi garnitur w szarokamienną kratkę i w sobolowe ciapki, na głowę melonik, bierze wielką składaną torbę, worek podróżny z pościelą, pudło z kapeluszami, parasole i laski, po czym jedzie na dworzec.

Do Paryża przybywa już zmęczony. Krąży dorożką po deszczowym mieście w oczekiwaniu na godzinę odjazdu pociągu. Gazowe latarnie, mrugające do niego we mgle w żółtawej aureoli, przywodzą mu na myśl Londyn, równie deszczowy, kolosalny, olbrzymi, o żelazistym smaku, dymiący w mglistych oparach, ze swoimi szeregami doków, dźwigów, kołowrotów i worków. Wchodzi potem do jakiejś gospody, uczęszczanego przez Anglików pubu z rzędami ozdobionych królewskim herbem beczek, ze stolikami zastawionymi herbatnikami Palmer-sa, słonymi sucharami, pasztecikami mince pies i grzankami. Kosztuje różnych egzotycznych win, które tam podają: old port, magnificent old Regina, cockburn's very fine... Obok niego siedzą Anglicy: bladzi duchowni, twarze rzeźników, brody niczym obroże, jak u niektórych gatunków małp, włosy płowe. Przy dźwiękach obcej mowy wtapia się w ten fikcyjny Londyn, słuchając wyjących na rzece holowników.

Wychodzi oszołomiony. Niebo jest teraz tak niskie, że dotyka domów, arkady ulicy Rivoli wydają mu się ciemnym tunelem,

wykopanym pod Tamizą. Wstępuje do innej gospody, gdzie nad kontuarem sterczą kurki, z których nalewa się piwo. Patrzy na rosłe anglosaskie kobiety o zębach szerokich jak szpachle, o niepomierne długich rękach i stopach, pożerające mięso duszone w sosie grzybowym, przykryte warstwą ciasta, jak tort. Zamawia oxtail - zupę na wolim ognie, haddock - potrawę z dorsza, rostbef, dwa półlitrowe kufle piwa ale, skubie trochę sera Stilton i kończy kieliszkiem brandy.

Gdy żąda rachunku, otwierają się drzwi tawerny, wchodzą ludzie przesiąknięci wonią mokrego psa i węgla kamiennego. Des Esseintes zapytuje sam siebie, po co miałby przepływać kanał La Manche. W gruncie rzeczy był już w Londynie, wąchał jego zapachy, posmakował potraw, widział charakterystyczne sprzęty, nasycił się brytyjskim życiem. Każe dorożkarzowi odwieźć się na dworzec Sceaux i wraca z walizkami, torbami, kocami i parasolami do swojej zwykłej siedziby, przetrącony fizycznie i sfatygowany duchowo niby ktoś, kto po długim i niebezpiecznym wojażu zawitał w domowe pielesze.

Takim staję się ja. Nawet w wiosenne dni mogę się poruszać w chroniącej mnie mgle. Jednak tylko choroba (i to, że życie mnie odtrąca) mogłaby usprawiedliwić w pełni odtrącanie przeze mnie życia. Muszę dowieść samemu sobie, że moja ucieczka jest słuszna i uzasadniona.

Odkrywam więc, że jestem chory. Słyszałem, że choroby serca objawiają się fioletowym kolorem warg. Właśnie w tamtych latach matka uskarżała się na kłopoty z sercem; może nie były zbyt poważne, lecz matka opowiadała o nich z nadmiarem szczegółów całej rodzinie, co graniczyło z hipochondrią.

Pewnego ranka staję przed lustrem i widzę, że mam fioletowe wargi.

Wychodzę na ulicę, zaczynam biec jak oszalały. Dyszę, czuję łomotanie w piersi. Jestem więc chory na serce, skazany na śmierć jak Gagnola.

Ta choroba serca staje się moją obsesją. Siedzę jej postępy, widzę moje wargi coraz ciemniejsze, policzki coraz bardziej wychudłe, pierwsze przejawy młodzieńczej wysypki barwią mi twarz chorobliwą czerwienią. Umrę młodo jak święty Ludwik Gonzaga i Dominik Savio. Jednakże wskutek buntowniczego zrywu ducha przeredagowuję powoli moje Ćwiczenie dobrej śmierci, odstępując stopniowo od włościennicy na rzecz poezji.

Żyję w oślepiającym zmierzchu:

Nadejdzie dzień, wiem, że tej gorącej krwi nagle zabraknie, że moje pióro pęknie ze zgrzytem...wtedy umrę.

Umieram nie dlatego, że życie jest złe, lecz dlatego, że w swoim szaleństwie jest ono banalne i powtarza do znużenia rytuały śmierci. Jako świecki pokutnik i dotknięty słowotokiem mistyk dochodzę do przekonania, że najpiękniejszą z wysp jest Wyspa Nieodnaleziona, która pojawia się niekiedy, lecz tylko w oddali, między Teneryfą a La Palmą. Píše o niej Guido Gozzano:

Zdążają okręty ku ziemi szczęśliwej: na kwietną gęstwinę palmy cień rzucają, czuć tam wonie puszczy, nieprzebytej, żywej, roni łyżki kardamon, z pni soki ściekają.

Przywabia zapachem niczym kurtyzana Wyspa Nieodnaleziona... Lecz gdy okręt blisko, spowija się w błękit, płynna, zamazana, znika tak jak puste, nieziemskie zjawisko.

Wiara w to, co nieuchwytnie, pozwala mi zamknąć mój pokutniczy okres. Życie młodzieńca zaopatrzonego obiecało mi w nagrodę istotę

piękną jak słońce i bielszą od księżyca. Jedna jedyna myśl nieczysta mogłaby wszak sprawić, że utracę ją na zawsze. Natomiast Wyspa Nieodnaleziona, będąc nieosiągalna, pozostaje zawsze moja.

Przygotowuję się do spotkania z Lilą. . PIĘKNA JAK SŁOŃCE

Także Lila urodziła się z książki. Miałem właśnie wstąpić do liceum, rozpoczynałem szesnasty rok życia. U dziadka wpadł mi w ręce Cyrano de Bergerac Rostanda we włoskim przekładzie. Nie rozumiem, dlaczego tej książki nie było w Solarze, na strychu lub w Kaplicy. Może czytałem ją tyle razy, że w końcu rozpadła się na kawałki. Teraz mógłbym wyrecytować ją całą z pamięci.

Wszyscy znają tę historię. Myślę, że gdyby mnie zapytano o Cyrana, nawet bezpośrednio po moim wypadku, potrafiłbym powiedzieć, że chodzi o rozpaczliwie romantyczne sztuczdyło, od czasu do czasu wystawiane jeszcze przez teatry objazdowe. Umiałbym jednak powiedzieć to, co wszyscy wiedzą. Całej reszty nie, odkrywam ją dopiero teraz jako coś związanego z moim dorastaniem, z moimi pierwszymi miłosnymi wzruszeniami.

Cyrano jest wspaniałym rębajłą i genialnym poetą, ale jest brzydki, przytłoczony swoim monstrualnym nosem (Różności tu by można powiedzieć bez liku, I zmieniając ton... uważaj, niech ci przykład służy... I Zaczepnie: ja, mój panie, mając nos tak duży, I od razu amputować kazałbym to dziwo... I Przyjaźnie: waść go maczasz w szklance! Jako żywo, I potrzebny ci jest kufel!... Dalej - obrazowo: To skała! szczyt! przylądek! Gdzie tam! Mylne słowo! Półwysep, nie przylądek!).

Cyrano kocha swoją kuzynkę Roksanę, précieuse, pannę wykwinłą i subtelną, cudownej urody {...ja kocham... i to, mówię - najpiękniejszą w

świecie!). Ona podziwia go może za jego męstwo, lecz on nie ośmieliłby się nigdy wyznać jej miłości, bojąc się własnej brzydoty. Jeden jedyny raz, gdy ona prosi go o rozmowę, budzi się w nim nadzieja, że do czegoś dojdzie. Tymczasem czeka go okrutne rozczarowanie: Roksana mówi mu, że jest zakochana w przepięknym Chrystianie, który zaciągnął się właśnie do gaskońskich kadetów, i prosi kuzyna o opiekę nad nim.

Cyrano poświęca się do końca i postanawia kochać Roksane, przemawiając do niej ustami Chrystiana. Pięknemu, śmiałemu, lecz nieuczonemu młodzieńcowi podsuwa najśłodsze miłosne wyznania, pisze za niego płomienne listy, zajmuje jego miejsce pod jej balkonem, aby wyszeptać słynną pochwałę pocałunku; lecz potem Chrystian wspina się, aby odebrać nagrodę za tak doskonałe słowa. Chodź, zerwij to kwiecie, I któremu nie ma wonią równego na świecie... Zakosztuj duszy!... Tego, co jak pszczoła dzwoni... Nieskończoności chwili!...

No, włazie, ty wole! - mówi Cyrano, popychając rywala, a kiedy dwoje młodych się całuje, szlocha w cieniu, smakując swoje mizerne zwycięstwo, bo z ust tych wszakże zbiera jej warga różowa I me własne w tej godzinie wyrzeczone słowa.

Cyrano i Chrystian ruszają na wojnę. Roksana udaje się za nimi coraz bardziej zakochana, oczarowana listami, które Cyrano śle jej codziennie. Wyznaje kuzynowi, że kocha w Chrystianie nie jego urodę, lecz gorące serce i wspaniałego ducha; kochałaby go nawet, gdyby był brzydki. Cyrano pojmuje, że to on jest jej ukochanym, i chce wszystko wyjawić, lecz w tej właśnie chwili Chrystian ginie, trafiony wrazą kulą. Nad ciałem nieszczęśliwego chyli się Roksana we łzach. Cyrano rozumie, że nie będzie mógł nigdy powiedzieć jej prawdy.

Mijają lata. Roksana zamknęła się w klasztorze, rozmyśla bezustannie o zmarłym kochanku i odczytuje co dzień jego ostatni list, splamiony krwią. Cyrano, wierny przyjaciel i kuzyn, odwiedza ją w każdą sobotę. W sobotę właśnie zranili go wrogowie polityczni lub zawistni literaci; ukrywa przed Roksana, że pod kapeluszem ma skrwawiony bandaż. Kobieta po raz pierwszy pokazuje mu ostatni list Chrystiana. Cyrano czyta głośno, lecz Roksana zauważa, że zapadł zmrok, i nie rozumie, jak mu się udaje odcyfrować te wyblakłe słowa. W mgnieniu oka wszystko staje się dla niej jasne: kuzyn recytuje z pamięci własny list, w Chrystianie kochała Cyrana. Przez całych lat czternaście czemu milczeliście, I jeżeli waścinemi były łyzy w tym liście I nie jego? Nie, próbuje zaprzeczać Cyrano, to nieprawda, nie, drogie kochanie, I jam nigdy cię nie kochał - ani jedną chwilę!

/i ne;

Ale bohater już chwieje się na nogach, nadbiegają wierni przyjaciele, łajac go, że wstał z łóżka, wyjawiają Roksanie, że niebawem umrze. Oparty o drzewo Cyrano odgrywa ostatni pojedynek z cieniami swoich wrogów i pada. Gdy mówi, że tylko jedną niepokalaną rzecz zabierze ze sobą do nieba, swój pióropusz biały, mon panache (tymi słowami kończy się sztuka), Roksa-na pochyla się nad nim i całuje go w czoło.

Ten pocałunek wspomniany jest zaledwie w didaskaliach, nie mówi o nim żadna z postaci, mało wrażliwy reżyser mógłby go wręcz pominąć, lecz w moich oczach, oczach szesnastolatka, stał się sceną najważniejszą: nie tylko widziałem pochylającą się Ro-ksanę, lecz wraz z Cyranem czułem po raz pierwszy, tuż przy twarzy, jej pachnący oddech. Ten pocałunek in articulo mortis wynagradza Cyrana za tamten inny, który

został mu skradziony, i rozczuła wszystkich w teatrze. Ten ostatni pocałunek jest piękny, ponieważ Cyrano otrzymuje go w tej samej chwili, w której umiera, a więc traci raz jeszcze Roksanę, lecz z tego właśnie byłem dumny ja, utożsamiający się z bohaterem. Wydawałem ostatnie tchnienie, nie tknąwszy ukochanej, pozostawiając ją w niebiańskim kształcie nieskażonego snu.

Z imieniem Roksany w sercu musiałem jeszcze nadać jej twarz. Była to twarz Liii Saby.

Jak powiedział Gianni, ujrzałem ją pewnego dnia zstępującą ze schodów liceum i stała się moja na zawsze.

Papini pisał o grożącej mu ślepcie i swojej postępującej krótkowzroczności: Widzę wszystko w pomieszaniu, jakby w lekkiej i dalekiej mgle; gdy patrzę wieczorem w dal, wszystko miesza mi się ze sobą. Mężczyzna w pelerynie wydaje mi się kobietą, mały, spokojny płomyk długim rzędem czerwonych świateł, łódź, płynąca po rzece, czarną plamą na wodzie. Oblicza są jasnymi plamami, okna czarną plamą w domach, drzewa ciemnymi i gęstymi plamami, odrywającymi się od cieni; zaledwie trzy czy cztery gwiazdy pierwszej wielkości błyszczą dla mnie na niebie. Tak dzieje się teraz ze mną w moim wypełnionym czuwaniem śnie. Odkąd wróciłem do łask pamięci (przed kilkoma sekundami? tysiąc lat temu?), wiem wszystko o wyglądzie moich rodziców, Gragnoli, doktora Osimo, nauczyciela Monal-diego i Bruna, widziałem dokładnie każdą twarz, czułem zapach i słyszałem głos każdego z nich. Wokół siebie widzę wszystko wyraźnie, oprócz twarzy Liii. Jak na fotografiach, na których twarze pokazuje się prześwietlone, aby chronić privacy oskarżonego małolata lub niewinnej żony potwora. Widzę tylko smukłą sylwetkę Liii w

czarnym, szkolnym fartuszką, jej miękki chód, za którym podążam jak szpieg, widzę od tyłu falowanie jej włosów, lecz nie udaje mi się jeszcze zobaczyć rysów jej twarzy. Walczę nadal z blokadą, jakbym się obawiał, że nie zniosę tej jasności.

Widzę siebie ponownie, piszącego dla niej wiersze o Istocie Zamkniętej w przemijającej tajemnicy. Dręczy mnie nie tylko wspomnienie mojej pierwszej miłości, cierpię także dlatego, że nie mogę zobaczyć jej uśmiechu, tych dwóch górnych ząbków, o których mówił mi Gianni - on, niech go diabli, wie i pamięta.

Spokojnie, dajmy czas naszej pamięci. Na razie więcej mi nie trzeba. Gdybym oddychał, mój oddech stałby się bardziej miarowy, ponieważ czuję, że dotarłem do właściwego miejsca. Lila jest o dwa kroki ode mnie.

Widzę siebie wchodzącego do klasy żeńskiej, aby sprzedawać bilety. Widzę Ninettę Foppę z oczami łasiczki, wyblakły nieco profil Sandriny, potem staję przed Lilą i mówię coś zabawnego, szukając i nie znajdując reszty, aby przedłużyć postój przed ikoną, która zanika jeszcze jak obraz na ekranie psującego się telewizora.

Czuję w sercu niezmierną dumę z powodu wieczoru teatralnego, dopiero co włożyłem do ust pastylkę pani Marini. Na sali wybucha entuzjazm, ogarnia mnie niewymowne uczucie bezgranicznej władzy. Następnego dnia starałem się wytłumaczyć to Gianniemu.

- Był to - mówiłem - efekt wzmacniacza, cud megafonu. Przy minimalnym zużyciu energii powodujesz wybuch i czujesz, że niewielkim kosztem wytwarzasz olbrzymią moc.

W przyszłości mógłbym zostać tenorem, dla którego szaleją tłumy, bohaterem pociągającym za sobą na rzeź dziesięć tysięcy ludzi przy

dźwiękach Marsy/tanki, ale z pewnością nie mógłbym już doznać tak upojnego uczucia jak wczoraj wieczorem.

Teraz doznaję właśnie tego. Stoję na scenie, wypychając sobie policzki językiem. Słucham entuzjastycznych okrzyków z widowni, wiem mniej więcej, gdzie znajduje się Lila, bo przed spektaklem zerknąłem na salę zza kurtyny, lecz nie mogę zwrócić głowy w tym kierunku, ponieważ wszystko bym popsuł: pani Marini, gdy pastylka przesuwana się w jej ustach, musi być przez cały czas widziana z profilu. Poruszam językiem, mówię ochryłym głosem właściwie bezmyślnie (zresztą pani Marini nie była bardziej logiczna), koncentruję się na Liii, której nie widzę, lecz ona widzi mnie. Przeżywam tę apoteozę jak stosunek płciowy, wobec którego moja pierwsza eiaculatio praecox nad zdjęciem Joséphine Baker była tylko mdłym kichnięciem.

To zapewne po tym doświadczeniu postanowiłem posłać do wszystkich diabłów księdza Renata z jego zaleceniami. Na co mi chowanie sekretu w głębi serca, jeśli nie możemy upajać się nim we dwoje? Więcej - będąc zakochany, pragniesz, aby ona wiedziała o tobie wszystko. Bonum est diffusivum sui, dobro mówi samo za siebie. Teraz więc powiem jej wszystko.

Chodziło o to, aby ją spotkać nie przy wyjściu ze szkoły, lecz kiedy idzie do domu sama. W czwartki miała godzinę gimnastyki dla dziewcząt i wracała około czwartej. Przez wiele dni przygotowywałem przemówienie wstępne. Na początku zamierzałem jej powiedzieć coś dowcipnego, w rodzaju: nie bój się, to nie napad, ona wybuchnie śmiechem, a ja dalej, że dzieje się ze mną coś dziwnego, że nigdy jeszcze tego nie doświadczyłem i że ona może mogłaby mi pomóc... Co to takiego, pomyśli sobie, prawie się

nie znamy, może spodobała mu się jedna z moich koleżanek i sam nie potrafi się odważyć.

Potem jednak, niczym Roksana, zrozumie wszystko w mgnieniu oka. Nie, drogie kochanie, jam nigdy cię nie kochał. Tak, to doskonała taktyka. Powiedzieć, że jej nie kocham, i przeprosić za to przeoczenie. Ona doceni moją bystrość (czyż nie jest *précieuse!*) i może pochyli się ku mnie, mówiąc, przypuśćmy, nie bądź głuptasem, lecz z niespodziewaną czułością. Zarumieni się i dotknie palcami mojego policzka. Jednym słowem, nasze pierwsze zbliżenie będzie arcydziełem błyskotliwości umysłu i delikatności uczuć nie do odparcia. Byłem o tym przekonany, ponieważ - kochając ją - nie mogłem sobie wyobrazić, aby ona nie podzielała moich uczuć. Myliłem się, jak wszyscy zakochani, używałem jej mojej duszy i oczekiwałem od niej, że postąpi identycznie. Dzieje się tak jednak od tysiącleci, inaczej nie istniałaby literatura.

Wybrałem dzień i godzinę, stworzyłem wszelkie warunki, aby Sposobność przyniosła mi szczęście. Za dziesięć czwarta znalazłem się przed bramą jej domu. Za pięć czwarta pomyślałem, że przechodzi tamtędy zbyt dużo ludzi, i postanowiłem czekać wewnątrz, przy wejściu na schody.

Po kilku wiekach, od za pięć czwarta do pięć po czwartej, usłyszałem, jak wchodzi do bramy. Śpiewała. Piosenka dotyczyła jakiejś doliny, teraz przypominam sobie w przybliżeniu melodię, ale nie słowa. W tamtych latach piosenki były okropne, nie takie jak w moim dzieciństwie. To były głupie piosenki głupiego powojennego okresu: Eulalia Torricelli z Forli, Strażacy z Viggiù, Ale jabłka, co za jabłka, Gaskońscy kadeci, a w najlepszym wypadku kiczowate wyznania miłosne jak Płyn, niebiańska

serenado lub Usnąć tak w twoich ramionach. Nienawidziłem ich. Kuzyn Nuccio tańczył przynajmniej amerykańskie rytmy. Myśl, że takie rzeczy mogą się jej podobać, zmroziła mnie może na chwilę (ona musiała być subtelna jak Roksana), ale nie wiem, czy wiele się wtedy zastanawiałem. W rzeczywistości nie słuchałem, lecz tylko wyprzedzałem w myślach jej nadejście. Miałem przynajmniej dziesięć sekund na zniesienie wypełnionej niepokojem wieczności.

Zrobiłem kilka kroków naprzód właśnie w momencie, w którym ona zbliżała się do schodów. Gdyby ktoś inny opowiadał mi tę historię, zauważyłbym, że w tym miejscu powinna zagrać orkiestra smyczkowa, aby dodać otuchy oczekującemu i stworzyć nastrój. W tamtej chwili wystarczyła mi jednak nędzna piosenka, którą dopiero co usłyszałem. Serce biło mi tak mocno, że tym razem naprawdę mogłem uznać się za chorego. Czuję się jednak przepelniony dziką energią, gotów stawić czoło ostateczności.

Zjawiała się przede mną i stanęła zaskoczona.

Zapytałem:

- Czy mieszka tu Vanzetti? Odparła, że nie. Powiedziałem:

- Dziękuję, przepraszam, pomyliłem się. I odszedłem.

Vanzetti (kto to mógł być?) to pierwsze nazwisko, jakie w panice przyszło mi do głowy. Wieczorem doszedłem do wniosku, że dobrze się stało, jak się stało. Był to ostatni dowód mojej przebiegłości. No bo gdyby ona wybuchnęła śmiechem i powiedziała: co cię napadło, jesteś bardzo miły, dziękuję ci, ale, wiesz, mam co innego w głowie - co ja bym wtedy zrobił? Miałem o niej zapomnieć? Upokorzenie kazałoby mi uznać ją za głupią kozę? Przyczepiłbym się do niej jak rzep do psiego ogona, dniami i

nocami czyhając na następną okazję, stając się pośmiewiskiem całego liceum? Natomiast dzięki milczeniu zachowałem to wszystko, co dotychczas posiadałem, niczego nie straciłem.

Ona z pewnością miała co innego w głowie. Niekiedy czekał na nią przy wyjściu ze szkoły student uniwersytetu, wysoki świński blondyn. Nazywał się Vanni - nie wiem, czy było to imię, czy nazwisko - i tego dnia, gdy miał plaster na szyi, z miną wesołego gorszyciela rzeczywiście mówił znajomym, że to tylko wrzód od syfilisu. Ale pewnego dnia przyjechał skuterem marki Vespa.

Skuter Vespa był nowością. Mieli go tylko, mawiał mój ojciec, chłopcy rozpущeni. Dla mnie posiadanie vespy było równoznaczne z chodzeniem do kabaretu i oglądaniem prawie nagich tancerek; skuter Vespa stał po stronie grzechu. Niektórzy koledzy wskakiwali na niego po wyjściu ze szkoły albo przyjeżdżali nim wieczorem na placyk, gdzie odbywały się nasze długie pogawędki na ławkach naprzeciw zepsutej zazwyczaj fontanny. Powtarzali wtedy rzeczy, które znali z opowiadań dorosłych - o domach publicznych i rewiach Wandy Osiris. Ci, którzy słyszeli takie opowiadania, nabierali w oczach pozostałych chorobliwej charyzmy.

Skuter Vespa był w moich oczach wykroczeniem. Nie była to pokusa, bo nie potrafiłem sobie nawet wyimagować, że mógłbym go mieć; był raczej jasnym jak słońce, a jednocześnie mglistym wyobrażeniem tego, co może się zdarzyć, jeśli się oddalisz na nim z dziewczyną, dosiadającą jak amazonka tylnego siodełka. Nie był przedmiotem pożądania, lecz symbolem niezaspokojonych pragnień - niezaspokojonych wskutek przemyślanej decyzji.

Pewnego dnia, wracając z placu Minghettiego w stronę liceum, aby zobaczyć Lilę w grupie koleżanek, stwierdziłem, że jej nie ma. Przyspieszyłem kroku w obawie, że jakieś zazdrosne bóstwo mi ją zabrało; zdarzyło się wtedy coś strasznego, o wiele mniej sakralnego, a jeśli już, to z piekła rodem. Ona stała jeszcze tam, przed schodami wiodącymi do liceum, jakby w oczekiwaniu. No i oto nadjeżdża (vespa) Vanni. Ona wsiada, przykleja się do niego zgodnie z obyczajem, wkładając ramiona pod jego pachy i trzymając go za pierś. Odjeżdżają.

Były to już czasy, w których spódnice prawie powyżej kolan, z lat wojny, i te kloszowe do kolan, dodające uroku narzeczonym Ripa Kirby'ego z pierwszych powojennych komiksów amerykańskich, ustępowały miejsca spódnicom długim, obszernym, do pół łydki.

Nie były one bardziej pruderyjne od poprzednich. Wręcz przeciwnie, cechował je pewien perwersyjny wdzięk, elegancja zwiewna i obiecująca, która wzmagala się jeszcze, gdy łopotały w pędzie, a noszące je dziewczęta znikwały w oddali, przytulone do swoich centaurów.

Ta spódnica była wstydliwym i filuternym falowaniem na wietrze, uwodzeniem za pomocą widocznego zewsząd wielkiego sztandaru. Skuter oddalał się z królewską godnością jak okręt, który zostawia za sobą smugę śpiewającej piany i koziołkujące mistyczne delfiny.

Lila odjechała tego dnia na skuterze Vespa, który stał się dla mnie w jeszcze większym stopniu symbolem udreki, bezużytecznej namiętności.

Znowu widzę jednak spódnice, powiewający proporzec jej włosów, a ją samą nadal od tyłu.

Opowiedział mi o tym Gianni. W Asti przez całe przedstawienie wlepiąłem oczy w jej kark. Nie przypomniał mi jednak - może nie dałem mu na to czasu - o innym wieczorze w teatrze. Do naszego miasta przyjechał zespół wystawiający Cyrana. Miałem po raz pierwszy sposobność obejrzenia tej sztuki na scenie i namówiłem czterech przyjaciół, by zarezerwowali miejsca na galerii. Z góry się cieszyłem i odczuwałem dumę z tego, że w najważniejszych momentach akcji będę mógł recytować z pamięci kwestie, zanim padną one na scenie.

Przyszliśmy wcześnie, usiedliśmy w drugim rzędzie. Tuż przed rozpoczęciem spektaklu miejsca w pierwszym rzędzie, bezpośrednio przed nami, zajęła grupka dziewcząt: Ninetta Foppa, Sandrina, dwie inne i Lila.

Lila usadowiła się przed Giannim, który siedział obok mnie. Mogłem więc znowu widzieć jej kark, lecz także - przechylając głowę - zobaczyć profil (nie teraz, Lila jest nadal prześwietlona!). Krótkie przywitanie - ach, wy też tutaj, jaki to miły zbieg okoliczności! - i na tym koniec. Miał rację Gianni, byliśmy dla nich za młodzi; ja wprawdzie stałem się bohaterem z pastylką w ustach, ale widziano we mnie Jerry'ego Lewisa, który bawi, lecz w którym nie można się zakochać.

W każdym razie mnie to wystarczało. Oglądanie Cyrana de Bergerac, kwestia za kwestią, z nią siedzącą przede mną przyprawiało o zawrót głowy. Nie umiem powiedzieć, jak grała Roksa-na na scenie, bo miałem swoją Roksanę, widzianą z tyłu i z boku. Wydawało mi się, że zauważam, kiedy sztuka ją wzrusza (kogóż nie wzrusza Cyrano, napisany po to, aby wycisnąć łzy nawet z kamienia?), i zdecydowałem dumnie, że wzrusza się nie ze mną, lecz z mojego powodu i dla mnie. Nie mogłem żądać więcej - ja, Cyrano i ona. Cała reszta to bezimienny tłum.

Gdy Roksana pochyliła się, by pocałować Cyrana w czoło, ja złączyłem się w jedną całość z Lilą. W tej chwili ona - choć o tym nie wiedziała - nie mogła mnie nie kochać. W końcu Cyrano czekał długie lata, zanim go zrozumiała. Ja także mogłem czekać. Tego wieczoru znalazłem się o kilka kroków od Raju.

Kochać kark. I żółtą kurtkę. Tę żółtą kurtkę, w której pojawiła się pewnego dnia w szkole, jaśniejac w wiosennym słońcu - i o której pisałem w moich wierszach. Od tego czasu widok kobiety w żółtej kurtce wywoływał we mnie zawsze wspomnienia i nieznośną tęsknotę.

Teraz rozumiem, co powiedział mi Gianni. Przez całe życie we wszystkich moich miłosnych przygodach szukałem twarzy Liii. Przez całe życie czekałem, aby odegrać końcową scenę z Cyrana. Szok, który stał się może przyczyną mojego wypadku, był wywołany odkryciem, że w tej scenie nigdy nie będę uczestniczył.

Teraz pojmuję, że to Liii zawdzięczam jako szesnastolatek nadzieję, że zapomnę noc w Wąwozie, oraz ponowne zainteresowanie życiem. Moje mizerne wiersze zastąpiły mi Ćwiczenie dobrej śmierci. Z Lilą w pobliżu, nie powiem ze mną, ale przede mną, mogłem przeżyć lata liceum... jak by to ująć... idąc w górę, i pogodzić się stopniowo z moim dzieciństwem. Po jej nagłym zniknięciu żyłem w stanie niepewności aż do rozpoczęcia studiów uniwersyteckich, potem - gdy zniknęły też na zawsze symbole mojego dzieciństwa, dziadek i rodzice - zrezygnowałem z wszelkich prób pozytywnego odczytywania przeszłości. Nieświadomie wykreśliłem ją z pamięci i zacząłem od zera. Z jednej strony ucieczka w wygodną i obiecującą wiedzę (pracę magisterską napisałem nie z historii ruchu oporu, lecz o Śnie Polifila), z drugiej - spotkanie z Paolą. Jednakże - jeśli miał

słuszność Gianni - pozostało we mnie zasadnicze niezadowolenie. Usunąłem z pamięci wszystko oprócz twarzy Liii, której szukałem w tłumie z nadzieją, że ją znajdę, zmierzając nie do tyłu, jak szuka się zmarłych, lecz do przodu, w pogoni, która teraz okazuje się bezcelowa.

Korzyść z mojego obecnego snu, wypełnionego nagłymi, krótkimi snami na kształt labiryntu - tak że chociaż rozpoznaję odstępy czasowe między poszczególnymi okresami, mogę przebiegać te okresy w obu kierunkach, skreśliwszy wskazówkę czasu - korzyść owa polega na tym, że teraz mogę ponownie przeżywać wszystko bez rozróżniania między ruchem do przodu i ruchem do tyłu, w kręgu, który mógłby trwać tysiąclecia. W tym kręgu Lila stoi ponownie i zawsze obok mnie w każdym momencie mojego tańca zwabionej pszczoły, krążącej nieśmiało wokół żółtego pyłu jej kurtki. Jest obecna jak Angelo Orso, doktor Osimo, pan Piazza, Ada, tatuś, mama, dziadek. Odnalazłem także aromaty i zapachy kuchni z tamtych lat, a noc w Wąwozie i Gragnolę oceniłem z równowagą i współczuciem.

Czy jestem samolubem? Paola i córki czekają tam na zewnątrz, to dzięki nim mogłem sobie pozwolić na szukanie przez czterdzieści lat Liii, choć zawsze w tle, bo żyłem, stojąc mocno na ziemi. To one sprawiły, że wyszedłem z mojego zamkniętego kręgu; obracałem się wprawdzie wśród inkunabułów i pergaminów, lecz przyczyniłem się przecież do wydania na świat nowego życia. One cierpią, a ja twierdzę, że jestem szczęśliwy. No dobrze, ale czy to moja wina? Nie mogę wrócić na zewnątrz, mam więc prawo cieszyć się tym stanem zawieszenia. Zawieszenia tak wielkiego, że mogę nawet podejrzewać, iż między chwilą obecną a tą, w której tutaj się obudziłem - to jest w czasie, w którym przeżyłem prawie dwadzieścia lat,

niekiedy minuta po minucie - upłynęło zaledwie kilka sekund, jak w śnie, gdy wystarczy podobno zasnąć na jeden moment, aby przeżyć w okamgnieniu bardzo długą historię.

Jestem może w śpiączce, tak, zapewne; lecz w śpiączce nie przypominam sobie, tylko śnię. Wiem o pewnych snach, w których ma się wrażenie, że się sobie coś przypomina, i wierzy się, że to, co się sobie przypomina, jest prawdziwe. Potem człowiek się budzi, aby z żalem stwierdzić, że te wspomnienia nie były jego. Śnimy o fałszywych wspomnieniach. Ja na przykład pamiętam, że wielokrotnie mi się śniło, iż wracam do mieszkania, w którym od dawna nie byłem, lecz do którego powinienem był dawno wrócić, bo jest to rodzaj sekretnego schronienia, gdzie długo przebywałem i gdzie zostawiłem dużo moich rzeczy. We śnie przypominałem sobie dokładnie każdy mebel i każdy pokój tego mieszkania, byłem tylko poirytowany, bo wiedziałem, że za salonikiem, w korytarzu wiodącym do łazienki, powinny być drzwi do innego pokoju, a tych drzwi nie było, jakby ktoś je замуrował. Budziłem się więc spragniony i stęskniony tego mojego ukrytego schronienia, lecz zaledwie wstawałem, uświadamiałem sobie, że wspomnienia należą do snu, że tego mieszkania nie mogłem pamiętać, ponieważ nigdy nie istniało - przynajmniej w moim życiu. Często skłaniało mnie to nawet do myślenia, że w snach przywłaszczamy sobie wspomnienia innych.

Czy zdarzyło mi się jednak kiedyś we śnie śnić o innym śnie, jak robiłbym teraz? Nie; oto dowód, że teraz nie śnię. Ponadto we śnie wspomnienia są niejasne, niedokładne, ja zaś przypominam sobie teraz strona po stronie, obraz po obrazie to wszystko, co przekartkowałem w Solarze przez ostatnie dwa miesiące. Pamiętam rzeczy, które rzeczywiście

miały miejsce.

Kto jednak mi zaręczy, że to wszystko, co przypomniałem sobie w ciągu tego snu, naprawdę mi się zdarzyło? Może moi rodzice mieli inne twarze, może nie istnieli nigdy żaden doktor Osimo ani Angelo Orso, może nie przeżyłem nigdy nocy w Wąwozie? Gorzej jeszcze, może śniło mi się tylko, że obudziłem się w szpitalu, że straciłem pamięć, że mam żonę imieniem Paola, dwie córki i trzech wnuków. Może nie straciłem nigdy pamięci, jestem kim innym - Bóg jeden wie kim - który z jakiegoś niewiadomego powodu znalazł się w tym położeniu (śpiączka albo coś nieokreślonego), a cała reszta to postaci wyłonione z mgły wskutek złudzenia optycznego. Inaczej to wszystko, co - jak mi się wydawało - przypomniałem sobie w tej chwili, nie byłoby zdominowane przez mgłę, która oznaczała właśnie, że moje życie jest snem. To cytaty z Calderona. A gdyby wszystkie inne cytaty - te, które przytaczałem lekarzowi, Paoli, Sybilli, samemu sobie - były jedynie wytworem tego właśnie uporczywego snu? Nie istnieliby wtedy Carducci ani Eliot, Pascoli ani Huysmans i cała reszta, którą uważałem za wspomnienia encyklopedyczne. Tokio nie jest stolicą Japonii, Napoleon nie tylko że nie umarł na Wyspie Świętej Heleny, lecz w ogóle się nie urodził. Jeśli istnieje coś na zewnątrz mnie, jest to jedynie wszechświat równoległy, w którym kto wie co się dzieje i działa, może istoty do mnie podobne, ze mną włącznie, mają ciało pokryte zieloną łuską i cztery wysuwane czułki nad jednym okiem.

Nie mogę stwierdzić, że naprawdę tak nie jest. Gdybym jednak mógł wymyślić we wnętrzu mojego mózgu cały wszechświat, wszechświat, w którym są nie tylko Paola i Sybilla, lecz w którym napisano Boską Komedię i wynaleziono bombę atomową, musiałbym posiadać zdolność

inwencji przekraczającą możliwości jednostki - zakładając, że jestem jednostką i człowiekiem, a nie madreporowym zespołem połączonych ze sobą mózgów.

A gdyby tak Ktoś wyświetlał mi film bezpośrednio w mózgu? Mógłbym być mózgiem w jakimkolwiek roztworze, w konserwującym płynie, w szklanym naczyniu, w którym widziałem psie jądra, w formalinie. Ktoś wysyła mi bodźce, abym uwierzył, że posiadam ciało i że wokół mnie istnieją inni, a istniejemy tylko ja jako mózg i ten Stymulator? Gdybyśmy jednak byli mózgami w formalinie, czy moglibyśmy przypuszczać, że jesteśmy mózgami w formalinie, lub twierdzić, że nimi nie jesteśmy?

Gdyby tak było, pozostawałoby mi tylko czekać na kolejne bodźce. Byłbym widzem idealnym, przeżywałbym ten sen jak niekończący się seans filmowy, sądząc, że film mnie dotyczy. Lub nie, to, o czym teraz śnię, jest tylko filmem numer dziesięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, prześniłem ich już ponad dziesięć tysięcy, w jednym utożsamiałem się z Juliuszem Cezarem, przekroczyłem Rubikon i cierpiałem jak wół w rzeźni z powodu dwudziestu trzech pchnięć sztyletem, w innym byłem panem Piazzą i wypychałem słomą łasice, w jeszcze innym - Anielem Orso zastanawiającym się, dlaczego pałą go po tylu latach wiernej służby. W innym mógłbym być Sybillą, która z udręką stawia sobie pytanie, czy ja kiedyś przypomnę sobie nasz romans. W obecnej chwili byłbym sobą prowizorycznym, jutro będę może dinozaurem, zaczynającym cierpieć na początku epoki lodowcowej, która stanie się przyczyną jego śmierci; pojutrze będę żyć życiem moreli, wróbla, hieny, suchej gałązki.

Nie mogę się poddać, chcę wiedzieć, kim jestem. W jedno nie wątpię. Wspomnienia, które pojawiły się na początku tego, co uważam za moją obecną śpiączkę, są niejasne, mgliste, rozproszone, nieciągłe, niepewne, postrzępione, powyszczerbiane (dlaczego nie udaje mi się przypomnieć sobie twarzy Liii?). Wspomnienia z Solary i z Mediolanu, odkąd przebudziłem się w szpitalu, są natomiast jasne, rozwijają się zgodnie z logiką, mogę usytuować je w czasie, powiedzieć, że spotkałem Vanne na ulicy Cairoli, zanim kupiłem psie jądra na tym stoisku na placu Cordusio. Niewątpliwie mógłbym śnić, że mam wspomnienia niedokładne i wspomnienia wyraźne, lecz oczywistość tej różnicy skłania mnie do podjęcia pewnej decyzji. Abym zdołał przeżyć (osobliwe słowa w ustach kogoś takiego jak ja, co mógłby już być martwy), muszę zdecydować, że Gratarolo, Paola, Sybil-la, mój antykwariat, cała Solara z Amalią i historiami o oleju rycynowym dziadka są wspomnieniami z prawdziwego życia. Postępujemy podobnie również w normalnym życiu: możemy przypuszczać, że zostaliśmy oszukani przez złośliwego ducha, ale chcąc iść do przodu, zachowujemy się tak, jakby było rzeczywiste wszystko, co widzimy. Gdybyśmy się poddali, gdybyśmy zwątpili w to, że na zewnątrz nas istnieje rzeczywisty świat, przestalibyśmy działać i w złudzeniu wywołanym przez złośliwego ducha spadlibyśmy ze schodów lub umarlibyśmy z głodu.

To w Solarze (która istnieje) przeczytałem moje wiersze opiewające Istotę i w Solarze usłyszałem od Gianniego przez telefon, że Istota istniała i że się nazywała Lila Saba. Zatem także wewnątrz mojego snu Angelo Orso może być złudzeniem, lecz Li-la Saba jest rzeczywistością. Z drugiej strony gdybym tylko śnił, dlaczego sen nie mógłby być na tyle

wspaniałomyślny, aby zwrócić mi również twarz Liii? We śnie pojawiają się zmarli nawet po to, aby podawać numery loterii; dlaczego właśnie Lila jest mi zakazana? Nie udaje mi się przypomnieć sobie wszystkiego, bo na zewnątrz snu istnieje najwidoczniej blokada, która z jakiegoś powodu mi na to nie pozwala.

To moje zawile rozumowanie nie jest w pełni przekonujące. Mogę z powodzeniem śnić tylko, że istnieje blokada, może być tak, że Stymulator nie chce (ze złośliwości lub z litości) przekazać mi obrazu Liii. W snach widuje się osoby znane, wiemy, że to one, choć nie widzimy ich twarzy... Nic z tego, co mogę sobie wmówić, nie godzi się z logiką. Jednak sam fakt, że mogę odwoływać się do logiki, dowodzi, iż nie śnię. Sen jest nielogiczny, śniąc, nie uskarżasz się, że tak jest.

Decyduję więc, że sprawy stoją w pewien sposób, i ciekaw jestem, czy ktoś mi się sprzeciwi.

Gdyby udało mi się zobaczyć twarz Liii, przekonałbym się, że istniała. Nie wiem, do kogo zwrócić się o pomoc, wszystko muszę robić sam. Nie mogę błagać kogoś na zewnątrz mnie, a zarówno Bóg, jak i Stymulator - jeśli istnieją - są na zewnątrz snu. Połączenie z tym, co na zewnątrz, jest przerwane. Mógłbym może zwrócić się do jakiegoś bóstwa prywatnego, z pewnością słabego, lecz które przynajmniej powinno być mi wdzięczne za powołanie go do życia.

A więc do kogo, jeśli nie do królowej Loany? Wiem, oddaję się znowu mojej pamięci papierowej, nie mam jednak na myśli królowej Loany z komiksu, lecz moją własną, wymarzoną w niebiańskiej postaci, strażniczkę płomienia zmartwychwstania, zdolną wskrzesić zwłoki skamieniałe w jakiegokolwiek odległej przeszłości.

Oszalałem? To także sensowna hipoteza: nie jestem w stanie śpiączki, jestem zamknięty w letargicznym autyzmie; wydaje mi się, że jestem w stanie śpiączki, uważam za nieprawdziwe to, o czym śniłem, i sądzę, że mam prawo zamienić to w prawdę. Czy jednak szaleniec byłby w stanie sformułować sensowną hipotezę? Ponadto jest się szaleńcem zawsze w odniesieniu do normy ustalonej przez innych, a tutaj innych nie ma, jedyną miarą jestem ja sam i jedyną rzeczą prawdziwą jest Olimp moich wspomnień. Jestem uwięziony w moim mrocznym odosobnieniu, w okrutnym egotyzmie. A zatem, jeśli takie jest moje położenie, dlaczego miałbym rozróżniać między mamą, Anielem Orso i królową Loaną? Żyję nadtłuczoną ontologią. Mam suwerenną władzę tworzenia moich własnych bogów i moich własnych Matek.

Modłę się więc teraz:

- Dobra królowo Loano, w imię twojej desperackiej miłości nie proszę cię o zbudzenie z kamiennego snu twoich ofiar sprzed tysiącleci, tylko o zwrócenie mi jednej twarzy... Ja, który z nizin mojego przymusowego snu widziałem to, co widziałem, proszę cię, abyś podniosła mnie do tego, co wydaje się zbawieniem.

Czy nie zdarza się cudownie uzdrowionym powrócić do zdrowia dlatego tylko, że wyrazili wiarę w cud? Chcę zatem mocno wierzyć, że Loana może mnie zbawić. To nadzieja, która wywołuje we mnie tak wielkie napięcie, że gdybym nie był już w stanie śpiączki, dostałbym udaru mózgu.

I wreszcie - wielki Boże! - zobaczyłem. Zobaczyłem jak apostoł, zobaczyłem środek mojej Alef, z której przebijał blask nie nieskończonego świata, lecz zbiorowiska moich wspomnień.

Słońce odkształca tak śniegowe płatki, tak podmuch wiatru rozprasza kłęb liści, gdzie były ryte Sybilli zagadki.

Dokładniej: zobaczyłem z pewnością, lecz pierwsza część mojej wizji była tak oślepiająca, że zapadłem po niej nagle jakby w mglisty sen. Nie wiem, czy we śnie można śnić, że się śpi; jest jednak pewne, że - jeżeli śnię - śnię także, iż teraz się obudziłem i pamiętam to, co widziałem.

Stałem przed białymi schodami mojego liceum, wznoszącymi się ku neoklasycznym kolumnom po obu stronach wejścia. Byłem jakby w ekstazie i słyszałem potężny głos, który mi mówił: „To, co teraz zobaczysz, możesz opisać w swojej książce, nikt tego i tak nie przeczyta, ty bowiem tylko śniesz, że piszesz”.

A u szczytu schodów pojawił się tron. Na tym tronie siedział człowiek o złotej twarzy, z okrutnym, mongolskim uśmiechem, z głową zwieńczoną płomieniami i szmaragdami. Wszyscy wokoło znosili kielichy, aby oddać cześć jemu, Min-gowi, panu na Mongo.

A nad tronem i wokół tronu stały cztery Istoty Żyjące: Thun o lwiej twarzy, Wultan ze skrzydłami jastrzębia, Barin, władca Arborii, i Uraka, królowa ludzi-czarnoksiężników. Uraka poczęła schodzić po schodach, otoczona płomieniami. Wydawała się wielką nierządnicą, strojną w purpurę i szkarłat, ozdobioną złotem, klejnotami i perłami, upojoną krwią ludzi przybyłych z Ziemi. Jej widok napełniał mnie niezmiernym zdumieniem.

A Ming ze swojego tronu mówił, że chce sądzić Ziemian, i uśmiechał się lubieżnie do Dale Arden, rozkazując, aby rzucono ją na pożarcie Bestii, która wyszła z morza.

A Bestia miała na czole straszliwy róg, paszczę szeroko otwartą, zęby ostre jak brzytwy, łapy drapieżnika i ogon jak tysiąc skorpionów. Dale płakała i wzywała pomocy.

A na pomoc Dale wjeżdżali teraz po schodach jeźdźcy Undiny na potworach z potężnym dziobem, o dwóch tylko łapach i z długim ogonem morskiej ryby...

A za nimi ludzie-czarnoksiężnicy, wierni nie Urace, lecz Flashowi Gordonowi, na wozie ze złota i z masy koralowej, ciągniętym przez zielone gryfy o długiej szyi, opatrzonej grzebieniem z łusek...

A jeszcze dalej - lansjerzy z Frii na śnieżnych ptakach o dziobach zakrzywionych jak pozłacane rogi obfitości, i wreszcie na białym wozie u boku Królowej Śniegów przybywał Flash Gordon, wołając do Minga, że zaraz się zacznie wielki turniej Mongo i że będzie musiał zapłacić za wszystkie swoje zbrodnie.

A na skinienie Minga spadali z nieba na Gordona ludzie-ja-strzębie, przesłaniając sobą chmury jak rój szarańczy, ludzie - lwy zaś, z siatkami i spiczastymi trójzębami, rozbiegali się po placu przed schodami, usiłując schwytać Vanniego i innych studentów, którzy nadjechali także rojem, ale na skuterach Vespa; wynik bitwy był niepewny.

A niepewny wyniku tej bitwy Ming skinął znowu: jego kosmiczne

rakiety wzbiły się wysoko w słońcu i leciały, by uderzyć w Ziemię, lecz na skinienie Gordona inne rakiety kosmiczne, wynalazek doktora Zarkova, wzniosły się w powietrze. Na niebie rozpoczęła się majestatyczna batalia wśród syku śmiercionośnych płomieni i języków ognia, gwiazdy wydawały się spadać na ziemię, rakiety wzbijały się w niebo i skręcały roztopione jak zwijająca się w ogniu książka. I nadszedł dzień Wielkiej Gry Kima. Owinięte w inne wielobarwne płomienie rozbijały się teraz o ziemię inne kosmiczne rakiety Minga, kładąc pokotem na placu ludzi-lwy. A ludzie-jastrzębie lecieli w otchłań, trawieni ogniem.

A Ming, pan na Mongo, wydawał ryk dzikiego zwierzęcia, jego tron się przewracał i toczył po schodach liceum, zbijając z nóg przerażonych dworzan.

A teraz, po śmierci tyrana i zniknięciu przybyłych zewsząd bestii, przepaść otwierała się pod nogami Uraki, którą pochłaniał siarkowy wir. Przed schodami liceum zaś i ponad nim rosło Miasto z kryształu i z drogich kamieni, napędzane promieniami we wszystkich kolorach tęczy; jego wysokość osiągnęła dwanaście tysięcy stadionów, a mury z jaspisu podobnego do czystego szkła mierzyły sto czterdzieści cztery łokcie.

A w tej chwili, po czasie płomieni i oparów zarazem, mgła przerzedziła się i zobaczyłem schody już bez potworów, białe w kwietniowym słońcu.

Powróciłem do rzeczywistości! Rozbrzmiewa siedem trąb, a są to trąby Orkiestry „Cytra” maestra Pippa Barzizy, Orkiestry Melodyjnej maestra Cinica Angeliniego i Orkiestry Symfonicznej „Rytm” maestra

Alberta Semprinio. Drzwi liceum są szeroko otwarte, stoi w nich molierowski doktor z opakowań tabletek od bólu głowy Cachet Fiat, stukając laską, aby zapowiedzieć defiladę Archontów.

I oto defilują, schodząc po obu stronach schodów, najpierw mężczyźni, ustawieni niczym oddział aniołów zstępujący ze wszystkich siedmiu niebios; mają na sobie marynarki w paski i białe spodnie, jak adoratorzy Diany Palmer.

A u podnóża schodów pojawia się teraz mag Mandrake, wywijający niedbale laską. Wchodzi na górę, pozdrawiając zgromadzonych uniesieniem cylindra, z każdym jego krokiem stopień się rozświetla, a on śpiewa: /'// build a Stairway to Pa-radise, with a new step ev'ry day, Vm going to get there at any price, stand aside, I'm on my way!

Mandrake wskazuje teraz laską do góry, aby zapowiedzieć zejście Dragon Lady w obcisłej sukni wieczorowej z czarnego jedwabiu. Gdy schodzi, na każdym stopniu studenci klękają i w geście uwielbienia wyciągają ręce ze słomianym kapeluszem, a ona śpiewa sentymentalnie głosem roznamiętnionego saksofonu: Ta noc bez końca, jesienne niebo, zwiędła róża - wszystko to moje serce odurza, gdy przepojona radością oczekiwania liczę minuty do naszego spotkania.

A za nią schodzą - wrócili wreszcie na naszą planetę - Flash Gordon,

Dale Arden i doktor Zarkov, intonując: Blue skies, smiling at me, nothing but blue skies do I see, bluebirds, singing a song, nothing but bluebirds, all day.

A za nimi George Formby z końskim uśmiechem, brzdąkający na swoim ukulele: It's in the air this funny feeling every-where, that makes me sing without a care today, as I go on my way, it's in the air, it's in the air... Zoom zoom zoom zoom high and low, zoom zoom zoom zoom here we go...

Schodzi siedmiu krasnoludków, recytując rytmicznie imiona siedmiu królów Rzymu minus jedno, potem Myszka Miki i Myszka Minnie pod ramię z Horacym Chomątem i Klarabel-lą, obładowaną diademami ze swojego skarbu, w rytmie Ale Pippo nie wie. Za nimi Pippo, czyli Goofy, Tyczka i Kulka, Kwoka i Kurczak, korsarz Alvaro z Alonzem Alonzem zwanym Alonzem, aresztowanym kiedyś za kradzież żyrafy. Następnie - pod ramię, jak dobrzy kumple - Dick Piorun, Zambo, Barreira, Biała Maska i Flattavion, rycząc: Partyzant w lesie... oraz wszyscy chłopcy z Serca De Amicisa: Derossi na czele, potem mały lombardzki posterunek i sardyński do-boszyk, ojciec Corettiego z ręką jeszcze ciepłą od uścisku króla; śpiewają: Zegnaj, piękne Lugano, odchodzą anarchiści wygnani bez winy, w ostatnim szeregu idzie skruszony Franti, szepcząc: Spij, już nie płacz, ukochany Jezusie.

Wybuchają sztuczne ognie, na rozjaśnionym niebie radosny deszcz złotych gwiazd, ze schodów rzucają się drwiąca kukła Ciepłoroda i piętnastu stryjów Gaetanów z głową najeżoną ołówkami Presbitero, wywijających kończynami w szaleńczym stepowaniu, l'm Yankee Doodle Dandy, wysypują się rojem dorośli i dzieci z Biblioteki Moich Chłopców:

Gigliola z Colleffio-rito, Plemię Dzikich Królików, Panienska z Sołmano, Gianna Preventi, Carletto z Kernoel, Urwisek, Edyta z Ferlac i wiele innych postaci, nad nimi w powietrzu duch Mary Poppins, mają wszyscy wojskowe czapeczki Chłopców z Placu Broni i okropnie długie nosy Pinokia. Stepowanie Kota i Lisa z żandarmami.

Potem - na znak dany przez Przewoźnika Dusz - zjawia się Sandokan. Ubrany w tunikę z indyjskiego jedwabiu, przepasaną szkarłatną szarfą ozdobioną drogimi kamieniami, przy turbanie ma diament wielkości orzecha laskowego. Zza pasa wystają kolby dwóch przepięknych pistoletów, u boku zakrzywiona szabla w nabijanej rubinami pochwie. Śpiewa barytonem: Mai lu, pod niebem Singapuru, w płaszczu ze złotych gwiazd, zrodziła się nasza miłość. Za nim jego tygryski z jataganami w zębach, spragnione krwi, śpiewają: Mompracem, przed naszą flotylla drzyj, angielski parze, zwycięską w Aleksandrii, na Malcie, w Sudzie, w Gibraltarze...

Oto Cyrano de Bergerac z obnażoną szpadą, który baryto-nowo-nosowym głosem i szerokim gestem ręki zapytuje tłum: „Czy znacie moją kuzynkę? To oryginalny typ, nowoczesna, bardzo ładna, nie ma sobie równej. Tańczy boogie-woogie, zna trochę angielski, umie bardzo miło szeptać for y ou”.

Za Cyranem - Joséphine Baker, tym razem naga jak kobiety kałmuckie z Ras i ludów Ziemi, tylko w spódniczce z bananów. Wzdycha miękko: Jakiż ból sprawia mi wyznanie, ze obraziłam Cię, Panie.

Ze schodów zstępuje Diana Palmer, śpiewając: Il n'y a pas, il n'y a

pas d'amour heureux, nie ma, nie ma szczęśliwej miłości, Yânez de Gomera treluje po iberyjsku: 0 Mario la 0, o Mario la 0, ciebie kochać chcę, twojemu urokowi nie mogę oprzeć się, pojawia się kat z Lilie wraz z milady Winter, szlochając, wykrztusza: „Twoje jasne włosy to złote nici, a usteczka pachną”, po czym ścina jej głowę jednym zamachem, ciach, i piękna głowa milady, naznaczona wypaloną na czole lilią, toczy się na sam dół schodów, prawie pod moje nogi, czterej muszkietero-wie zaś nucą falsetem: She gets too hungry for dinner at eight, she likes tbe theater and never cornes late, she never bothers with people she'd hâte, that's why Milady is a tramp! Schodzi Edmund Dantès, podśpiewując: Tym razem, mój przyjacielu, to ja płacę, to ja płacę, za nim ksiądz Faria, owinięty swoim całunem z workowego płótna, pokazuje go palcem, mówiąc: „To on, to z pewnością on”, a Jim Hawkins, doktor Livesey, lord Trelawney, kapitan Smollett i Długi John Silver (przebrany za Pete'a Kuternogę, w każdy schodek uderza raz stopą i trzy razy protezą) odmawiają mu prawa do skarbu kapitana Flinta, a Ben Gunn z uśmiechem Hawkesa Cyngła syczy przez psie zęby: Cheese! Ze stukotem teutońskich butów z cholewami schodzi kolega Richard, stepując w rytmie: New York, New York, it's a wonderful town! The Bronx is up and the Battery's down. Za nim Człowiek Śmiechu pod ramię z lady Jozjaną, nagą, jak tylko może być kobieta zbrojna; on robi co najmniej dziesięć kroków na każdym schodku, skandując: I got rhythm, I got musie, I got my girl, who could ask for anything more?

Wzdłuż schodów ciągnie się teraz - dzięki scenicznemu cudowi autorstwa doktora Zarkova - długa, połyskująca szyna, po której nadjeżdża La Filotea, dosięga szczytu i wchodzi do westybulu liceum, skąd wysypują

się jak z wesołego, ula i schodzą w dół: dziadek, mama, tatuś trzymający za rękę maleńką Ade, doktor Osimo, pan Piazza, ksiądz Cognasso, proboszcz z San Martino i Gragnola z szyją ujętą w rodzaj rusztowania, podtrzymującego nawet kark, jak u Ericha von Stroheima, i prawie prostującego plecy. Wszyscy modułują chóralnie:

Rodzinka rozśpiewana od wieczora do rana, nie przepuści żadnej piosenki tria Lescano. Jedno chce Boccacciniego, drugie znów Angeliniego, trzecie pyta: A dlaczego nie Alberta Rabagliatiego? Mama samą chce muzyczkę, ale dzieci wolą maestra Petralię, kiedy akord bierze solo.

Nad wszystkimi unosi się Meo z wielkimi uszami na wietrze, o majestatycznie oślim wyglądzie. Wpadają tłumnie chłopcy z Oratorium, ale w mundurach Patrolu Kości Słoniowej, popychając przed sobą giętką czarną panterę Fang i zawodząc egzotycznie: Idą karawany z Tigre.

Później, po kilku strzałach krak-krak do przechodzących nosorożców, wznoszą karabiny i zrywają z głów kapelusze, aby pozdrowić ją - królową Loanę.

Pojawia się w swoim niewinnym biustonoszu, w spódnicy prawie odsłaniającej pępek, z twarzą zakrytą białym welonem, z pióropuszem na głowie i w obszernym płaszczu, poruszonym lekkim wietrzykiem. Idzie, kołysząc się wdzięcznie w biodrach, między dwoma Murzynami ubranymi jak władcy inkascy.

Schodzi w moją stronę jak dziewczyna z Ziegfeld Follies, uśmiecha się, gestem dodaje mi otuchy, wskazując na wejście do szkoły, w którym

pokazuje się teraz święty Jan Bosco.

Za świętym kroczy ksiądz Renato w czarnym garniturze z białym kołnierzykiem, mistyczny i o liberalnych poglądach, intonując za jego plecami: *duae umbrae nobis unafacta sunt, infra laternam stabimus, olim Liii Marleen, olim Liii Marleen*, dwa cienie w jeden nam się złąły, pod latarnią będziemy stać jak niegdyś, *Liii Marleen*, jak niegdyś, *Liii Marleen*. Święty z uśmiechniętą twarzą i w poplamionej błotem sutannie próbuje niezręcznie stepować na schodach w swoich salezjańskich butach, trzymając w wyciągniętej przed siebie dłoni, jakby był to cylinder *Mandrake'a*, egzemplarz *Młodzieńca* zaopatrzonego. Mnie wydaje się, że mówi: *omnia munda mundis*, dla czystych wszystko jest czyste, panna młoda jest gotowa, dano jej wspaniałą bisiorową szatę, bić będzie od niej jasność jak od drogocennego klejnotu, przyszedłem tu, aby ci powiedzieć, co się wkrótce stanie...

Mam więc przyzwolenie... Obaj duchowni stają po przeciwnych stronach ostatniego stopnia schodów, zwracając się z pobłażliwym skinieniem ku drzwiom szkoły, skąd wychodzą właśnie dziewczęta z klas żeńskich. Niosą wielką przezroczystą zasłonę, w którą owijają się, ustawione w kształcie *rosa candida*, niepokalanej róży. Widać je pod światło - są nagie, podnoszą w górę ręce, ukazując z profilu dziewicze piersi. Wybiła godzina. Na zakończenie tej radosnej apokalipsy pojawi się Lila.

Jak będzie wyglądać? Drżąc cały, zaczynam ją sobie wyobrażać.

Pojawi się szesnastoletnie dziewczę, piękne jak róża rozchylająca w

całej swej świeżości płatki na powitanie pierwszych promieni ślicznego, skropionego rosą poranka. Powłóczyta, błękitna szata dziewczęcia, przybrana od pasa do kolan srebrną siatką, przypominać będzie odcieniem kolor jej źrenic, lecz nie dorówna w żadnej mierze ich niebiańskiej, łagodnej i słodkiej jasności; zalana będzie falami włosów jasnych, miękkich i lśniących, ujętych w kwietny wieniec. Nie, będzie to istota osiemnastoletnia przezroczystej niemal białości, ożywionej różowawym odcieniem, przechodzącym wokół oczu w blady blask akwamaryny, na czole i skroniach zaś pozwalającym dostrzec cieniutkie niebieskawe żyłki; jej długie, delikatne włosy spływać będą wzdłuż twarzy, jej jasnyniebieskie oczy wydadzą się zawieszzone w czymś wilgotnym i połyskliwym, jej uśmiech będzie uśmiechem dziecka, lecz gdy spoważnieje, cienka, drżąca zmarszczka pojawi się po obu stronach jej warg. Nie, będzie to panna siedemnastoletnia, szczupła i elegancka, o talii tak wąskiej, że dałaby się objąć dłonią, o skórze miękkości rozkwitłego dopiero co kwiatu, o włosach, które w malowniczym nieładzie spływają złotym deszczem na pierś okrytą białym gorsetem, o twarzy doskonale owalnej, ze śmiałym czołem, cerą matowej bieli i aksamitnej świeżości płatka kamelii oświetlonego pierwszym promieniem słońca, źrenicami czarnymi i błyszczącymi tak, że w kącikach ocienionych długimi rzęsami powiek dostrzeże się zaledwie niebieskawą przejrzystość białka.

Nie. Nosi tunikę rozciętą na boku, ramiona ma obnażone, pod szalami odgaduje się tajemnicze cienie; powoli rozwiąże coś pod włosami i długie jedwabne zwoje, owijające ją jak całun, nagle opadną na ziemię, mój wzrok przebiegnie po jej ciele, okrytym tylko obcisłą białą suknią, spiętą w pasie złotym dwugłowym węzem. Ręce trzymać będzie

skrzyżowane na piersi, a ja oszaleję na widok jej androginicznych kształtów, jej ciała białego jak rdzeń czarnego bzu, jej ust o drapieżnych wargach, jej błękitnej, zawiązanej tuż pod brodą wstążki; to anioł z mszału, w stroju szalonej dziewicy - dzieło perwersyjnego miniatora, na jej płaskiej piersi małe, kształtne wzniesienia rysują się ostro i wyraźnie, kibić rozszerza się nieco w biodrach i gubi wzdłuż nóg zbyt długich, jak u Ewy Lucasa van Leyden, oczy ma zielone o dwuznacznym spojrzeniu, usta duże, uśmiech niepokojący, włosy barwy starego złota, cała jej głowa zadaje kłam niewinności ciała, płonąca chimera, najdoskonalszy wytwór sztuki i rozkoszy, potwór olśniewający urokiem ukaze się w całym swoim tajemnym splendorze, z rombów z lazurytu wytrysną arabeski, z wykładzin z masy perłowej spłyną tęczowe światła i pryzmatyczne ognie, stanie się jak lady Jozjana, w tanecznym wirze rozchyla się szale, opadną brokaty, ubrana będzie tylko w klejnoty, w połyskliwe minerały, w talii ściśnięta szerokim pasem, cudowny diament niczym przepyszna spinka porazi swoim blaskiem pomiędzy jej piersi, w biodrach spowije ją skrywająca górną część ud szarfa z ogromnym wisiolem, lśniąca rzeką karbunkułów i szmaragdów, na jej nagim ciele wygnie się łukiem brzuch, naznaczony pępkiem jak onyksową pieczęcią w mlecznej tonacji, pod promiennym światłem, otaczającym głowę, zapłoną wszystkimi szlifami jej klejnoty, kamienie ożyją, rysując na ciele płomieniste wzory, kłuc ją będą w szyję, w ramiona, w nogi ostrzami ognia, szkarłatnymi jak rozżarzone węgle, fioletowymi jak strumienie gazu, błękitnymi jak spirytusowe płomyki, białymi jak gwiazdne promienie. Pojawi się, prosząc, bym ją wychłostał, i trzymając w ręku dyscyplinę matki przełożonej, siedem jedwabnych sznurków na siedem grzechów głównych,

siedem węzłów na każdym sznurku na siedem sposobów popadania w grzech śmiertelny; różami będą krople krwi wykwitające na jej ciele, będzie smukła jak gromnica, z okiem przebitym szpadą miłości, ja zaś w milczeniu zechcę złożyć na stos moje serce, zechcę, aby bledsza od zimowego świtu, bielsza od śniegu, z rękami skrzyżowanymi na gładkiej piersi, stanęła wyprostowana w swej sukni, czerwonej od krwi serc, które dla niej na śmierć się wykrwawiły

Ależ nie, nie, jakiej to kiepskiej literaturze daję się uwodzić, nie jestem już pryszczatym niedorostkiem. Chciałbym ją po prostu taką, jaką była i jaką wtedy ją pokochałem - tylko twarz nad żółtą kurtką. Chciałbym najpiękniejszej z tych, które zdołałem sobie kiedykolwiek wyobrazić, ale nie tę najpiękniejszą, dla której tracili głowę inni. Wystarczyłaby mi nawet wątła i chora, jaką prawdopodobnie była w swoich ostatnich dniach w Brazylii; powiedziałbym jej jeszcze: jesteś najpiękniejsza w świecie, nie odstąpiłbym twoich podkrążonych oczu i twojej bladości za piękno aniołów na niebie. Chciałbym ją zobaczyć wyłaniającą się z tłumu, samotną i nieruchomą, gdy patrzy w stronę morza, istota zaklęta w dziwnego morskiego ptaka z długimi obnażonymi nogami, smukłymi i delikatnymi jak nogi czapli; nie niepokojąc jej moimi pragnieniami, zostawiłbym ją tak w oddali, jak niedosięglą księżniczkę...

Nie wiem, czy to tajemniczy płomień królowej Loany płonie w moich wyschłych płatach mózgowych, czy jakiś eliksir próbuje oczyścić pożółkłe karty mojej papierowej pamięci, zbrukane jeszcze wieloma plamami, przesłaniającymi tę część tekstu, z którą nie zdołałem się dotąd zapoznać, czy też to ja sam usiłuję wyteńczyć moje nerwy poza granice wytrzymałości. Gdybym w tym stanie mógł drzeć, zadrżałbym; we

wnętrzu czuję wstrząsy, jakbym na zewnątrz unosił się na wzburzonym morzu. Jest to jednak równocześnie jakby zapowiedź orgazmu, ciała jamiste w moim mózgu wypełniają się krwią, coś zaraz wybuchnie - albo rozkwitnie.

Teraz, jak tego dnia w bramie, zobaczę wreszcie Lilę, która nadejdzie znowu, wstydliva i filuterna, w czarnym szkolnym fartuszku, piękna jak słońce, bielsza od księżyca, smukła i nieświadoma, że jest środkiem, pępkiem świata. Zobaczę jej wdzięczną twarzyczkę, jej zgrabny nos, usta, w których ukażą się na chwilę dwa ledwo dostrzegalne górne zęby. Ona - an-gorski królik, kotek Matù, miauczący cichutko pod miękkim futerkiem, gołabeczka, gronostaj, wiewiórka. Nadejdzie jak pierwszy szron, ujrzy mnie, wyciągnie lekko rękę nie po to, by mnie przywołać, lecz po to, bym znowu nie uciekł.

Dowiem się wreszcie, jak odgrywać bez końca ostatnią scenę mojego Cyrana, dowiem się, czego szukałem przez całe życie, od Paoli do Sybilli, i pojednam się ze sobą. Zaznam spokoju.

Uwaga! Czy nie będę musiał raz jeszcze jej spytać: „Mieszka tu Vanzetti?” Nie wolno mi teraz ominąć Sposobności.

Lekka mgła, fumifugium mysiego koloru, rozpościera się jednak u szczytu schodów, przesłaniając wejście. Czuję zimny powiew, podnoszę wzrok. Czemu słońce staje się czarne?

ŹRÓDŁA CYTATÓW I ILUSTRACJI

s. 29 rysunek autora

s. 67 Dante Alighieri, *Boska Komedia*, *Piekło*, XXXI, w przekł. Edwarda Porębowicza

s. 68 Giovanni Pascoli, *L'assiuolo*, w: *Myricae*, Giusti, Livorno 1891, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Tenze, *Il bacio del morto*, tamże, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

s. 69 Tenze, *Von misteriose*, w: *Poesie varie*, Zanichelli, Bologna 1928, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego Vittorio Sereni, *Nebbia*, z cyklu *Frontiera* 1941, w. *Poesie*, Mondadori, Mi-lano 1995, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

s. 75 Testoni-Sciorilli, piosenka *In cena di te (Metron)*, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

s. 78 i 79 Okładka włoskiego wydania i dwa rysunki z // *tesoro di Clarabella*, Mondadori, Milano 1936, © Walt Disney

s. 99 Giovanni Pascoli, *Nella nebbia*, w: *Primipoemetti*, Zanichelli, Bologna 1905 s. 100 *La escala de la vida*, katalońska rycina z XIX w., ze zbiorów autora

s. 102 Ryciny z cyklu *Zur Geschichte der Kostüme*, Braun & Schneider, München 61, ze zbiorów autora s. 105 Riva, *La Filotea*, Istituto Italiano d'Arti Grafiche, Bergamo 1886, ze zbiorów autora

s. 107 *Imagerie d'Epinal*, Pellerin, ze zbiorów autora s. 109 Włoski plakat do filmu Anthony'ego Kimminsa *It's in the Air*, 1938, Ca-risch, Milano 1940, ze zbiorów autora

s. 112 Renée Vivien, *A la femme aimée*, w: *Poèmes I*, Lemerre, Paris

1923, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

s. 113 Alex Pozeruriski, *Après la danse*, ilustracja z czasopisma „*La Gazette du Bon Ton*”, ok. 1915, w: Patricia Frantz Kery, *Grafica Art Déco*, Fabbri, Milano 1986
Janine Aghion, *The Essence of the Mode in the Day*, 1920, tamże

Anonim, *Candee*, plakat reklamowy 1920, tamże

Julius Engelhard, *Mode Bail*, plakat, 1928, tamże

s. 114 Gorge Barbier, *Shéhérazade*, ilustracja z czasopisma „*Modes et Manières d’Aujourd’hui*”, 1914, tamże

Charles Martin, *De la pomme aux lèvres*, ilustracja z czasopisma „*La Gazette du Bon Ton*”, ok. 1915, tamże

Gorge Barbier, *Incantation*, ilustracja do książki *Falbalas et fanfreluches*, 23, tamże

Georges Lepade, okładka czasopisma „*Vogue*” z 15 marca 1927, tamże

s. 116 Rycina z *Nuovissimo Melzi*, Vallardi, Milano 1905, ze zbiorów autora

s. 121 Ilustracja do powieści Juliusza Verne’a *Vingt mille limes sous les mers*, Hetzel, Paris 186

Okładka włoskiego wydania powieści Aleksandra Dumasa // *conte di Monte-Cristo*, Sonzogno, Milano 1927, © RCS, ze zbiorów autora s. 122

Ilustracja H. Clérice’a do powieści L. Jacolliota *Les ravageurs de la mer*, Librairie Illustrée, Paris, br. r.w, ze zbiorów autora

s. 127 Pudełko po kakao Talmone, ze zbiorów autora s. 128 Pudełko po proszku musującym Brioschiego, ze zbiorów autora

s. 130 Pudełka po papierosach, w: M. Thibodeau, J. Martim, *Smoke*

Gets in Your Eyes, Abbeville Press, New York 2002

s. 132 Kalendarzyki fryzjerskie, w: Ermanno Detti, *Le carte povere*, La Nova Italia, Firenze 1989

s. 133 Sprazzi e bagliori, kalendarzyk fryzjerski z 1929, ze zbiorów autora s. 136 Okładki książek: zeszyt z cyklu Nick Carter, Casa Editrice Americana, Milano 1908 Edmondo De Amicis, *Cuore*, Trêves, Milano 1878

Augusto de Angelis, *Curti Bo e la piccola tigre bionda*, projekt: Domenico Natoli, Sonzogno, Milano 1943, © RCS

Alessandro Manzoni, *Ipromessi sposi*, projekt: Tancredi Scarpelli, Nerbini, Firenze, br. r.w.

New Nick Carter Weekly, Casa Editrice Americana, br. r.w. Maurice Leblanc, *L'aiguille creuse*, projekt: Léo Fontan, Lafitte, Paris 1909 Carolina Invernizio, *Il treno della morte*, Torino 1905, ze zbiorów autora Edgar Wallace, *Il consiglio dei quattro*, Mondadori, Milano 1933, ze zbiorów autora

Marc Mario, Louis Launay, *Vidocq*, La Milano, Milano 1911

s. 137 Okładki książek:

Victor Hugo, / *miserabili*, projekt: Filiberto Mateldi, Utet, La Scala d'Oro, Torino 1945, ze zbiorów autora

Emilio Salgari, / *corsari delle Bermude*, projekt: G. Amato, Sonzogno, Milano 1938, © RCS, ze zbiorów autora

G. Robida, *Viaggi straordinari di Saturnino Farandola*, Sonzogno, Milano, br. r.w., © RCS

Giulio Verne, *I figli del capitano Grant*, projekt: Domenico Natoli, Sacse, Milano 1936, ze zbiorów autora

E. Sue, / misteri del popolo, projekt: Tancredi Scarpelli, Nerbini, Firenze 1909, ze zbiorów autora

S.S. van Dine, La strana morte del signor Benson, Mondadori, Milano 1929 Ettore Malot, Senza famiglia, Sonzogno, Milano, br. r.w, © RCS A. Morton, Il barone alle strette, projekt: Tabet, Il Romanzo Mensile, Milano 1938, © RCS, ze zbiorów autora

Gaston Leroux, // delitto di Roulettabille, projekt: Domenico Natoli, Sonzogno, Milano 1930, © RCS, ze zbiorów autora

s. 139 Okładka powieści Souvestre'a i Allaina Fantomas, Salani, Firenze 1912 s. 140 Okładka powieści Ponson du Terrail Rocambole, Rouff, Paris, br. r.w.

Ilustracja Tabet do powieści A. Mortona Il sosia del barone, Il Romanzo Mensile, 1939, © RCS, ze zbiorów autora

s. 141 Ilustracja Attilia Mussina do powieści Caria Collodiego Pinocchio, Bem-porad, Firenze 1911, ze zbiorów autora s. 142 Okładka książki Yambo Le avventure di Ciuffettino, Vallecchi, Firenze 1922 (ze zbiorów autora)

s. 144 Okładki „Giornale Illustrato dei Viaggi e delle Avventure di Terra e di Mare”, Sonzogno, Milano 1917-1920, © RCS, ze zbiorów autora

s. 146 Okładki książek z serii Biblioteca dei Miei Ragazzi, Salani, Firenze, ze zbiorów autora s. 149 Ilustracja do powieści Otto giorni in una soffitta, Salani, Firenze, ze zbiorów autora s. 150 Okładka zeszytu Buffalo Bili, U medaglione di brillanti, projekt: Tancredi Scarpelli, Nerbini, Firenze, br. r.w., ze zbiorów autora s. 151 Okładka powieści Piny Ballario Ragazzi d'Italia nel mondo, La Prora, Milano 1938, ze zbiorów autora s.

152 Ilustracja N.C. Wyeth'a do powieści Roberta Louisa Stevensona
Treasure hland, Scribner's Sons, London 1911

s. 155 Okładki powieści Emilia Salgariego:

Sandokan alla riscossa, projekt: G. Amato, Bemporad, Firenze 1907

/ misteri della jungla nera, projekt: Alberto Della Valle, Donath,
Genova 03

Le tigri di Mompracem, projekt: tenże, Donath, Genova 1906

U corsaro nero, projekt: tenże, Donath, Genova 1908

s. 157 Ilustracja Frederica Dorra Steele'a z „Collier's”, nr 26 z 26
września 1903

s. 158 Ilustracje Sidneya Pageta ze „Strand Magazine”, 1901-1905

s. 159 Arthur Conan Doyle, Studium w szkarłacie, w przekł.
Tadeusza Everta Tenże, Znak czterech, w przekł. Krystyny Jurasz-
Dąbskiej s. 160 Emilio Salgari, Tygrysy z Mompracem, w przekł.
Małgorzaty Lewickiej s. 163 Ilustracja Bruna Angoletty z „Corriere dei
Piccoli” z 27 grudnia 1936, © RCS, ze zbiorów autora s. 169 Ilustracja
Vamby do powieści Il giornalino di Giamburrasca, Bemporad-Marzocco,
Firenze 1920, ze zbiorów autora

Okładka powieści Ponsona du Terrail La morte del selvaggio, Bietti,
Milano, br. r.w., ze zbiorów autora s. 172 Prato-Morbelli, piosenka
Quando la radio (Nuova Fonit-Cetra), w przekł. Jarosława
Mikołajewskiego s. 175 Okładka płyty z piosenką Fiorin Fiorello (Gruppo
EMI), Odeon 1939

s. 176 Innocenzi-Soprani, piosenka Mille lire al mesę (Marletta), w
przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 178 Plakat propagandowy Fasci di
Combattimento

Blanc-Gotta, pieśń Giovinezza, wersja druga, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Grever-Lawrence-Morbelli, piosenka Tulipan (Curci), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 179 Plakat reklamowy Fiata z lat trzydziestych

Blanc-Bravetta, pieśń Fischia ii sasso (Blanc), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Consiglio-Panzeri, piosenka Maramao perché sei mirto?, (Melodi/Sugar, 1939), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 182 Okładki partytur piosenek, ze zbiorów autora: Tango del ritorno, Edizioni Joly, Milano Finestra chiusa, Edizioni Curci, Milano La mia canzone al vento, Edizioni s.a.m. Bixio, Milano Maria la 0, Edizioni Leonardi, Milano s. 187 Ilustracje Enrica Pinochiego do podręcznika Marii Zanetti Libro della prima classe elementare, Libreria dello Stato, Roma, rok XVI ery faszystowskiej, ze zbiorów autora

Astore-Morbelli, piosenka Baciampiccina (Fono Enic), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 188 Ilustracja A. Della Torre do podręcznika Piera Bargelliniego U libro della IV classe elementare, Libreria dello Stato, Roma, rok XVIII ery faszystowskiej, ze zbiorów autora s. 190 Blanc, pieśń Inno dei giovani fascisti, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego Kramer-Panzeri-Rastelli, Pippo non lo sa (Melodi), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 192 Ilustracja do podręcznika Piera Bargelliniego // libro della IV classe elementare, Libreria dello Stato, Roma, rok XVIII ery faszystowskiej, ze zbiorów autora s. 194 Pocztówki propagandowe Giną Boccasilego, ok. 1943-1944

s. 195 Okładka czasopisma „Tempo” z 12 czerwca 1950, Anonima

Periodici Italiani, Milano s. 196 Okładka partytury piosenki Lapiccinina, Edizioni Melodi, 1939, ze zbiorów autora

Di Lazaro-Panzeri, piosenka La pccinina (Melodi), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Plakat reklamowy Fiata, projekt: Marcello Dudovich, 1934 D'Anzi-Bracchi, piosenka Ma le gambe (Curci), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 198 Pocztaówka propagandowa Enrica De Sety, Edizioni d'Arte Boeri, Milano 1936

s. 200 Pieśń Vincere, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 201 Due popoli, una vittoria, pocztówka propagandowa Giną Boccasilego

Schultze-Leip-Rastelli, piosenka Liii Marleen (Suvini-Zerboni), wersja włoska, w przekł. Mirosława Grabowskiego s. 202 Manlio-Filippini, piosenka Caropapà (Accordo), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 204 Tacete!, plakat propagandowy Giną Boccasilego, 1943

Blanc-Brovetto, pieśń Adesso viene il bello, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Ritorneremo!, pocztówka propagandowa Giną Boccasilego, 1943 Ruccione-De Torres-Simeoni, pieśń La sagra di Giarabub (Ruccione), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 205 Pieśń Battaglioni del Duce, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 206 Ilustracja Achille Beltramego z okładki czasopisma „La Domenica del Corriere”, © RCS, ze zbiorów autora

Ruccione-Zorro, pieśń La canzone dei sommergibili (Ruccione), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Okładka partytury piosenki Signorine non gnardate i marinai,

Edizioni Mascheroni, Milano

Marf-Mascheroni, piosenka Signorim non guardate i marinai (Mascheroni), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 208 Alberto Rabagliati

Bracchi-D'Anzi, piosenka Bambina innamorata (Curci), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego Pippo Barzizza

Mascheroni-Mendes, piosenka Fiorin Fiorello (Mascheroni), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 211 Edmund De Amicis, Serce, w przekł. Marii Konopnickiej s. 218 „Bertoldo” z 27 sierpnia 1937

s. 232 Ilustracje Bruna Angoletty z okładki czasopisma „Corriere dei Piccoli” z 15 października 1939, © RCS, ze zbiorów autora s. 233 Ilustracja Pata Sullivana z „Corriere dei Piccoli” z 29 listopada 1936, © RCS, ze zbiorów autora s. 234 Okładka do komiksu Alvaro il Corsaro, projekt: Benito Jacovitti, Edizio-ni Ave, 1942, ze zbiorów autora

Okładka do komiksu // Carro di Trespoli, projekt: Sebastiano Craveri, Edizioni Ave, 1938, ze zbiorów autora s. 236 Ilustracja do opowiadania Caesara Verso A.O.I., „Il Vittorioso” z 7 czerwca 1941, ze zbiorów autora s. 238 Okładka „L'Aventuroso”, nr 1 z 1934, Nerbini, Firenze, z ilustracjami z komiksu Alexa Raymonda Flash Gordon, © King Features Syndicate, Inc., ze zbiorów autora s. 241 Ilustracje z komiksów:

Benito Jacovitti, Pippo e il dittatore, Intervalle 1945, ze zbiorów autora Lyman Young, Lapattuglia dell'avorio, Nerbini, Firenze 1935, © King Features Syndicate, Inc., 1934 komiks niezidentyfikowany

Elsie C. Segar, Popeye, © King Features Syndicate, Inc. Lyman Young, Lo spirito di Tamko, „Il Giornale di Cino e Franco” z 22 marca 1936, Nerbini, Firenze, © King Features Syndicate, Inc., ze zbiorów autora

Benito Jacovitti, Pippo e U dittatore, op. cit.

Lyman Young, Ilcoadrillo sacro, „Il Giornale di Cino e Franco” z 19 września 1937, Nerbini, Firenze, © King Features Syndicate, Inc., ze zbiorów autora

Walt Disney, Topolino nelpaese dei califfi, Mondadori, Milano 1934, © Walt Disney Productions 1970

Walt Disney, Topolino nella Valle Infernale, Mondadori, Milano 1930, © Walt Disney Productions 1970 Elzie C. Segar, Popeye, op.cit.

s. 242 Ilustracja z komiksu Lee Falka i Roya Moore’a // Piccolo Toma, Nerbini, Firenze 1938, © King Features Syndicate, Inc.

s. 244 Okładka komiksu Giove Toppiego Ilmago 900, Nerbini, Firenze, br. r.w. Okładka komiksu Walta Disneya Topolino giomalista, Mondadori, Milano 1936

s. 245 Ilustracja z komiksu Chestera Goulda Dick Trący, © Chicago Tribune-New York News Syndicate Ins.

s. 247 Okładka Carla Cossia do komiksu La caméra dei terrore, Albogiornale Ju-ventus, Milano 1939, ze zbiorów autora

Okładka Vittoria Cossia do L’infâme tranello, Albogiornale Juventus, Mi-lano 1939, ze zbiorów autora s. 248 Milton Caniff, Terry and the Pirates, © Chicago Tribune-New York News

Syndicate Ins., z okładki The Golden Age ofthe Comics 4, Nostalgia Press, New York 1970 s. 250 Ilustracje z komiksów:

De Vita, L’Ultimo ras, „Corriere dei Piccoli” z 20 grudnia 1936, © RCS,

ze zbiorów autora

Lee Falk, Ray Moore, Nel regno dei Sing, Nerbini, Firenze 1937, ©

King

Features Syndicate, Inc., ze zbiorów autora

Alex Raymond, Flash Gordon, 1938, © King Features Syndicate, Inc., ze zbiorów autora

Tenze, Agente segreto X9, „L’Aventuroso” z 14 października 1934, © King

Features Syndicate, Inc., ze zbiorów autora s. 252 Okładka czasopisma „Novella” z 8 stycznia 1939, Rizzoli, Milano, fot.

Braschi, © RCS, ze zbiorów autora s. 254 Okładka do włoskiego wydania komiksu Lymana Younga La Misterwsa

Fiamma delia Regina Loana, Nerbini, Firenze 1935, © King Features Syndicate, Inc., 1934

s. 258 Rzadkie znaczki pocztowe, z kolekcji prywatnej s. 266 Eisa Merlini w filmie Camilla Mastrocinque Ultimo balio, 1941 s. 270 „Corriere delia Sera” z 27 lipca 1943, © RCS s. 276 Luttazzi, piosenka // giovanotto matto (Casioli), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego

Bovio-Valente, piosenka Signorinella (Santa Lucia), w przekł. Jarosława

Mikołajewskiego s. 278 Zdjęcie ze zbiorów prywatnych s. 280 Ilustracja do powieści Domenica Pilli Piccoli martiri, br. m. i r.w., ze zbiorów autora s. 296 Cesare Pavese, Sono solo... 1927, w: Le poésie, Einaudi, Torino 1998,

w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 297 Augusto De Angelis, L’albergo delie Tre Rose, 1936, wznów. Sellerio, Pa-lermo 2002

s. 299 Frontyispis foliału dzieł zebranych Szekspira, London 1623 s. 305 Collage autora z reklam poduszek antyreumatycznych Thermogène

(Leonetto Cappiello, 1909), nalewki Fernet Branca, 1908, i ołówków Presbitero, 1924 s. 306 Ilustracje Attilia Mussina do powieści Giovanniego Bertinettiego *Le orecchie di Meo*, Lattes, Torino 1908, ze zbiorów autora s. 307 Ilustracje Angela Bioletta do książki Nizzy i Morbellego / *quattro moscibet-tieri*, Perugina-Buitoni, 1935, ze zbiorów autora s. 312 Ilustracja do powieści Aleksandra Dumasa // *conte di Monte-Cristo*, Son-zogno, Milano 1927, © RCS, ze zbiorów autora s. 317 Reklama brykietów Mineraria, rysunek Dinellego, ok. 1934, Soc. Mineraria del Valdarno e Carbonital s. 326 Collage autora z okładek czasopisma „Novella”, 1939, Rizzoli, Milano,

© RCS, ze zbiorów autora s. 328 Reklama tabletek od bólu głowy Cachet Fiat, rysunek Cussina, 1926 s. 331 Reklama kapeluszy Borsalino, Marcello Dudovich, ok. 1930

Zdjęcia i niemieckich obozów koncentracyjnych, 1945

s. 334 Plakat propagandowy faszystowskiej Włoskiej Republiki Socjalnej, 1944

s. 336 Gazety „LItalia Libera” z 30 października 1943 i „Avanti!” z 3 kwietnia 1944, ze zbiorów autora s. 339 Znaczki pocztowe wysp Fidżi, z kolekcji prywatnej s. 342 Olivieri-Rastelli, piosenka Tornerai (Leonardi), w przekł. Jarosława Mi-kołajewskiego s. 348 Fotomontaż na dziesięciolecie rewolucji faszystowskiej, Istituto Luce, Roma 1932

s. 363 Ogłoszenie dowództwa niemieckich wojsk okupacyjnych we Włoszech, czerwiec 1944

s. 368 Collage autora z plakatów propagandowych Włoskiej Republiki Socjalnej, fotosów filmowych i reklam z lat czterdziestych s. 379 Plakat do filmu Michaela Curtiza *Yankee Doodle Dandy*, 1942

(Warner Bros.)

s. 380 Fotos z filmu Michaela Curtiza Casablanca, 1942 (Warner Bros.)

s. 381 „Corriere Lombardo” z 8 sierpnia 1945, ze zbiorów autora

Plakat do filmu Victora Schertzingera Road to Zanzibar, 1941

s. 387 Joséphine Baker

Giovanni Bosco, Il giovane povero, Opere édite, VII, Libreria Ateneo Salesiano, Roma s. 388 Bella Tu sei quai sole, ludowa pieśń religijna, w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 390 Ćwiczenie dobrej śmierci, w: Wspólnota Salezjańska na modlitwie, pod red. ks. Stefana Prusia, Wydawnictwo Salezjańskie, Łódź 1985

s. 392 Lorenzo Perosi, Dormi, non piangere, pieśń religijna, w przekł. Jarosława Mikotajewskiego s. 393 Fotos z filmu Maria Mattiolo / due orfanelli, 1947 (Excelsa)

s. 395 Ilustracja do powieści Wiktora Hugo L'Uomo che Ride, Sonzogno, Milano, br. r.w., © RCS, ze zbiorów autora s. 396 Rita Hayworth i Tyrone Power w filmie Roberta Mamouliana Blood and Sand, 1941 (20th Century Fox)

s. 397 Fotos z filmu Leo McCareya Going My Way, 1944 (Paramount)

s. 399 Gustave Moreau, L'apparition, 1876, Luwr, Paryż s. 400 Jules Barbey d'Aurevilly, Lea, w przekł. Kazimierza Bukowskiego s. 404 Guido Gozzano, Lapiù bella!, w: Tutte le poesie, Mondadori, Milano 1980, w przekł. Mirosława Grabowskiego s. 412 Collage autora: Alex Raymond, Rip Kirby, © King Features Syndicate, Inc.; model Schubert z lat pięćdziesiątych, Centro Studi e Archivio della Comunicazione, Parma;

reklama skuterów Vespa, w: M. Boldrini, O. Calabrese, H libro della comunicazione, Piaggio Veicoli Europei S.p.A., 1995

s. 421, 422, 423, 425, 426, 428 i 430 Collage autora z ilustracji z komiksu Alexa Raymonda Flash Gordon, © King Features Syndicate, Inc.

s. 432 Collage autora z ilustracji z komiksu Lee Falka i Phila Davisa Mandrake, © King Features Syndicate, Inc.

s. 435 Collage autora z ilustracji z komiksu Milтона Caniffa Terty and the Pirates, © King Features Syndicate, Inc.

s. 436 Collage autora z ilustracji z komiksu Alexa Raymonda Flash Gordon, © King Features Syndicate, Inc.

s. 438 Collage autora z różnych ilustrowanych publikacji włoskich s. 440 Bixio-Cherubini, piosenka La famiglia canterina (Bixio), w przekł. Jarosława Mikołajewskiego s. 441 Collage autora z ilustracji z komiksu Lymana Younga La Misteriosa Fiam-ma della Regina Loana, Nerbini, Firenze 1935, © King Features Syndicate, Inc., 1934

s. 443 Collage autora z anonimowych obrazków religijnych

Ponadto wykorzystano fragmenty między innymi następujących dzieł:

Edwin Abbott, Flatlandia, czyli Kraina Plaszczyków, w przekł. zbiór, pod red.

Jacka Lecha św. Augustyn, O wierze prawdziwej, w przekł. Jerzego Ptaszyńskiego Honoriusz Balzak, Ojciec Goriot, w przekł. Tadeusza Zelenkiego-Boya Charles Baudelaire, Oddźwięki, w przekł. Antoniego Lange tenże, Wzlot, w przekł. Wisławy Szymborskiej tenże, Zorza poranna, w przekł. Adama Ważyka Pierre Benoit, Atlantyda, w przekł. Kazimierza Bukowskiego Antoni Czechów, Trzy siostry, w przekł. Natalii

Gałczyńskiej Gabriele D'Annunzio, Notturmo, w przekł. Henryka Monata tenże, Triumf śmierci, w przekł. Stanisława Kasprzysiaka Charles Dickens, Samotnia, w przekł. Jana Tadeusza Dehnela Aleksander Dumas, Hrabia Monte Christo, w przekł. Juliana Rogozińskiego Umberto Eco, Wahadło Foucaulta, w przekł. Adama Szymanowskiego T.S. Eliot, Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka, w przekł. Michała Sprusińskiego tenże, Ziemia jałowa, w przekł. Czesława Miłosza Gustaw Flaubert, Pani Bovary, w przekł. Anieli Micińskiej Federico Garcia Lorca, Lament na śmierć Ignacia Sdnchez Mejias. Cios i śmierć, w przekł. Ireny Kuran Boguckiej

Wilhelm i Jakub Grimm, O rybaka i jego żonie, w przekł. Marcelego Tarnowskiego

Heinrich Heine, Noiva wiosna, 27, w przekł. Adama Mieszko-Maliszkiewicza Wiktor Hugo, Człowiek Śmiechu, w przekł. Hanny Szumańskiej-Grossowej Boris Karl Huysmans, Na wspak, w przekł. Juliana Rogozińskiego Joyce James, Ulisses, w przekł. Macieja Słomczyńskiego Franz Kafka, Proces, w przekł. Brunona Schulza tenże, Przemiana, w przekł. Juliusza Kydryńskiego Stanisław Jerzy Lec, Myśli nieuczesane

Giacomo Leopardi, Cisza po burzy, w przekł. Julii Dickstein-Wieleżyńskiej tenże, Samotny wróbel, w przekł. tejże Jack London, Martin Eden, w przekł. Zygmunta Glinki Aleksander Łuria, Siviati utracony i odzyskany, w przekł. Artura Kowaliszyna Herman Melville, Moby Dick, czyli Biały wieloryb, w przekł. Bronisława Zielińskiego Eugenio Montale, Często ból życia... w: Szkielet mątwy, w przekł. Zygmunta Ku-biaka tenże, Nie proś nas... tamże, w przekł. Artura

Międzyrzeckiego Gérard de Nerval, Syhvia, w przekł. Leona Choromańskiego

Giovanni Papini, Skończony człowiek, w przekł. Edwarda Boyé

Francesco Petrarca, II canzoniere, 126, w przekł. Felicjana Faleńskiego

Luigi Pirandello, Głupiec, w przekł. Zofii Jachimeckiej

Edgar Allan Poe, Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket, w przekł. Mariana

Stemara

Marcel Proust, Czas odnaleziony, w przekł. Juliana Rogozińskiego
tenże, W stronę Swanna, w przekł. Tadeusza Zeleńskiego-Boya
Arthur Rimbaud, Majaczenia. Alchemia słowa, w przekł. Artura Międzyrzeckiego
tenże, Samogłoski, w przekł. Adama Ważyka

Edmond Rostand, Cyrano de Bergerac, w przekł. Jana Kasprowicza
Carl Sandburg, Mgła, w przekł. Michała Sprusińskiego
Jean Paul Sartre, Przy drzwiach zamkniętych, w przekł. Jana Kotta
William Shakespeare, Król Lear, w przekł. Andrzeja Tretiaka
tenże, Romeo i Julia, w przekł. Józefa Paszkowskiego
Robert Louis Stevenson, Wyspa skarbów, w przekł. Józefa Birkenmajera
Paul Valéry, Cmentarz morski, w przekł. Romana Kołonieckiego
tenże, Narcyssa mówi, w przekł. tegoż
tenże, Zamysł węża, w przekł. tegoż
Paul Verlaine, Niemoc, w przekł. Miriama
tenże, Sztuka poetycka, w przekł. Mieczysława Jastruna
Juliusz Verne, Tajemnicza wyspa, w przekł. Janiny Karczmarewicz-Fedorowskiej